

Tajna jednostka wywiadowcza CIA, staje w obliczu klęski, gdy jej pracownicy zaczynają ginąć. Wyzwanie rozwikłania zagadki tajemniczych morderstw podejmuje agentka - Sophie Marx, która cudem unika śmierci próbując odkryć prawdę. Zadanie okazuje się niezwykle trudne, ponieważ nie sposób określić, kto rozdaje karty w tej śmiertelnie niebezpiecznej grze. David Ignatius autor bestsellerowych powieści, takich jak W sieci kłamstw, Wydział Persja kolejny raz zabiera czytelnika na Bliski Wschód. Ukazuje Pakistan jako kraj kontrastów, w którym najbiedniejsi mieszkańcy, kierujący się wyłącznie kodeksem plemiennym, żyją obok zeuropeizowanych bogatych generałów, zarabiających na współpracy z Zachodem.

IGNATIUS DAVID

KRWAWA FORSA

Tłumaczenie Jerzy Wołk-Łaniewski

Zeskanował Krzysztof tykwiński

Zemsta, choć z początku Słodka, lecz z czasem nabiera goryczy I zawróciwszy uderza mściciela

John Milton „Raj utracony” tłum. Maciej Słomczyński

- Wpierw wdzieracie się na nasze terytoria, gdzie nie macie czego szukać i gdzie obiecaliście się nie zapuszczać, następnie zaś wasze najście wywołuje urazę, uraza z kolei oznacza opór.

Wtedy niezwłocznie podnosicie larum, że oto ludzie się burzą, a ich postępowanie to rebelia.

Potem organizujecie ekspedycję karną, aby stłamsić ową rebelię. Na koniec zaś,

doprowadziwszy do rozlewu krwi, wzbudziwszy zamęt i anarchię, z rękoma wzniesionymi ku

niebiosom oświadczacie, że racje natury moralnej zmusiły was, by tu pozostać: gdybyście

bowiem mieli się wycofać, oznaczałoby to pozostawienie tych terytoriów w stanie, na jaki

żadna cywilizowana potęga nie mogłaby ze spokojem

i opanowaniem przystać

Wicehrabia John Morley, Sekretarz Stanu do Spraw Indii 1905-1910, podsumowujący gniew Pasztunów;

cytat za: C.F. Andrews, The Challenge of the North West Frontier, 1937

Prolog

MAKIN, POŁUDNIOWY WAZIRISTAN.

Dla Omara to ostatnia noc w Makinie. Zje kolację z rodziną, a potem wróci do swojego

laboratorium komputerowego w Islamabadzie, jego bracia Nazir i Karimullah powrócą zaś do

prowadzonej walki. Tej nocy na kolacji pojawiają się arabscy goście, którzy znaleźli w Makinie

schronienie, a przywódca wioski złoży wizytę, by pożegnać „Ustad Omara” - „Świątłego

Omara” jak zwykli go tu nazywać; bywa on w takich miejscach, jak Dubaj czy Londyn, które mieszkańcy Makinu ledwie są w stanie sobie wyobrazić.

Przed kolacją Omar wraz z Karimullahem, najmłodszym z braci, wyszli na przechadzkę po

wysokich wzgórzach wznoszących się nad miejscowością. Omar ma już niemal czterdzieści

lat i na dodatek zdążył przywyknąć do życia w mieście, więc od wspinaczki po skalistym

zboczu bolą go kolana, kiedy zaś staje na szczycie wzniesienia, osłonięty jedynie ciernistymi

krzakami akacji, jego płuca rozpaczliwie dopominają się powietrza. Karimullah jest zwinny,

w opinii brata wręcz zbyt zwinny, a lata spędzone na walce w okolicznych górach sprawiły,

że jego kości pokryte są prawie wyłącznie mięśniami. Chłopak przypomina wilka: ma wąską

twarz, jest niezmordowany i spragniony ofiary.

Omar spogląda z grani na rozpościerającą się w dole panoramę upstrzonej skałami doliny.

Wysokie sosny łagodzą krajobraz, zasłaniając głazy, zniszczone pola oraz leje po

wybuchach bomb. W biegnącym skrajem zbocza korycie rzeki sączy się ledwo dostrzegalna strużka. Zbyt mało niesie wody, by wzrosło tu cokolwiek poza nienawiścią. To nie mój kraj, myśli Omar. To już nie mój kraj. Omar uciekł do innego świata, gdzie jałowe wzgórza uznaje się za strefy swobodnego ognia, zaś relacje międzyludzkie to nie intymne więzi pomiędzy krewnymi i współplemieńcami, lecz sztuczne wytwory bezdusznych sieci komputerowych. Schodzą teraz po zboczu. Karimullah jak zawsze ma przy sobie broń. Zwraca ją teraz w kierunku ptaka, który wypadł z zarośli i prędko zmierza w ich stronę. Młodzieniec w każdej chwili mógłby go trafić, bo nigdy nie chybia, jednak zamiast tego odkłada broń i uśmiecha się do brata. Czymże bowiem ptak ten nam zaszkodził?

Omar ponownie spogląda w dół zbocza, ku owocowym drzewkom i ogródkom warzywnym, które jego ojciec z takim trudem uprawiał. To ja jestem owocem - myśli. To ja byłem tu pielęgnowany, aby móc potem stąd uciec. Te wszystkie popołudnia, gdy jako chłopiec rozwiązywał na podwórku matematyczne zagadki, podczas gdy ojciec, Hadzi Mohammed, zachodził w głowę, czy z jego synem jest coś nie w porządku; te wszystkie noce, gdy leżał i nie spał, a matematyczne łamigłówki rozświetlały mu umysł niczym elektryczne lampki; te wszystkie poranki, gdy nie wiedział, z kim podzielić się rozwiązaniem - były drogowskazami, które prowadziły go ku tej ucieczce. Pewnego razu spróbował wytłumaczyć amerykańskiemu znajomemu, co oznaczało bycie chłopcem w jego wiosce, lecz rozmówca, również matematyk, roześmiał się tylko bez zrozumienia.

Karimullah szepcze coś bratu do ucha. Ma pewien sekret. Prowadzi starszego od siebie Omara odgałęzieniem szlaku

do opuszczonego posterunku Korpusu Granicznego, gdzie trenują młodzi bojownicy. Dysponują tu prostą strzelnicą służącą do doskonalenia umiejętności strzelania z kałasznikowów, a także pomieszczeniem do ćwiczeń, w którym pracują nad tężyzną fizyczną. Omar radzi bratu, by ten zachował ostrożność. Ci Amerykanie to niebezpieczni ludzie. Po ataku na ich wieże w Nowym Jorku naprawdę się wściekli.

Tak, Karimullah ma tego świadomość. On i Nazir nie boją się amerykańskich półludzi. Powtarza pasztuńskie powiedzenie, którego Hadzi Mohammed nauczył niegdyś swych synów: „Kto dzisiaj okrył się hańbą, jutro zazna zguby”.

???

Są już prawie w domu. Karimullah wybiega teraz do przodu, aby dać znać matce o powrocie i że można przygotowywać już posiłek. Światło zachodzącego słońca przygasa. W miejscach, gdzie promienie słoneczne trafiają na zbocza, góry skąpane są w odcieniach różu, w cieniu przyjmują zaś odcienie głębokiego fioletu i wiśniowej czerni. Niebo stało się granatowe, zimne. Księżyc już wzeszedł, lecz gwiazd ciągle nie widać. Omar odruchowo spogląda w górę. Niebo jest puste - uznał - lecz nagle w smudze znikającego słońca dostrzega coś jak gdyby błysk światła. Woła młodszego brata, ten jest już jednak za daleko, by go usłyszeć. Goście zaczęli już się gromadzić - ich półciągarówki stały zaparkowane przed obmurowanym podwórzem.

To niemożliwe, myśli Omar. Te diabły nie skrzywdzą mojej rodziny. Staralem się im pomóc. Starali się nawet moi bracia oraz pozostali bojownicy. Co też takiego zrobili Amerycy?

Omar zaczyna biec. Dotychczas zastanawiał się nad tym, co tego wieczoru powie ojcu i braciom, teraz jednak zachowuje się jak uciekające zwierzę. Dobiega go dźwięk - ledwo słyszalny warkot silnika. Chce wierzyć, że dochodzi on od strony miejscowości położonej parę kilometrów dalej, dźwięk jednak brzmi ostrzej i bardziej natarczywie. Omar ponownie podnosi wzrok i z instynktowną pewnością ofiary wie, że dźwięk dochodzi z nieba, z wysokości dziesięciu tysięcy stóp nad ziemią.

Krzyczy do brata, zbiegając ku murowi, pomiędzy którymi toczyło się jego życie w latach chłopięcych, a które teraz osłaniają jego matkę, siostry oraz małe dzieci. Kolejna furgonetka z gośćmi przybywa na kolację, wzbijając kłęby pyłu, a Omar krzyczy w stronę brata najgłośniej

jak potrafi, rozpaczliwie pragnąc zwrócić jego uwagę. Za późno. Słońce już zaszło, a czasu jest za mało. Rozlegający się nad głową warkot przemienił się w niesłabnące brzęczenie gigantycznego, niezniszczalnego insekta.

Karimullah zatrzymał się. Również usłyszał hałas i spogląda ku niebu. Odruchowo podnosi broń, jednak zdaje sobie sprawę, że to daremne i rzuca się do ucieczki. Bramy podwórza z impetem otwierają się przed uciekającymi członkami rodziny, którzy potykają się o swe długie szaty i nawołują Boga. Są bezradni. Nie mogą dostrzec, co znajduje się nad ich głowami, jednak przeczuwają co się stanie i przenika ich upokarzający strach. Przeszają panować nad odruchami organizmu. Potykają się i przewracają. Najmłodszy zasłaniają dłońmi uszy, tak jakby mogło to powstrzymać nadciągające niebezpieczeństwo. Hadzi Mohammed nie ucieka. Jest mężczyzną. Powolnym i godnym krokiem oddala się od zabudowań, trzymając za rękę jednego z gości.

Omar jest już na dole i widzi, jak cień stalowej strzały nagle spowija w ciemnościach sady. Ognisty smok obniża lot, nie słycać jednak jego ryku. Bowiem porusza się szybciej od dźwięku. Teraz, pod koniec, pędzi z tak wielką prędkością, że w mgnieniu oka jest już za późno. Drzewa uginają się, trawy kładą przy ziemi, zwierzęta ryczą przerażone, zaś ludzie ze świata Omara zatrzymują się w czasie.

Błysk detonacji ma odcień białej siarki. Usta eksplozji zasysają powietrze, momentalnie wznosząc ognistą kulę na wysokość okolicznych gór. Siła wybuchu wyrzuca Omara w powietrze niczym grudkę ziemi. Na pewien czas traci przytomność, a gdy ją odzyskuje, początkowo niczego nie słyszy ani nie widzi i sądzi, że zginął. Świat wokół jest biały, a Omar cieszy się swoim odejściem.

Ból daje mu do zrozumienia, że jednak żyje. Doznał rozmaitych obrażeń i krwawi z wielu ran. Zaczyna wykrztuszać z siebie pył i krew. Gdy otwiera oczy, dostrzega, że świat, w którym dorastał, został zniszczony. Miejsce, w którym stało jego rodzinne domostwo, pokrywa teraz nakrapiana tłącymi się płomieniami sterta gruzów. Kilka metrów od siebie zauważa leżące na ziemi części ciała. Słyszy wołania rannych. Próbuje wstać, lecz załamuje się pod własnym ciężarem.

???

Pozwól mi umrzeć - myśli Omar. Jednakże w godzinach, dniach i latach, jakie później następują, kieruje nim inna myśl, pochodząca bardziej z jego trzewi aniżeli z rozumu: pozwól mi dostąpić zaszczytu, jakim jest badał*, pozwól mi odpowiedzieć zniewagą na zniewagę. I nie chodzi mu o znaczenie ogólne, a o coś bardzo konkretnego. Wie doskonale,

* Badał (paszt. sprawiedliwość) - jedno z podstawowych założeń Pasz-tunwali, niepisane kodeksu honorowego Pasztunów, zobowiązujące do zemsty wobec wrogów ze ludzkie, którzy kontrolują drony*, pracują dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. Wie o nich wręcz zbyt wiele. Tych ludzi nie wystarczy nienawidzić - Omar pragnie mieć nad nimi władzę i sprawić, by poczuli strach.

Nie dokonuje zemsty w bezpośredni, krwawy sposób, na jaki mógłby zdecydować się jego brat Karimullah. Powraca na Narodowy Uniwersytet Naukowo-Technologiczny. Rany na jego ciele zblizniają się, a on sam nie wspomina o wydarzeniach z Makinu. Jednocześnie kontynuuje pracę w charakterze konsultanta dla oddziałów IT pewnych banków z Dubaju oraz z Genewy. Utrzymuje pozostałe kontakty z zagranicą, w tym z przyjaciółmi poznanymi podczas pobytu w Kalifornii. Kiedy ludzie przedstawiają go cudzoziemcom, mówią, że stanowi wzór dla przyszłości terytoriów plemiennych - uzdolniony, można by rzec, światowej klasy młodzieniec z Południowego Waziristanu, który udowadnia, że można uciec od reguł plemiennego stylu życia.

Ludzie tytułują go „ustad” - „uczony”. W istocie jest jednak duchem. Podróżuje po krajach Zatoki Perskiej i do Europy. Jest tak szczupły i tak wyćwiczony, że mógłby przebiec maraton. Znajduje nowych przyjaciół, którzy okazują się przydatni. Nim nasza opowieść się

rozpocznie, upłynie jeszcze wiele miesięcy, lecz Omara motywuje do działania jedna myśl: ludzie, którzy sądzą, że są bezpieczni, muszą się dowiedzieć jak to jest, gdy jest się na miejscu ściganej zwierzyny.

* Dron - bezałogowy samolot wojskowy służący do lotów rozpoznawczych lub zdalnej likwidacji celów

Rozdział 1

ISLAMABAD. PAKISTAN

W łagodnym świetle popołudnia, niemal dwa lata później, fasada kwatery głównej Zarządu Służb Wywiadowczych ISI przedstawiała się niemalże przyjaźnie. Był to anonimowy, pokryty szarym tynkiem budynek w stołecznej dzielnicy Aabpara, z dala od Szosy Kaszmirskiej. Jedyne wyróżnik stanowił wzór z czarnego kamienia przypominający wstążkę, która opasa front budowli, dzięki czemu budynek przypominał pudełko na prezent. Choć nie był w żaden sposób oznaczony, obecność ISI w dzielnicy nie była tajemnicą. Pakistańczycy z innych formacji militarnych zwykli określać agentów służby „chłopakami z Aabpara” tak jakby chodziło o gang z sąsiedztwa, któremu należy okazywać szczególny szacunek. Zwykli Pakistańczycy starali się w ogóle o ISI nie rozmawiać.

Wewnątrz owej tajemniczej kwatery, z widokiem na wewnętrzny ogród, znajdował się gabinet dyrektora generalnego, którego funkcję pełnił w ostatnich latach elokwentny jegomość o imieniu Mohammed Malik. Na jego ramionach widniały skrzyżowane miecze i półksiężyc, świadczące o randze generała porucznika. Jego autorytet nie opierał się jednak na stopniu w wojskowej hierarchii, ale na fakcie sprawowania kontroli nad przepływem informacji. Niemal zawsze generał Malik wiedział więcej niż otaczający go ludzie, aczkolwiek nigdy się nie obnosił ze swoją wiedzą, ani też nie ujawniał sposobu, dzięki któremu wszedł w jej posiadanie. Byłoby to z jego strony nierozważne, a co gorsza - niegrzeczne.

Generał Malik nie onieśmiał, a przynajmniej nie w sposób typowy dla oficerów wojska. Szczupły, o starannie przystrzyżonych włosach, zwracał uwagę na to, co je i pije, w tym względzie osiągając niemal granice przesady. Miał gładkie dłonie, zaś w rozmowie nie wykazywał się wylewnością. Łatwo można było zapomnieć, że w rzeczywistości był zawodowym kłamcą, który całą prawdę mówił wyłącznie swemu przełożonemu, czyli szefowi armijnego sztabu.

Tego wiosennego popołudnia głowę generała Malika zaprzętała troska, z którą nie wiedział do końca, jak powinien sobie poradzić. Brygadier, który reprezentował jego interesy w Karaczi, zadzwonił i zawiadomił go o spodziewanym, możliwym kłopotcie. W obecnych czasach Pakistan trapiły problemy małe i duże, lecz największe z nich często miały coś wspólnego ze słowami „Stany Zjednoczone Ameryki”. Mówiło się - i nie bez racji - że los Pakistanu zależał od trzech A: Allacha, Armii i Ameryki. W wiadomości od brygadiera z Karaczi pojawiły się wszystkie trzy czynniki.

???

Pośród kolegów z Kwatery Głównej w Rawalpindi generał Malik zyskał sobie renomę człowieka umiającego radzić sobie z Amerykanami. Po części wynikało to z faktu, iż spędził rok w Akademii Wojskowej w Fort Leavenworth w stanie Kansas. A jak to ludzie zwykli mówić, jeśli poznałeś Kansas, poznałeś prawdziwą Amerykę. Malikowi w gruncie rzeczy Kansas się nie spodobało. Jedyne rejonem Ameryki, który autentycznie przypadł mu do gustu, były Góry Skaliste, których rzadkie powietrze i strome szczyty przypominały mu rodzinne strony w górach Kaszmiru. Wiedział jednak, jak zwodzić ludzi - wszak dla mieszkańców Azji Południowej stanowi to w pewnej mierze sztukę - toteż przez całe lata udawał, że Amerykanów ze środka kraju darzy szczególną sympatią. W takim właśnie duchu szczerzej, a zarazem fałszywej serdeczności dyrektor generalny wykonał telefon do Homera Barkina, szefa rezydentury CIA w stale rozrastającej się

ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Islamabadzie. Ich planowe spotkanie robocze miało odbyć się jeszcze w tym tygodniu, lecz generał Malik spytał swego amerykańskiego partnera, czy ten mógłby wpaść tego samego popołudnia, a w miarę możliwości nawet i zaraz. Nie wyjaśnił przy tym przyczyny, gdyż zdążył się nauczyć, że zawsze lepiej jest powiedzieć mniej, niż się zamierzało, zwłaszcza zaś, gdy ma się kontakt z Amerykanami, którzy robią dokładnie na odwrót.

- Mój przyjacielu Homerze - zwrócił się z powitaniem generał Malik, gdy czterdzieści pięć minut później szef rezydentury przybył do Aabpara. Zazwyczaj zwracał się do niego w ten sposób, na co Amerykanin odpowiadał „mój przyjacielu Mohammedzie” lub też, kiedy chciał coś załatwić, po prostu „mój przyjacielu Mo”. Ten drugi wariant generał Malik uznawał za wyjątkowo irytujący, nigdy jednak nic o tym nie wspominał. Uścisnął dłoń gościa pewnie i energicznie - tak, jak lubią Amerykanie.

Barkin nie prezentował się dobrze. Jego twarz wyglądała fatalnie, a zbyt ciasna marynarka sprawiała, że wyglądał jakby miał za chwilę wybuchnąć. Generał Malik znał tego przyczynę: Homer Barkin ostro pił, a to z powodu problemów prawnych u siebie w kraju. Podobnie jak wielu innych oficerów CIA, padł ofiarą efektu bumerangu w prowadzonej przez Stany „wojnie

z terroryzmem”. Powiadano, że przy jednym z poprzednich zadań przeholował, zbyt gorliwie namierzając wroga.

Spoglądając teraz na Homera Barkina, na jego oczy pociemniałe od spowodowanej depresją bezsenności, na guzik kołnierzyka wrzynający się w skórę na szyi, trudno było sobie wyobrazić, by był kiedyś zdolny do jakiegokolwiek formy gorliwości. Jednakże tak przedstawiał się już „po” - a fakt, że został mianowany szefem rezydentury w Islamabadzie oznaczał, że niegdyś istniała korzystniejsza wersja „przed”.

- Mój drogi przyjacielu Homerze - ciągnął Pakistańczyk. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, lecz wyglądasz na nieco zmęczonego. Zapewne zbyt ciężko pracujesz.

- Uwierz mi, nawet nie masz pojęcia jak bardzo - odparł oficer CIA.

- Nie, rzeczywiście, nie mam. Niezależnie od przyczyny, martwię się. Mam zarazem nadzieję, że w tych zdradzieckich czasach będziesz umiał się o siebie zatroszczyć. Jesteś w naszym domu gościem. Wiele dla nas znaczysz.

- Doceniam to - jego wzrok był pusty, zaś postawa pozostawała niewzruszona. Nie był kimś, komu łatwo byłoby schlebić czy do czegoś przekonać. - Co jest grane, generale?

- Ujmę to następująco, sir: ostatnimi laty odnieśliśmy wspólnymi siłami wiele sukcesów, czyż nie? Można by niemal powiedzieć, że jesteśmy partnerami. Mam rację? Chcielibyśmy więc, móc wierzyć, że możemy wam ufać, nawet jeśli w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi nasz kraj jest biedny i słaby. Wiesz, że mamy swoją dumę.

- Nigdy o tym nie zapominał, Mohammedzie. Ani na chwilę.

- Cóż, więc mam do ciebie pytanie. Normalnie nie zwracałbym ci głowy o tej porze taką drobnostką, w tym wypadku

sprawa jest jednak dość ważna. Mam nadzieję, że wybaczysz, że się tak narzucam i przeprosisz w moim imieniu panią Barkin za opóźnienie twojego dzisiejszego powrotu do domu.

- Generale, pani Barkin mieszka w Waszyngtonie. Nie wiem, czy będę mógł ci odpowiedzieć, ale obiecuję, że nie skłamię.

Generał Malik uśmiechnął się. Amerykanie nie lubią okłamywać innych. Czują się wtedy niezręcznie. Ich specjalnością jest okłamywanie samych siebie.

- A zatem, sir, oto pytanie: czy prowadzicie w Pakistanie operacje poza waszymi zwykłymi strukturami? Wybacz bezpośredniość, ale muszę o to spytać.

Barkin nachylił głowę, tak jakby miał problemy ze słuchem i chciał się upewnić, że dobrze usłyszał. Możliwe, że był stary, nie był jednak głupi.

- Przepraszam, generale, chyba nie dosłyszałem. Co masz na myśli?

Pakistańczyk wyciągnął się w fotelu. Złożył razem dłonie i na chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, przemówił raz jeszcze, tym razem głośniej.

- Pozwól, sir, bym sformułował pytanie możliwie najjaśniej: czy Stany Zjednoczone przysyłają do Pakistanu oficerów wywiadu z pominięciem zwyczajowych kanałów przerzutowych CIA? Czy wasza agencja robi coś takiego? Albo czy robi to jakaś inna służba? To właśnie pragnę wiedzieć: czy prowadzicie przeciwko nam jakąś nową grę? Wiesz, wydaje nam się, że dobrze was znamy, ale dochodzą do nas pogłoski o czymś, o czym nie wiemy. A powiedzmy sobie szczerze - nikt nie lubi być zaskakiwany.

Barkin zmarszczył usta. Na jego twarzy malowała się żałość wioskowego grabarza.

- Jak Boga kocham, Mohammedzie. Wiesz, że nie mogę odpowiedzieć na tego typu pytanie. To znaczy, jasne, prowadzimy całą masę operacji, jawnych i niejawnych, dokładnie tak jak wy. Mamy w ambasadzie pracowników agencji, którzy kontaktują się z waszymi służbami, zresztą znasz ich nazwiska. Jeśli jednak powiedziałbym ci, że poza tym nie mamy w Pakistanie nikogo, że nie mamy żadnych niejawnych oficerów, wiesz, że bym skłamał. Ale tak działa ta branża, nie? My nie zaglądamy wam pod spódnicę i nie chcielibyśmy, żebyście wy zaczęli zaglądać pod naszą.

Amerykanin puścił rozmówcy oko, jak gdyby byli dwoma starymi pokerzystami, którzy znają zasady obowiązujące w kasynie. Lecz Pakistańczyk nie był w nastroju na wymianę branżowych uprzejmości.

- Homerze, ja mówię o czymś zupełnie innym. Wiem wszystko o waszych „nielegalnych” Mógłbym ci teraz wymienić z tuzin z nich. Wiem wszystko o waszych „wysuniętych informatorach wojskowych”. Być może znam nawet nazwiska waszych podwykonawców, włączając tych, którzy pracują dla innych agencji, a o których, mój drogi przyjacielu, nie powinieneś wiedzieć nawet ty. Ale tutaj chodzi o coś innego.

- Słuchaj, ja jestem tylko prostym chłopakiem z Pennsylvanii. Nie łapię. Powiedz mi po prostu, o co ci chodzi, bez owijania w bawełnę.

Pakistański generał westchnął. Nie lubił być tak bezpośredni. Czuł się przy tym niezręcznie. Nie miał jednak wyboru.

- Wykryliśmy sygnały świadczące o jakichś nowych działaniach, Homerze, o jakichś nowych operacjach. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Widzimy jednak, że zbliża się coś, co się nam nie podoba. I chcę, żebyście o tym wiedzieli. Bo - jak rozumiesz - będziemy musieli się bronić.

Barkin ponownie potrząsnął głową. Zwilżył wargi, jakby przygotowując się do tego, co zaraz zamierzał powiedzieć.

- Nie mam pojęcia, o czym ty do diabła mówisz. Nie prowadzimy żadnych nowych działań. Przynajmniej o żadnych nie wiem. Cholera, nie radzimy sobie nawet z tymi, które już rozpoczęliśmy. Coś ci może, przyjacielu, dzwoni, ale nie w tym kościele.

- Mógłbym zadzwonić do Centrali, do Cyrila Hoffmana i poskarżyć się, że stwarzasz trudności i powinieneś zostać odesłany do domu. Bynajmniej by go to nie ucieszyło.

- A dzwoń sobie do kogo chcesz. Mówię prawdę. Generał Malik przypatrywał się gościowi, starając się

sprawdzić, czy można było mu zaufać. Zniszczonego człowieka trudniej jest rozszyfrować niż kogoś rześkiego i pełnego entuzjazmu. Amerykanin swoje kłamstwa mógł zdecydowanie lepiej zamaskować. Niełatwo było podjąć decyzję, gdyby jednak generał musiał zgadywać, przyjąłby, iż gość mówi prawdę. O cokolwiek w istocie chodziło, najpewniej nie miał on o tym pojęcia.

Pakistańczyk zmienił temat rozmowy. ISI zdobyła dowody na finansowanie przez Hindusów ruchu nacjonalistycznego w Beludżystanie. Była to sprawa najwyższej rangi. Generał Malik zamierzał podesłać dotyczący tej kwestii raport do dalszego przekazania do Langley. Wyraził

też głęboki żal w związku z wiadomością, że najnowsze amerykańskie podania wizowe nie będą mogły zostać w obecnej chwili rozpatrzone pozytywnie. Przez kolejne pół godziny panowie omawiali podobne szczegóły, ani razu nie powracając do tematu, który tak rozżłościł generała.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Homer Barkin uściśnął dłoń szefa ISI z mniejszą już serdecznością, po czym

ociężył krokiem odszedł. Był już przy drzwiach, gdy pakistański generał położył mu dłoń na ramieniu. Na pożegnanie Malik odezwał się cicho i bez swych zwyczajowych uników.

- Uważaj, przyjacielu - przestrzegł. - Jeśli będziesz wtykał nos w nie swoje sprawy, ktoś ci go może uciąć.

- Już na to za późno, Mohammedzie - odparł Barkin. - O cokolwiek w tym chodzi, klamka już dawno zapadła. I zresztą nie ja się będę o to martwił. To twój problem - twój oraz kogoś u mnie w kraju, kogoś kogo sam nawet nie znam.

???

Do gabinetu generała przylegał otoczony murami ogród z niewielkim trawnikiem, starannie utrzymanym i zielonym niczym boisko do krykieta, jak również ze szpalerem różanych krzewów, które w ostatnich promieniach popołudniowego słońca przyjmowały łagodne, pastelowe barwy. Kiedy tylko generał Malik miał do rozstrzygnięcia jakiś dylemat, lubił siadać tam w samotności na krześle typu Adirondack, jakie nabył lata temu w Stanach Zjednoczonych.

Malik przeszedł teraz do ogrodu i usadowił się na miejscu, które zwykł nazywać „krzesłem refleksji”. Zapalił papierosa - była to jedna z niewielu przyjemności, na jakie sobie pozwalał. Po chwili zjawił się steward w białych rękawiczkach i wojskowej liberii, by spytać, czy generał życzy sobie czegoś do jedzenia lub picia, ale ten go odpędził.

Co też ci Amerykanie robili? Nie po raz pierwszy w ciągu wielu lat generał Malik zadawał sobie to pytanie. Istniały również inne łamigłówki oznaczone skrótem USA, które starał się rozwiązać. W tym wypadku chodziło jednak o coś szczególnego. Amerykanie zmieniali zasady gry. Zapewne w Waszyngtonie ktoś uznał, że postępują bardzo chytrze, w rzeczywistości jednak pakowali się na teren, na którym nikt nie będzie im mógł pomóc - ani generał, ani jego agenci, ani też jego tajne powiązania. Amerykanie winę za swe kłopoty zrzucą na Pakistan, a zwłaszcza na służby kierowane przez generała, podczas gdy to oni sami napytali sobie biedy. Zostaną przyłapani i będzie to wyłącznie ich wina.

Generał w życiu kierował się pewną zasadą: nie przeszkadzać komuś, kto właśnie popełnia błąd. Należało pozwolić innym działać w pierwszej kolejności, aby samemu móc zareagować i wykorzystać sytuację do własnych celów. Generał miał pewne znajomości. Postanowił zaczekać, przyglądając się sytuacji. Nieuczciwie byłoby stwierdzić, iż Pakistańczyk grał na dwa fronty. W istocie jego strategia była znacznie bardziej skomplikowana.

Rozdział 2

STUDIO CITY, KALIFORNIA

Sophie Marx wstała jeszcze przed świtem. Umówiła się na rozmowę telefoniczną z jednym ze swoich oficerów w Londynie, impulsywnym człowiekiem o imieniu Howard Egan, który wybierał się do Karaczi i bynajmniej nie był zachwycony perspektywą tej podróży. Marx należała do ludzi budzących się tuż przed dźwiękiem budzika, nawet jeżeli ustawiony on był na piątą rano, tak jakby jej powiekami sterował jakiś wewnętrzny zegar. Przeturlała się na drugą stronę materaca, by wyłączyć urządzenie. Jej obszerne łóżko było jak zwykle puste. Sophie była wybredna. Nie miała jeszcze czterdziestki, w świecie wywiadowców wciąż była adeptem, lecz w miarę upływu czasu odkryła między innymi, że w większości wypadków rzeczywistość nie spełniała pokładanych w niej nadziei. Wiele kobiet uczy się ułatwiać sobie życie poprzez kłamstwo, ale Marx nie była jedną z nich.

Wybrała się na krótką przebieżkę po swoim osiedlu w Sherman Oaks, mijając truchtem karłowate drzewka palmowe oraz na poły zielone trawniki, po czym wzięła prysznic i przebrała się do pracy. Jej cera i ciało nie wymagały pracochłonnej pielęgnacji: długie, kruczoczarne włosy okalały twarz o delikatnym odcieniu odtłuszczonego mleka. Łuki brwi w naturalny sposób wyginały się, nadając jej figlarny wygląd nawet wtedy, gdy była poważna. Kiedy rozpiniała dodatkowy guzik w koszuli, sprawiała raczej wrażenie chłopczycy aniżeli uwodzicielki.

Wyciągnęła z szafy parę prostych jeansów oraz dopasowaną czarną skórzaną kurtkę od Yvesa Saint Laurenta z Paryża, za którą zapłaciła niemal dwa tysiące euro. Dodała do tego czarne botki, dzięki którym wyglądała na wysoką i długonogą, choć w rzeczywistości mierzyła zaledwie sto sześćdziesiąt dwa centymetry. Pilotem otworzyła bramę przylegającego do małego domku garażu i wsiadła do przestronnego auta - czarnego Cadillaca Escalade z przyciemnianymi szybami, którego z rozkoszą nazywała „dziwkowozem”.

W szarym świetle nadchodzącego świtu jechała Ventura Boulevard, sporządzając w myślach listę rzeczy do zrobienia tego dnia. Był więc Egan. Nie lubił jeździć do Pakistanu, ale obecnie nie lubił tego właściwie nikt. Musiała mu to wprost uzmysłwić. Po to w końcu zorganizowano w Los Angeles całą tę operację - aby głęboko zakonspirowani oficerowie mogli wyjeżdżać tam, gdzie inaczej by się nie dostali i robić to, czego w inny sposób nie mogliby robić. Rzecz jasna, Egan się denerwował. Pomoże mu to uniknąć niebezpieczeństw.

Marx w myślach przygotowała sobie argumenty do rozmowy.

Światła przy Woodman Avenue zmieniły się na żółte. W pobliżu nikogo nie było, lecz Marx i tak zwolniła aż do całkowitego zatrzymania. Wciąż myślała o Eganie. Niedługo będzie musiała przekazać go innemu oficerowi prowadzącemu. Jego pewnie też to zmartwi.

Postanowiła, że z przekazaniem informacji o swoim awansie poczeka do jego powrotu z Pakistanu. Została mianowana „szefową kontrwywiadu” aczkolwiek nie było jasne, co to w ich skromnej komórce w istocie oznaczało. Nie istniał żaden schemat organizacyjny Szeff Sophie, Jeffrey Gertz, wymyślał go na poczekaniu. To właśnie podobało jej się w prowadzonym w Los Angeles eksperymencie. Tchnął świeżością. Mogli popełniać nowe błędy.

Zielone. Na sąsiednim pasie stała czerwona półciężarówka na wysokich amortyzatorach. W kabinie siedziało dwóch facetów, którzy bez wątpienia spędzili całą noc na picu. Kierowca w obróconej czapeczce Dodgersów łypał pożądliwie w jej stronę. Marx wyrwała spod świateł i nie obejrzała się za siebie, póki nie dotarła do Coldwater Canyon.

Zostawiła samochód na podziemnym parkingu i wjechała windą na trzecie piętro, gdzie natknęła się na nocnego stróża. Spojrzał na nią spod ciężkich powiek. Do końca zmiany brakowało mu jeszcze pół godziny, lecz już wyglądał na wykończonego.

- Obudź się, Chuck - odezwała się. - Słońce wstaje.

Udała się do swego niewielkiego gabinetu i zapaliła światło. Na ścianie wisiał oprawiony plakat z filmu Thelma i Louise, na którym ścigane przez radiowozy Geena Davis i Susan Sarandon miały zaraz spaść w kabrioletcie z urwiska. Nad zdjęciem widniał slogan: „Ktoś kiedyś kazał wziąć się w garść... to też zrobiły”. Na półce znajdowała się lalka w okularach przeciwsłonecznych i prochowcu, opatrzona podpisem „Barbie z CIA”. Wiele lat temu Sophie dostała ją od znajomego z okazji ukończenia kursu przygotowawczego.

Marx za pomocą Skypea zadzwoniła do Howarda Egana, przebywającego w siedzibie londyńskiego funduszu hedgin-gowego, który stanowił jego przykrywkę. Spółka pod nazwą Alphabet Capital obracała miliardami dolarów, lecz Marx nigdy do końca nie zrozumiała zasad jej funkcjonowania: w jakim stopniu prowadziła autentyczną działalność, w jakim zaś była przykrywką dla operacji wywiadowczych. Kiedyś zapytała o to Egana, stwierdził tylko,

że nie ma powodów do niepokoju. Jediną osobą, która orientowała się w całej sprawie, był właściciel Alphabet Capital, niejaki Thomas Perkins, który nawet przypiekany żywym ogniem nie pisnąłby ani słówka.

Prezentując Eganowi kolejne punkty z listy, Marx siliła się na entuzjazm. Rozmówca odpowiadał burkliwie, za każdym razem możliwie skracając wypowiedź. Kiedy Sophie skończyła wyliczanie, zapadła cisza.

- Niedobrze mi na samą myśl o tym wyjeździe - odezwał się Egan. - Tam nie jest bezpiecznie.

- Wszystko będzie dobrze - odparła Marx. - Przestań się zamartwiać. Jesteś dokładnie tym, za kogo się podajesz na wizytówce. Uspokój się. Ubezpieczamy ci tyły.

W reakcji na taką próbę pocieszenia go Egan tylko się roześmiał.

- Świetnie - odrzekł. - To teraz powiedz mi, kto ubezpiecza mi przód?

Poprzez własne słowa czuł się sparaliżowany. Z każdym słowem coraz bardziej się nakręcał. Marx widziała już podobne zachowania u innych kolegów. Kiedy dopuszczali do głosu niepokój, zalewały ich kolejne fale zmartwień.

- Ogarnij się - powiedziała. - Zadzwoń, jak już wrócisz. W pozostałych kwestiach kontaktuj się z centrum operacyjnym. W porządku?

- Absolutnie - odparł Egan. - W całkowitym, perfekcyjnym porządku.

- Bez odbioru - rzuciła Marx, tak jakby kończyła rozmowę przez radiostację. Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia.

- Bez odbioru - odpowiedział ponuro Egan.

I tyle. Przez resztę dnia Marx już o nim nie myślała. Jakoś musiał sobie poradzić. W końcu ludzie zawsze sobie radzili. Pomyślała o napisaniu do Gertza, swojego szefa, notki sugerującej przydzielenie Eganowi nieco mniej stresujących obowiązków. Niedługo potem zaczęli przybywać pracownicy i Marx włączyła się w jednostajny rytm codziennej pracy biurowej.

???

Napis znajdujący się przed budynkiem, w którym Sophie Marx pracowała, głosił, że była to siedziba Hit Parade LLP, firmy zajmującej się - według jej profilu opracowanego przez korporację Dun & Bradstreet - sprzedażą międzynarodowych praw muzycznych i telewizyjnych, negocjowaniem porozumień licencyjnych, a przy okazji również organizowaniem targów. Tłumaczyło to fakt posiadania dużego i przestronnego, ale jednocześnie niedrogiego biura w dolinie San Fernando. Tłumaczyło też kontakty z dziesiątkami małych firm i ich ruchliwymi reprezentantami, którzy ciągle rozjeżdżali się w różne dziwne miejsca. Wreszcie tłumaczyło to nieprzerwany strumień międzynarodowych połączeń telefonicznych oraz e-maili.

„Hit Parade - mamy to, co na czasie” - tak Marx odpowiadała na telefony, jeżeli ktokolwiek dzwonił do niej w godzinach pracy. Nazwa firmy sprawiała wrażenie, jakby Sophie pracowała z Beach Boys i Sandrą Dee. Marx miała również służbowe wizytówki z numerem nieistniejącej centrali, gdzie telefonu nikt nigdy nie odbierał. Niekiedy rozdawała je w barach naprzykrzającym się jej facetom.

Znała krótką historię swego miejsca pracy, coś na kształt „mitu założycielskiego” Podobnie jak wiele innych tworów w Ameryce, Hit Parade powstała w efekcie wstrząsu po 11 września 2001 roku. Centralna Agencja Wywiadowcza została wysłana na wojnę, po czym parę lat później trafiła pod pręgierz, gdy opinia publiczna doszła do wniosku, że nie podobają jej się brutalne zadania, jakie powierzono służbom wywiadowczym. W rezultacie ludzie z Centrali poczuli się zniechęceni i niekochani. Weterani Agencji starali się uniknąć kłopotów poprzez grę na czas, co tylko pogorszyło sytuację. Wreszcie pojawiła się nowa władza, decydenci stwierdzili, że właściwie, po co mieliby się zameczać. Niechaj stary parowy trampowiec dalej rdzewieje przy nabrzeżu, podczas gdy my wypuścimy na wodę nowego, cichego ścigacza.

Biały Dom ochrzcił tę strategię mianem „nowej koncepcji”, dla odróżnienia od bezmyślnej „starej koncepcji”, którą realizowano wcześniej. Pośród garstki osób zaznajomionych z projektem krążyła mantra: świat uległ zmianie, a służby wywiadowcze nie mogą działać w oparciu o ambasady, jeżeli ich celem jest rekrutowanie ludzi pragnących wysadzać ambasady w powietrze. Zdobyte technologiczne pozwalały zbudować nową, tajną strukturę. Bezpieczny system komunikacji, który niegdyś wymagał osobnego pomieszczenia szyfrowego w budynku ambasady, można było obecnie zainstalować w laptopie czy nawet w urządzeniu typu blackberry.

Nowym członkom personelu, takim jak Mara, powiedziano, że nowemu prezydentowi pomysł bardzo się spodobał. Chcąc zapisać się w historii jako reformator, postanowił zmienić wizerunek najbardziej krytykowanej spośród krajowych organizacji o trzyliterowych akronimach. Pomysł poparli przewodniczący obydwu kongresowych komitetów służb wywiadowczych, jak również nieliczne osoby, które z nim zaznajomiono. Owa skromna grupka wtajemniczonych zgodziła się, że absolutnie konieczne, jest utajnienie nowego projektu, by można się go było w każdym momencie wyprzeć. Dawny system był wrakiem, toteż stworzono coś zupełnie nowego, co następnie usamodzielniono od pierwotnej organizacji i zakamuflowano w sposób nie do odgadnięcia.

Prezydent powierzył kontakt z nowym organizmem swojemu szefowi personelu Tedowi Yazdiemu. Był to waleczny bankier inwestycyjny, uwielbiający tajemnice i który - gdyby mógł jeszcze raz wybrać - być może sam zostałby oficerem wywiadu. Yazdi kierował operacją spoza Białego Domu, nie zostawiał śladów na piśmie i nie informował o swoich działaniach nikogo poza prezydentem.

Centrali to się nie podobało, nie mogła jednak w żaden sposób temu przeszkodzić. Jej ludzie zasugerowali, by nowa formacja skupiła się na brudnej robocie, której tradycjoniści i tak nie lubili - na „działalności specjalnej” znanej również jako operacje tajne. Tak więc równoległe do już istniejących rezydentur za granicą utworzono siatkę nowych „platform” dla kadry „nielegalnych” oficerów wraz z ich laptopami. Siatka musiała się w jakimś miejscu zbiegać. Przedstawiciele starej gwardii opowiadali się za miejscem leżącym w pobliżu, jak na przykład Fredericksburg czy Rockville, gdzie mogliby pilnować, by cały ten wielki eksperyment nie wymknął im się spod kontroli. Tym razem jednak zwolennicy zmian postawili na swoim. Ustalono, że centrala nowej organizacji powinna znajdować się z dala od Waszyngtonu. Rozważano takie lokalizacje jak Denver, San Francisco, Las Vegas czy nawet Charleston w Zachodniej Wirginii, które dziwnym trafem było jednocześnie rodzinnym miastem głównego przedstawiciela władz Kongresu. Ostatecznie jednak zdecydowano umiejscowić węzeł koordynujący w Los Angeles, w zdumiewająco zwyczajnym biurówcu w dolinie San Fernando, dotychczas słynącej jako zagłębie amerykańskiej kinematografii porno. Budynek, który wybrano, był wcześniej siedzibą spółki zajmującej się pożyczkami hipotecznymi, która ogłosiła upadłość. Agencja zakupiła go przy użyciu szeregu podstawionych pośredników.

Aby mieć oko na rozwój eksperymentu, Centrala wybrała jednego ze swych najbardziej zręcznych weteranów tajnych akcji, człowieka o imieniu Cyril Hoffman. Zajmował on stanowisko zastępcy wicedyrektora, był zatem praktycznie niewidzialnym numerem trzy w agencyjnej hierarchii. Ponadto słynął z tego, że nie lubił rozgłosu. Był ekscentrykiem, kolekcjonował pierwsze wydania brytyjskich powieści z dziewiętnastego wieku, zaś na liście utworów w jego ipodzie znajdowały się współczesne opery Philipa Glassa. Miał zwyczaj nucenia pod nosem podczas rozmów telefonicznych, a niekiedy również w trakcie zebrań. Ludzie, którzy go nie znali, uważali go za pomyleńca. Byli jednak w błędzie.

???

Sophie Marx dołączyła do zespołu, ponieważ znudziła ją wygodna posadka w Centrali, poza tym doszła do wniosku, że lubi buntownika wybranego do pokierowania nowym organizmem. Nazywał się Jeffrey Gertz i zdążył stać się niemal legendą pośród młodszych pracowników Agencji.

Gertz rozpoczął wspinaczkę po szczeblach kariery w Maroku, gdzie zdobył pozycję człowieka nie do zastąpienia u księcia koronnego, który później został królem. Następnie w 2002 roku - jeszcze przed wojną - udał się do Bagdadu pod słabą przykrywką wschodnioeuropejskiego dyplomaty. Pełnił funkcję jednoosobowej rezydentury - podkładał podsłuchy, rozmieszczał emitujące podczerwień przyrządy nawigacyjne, które wyznaczały cele bombowcom, werbował i prowadził miejscowych agentów. Działał, jak gdyby był to rok 1943, a on sam był agentem OSS w okupowanej Francji.

Między młodymi oficerami, którzy mieli dostęp do informacji, zaczęły krążyć opowieści z gatunku: „Słyszałeś, co tym razem zrobił Gertz?”.

Najlepsze jednak jest to, że w większości wypadków nie prosił o zgodę na działanie. Kiedy inwazja na Irak miała się rozpocząć, Gertz zażądał od Centrali „uprawnień do likwidacji” - oznaczałoby to, że w miarę nadarzających się okazji może mordować wybranych Irakijczyków. Decydenci rezydujący na siódmym piętrze siedziby CIA zawahali się i poprosili o opinię głównego prawnika Agencji, tymczasem Gertz i tak przystąpił do działania. Do czasu, gdy otrzymał działające wstecz zezwolenie, zdążył pozbyć się dwóch starszych oficerów irackiego reżimu, a prezydent na wieść o jego wyczynach stwierdził, że chce go odznaczyć.

Centrala postrzegała Gertza jako rozrabiakę, lecz pośród oficerów terenowych wyrobił sobie reputację. Po okresie służby w Bagdadzie przeszedł do Centrum Antyterrorystycznego, gdzie prowadził ściśle chronione programy, o których nikt nigdy nie rozmawiał. Aby zabezpieczyć się przed ewentualnymi kłopotami, zaprzyjaźnił się z kilkoma ważnymi senatorami i kongresmenami z Kapitolu. W okresie zmiany władzy udzielał prywatnych briefingów doradcom nowego prezydenta. Umiejętnie pociągał za sznurki, więc gdy Biały Dom zdecydował się na swój nowy i brawurowy eksperyment, Gertz znajdował się w odpowiednim miejscu.

?*?

W Los Angeles to Gertz przeprowadził z Marx rozmowę kwalifikacyjną. Była jedną z kilkuset osób, które wskazał jako możliwych kandydatów do nowej formacji. Procedura przypominała rekrutowanie od nowa do struktur CIA. Nikt się sam nie zgłaszał, a jedynie był proszony o stawienie się w dyskretnym miejscu na rozmowę. W chwili spotkania z Gertzem Marx początkowo sądziła, że go nie polubi. Znała już opowieści o jego wyczynach, jak również reputację człowieka aroganckiego. Poznała już w CIA wystarczająco wielu macho, by mieć ich dość na całe życie.

Jednakże w czasie rozmowy coraz bardziej przekonywała się do jego usposobienia. Gertz wczytał się wcześniej w jej akta. Wiedział czego udało jej się dokonać w Bejrucie i jak została stamtąd odwołana przez szefa wydziału, który dał się ponieść nerwom. Przypomniawszy jej, że przez ostatnie dwa lata wegetowała na dobrze płatnym i mało ważnym stanowisku w Centrali, które większość postronnych uznawała za coś poważnego.

- Naprawdę potrzebna jest ci zmiana - powiedział jej wtedy. - Jeżeli nie zdecydujesz się na tę robotę, to mam nadzieję, że znajdziesz coś innego, nim popadniesz w marazm.

I tyle wystarczyło. Marx wiedziała, że miał rację. Stawała się osławionym „oficerem sprawozdawczym” i wykonywała tę samą nudną i prostą robotę, jaką jej powierzono zaraz po przyjeździe do Agencji. Tak właśnie Agencja postępowała z inteligentnymi kobietami: czyniła je menedżerami i popychała w górę drabiny awansów. Stanowiło to rodzaj represyjnej tolerancji. Niebawem stawały się niezdolne do uczestniczenia w prawdziwych operacjach i nie miały już żadnej okazji do działania. Czuły, że już wdrapały się na szczyt.

Gertz stwarzał jej okazję do ponownego podjęcia ryzyka. W tamtej chwili Marx nie mogła oprzeć się tej propozycji. W miesiąc później przyzwyczajała się do nowego otoczenia w Sherman Oaks i jeździła do Studio City za kierownicą „dziwkowozu”.

„Rozrywka to nasza branża” - głosił slogan na wizytówce Marx, widniejący tuż pod wielkim napisem „The Hit Parade”. Już w chwili wymyślenia hasło to było kłamstwem. Slogan brzmiał jednak szczególnie fałszywie w dniu, w którym Marx pomogła Howardowi Eganowi przygotować się do wyjazdu do Pakistanu.

Rozdział J

KARACZI, PAKISTAN

Następnego dnia, w blasku poranka, tuż przed lądowaniem w Międzynarodowym Porcie Lotniczym imienia Jinnaha, Howard Egan doznał chwilowego ataku zawrotów głowy. Wydawało się, że horyzont na sekundę zniknął gdzieś między błękitną tonią Morza Arabskiego a białą mgłą przestworzy. Egan wbił wzrok w okno, starając się wypatrzeć rozdziałającą je linię. W tej nieokreślonej krainie, która sprawiała wrażenie, jakby gubiła się w obłoku pary, miał się podobno czuć jak u siebie. Dziś jednak się bał. Na zewnątrz było zbyt jasno. Pozostali pasażerowie przyglądali mu się, starając się domyśleć, kim jest. A przecież nie przeszedł jeszcze nawet przez kontrolę paszportową.

Egan poinformował swoich przełożonych z Los Angeles, że nie ma ochoty na kolejny wyjazd do Karaczi. Podczas poprzedniej wizyty był tak bardzo pewien, że jest śledzony, że nie udał się na dwa umówione spotkania. Jeffrey Gertz zasugerował mu, że być może powinien wrócić do kraju, nie mówił jednak tego serio. Później przysłał Eganowi wiadomość: „Zwycięzcy mają pewną cechę. Wygrywają”. Oznaczało to, że Egan ma udać się do Karaczi albo odejść ze służby.

Egan znał na pamięć mantrę o swej niewidzialności. Nie istniał. Posługiwał się paszportem, ale fałszywym. Miał pewne cechy charakterystyczne, jak kolor włosów czy oczu, lecz zostały one zmodyfikowane. Miał pracę, służbowe wizytówki i adresy korespondencyjne, wszystko to było jednak fikcyjne. Wszystkie telefony komórkowe były czyste. Stanowił część organizacji rządowej, która nie figurowała na żadnym wykresie czy zestawieniu budżetowym Waszyngtonu. W całości składał się z kłamstwa. Nie istniała o nim żadna prawda, do której ktoś mógłby dotrzeć.

Tak też miało to wyglądać owego wiosennego poranka w Karaczi. Prawda na temat Howarda Egana powinna pozostać tajemnicą dla każdego spoza mikroskopijnego grona wtajemniczonych. Jediną osobą w Alphabet Capital, która знаła jego rzeczywistą tożsamość, był jego tamtejszy nominalny przełożony Thomas Perkins.

Egan przeszedł przez powolne procedury kontroli paszportowej i celnej. Nie spoglądał na celników, ale też nie uciekał od nich wzrokiem. Na lewo od niego powstało chwilowe zamieszanie - to jeden z funkcjonariuszy odciągał na bok czarnego jak smoła przybysza ze Sri Lanki. Egan nie zwalniał kroku i niebawem znalazł się za szkłem, po drugiej stronie granicy celnej, pośród gwaru spowodowanego przez hotelowych naganiaczy i rodzin czekających na podróżnych.

W wykonanym z białego betonu atrium terminala panował upał i duchota. Zbyt wiele par oczu się rozglądało, zbyt duża była szansa, że ktoś go obserwuje. Egan chciał już dotrzeć do hotelu. W gronie chętnych twarzy poszukał swojego kierowcy, aż wreszcie wyłowił wzrokiem człowieka z tabliczką, na której błędnie zapisano jego nazwisko: ORGAN. Nawet w tak koszmarnym dniu wywołało to na jego twarzy uśmiech. Kierowca wziął od Egana walizkę i pociągnął ją na kółkach w stronę placu parkingowego z wyniosłą miną kogoś, kto chociaż przez te kilka chwil miał w swoim życiu cel.

Egan był niewysokim mężczyzną przed czterdziestką, przeprowadzającym się z hotelu do hotelu i starającym się dbać o linię. Wraz z kolejnymi zadaniami jego wygląd ulegał zmianie, niezmienna pozostawała jednak łagodność jego twarzy, przypominającej niemalże buzię

dziecka z reklamy firmy Gerber, z kącikami ust nieznacznie zwróconymi ku górze. Od ponad roku Egan jeździł po świecie na zlecenie innej ekipy, co powinno pozostawić jakiś ślad na jego obliczu, nadal jednak wyglądał absolutnie surowo. Im więcej miał na koncie wyjazdów, tym bardziej stawał się człowiekiem od wszystkiego.

Dotarli do Sheratona położonego przy Club Road. Wcześniej rozważał zatrzymanie się w pakistańskim hotelu Pearl, co stanowiłoby mniej oczywisty wybór, jednakże Sheraton dysponował salonem odnowy biologicznej, dobrą włoską restauracją, a także umożliwiał gościom zamawianie alkoholu. Egan zrobił więc rezerwację, korzystając ze swego funduszu na wydatki osobiste. Kiedyś już się tu zatrzymał, posługując się tym samym nazwiskiem. Teraz wzmocni to jego wiarygodność, chyba że już przy poprzedniej wizycie został przez kogoś rozpracowany.

Nie rozpoznał żadnego z pracowników recepcji, po chwili jednak z biura na zapleczu wyszedł mężczyzna w eleganckiej marynarce i podał mu zwiotczałą dłoń.

- Witamy ponownie, panie Egan.

Egan udał się do swojego pokoju i rozpakował bagaż, wieszając drugi garnitur w szafie i układając resztę odzieży w szufladach. Był w tej kwestii pedantem i w każdym mieście przestrzegał tej samej rutyny. Rozpakowywał swoje życie, jak gdyby sprawował nad nim kontrolę, szuflada po szufladzie: t-shirty, bokserki, skarpetki, wszystko na swoim miejscu. Wyjął laptopa z walizki i podłączył kabel Ethernetu. Przejrzał wiadomości, po czym uruchomił połączenie VPN i sprawdził swoją skrzynkę pocztową z siedziby Hit Parade w Los Angeles. Służby udoskonaliły sztukę cyfrowego kamuflażu. W nowej formacji dane o sekretnym życiu agentów istniały w internetowej chmurze i gdy tylko było to potrzebne, można było do nich zajrzeć, jednakże bez możliwości ściągnięcia.

Sophie Mara nie miała dla niego nowych informacji. Spotkanie zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami miało nastąpić o czternastej następnego popołudnia. Żadnych zmian co do planu operacyjnego, poziomu bezpieczeństwa, uprawnień czy warunków angażowania się w walkę. Egan wylogował się, usiłując nie myśleć o czekającym go dniu. Spotkanie znajdowało się w innej przestrzeni, poza hipnotyzującą linią horyzontu.

???

Howard Egan przybył do Karaczi, aby spotkać się z Ha-midem Akbarem, pakistańskim bankierem będącym nominalnym klientem Alphabet Capital. Każdy kto miałby dostęp do wymienianych przez nich e-maili przekonałby się, że Egan przyjechał, by promować nowy fundusz wprowadzany przez firmę, która inwestowała w osłabione nieruchomości w Ameryce Północnej i Europie. W razie jakichkolwiek pytań Egan odsyłałby zainteresowanych do pana Perkinsa, dyrektora generalnego Alphabet Capital.

Rzeczywiste dzieje Hamida Akbara były bardziej skomplikowane. Przed dwunastoma laty został zwerbowany jako „współpracownik” przez Centralną Agencję Wywiadowczą. Dostrzeżono go podczas studiów inżynierskich na Uniwersytecie Baltimore, a formalnie wciągnięto rok później, nim wrócił do rodzinnego Pakistanu. Był Pasztunem, co nawet wówczas zwracało uwagę CIA.

Lecz Akbar zerwał kontakty z agencją niedługo po powrocie do kraju. Stwierdził, że były one zbyt ryzykowne. Pakistańskie służby bezpieczeństwa z łatwością wykryłyby jego tajne powiązania, a on sam wylądowałby w więzieniu. Jego oficer prowadzący wykazał się zrozumieniem i zasugerował, że agencja być może zgłosi się do niego w przyszłości, kiedy nieco ochłonie. Jednakże przez niemal dekadę CIA nie narzucało się Pakistańczykowi w żaden sposób.

Wtem pewnego dnia, mniej więcej przed rokiem, Hamida Akbara odwiedził pewien Amerykanin, który przedstawił się na wstępie jako Howard Egan, doradca inwestycyjny. Egan zaproponował nową formę współpracy z amerykańską instytucją, która nie posiadała

nazwy ani też formalnie nie istniała. Oferta przedstawiała się tak lukratywnie, że Pakistańczyk nie mógł - nie odważył się - jej odrzucić, toteż powrócił do tajnej działalności. W jaki sposób nazwisko Akbara wypłynęło? Gertz miał go na liście potencjalnych współpracowników. Nigdy nie ujawnił, na jakiej zasadzie listę tę sporządzono. Gertz przekazał Eganowi pasztuńskie przysłowie, którym miał on podzielić się z Akbarem na pierwszym spotkaniu: *Awal zaan resto jahan*. - Wpierw ty sam, dopiero potem wszechświat. Skąd znał taką perełkę? Tego również Gertz nie wyjawiał.

Wartość Akbara jako współpracownika wynikała z jego powiązań rodzinnych. Jego wujek był przywódcą jednego z klanów Darwesz Khel, które władały zachodnią granicą. Podobnie jak wielu wodzów plemiennych, wuj ów z czasem nieco złagodniał i przywykł do życia w mieście, utrzymując się bez wysiłku z danin i podatków. Oficer polityczny agencji Południowego Waziristanu uznawał go za niegroźnego, podobnie jak przedstawiciele

ministerstwa spraw wewnętrznych, Korpusu Granicznego czy ISI. Czyniło go to idealnym celem, był bowiem wpływowym człowiekiem, którego wartości inni nie doceniali.

Akbar swego ustosunkowanego krewnego nazywał „wujem Azimem” lub czasami z szacunkiem „Azim Khanem”. Na prośbę Egana obaj Pakistańczycy wybrali się swego czasu do Abu Zabi na spotkanie zapoznawcze. Amerykanin zarysował wtedy finansowe korzyści wynikające z podjęcia współpracy. W zamian Gertz kazał mu nalegać na uzyskanie pomocy w uspokojeniu terenów przygranicznych. Wuj Azim poprosił o kilka miesięcy czasu do namysłu.

Teraz przyszła pora na odpowiedź. Akbar miał przygotować miejsce spotkania. Planowano wymianę podarunków.

Jeff Gertz darzył tę operację miłością. Stanowiła ona demonstrację możliwości jego nowej formacji. Część starych wyjadaczy, którzy dołączyli do Hit Parade, martwiła się, że plan spisano na kolanie, lecz Gertz podkreślał, że jest on pewniakiem. Ktoś tylko musiał doręczyć forszę. Gertz podzielił się z kolegami tym samym truizmem, jakim uraczył Egana - istotą zwycięzców jest to, że umieją wygrywać.

Nie ulegało wątpliwości, że Gertz był zwycięzcą. Egan bał się go, lecz postąpił tak, jak mu polecono.

???

Egan zadzwonił do biura Hamida Akbara, aby potwierdzić umówione na następny dzień spotkanie. Pakistańczyk odebrał z pewną zwłoką.

Nim cokolwiek powiedział, zakaszłał.

- Przykro mi - odezwał się wreszcie. - Z jutrem jest pewien kłopot. Nie jest to dogodny termin.

Ściskająca słuchawkę dłoń Egana pokryła się potem. Czekał.

Pakistańczyk znowu przemówił, tym razem raźniejszym tonem.

- Mógłbyś spotkać się ze mną dziś wieczorem w Habib Bank Plaza? Nie będzie tak gorąco. Brzmiał na nieco zdenerwowanego czy też zmęczonego, choć może tak się tylko Eganowi wydawało.

- Czy możemy dobić targu jeszcze dzisiaj? - naciskał Egan. - Sprawa nie może czekać.

- Tak, myślę, że tak. - Akbar ponownie zakaszłał, tak jakby coś utkwilo mu w gardle. -

Poczekaj chwilkę, niech sprawdzę.

Pakistańczyk wykonał telefon z drugiego aparatu.

Eganowi się to nie spodobało. W jednej chwili chciał wszystko przerwać, wymeldować się z Sheratona i wsiąść w samolot w dowolnym kierunku. Nienawidził wszelkich zmian w uzgodnionym planie.

Akbar wrócił na linię. Mówił cienkim, napiętym głosem.

- Może być dziś wieczorem. Przyjdź do mnie do biura o siódmej.

Egan zastanawiał się co robić, ale tylko przez chwilę. Nie mógł tak po prostu przerwać całej akcji. Jakie bowiem wytłumaczenie przedstawiłby swoim zwierzchnikom w Los Angeles? Nawet Sophie Marx uznałaby, że spanikował.

- Słuchaj, przyjadę na pewno... - po wypowiedzeniu słów zrobił krótką pauzę, aby komunikat odpowiednio zabrzmiał.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, wysłał przez blackber-ry wiadomość do centrum operacyjnego, informując oficera dyżurnego o przyspieszeniu rozkładu działań. W Los Angeles był środek nocy. Czy kogokolwiek w Hit Paradę w ogóle to zainteresuje?

Po niespokojnej drzemce Egan udał się do hotelowej siłowni. Przez niemal godzinę ćwiczył na rowerze stacjonarnym,

jednocześnie śledząc na ekranie małego telewizora mecz krykieta, aby oderwać myśli od tego, co go czekało. Było to jednodniowe spotkanie międzynarodowe przeciwko RPA.

Czołowy odbijający drużyny Pakistanu wyglądał z wełniastą brodą i bez wąsów jak muła.

Został wykluczony za postawienie nogi przed wicketem tuż przed zdobyciem pięćdziesięciu runów.

Egan podszedł do ciężarków. Z ławeczki korzystał akurat pewien otyły Turek, który odszedł, kiedy Egan podniósł sztangę.

Leżąc na ławce, między powtórzeniami Egan wybiegał myślami w dal. W następny weekend planował wybrać się z dziewczyną do angielskiej Krainy Jezior. Zarezerwował już pokój w pewnym drogim pensjonacie. Może wydał zbyt wiele? Czy powinien kupić posiadłość w Londynie, nim ceny na rynku znów poszybują w górę? Czyjego włosy z tyłu się przerzedzały? Ile powtórzeń ze sztangą powinien jeszcze wykonać, aby zmęczyć się wystarczająco, by móc tej nocy zasnąć?

Kiedy Egan wrócił do pokoju, zauważył, że został on przetrząśnięty. Ktoś przyłożył z całej siły w twardy dysk komputera. To przynajmniej można było przewidzieć - laptopy większości podróżnych z Zachodu padały ofiarą ataków. Egan wziął prysznic, po czym położył się na chwilę w bokserkach na łóżku, śledząc dalszy ciąg meczu krykieta. Teraz uderzali zawodnicy z Południowej Afryki. Zazwyczaj widok zielonej murawy i niespieszne tempo gry miały na niego kojący wpływ, teraz jednak odczuwał wewnętrzny niepokój. Z nerwów zaczynał boleć go brzuch, a przecież od przyjazdu do Pakistanu niczego jeszcze nie zjadł.

Rozdział 4

KARACZI, PAKISTAN

Popołudnie w starej dzielnicy miasta znanej jako Saddar Town zbliżało się do końca.

Różowawa łuna zmierzchu oblewała budynki, niebawem jednak miała zgasnąć. Howard Egan złapał taksówkę w stronę Mohammad Ali Jinnah Road, arterii ciągnącej się półtora kilometra na północ od hotelu, i udał się na przechadzkę po bazarze, gdzie wiekowi tkacze sprzedawali swoje towary. Nie obrócił się ani razu, by sprawdzić, czy nie jest śledzony. Na tym polegała najtrudniejsza część każdego spotkania: należało zwalczyć instynktowne pragnienie sprawdzenia, kto może cię śledzić.

Egan przyjrzał się dawnej siedzibie giełdy. Girlandy mrugających żarówek zwisały pod dachem niczym sznury pereł. Na południowym wschodzie, za „bramą solną” Kharada-ru, półksiężyc wznosił się nad wodami Morza Arabskiego. Przechodnie wychodzili na drogę, by po chwili pierzchać jak mewy przed każdym nadjeżdżającym autem.

Na głównych ulicach, w światłach latarni, kupcy i żebracy starali się krzykiem zwrócić na siebie uwagę, zaś kierowcy zapamiętali naciskali klaksony. Jednakże z dala od ruchu, pośród starych straganów, panowała cisza.

Torba ciążyła Eganowi na ramieniu, a przez jego koszulę zaczynał przesiąkać pot. Nie mógł na to pozwolić. Przysiadł w klimatyzowanej kawiarni przy Jinnah Road i poczekał, aż ochłonie. O szóstej trzydzieści zatrzymał taksówkę i ruszył

wzdłuż Chundrigar Road w stronę Habib Bank Tower. Niegdyś był to najwyższy budynek w Pakistanie. Teraz jednak, po trzydziestu latach prażenia się na słońcu, podczas gdy inne gigantyczne budowle wzbijały się wokół w niebo, stał się po prostu kolejnym zikkuratem z wyblakłego betonu.

Egan usiadł w klimatyzowanym lobby, aby ochłoniąć, po czym na kilka minut przed siódmą wjechał windą na osiemnaste piętro. Sekretarka Hamida Akbara skinęła w skromnym geście przyzwolenia. Egan był tu z wizytą zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Akbar wyszedł z gabinetu, aby przywitać przybysza.

- Jak się masz? - Akbar uściśnął dłoń Amerykanina. - Nieludzka pogoda.

Akbar również się pocił. Pod pachami jego brązowego garnituru pojawiły się mokre plamy, a krawędź kołnierzyka jego koszuli wyglądała na przemoczoną. W sumie, czemu tu się dziwić? Był czerwiec. Twarz Pakistańczyk była łagodna i puciołowata. Nie nosił wąsów. Wyglądał na młodego, ambitnego człowieka, który mógłby przyłączyć się do miejscowego oddziału Organizacji Młodych Prezesów. Człowieka, który pragnie poznawać cudzoziemców i wymieniać się wizytówkami. Należał do pokolenia oddalonego od kurzu i skwaru prowincji. Egan rozpoczął gadkę na temat nowego funduszu Alphabet Capital. Nazywał się Liść Klonu II. Jego poprzednik, Liść Klonu I, radził sobie wyśmienicie. Stopa zwrotu za drugi kwartał mogła w stosunku rocznym przewyższyć trzydzieści procent. Stanowiło to wspaniałą nową okazję dla klientów takich jak pan Akbar.

- Wybornie - skomentował Pakistańczyk. - Bez wątplenia, robi to wielkie wrażenie.

Akbar wysłuchał uprzejmie reszty prezentacji, coś go jednak rozpraszało. Kiedy Egan skończył, nastąpiła niezręczna cisza.

- Kłopot w tym, że jestem obecnie splukany - zauważył Akbar. - To niemożliwe.

Odchrząknął, otworzył szufladę biurka i wyjął kartkę papieru, którą przesunął po blacie z drewna tekowego w stronę Egana. Widniał na niej podmiejski adres z dzielnicy w północno-zachodnim Karaczi. „11-22 Gilani Buildings, sektor 2, Baldia Town”. Poniżej znajdowała się godzina „21:00”.

Egan przyjrzał się napisowi i zapamiętał wiadomość. Z kieszeni marynarki wyciągnął długopis i napisał na kartce: „Dzisiaj?”

Akbar skinął głową. Zostawił kartkę tam, gdzie była. Wołał jej nie ruszać. Egan wskazał na wiadomość i złożył ręce na krzyż. Pozbądź się jej. Akbar wziął papier i przeprosił na chwilę. Po trzydziestu sekundach rozległ się odgłos spuszczonej wody, a Pakistańczyk wyszedł z przylegającej do gabinetu łazienki. W międzyczasie przecesał włosy, na jego czaszce widać jednak było kropelki potu.

Egan wrócił do tematu inwestycji. Omówił elastyczne minima oraz alternatywne możliwości inwestycyjne, aby tylko zapełnić czymś czas na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał. Kiedy spotkanie dobiegło końca, na obliczu Pakistańczyka pojawiła się ulga.

Egan wsiadł do pierwszej taksówki w stojącym przed Habib Tower Plaża szeregu. Rozsiadł się w zatęchłej kabinie hyundaia i wyciągnął z teczki swoje blackberry. Adres wyznaczonego spotkania przesłał do centrum operacyjnego w Los Angeles. Dzielnica, w którym miało ono nastąpić, nie

przypadłaby im do gustu. Przylegała do Ittehad Town, okolicy, w której osiedli imigranci z rejonów plemiennych.

Ludzie Gertza nie będą mieli czasu na zorganizowanie dozoru, lecz przynajmniej będą wiedzieli gdzie jest. Egan wklepał współrzędne w blackberry i urządzenie wyświetliło mu sporządzoną przez Google mapę. Biorąc pod uwagę wieczorny ruch, od celu dzieliło go trzydzieści minut jazdy, do czego należało doliczyć rundkę w celu wykrycia ewentualnych obserwatorów. Zdąży akurat na dziewiątą.

Kryjówka, w której miał się spotkać z wujem Azimem, mieściła się w innej dzielnicy, na wschód od śródmieścia, w pobliżu uniwersytetu. Jeśli wszystko pójdzie bez przeszkód, wraz z

przywódcą klanu Darwesz Khel powinien dotrzeć tam koło dziesiątej. Butelki whisky i kartony papierosów ukryto na miejscu już parę tygodni temu.

Egan przejechał taksówką wzdłuż Mohammad Ali Jinnah Street za wieżowiec MCB Tower. Dwa samochody za nimi utrzymywał się czarny sedan, który powtarzał każdy manewr taksówki. Amerykanin wysiadł z pojazdu i cofnął się do centrum handlowego. Wszedł pod arkady parteru, wjechał windą na piętro wyżej, klatką schodową wrócił na parter, po czym opuścił budynek innym wyjściem i zatrzymał następną taksówkę. Po paru minutach wysiadł i wykonał kolejny manewr, tym razem przechodząc pod arkadami dworca kolejowego. Egan był przyzwyczajony do obłędnego baletu mającego na celu wykrycie obserwatorów: tam i z powrotem, w przód i w tył, bez odwracania się, oglądania przez ramię czy jakichkolwiek gestów, które mogłyby zdradzić, że w istocie przejmujesz się możliwością bycia śledzonym. Te wszystkie manewry przypominały kąpiele w pyłe, jakie urządzały sobie pustynne gryzonie, turlając się po piasku, aby wysuszyć futerko. Żeby się oczyścić, musiał się unurzać.

Egan miał prawo przerwać akcję, jeśli wyczułby zagrożenie. Zawsze to powtarzali: nie musisz mieć dowodu, że coś jest nie tak. Ktoś spojrzy na ciebie spode łba - i koniec, wystarczy. Przerwij działanie i nie stawiaj się na spotkaniu. Plan operacji zawsze przewiduje miejsce rezerwowe, a jeżeli i tam nie dotrzesz, no to w sumie co?

Gertz uwielbiał stwierdzać: bezpieczeństwo przede wszystkim, brachu. Jeśli przecucie mówi, że coś jest nie tak, to tak jest. Zrezygnuj. Ale właściwie sam tak nie myślał. Jeśli zrezygnujesz ze zbyt wielu spotkań, ludzie zaczną podejrzewać, że obleciał cię strach. Że masz „trudności operacyjne” A to by oznaczało, że nadszedł czas, by wysłać kogoś młodszego, kto jeszcze nie stracił ochronnej skorupy z głupoty, która pozwala ci uwierzyć, że w obcym mieście zdołałeś rozpląnąć się w powietrzu.

Egan próbował zmusić siebie do bezmyślności. Bądź taksówką. Bądź teczką. Słyszał jednak własne tętno i czuł, że znowu zaczyna się pocić. W piersi czuł ucisk, podobnie jak przy poprzedniej wizycie w Karaczi. „Potrzebujemy ludzi wielkiego serca” - głosiła kolejna z mądrości Gertza. Serce Egana niemal rozsadzało mu klatkę.

Gertz miał rację: Egan tracił panowanie nad sobą. Przestał wierzyć i zaczął się zastanawiać. Nie był typem zwycięzcy. Był człowiekiem małego serca.

Nie powinien odwracać się za siebie, ale to uczynił. Wyczuwał, że jest obserwowany tak, jak się wyczuwa światelko lasera na tyle głowy. A kiedy się obrócił, ujrzał tego samego sedana, który śledził go już wcześniej, w okolicach MCB Tower. Kierowca wyglądał teraz inaczej, a przynajmniej miał na

sobie inne ubranie, ale tego można się było spodziewać. Wiedział, że powinien w tym momencie przerwać akcję. Miał do tego prawo. Zresztą przez cały dzień coś mu nie pasowało. Różne szczegóły były niewyraźne lub po prostu nie znajdowały się na swoim miejscu.

Jechał teraz starą toyotą corollą, z Koranem na desce rozdzielczej i amuletami na lusterku wstecznym, które miały chronić przed wszelkimi urokami. Kierowca miał na głowie włóczkową czapkę modlitewną, jak właściwie wszyscy w tym otumanionym przez Allaha mieście. Pokrycia siedzeń były wytarte. Metalowe sprężyny uwierały go w pośladki.

Kierowca zapalał akurat papierosa. Dwaj chłopcy na ulicy wyzywali się nawzajem.

- Teri ma diphudi - rzucił pierwszy, co w lokalnym slangu znaczyło dosłownie „pizda twojej matki”.

- Bahinchod - krzyknął w odpowiedzi drugi, co oznaczało „pieprzysz własną siostrę”.

Egan poczuł napad klaustrofobii. Poleciał kierowcy zatrzymać taksówkę. Czoło pokryło mu się potem. Otworzył drzwi, po czym znowu je zamknął. Kierowca prosił o instrukcje. No dalej, myśl. Co mu pozostawało? Mógł wysiąść z taksówki. Mógł złapać kolejną i wrócić do hotelu, a następnego ranka siedzieć już w samolocie.

- Dokąd jechać? - kierowca spytał ponownie. Mały drań chciał od niego pieniędzy. A zatem co? Egan zamknął oczy. Tym razem nie odpuści, nie teraz. Było już za późno, zbyt wiele poczyniono planów, zbyt wielki impet nadano sprawie. Przywołał słowa dokładnie w takiej kolejności, w jakiej je zapamiętał: 11-22 Gilani Buildings, sektor 2, Baldia Town. Nagryzmołił adres i podał go chciwemu kierowcy. Taksówka ruszyła. ???

Egan nigdy nie dotarł na miejsce, z którego miano go odebrać. Po prostu zniknął. Obserwatorzy z powietrza nie namierzili go pośród ruchu ulicznego. Później dowództwo potwierdziło w oparciu o zapisy zwiadowców, że w ogóle nie przybył na spotkanie. Jego kontakt, Azim Khan, czekał tam na niego, dokładnie w ustalonej części Baldia Town. Z powietrza było widać, jak Pakistańczyk przyjechał na miejsce tuż przed dziewiątą. Zaczekał do jedenastej, a następnie wrócił kierowanym przez szofera mercedesem do swojej willi na eleganckim przedmieściu. Jak należało rozumieć fakt, że przywódca klanu Darwesz Khel pojawił się na wyznaczonym miejscu? Ani w owej chwili, ani też w najbliższym czasie nikt nie mógł mieć co do tego pewności.

Przez całą noc i następny dzień starano się zlokalizować Egana. Z bazy Bagram wysłano paramilitarną ekipę ratunkową gotową strzelać do wszystkiego, co się rusza, byle tylko go odnaleźć, lecz niczego ona nie wskórała. Pakistańska policja sprawdziła współrzędne z blackberry Egana, które wskazywały, iż przebywa w Ittehad Town na północ od centrum miasta. Funkcjonariusze natychmiast udali się do tej niebezpiecznej dzielnicy, lecz zdołali odnaleźć tylko telefon zaginionego. Najwyraźniej w trakcie ucieczki został on wrzucony do śmietnika, w którym policja go teraz znalazła.

Ciało Egana nigdy się nie odnalazło. Zniknęło, tak po prostu. Więcej nie można było stwierdzić. Na stronie internetowej dżihadystów pojawiło się zdjęcie przedstawiające mężczyznę przywiązanego do stołu. Usta zakrywała mu szmata, widać też było dłoni z glinianym dzbanem, z którego strumień wody spływał do gardła obezwładnionego. Nie mogli mieć pewności, że to Egan, czy choćby że to Amerykanin. Widać było jedynie błysk jednego z jego oczu, wykrzywionego przez cierpienie i chwilę agonii, w której zdjęcie zostało zrobione. Miał na sobie pomarańczowy podkoszulek. Na jego ciele widoczne były ślady po przypalaniu papierosami oraz potwornie precyzyjne cięcia wykonane piłką do metalu. Tym, którzy ujrzeni fotografię, na zawsze zapadła ona w pamięć.

Rozdział 5

STUDIO CITY, KALIFORNIA

Jeff Gertz spędził ostatnie minuty nieświadomości w swym samochodzie, którym przedzierał się przez góry, zmierzając do pracy po wizycie u dentysty w Beverly Hills. Z tego właśnie powodu przybył do biura spóźniony. Ludzie z centrum operacyjnego nie chcieli do niego zadzwonić póki nie byli pewni zaistnienia problemu, do czego należało doliczyć jeszcze dwunastogodzinną różnicę czasu między Pakistanem a Stanami. Potem zaś, kiedy centrum próbowało, nie mogło się z nim skontaktować. To też sprawiło, iż Gertz o zniknięciu Howarda Egana dowiedział się dopiero po dotarciu do pracy. Później zwolnił za to oficera dyżurnego, jak gdyby to on był wszystkiemu winny.

Był czerwcowy ranek, a powietrze sprawiało wrażenie tak czystego i delikatnego, jakby przepuszczono je przez pralkę z programem wirowania. Gertz prowadził swego błyszczącego, czerwonego chevroleta corvette w dół zbocza kanionu Coldwater, żując bezcukrową gumę i słuchając z samochodowego odtwarzacza taśmy z nagraniem książki z dziedziny historii wojskowości. Było chwilę po dziewiątej. Słońce wlewało się do doliny San Fernando. Wsłuchiwał się w nagranie Armii o świcie, pierwszego tomu dziejów drugiej wojny światowej pióra Ricka Atkinsona. Kiedy ten się skończy, planował kupić i przesłuchać również drugi tom. Jak każdy wojownik, pragnął porządnej wojny.

Gdy dotarł do Ventura Boulevard, nagranie się skończyło. W aucie słychać teraz było jedynie klimatyzację i szum ruchu ulicznego. Gertz pozwolił sobie zatopić się w rozmyślaniach. Być może Hit Paradę potrzebne było motto. Każda skuteczna organizacja, wliczając w to formacje tajne, miała jakieś motto. „Niewidzialni: Dopinamy swego”... albo: „Służba cienia: Nowe oblicze wywiadu” Zastanawiał się nad tym, rozważając jednocześnie, czy by nie zamówić też sporządzenia tajnego logo, na którym widniałoby coś niepokojącego, jak na przykład półksiężyc czy piorun, bez żadnego napisu, bez żadnego objaśnienia.

Oblicze Gertza wydawało się nad wyraz kanciaste - podniesione kości policzkowe, wydatny podbródek, przenikliwe oczy. Kilka lat temu zdecydował się zapuścić kozią bródkę, aby złagodzić nieco wizerunek i nie przypominać już członka jednostki rangersów. Miał krótkie, kasztanowe włosy, które raz w miesiącu przycinał u stylisty z Beverly Hills. Od kilku lat nie wyzywał już kolegów z pracy na pojedynki w liczbie pompek zrobionych na podłodze biura, ale to przede wszystkim dlatego, iż jeden ze zwierzchników dał mu do zrozumienia, że kobiety czuły się urażone i mogło to zaszkodzić jego karierze.

Kiedy przed piętnastu laty Gertz wstąpił w szeregi Agencji, nosił przezwisko „Killer” Ludzie, którzy w tym okresie zawierali z nim znajomość, nie byli pewni, czy zawdzięczał je istotnie faktowi zabicia kogoś, czy też swojej wielkiej ambicji. Po przeprowadzce do Los Angeles starał się stonować swój wizerunek twardego, a nawet udał się po poradę do konsultanta do spraw odzieży u krawca na Rodeo Drive. Było to coś typowego dla Gertza. Każdą kwestię badał możliwie dogłębnie. Wszystko starał się załatwić tak, jak należało.

Dziś Gertz miał na sobie blezer w królewskim odcieniu błękitu, tak jasny, że przywoływał na myśl rejsy po Karaibach,

a do tego czarną koszulę z otwartym kołnierzykiem i parę przewiewnych, ciemnoszarych spodni. Wyglądał jak tysiące mieszkańców zachodniego Los Angeles, którzy utrzymywali się dzięki jakimś powiązaniom z hollywoodzkim biznesem. Kiedy wręczał ludziom wizytówkę z napisem „The Hit Paradę: Rozrywka to nasza branża” niemal można było w to uwierzyć.

Dotarłszy do Ventura Boulevard, Gertz skręcił w prawo przy supermarkecie Ralphs. Paru klientów człapało akurat do wejścia. Wyglądali, jakby przez całą noc nie zmrúzyli oka. Włożył kolejną kasetę do odtwarzacza. Alianci zmierzali w stronę tunezyjskiej przełęczy Kasserine.

•kirk

Wieści z Karaczi zastały Sophie Marx w biurze. Wcześniej była w domu, starając się trochę odpocząć, skąd co kilka godzin wydzwaniała do centrum operacyjnego, aby dowiedzieć się o postępach Howarda Egana. Po otrzymaniu wiadomości o przyspieszeniu spotkania o dzień, oficer dyżurny zadzwonił i jej o tym powiedział. Od tamtej chwili nie mogła już zasnąć, więc pojechała z powrotem do pracy. Nie było to złe przeczucie w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale zdawała sobie sprawę, jak bardzo Egan zamartwiał się tym wyjazdem. Powiedziała mu, że wszystko będzie dobrze, niemniej w środku nocy, w swoim łóżku w Sherman Oaks, przypomniała sobie, jak to jest być samemu w mieście, którego mieszkańcy bez wątpienia zabiliby cię, gdyby tylko odkryli, kim naprawdę jesteś. Wtedy też postanowiła wrócić do biura.

- Dzwońcie do Gertza - poleciała, gdy stało się jasne, że coś jest nie tak. Oficer dyżurny wybrał numer jego komórki, lecz w tym momencie jej właściciel był akurat u dentysty. Nie była to niczyja wina, ale tego dnia wszystko zdawało się komplikować.

Marx czekała na szefa wraz z pozostałymi starszymi funkcjonariuszami, którzy zebrali się pod jego gabinetem na piątym piętrze. Była najmłodszym członkiem tej grupy. Zaledwie tydzień wcześniej Gertz poprosił ją o zajęcie się ochroną kontrwywiadowczą ich małej organizacji. Nawet w dobre dni starszy personel nie stanowił gadadiwego grona. Zbyt wiele lat spędzili na trzymaniu języka za zębami. Szef działu wsparcia, niejaki Tommy Arden,

spytał o jakiegokolwiek wieści od „Gwiazdy Śmierci” mając tym samym na myśli Centralę. Kilka osób jednocześnie udzieliło mu negatywnej odpowiedzi.

???

Gertz wyłonił się z kabiny ze swym standardowym uśmiechem na ustach, ten jednak w jednej chwili zniknął. Oficer dyżurny już na niego czekał, nerwowo przestępując z nogi na nogę pod drzwiami windy. Nazywał się Julian i miał w uchu kolczyk. Nieco dalej czaił się ponury niczym grabarz szef działu operacyjnego Steve Rossetti, jak również Arden, szef działu wsparcia. Marx nie należała do wewnętrznego kręgu, stała więc nieco z boku. To ona jednak kontaktowała się z Eganem, więc w pewnym sensie był to jej problem.

- Co się dzieje? - spytał Gertz. - Wyglądacie jak ekipa pilnująca samobójcy.

- Chodzi o Howarda Egana - zaczął oficer dyżurny.

- Co z nim? Jest w Karaczi.

- Zniknął. Niemal godzinę temu powinien stawić się na spotkaniu, tymczasem nie jesteśmy w stanie go zlokalizować.

- O czym wy gadacie? Spotkanie jest jutro. Zgadza się, Steve?

Zwrócił się w stronę szefa działu operacji, który był od niego starszy o jakieś dziesięć lat. Jego ciało było tak bardzo ociężałe, jak ciało Gertza wyćwiczone. W sekcji operacyjnej pracował od trzech miesięcy. Krążyła plotka, jakoby Langley przysłało go, by miał oko na Gertza.

- Jak widać zaszła zmiana w planach. Sophie przejrzała już zapisy komunikacji.

Zwrócił się w stronę Marx.

Ta zrobiła krok do przodu, w stronę szefa. Starła się nie myśleć, że to wszystko to jej wina.

- Kontakt chciał przesunąć termin spotkania - oznajmiła. - Egan przesłał nam wiadomość jakieś sześć godzin temu, informując o przyspieszeniu akcji. Miał dotrzeć na miejsce o dziewiątej wieczorem czasu lokalnego, czyli o naszej dziewiątej rano. Tyle, że się nie stawił. - Sophie zerknęła na zegarek. - Jest już niemal godzinę spóźniony.

- Zadzwońcie na jego blackberry. Powiedzcie mu, że się spóźnia. Spytajcie, gdzie do cholery jest.

- Już dzwoniliśmy. Nie odpowiada.

- Próbowaliście wysłać wiadomość?

- Bez odpowiedzi.

Gertz gładził się po bródce, zastanawiając się, czy nie chodzi po prostu o czyjąś fuszerkę.

- A co z tym gościem, z którym miał się zobaczyć? Z tym całym przywódcą plemiennym?

- Nasz kontakt czeka na Egana w miejscu, które uzgodnili. Tylko że Egan się nie pojawia.

- Dzwoniliście do agenta dostępowego, do tego Pakistańczyka, który to wszystko nagrał?

- Tak jest - odparła Marx. - Jego kryptonim to AC/PO-INTER, w rzeczywistości nazywa się Hamid Akbar. Próbowaliśmy. Również nie odbiera telefonu.

Gertz potrząsnął głową. A dzień zaczął się przecież tak obiecująco. Złe wieści jakoś do niego nie pasowały.

- Może Egan się czegoś przestraszył - zauważył. - Ostatnim razem, kiedy był w Karaczi, spanikował i opuścił dwa spotkania. Być może to samo stało się i teraz. Siedzi gdzieś i świruje, popijając drinka i wypatrując podejrzanych cieni.

- To możliwe, ale nie wydaje nam się, żeby tak było - skomentował szef operacji Rossetti. - Wciąż śledzimy sygnał jego blackberry. Od ponad dwóch godzin się przemieszcza. Tyle tylko, że nie odbiera.

Gertz ponownie potrząsnął głową. W pomieszczeniu zapadła cisza. Szef gapił się na Rossettiego.

- Chryste. Źle to wygląda.

- Takie niestety odnoszę wrażenie.

Gertz wbił wzrok w podłogę, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Jego twarz pobladła. Zupełnie, jakby wręcz odczuwał zażenowanie faktem, że coś poszło nie tak. Jego ludzie nie powinni popełniać błędów. Mieli wszak wielkie serca. Zapanowała martwa cisza, którą w końcu przełamał Rossetti.

- Co stanowiło przykrywkę Egana? - zapytał szef operacji. I nie zrobił tego tylko po to, by cokolwiek powiedzieć. Był nowy w organizacji i nie znał jeszcze większości jej struktur. Gertz nadal wpatrywał się w posadzkę, nieco intensywniej drapiąc się po bródce. Teraz z kolei odezwała się Marx.

- Pracował dla londyńskiego funduszu hedgingowego Alphabet Capital. Jedyną wtajemniczoną osobą jest tam ich dyrektor generalny.

- Perkins - rzucił Gertz. - Nazywa się Thomas Perkins.

- To niezbyt bezpieczne rozwiązanie - zauważył Rossetti. - Dlaczego Egan nie ma jakiegś własnej odskoczni?

Gertz zmarszczył czoło. Nie lubił być przepytywany przez swojego szefa operacji.

- Dostaliśmy go w spadku, Steve. Możesz za to winić swoich kumpli z Centrali. Gdzie jest Tommy? On ci to może wytłumaczyć.

Tommy Arden, który jako szef działu wsparcia odpowiadał za organizację osłony, wyrwał się do przodu.

- Stanowił pozostałość po dawnej grupie „nielegalów” - wyjaśnił Arden. - dostaliśmy go z Globalnego Centrum Rozmieszczenia. Pracował dla innej firmy inwestycyjnej w Londynie. Znaleźliśmy mu nową osłonę. Jeszcze godzinę temu zdawało się, że wszystko działa jak powinno.

- Kto wie o jego wyjeździe? - zapytał Gertz. - Ma żonę i dzieci?

- Nie, to typowy nielegal-samotnik.

- To i lepiej, mniej ludzi będzie trzeba zawiadamiać. Gertz zgrywał twarżdziela, chociaż nie powinien. Nie dzisiaj. Jeśli jest się przywódcą, należy potrafić stanąć na czele.

- No dobra, kiedy Londyn się obudzi, zadzwonię do Perkinsa i powiem, że jego człowiek zaginął. Będzie musiał wydać jakieś oświadczenie. Poza tym gęby na kłódkę. Całkowita cisza w eterze. Zrozumiano?

Sophie Marx kiwnęła potakująco, podobnie jak wszyscy inni. Obserwowała rozchodzącą się grupę. Nie była osobą religijną - jej rodzice, wyznawcy kontrkultury, jeżeli w ogóle wspominali o religii, tłumaczyli jej, że to kłamstwa i bzdury. Teraz jednak, myśląc o Howardzie Eganie, który zaginął w przerażającym mieście po drugiej stronie globu, prosiła Boga, by miał nad nim pieczę.

Przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę z Eganem. Żałowała, że gdy powiedział, że jest zaniepokojony z powodu czekającej go misji, kazała mu się ogarnąć.

Rozdział 6

STUDIO CITY, KALIFORNIA

Jeffrey Gertz wpadł niczym pocisk do swego gabinetu, a Steve Rossetti podążył tuż za nim. Pozostali zrozumieli, że nie są już potrzebni. W pomieszczeniu znajdowało się okno, lecz było widać z niego jedynie Ventura Boulevard. Na ścianach wisiały trofea, jakie Gertz zebrał podczas wykonywania rozmaitych zadań: wspaniałą jedwabną tkaninę, którą książę koronny Maroka przesłał mu w dowód wdzięczności po objęciu tronu; groteskowy portret Saddama Husajna w stroju plemiennego szejka, jaki Gertz wywiózł z Bagdadu; miniaturową markizę z neonowym wywijasem o treści „The Hit Parade”, którą zamówił w zajmującej się szyldami firmie z Zachodniego Hollywood, gdy okazało się, że jego szalony eksperyment zyskał aprobatę; zaś za biurkiem wisiał obraz przedstawiający wieże WTC wraz z długą sentencją po chińsku, której znaczeniem Gertz dzielił się ze swymi najbliższymi znajomymi. Tak wyglądało jego królestwo, ale za chwilę miało ono zostać wywrócone do góry nogami.

Gertz zasiadł w swym obszernym fotelu z czarnej skóry, po czym zerwał się i wyrzwał przez okno na samochody zmierzające Ventura Boulevard na północ, w stronę wytwórni filmowych. Po części jego problem polegał na tym, że nie ufał większości swoich współpracowników. Uważał ich za rozmiękczone i ogłupione przez kulturę wywiadu, która tolerowała słabość i kiepskie wyniki. Byli małostkowi. Ich życie ograniczało się do świata materialnego. Gertz nie przyznałby tego na głos, lecz postrzegał Howarda Egana jako człowieka słabego, którego silni ludzie musieli teraz wyciągnąć z kłopotów.

- Niezłe bagno - wymamrotał Gertz. - Co tam mamy w okolicy?

- W Karaczi od nas nikogo - odparł Rossetti. - Jest co prawda konsulat i podejrzewam, że Centrala ma tam ciągle własną rezydenturę.

Rossetti mówił wolno i precyzyjnie. Był człowiekiem Firmy, który działał bez pośpiechu i bał się, że jeżeli coś pójdzie nie tak, sam zostanie obarczony winą. Lecz Gertz oczekiwał działania.

- Możemy tam kogoś wysłać - i to szybko? Nie mamy czasu do stracenia.

- Jasne, ale tak szybka akcja nie byłaby bezpieczna. Łatwiej jest się posłużyć facetem z konsulatu.

- Jasna cholera - rzucił Gertz. Nienawidził sytuacji, które zmuszały go do polegania w jakiegokolwiek kwestii na Centrali. Tylko utwierdzały one starą gwardię w przeświadczeniu, że nowa formacja radziła sobie tylko wtedy, gdy stawka nie była zbyt wysoka. Później niezbędne okazywało się jednak wsparcie ze strony dawnych struktur.

- Za chwilę zadzwonię do Langley - oświadczył. - Pozwól mi się zastanowić. Gdzie jest najbliższa ekipa ratunkowa?

- W Bagram - odparł Rossetti. - Są gotowi do akcji dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- No, to odezwij się do nich. Powiedz, że być może będziemy ich natychmiast potrzebować, ale nie mów na razie o co chodzi.

- Wybacz, Jeff, ale na dzwonicie do Bagram potrzebujemy zgody z Centrali. To są jednostki armii. Nie jesteśmy upoważnieni, by ich o coś prosić.

- Wydawało mi się, że ten cyrk z proszeniem o zgodę miał się już skończyć.

- Centrala jest innego zdania. Chcesz, żebym zadzwonił do CTC i spytał, co szykują? -

Rossetti pełnił jednocześnie funkcję łącznika z Centrum Antyterrorystycznym CTC, gdzie swego czasu pracował też Gertz.

- Spytaj ich, co się dzieje na Terytoriach Plemiennych. Z tego co wiem, ten sam bajzel co zwykle. Powiedz im, że jeżeli mają dziś w powietrzu jakieś predatory, to może w drodze wyjątku mogliby się powstrzymać z rozwalaniem ludzi do momentu, aż wydostaniemy stamtąd naszego człowieka.

- Tak jest. Ale i tak nie posłuchają. My robimy swoje, oni swoje.

- W rzeczy samej. Co po zsumowaniu daje wynik zerowy. - Gertz machnął ręką, dając Rossettiemu do zrozumienia, by wyszedł.

- Muszę wykonać parę telefonów. Daj mi znać, kiedy odezwie się Egan. Mówię ci, facet się wypalił. Za długo siedzi w tej robocie. Pojawi się, a wtedy ja wywalę go na zbity pysk. ???

Gertz zamknął drzwi gabinetu. Rozsiadł się na chwilę w swym wielkim czarnym fotelu, starając się wszystko przemyśleć, nie mógł jednak się skupić. Sprawy za bardzo się pogmatwały. Nie miał wyjścia, musiał poprosić o pomoc.

Podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu i zadzwonił do zastępcy wicedyrektora w Langley, Cyrila Hoffmana, będącego oficjalnym kontaktem Hit Parady w Centrali.

Gertz nie ufał Hoffmanowi. Facet był dziwny - lubił nosić krawaty typu ascot, kapelusze panama i kamizelki ze złotymi łańcuchami. Wywodził się ze słynnej w CIA rodziny, a jego wujowie i kuzyni od pokoleń zasilali szeregi Agencji. Podob-

nie jak większość jego niesławnych krewnych, zaczynał w departamencie bliskowschodnim, lecz jakieś dziesięć lat temu porzucił rodzinne gniazdo na rzecz departamentu wsparcia, gdzie zajmował się organizowaniem transportu, zakwaterowania i całej reszty rutynowych detali logistycznych, które pozwalały Agencji funkcjonować. W tej roli udało mu się skomasować niezwykle kapitał władzy. Prawie każdy w CIA był mu winny jakąś przysługę, podobnie zresztą jak ludzie w wielu innych odgałęzieniach administracji rządowej.

- Złe wieści? - spytał Hoffman, gdy tylko znalazł się na linii. Brzmiał jakby coś go ucieszyło.

- Skąd wiedziałeś? - odparł Gertz.

- Rossetti powiedział mi, że powinienem spodziewać się telefonu. A tak szczerze, Jeff, z jakiego innego powodu mógłbyś dzwonić?

- Mamy gościa w Karaczi, który ulotnił się bez pozwolenia. Godzinę temu nie stawił się na spotkanie. Jako że tamte okolice to istny Dzik Zachód, trochę się martwię.

- Powiedz mi, czego potrzebujesz, przyjacielu - powiedział Hoffman. Mówił całkowicie płynnie.

- Rossetti twierdzi, że masz jawnego agenta w konsulacie w Karaczi. Potrzebuję, by natychmiast powiadomił lokalną policję o zaginięciu i możliwych problemach obywatela Stanów Zjednoczonych. W żadnym wypadku nie powinien wspominać o jakichkolwiek powiązaniach tego człowieka z naszym rządem. Kiedy tylko się rozłączę, prześlę ci jego fikcyjne nazwisko oraz numer paszportu. Operował jako biznesmen pracujący dla londyńskiego funduszu hedgingowego Alphabet Capital. Często jeździł do Pakistanu. Hoffman mlasnął językiem niczym nauczyciel, który pragnie poprawić ucznia.

- Skoro nie chcesz mieszać do tego Agencji, miałeś chyba na myśli skontaktowanie z policją prowincji Sindh oficera konsularnego, a nie szefa rezydentury.

- Jasne. Tak jakby Pakistańcom robiło to różnicę.

- Ejże, oni wiedzą o nas więcej, niż byś mógł to sobie wyobrazić - odparł Hoffman. - Możemy podać policji w Karaczi jakieś namiary?

- Mamy współrzędne GPS z jego blackberry. Podejrzewam jednak, że urządzenie i jego właściciel zostali już rozdzieleni.

- Szkoda. Jest coś jeszcze?

- Trzeba znaleźć kierowcę - dodał Gertz. - Od tego Pakistańczycy powinny w ogóle zacząć. Trzeba znaleźć taksówkarza, który wiozł mojego człowieka na spotkanie.

- A jak poważne konsekwencje może mieć to wszystko?

- Jeśli ktoś go pojmał? Pozwolę sobie przypuścić, że cholernie poważne. Jeśli już nie żyje, nieco mniejsze.

- Możemy go przejąć?

- Jasne, jeśli uda nam się go zlokalizować. I tutaj druga prośba, z jaką muszę się do ciebie zwrócić. Możesz przerzucić na miejsce - i to szybko - ekipę ratunkową z Bagram?

- Tak, ale Pakistańczycy zaczną się pieklić.

- Chyba że im o niczym nie powiesz. Przerzucić na miejsce jakiś wolny zespół jednej z formacji. Rozlokuj ich w hotelu w Karaczi. Podeslij im trochę broni i resztę majdanu przez konsulat. Niech idą za każdym tropem, jaki uda nam się namierzyć. Jeśli nie będziemy ich potrzebować, po prostu odprawisz ich z powrotem do Afganistanu i nikt się nie połapie. Hoffman przerwał na chwilę. W słuchawce dało się słyszeć wysokie buczenie, tak jakby Hoffman coś nucił.

- A co z ISI? - odezwał się ponownie. - Powinniśmy ich wtajemniczyć? Wykryją, że coś się dzieje.

- Nie. Niech sobie zgadują. Z tego, co jak na razie wiemy, to oni są za to odpowiedzialni - oni albo jacyś ich kumple. Sądzę, że nie powinniśmy im mówić ani słowa.

- Przykro mi to mówić, ale panowie z ISI nie są idiotami. Ponownie nastąpiła pauza. Rozległo się nucenie, a następnie zapadła cisza.

- Powinniśmy o czymkolwiek donieść komitetom nadzorczym? - zadumał się Hoffman. - Dyrektor z pewnością mnie o to zapyta.

- Broń Boże. Nic im nie mów. Tu chodzi po prostu o zaginionego obywatela Stanów Zjednoczonych. Koniec, kropka. Świat się o niczym więcej nie dowie. Jego tożsamość pozostaje tajna. Tak mówią zasady tej gry, prawda?

- Wybacz mi Jeff, ale wygląda na to, że ktbś tę tożsamość zdążył już poznać. Jeżeli Egana porwali, znaczy to, że jest już spalony. Powinieneś raczej zacząć zastanawiać się nad tym, jak do tego doszło. I to zanim przydarzy wam się kolejny, że tak powiem, wypadek.

- A co zrobisz ty? - spytał Gertz.

- Nie... - Hoffman przerwał i nabrał powietrza - mam... - kolejny raz urwał, by wydmuchać nos - pojęcia.

Następnie odłożył słuchawkę.

???

Gertz kazał Tommy'emu Ardenowi wysłać szyfrowaną wiadomość do każdego oficera, każdej placówki i wszystkich, którzy stanowili część sieci Hit Parade - „Meldować o wszystkim, co może być podejrzane. Unikać zbędnych podróży. Jeśli jesteś tam, gdzie być nie powinieneś, to się stamtąd zabieraj”.

Lista adresatów był spora, zawierała ponad setkę nazwisk. W depeszy nie informowano, co takiego się stało, toteż napędziła agentom terenowym stracha. Lecz Gertz był tego typu koordynatorem, sprawiał, że ludzie nigdy nie mieli pewności co do jego działań, nawet jeśli bezpośrednio o nich informował. Przyjmowali, że w razie zaistnienia problemów szef w ten czy inny sposób sobie z nimi poradzi.

Gertz wierzył w kłamstwo, co stanowiło jedną z wyjątkowych zdolności, które predestynowały go do wykonywanej pracy. Tak właśnie brzmiało przesłanie chińskiej sentencji wiszącej w ramce za jego biurkiem, poniżej dużego obrazu bliźniaczych wież z Nowego Jorku. Był to cytat z dzieła Sun Tzu, nad którym Gertz ślęczał po atakach z 11 września. Oprawionemu passusowi nie towarzyszyło jego tłumaczenie, lecz Gertz znał je na pamięć: „Wszelka walka opiera się na dezinformacji. Dlatego też, kiedy jesteśmy gotowi do ataku, powinniśmy sprawiać wrażenie nieprzygotowanych. Kiedy przegrupowujemy nasze siły, powinniśmy sprawiać wrażenie bezruchu. Kiedy jesteśmy blisko, musimy sprawić, by przeciwnik uwierzył, że jesteśmy daleko. Gdy zaś jesteśmy daleko, musimy go przekonać, że jesteśmy blisko”.

W ciągu minionego roku Gertz sporządził około tuzina kopii chińskiej sentencji i rozdał je zaufanym współpracownikom. Była to jego wersja „monet dowódcy” jakie generałowie zwykli wręczać członkom swoich oddziałów. Pragnął, by jego ludzie - jego nowi wojownicy - zrozumieli, że kłamstwo stanowi absolutnie niezbędny element ich działalności; że nie jest to niefortunna konsekwencja ich pracy, a jej istota.

???

Tego ranka Gertz podjął też jeszcze jedną decyzję, której wpływu na przyszłe wydarzenia nie mógł wtedy przewidzieć.

Wiedział, że musi zacząć szykować się na najgorsze. Hoffman oddał strzał ostrzegawczy w imieniu działających z ukrycia baronów, którzy zarządzali tym, co pozostało z Centrali. Jego organizacja będzie musiała odpowiedzieć na parę pytań, nawet jeżeli tylko niewielu ludzi miało wystarczającą wiedzę, by móc je zadać. Dlaczego Egan został pojmany? W jaki sposób odkryto jego tożsamość? Co jeszcze w związku z tym może się posypać?

By odpowiedzieć na te pytania, Gertz potrzebował czyjejś pomocy, ale musiał to być ktoś godny zaufania. Tymczasem Gertz nie ufał właściwie nikomu spoza Hit Parade, a i wewnątrz organizacji osób takich było niewiele. Wszyscy jego główni zastępcy byli potencjalnymi rywalami, którzy chwilowo okazywali mu lojalność, lecz w każdym momencie mogli zmienić strony. Rossetti, szef działu operacyjnego, był człowiekiem z Centrali. Główny prawnik

formacji przejmował się przede wszystkim opinią generalnego inspektora w Langley. Szef działu wsparcia Tommy Arden był lojalny, lecz usposobieniem przypominał raczej mysz. Przeleciał wzrokiem po liście kierowników sekcji i zatrzymał się, gdy dotarł do nazwiska Sophie Marx. Stanowisko szefa kontrwywiadu zajmowała od bardzo niedawna, była jednak osobą inteligentną i agresywną, a do tego znała już sprawę Howarda Egana. W umyśle Gertza utkwiła też inna rzecz: kilka miesięcy temu Marx wyświadczyła mu pewną przysługę. Przysłany z Centrali audytor odciągnął ją na bok i zasypał pytaniami na temat prowadzonych przez Hit Paradę operacji. Marx zwiodła go na manowce, a później przyszła do Gertza i o wszystkim opowiedziała.

Gertz spytał ją, dlaczego donosi na przedstawiciela Centrali.

- Zadawał za dużo pytań - odparła Marx. - A przy tym zachowywał się jak ostatni dupek. Odpowiedź przypadła Gertzowi do gustu. Znał opowieści o akcjach Marx w Bejrucie, a także o tym, jak w Addis Abebie wymknęła się z zasadzki. Sprzyjało jej szczęście, a to zawsze coś. Poza tym nie skończyła jeszcze czterdziestki, więc była wystarczająco młoda, by podejmować ryzyko. Na niekorzyść przemawiały jej upór i niezależność. Gertz uznał jednak, że zdoła sobie z nią poradzić.

Rozdział 7

STUDIO CITY. KALIFORNIA

Sophie Marx czytała akta jakiejś sprawy, gdy tuż przed południem do jej gabinetu zajrzał Teffrey Gertz. Jej okulary opierały się o czubek nosa, zaś jej czarne włosy zebrane były w luźny kucyk. Na krótko i z niepewnością podniosła wzrok na przybysza, po czym wróciła do lektury dokumentów. Gertz nigdy jeszcze nie odwiedził jej biura. Panował w nim nieporządek. Plakat z filmu Thelma i Louise wisiał przekrzywiony. Na ścianie widniała oprawiona w ramki fotografia, przedstawiająca dwoje ludzi w sandałach i z wełnistymi włosami, którzy obejmują ją na uroczystości zakończenia nauki na uniwersytecie w Princeton. To jej ekscentryczni, pochodzący z wysp rodzice. Na biurku leżała otwarta torebka z chrupkami SunChips.

Marx uznała, że Gertz szedł akurat dokądś indziej, tak jednak nie było.

- Przeszkadzam w czymś? - zapytał.

- Tak, oczywiście. W końcu na tym polega pańska praca, czyż nie?

Zaśmiał się i zamknął za sobą drzwi.

Marx wstała, uściśnęła dłoń szefa i z powrotem usiadła.

- Przykro mi z powodu Howarda Egana - zaczęła, odkładając teczkę z dokumentami na torebkę chipsów. - To ja go prowadziłam. I powinnam bardziej na niego uważać. Są jakieś nowe wiadomości?

- Pakistańczycy właśnie znaleźli w śmietniku jego black-berry. Jeśli mu się poszczęściło, to już nie żyje.

Przesłoniła usta dłonią, zaś w głowie odczuła lekkie drżenie, jak gdyby właśnie trafił ją podmuch zimnego powietrza. Sama miała na koncie kilka misji w niebezpiecznych rejonach świata. Szybko odzyskała panowanie nad sobą.

- Jeśli tylko będę mogła pomóc, proszę dać mi znać

- powiedziała. - Mam wrażenie, że po części to ja zawałam sprawę.

- Właściwie to dlatego tutaj przyszedłem - odparł Gertz.

- Mam pewien problem, który za chwilę stanie się twoim problemem.

Jej oczy rozbłysły. Pragnęła uczestniczyć w grze, wiedziała jednak, że nie powinna sama się wrywać.

- Co ma pan na myśli?

- Chcę, żeby ktoś zbadał jak do tego doszło i to szybko. Inaczej sprawę przejmie Centrala.

Przyślą własny zespół kontrwywiadowczy własny zespół do oceny strat i własny zespół do

wytykania palcami winnych. A ja nie życzę sobie, by zniszczyli to, co my staraliśmy się tutaj zbudować.

Pochylał się ku niej błagalnie, a jednocześnie wywierał nacisk. Miał gładką twarz, kozią bródkę i wygłodniałe spojrzenie - wyglądał jakby potrzebował kielicha.

- I możesz swobodnie podróżować, racja? - Gertz ciągnął dalej. - To znaczy, nic cię tutaj nie trzyma.

Marx pojęła, że szef w zawoalowany sposób wypytuje o jej życie uczuciowe. Przed siedmioma laty na krótko wyszła za mąż za innego oficera prowadzącego, lecz podobnie jak w wypadku tylu innych małżeństw w ramach jednej służby okazało się, że romantycznym uczuciem darzyli swoją pracę, nie zaś drugą osobę. Ona zawsze była w Libanie lub Addis Abebie, on ciągle w Nikaragui. Zaś jako para zmierzali donikąd.

- Mogę podróżować - stwierdziła.

- A zatem zrobmy to. Bądź tym kimś. Rozwiąż tę sprawę. Marx zdjęła okulary do czytania i złożyła ręce na piersi.

Gertz czekał na odpowiedź, ona jednak jeszcze się zastanawiała.

- Czyli chce pan, bym pojawiła się tam pierwsza. I uprzątnęła ten burdel, nim Centrala zdoła narobić nam kłopotów. W ogólnym zarysie o to panu chodzi?

Gertz nie odpowiedział wprost.

- Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać - odparł. - I ty kimś takim jesteś. Co ty na to?

- Nie jestem pewna.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - szef zaczął podnosić głos. - Jeden z twoich kolegów właśnie zniknął na jakimś pakistańskim śmietniku, ja proszę cię o pomoc, a ty odmawiasz? Żarty sobie stroisz? Może to nie jest praca dla ciebie.

- Nie odmawiam. I proszę nie tym tonem. Pan się na mnie wydziera.

- Domagam się odpowiedzi.

- Chce pan, bym pomogła panu w zamieceniu brudów. Nie na tym polega moja praca.

Dopiero co powierzył mi pan kierowanie kontrwywiadem. Wyjaśnienie zniknięcia Howarda Egana to mój obowiązek. A nie przysługa, jaką wyświadczam szefowi. Choćbym nawet tego szefa lubiła i szanowała.

Uśmiechnął się. Marx usiłowała wywalczyć sobie własną przestrzeń. To nawet dobrze.

- Zaczniemy od nowa. Chcę, żebyś przeprowadziła poufne dochodzenie kontrwywiadowcze i ustaliła, co się stało

z Howardem Eganem. Otrzymasz dostęp do wszelkich dokumentów zarówno tutaj, jak i gdziekolwiek indziej. Możesz jechać dokąd tylko zechcesz. Chcę, byś załatwiła to jak należy. Ale musisz to zrobić jak najszybciej, bo inaczej będzie po nas. Wybacz, jeśli wcześniej wyszedłem na ostatniego drania. Taki już jestem. No to co powiesz, jak już tak grzecznie proszę?

- Zgadza się. Kiedy zaczynam?

- Już teraz. Przyjdź za kwadrans na górę, to przekażę ci, co jak na razie ustaliliśmy. Potem zapraszam cię na lunch.

- Proszę wybaczyć, ale na lunch przyjść nie mogę.

- Naprawdę? A to dlaczego?

- Bo zjem go u siebie przy biurku, wczytując się w akta, które mi pan przekaże.

???

Sophie Marx przeniosła się do niewielkiego pomieszczenia, które przygotowano dla niej obok gabinetu Gertza. Przepracowali cały dzień i następną noc, ciągle żywiąc nadzieję, że Egan da jakiś znak życia. Sophie zebrała na jego temat wszelkie dostępne informacje - opisy jego wyjazdów, sprawozdania ze spotkań z informatorami, dokumentację fikcyjnej tożsamości, listę agentów. Pojęła już ogólne zarysy obrazka przedstawiającego jego życie zawodowe. Teraz przyszedł czas na skupienie się na szczegółach.

Sekretarka Gertza, Pat Waters, która do Hit Paradę przeszła z Centrali, przewróciła tylko oczami, gdy zobaczyła, że Marx tymczasowo trafia do pierwszego szeregu. Wystarczająco dobrze znała drapieżne nawyki swojego szefa dotyczące kontaktów międzyludzkich, by nabrać podejrzeń co do Sophie. Marx nie zwracała uwagi na sekretarkę, dopóki ta nie odmówiła jej dostępu do akt osobowych Hamida Akbara.

- Nie ma pani do tego uprawnień - rzuciła szorstkim tonem.

Marx ponowiła prośbę, jak gdyby niczego nie usłyszała, otrzymawszy zaś taką samą odpowiedź, pomyślała o wezwaniu na pomoc Gertza. Ale sekretarka właśnie tego by się po niej spodziewała. Poprosiła więc Waters o przejście do jej małego gabinetu, niewiele tylko przestronniejszego od schowka na szczotki.

- Jestem tu z polecenia pana Gertza - oświadczyła. - Nie mam zbyt wiele czasu. Poproszę raz jeszcze, grzecznie, a jeśli to nie wystarczy, sprawa bardzo szybko przyjmie nieprzyjemny dla pani obrót.

Waters nie odpowiedziała, a tylko skłoniła głowę w geście posłuszeństwa. Marx umiała sobie w takich sytuacjach radzić: nie była krzykaczem, mimo to w większości wypadków dostawała to, czego chciała.

Oficer dyżurny Julian regularnie dostarczał raporty z centrum operacyjnego. Nadeszła depesza, że pakistańska policja odnalazła blackberry Egana. Pakistańczycy niechętnie zgodzili się oddać urządzenie w celu przeprowadzenia ekspertyz kryminalistycznych. Kiedy dostarczono je do konsulatu, w środku brakowało karty SIM.

FBI dysponowało ekipą w Islamabadzie, toteż dwóch agentów przerzucono do Karaczi, aby w obecności miejscowego przedstawiciela NSA rozebrać blackberry na części. Udało im się potwierdzić to, co wszyscy już przypuszczali: ostatnim znakiem życia ze strony Egana był e-mail do Hit Paradę zawierający współrzędne miejsca spotkania w Baldia Town. Potem zapadła cisza. Sygnał GPS wykazywał ruchy odpowiadające typowym manewrom służącym zgubieniu ogona aż do chwili tuż przed ósmą wieczorem, kiedy Egan zatrzymał się - bądź też został zatrzymany - w Raszida-badzie, dzielnicy na północ od śródmieścia, po drodze do Baldia Town. Tam sygnał GPS zatrzymał się na mniej więcej dwadzieścia minut, przesuając się o sto metrów na północ, a następnie o pięćdziesiąt na zachód.

Wyglądało na to, że nieszczęście wydarzyło się właśnie w Raszidabadzie. Potem sygnał GPS poprowadził gwałtownie na północ w stronę Ittehad Town, gdzie zamarł w miejscu około godziny dziewiątej. Miejscem tym okazał się śmietnik, w którym funkcjonariusze pakistańskiej policji odnaleźli telefon.

???

Najważniejszym priorytetem dla Gertza było odszukanie kierowcy. Egan prawdopodobnie udał się na spotkanie taksówką, po drodze zapewne kilkakrotnie się przesiadając.

Namierzenie taksówki nie wymagało jakiejś szczególnej inteligencji, a jedynie licznych sił policyjnych. Po wstępnej rozmowie z Hoffmanem Gertz zlecił Rossettiemu załatwienie tego za pośrednictwem Langley.

Centrala przesłała swemu człowiekowi w Karaczi fotografię Egana, aby mógł z nią przepytować miejscowych ta-ryfiarzy. Pakistańscy funkcjonariusze zaczęli już ich ściągać z miasta. Z chwilą otrzymania zdjęcia stało się to dla nich rutynowym zadaniem służbowym. Gliniarze szybko zidentyfikowali dwie z taksówek, którymi Egan posłużył się feralnej nocy. Kierowcy potwierdzili, że wieźli widocznego na fotografii mężczyznę. Trzeci z przepytowanych taksówkarzy zeznał, że widział, jak faranghi ze zdjęcia wsiada do czerwonej toyoty sedan. Sytuacja zapadła mu w pamięć, bowiem pasażer przez dłuższą chwilę siedział na tylnym siedzeniu, jakby namyślał się nad opuszczeniem pojazdu, więc taksówkarz miał nadzieję, że być może kurs przypadnie właśnie jemu. Jednak ostatecznie toyota odjechała.

Późnym popołudniem zadzwoniono z Centrali. O trzeciej nad ranem czasu z Karaczi pakistańska policja odnalazła czerwoną toyotę w Orangi, dzielnicy położonej na południe od Ittehad Town, gdzie zlokalizowano telefon agenta. Kierowca miał poderżnięte gardło. Funkcjonariusze przyjęli, że zabito go mniej więcej pięć godzin wcześniej, czyli wtedy, kiedy zaginął słuch o Eganie.

???

W Los Angeles była późna noc, w Londynie zaś wstawał już świt, gdy Gertz zadzwonił do Thomasa Perkinsa. Starał się złapać go w domu, jeszcze przed wyjściem do biura. Perkins był nominalnym zwierzchnikiem Howarda Egana w ramach Alphabet Capital. W chwili rozmowy Sophie była w gabinecie szefa, ten zaś gestem polecił jej podnieść wytłumioną dodatkową słuchawkę. Podczas wybierania numeru Gertz bezgłośnie wyartykułował słowo „cholera”. Istotnie, w tym momencie złe wieści przybierały postać realną i odrażającą niczym choroba zakaźna.

- Jestem pan Jones - zaczął Gertz. Głos podniósł mu się o oktawę; mówił teraz przez nos i z nieco wydumanym akcentem. Brzmiał tak odmiennie, że gdyby Marx nie stała teraz wpatrzona w niego, nie rozpoznałaby, że to on. Mrugnięciem dał jej do zrozumienia, że jest świadom swojego talentu improwizacyjnego, po czym kontynuował rozmowę.

- Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych. Przepraszam, że niepokoję pana w domu o tak wczesnej porze, mam jednak złe wieści dotyczące jednego z pańskich pracowników.

- Skąd pan dzwoni? - w jego głosie słychać było, że dopiero się obudził.

_ W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych.

_ Aj- - Nastąpiła przerwa. - Chodzi o Howarda Egana, prawda? - Perkins zdawał się to wiedzieć jeszcze zanim Gertz wypowiedział choćby słowo. Od ponad roku obawiał się że taki moment może nadejść. I oto nadszedł.

- Tak, proszę pana. Pan Egan zaginął. Ubiegłego wieczora spotkał się z klientem pańskiego funduszu w Karaczi, po czym zniknął. Powiem panu szczerze, że nas to niepokoi.

_ Kto mówi? - spytał Perkins. - Czy my się znamy? _ W głosie dyrektora funduszu hedgingowego dało się teraz słyszeć napięcie.

- Przepraszam, panie Perkins, nie mogę powiedzieć zbyt wiele. Jestem pan Jones. A wasz człowiek Egan zaginął.

- Kurwa! Wiedziałem, że coś takiego się stanie. Musicie się tym zająć.

- Ależ zajmujemy się. Robimy wszystko co w naszych siłach. Ale potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Nie. To wasz bałagan. I wy go uprzątniecie.

Głos Gertza zabrzmiał teraz pewniej. Poprzez modulację głosu umiał wpływać na rozmówców.

- To nie takie proste, panie Perkins. Bez pańskiej pomocy sprawy bardzo się komplikują, zwłaszcza dla pana.

Finansista w dalszym ciągu był wściekły, jednakże przejawiał już nieco większą gotowość do współpracy.

- I co ja mam zrobić? Co ja powiem ludziom?

- Musi pan wydać oświadczenie. Do pańskich pracowników i wszystkich zainteresowanych. W tej właśnie sprawie dzwonię. Musi pan wysłać oświadczenie do brytyjskiej policji oraz do agencji prasowych i poinformować, że jeden z pańskich ludzi zaginął w Pakistanie podczas wyjazdu służbowego dla pańskiej firmy. Powinien pan podzielić się nadzieją, człowiek ten jedynie się zgubił, zarazem jednak oznajmiając, że będzie pan wdzięczny za wszelkie informacje na ten temat. Musi pan to zrobić jeszcze tego ranka.

- Dobrze, wydam oświadczenie. Niech no tylko wezmę długopis. Co takiego mam oświadczyć?

Dyrektor funduszu hedgingowego nadal mówił z amerykańskim akcentem, pomimo że w Londynie mieszkał już niemal dekadę. Starał się brzmieć na możliwie spokojnego.

- Ma pan oświadczyć to, co właśnie panu powiedziałem. Howard Egan zaginął wczorajszej nocy podczas wyjazdu w interesach, w ramach którego miał się spotkać z inwestorami pańskiego funduszu. Jest pan tym bardzo zaniepokojony. Jeśli ktoś coś wie, powinien skontaktować się z pakistańską policją bądź amerykańskim konsulem w Karaczi.

- Czy media podchwycą temat? Nie chcę, by kręciło mi się tu stado dziennikarzy. Obiecano mi, że ten... temat nigdy nie nabierze rozgłosu.

- I nie nabierze. Nikt z mediów nie zainteresuje się jego zniknięciem. Chyba że znajdzie się ciało.

- Ciało? To znaczy, że ten człowiek nie żyje?

- To możliwe.

- Mój Boże. Co za koszmar. Biedny Howard.

- Przykro mi. Pozwoli mi pan coś zasugerować. Może jeszcze tego ranka, dosłownie za chwilę, podeślę kogoś do pańskiego domu, aby pomógł panu w zredagowaniu oświadczenia? Czy to by panu pomogło?

- Tak, bez dwóch zdań.

Dyrektor funduszu hedgingowego intensywnie myślał. Analizował możliwe ryzyko, a wynik czynionych kalkulacji bynajmniej mu się nie podobał.

- Kimkolwiek pan jest, mogę pana o coś spytać?

- Jasne - rzucił Gertz. - Wal pan.

- A co się stanie, jeżeli Howarda poddadzą, no cóż, torturom? I podczas przesłuchania ujawni, że, no, pracował dla rządu? Że jego posada w mojej spółce stanowiła tylko, wie pan, przykrywkę? Co się wtedy stanie? Bo to mogłoby zrujnować mi interes.

- Pan temu zaprzeczy. My temu zaprzeczymy. Stwierdzimy, że to wierutne bzdury.

Porażające oszczerstwo. Jeśli zajdzie taka potrzeba, rzecznik Departamentu Stanu oświadczy, że to propaganda mająca na celu zniszczenie niewinnego biznesmena. Tak właśnie zrobimy. Wszystkiemu się zaprzeczy. I nie ma tematu.

- Kimkolwiek jesteś, przykro mi to mówić, ale ludzie nie wierzą w słowa rządu Stanów Zjednoczonych.

- Cóż, to ich strata. Ale nic złego się panu nie stanie. Obiecuję. A pański kraj docenia to, co pan dla niego zrobił. Bardzo to docenia. I jak pan wie, umiemy naszą wdzięczność okazywać.

- Jeszcze więcej pomocy ze strony rządu. Akurat tego mi było trzeba. - W jego głosie dało się teraz wyczuć sarkazm.

- Nie wydaje mi się, by cokolwiek takiego miało się jednak stać, panie Perkins. Muszę to panu przyznać. Żadnych przesłuchań czy tortur raczej nie będzie.

- Czyżby? A to dlaczego?

- Ponieważ sądzę, że Howard już nie żyje. Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, aby uniknąć pojmania przez kogokolwiek. A nawet jeżeli go porwali, miał pewne sposoby, by - że tak powiem - uniknąć przesłuchania.

- Chce pan powiedzieć, że prędzej by się zabił?

Gertz nie odpowiedział. Chwilę zaczekał, po czym kontynuował swoją przemowę.

- Jeszcze tego ranka podeślę kogoś do pana domu, aby pomógł z napisaniem oświadczenia. Zgoda? Potem ktoś się z panem skontaktuje, jak już przejdziemy do bardziej skrupulatnego analizowania zaistniałej sytuacji.

- A co z systemem? Będzie działał jak dotychczas? Gertz rzucił okiem na Marx. Zwiesiła głowę i w coś się wczytywała.

- Przykro mi, nic nie wiem o żadnym „systemie” W tej kwestii nie mogę panu pomóc.

- Czy mam się skontaktować z Anthony Croninem? Był moim, wie pan, „regularnym” kontaktem.
- Nie. Proszę nie rozmawiać z nikim poza ludźmi, których sam do pana przyślę.
- Czy my się znamy? - Perkins spytał raz jeszcze. Gertz zignorował pytanie. Zaczynał się niecierpliwić. To, co miał do załatwienia z Perkinsem, już załatwił. Teraz chciał tylko zakończyć rozmowę.
- Kogo mi przyślecie? - kontynuował Perkins. - Bo, jeśli mam być szczerzy, ani myślę pakować się w to jeszcze bardziej. To już jest niezłe bagno. Nie chcę tu jakiegoś niezdarne go urzędasza z za biurka.
- Znajdę dla pana kogoś odpowiedniego - zapewnił Gertz. Spoglądał na Sophie Marx. - Mam tu kogoś wyrafinowanego i wrażliwego, kto doprowadzi wszystko to do porządku. Rozumiemy pańskie problemy. Pomożemy panu je rozwiązać. Obiecuję.
???

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Gertz zwrócił się w stronę Sophie.

- Jak mi poszło? - spytał. Dawał tym samym upust swojej próżności. Dopominał się o opinię.
- Zadowolająco - odparła. - Zna go pan?
- I tak, i nie.
- Jak mam to rozumieć?
- Nijak.

Gertz nie zamierzał udzielić odpowiedzi, więc Marx nie naciskała.

- Biedny pan Perkins - zauważyła. - Ma pełne prawo czuć się rozżalony. Nie powinniśmy byli używać prawdziwej spółki jako odskoczni dla kogoś takiego jak Egan, dla człowieka któremu groziło pojmienie. To było z naszej strony głupie. Jak do tego doszło? I co miał na myśli, mówiąc o „systemie”? O co tu w ogóle chodzi?

- Nie mam pojęcia - odparł głucho Gertz. - Zapewne mówił o sposobie, w jaki płacili Eganowi.

- Kim jest Anthony Cronin?

- Cronin to dawny operator nielegalnych. A co do finansowej przykrywki Egana, to masz rację. Ale zaczęło się to jeszcze przede mną. I przed tobą. Teraz najwyżej możemy być mądrzy po szkodzie. Perkinsowi nic nie będzie. Po prostu się wystraszył.

Była prawie północ, a Marx czekała jeszcze wiele godzin pracy. Lecz Gertz pod koniec rozmowy przez telefon powiedział coś, co teraz chciała doprecyzować.

- Czy sugerowałeś, że mam pojechać do Londynu? - spytała. - Dobrze słyszałam?

- Być może. - Mrugnął. - Jeśli tylko chcesz.

Na moment zmarszczyła brwi i przygryzła górną wargę. Wahala się, czy powinna mu coś wyznać.

- Chciałabym pojechać dokądkolwiek, zwłaszcza zaś do Londynu. Powinieneś jednak wiedzieć, że w Centrali figurowałam na liście osób, które miały zakaz odbywania lotów. Jestem spalona w Bejrucie i Addis Abebie, uznano, że nie można mi zaufać. Powinnam była powiedzieć ci to wcześniej.

- Nie obchodzi mnie to, co mówią w Centrali. Jakie jest twoje zdanie? Nadal ci coś grozi? Istnieje jakieś niebezpieczeństwo?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Słabym punktem było moje fikcyjne miejsce pracy. Dobrali się do mojego telefonu. Teraz mam już nowe dokumenty. Jestem pewna.

- Mnie to wystarczy. Moglibyśmy się jeszcze nieco pobawić z twoim paszportem. Ale nie pracujesz już dla CIA. Jesteś zwyczajną obywatelką. Więc chrzanić to, mam rację?

Wracając do swojej kanciapy, Marx uśmiechała się. Gertz był manipulatorem, ale jednocześnie umiał w pośpiechu załatwiać to, co trzeba.

Rozdział 8

STUDIO CITY. KALIFORNIA

Sophie Marx pracowała przez większość nocy, przesypiając jedynie parę godzin w damskiej szatni należącego do Hit Parade klubu fitness. Następnego dnia wczesnym rankiem wyszła na spacer. Jej pozbawione okien biuro przyprawiało o klaustrofobię, a czuła, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Co więcej, musiała się zastanowić. Wzięła już prysznic i umyła włosy, nadal jednak czuła się na wpół przytomna. Tak jakby wpatrywała się w zaparowane okno i nie była w stanie dojrzeć twarzy kogoś wewnątrz. Chciała porządnie wywiązać się z zadania zleconego jej przez Gertza, jednak potrzebny jej był punkt wyjścia.

Na zewnątrz, na Ventura Boulevard, panował już upał. W księgarni Mystic Eye pojawiło się paru porannych klientów, podobnie jak w sąsiadującym z nią salonie tatuażu. Sophie miała ochotę na śniadanie. Minęła kawiarnię Starbucks oraz restaurację McDonalds i trafiła na bar „U Hanka”. Zamówiła „specjał Hanka” - jajecznicę z kiełbasą, plackami ziemniaczanymi i grzankami. Kiedy była małą dziewczynką i mieszkali na Florydzie, ojciec przygotowywał jej takie śniadania, o ile tylko pozwalał mu na to kac.

Według ostatnich wieści, jakie do niej dotarły, jej rodzice mieszkali w Tortola, gdzie prowadzili restaurację. To oni nauczyli ją dochowywania tajemnicy - i być może była to jedyna pozytywna strona ich szalonego i spowitego w dymie marihuany stylu życia. Wraz z kolejnymi przeprowadzkami córka uczyła się zacierać po nich ślady, aż sztuka ukrywania się stała się jej drugą naturą. O dziwo, to CIA okazało się miejscem, gdzie nie musiała już niczego udawać. Już podczas pierwszej rozmowy o pracę opowiedziała w szczegółach o całym swym szalonym dzieciństwie. Czuła się bezpiecznie. Wstępując w szeregi Agencji, weszła do rodziny dziwaków, kłamców i manipulatorów, której jedyna obowiązująca zasada głosiła, że nie powinno się kłamać sobie nawzajem.

Podczas śniadania Marx myślała o Howardzie Eganie, starając się wyobrazić sobie co też mogło mu się przydarzyć podczas tych ostatnich godzin przed spotkaniem w północnym Karaczi. Zamówiła drugą filiżankę kawy i na odwrocie serwetki wyrysowała oś czasu. Egan przyjechał do Karaczi, zameldował się w hotelu, zadzwonił do informatora organizującego spotkanie, przeprowadził pierwszy zwiad dla sprawdzenia, czy nie jest śledzony, spotkał się z informatorem, przeprowadził drugi zwiad, a potem doszło do nieszczęścia. Istniało wiele punktów, w których coś mogło pójść nie tak, lecz tylko jedno miejsce, skąd można było zacząć śledztwo. Marx uregulowała rachunek i wróciła bulwarem w kierunku wschodnim ku dużemu, pudełkowatemu budynkowi, na którego fasadzie widniał napis THE HIT PARADE. Najpierw udała się do Steve'a Rossetiego, mając nadzieję usunąć z drogi ewentualną przeszkodę. Szef działu operacyjnego widział w niej intruza. Myślał, że śledztwo w sprawie zniknięcia Egana będzie mógł poprowadzić sam.

- Muszę porozmawiać z Hamidem Akbarem - oświadczyła.

- No to życzę szczęścia, mała. Akbar jest przerażony. Boi się, że będzie następny.

- Wypytałicie go?

- Próbowaliśmy. Zadzwoiłem, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Jak już mówiłem, ma pietra. Zapowiedział, że jeśli jeszcze raz spróbujemy się z nim skontaktować, wszystko wygada.

Marx przyglądała się szefowi operacji. Jego twarz była gładka i starannie ogolona. Pachniał Old Spiceem. Sprawiał wrażenie człowieka, który prędzej zrobi za mało, a porządnie, niż zbyt wiele, ryzykując przy tym popełnienie błędu.

- To jakiś absurd - stwierdziła. - Akbar pracuje dla nas. Za kogo on się uważa, żeby odmówić złożenia zeznań?

- Idź z tym do Gertza - odparł Rossetti, wzruszając tylko ramionami.

- A pójde - oznajmiła, zwracając się z powrotem w stronę swej klitki. - A Akbar jest w to zamieszany. Poczekaj, to się przekonasz.

Marx zadzwoniła do Biura Bezpieczeństwa i poprosiła o wynik badania wariografem Hamida Akbara. Nad jego rolą w całej układance głowiła się już drugi dzień, odkąd zaczęła wczytywać się w akta operacyjne. Pakistańczyk był ostatnią osobą, o której wiadomo, że widziała Howarda Egana żywego. Dlaczego przesunął porę spotkania ze swym wujem? Dlaczego zaproponował tak niebezpieczne miejsce? Gdzie się podziewał w godzinach bezpośrednio po zniknięciu Egana?

Wyciągnięcie zapisu badania z bazy danych zajęło go dziesięć dni. Kiedy cienka teczka wreszcie trafiła do rąk Marx, jej treścią tylko pogłębiła jej zaniepokojenie. Akbar nie był ba dany wykrywaczem kłamstw od czasu pierwotnego werbu ku w Stanach Zjednoczonych. Kiedy ponownie nawiąza z nim współpracę, Gertz zrezygnował z powtórzenia te. Według danych w teście uznano, że sprowadzenie na miejsce operatora wariografu byłoby zbyt trudne. W efekcie zaistniała sytuacja rodem z koszmarów każdego kontrwywiadowca - agent, którego pewności nie potwierdzono, pozostawał w pełnym kontakcie z głęboko zakonspirowanym oficerem służb. Howard Egan zaufał mu, a teraz przepadł bez wieści. Marx zapukała do drzwi Gertza. Tego ranka szef wyglądał niczym podstarzały grajek z chicagowskiego klubu muzycznego. Pod oczami pojawiły mu się ze zmęczenia cienie, zaś cera błyszcząca na co dzień opalenizną przybrała niezdrowy odcień wosku. Kaszmirowa marynarka wisiała na nim tak luźno, że wyglądała niemal jak sweterek typu kardigan.

- Nie podoba mi się ten Akbar - rzuciła.

- Ani mnie. Masz coś na niego?

Jako że chodziło o Gertza, Marx nie mogła mieć pewności, czy myślał tak od samego początku, czy też dopuścił taką możliwość dopiero teraz, gdy sama o tym wspomniała.

- Okazuje się, że przez ostatnie dziesięć lat nie przechodził testu na wykrywaczu kłamstw.

Dlaczego przy odnawianiu kontaktu odpuścił mu pan badanie?

- Ściągnięcie technika w teren byłoby zbyt skomplikowane. A poza tym musiałem dotrzeć do jego wuja. Ich rodzinę mocno mi polecano. Postanowiłem więc zaryzykować.

- Kto ich polecał? Gertz potrząsnął głową.

- Przykro mi, nie mogę powiedzieć. To zbyt drażliwa kwestia.

Skinęła. Miała świadomość, że pewnych sekretów się nie wyjawia. Na tym ta praca polegała.

- No dobrze, ale co do Akbara mam złe przeczucia. Sądzę, że mógł wystawić Egana.

- Możliwe. Ma jednak alibi.

- W takim razie musiałam je przeoczyć. Co to za alibi?

- Przyprowadził wuja. Facet stawiał się na miejsce spotkania, dokładnie tak jak ustalono. Jeżeli miałyby to być pułapka, to po co wuj by tam jechał? Tutaj twoja teoria kuleje.

- Może wuj nie został wtajemniczony. A może pojawił się właśnie po to, by zapewnić im wytłumaczenie, kiedy Howard zniknie. Nie jestem pewna, ale muszę wiedzieć o nim więcej.

- Na przykład co?

- Zaczniemy od tego, że Egan zadzwonił do Akbara jeszcze zanim poszedł się z nim zobaczyć. Jego blackberry zarejestrowało połączenie, toteż NSA powinna dysponować plikiem z nagraniem rozmowy. Muszę go dostać. Tylko mi nie mów, że nie mam odpowiednich upoważnień, bo zdążyłeś mi już obiecać, że dostanę wszystko o co tylko poproszę.

Dla podkreślenia swych słów skrzyżowała ramiona.

- Wywierasz na mnie nacisk - zauważył.

- Owszem, wywieram. Zdaje się, że po części na tym polega moja praca, prawda?

Gertz spojrział na nią z większą dozą szacunku. Lubił buntowników, o ile tylko grali z nim w jednej drużynie.

- Od jak dawna pracujesz dla Hit Parade? - spytał.

- Od prawie roku. Dokładnie rzecz biorąc, od dziesięciu miesięcy.

- A wiesz, dlaczego nazywamy się Hit Paradę?
- Nie. Zawsze mnie to intrygowało.
- Był kiedyś taki program w radiu i w telewizji, nazywał się Your Hit Paradę. Zaczęli go nadawać jeszcze w latach trzydziestych, utrzymywał się przez prawie czterdzieści lat. I puszczali tam tygodniową listę największych przebojów, którą rzekomo sporządzali w oparciu o „autentyczne notowania”. Gówno prawda. Sami wszystko zmyślali. Puszczali to, co chcieli. Z tego co wiem, dostawali kasę od wytwórni nagraniowych.
- I to się właśnie panu tak spodobało? - spytała Marx, unosząc ze zdziwienia brwi. - Że tak naprawdę był to jeden wielki szwindel?
- Tak, właśnie to. No, a poza tym przebojowa z nas ekipa. Marx pokiwała głową z niedowierzaniem, lecz Gertz przyjacielsko klepnął ją po ramieniu, tak jakby chciał powiedzieć „tylko żartowałem”
"kirir

Gertz załatwił dla Sophie to, czego potrzebowała. Zadzwoił do Cyrila Hoffmana, który skontaktował się z NSA, tamci zaś w swej agencji kryptograficznej zadzwonili do kogoś z departamentu Azji Południowej. Po godzinie poszukiwany plik audio znalazł się na dysku komputera Marx. Przesłuchała krótkie nagranie dobrych parę razy. Jej uwagę przykuło napięcie w głosie Pakistańczyka, pokastywanie, czynione przerwy oraz wyrażane przez niego ubolewanie, iż zaplanowany termin spotkania okazał się „niedogodny”

„Czy możemy dobić targu jeszcze dzisiaj?” - spytał Egan. Pakistańczyk, nim udzielił odpowiedzi, wykonał telefon. Dzwonił do wujka czy może do kogoś innego? Kiedy zaś odezwał się ponownie, słowa przerywał mu ten kaszel, którym najwyraźniej starał się zamaskować niepokój.

Jeden z uczących ją szpiegowskiego fachu instruktorów wpajał jej przed dekadą, że „prawdę zawsze zdradza zachowanie”. Tłumaczył, jak bez wariografu można poznać, że ktoś kłamie. Jak wyjaśniał, zawsze istnieją pewne wskazówki - zbędne słowa czy sformułowania towarzyszące prostemu „tak” lub „nie”, drżenie w nodze, podskakująca brew, węzeł w gardle, kaszel, pauza. Prawdę zawsze zdradza zachowanie.

Spojrzała na zdjęcie Akbara, które udało im się znaleźć w kartotece. Sprawiał wrażenie człowieka o miłej powierzchowności, zeuropeizowanego i nieszczerzego. Była pewna, że typ jest podejrzany. Facet wysłał Howarda Egana - neurotycznego „nielegała” w średnim wieku, który starał się po prostu dosłużyć do emerytury - prosto w zasadzkę. Zamierzała przycisnąć Akbara i wydusić z niego prawdę.

???

Marx ponownie udała się do Gertza. Drzwi jego gabinetu były zamknięte, a Pat Waters w narzucający się sposób nakazała jej zaczekać, aż szef będzie wolny. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, Marx wtargnęła do środka i przedstawiła swoją prośbę.

- Chcę pojechać przesłuchać Hamida Akbara, i to już. Zrobić mu badanie wariografem pod wpływem stresu. Przycisnąć go. Przesłuchałam przysłane przez NSA nagranie jego rozmowy z Eganem i mówię ci, Jeffrey, to ten gość stanowi źródło wszystkich naszych obecnych kłopotów.

- Nie możesz lecieć do Pakistanu. To zbyt niebezpieczne. Przykro mi. Nawet ty nie zdołasz mnie do tego namówić.

- To go tutaj sprowadź. Pociągnij za sznurki. Kontaktowałeś się z nim?

- Tak, przez telefon. Rossetti do niego zadzwonił, ja podsłuchiwałam. Facet jest przerażony. Sądzi, że sam również stał się celem. Chce zapaść się pod ziemię i zerwać wszelkie kontakty z nami.

- I powinien się bać. Bo zły z niego człowiek.

- Słucham? Czy ciebie przypadkiem trochę nie ponosi?

- Zarzucanie mi, że mnie „ponosi”, to z twojej strony przejaw seksizmu. Mogłabym złożyć skargę do działu kadr i zostałaaby ona przyjęta, jednakże jestem gotowa pójść na kompromis. Pozwól mi po prostu przesłuchać Akbara. Załatw to. Proszę. Każ mu się ze mną spotkać w jakimś neutralnym kraju. Przekaż mu, że jeśli się nie zgodzi, to naprawdę jest już trupem. Powiedz, że złapiesz go za jaja i wydasz ludziom z ISI. No, dalej. Mamy przed sobą drzwi. I musimy teraz przez nie przejść.

Gertz uśmiechnął się. Jego zmęczone oczy na chwilę zabłyśły. Marx nie tyle zgrywała teraz uparciuchę, co po prostu bardzo pragnęła osiągnąć sukces.

- To gdzie chcesz się spotkać z panem Akbarem? Zakładając, że uda mi się go gdzieś wyciągnąć?

- To obojętne. Dla niego zapewne najłatwiej byłoby w Dubaju. Powiedz mu, że widzimy się w Dubaju za trzydzieści sześć godzin. Jeżeli on się tam nie ruszy, to ja ruszę w pogoń za nim.

- Wydawało mi się, że chciałaś jechać do Londynu.

- Bo chcę. Ale dopiero wtedy, gdy wykryję tego, kto wystawił Howarda Egana.

Pomimo całego swego zmęczenia Gertz podniósł się z biurka i podszedł do Marx. Położył swą wielką dłoń na jej ramieniu i już miał przytulić agentkę do siebie, przemyślał jednak decyzję i postanowił ograniczyć się do uścisku dłoni. Następnie odesłał Marx do działu wsparcia, by wyczyścili jej dokumenty i zarezerwowali bilet na najbliższy lot do Dubaju. ???

Gertz zamknęła drzwi na klucz. Czekala go rozmowa, której obawiał się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Musiał zadzwonić do jedynej - nie licząc samego prezydenta - osoby, którą uważał za swojego zwierzchnika, to jest do szefa personelu Białego Domu Teda Yazdiego. Ze swego blackberry wysłał wiadomość pod adres costy@who.eop.gov.

Nie był to raczej kod nie do złamania: costy, Chief of Staff Ted Yazdi. Wiadomość ograniczała się do pola tematu, gdzie Gertz wpisał: „Musimy pogadać”. Po pięciu minutach nadeszła odpowiedź. „Zadzwoń teraz”

Gertz podszedł do STU-5, najnowszego modelu Secu-re Telephone Unit - bezpiecznego aparatu telefonicznego - i wybrał numer Yazdiego w bezpiecznej centrali Białego Domu. Odebrał sam Yazdi.

- Co tam się kurwa wyrabia? - spytał. Cechowało go szorstkie i destrukcyjne usposobienie byłego maklera z Wall Street.

- Straciliśmy jednego z naszych chłopców w Pakistanie.

- Tak też słyszałem. Nie żyje?

- Dla jego dobra mam taką nadzieję. Ale możliwe, że zdołali coś z niego wycisnąć. Przed tym właśnie chciałem was przestrzec.

- Cholera. I co wtedy zrobimy? Co jeśli cała sprawa zaraz trafi do internetu?

- Nic. Z całym szacunkiem, proszę pana, ale nie należy robić absolutnie nic. Jeżeli tamci wydadzą jakieś oświadczenie, niech Departament Stanu wszystko zdementuje. Ludzie z Agencji będą twierdzić, że musi pan poinformować o sprawie Kongres. Moja skromna rada: proszę ich zignorować. Nasz program znajduje się pod ochroną na mocy National Security Act, z późniejszymi zmianami. Dysponuje pan ekspertyzą prawniczą, według której o niczym nie musi pan donosić. Władze Kongresu same to zatwierdziły. Koniec tematu.

- To sprawka Pakistańczyków? Oni nas tak urządzili?

- Jeszcze nie wiemy, ale to całkiem możliwe. Byłoby to do nich podobne.

- Prezydent się niepokoi. Parę godzin temu w Gabinetcie Ovalnym spytał mnie, czy z sytuacji w Karaczi wyniknie coś poważnego. Odparłem, że w żadnym wypadku, panie prezydencie, proszę się nie martwić, temat rozejdzie się po kościach. Bo rozejdzie się, prawda?

- Absolutnie. Panujemy nad sytuacją.

- Ci popaprańcy w dalszym ciągu chcą nas powybijać, racja? Mam na myśli tych wszystkich Pakistańców, Waziri-ściaków i całą resztę. Dlaczego oni nas tak nienawidzą? Do ciężkiej

cholery, przecież usiłujemy dać im pieniądze. Próbuje ich uszczęśliwić. Są jacyś nienormalni czy co?

- Nie wiem, proszę pana. O to samo pytam moich informatorów. A oni przekazują mi nazwiska kolejnych ludzi, z którymi mamy się skontaktować. Jakoś to wreszcie ogarniemy. Forsa ma dar przekonywania.

Yazdi nie mógł się nie zgodzić co do skuteczności argumentów natury finansowej. Stanowiła ona jedną z zasad, jakimi kierował się w życiu. Mimo wszystko pragnął jednak zrozumieć, dlaczego operacja nie poszła jak zakładano.

- W jaki sposób te dranie dorwały się do twojego człowieka? Wydawało mi się, że facet był „superekstrazakamu-flowany”.

- Zapewne po prostu im się poszczęściło. Jeśli istnieje jakiś przeciek, to my go już zatkamy, o to się proszę nie martwić. Powierzyłem to komuś pewnemu.

- Chryste Panie, żadnych antyterrorystów! Tylko tego nam trzeba - żeby stado gości zaczęło nam tu węszyć.

- Żadne stado, tylko dyskretny oficer śledczy. Ale jeżeli dyrektor CIA będzie się dobijał, musi go pan spacyfiko-wać. Inaczej będzie chciał donieść o wszystkim Kongresowi, a wtedy sprawa wyda się i wszyscy mamy przerażane.

- Coś jeszcze? Bo muszę kończyć.

- To wszystko. Tak po prostu informuję, nie ma powodu do obaw. Proszę przekazać prezydentowi, że panujemy nad sytuacją.

- Jak mu powiem, że waszym zdaniem nie ma powodu do obaw, to się sfajda ze strachu. A ty wracaj tu prędko, wpadnij do mnie i przypomnij, co wy u diabła tak właściwie robicie. Dasz radę?

- Tak jest. Mogę przyjechać w przyszłym tygodniu. Prześlę termin, a pan da znać, czy jest on odpowiedni.

- Jeszcze jedna kwestia, tak tylko, żeby mnie nocą koszmary nie męczyły. Nie ma w tym żadnych pieniędzy rządu USA. Niczego, co mogłoby odbić nam się czkawką. Sprawa jest czysta.

- Tak jest. Operacja jest finansowo samowystarczalna, nie angażuje ani nie generuje żadnych środków rządowych. Ani śladu na papierze ani tutaj, ani w Waszyngtonie, wszystko przechodzi przez zagraniczne konta.

- Cóż, tyle dobrego. Tylko prosiłbym już bez potknięć.

- Usłyszałem, zrozumiałem i przyjąłem - zameldował po wojskowemu Gertz. Mówił już jednak do siebie, szef personelu zdążył bowiem przejść do innych obowiązków.

Rozdział 9

UfInfl. POŁUDNIOWY UfIZIRISTfIn

„Lund te char” to w pendzabskim dialekcie zjadliwa obelga. Dosłownie oznacza „wskakuj mi na fiuta” lub, jakby ujął to Amerykanin, „odpiardol się”. To właśnie generałowi porucznikowi Mohammedowi Malikowi dawało do zrozumienia CIA swoim postępowaniem co do sprawy w Karaczi. I bynajmniej mu się to nie podobało. Nikt nie lubi być publicznie upokarzany, lecz zniewaga taka boli tym bardziej, jeśli honor jest dla kogoś wartością najcenniejszą. Dlatego też generał poczuł się szczególnie dotknięty, że wcześniej nieznana formacja amerykańskich służb wywiadowczych przysłała do jego kraju agenta, nie uzyskując na to zgody, a później zdobyła się na tak wielki wysiłek, by ten fakt ukryć.

Była to istotnie obraza. Szef ISI zastanowił się nawet, czy nie powinien w jakiś sposób spróbować się na Amerykanach odegrać. Byłoby to całkiem proste, biorąc pod uwagę fakt pod jak wieloma względami Amerykanie - uwięzani i wymęczeni prowadzonymi na odległość wojnami - musieli polegać na swoich pakistańskich sojusznikach.

Lecz generał Malik nie był człowiekiem porywczym ani mściwym. Im bardziej więc analizował sytuację, tym bardziej nabierał przekonania, że nim postanowi skarcić

Amerykanów, powinien dokładniej zrozumieć ich działania. Przede wszystkim musiał zaś pojąć zasadę, według której ich nowa formacja wywiadowcza wybierała sobie cele. Aby to zrobić należało

udać się w odległe rejony, o które chodziło pomysłodawcom operacji w Karaczi. Nie był to projekt, który generał mógłby powierzyć któremuś ze swoich oficerów prowadzących, nie wspominając już o agentach pracujących na usługach ISI. Szczerze mówiąc, generał nie ufał swoim współpracownikom w żadnej rzeczywiście ważnej kwestii, zwłaszcza zaś, gdy były w nią zamieszane Stany Zjednoczone. Dlatego też osobiście wykonywał telefon za telefonem i przysyłał wiadomości odrębnymi kanałami, aby odpowiednio przygotować grunt.

Pewnego czerwcowego poranka, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, generał Malik wyruszył w drogę swoją toyotą land cruiser, za kierownicą której siedział jego osobisty szofer. Kiedy pojazd mijał oświetlony wizerunek Mohammada Alego Jinnaha, pod którym widniały słowa inwokacji ojca narodu z 1947 roku: JEDNOŚĆ, WIARA, DYSCYPLINA, generał wzdygnął się. Pomimo upływu niemal sześćdziesięciu pięciu lat jakże marnie te wartości reprezentował współczesny Pakistan! Generała przepelniała jednak nadzieja, poza tym przynajmniej on sam mógł pozostawać wierny dyscyplinie.

Jechali szosą Grand Trunk w stronę pierwszego zaplanowanego przystanku, czyli bazy sił powietrznych na zachodnich obrzeżach Peszawaru. Ciężarówki podążające w stronę Przełęczy Chajber udekorowane były niczym powozy z czasów kolonii brytyjskiej. Kabiny kierowców wykonano z bogato rzeźbionego drewna, które następnie pomalowano na wszystkie kolory tęczy i inkrustowano maleńkimi lusterkami i skarabeuszami, których zadaniem było odpędzenie złych dżinów zamieszkujących wzgórze. W młodości generałowi te ciężarówki wydawały się kolorowe i wspaniałe, teraz jednak widział w nich po prostu

jeszcze jeden dowód na to, jak bardzo jego ukochana ojczyzna jest zacofana. Zamknął oczy, próbując rozwikłać zagadkę poczynań Amerykanów.

???

Generał pragnął przemieszczać się bez hałasu, wzbudzając możliwe małe zainteresowanie.

Dlatego też zdecydował się na jednosilnikowy samolot treningowy Mashaq, a nie proponowany przez dowódcę jednostki lotniczej śmigłowiec transportowy Mi-17. Kiedy szef ISI przybył na miejsce, pilot nadal nie wiedział, dokąd przyjdzie im lecieć. Generał Malik zaczął, aż niewielkie śmigło maszyny zacznie się obracać, wtedy dopiero włożył słuchawki i odezwał się do mikrofonu:

- Zna pan garnizon Wana w Południowym Waziristanie? - spytał. Pilot kiwnął głową. - Proszę mnie tam zabrać.

Młody lotnik na potwierdzenie uniósł w powietrze dwa kciuki. Pochodził z miasta Gilgit na północy kraju i wyróżniał się typową dla mieszkańców gór jasną karnacją oraz wysokimi kośćmi policzkowymi. Od przybycia do Peszawaru dosyć często latał na trasie do Wana, przede wszystkim przewożąc oficerów Korpusu Granicznego do ich posterunku położonego głęboko w najdalszych rejonach terytoriów plemiennych. Nigdy jednak, na przestrzeni całej swej kariery, nie wiozł nigdzie trzygwiazdkowego generała. Dowódca skrzydła naprędce sporządził im plan lotu i zaraz potem wystartowali.

Podróż zajęła prawie dwie godziny. Przelecieli nad niskimi łańcuchami górskimi na południe od Peszawaru, kierując się w stronę Agencji Orakzai*, a następnie na południe ponad dawnymi państwami księżęcymi Bannu i Tank, które przez

* „Agencja” - jednostka administracyjna, na jakie podzielone są w Pakistanie autonomiczne terytoria plemienne, położone na północy kraju, przy granicy z Afganistanem

stulecia stanowiły punkty postojowe dla karawan idących z Karaczi i z wybrzeży Morza Arabskiego na północ. Na wysokości Tank pilot odbił na zachód i poprowadził awionetkę w głąb Południowego Waziristanu.

Krajobraz przesuwający się pod maszyną sprawiał wrażenie wysuszonej, pofałdowanej dziczy - łyse góry, ostre granie i tak całymi kilometrami w stronę granicy z Afganistanem. Przywoływał na myśl rozkołysane w trakcie sztormu morze, z tym że niekończące się, brutalne fale powstawały z pyłu i ze skał. Letnia spiekota pobłyskiwała na tych górskich bezdrożach, tworząc nisko zalegającą warstwę mgiełki, która tylko potęgowała ogólne wrażenie diabelskości. Miejsce to było odpowiednie dla węży i skorpionów, owadów i szkodników. Pośród tutejszych skał zgubiłaby się zwykła koza, nie mówiąc już o człowieku. Kraina mogła jawić się niedostępną dla kogoś z zewnątrz, zarazem jednak stanowiła ważną ostoję dla przedstawicieli plemion Wazir, Mehsud i Darwesz. Uprawa roli na tych jałowych polach była niemożliwa, toteż miejscowa ludność od zarania dziejów wprawiała się w łowiectwie i działalności zbójczej.

Kiedy samolot przeleciał nad ostatnim spieczonym szczytem, niemalże już nad afgańską granicą, w dole otworzyła się szeroka dolina, na jej płaskim dnie było położone zaskakująco uporządkowane miasto Wana. Tutaj można było dojrzeć niewielkie uprawy, sady jabłoni oraz pola pszenicy, a także przypominające fortece osiedla mieszkańców. Każdy z klanów mieszkał za wysokimi murami z gliny, a w każdym z czterech narożników wznosiły się baszty strzelnicze, mające chronić ludność przed łupieżczymi zapędami ich sąsiadów. Zachodni filozofowie mogą sobie teoretyzować o panującym w świecie przyrody stanie wojny wszystkich ze wszystkimi, lecz tutaj stanowiło to zwyczajny fakt. Słowo „kuzyn” znaczy w pasztuńskim to samo, co „wróg”.

Na obrzeżach miasta prażył się w słońcu pas startowy wykonany z asfaltu. Samolot zatoczył krąg na dużej wysokości, aby można było przyjrzeć się okolicy, po czym ostro zanurkował w kierunku lądowiska. Kiedy maszyna przestała kołować, pilot podniósł pokrywę kokpitu. Wiał wiatr, przez co lejący się z nieba żar szalał nad asfaltem z niszczycielską mocą pieca konwekcyjnego.

Na generała Malika czekał już jeep. Przybysz udał się do oddalonego o kilkaset metrów obozu pakistańskiej armii, gdzie przebrał się ze swego munduru w tradycyjny plemienny strój Pasztunów, znany jako szalwar khamiz, składający się z luźnych, bawełnianych spodni i długiej koszuli. Kiedy wyszedł z przebieralni, wyglądał na kogoś zupełnie innego. Po wojskowym szyku i wdzięku nie pozostał żaden ślad.

Czekał na niego kolejny pojazd - tym razem był to zakurzony, kilkudziesięcioletni land rover. Za kierownicą siedział miejscowy, którego ISI zwerbowało z oddziału Waziristańskich Zwiadowców. Generał wręczył mu mapę i wyjaśnił, że pragnie udać się do pewnego osiedla położonego kilka kilometrów za miastem, gdzie zamieszkiwał chan stojący na czele jednego z potężnych klanów Darwesz Khel z zachodnich kresów Waziristanu.

???

Land rover mknął drogą, aż asfalt przemienił się w żwir, ten zaś ustąpił miejsca pyłowi. Kiedy zbliżyli się do osiedla, napotkali posterunek kontrolny obsadzony przez plemienną milicję. Kierowca powiedział coś jednemu ze strażników, a ten machnął dłonią na znak, że ich przepuszcza. Przybysza oczekiwano. Zatrzymali się przy brunatnych ścianach domostwa. Znajdowali się w przedsiönku piekła. Kilka kilometrów dalej zaczynały się szorstkie wzgórza, rozgrzane do czerwoności przez południowe słońce. Lecz samo osiedle, jeśli nawet nie było rajem, przynajmniej oferowało wytchnienie.

Brama ze skrzypieniem otworzyła się i młody człowiek zaprosił generała do środka. Wewnątrz znajdowała się ukryta przed światem oaza. Rosły tam owocowe drzewka, bujnie kwitły kwiaty, a z eleganckiej fontanny dochodziło bulgotanie wody. Generał podążył za młodzieńcem do willi wznoszącej się na drugim końcu podwórza. Po drodze dobiegło ich posapywanie turbiny spalinowej, która zasilala klimatyzatory i pozostałe urządzenia elektryczne. Otworzyły się drzwi i obaj zostali zaproszeni do pomieszczenia, na którego

wystrój składał się wspaniałego dywanu, różowo-turkusowej tkaniny i poduszki z czerwonego aksamitu, jak również stół uginający się pod piramidą owoców i słodczy.

Azim Khan, przywódca klanu Darwesz Khel, wstał, aby przywitać gościa. W odróżnieniu od przypominającego wełnistą dżunglę zarostu sąsiadów, siwa broda gospodarza była przystrzyżona, był on wszak po części człowiekiem z miasta. Wymienił z przybyszem pocałunek świadczący o wzajemnym szacunku i zaufaniu, po czym oznajmił, że czuje się zaszczycony: oto jeden z najpotężniejszych ludzi w Pakistanie przyszedł, sam i bez broni, aby go odwiedzić, sprowadzając na jego domostwo błogosławieństwo. Jednocześnie gospodarz zdradzał oznaki zdenerwowania. Bał się, iż gość przyjechał, żeby go ukarać.

Azim Khan mieszkał przez większość czasu w Karaczi, gdzie posiadał ziemię oraz rezydencję, a jego przedsiębiorczy bratanek pracował w Habib Bank Tower. Jednakże w ciągu minionego tygodnia starzec zapadł się pod ziemię - powrócił na rodzinne tereny plemienne i nie opuszczał glinianych murów domostwa. Był przerażony i dezorientowany, dlatego też się ukrywał.

Khan polecił jednemu z wnuków przynieść przybyszowi herbatę i kopiasty talerz owoców, a następnie także tacę ze słodkościami. Potem, kiedy już zjedli i napili się, poprosił pozostałych o opuszczenie pokoju, aby móc porozmawiać z gościem sam na sam.

???

- Opuśćmy sobie grę pozorów - zaczął generał. - Wystarczy, że inni opowiadają kłamstwa. Między nami jednak musi panować całkowita szczerość. Jedno kłamstwo i przejrzysta do tej pory woda zmętnieje. Rozumiemy się w tej kwestii, przyjacielu?

Azim Khan położył rękę na sercu na znak szczerości.

- Koag bar tar manzela na rasagei - powiedział, przytaczając pasztuńskie powiedzenie, które znaczy: „ciśnięty ładunek nie trafi w cel” Następnie przetłumaczył je generałowi na urdu.

- Wiem, że w zeszłym tygodniu miałeś spotkać się z Amerykanami - oznajmił generał. - Twój zamiar był niesłuszny. Ale wybaczam ci to.

- Dziękuję, Paszo. Nie zasługuję na twoje miłosierdzie.

- Chcę z tobą pomówić o Amerykanach - ciągnął generał. - Muszę zrozumieć, czego oni chcą. Ich działania dezorientują mnie. Ile razy z nimi rozmawiałeś?

- Tylko raz, panie. Drugie spotkanie miało się odbyć tydzień temu. Ale jak pan wie, nie doszło do niego.

- O czym rozmawialiście przedtem, na tym pierwszym spotkaniu?

- Byliśmy w Emiratach, panie. Amerykanin poprosił mnie, żebym pojechał tam z moim bratanikiem. Powiedział,

że pragną pokoju z Pasztunami i chcą, byśmy byli ich przyjaciółmi. Mówił, że w realizacji tego projektu będziemy mogli liczyć na całe bogactwo Ameryki. Odparłem, że się zastanowię.

- Proponował pieniądze bezpośrednio tobie, Azim Khanie? Proszę cię, bracie, bądź szczery. Niechaj w tym czystym naparze, którym się teraz dzielimy, nie pojawi się ziarno kłamstwa.

- Tak, generale. Chciał sprawić mi podarunek. Oczywiście, że mi proponował.

Odpowiedziałem mu naszym przysłowiem. Sta da khaira may tobah da, kho das pie de rana kurray ka.

- I co to znaczy? Urodziłem się w Kaszmirze, teraz wiodę żywot Pendżabczyka i nie mówię w waszych pasztuńskich dialektach.

- Panie, przysłowie to mówi: „Nie dawaj mi jałmużny, a ocal od swych psów” Staralem się mu wyjaśnić, że nie jestem w stanie mu pomóc w walce z jego wrogami. Ale on i tak chciał dać mi te pieniądze. Chodziło o bardzo dużą sumę.

- I jaką podjąłeś decyzję, Azim Khanie, kiedy się już zastanowiłeś?

- Cóż, panie, pomyślałem, że skoro ci durni Amerykanie chcą dać pieniądze siwobrodemu starcowi, to w sumie czemu nie? No i mój bratanek tak mu powiedział. Że owszem, spotkam

się z nim ponownie i przyjmę jego podarunek. I ten człowiek jechał, by się ze mną spotkać, tej nocy, gdy go uprowadzono.

- Jak znaczną sumę chciał ci, bracie, przekazać? Jeśli powiesz mi prawdę, nic ci się nie stanie.

- Cóż, generale, czuję się zażenowany. Ale powiem. Ofiarował mi dwa miliony dolarów.

Przesłano mi je na moje kon-

to z tajnego funduszu. Obiecał też więcej, dużo więcej pieniędzy, jeżeli będziemy w przyszłości współpracować. Mówił, że byłoby to dziesięć milionów dolarów, a może nawet jeszcze więcej. Miał zdeponować je na koncie, a ja mógłbym pojechać i wszystkie te pieniądze zobaczyć. Obiecał też pieniądze dla pozostałych klanów pasztuńskich. Wydaje mi się, panie, że chcieli kupić w ten sposób pokój.

Generał Malik wybuchnął śmiechem. Nie chciał się zaśmiać, lecz było to silniejsze od niego. Machnął dłonią, tak jakby odpędzał jakąś nieprzyjemną myśl.

- Mingyan - rzucił, co po pendzabsku znaczy dosłownie „szczurze łajno”. - Ci Amerykanie to pajace świata, czyż nie, bracie? Zrzucają z nieba bomby, a potem, kiedy się rozzłościły, myślą o przyjaźni. Sądzą, że mogą wszcząć wojnę, a potem omamić nas swoimi pieniędzmi. Zaiste, radość przynoszą oto w letni dzień.

- Tak, generale. Uśmiechamy się, ale my również, panie, mamy na taką sytuację przysłowie. „Kamień nie stanie się miękki, ani wróg nie będzie przyjacielem”. Ci Amerykanie sądzą, że dzięki pieniądzom są w stanie zmienić wszystko, nawet twardy kamień. Ale nie, nie mogą.

- Stąd też moje pytanie, Azim Khanie, które mnie męczy. Skąd wiedzieli, że mają zgłosić się do ciebie, do starszego klanu Darwesz Khel? Czy są na tyle przebiegli, że rozumieją nasze zależności klanowe i plemienne? Czy to raczej ktoś z Pakistanu podpowiedział im, do których drzwi powinni zapukać? Uważam, że raczej to drugie, nieprawdaz?

- Nie mam pojęcia, panie. Ci Amerykanie mają doradców od wszystkiego, może również od takich spraw.

- Muszę ci zadać kolejne pytanie. Coś nie daje mi spokoju od dnia, kiedy zniknął ten Amerykanin. Wiemy, kto

go porwał. To heretycy, kafirzy, którzy kryją się daleko stąd w górach i uważają się za bożych katów. Starzec ze smutkiem przytaknął.

- Natomiast nie wiem, skąd ci heretycy dowiedzieli się o przyjeździe Amerykanina. I zastanawiam się, Azim Khanie, powiem to wprost, zastanawiam się, czy to przypadkiem nie ty poinformowałeś ich o tym spotkaniu. Albo może twój bratanek. Może on to zrobił.

- Nie, proszę pana. Nie pisnęliśmy ani słowa. Czemu mielibyśmy coś takiego zrobić? Nie jestem człowiekiem chciwym. Ale teraz moje dwa miliony dolarów przepadły. Nie mam ich. Możesz odrzucić każdy kamień stąd aż po Ban-nu, a tych pieniędzy nie znajdziesz, bowiem nigdy ich nie otrzymałem. A te kolejne dziesięć milionów, jakie mi obiecali, z pewnością również przepadło. Bo jak miałbym je teraz zdobyć, generale? Nie mogę.

Generał Malik złapał się za podbródek, co zwykł czynić, kiedy zastanawiał się nad jakąś kwestią i nie miał przygotowanej odpowiedzi.

- Zatem w jaki sposób, Azim Khanie, heretycy dowiedzieli się o spotkaniu, skoro wy im o nim nie powiedzieliście?

- Są sekrety, panie, i są tajemnice, i to jest właśnie taka tajemnica. To problem Amerykanów. Zostawiają za sobą ślady, których gołym okiem nie widać. Ale ktoś i tak ich tropi.

???

Generał Malik pożegnał się. Zostawił też prezenty, z którymi przyjechał i choć nie były to dwa miliony dolarów, spotkały się one z pełnym szacunku skinieniem ze strony przywódcy klanu i na jakiś czas zaskarbiły jego lojalność.

Generał wrócił do dwumiejscowego samolotu Mashaa i późnym popołudniem odleciał z powrotem w stronę Pe

szawaru. Na wschodzie zbierały się letnie chmury, gorące i lepkie, a podmuchy wiatru ciskały maszyną niczym lotką, aż pilot poczuł się w obowiązku przeprosić znamienitego pasażera za niewygodę spowodowaną przez turbulencję. Ale generał prawie nie wyczuwał wstrząsów, był bowiem bez reszty pogrążony w rozmyślaniach.

Skąd pochodziły informacje, które napędzały amerykańskie operacje? Nad tym właśnie zastanawiał się generał i pytanie to od czasu zamachów z 11 września z każdym rokiem męczyło go coraz bardziej, w miarę jak Amerykanie starali się wyciągnąć od Pakistańczyków coraz więcej i więcej. Wiedział, że mają swoich agentów, to było oczywiste. ISI tropił ich i zazwyczaj wykrywał. Tu jednak chodziło o coś bardziej delikatnego i ulotnego. Zupełnie jakby Amerykanie uzyskali wgląd w tutejszą kulturę, dzięki któremu nie skupiali się już na tym czy innym sekrecie, lecz na czynnikach scalających tutejsze społeczeństwo.

Któż mógł ich w te zagadnienia wtajemniczyć? To martwiło generała. Kto mógł być wystarczająco inteligentny i subtelny, by dostrzec obowiązujące prawidła i opisać je cudzoziemskim faranghP. Gdyby generał Malik poznał osobę o tak subtelnym umyśle, że chciałby ją zatrudnić na usługach ISI - chyba że byłby to zdrajca, którego musiałby zabić. Generał Malik już od dłuższego czasu z największym zaangażowaniem takiej osoby szukał. Prowadził obserwację, dokonywał zatrzymań, w nieprzyjemny sposób przesłuchiwał, a to wszystko po to, by odszukać tego, kto być może otwiera oczy Amerykanów na wewnętrzne tajemnice Pakistanu.

Generał przeprowadził coś, co służby specjalne na Zachodzie zwykły nazywać „polowaniem na krety”. Sam jednak

nie lubił sformułowania „kret”. Krety są miłe i puszyste. Wolał zaczerpnięte z miejscowego slangu określenie gungrat, oznaczające żuka gnojarka. Bo tym właśnie byli ludzie, których ścigał - grzebali się w ojczystym gównie, by potem umknąć na Zachód. Lecz jeśli żuk gnojark, którego szukał, istniał naprawdę, generałowi jak dotąd nie udawało się go znaleźć. Ten ktoś był zbyt sprytny, zbyt świadomy metod działania służb wywiadowczych, toteż generał doszedł do wniosku, że musiał to być ktoś, kto wiedział wystarczająco wiele, by umieć zacierać ślady w tej samej chwili, w której je zostawiał. Nie ulegało wątpliwości, że gdzieś tam jest. Kiedy niewielki samolot przeleciał nad ostatnim grzbieciem górskim i zaczął obniżać lot w stronę Peszawaru, generał Malik poprzysiągł sobie, iż pewnego dnia znajdzie tego człowieka i go ukarze.

Rozdział 10

LONDYN

Słońce akurat wstawało nad Hyde Parkiem, kiedy Thomas Perkins zakończył rozmowę telefoniczną z „panem Jonesem”. Pierwsze promienie poranka mieniły się białym złotem. Ze studia na ostatnim piętrze domu położonego przy Ennismore Gardens, ponad dachami domów Perkins dostrzegał rdzawo-czerwone cegły Harrodsa stojącego przy Brompton Road. Na wschodzie, po drugiej stronie parku, hotelowe wieżowce wyznaczały granicę dzielnicy Mayfair. Następową miejską zmianą warty - ostatni pijani maruderzy wracali chwiejnym krokiem od strony dzielnicy Clubland, podczas gdy brygada robotników montowała rusztowanie wokół pobliskiego budynku. I jedni, i drudzy skąpani byli w świetle wczesnego lata.

Właśnie tego typu czerwcowe poranki sprawiały, że Perkins nie był w stanie oprzeć się urokowi Londynu, odkąd pod koniec lat dziewięćdziesiątych rozkręcił tu interes. Odkrył, iż jest to najlepsze miejsce na świecie do bycia zamożnym. Jednak nawet ta przyjemność miała swoje granice.

Perkins poinformował gospodynię, że wychodzi i że jeśli ktoś pojawiłby się z wizytą, ma poczekać na jego powrót w salonie. Dla ochrony przed porannym chłodem zawiązał na szyi kaszmirowy szal, po czym zbiegł po tylnych schodach domu i przez bramę od garażu

przedostał się na podwórze. Podażył zaułkiem przed siebie, wyłonił się na wysokości Rutland Gate i wszedł do Hyde Parku.

Był zaniepokojony. Nie spodobał mu się przebieg rozmowy z fikcyjnym panem Jonesem - przedstawicielem administracji rządowej, który tak ostentacyjnie wzbraniał się przed ujawnieniem swej prawdziwej tożsamości. Sposób, w jaki rozmówca trzymał go na dystans, sprawił, że poczuł się zawstydzony niczym ktoś przyłapany na jakimś złym uczynku. Na początku wyglądało to inaczej. „Zatrudniający” - bo nim był wówczas ów urzędnik - mówił o patriotyzmie. Zamachy z 11 września wciąż stanowiły bolesne wspomnienie, a Perkins pragnął pomóc, jak zresztą wszyscy inni. Dopiero potem sprawy się skomplikowały. Przemierzając park w kierunku Mayfair, Perkins sprawiał wrażenie zwykłego samotnika, a nie jednego z rekinów finans-sjery. Tacy ludzie nie spacerują, lecz jeżdżą wożeni przez szoferów. Nawet, gdy zdecydują się na przechadzkę, towarzyszy im mała armia ochroniarzy i bagażowych mająca na celu zminimalizowanie kontaktu między bardzo bogatymi a życiem codziennym. W tej jednak kwestii, jak i w wielu innych, Perkins stanowił pewnego rodzaju odstępstwo od normy.

Thomas Perkins był eleganckim pięćdziesięcioparolat-kim; miał blond czuprynę i niewielkie, okrągłe okulary. Wyglądał chłopczo, co ludzie zauważali już w czasach, gdy rzeczywiście był on dzieckiem. Stanowiło to jedną z jego zalet, łatwo jest bowiem nie docenić kogoś, kto nie wygląda na doświadczonego przez życie. Łatwo przyjąć, że nie może on wiedzieć tyle samo, co ludzie, po których widać, że swoje przeżyli i przecierpieli.

Zwykł być najmądrzejszym w grupie, co niekiedy czyniło jego chłopczość nieznośną dla otoczenia. Nawet jeżeli sam nie zabierał głosu, jego spojrzenie skakało między przemawiającymi bądź śledziło ekran telefonu czy komputera. Kiedy robił interesy, czyli niemal zawsze, rzadko kiedy uśmiechał się czy robił niezadowoloną minę. W wyjątkowych przypadkach, gdy coś szczególnie mu się spodobało, wybuchał śmiechem, by zaraz potem rzucić cierpki komentarz, pytanie lub po prostu na nowo zamilknąć.

Jego adwokat Vincent Tarullo powiedział mu niegdyś, że przypomina pana Peabody, czyli gadającego psa z kreskówki o Łosiu Superktosiu. Pan Peabody zawsze znał odpowiedź na każde pytanie. Tarullo zwracał się tak do niego nawet wtedy, gdy byli w towarzystwie, przez co niektórzy pracownicy jego waszyngtońskiej kancelarii prawniczej uznali, że klient w istocie ma na nazwisko Peabody.

Perkins miał też inne przezwisko, odnoszące się bardziej do jego postawy w interesach. W londyńskim świecie funduszy hedgingowych nazywano go „Pacmanem” ze względu na umiejętność pożerania aktywów. Przydomek przyjął się - w Thomasie Perkinsie widziano rozpedzoną paszczę, która mknie przez labirynt finansów i połyka wszystkie widoczne kropki, a gdy ich zabraknie, zaczyna od nowa na kolejnej planszy. Pośród konkurentów nie brakowało mu nieprzyjaciół - jakże bowiem, odnosząc takie sukcesy, można ich uniknąć? Jednak nawet dla ludzi, którzy starali się naśladować jego strategię handlowe, Perkins pozostawał tajemniczą postacią.

???

Perkins przeszedł przez łąkę Hyde Parku z pochyloną głową. Jego szczupła sylwetka poruszała się tak szybko, że wyglądał jakby biegł. Ze swej miejskiej rezydencji w Knightsbridge najczęściej chodził do biura w Mayfair na piechotę, więc traktował park jak przydomowy ogródek. Żonkile, które kilka tygodni temu pyszniły się tuzinem odcieni żółtej barwy, zdążyły

już w większości przekwitnąć i zwiędnąć. Wciąż kwitło jeszcze trochę tulipanów, na smukłych łodygach wznosiły się pełne koloru kielichy. Pomimo czerwcowej pory chłodny poranek zrosił trawę, która teraz gniotła się pod stopami Perkinsa.

Z perspektywy Mayfair pogoń za pieniędzmi zdawała się jedyną racjonalną motywacją w życiu. Ów malutki fragment miasta, zamknięty między Park Lane, Piccadilly, Regent i

Oxford Street, stanowił siedzibę wielu londyńskich funduszy hedgingowych. To właśnie tam najbardziej utalentowane umysły świata finansów zebrały się, by robić fortuny o rozmiarach niewyobrażalnych nawet w czasach świetności Imperium Brytyjskiego, kiedy to dzielnica zaczęła uchodzić za modną.

Perkins zatrzymał się przy Stanhope Gate. Czekał na zmianę świateł, przejrzał na ekranie blackberry doniesienia giełdowe z Azji, a następnie przeszedł Park Lane i podążył Curzon Street.

Teraz następowała ulubiona część przechadzki, podczas której obserwował, jak małe miasteczko każdego ranka budzi się do życia. Kluby i zakłady krawieckie, restauracje i galerie sztuki ruszały do handlowego kontredansa, którego choreografię rozpisywano codziennie od nowa. W świetle wczesnego poranka poruszało się nadal kilka śmieciarek, zbierających wczorajsze odpadki świata biznesu. Mówiło się, że niektórzy z tych niepozornych śmieciarzy prowadzą na boku własne interesiki, sprzedając sekrety funduszy hedgingowych wygłodniałym spekulantom, którzy pragną zarobić na transakcjach przeprowadzanych przez najpoważniejszych graczy.

Perkins skręcił w prawo na Stratton Street i wszedł do nowoczesnego budynku przy Mayfair Place. Wjechał windą na ostatnie piętro, które należało do Alphabet Capital. Na samym końcu znajdował się jego gabinet, którego ogromne okna wychodziły przez Piccadilly na hotel Ritz, na rozpościerający się za nim Green Park, a wreszcie na znacznie oddalony Pałac Buckingham.

Perkins otworzył drzwi wejściowe. Było parę minut po siódmej i spodziewał się, że nie zastanie jeszcze nikogo. Niemniej jednak w pograżonym w cieniu, oddalonym narożniku sali transakcyjnej dostrzegł jednego z młodych maklerów, który śledził wydarzenia na rynkach azjatyckich. Perkins zawołał na powitanie, na co otrzymał zza biurka świszczącą odpowiedź, która świadczyła o wysiłku pracownika.

Dyrektor zniknął w swym przestronnym gabinecie. Miał w nim trzyczęściowe biurko, obstawione ekranami komputerowymi wielkości telewizorów. Na wprost miejsca, w którym siedział, znajdował się interkom z przyciskami łączącymi go z najważniejszymi maklerami, dzięki czemu gdy tylko Perkins dostrzegał nadarzącą się na rynkach okazję, mógł natychmiast wydawać im polecenia.

Pod biurkiem znajdował się sejf, niewidoczny spod mahoniowego blatu. Perkins otworzył kasę i wyjął z niej plik dokumentów. Na niektórych z nich widniało nazwisko Howarda Egana. Pozostałe pochodziły od księgowych, audytorów i prawników. Perkins zgarnął je wszystkie i podszedł do niszcarki. Przepuścił papiery przez maszynę, po czym zebrał ścinki i powtórzył czynność, aż akta przemieniły się w konfetti. Podszedł do innego sejfu, skrytego w prywatnej garderobie z tyłu gabinetu i wyjął kolejny pęk dokumentów. Ie również pociął na drobne strzępy.

Następnie podniósł słuchawkę telefonu i wybrał domowy, waszyngtoński numer swojego prywatnego adwokata Vincenta Tarullo. Był kiedyś prokuratorem w Departamencie Sprawiedliwości, gdzie prowadził sekcję bezpieczeństwa narodowego. W swej karierze spotkał się praktycznie z każdym rodzajem tarapatów, w jakie człowiek może się wpakować.

- Wybacz, Vince, że cię budzę - powiedział do telefonu.

- Nie ma sprawy, właśnie waliłem gruchę. Domyślam się, że to pan Peabody?

- Moi-meme*.

- Tak wcześnie w pracy?

- Mam pewien problem - przyznał Perkins. - Coś,

o czym nigdy ci nie mówiłem.

_ Doskonale. Wprost uwielbiam, kiedy działasz w pojedynkę i błędnie oceniasz sytuację.

Dzięki temu mam potem co ogarniać.

- Nie staraj się żartować, Vince. To nieodpowiednia chwila. Jeden z moich ludzi zginął w Pakistanie. Nazywa się Howard Egan. E-G-A-N. Wygląda na to, że został uprowadzony. Jeszcze dziś tutaj, w Londynie, wydam w tej sprawie oświadczenie.

- Ale dlaczego, Chryste Panie, ktoś miałby go porywać?

i co on w ogóle robił w Pakistanie? Rzeczywiście pracował dla ciebie?

- Cóż, w tym sęk. Ten konkretny jegomość działał poniekąd na boku.

- Dla kogo?

_ Z pewnością dasz radę odgadnąć to sam. Powiedzmy, że ludzie ci nie byli ci obcy, gdy pracowałeś w poprzedniej branży.

- Rany boskie. Z ciebie naprawdę jest dupek. Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

* Moimeme - (franc.) we własnej osobie.

- To trudne pytanie. Ale odpowiedź jest prosta: nie wolno mi było. Tak czy owak, nie mówiłem, i tyle. Teraz chcę, żebym wydał oświadczenie i siedział cicho, aż burza przeminie. Dostrzegasz w tym jakikolwiek sens?

- Nie wiem. A masz jakiś wybór?

- Nie. Chcę, żebyś jeszcze tego ranka zrobił coś dla mnie. Zadzwoń do swoich dawnych znajomych. Ale nie tych zajmujących gorsze stanowiska, tylko do najważniejszych osób, jakie znasz i powiedz, że zakładam, iż będą w tej sprawie trzymać język za zębami. A jeśli nie będą, konsekwencje dla wszystkich okażą się nad wyraz poważne. Buuuu! Nastraszą ich. Wiesz, jak to robić.

- Będą wiedzieli, o co mi chodzi? - spytał prawnik.

- Sądzę, że tak. Dla nich sprawa jest dość, hm, skomplikowana.

- Powiesz mi, o co w tym chodzi, Peabody? Bo sądzą, że powinienes. Mogę przylecieć jeszcze dziś wieczorem. Potrzebujesz pomocy.

- Nie teraz. Być może powiem ci później. Teraz byłoby to niezręczne. Zadawałbyś pytania, na które nie byłbym w stanie odpowiedzieć.

- Ejże, przyjacielu, bądź ze mną szczerzy. Masz przerypane?

- Nie. Nie mam przerypane, cokolwiek by to znaczyło. Mam się doskonale. Dopóki wszyscy trzymają się swojej strony umowy. W takim wypadku nic mi nie jest. Proszę tylko, żebyś w moim imieniu upewnił się czy tamy i wały są w dobrym stanie i zdołają zatrzymać falę powodziową.

- Ale nie znam szczegółów.

- I o to chodzi - zauważył Perkins. - W pełni ująłeś istotę rzeczy. Nie znasz szczegółów, toteż nie możesz udzielić mi niepotrzebnych wskazówek. Muszę teraz kończyć, bo idę do domu spotkać się z jednym z „czyścicieli” Ty zaś, proszę cię, zadzwoń do kogo możesz, na jak najwyższym szczeblu i przekaz adekwatne, zawołowane ostrzeżenie. Potem dogadamy się co do naszego spotkania. Chcesz się wybrać na polowanie na par-dwy? W sierpniu jadę na swoje łowiska w Szkocji. Co ty na to?

Perkins odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Musiał się jeszcze zająć paroma sprawami w części systemu komputerowego, gdzie przechowywał dane dotyczące transakcji. Było już po dziewiątej i do biura zaczęli schodzić się pracownicy. Perkins wyłączył wszystkie urządzenia elektroniczne, zamknął za sobą drzwi na trzy zamki i w drodze do wyjścia pocałował sekretarkę.

Spacerowym tempem wrócił do Ennismore Gardens. Teraz, zadbawszy o porządkę, czuł się zdecydowanie swobodniej. W domu przedstawiciel „pana Jonesa” czekał już w salonie, gdzie przycupnąwszy na brzegu kanapy emanował poczuciem dyskomfortu. Perkins przeprosił i wytłumaczył, że był na porannym „spacerze energetyzującym” wokół jeziora Serpentine, co stanowiło dlań rytuał, którego trzymał się bez względu na warunki pogodowe.

Gość przedstawił się jako Rupert Ogihy. Mężczyzna z wyglądu przypominał mysz, był cienki jak osika, a prążkowany garnitur ewidentnie był za duży. Sprawiał wrażenie pracownika

banku, co nie było tak dalekie prawdzie. Był oficerem administracyjnym małej placówki wsparcia, jaką Gertz utrzymywał na obrzeżach Heathrow. Młodzieniec wręczył gospodarzowi wizytówkę, której Perkins nawet nie przeczytał, gdyż z pewnością była to fałszywka.

- Mam szkic oświadczenia, który mógłby pan wziąć pod uwagę - oznajmił młody Ogilvy. Wyjął z teczki kartkę papieru i przekazał ją Perkinsowi.

Kartka nie zawierała nagłówka czy innych oznaczeń. Tekst składał się z zaledwie dwóch akapitów, w których stwierdzano proste i niepodważalne fakty: pracownik Alphabet Capital Howard Egan zniknął podczas podróży w interesach do Pakistanu, gdzie miał się spotkać z klientami firmy. Alphabet Capital apeluje o pomoc rządów Stanów Zjednoczonych oraz Pakistanu w odnalezieniu pana Egana i zorganizowaniu jego bezpiecznego powrotu.

Perkins uważnie przeczytał dokument i naniósł na marginesie kilka poprawek. Następnie schował tekst do kieszeni.

- Proszę dać nam znać, jeśli postanowi pan wprowadzić jakiegokolwiek zmiany - podkreślił Ogilvy.

Perkins zaśmiał się. Pomimo chłodu poranka młody przybysz oblewał się potem. W oczywisty sposób martwiła go myśl, że jeden z jego kolegów po fachu zniknął.

- Proszę się nie martwić - zapewnił Perkins. - I nie mówić mi, co mam robić. Wystarczy, że próbowali już tego pańscy koledzy.

Rozdział 11

KUETfI, PfiKISTfIN

Dawno temu, kiedy generał porucznik Mohammed Malik jeszcze studiował w Ameryce, jeden z jego wykładowców teorii wojskowości świadomie przestrzegł studentów za pomocą następującego frazesu: „Gdy wieczerzacie z diabłem, używajcie długiej łyżki”, wszystkim wydawało się to jakże słuszne. Wtedy byli jednak w Fort Leavenworth w Kansas. Znajdowali się w krainie prostolinijnego i wiecznego uśmiechu. Cóż mogli wiedzieć o diable? W mało prawdopodobnym wypadku, gdyby kiedyś przyszło im go spotkać, i tak nie siadaliby z nim do wieczerzy, bez względu na długość łyżek. Po prostu zrzuciliby na niego bombę.

Po powrocie w rodzinne strony z pobytu na amerykańskiej uczelni generał Malik uświadomił sobie, że nie jest w równie komfortowej sytuacji, co jego koledzy ze Stanów Zjednoczonych. Diabeł mieszkał w Pakistanie. Tylko po to, by przeżyć, należało jadać z nim każdego dnia, niekiedy bez żadnych sztuczków, zgarniając pożywienie własnymi rękami.

Diabłem, który w tym momencie niepokoił generała Malika, była grupa bojowników, która uprowadziła amerykańskiego podróżnego Howarda Egana. Owszem, wiedział, kim byli. Amerykanom mogło się to nie podobać, ale na tym właśnie polegała jego praca. W tym wypadku chodziło o grupę pod nazwą Al-Tawhid, co oznacza „boską jedność” lub też, by użyć popularniejszego terminu, „monoteizm” Generał

do ostatniego tchu zaprzeczałby temu, że on czy jego agenci mieli jakikolwiek kontakt z tymi heretykami. Ale, rzecz jasna, prawda wyglądała zupełnie inaczej. Osobnicy ci byli dobrze znani ISI, a przy paru okazjach byli wręcz w ostatnich latach wykorzystywani do zadań na rzecz pakistańskiego wywiadu. Tak właśnie działały tajne służby. A jeżeli ktokolwiek takie powiązania krytykował, wszystkiemu się zaprzeczało. Jedynie Amerykanie próbowali udawać, że zasady funkcjonowania branży wyglądają inaczej.

Najlepszym miejscem, by wieczerzać z tymi konkretnymi diabłami, było miejsce, w którym urodziły się i mieszkaly, czyli Kweta, stolica Beludżystanu przy zachodniej granicy kraju. Generał Malik dobrze znał miasto, gdyż jako młody oficer studiował na tamtejszej Akademii Sztabu, później zaś, jeszcze przed przeniesieniem do ISI, powrócił tam jako „główny instruktor” czyli zastępca komendanta uczelni.

Generał poleciał do Kwety z Rawalpindi, tym razem na pokładzie ciężkiego C-130 Herculeśa Pakistańskich Sił Powietrznych. Maszyna różniła się od szarych egzemplarzy z Ameryki, pomalowano ją bowiem w piaskowo-brunatne barwy pustynne, przez co upodabniała się do

ciężarówek tłoczących się na szosie Grand Trunk. Generał siedział na górze, w wygodnym fotelu tuż za załogą samolotu, nie zaś pośród zwykłych żołnierzy, których miejsca znajdowały się na dole na materiałowych siedziskach zwieszonych z metalowych rur. Trzygwiazdkowi generałowie nie byli już żołnierzami. Należeli do kasty półbogów.

Samolot wylądował w bazie sił powietrznych na północ od centrum Kwety. Opuszczając pokład C-130, generał Malik ponownie dostrzegł surową i spieczoną słońcem piękność okolicy. Miasto przypominało posadzkę wykutego w skałach amfiteatru. Zajmowało pylistą równinę, zewsząd otoczoną rdzawoszarymi szczytami. W czasach, gdy generał był jeszcze studentem, młodzi oficerowie z uczelni każdej z tych skalistych cytadeli przypisywali odrębne imię: „Takatu” widoczne było na północy, „Chiltan” na południowym zachodzie, najbliżej zaś, na południowym wschodzie, leżał niski, wdzięczny klif, który ochrzczili po angielsku „Śpiącą Królową”.

W pierwszej kolejności generał Malik udał się na uczelnię. Wpadł w odwiedziny do komendanta szkoły, którym był jego dawny przyjaciel, zajrzał również do mesy oficerskiej, mieszczącej się w otoczonym cedrami skromnym budynku z brązowego kamienia. Lecz w istocie wizyta stanowiła pewnego rodzaju wybieg. Już na miejscu, jak zwykł czynić przy podobnych wyprawach, zdjął mundur i zmienił środek transportu. Nie wsiadł do wojskowego samochodu sztabowego, który go tu przywiózł, lecz do wysłużonego, ubrudzonego hyundaia, którym planował udać się na umówione spotkanie.

Generał, już w cywilnych ciuchach, wyruszył w dalszą trasę. Rozklekotany pojazd przejechał przez centrum miasta, mijając tłumy ludzi zgromadzone przed poczwórną kolumnadą dworca kolejowego, a następnie skierował się na północ, w stronę czerwonych skał stanowiących obramowanie północnego wjazdu do miasta. Kierowca zjechał z głównej drogi na osiedle zamieszkałe przede wszystkim przez uciekinierów z Afganistanu. Dla policji z Kwety była to ziemia niczyja, lecz dla dyrektora generalnego ISI pojęcie terenu niedostępnego nie istniało. Samochód kluczył przez jakiś czas po lokalnych drózkach, aż wreszcie zatrzymał się przed prymitywnie ciosaną bryłą meczetu i przylegającym do niego obmurowanym podwórzem, na którym wznosiła się rozległa dwupiętrowa rezydencja.

Generał Malik zadzwonił z komórki pod pewien numer i poinformował o swoim przybyciu przebywającego w willi oficera prowadzącego. Stalowe wrota rozwarły się, hyundai wjechał na podwórze i zaparkował, zaraz po tym bramę ponownie zamknięto i zaryglowano. Generał wysiadł i ruszył w stronę willi. Ze składających się na nią surowych bloków betonu wystawały porzewiałe stalowe pręty zbrojeniowe.

Młody oficer ISI powitał przybysza na progu domostwa. Przebrany był w pasztuńskie szaty plemienne - miał długą koszulę, głowę opasywał mu turban, zaś luźne spodnie falowały na lekkim wietrze. Generał wszedł do budynku i został poprowadzony do salonu. Zasunięte kotary chroniły wnętrze przed południowym słońcem, lecz w panującym półmroku widoczne było to, co najcenniejsze: na poduszce siedział przypominający wojowniczego księcia gniewny młodzieniec z bujną czarną brodą i długimi włosami schowanymi pod białym turbanem.

- Komendant Hassan - rozpoznał generał, wyciągając rękę na przywitanie. Młody człowiek ujął jego dłoń w swoje obie. Żadnego całowania się po policzkach. Gdyby nie narzucająca ton spotkania rytualna gościnność, ludzie ci mogliby się pozabijać.

Z pomieszczenia wyszły pozostałe osoby, w tym oficer ISI, który zaaranżował spotkanie, a nawet członkowie obstawy młodego komendanta, którzy towarzyszyli mu zawsze i wszędzie. W pokoju zostali tylko dostoyny pakistański generał o jak zawsze nienagannie przyciętych wąsach oraz straszliwy plemienny wojownik.

- To przyjemność znowu się z wami zobaczyć - odezwał się generał. - Dużo ostatnio działacie. Wiele o was słyszymy, ale nie widzimy was.

Młody bojownik odparł z odpowiednią powściągliwością, przytaczając pasztuńskie powiedzenie.

- Da khali daigghag lor de - oznajmił, co znaczyło: „puste naczynie wiele hałasu czyni”. Sam był naczyniem pełnym i prawdziwym, więc zachowywał milczenie.

Generał Malik odpowiedział własnymi rytualnymi sentencjami, bliższymi przysłowiom aniżeli zwykłym zdaniom oznajmującym. Złamanie konwencji wydać by się mogło barbarzyństwem.

- Jesteście mudzahedinem, komendancie Hassan. Mówi się, że tchórze wyrządzają krzywdę ludziom mężnym, lecz między wami ewidentnie tchórzy nie ma. Mówi się, że strach i hańba są jak ojciec i syn, lecz wy tych uczuć nie znacie. Widać, że jesteście z innej rodziny.

Młody bojownik skinął głową w odpowiedzi na komplementy i podziękował Bogu za odniesione sukcesy.

- Muszę was teraz o coś zapytać, Hassanie. Bo po części właśnie po to rozmawiamy, bym ja mógł pytać, ty zaś odpowiadać.

- Tak, paszo, rozumiem. - Hassan zamilkł i powoli rozwinął turban, rozpuszczając swobodnie swoje długie włosy. Nawet w panującym we wnętrzu upale wyglądały na bujne i błyszczące. Odgarnął je z twarzy. Istny młody lew.

Hassan wypowiedział kolejną pasztuńską mądrość: Wrori ba kawu hesab tar menza. Tej generał akurat nie kojarzył, poprosił więc o przetłumaczenie. Młodzieniec wyjaśnił w urdu:

- Będziemy zachowywać się jak bracia, pomnimy jednak co twoje, a co moje.

- Zapytam więc: co się dzieje z Amerykaninem, który zniknął w Karaczi?

- Nie żyje, generale. Zmarł kilka dni temu.

- Nieprzyjemna była to śmierć?

- Tak, generale. Początkowo nie chciał mówić, musieliśmy więc uciec się do odpowiednich sposobów. Wtedy sprawa się komplikuje. Koniec jest nieunikniony.

Generał skinął głową. Sam w przeszłości stosował tortury, nigdy jednak tego nie lubił. Zwrócił się z powrotem do komendanta Hassana.

- Czego dowiedzieliście się od Amerykanina? Wydaje mi się, że ten akurat znał wiele tajemnic. Może coś mi o tym powiecie.

- Och, paszo, my również mamy swoje tajemnice. Nie możemy wszystkiego ujawnić. Jesteś, panie, naszym wrogiem, gdy nie jesteś naszym przyjacielem. Ale trochę mogę ci powiedzieć. Generał położył dłoń na sercu. W ten dystygowany sposób okazywał swoją wdzięczność.

- Amerykanin pracował dla CIA. To wiesz. Lecz chodzi o część CIA, która do niej nie należy. To coś nowego i szatańskiego. Jakaś nowa metoda szerzenia kłamstw.

- Co tu w ogóle robił? - Generał sądził, że zna odpowiedź, lecz mimo to zapragnął ją usłyszeć.

- Przybył z pieniędzmi, aby przekazać je zdrajcy z klanu Darwesz Khel. To słaby Pasztun, nie żaden bojownik. Amerykanin miał mu przywozić coraz więcej pieniędzy, aż zdołałby kupić tylu naszych ludzi, ilu kupić by się dało. Na tym polegała jego misja. Wiecie, paszo, oni mają świadomość, że przegrywają. Chcą, by wojna dobiegła końca, liczą więc na kupienie sobie pokoju. Z faranghi zawsze jest tak samo. Wbiegają na wzgórze, lecz potem nie wiedzą jak z niego zejść.

Generał przytaknął. Czekał, aż młody człowiek powie coś więcej o Azim Khanie, lecz to nie nastąpiło. Rozmówca splunął tylko do misy stojącej obok jego krzesła.

- Czy Amerykanin wyznał, na jakiej zasadzie funkcjonuje jego organizacja? - spytał generał.

- Tak - na tyle, na ile sam to rozumiał. Chowają się za fasadą przedsiębiorstw. Mają dużą kwaterę główną. Tuż przed śmiercią powiedział, że mieści się w Los Angeles, ale jakże moglibyśmy to sprawdzić? Sam udawał, że pracuje dla spółki finansowej z Londynu.

Wysyłali go w podróż, tak jakby był jednym z ich pracowników.

- A czy Al-Tahwid będzie ściagać innych agentów owej CIA, która CIA nie jest?

- Wciąż. Jeszcze nie wyrównaliśmy rachunków z Amerykanami, ani też z Pakistańczykami, którzy zblądzili na tyle, by postanowić pomóc Amerykanom. Generał nie dał się złapać na przynętę. Ponownie skinął głową, po czym odezwał się cichszym głosem, przez co młody wojownik musiał się nachylić, by go usłyszeć.

- Komendancie, mam jeszcze jedno pytanie co do tego incydentu. Potem będziemy mogli pomówić o innych sprawach. Pytam mianowicie: skąd wiedzieliście, że Amerykanin jest w Pakistanie? Skąd wiedzieliście, że pracuje dla CIA, która nie jest CIA? To wielka tajemnica. Jak zdołaliście to odkryć?

- Tego, panie, powiedzieć ci nie mogę.

- A to dlaczego, bracie Hassanie? Czy to dlatego, że mi nie ufasz? Bo powiadam ci, to najważniejsza kwestia, o jaką spytałem. Chcę, żebyś mi odpowiedział.

- To prawda, paszo, że ci nie ufam. Ale nie z tego powodu ci nie powiem.

- Dlaczego więc? Upokorzyłem się, przyznając, że na tej informacji zależy mi szczególnie, a ty mnie w ten sposób zawstydzasz?

- Dlatego, że sam nie znam odpowiedzi. Mamy przyjaciela, który przekazuje nam takie informacje. To nasz nauczyciel i przewodnik. Lecz skąd on je czerpie, tego nie wiem. Nie znam też jego tożsamości. Nigdy go nie widzimy ani nie słyszymy. Otrzymaliśmy drogą elektroniczną informację o Amerykaninie w Karaczi. O więcej nie pytaliśmy. Jak to mawiamy w naszym pasztuńskim języku, chi na kar, pa hagma the sa kar. Kiedy to nie twoja sprawa, trzymaj się z daleka.

- Dlaczego ten tajemniczy przewodnik wam pomaga, komendancie Hassanie?

- Nie umiem odpowiedzieć, generale. Dlaczego skorpion żądli, gdy go niepokoją, albo dlaczego wilk pożera swoją zdobycz? Ten człowiek ma swój powód, ale ja go nie znam. To nasz duch.

Generał Malik zastanawiał się przez chwilę. W zachowaniu rozmówcy wyczuwał, że mówi prawdę. Komendant nie wiedział, w jaki sposób głęboko zakonspirowana tożsamość Amerykanina została rozgryziona, lecz być może mógł się tego dowiedzieć. A jeżeli nie on, być może mógł to odkryć któryś z pozostałych informatorów ISI w szeregach bractwa Al-Tawhid.

- Czego zatem nauczyliście się, komendancie, z tego doświadczenia z Amerykaninem? Nie chodzi mi o detale, które omówiliśmy, ale o ogólny wniosek.

Hassan zamyślił się na moment. Jeszcze raz przeczesał palcami długie włosy, po czym przemówił po pasztuńsku.

- Da maar bachai maar wee. Oto, co wiem: dziecko węża również jest wężem. Ta nowa CIA jest gorsza od dawnej. Jej pieniądze są bardziej niebezpieczne od jej rakiet. Dlatego też, paszo, musisz zachować czujność.

- Spełnijcie zatem jeszcze jedną moją prośbę, bym nie odchodził w gniewie. Od wielu lat słyszę w tych stronach o „profesorze”. Człowiek ten nie jest mi jednak znany.

Komendant spojrzał na gościa z nieufnością.

- Nie wiem, o kim mówicie.

- Owszem, wiecie. Słuchaliśmy waszych rozmów. Niektórzy nazywają go profesorem. Inni tytułują go ustad. Myślimy, że albo pracuje z Amerykanami, albo działa przeciwko nim. Słyszymy jego kroki, lecz nie możemy go znaleźć. Gdzie on jest?

Pasztun wydał z siebie cichy gardłowy odgłos, który równie dobrze mógł oznaczać parsknięcie, jak i śmiech.

- Nigdzie, panie. Ot, gdzie jest. Nie istnieje. Chyba wam się coś przyśniło. Nie ma takiego człowieka.

???

Rozmowa w kryjówce pod Kwetą trwała przez kolejną godzinę, podczas której wymieniano informacje i składano wzajemne obietnice. Generał prosił o pomoc w planowaniu operacji

przeciwko innym ugrupowaniom muzułmańskim, które Al-Tawhid darzyło pogardą. Grupy te wymierzały swoje działania w „małego wroga” to jest pakistańskie wojsko i administrację, zamiast w „dużego wroga” jakim była Ameryka. Komendant Hassan dzielił się przydatnymi informacjami. To było oczywiste. Na tym polega na Wschodzie zdolność przetrwania. Jest bowiem powiedziane - przyjaciele są jak węże: kęsają.

Generał Malik sam nie przedstawił informacji. Pozostawił to oficerowi prowadzącemu z ISI, grubawemu pułkownikowi, którego wezwał do pomieszczenia pod koniec spotkania. Człowiek ten zrobił to, czego robić nie można było.

Podczas gdy generał Malik udał się do toalety, pułkownik przekazał nazwiska, numery telefonów komórkowych oraz dane informatorów ISI, którzy mogliby okazać się przydatni. Poradził, których wiosek na terenach plemiennych należy unikać, bo znajdują się na liście amerykańskich celów. Przekazał nowe urządzenia łącznościowe, których częstotliwości Amerykanie nie znali. Słowem, był pomocny na wszelkie możliwe sposoby, jakie stanowią część świata tajnych służb.

Tej samej nocy generał Malik wrócił do Rawalpindi na pokładzie zimnego i trzęsącego się herculesa. Pragnął przespać się, gdyż po długim dniu czuł się zmęczony, nie mógł jednak zasnąć. W myślach analizował informacje otrzymane od komendanta Hassana. Jeszcze intensywniej jednak zastanawiał się nad sekretami, których młody wojownik postanowił mu nie ujawniać.

Ale generał Malik rozumiał: w jakiś sposób bractwo Al--Tawhid dostało się do wnętrza amerykańskiego systemu. Wiedziało kiedy tajny agent przybył do Karaczi i z kim się spotkał. Ci prości ludzie w szalwar khamizach sami nie złamali amerykańskich szyfrów, lecz ktoś im w tym pomógł. Jak to było możliwe? Generał Malik nie znał jeszcze odpowiedzi, jednakże nastawił swój umysł na jej odkrycie. Co zrobi z tym sekretem, kiedy go zrozumie - tego jeszcze nie wiedział.

???

Samolot trząsł się i telepał, usiłując uniknąć wiosennych burz w Dolinie Indusu. Generał myślami był jednak gdzie indziej. Wspominał największą niewyjaśnioną tajemnicę z początkowego okresu kariery na stanowisku dyrektora generalnego. Działo się to w 2005 roku. Amerykanie z wielkim zaangażowaniem podążali wtedy za każdym tropem przydatnym w walce z terrorystami. Naciskali na wszystkich w poszukiwaniu informacji, które mogliby załadować do swych komputerów - aby śledzić przepływy pieniędzy, kanały komunikacyjne i wszelkie inne powiązania, które mogłyby ich doprowadzić do Al-Kaidy. Rzecz jasna, Pakistańczycy oficjalnie starali się im pomóc, w wystarczającym stopniu, jednak część wiedzy zachowywali dla siebie.

W 2005 roku dla generała Malika stało się oczywiste, że Amerykanie poznali tożsamość i nawyki komunikacyjne kilku najważniejszych współpracowników ISI w szeregach Al-Kaidy. Rzecz nie ulegała wątpliwości, gdyż Amerykanie przystąpili do namierzania tych ludzi, aż wreszcie dwóch z nich zabili. Generała martwił fakt, iż jedynie ktoś o dogłębnej znajomości metod działania ISI, a także pakistańskich dialektów, mógł te powiązania wykryć. Były bowiem podwójnie zakodowane. Wtedy też generał zaczął się niepokoić, iż jakiś gungrat, jakiś żuk gnojarsz grasuje swobodnie po jego zasobach informacyjnych.

Tego samego roku generał Malik złożył nieoficjalną wizytę w Waszyngtonie, gdzie odwiedził najlepiej mu znanego człowieka w CIA - pulchnego, genialnego oficera o imieniu Cyril Hoffman, który zawsze rozumiał więcej, aniżeli dawał do zrozumienia.

- Siedzicie w naszym namiocie, Cyril? - spytał go wtedy generał.

Siedzieli w stołówce CIA, otoczeni znakami ostrzegającymi pracowników agencji, że na terenie obiektu przebywa obcokrajowiec. Hoffman nachylił się ku swojemu pakistańskiemu koledze.

- Oczywiście, że siedzimy - wyszeptał Amerykanin głosem miękkim jak wata cukrowa. - Ale nie widzicie nas, nie wyczuwacie i nigdy nas nie znajdziecie. Radzę więc, byście przestali się tym zamartwiać. Jeśli dalej będziecie węszyć, wasze zmartwienia tylko się pogłębią.

Być może była to słuszna rada, lecz generał Malik i wszczął dochodzenie, początkowo po cichu, potem z w bardziej otwarty sposób. Szukał Pakistańczyka, który z się na wywiadzie elektronicznym, kogoś o intelekcie wysf"

czająco kreatywnym, by rozwiązać skomplikowaną zagadkę. Jego ludzie zgromadzili około tuzina podejrzanych - oficerów wojska i wywiadu, ważnego dyrektora wiodącej spółki telefonii bezprzewodowej, kilku profesorów oraz mieszkającego w Indiach emerytowanego oficera ISI. Swym ostrym i bezmyślnym przepytywaniem śledczy zrujnowali kariery większości z nich, lecz był to koszt nie do uniknięcia.

Ostatecznie, gdzieś w 2007 roku, generał Malik poddał się, postępując zgodnie z radą udzieloną przez Cyrila Hoffmana. Po części powodem był fakt, iż pakistański przeciek wysechł. Lecz Malik doszedł do wniosku, że Hoffman miał rację. Źródło informujące Amerykanów było zbyt dobrze ukryte. Być może prawda o nim miała pewnego dnia wyjść na światło dzienne, sama z siebie, lecz przekopywanie całego ogródka w jej poszukiwaniu byłoby nierozważne.

Malik na własny użytek nazwał sprawę kryptonimem „Kot z Cheshire” Widział bowiem uśmiech, lecz nie samego kota. Nadal wściekał się na myśl, iż Amerykanie zdołali go przechytrzyć.

???

Kiedy następnego ranka generał Malik przybył do swojego biura w Islamabadzie, zaraz wezwał do siebie szefa placówki CIA Homera Barkina. Poinformował go, że za cztery godziny Ministerstwo Spraw Zagranicznych prześle do ambasady formalne oświadczenie, w którym on sam wraz z dwoma pozostałymi członkami rezydentury w ambasadzie zostają uznani za persona non grata ze względu na prowadzoną działalność szpiegowską. Otrzymają polecenie opuszczenia terytorium kraju. Doradził Barkinowi, by wyjechał jeszcze tego popołudnia i uniknął tym samym nieprzyjemnych konsekwencji na lotnisku.

Barkin był oszołomiony. W tym samym gabinecie widział się z szefem ISI zaledwie parę dni wcześniej. Rozmawiali wtedy o przyjaźni i wzajemnym zaufaniu.

- Co tu się do cholery dzieje? - spytał. - O co tu chodzi?

Generał Malik potrząsnął głową. Na jego twarzy malował się melancholijny, odległy uśmiech, jak gdyby wspominał lepsze czasy.

- Wygląda na to, że ty naprawdę nie wiesz.

- Czego nie wiem? - spytał szef rezydentury.

- Biedny, nieszczęsny panie Barkin: wydalenie was stanowi sygnał dla tego kogoś w Waszyngtonie, kto uważa za dopuszczalne przysyłanie sekretnych wojowników z pieniędzmi na łapówki na terytorium państwa sojuszniczego. Jeśli to prawda, że nie wiedziałeś o tej operacji w Karaczi, to jest to ze wszech miar skandaliczne. Sugeruję, by po powrocie do domu złożył pan rezygnację. Te posunięcia pociągną za sobą konsekwencje. Powinien pan przekazać to ludziom z Langley.

Barkin, wciąż zdezorientowany, wybełkotał odpowiedź.

- Protestuję w imieniu mojej agencji. Nie zrobiliśmy niczego złego.

- Dziękuję, panie Barkin. Zapewniam, że tu nie chodzi o nic osobistego. Teraz powinien pan się oddalić. Obawiam się, że Pakistańczycy bardzo się rozgniewają. Nie zdziwiłbym się, gdyby jutro przy wjeździe do strefy dyplomatycznej w pobliżu waszej ambasady pojawili się manifestanci chcący wyrazić swoją wściekłość. Sądzę, że ambasada powinna powziąć pewne środki ostrożności.

Rozdział 12

DUBfiJ. ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE

W chwili przyjazdu Sophie Marx, port lotniczy w Dubaju sprawiał wrażenie uspiętego i na wpół opuszczonego. Przeszła między zaspanymi podróżnymi z Azji Południowej, którzy snuli się po korytarzu sali przylotów niczym zmęczone ptaki poszukujące miejsca, by wzbic się w powietrze. Sala odpraw była niemal pusta, jeżeli nie liczyć filipińskich hostess, mających witać ewentualnych VIP-ów. Miasto prezentowało się jak nowa, błyszcząca limuzyna z fotelami wciąż obłożonymi ochronną folią, stojąca w pustym, omijanym przez klientów salonie sprzedaży.

- Sprawy w Dubaju idą ku dobremu - upierał się kierowca taksówki, Hindus ze stanu Kerała. Zaproponował, że pokaże jej mieszkanie, które mogłaby podnająć za pół ceny, a nawet za jedną czwartą. Marx wzięła jego wizytówkę, po czym poprosiła, by był cicho. Jadąc szosą z lotniska, która wiała się przez nowe centrum miasta, minęli kilkanaście imponujących wieżowców z apartamentami, które zdawały się mieć niewielu, jeżeli w ogóle jakichkolwiek lokatorów. Czy kiedykolwiek ktoś w nich zamieszka, czy też stopniowo przeistoczą się w ruiny ze szkła i stali, w których niesiony wiatrem piach pooblepia wejścia, zaś windy ze skrzypieniem zatrzymają się z powodu braku konserwacji?

Marx zameldowała się w swym hotelu - przestronnej budowli, która w założeniu stanowiła fantazję architekta na

temat pradawnego miasta arabskiego. Przed kilkoma laty budynek był w nieskazitelnym stanie. Każda powierzchnia pokryta mosiądzem czy drewnem tak lśniła i błyszczała, że gdy pocierałeś którąś ze zdobiących lobby urn, mogłeś spodziewać się, że wyskoczy z niej hotelowy dzin. Teraz mahoniowe meble traciły już swój połysk, a niektóre z luksusowych dywanów blakły od słońca i depczących po nich stóp.

Marx kochała Dubaj na tej zasadzie, na jakiej wcześniejsze pokolenia oficerów wywiadu darzyły uczuciem Bejrut czy Hongkong. Miasto istniało na marginesie między Wschodem a Zachodem, między wyobraźnią a światem rzeczywistym. Do tego oferowało dogodne połączenia lotnicze, a woda nadawała się do picia. Sympatia Marx wzrosła jeszcze bardziej od czasu, gdy pękła gospodarcza bańka i miasto wróciło z chmur na ziemię. Hotele ani na moment się nie zapełniały, zaś na parkingach tu i ówdzie spotykało się mercedesy porzucone przez właścicieli, których nie było stać na spłatę rat.

Wzięła prysznic i przebrała się, po czym na moment położyła się na łóżku, wpatrywała się w sufit i planowała, w jaki sposób rozegra przesłuchanie Hamida Akbara. Na godzinę przed spotkaniem zjechała windą na parter, który otwierał się na jeden ze sztucznych kanałów, jakie łączyły budynki tej wymaginowanej medyny. Zajęła miejsce na rufie służącej za wodną taksówkę łódki dhow. Za jej plecami wznosiły się wieże udawanej arabskiej fortecy.

Miała na sobie czarny kostium i spodnie, włosy upięła w ciasny kok, a okularami przeciwsłonecznymi maskowała widoczne w oczach zmęczenie. Zwróciła twarz w kierunku wiejszej od Zatoki bryzy. Podmuch porwał kilka pasemek jej włosów i uwolnił je z fryzury. Podczas długiego lotu Marx zażyła jedną, a potem drugą pigułkę na sen. Teraz, już po przylocie, czuła

się półprzytomna. Chcąc się rozbudzić, klepnęła się delikatnie w policzek. Wraz z lekkim uderzeniem wróciły jej kolory.

Prowadzący łódkę mężczyzna w turbanie starał się być przyjazny. Był to biedny rybak z Dar Es Salaam, który nie mógł utrzymać rodziny z pływania w rodzinnych stronach. Mówił o rybach. Sophie Marx nie miała ochoty na pogawędkę, nie miała też żadnych dirhamów, które mogłaby dać mu jako napiwek. Powiedziała mu po arabsku, by skupił się na wodzie, bo w innym wypadku doniesie na niego menedżerowi hotelu.

Wysiadła przy willach, które jako punkt spotkania personel pomocniczy Gertza przygotował w ostatniej chwili. Operator wariografu był już na miejscu. Gertz oddelegował go z czeskiej Pragi, gdzie ten nominalnie pracował dla firmy z branży elektronicznej. Placówka w Dubaju

dysponowała na miejscu technikiem wariograficznym, lecz podlegał on Langley, co dla Gertza było nie do przyjęcia.

Marx ostrożnie zeszła z dziobu na nabrzeże. Operator wariografu otworzył jej drzwi. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, mierzył spokojnie powyżej metra osiemdziesięciu, a jego bicepsy pokryte były tatuażami. Marx ucieszyła się na jego widok.

- Cześć, jestem Andy - powiedział, wyciągając grube jak bochen ramię.

- Skąd przyleciałeś? - spytała.

- Z Aszchabadu - odparł. - Tamtędy wiodło najszybsze połączenie z Pragi. Jeden dzień przyszło mi spędzić w Turkmenistanie. Za gorąco. Wyjechałem stamtąd z przyjemnością.

- W Dubaju też jest gorąco - zauważyła.

- Chyba że siedzi się w basenie. - Uśmiechnął się. Dla niego obecna misja była wyjazdem wakacyjnym.

Marx rozejrzała się po willi. Jak na czekające ją zadanie rezydencja była zbyt elegancka.

Roztaczał się z niej piękny widok na wodę i górujący nad nią wieżowiec Burj Al Arab, przypominający wypełniony żagiel czterdziestopiętrowej łodzi dhow. Marx zasunęła kotary i podkreśliła temperaturę w pokoju do poziomu powodującego pocenie. Zaparzyła sobie kawę i zaczęła na Pakistańczyka.

- Złam go - powiedziała do siebie samej. - Spraw, by zaczął gadać.

Hamid Akbar delikatnie zapukał do drzwi, tak jakby bał się, że obudzi sąsiadów. Przez domofon podał umówione hasło rozpoznawcze. Kiedy technik Andy otworzył drzwi, przybysz zrobił krok w tył. Amerykanin był ogromny. Akbar zajrzał do środka i zobaczył, że oczekujący go oficer CIA to drobna i dobrze ubrana kobieta. Pokłonił się lekko w jej kierunku i rzucił na powitanie „Madame”.

- Witam, panie Akbar - odparła. - Proszę spocząć. Obawiam się, że będzie to długa wizyta.

Mam do pana wiele pytań. Chce pan może kawy?

Pakistańczyk uprzejmie czekał z zajęciem miejsca, aż uczyni to najpierw ona.

Marx szorstkim gestem nakazała mu usiąść, sama zaś pozostała na nogach, ręce krzyżując na piersi. Wiedziała, że od samego początku musi okazać dominację.

- Przykro mi z powodu pana Howarda Egana - oznajmił Pakistańczyk, kładąc sobie dłoń na sercu. - Jego zaginięcie to wielkie nieszczęście. Nie mam pojęcia, co też mogło pójść nie tak. Pakistańczyk niepewnie zajął miejsce, grzecznie łącząc kolana. Wyglądał, jakby nie spał od tygodnia. Nad ustami zbierały mu się kropelki potu.

- Nam wszystkim jest przykro, panie Akbar. Ale musimy zrozumieć, jak do tego doszło.

Ludzie w Waszyngtonie mają pytania co do pańskiej roli w tych wydarzeniach. Muszę pana o tym poinformować, abyśmy się nawzajem zrozumieli.

Głowa Pakistańczyka zakolysała się jak na sprężynie. Sprawiał wrażenie obrażonego.

- Dlaczego ja, madame? Zapewniam panią, ja niczego złego nie zrobiłem. To ja znajduję się w niebezpieczeństwie. Następnym razem dorwą właśnie mnie.

Marx miała mu już podać obiecaną kawę, ale się rozmyśliła. Odstawiła filiżankę z powrotem.

- Wydaje mi się, że pan nie rozumie, panie Akbar. Jest pan podejrzanym. Dlatego się pan tu znajduje. Był pan ostatnią osobą, która widziała pana Egana. Potrzebujemy od pana odpowiedzi. Mój kolega podłączy pana do maszyny, która powie mi czy pan kłamie. Robimy to, ponieważ mamy nad panem władzę. Musi pan to pojąć.

Spojrzał na nią ostrożnie. Była kobietą, on zaś mężczyzną. Ale to ona wydawała mu polecenia, a wielki Amerykanin z tatuażami był tam po to, by ją wesprzeć.

- Mogę sobie pójść - oświadczył. Starał się być asertywny, lecz sposób, w jaki sformułował wypowiedź, sugerował raczej pytanie.

Usłyszała w jego głosie słabość. Był to ten sam głos, którego słuchała w nagraniu dostarczonym przez NSA.

- Nie, panie Akbar. Tu się pan myli. Nie może pan sobie pójść. Przyjął pan pieniądze od Stanów Zjednoczonych i teraz - będę z panem szczerą - mamy nad panem władzę. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Mógłby pan spróbować sobie pójść. Ale mój kolega Andy i ja zatrzymalibyśmy pana.

Potem zaś donieśliśmy ludziom w Pakistanie o pańskich kontaktach z nami przez te wszystkie lata, a oni już zajęliby się resztą. Proszę więc nie mówić już o wychodzeniu.

Rozumiemy się?

Zapadła cisza, więc powtórzyła pytanie.

- Rozumiemy się, panie Akbar? Inaczej polecę Andy'emu, by pana obezwładnił.

Przytaknął. Po czole spływały mu teraz krople potu. Wytrzeł twarz rękawem.

- I proszę mnie nie tytułować „madame”. Tak się określa osobę, która prowadzi burdel.

Dzisiaj jestem pana zwierzchnikiem. Tak może mnie pan nazywać. Panną Zwierzchnik.

Niewielkie fałdy wokół jego ust zmarszczyły się. Już w chwili wejścia do pomieszczenia był zdenerwowany. Teraz odczuwał strach.

- Jak się nazywam? Proszę, niech pan powie.

- Panna Zwierzchnik.

- Dziękuję. - Nawet w jej odczuciu brzmiało to dziwnie, ale skinęła twierdząco głową. Przed laty jeden z nauczycieli fachu na Farmie CIA wpoił jej, że przesłuchujący jest jak jubiler, który obrabia cenny kamień. Należy uderzyć w odpowiednie punkty i obtłuc nierówne części, aby móc dojrzeć, co tak naprawdę siedzi w środku.

- Zaczynamy - powiedziała, gestem polecając technikowi, by zaczął podłączać okablowanie do ciała Akbara. Pakistańczyk wiercił się. Nie lubił, gdy ktoś go dotykał, nic jednak nie mógł na to poradzić.

- Najpierw technik zada panu parę pytań sprawdzających, by zmierzyć pana normalne reakcje. Bo zazwyczaj reaguje pan normalnie, prawda?

-Tak.

Andy postawił szereg prostych pytań - o imię, miejsce i datę urodzenia, numer paszportu. Odpowiadając na nie, Pakistańczyk odzyskał pewność siebie i wychylił się w krzesło do przodu. Marx słuchała przez chwilę, usilnie starając się wymyślić sposób na ugruntowanie swej wyższości. Kiedy nastąpiła przerwa, weszła mu w słowo.

- Czy jest pan homoseksualistą, panie Akbar?

- Mój Boże, nie. Oczywiście, że nie. Jak pani może o to pytać?

Spojrzała na ekran Andy'ego.

- Kłamie pan. Pozwoli pan, że spytam ponownie. Czy kiedykolwiek uprawiał pan seks z mężczyzną?

- Nie. To niewyobrażalnie ohydna zniewaga. W tym momencie wychodzę. - Zaczął ciągnąć za kable, lecz przestał, gdy wielki Amerykanin złapał go za rękę.

Marx spojrzała na Andy'ego, który popatrzył na monitor komputera i pokręcił głową.

- Nadal pan kłamie, panie Akbar. Do trzech razy sztuka. Tak się mawia u nas w Ameryce. A teraz niech pan powie prawdę. Czy kiedykolwiek uprawiał pan seks z mężczyzną? Może jeszcze w czasach chłopięcych? Ostrzegam pana, kobiety mają w tej kwestii intuicję.

- Nie muszę udzielać odpowiedzi - odparł. Kąciki oczu zaczynały mu wilgotnieć. Był doszczętnie upokorzony.

- Uznam to za „tak” - oznajmiła. - Dla mnie to nie problem. Obchodzi mnie tylko, by mówił pan prawdę. Jeżeli będzie pan kłamał, ja się zorientuję. Czy to jasne? Dobrze. Andy, kontynuuj.

Rozsiadła się, pewna już swojej dominacji. Ludzie z kultur o wysoce rozwiniętym poczuciu wstydu byli bezbronni, o ile tylko wiedziałeś gdzie należy nacisnąć.

???

Technik zadawał kolejne pytania, przeplatając luźne zagadnienia z poważnymi. Stał za Pakistańczykiem, który dzięki temu go nie widział, a słyszał jedynie pytanie za pytaniem. Kiedy urządzenie sygnalizowało kłamstwo, Andy zadawał pytanie ponownie, aż do uzyskania odpowiedzi, która brzmiałaby prawdziwie. Po czterdziestu pięciu minutach skinął na Sophie na znak, że może zaczynać.

Teraz jej zadaniem było złamanie przesłuchiwanego. Człowieka, który wystawił Egana. W miarę prowadzenia śledztwa Marx nabrała o tym przekonania. Teraz musiała to udowodnić.

- Przejdźmy do części na serio, panie Akbar. Informuję, że pańskie życie zależy od tego, czy będzie pan udzielał prawidłowych odpowiedzi. Rozumiemy się? To kwestia życia lub śmierci. Pakistańczyk skinął głową.

- Cofnijmy się do nocy zniknięcia Howarda Egana. Ktoś poza pańskim wujem wiedział, że się z nim spotykacie. Zgadza się?

Potrząsnął głową. Przez chwilę milczał, rozglądając się po pomieszczeniu, po czym cicho powiedział:

- Nikt.

Marx spojrzała na Andy'ego, a ten kiwnął głową. Odpowiedź nie wywołała żadnych oznak niepewności kojarzonych z kłamstwem, co oznaczało, że należało ją uznać za prawdziwą.

- Pozwoli pan, panie Akbar, że spytam jeszcze raz. Powiedział pan komuś jeszcze o waszym spotkaniu z Eganem, tak?

- Nie. Nikomu.

Andy ponownie skinął.

Marx zawisła nad postacią Pakistańczyka. Na jej twarzy widać było rumieniec gniewu.

- Pan kłamie! Niech pan mówi prawdę, bo inaczej nie dożyje pan do kolejnego Ramadanu.

Powiedział pan komuś jeszcze o pańskim spotkaniu z Howardem Eganem. Prawda czy nie? Jego głos był cienki i naznaczony strachem. Zlewał się potem. Lecz udzielił tej samej odpowiedzi co wcześniej.

- Nikomu nie powiedziałem.

Andy ponownie dał do zrozumienia, że urządzenie nie zarejestrowało fałszu. Marx odsunęła się od Pakistańczyka. Gestem poleciła Andy'emu, żeby udał się z nią do łazienki, gdzie przez kilka minut rozmawiali. Potem wróciła.

- Pański kontakt u Talibów nakazał panu przyspieszyć porę spotkania z Howardem Eganem. Zgadza się?

- Nie. To nieprawda. Nie znam nikogo u Talibów. Andy skinął.

- Czy w tym momencie mnie pan okłamuje?

- Nie. Zależało mi na utrzymaniu w tajemnicy tego spotkania. Wystawiałem się przez nie na niebezpieczeństwo. Po co miałbym komukolwiek o nim mówić?

- To ja tu zadaję pytania, panie Akbar. Kto panu kazał przyspieszyć spotkanie?

- Mój wuj Azim. Powiedział mi, że następnego ranka musi wrócić do Waziristanu na pogrzeb kogoś z plemienia. Dlatego musiał spotkać się jeszcze tej nocy.

- Czy powiedział pan w tym momencie prawdę? - Tak.

- Czy od czasu zniknięcia Egana rozmawiał pan ze swoim wujem?

- Nie.

Twarz Andy'ego nagle się ożywiła. Potrząsnął głową na znak, że urządzenie wykryło kłamstwo.

- Kłamie pan. Ostrzegam, nie będziemy tego tolerować. A teraz pozwoli pan, że spytam jeszcze raz. Czy od czasu zniknięcia Egana rozmawiał pan ze swoim wujem?

- Tak. - Głos przesłuchiwanego był tak cichy, że potwierdzenie zabrzmiało, jakby zostało wypowiedziane przez cienką tubkę. Jego czoło pokryło się potem. - Rozmawiałem z nim tej nocy, kiedy miało dojść do spotkania. To on do mnie zadzwonił. Spytał, dlaczego mój przyjaciel nie pojawił się pod ustalonym adresem. Stwierdziłem, że nie wiem. Zadzwonił do

mnie ponownie i powiedział, że wyjeżdża i od razu wraca do Waziristanu. Był przerażony. To wszystko.

- Dlaczego wcześniej pan skłamał?

- Bo bałem się, że się na mnie wściekniecie. Miałem z nikim o niczym nie rozmawiać. A tymczasem porozmawiałem z wujem.

Sophie skinęła głową. Podeszła do termostatu i skrzyła gałkę, aż klimatyzator zaczął dmuchać całą mocą.

- Cholernie tu gorąco - wymamrotała.

Zaczęła od nowa, starając się nakreślić kontury opowieści Akbara. Pytała go o szczegóły dotyczące jego pierwotnego werbunku i prowadzenia jego wcześniejszych spotkań z Eganem oraz wypłat otrzymywanych od Agencji. Szukała dojścia do fałszu, o którego istnieniu była przekonana na samym początku przesłuchania. Jakkolwiek jednak się wysilała, nie była w stanie na niczym go przyłapać.

???

Po kolejnej frustrującej godzinie doszła do wniosku, że jedynym wytłumaczeniem jest to, że się myliła: to nie Hamid

Akbar odpowiadał za fiasko operacji. Przeciek pochodził od kogoś innego.

Pakistańczyk wyglądał na wykończonego - przepocony, wyziębiony, poszturchiwany i ponaglany, doszedł do kresu wytrzymałości. Nie zwodził jej, nadal jednak w układance brakowało jakiegoś elementu. Marx skinęła do Andy ego na znak, że chce jeszcze trochę to przeciągnąć.

- Już prawie skończyliśmy, panie Akbar - oznajmiła. - Mam jeszcze tylko kilka pytań, dobrze?

- Jasne - odparł. Na twarzy malowało mu się wyczerpanie.

- Czy miał pan kontakt z innymi służbami wywiadowczymi?

- Kiedy?

- Kiedykolwiek. Czy kiedykolwiek miał pan kontakt z jakimiś służbami wywiadowczymi poza naszymi? Lub jakkolwiek inny kontakt, o jakim nam pan dotychczas nie powiedział.

- O jakim wam nie mówiłem? Nie. Zawsze mówiłem prawdę.

- Dlaczego powiedział pan „o jakim wam nie mówiłem”? W pańskiej teczce nie ma ani słowa na temat kontaktów z inną służbą wywiadowczą. Kto taki z panem rozmawiał?

Rozłożył szeroko dłonie w geście niewinności.

- Tylko policja. Departament Wywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Doniosłem o tym mojemu oficerowi prowadzącemu.

- Panu Eganowi?

- Nie. Jego poprzednikowi. Doniosłem mu, kiedy tylko skontaktowała się ze mną policja. To nie było nic ważnego. Oni rozmawiają ze wszystkimi. Jak już mówiłem, to policja.

- Jak często się pan z nimi spotykał?

- Parę razy. Sześć, może osiem. Nie pamiętam dokładnie. Nachodzą ludzi, którzy studiowali za granicą, tak jak ja. Nachodzą wszystkich. To Pakistan, madame. To nie Baltimore.

- Czy powiedział pan policji o kontaktach z nami?

- Nie, madame. W żadnym wypadku. Wiedziałem, że byłoby to niewłaściwe.

I uwierzyli panu?

- Tak, tak sądzę. Nigdy nie wyrazili żadnych wątpliwości.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z kimś z Zarządu Służb Wywiadowczych, czyli ISI?

- Nie, nigdy. Przenigdy. Oni są niebezpieczni. W Pakistanie staramy się unikać kontaktów z nimi.

- A pański wujek? Czy on kiedykolwiek rozmawiał z ISI?

- Tego nie umiem stwierdzić. O coś takiego nie odważyłbym się go spytać, on zaś by mi nie odpowiedział.

- Marx spojrziała na Andy'ego. Trzymając się poza polem widzenia przesłuchiwanego, technik wzruszył ramionami. Urządzenie twierdziło, że to wszystko prawda.

- Proszę, madame. Jeśli mi nie wierzycie, sprawdźcie w swoich papierach. Wszystko wyjaśniłem. Ani razu was nie okłamałem.

- Kiedy ostatnio spotkał się pan z policją?

- Ostatni raz? Około sześciu miesięcy temu. Spotkaliśmy się w moim biurze. Wpadli posiedzieć i porozmawiać.

- I nigdy nie pytali o pana Egana?

- Nie. Wiedzieli, rzecz jasna, o moich inwestycjach. W ministerstwie istnieje komórka monitorująca zagraniczne konta. Ale o pana Egana nie pytali.

Marx zastanowiła się przez moment, starając się dopasować do układanki uzyskane informacje.

- Czy kiedykolwiek sprawdzano pańskie biuro, panie Akbar? Czy sprawdzano je pod kątem obecności mikrofonów bądź kamer?

- Nie, skądże. Po co miałbym coś podobnego robić?

- Na wszelki wypadek - odparła. Zamknęła oczy.

???

Podczas gdy Andy odłączał kable, Marx zaproponowała Hamidowi Akbarowi papierosa i szklanek whiskey. Przyjął i jedno, i drugie. Otworzyła butelkę i nalała każdemu z obecnych. Po tym, jak każdy wypił parę kolejek, Sophie przysunęła swoje krzesło nieco bliżej.

- Jesteśmy już przyjaciółmi, zgadza się? Zadam więc panu pytanie, jak przyjaciółka przyjacielowi. Jak pan myśli, w jaki sposób Howard Egan został zdekonspirowany, skoro pan nikomu nic nie powiedział.

- Przykro mi - odrzekł Pakistańczyk. - Ale nie mi o tym mówić.

- Śmiało, proszę. Proszę powiedzieć, jak pan myśli. Zamknął oczy i wypowiedział zdanie po pasztuńsku:

- Da cha, pakhpala. Gila ma hawa dab ala.

- Przepraszam, ale na niewiele mi się to zdało.

- To powiedzenie moich pasztuńskich ziomków. Znaczy dosłownie: „to samookaleczenia, a nie obrażenia poczynione przez innych”.

Marx była zaskoczona.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Sądzę, że macie problem, madame. I to nie ja jestem tym problemem. Praca pana Egana była ściśle tajna. Przykro mi to mówić, ale ludzie, którzy go uprowadzili, nie wiedzieliby kim jest, gdyby ktoś im tego nie powiedział. Istnieje jakiś przeciek. Dostali się do waszego domu. Przykro mi, ale innej

opcji nie ma. Dlatego właśnie jestem przerażony. Nie jestem w stanie określić co to za przeciek, ale mam nadzieję, że wy to ustalicie. Naprawdę na to liczę.

Sophie początkowo nie odpowiedziała. Nie chciała zacząć okłamywać siebie samej. W końcu przemówiła - i był to głos znużonego weterana z pogrążonego w ciemnościach pola walki.

- Będziemy pana chronić - oświadczyła. - Ameryka dysponuje wielką potęgą. Kiedy sprawia wrażenie słabej, jest to tylko wrażenie.

Pakistańczyk z szacunkiem skinął głową, lecz w głębi ducha się uśmiechnął. Jak ci Amerykanie mogliby kogokolwiek ochronić, skoro nie wiedzą nawet, kto wykradł ich tajemnice?

Rozdział 15

ISLAMABAD, PAKISTAN

Kilka dni po wydaleniu Homera Barkina do Islamabadu przybył niezwykle gość ze Stanów Zjednoczonych. Człowiek ów przyleciał na pokładzie nieoznaczonego - jeśli nie liczyć numeru na ogonie - odrzutowca firmy Gulfstream i wynajął apartament w hotelu Serena,

znajdującym się na grzbiecie wzgórza dominującego nad stołeczną dzielnicą dyplomatyczną. Jegomość ubrany był bardziej krzykliwie aniżeli zwyczajny podróżny z Zachodu, miał bowiem na sobie dwurzędowy letni garnitur, który okrywał go niczym namiot, a także kapelusz panama z żółto-niebieskim papuzim piórem zatkniętym za czarną satynową otoczkę. Przybysz od dawna utrzymywał, iż najlepszym przebraniem jest bycie widocznym, aby ludzie uznawali cię za bliżej niezdefiniowaną osobistość życia publicznego i pomijali możliwość, iż w rzeczywistości prowadzisz osobne i tajemnicze życie.

Podróżny miał na imię Cyril Hoffman i w rzeczywistości był zastępcą wicedyrektora tego, co pozostało z Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Hoffman przybył, aby odwiedzić w tajemnicy generała Mohammeda Malika. Nie był to zwykły wyjazd służbowy, na jakie często wybierali się oficjele CIA, dlatego też Hoffman nie poinformował o przyjeździe ambasady Stanów Zjednoczonych ani pełniącego obowiązki szefa rezydentury. Dyskretnie skonsultował się z pakistańskim źródłem, które wypracował na przestrzeni ostatniej dekady - z człowiekiem, który pomagał mu zrozumieć naturę rebelii, jaka trawiła Pakistan i jego terytoria plemienne. Poza tym jednak utrzymywał podróż w tajemnicy, chcąc osobiście przekazać swą wiadomość szefowi ISI.

Generał Malik był w pewnym sensie przyjacielem rodziny. Ekstrawagancki kuzyn Cyrila Ed zaprzyjaźnił się z Pakistańczykiem, gdy pracował jako szef departamentu bliskowschodniego CIA. Z kolei jeszcze wówczas młody Mohammed Malik był w przyjaznych relacjach z wujkiem Cyrila Frankiem, kiedy ten odszedł ze stanowiska szefa placówki w Bejrucie i zajął się pośrednictwem i doradztwem w Rijadzie. W tej części świata znaczenie miały właśnie tego typu osobiste powiązania, tak Cyril Hoffman wytłumaczył to dyrektorowi, proponując swą nieoficjalną wizytę w Islamabadzie. Obiecał przy tym, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin znajdzie się z powrotem za biurkiem.

Hotel Serena sprawiał wrażenie pustego niczym mauzoleum. Podłogi nawoskowano i wyglansowano na wysoki połysk, którego zdawały się nigdy nie tracić, zważywszy na tak niewielką liczbę przechodzących po lobby butów. Przez ostatnich parę lat hotele w Pakistanie bywały celami ataków terro-rystów-samobójców, toteż amerykańska ambasada kierowała większość swoich gości do anonimowych „pensjonatów” których lokalizacja pozostawała rzekomo nieznana dżihadystom. Z punktu widzenia Hoffmana fakt, że przybysze z Waszyngtonu unikali Sereny czynił z niej wprost idealną kryjówkę.

W dniu przyjazdu Hoffman zjadł śniadanie w ozdobionej żyrandolami jadalni, zajmując jeden ze stolików otaczających pokrytą marmurem fontannę. Poza nim w pomieszczeniu stołowała się tylko jedna osoba - pewien biznesmen, który wykrzykiwał przez telefon szczegóły swoich projektów handlowych. Hoffman, aby odciąć się od hałasu, umieścił w uszach piankowo-gumowe zatyczki, po czym skierował się do bufetu śniadaniowego.

Hoffman skompletował pełne śniadanie, składające się z okazałej porcji jajecznicy z bekonem z indyka oraz z grzankami z masłem, po czym powrócił do stołu z bufetem i nałożył sobie dokładkę, tym razem w postaci dużej miski płatków zbożowych i owoców, które miały pomóc mu w trawieniu. W jadalni wyłożono też niewielkie i grudkowate pączki przyprószone cukrem pudrem. Hoffman wziął dwa z nich, aby mieć czym zagryźć filiżankę kawy. Usiadł przy swoim stoliku i pochłoniął zgromadzoną górę jadła, poczytując przy tym anglojęzyczne gazety „Dawn” oraz „The News”, aż przyszedł czas, by wykonać telefon.

Generał Malik zaproponował, by spotkali się w Rawal-pindi, w gospodzie na terenie należącym do Sztabu Generalnego armii. Jak argumentował, byłoby tam dyskretniej aniżeli w siedzibie ISI w dzielnicy Aabpara. Pakistańczyk przysłał po Hoffmana swoją osobistą limuzynę, aby przy wjeździe na teren należący do sztabu gość uniknął nieprzyjemnego przepytywania przez strażników.

Kiedy samochód podjechał pod hotel, Hoffman zebrał rozdęte poły marynarki i zajął miejsce z tyłu pojazdu, za przegrodą z przyciemnianego szkła. Umieścił w uszach słuchawki swojego ipoda i wybrał z listy nagranie *Così fan tutte*, jednej z wielu oper i komedii muzycznych, które nosił przy sobie, aby zachować pogodny nastrój nawet w podróżach na duże odległości. Samochód przedzierał się przez zachodnie przedmieścia Islamabadu, a jego nowy pasażer zaczął nucić pod nosem.

Droga wjazdowa do Sztabu Generalnego przypominała, iż pakistańska armia stanowiła żywą pozostałość po brytyjskich wojskach kolonialnych. Tuż za bramą rozciągało się szmaragdowe boisko do krykieta, obok którego znajdował się pawilon, gdzie późnym popołudniem zawodnicy mogli schronić się i wypić filiżankę herbaty. Gdy samochód z Hoffmanem wjeżdżał na teren bazy, pałkarze w białych spodniach i swetrach z dzianiny, nie przejmując się letnim skwarem, ćwiczyli akurat uderzenia do treningowych siatek. Wyglądało na to, iż sama brama od czasów Imperium niewiele się zmieniła. Do murów z marmuru i granitu przylegały zielone trawniki, w pobliżu zaś stały ceremonialne armaty.

Generał Malik czekał na Hoffmana w gospodzie. Objął przybysza i ucałował go w oba policzki, zaś Amerykanin odwzajemnił serdeczności, nie cmokając bynajmniej w powietrze, a miękko przywierając wargami do twarzy gospodarza. Jako że Hoffman nigdy się nie ożenił, w Agencji co jakiś czas pojawiała się plotka, iż jest on homoseksualistą. Sam w rzadkich chwilach rozmów na tematy osobiste mówił ludziom, że seks w jakiegokolwiek formie uznaje za coś nudnego i rozpraszającego. Za gorąco wtedy człowiekowi, zbyt mokro i zbyt niewygodnie.

Pakistańczyk zawczasu podkreślił klimatyzację, toteż w niewielkim salonie panował przyjemny chłodek. Kiedy tylko usiedli, przyszedł steward w białych rękawiczkach i podał herbatę, a następnie kanapeczki na białym chlebie, którego skórki wcześniej już usunięto.

- Widzę, proszę pana, że udało nam się przyciągnąć pańską uwagę - zauważył pakistański generał. - Cóż za błyskawiczna podróż! Być może powinniśmy częściej wydalac waszych szefów rezydentury, abyście składali więcej wizyt w naszym biednym kraju.

- Zawsze z przyjemnością tu przyjeżdżam, Mohammedzie, nie musiałeś jednak uciekać się do tak ekstremalnych metod. Następnego razu, gdy się zirytujesz, wystarczy, że podniesiesz słuchawkę i do mnie zadzwonisz, co ty na to?

- Bez najmniejszych wątpliwości tak właśnie uczynię. Pod warunkiem, że następnym razem, gdy przyślesz tu kogoś ze ściśle tajnym i niecnym zadaniem, wcześniej zadzwonisz do mnie i poprosisz o zgodę. W innym wypadku, jak widzisz, może to nadszarpnąć nasze relacje. My tu nie lubimy niespodzianek.

- Ale to nie nasza robota, staruszku. Dlatego właśnie tu przyleciałem. To nie była operacja CIA.

- Oj! Mój drogi Cyrilu, nie chcę się sprzeczać ze starym przyjacielem ani bawić się w gierki semantyczne. Jeszcze przyjdzie czas, by rozstrzygnąć różnice zdań. Ale teraz nalegam, poczęstuj się kanapką.

Podsunał Hoffmanowi talerz i Amerykanin sięgnął po smakowicie wyglądającą grzanekę z serem.

W miarę, jak rozmówcy sondowali się nawzajem, trudno było określić, który z nich postępował uprzejmiej i mniej bezpośrednio. Generał Malik spytał Hoffmana o rodzinę, a ten z kolei zapytał Pakistańczyka o jego jedyne dziecko, to jest córkę, która studiowała medycynę na Emory University w Atlancie. Hoffman delikatnie pomógł jej w dostaniu się na uczelnię, aczkolwiek nigdy nie wyznał tego generałowi. Dyskutowali o muzyce, jako że obaj pasjonowali się operą. Rozmawiali o książkach. Generał Malik był miłośnikiem twórczości Philipa K. Dicka, którego powieści science-fiction zaczął czytywać jeszcze jako młody oficer oddelegowany do Fort Leavenworth w stanie Kansas.

- Nie uważasz, że jest bardzo ponury? - zauważył generał. - Ciągłe pisze o autorytarnych państwach przyszłości.

Ostatnio czytałem Płynięcie łyzy moje, rzekł policjant. Pomyślałem, że mogłoby to dotyczyć mojej biednej ojczyzny. A mimo to nie mogłem oderwać się od lektury.

- Sięgnij po Dr Bloodmoney - poradził Hoffman. - Zachce ci się zażyć pigułkę z cyjankiem. W innym wypadku Hoffman z przyjemnością ciągnąłby tak kulturalną wymianę poglądów jeszcze przez jakiś czas. Był to sposób na przeczyszczenie gardła przed przejściem do sedna sprawy. Teraz jednak wiedział, iż niebawem będzie musiał wsiąść z powrotem w czekający nań samolot, toteż zjadłszy jeszcze dwie kanapeczki z rzeżuchą oraz mały drobiowy kebab w ostrym sosie, przystąpił do wykładania przyczyny swojej wizyty, jaką było przekazanie ostrzeżenia. Lecz nawet to uczynił w sposób nadzwyczaj osobliwy i niebezpośredni.

- Zastanawiałem się, czy mogę ci coś opowiedzieć, Mohammedzie - zaczął Hoffman. - Nie masz nic przeciwko?

- W żadnym razie, Cyrilu. Bardzo sobie cenię twoje opowieści. Zawsze kończą się morałem, który niekiedy nie jest tak oczywisty. W ten właśnie sposób lubimy tutaj opowiadać.

- Cóż, proszę pana, ta historia jest akurat autentyczna. A mówi o żołnierzach. Ludziach takich jak ty. Sam jestem cywilem na usługach agencji, która - bądźmy szczerzy - miewała lepsze chwile. Jednakże ta opowieść mówi o, że się tak wyrażę, kwiecie naszej młodzieży: o młodych mężczyznach i kobietach w mundurach. Mógłbyś rzec, że w istocie do tego się właśnie sprowadza - do munduru.

- Ach, Cyrilu. Do munduru. Jakże to trafne. Jestem pewien, iż twa opowieść okaże się w najwyższym stopniu pouczająca, gdy tylko zdołam rozgryźć jej przesłanie.

- Za pozwoleniem, przyjacielu, chciałbym, byś pomyślał o mundurze, jaki noszą oficerowie armii Stanów Zjednoczo-

nych. O pustynnym mundurze bojowym w odcieniu khaki z wzorem maskującym.

Powiedzmy, że o takim, jaki miałby na sobie żołnierz zwalczający naszych wspólnych wrogów w Afganistanie, Iraku czy Somalii - w którymkolwiek z miejsc, w których ostatnimi czasy byliśmy, lub w które też możemy się dopiero wybrać. Widzisz już ten mundur oczami wyobraźni?

- Owszem, jak najbardziej. W pełni go sobie wyobrażam.

- Dostrzegasz na ramieniu małą amerykańską flagę? Wykonano ją z połyskującego tworzywa sztucznego. Widzisz ją, tuż poniżej barku? Taki właśnie emblemat noszą żołnierze, gdy znajdują się w strefie walk. Nie typową, wyszywaną flagę na kawałku ładnej tkaniny, lecz odznakę z plastiku. Już ją sobie wyobrażasz?

- Tak, to nie ulega wątpliwości. I często zastanawiałem się nad przyczyną, dla której noszą właśnie tę flagę, a nie lepszą naszywkę z tkaniny.

- Naprawdę? Rzeczywiście się nad tym zastanawiałeś? A zatem jest to twój szczęśliwy dzień, bowiem zaraz ci to wytłumaczę. Nasi żołnierze noszą małe flagi z tworzywa, ponieważ można je rozpoznać przy użyciu promienia podczerwonego. Dzięki temu można ich zidentyfikować jako wojska amerykańskie. Jako kogoś z naszych. Noszą je więc, by nasi piloci, strzelcy i piechurzy wiedzieli, że nie należy do nich strzelać. Jak widzisz, to takie szczególne zabezpieczenie. Żeby naszym ludziom nie stała się krzywda. Nie uważasz, że to całkiem sprytny pomysł?

- Oczywiście. Bardzo to amerykańskie, tak zręcznie posługiwać się technologią, by oznaczać własnych ludzi jako swoich. Chciałbym, byśmy sami osiągnęli w naszym biednym kraju taki stopień rozwoju.

- Ale widzisz, w tym właśnie problem. I z tego powodu, Mohammedzie, postanowiłem opowiedzieć to, co opowiedziałem. Z przykrością muszę przyznać, że nasi wrogowie - talibańscy bojownicy w Afganistanie, irańscy Strażnicy Rewolucji w Iraku oraz ludzie na innych polach walki, których teraz nie wymienię, zaczęli nas oszukiwać. W wypadku, gdy

poszcześci im się na tyle, że zabijają amerykańskiego żołnierza, odrywają z jego munduru amerykańską flagę i zabierają ją ze sobą. No i zatrzymują ją dla siebie. Zbierają je, zbierają, a gdy przyjdzie odpowiedni moment, przyczepiają je do własnych ubrań. Kiedy więc śmigłowiec bojowy lub bezzałogowy dron zaczną ich ścigać, wezmą ich za Amerykanów. Przechytrzą nas, rozumiesz? Oszukają nas. I użyją swego podstępu, by przetrwać i wymordować nas w chwili, gdy będziemy najbardziej odsłonięci. Co ty o tym myślisz? Amerykanin skrzyżował ramiona, które były jednak zbyt krótkie, by sięgnąć w poprzek zaokrąglonego torsu. Przyglądał się obliczu swego pakistańskiego gospodarza.

- Podobała ci się moja opowieść? - spytał.

Pakistańczyk w pierwszej chwili nie odpowiedział. Palcem wskazującym gładził się po wąsach, delikatnie rozprostowując włoski.

- Doprawdy nie jestem pewien, czy ją zrozumiałem, Cyrilu. Zawsze mi się podobają twoje opowieści, co jednak ma oznaczać ta? I dlaczego, by ją opowiedzieć, zadałeś sobie trud przyjazdu do Pakistanu?

- Cóż, proszę pana, ta akurat mówi o trudnościach, jakie następuje odróżnianie przyjaciół od wrogów. Ludzie, którzy w istocie są twoimi wrogami, starać się będą wyglądać na twoich przyjaciół. Kiedy zaś to czynią, stają się wyjątkowo niebezpieczni. Rozumiesz?

Teraz Pakistańczyk zaczynał się irytować. Przy całej swej naturalnej uprzejmości i rezerwie nie mógł tego ukryć.

- Tak, oczywiście, że rozumiem. Nie jestem idiotą, proszę pana. Co jednak ta opowieść o podstępie ma wspólnego ze mną i z moim krajem? Dlaczego mnie tak obrażasz, sugerując, iż nie jesteśmy przyjaciółmi, lecz zwodzającymi was wrogami? Taki bowiem wydaje się zamysł tej opowieści, o ile nie zrozumiałem cię niewłaściwie.

- Zawsze wszystko rozumiesz jak należy, Mohammedzie. Jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem. I zawsze podziwiałem cię, zaiste podziwiałem, jako wielkiego dżentelmena i patriotę. Naprawdę.

Hoffman poprawił swą krągłą sylwetkę w fotelu, nachylając się ku osobie gospodarza, jakby chciał się upewnić, że jego słowa będzie słychać.

- Chcę jednak, byś zdał sobie sprawę, stary przyjacielu, iż są w Ameryce ludzie - a wśród nich naprawdę ważne szychy - którzy uważają, brutalnie rzecz ujmując, że sobie z nami pogrywasz. Że nie jesteś wobec nas szczery. Że deklarujesz, że jesteś naszym przyjacielem i sprzymierzeńcem, a tymczasem pomagasz ludziom, którzy zabijają naszych żołnierzy, a może nawet i nieuzbrojonych cywilów. Innymi słowy, że nas zwodzisz. To właśnie ludzie ci sądzą. I chcą - osobiście, jako przyjaciel, który cię szanuje i podziwia - żebyś wiedział, że istotnie jest to problem. Musisz skończyć z takim postępowaniem.

Pakistańczyk kręcił głową. Jego oblicze przybrało strapiony wyraz, w którym można było wyczytać: Jak też mogło do tego dojść? Jakże ów człowiek mógł przyłecieć do mojego kraju, by patrząc mi w oczy rzucać takie zniewagi? Nie wypowiedział tego na głos, aczkolwiek w wyraźny sposób dawał to do zrozumienia swoim zachowaniem, powiedział jednak coś innego, zdecydowanie bardziej bezpośredniego i w tym aspekcie to do niego nie pasowało.

- Posłuchaj, Cyrilu. Być może w Ameryce pewni politycy tak istotnie twierdzą, ale - jak to mówimy u nas w Pendżabie - to dała i randi. Alfonsi to i dziwki. Skończmy już te brednie. Możemy? Możemy skończyć z tymi bredniami? Wiem, dlaczego tu przyjechałeś. I znam powód, dla którego opowiedziałeś mi swoją bajeczkę o fladze.

- Naprawdę? Kamień spadł mi z serca. Proszę cię więc, powiedz, jakiz to powód?

- Tak, Cyrilu, pozwól, że przedstawię ci historię prawdziwą, a nie tę zmyśloną: ponad tydzień temu w Karaczi uprowadzony został Amerykanin. Bardzo nam z tego powodu przykro. Jak z pewnością wiesz, nasza policja starała się pomóc, jak tylko mogła.

- Tak, tak. Dziękuję wam za to - Hoffman pokiwał swą wielką głową.

- Otóż człowiek ten wyglądał na biznesmena. Jesteśmy jednak całkiem pewni, że w istocie był kimś innym. Mówiąc wprost, że był oficerem wywiadu. Nie rozumiemy jednak dla kogo pracował. Nie wydaje się, by pracował dla waszej szacownej organizacji, Cyrilu, ani też dla żadnej znanej nam jej części. Wygląda natomiast, iż był na usługach jakiegoś innego tworu, którego nie znamy. I zupełnie nam się to nie podoba. To mnie się raczej należą przeprosiny. To w najwyższym stopniu ohydne pogwałcenie naszej suwerenności. Nie mogło się nie spotkać z reakcją, dlatego też pan Barkin musiał się spakować. Hoffman wzruszył ramionami i złożył ręce na piersi. Wyglądał jak wielkie jajo w letnim garniturze.

Pakistańczyk był wściekły. Urażono jego dumę, a tego typu rany łatwo się nie goją. Jego głos brzmiał teraz ostrzej.

- Nie spodziewałem się komentarza. O żaden też nie prosiłem. Muszę ci jednak wyznać, że taki rozwój wypadków bardzo nas niepokoi. Nie lubimy, gdy nasi „przyjaciele” pozwalają sobie na gierki na naszym podwórku. Pod tym względem, mój drogi panie, jesteśmy dokładnie tacy sami jak wy.

- Co szczególnie mi się nie podoba, Cyrilu - ciągnął - to implikacja zawarta w twoich komentarzach - i w samym fakcie twojego przyjazdu - że rzekomo mamy coś wspólnego ze zniknięciem tego nieszczęśnika. Odbieram to jako autentyczną obrazę. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy i wycierpieliśmy, po wszystkich bombach terrorystów, wszystkich poległych, oskarża się nas o morderstwo. Wprawia mnie to w gniew.

Hoffman podniósł dłoń, prosząc Pakistańczyka o dopuszczenie go do głosu. Odezwał się już łagodniej.

- Nie chciałem cię urazić, Mohammedzie. W żadnym wypadku. Nie mogę też, rzecz jasna, skomentować opowiedzianej przez ciebie pięknej historyjki o zniknięciu pewnego dzentelmena, który - jeśli mnie pamięć nie myli - pracował dla spółki finansowej z Londynu. Pozwól tylko, że powiem, mój drogi i szacowny przyjacielu, że gdybyśmy uznali, iż wasze służby są w jakikolwiek sposób powiązane ze zniknięciem amerykańskiego obywatela, w takich okolicznościach potraktowalibyśmy to śmiertelnie poważnie. Tak, proszę pana, z absolutnie śmiertelną powagą.

- My tego nie zrobiliśmy, Cyrilu. Nic o tym nie wiemy. Przemawiał surowym tonem, jakiego używa się do wygłaszania najważniejszych i najpoważniejszych kłamstw.

Hoffman bez mrugnięcia wpatrywał się w oczy gospodarza.

- Cholera, ja też wcale nie powiedziałem, że to wy.

- Pozwolę sobie powtórzyć: My tego nie zrobiliśmy. Ktokolwiek to zrobił, nie mamy z tymi ludźmi żadnego kontaktu. Jeśli sądzisz, że mamy, to się mylisz.

- To miło - stwierdził Hoffman. Uśmiechał się. W jego głosie było jednak wyraźnie słychać, że nie wierzy w słowa rozmówcy. Oto dwaj starzy przyjaciele siedzieli naprzeciwko siebie i wygłaszali oświadczenia, które z dużą dozą pewności nawzajem uznawali za fałszywe. Pakistańczyk w geście frustracji rozłożył ramiona dłońmi na zewnątrz. Jakże się też znaleźli w obecnym impasie? Upił kolejny łyk herbaty, która zdążyła już wystygnąć, po czym zamknął na moment oczy, pragnąc oczyścić umysł.

- Powiem ci coś, Cyrilu, ze względu na fakt, iż jesteśmy przyjaciółmi - oznajmił generał. Z początku mówił cicho, lecz jego głos stopniowo nabierał siły. - Szukasz w niewłaściwym miejscu. Popelniasz błąd charakterystyczny dla twojego kraju. Dziwi mnie to, zważywszy, że jesteś mądrzejszy od większości swych kolegów, lecz tak właśnie wygląda sytuacja.

- Zamieniam się w słuch, Mohammedzie. Cóż to za błąd?

- Nie zdajecie sobie sprawy ze swych słabości. Nie zdajecie sobie sprawy, że wasz adwersarz może wam uczynić to samo, co wy czyniliście dotąd jemu. Macie przeciek, mój drogi. Nie mogę powiedzieć gdzie, ale sam możesz go wykryć. Przykro mi. Chociaż w tych waszych

nowych tajnych machlojkach, na czymkolwiek one polegają, byliście bardzo sprytni, jakimś cudem tamtym udało się was wykryć.

- Stary Cyril trochę wolno dziś kojarzy. Bądź łaskaw wyjaśnić nieco bardziej.

- Nie mogę, proszę pana. I o to mi właśnie chodzi. Ja ni nie wiem. Ale jest ktoś, kto wie. Nad tym musisz się zastanowić.

- Od tych zagadek głowa mnie już boli, Mohammedzie. Czemu tego, co masz mi do powiedzenia, nie możesz powiedzieć mi wprost?

- A czemuż miałbym? Jakbym zresztą mógł? Dopiero co oskarżyłeś mnie w gruncie rzeczy o morderstwo. Dlaczego miałbym sądzić, że wysłuchasz czegokolwiek, co ci powiem?

- Bądź tak miły i po prostu mi to powiedz. Powiedz, na czym nas nakryli. No dalej, do cholery, mów.

Generał potrząsnął głową. Nie lubił słuchać wulgaryzmów, zwłaszcza zaś w zaciszu swoich własnych komnat.

- To, co najważniejsze, już ci wyjawilem, Cyrilu. Fakt, że mnie nie zrozumiałeś, odzwierciedla tylko istotę problemu. Pytasz mnie o więcej, ale niczego więcej nie ma. Być może zastanowisz się nad tym w drodze do domu. Być może zastanowisz się nad tym bardziej, kiedy już do niego wrócisz. Może coś w tej sprawie zrobisz. Nie umiem stwierdzić. To nie moje zmartwienie. Tylko twoje.

Generał podniósł się. Spotkanie dobiegło końca. Uściśnął dłoń Amerykanina, a następnie, czując, że to za mało, ponownie ucałował go w policzki. Tym razem Hoffman nie odwzajemnił gestu. Dłoń, którą podał Pakistańczykowi, była zaś lodowato zimna, był bowiem przekonany, że pomimo wszystkich miłych słów rozmówca nie był z nim szczery.

Pakistańczyk spojrzał na gościa, a na jego twarzy odmalowały się jednocześnie gniew i uraza.

- A tak swoją drogą, ten wasz człowiek z Karaczi już nie żyje. Ciało nie da się odzyskać, podejrzewam jednak, że wolelibyście go nie oglądać. Zważywszy na okoliczności, zgon był dla niego prawdziwym błogosławieństwem. Nasza policja oznajmi, że miał wypadek. Wybrał się na wspinaczkę i spadł z klifu. W ten sposób obydwaj unikniemy wstydu. Załadujemy coś do trumny i odeślemy ją do Londynu. Ty już martw się o całą resztę.

Cyril Hoffman skinął głową. Jak bardzo było to do Pakistańczyków podobne, tak posprzątać powstały bałagan. Wychodząc z powrotem w poranny upał Rawalpindi, rozmyślał nad faktem, że jego drogi przyjaciel generał Malik nie mógłby wiedzieć o śmierci oficera amerykańskiego wywiadu, chyba że pracował z ludźmi, którzy go zamordowali.

Rozdział 14

ISLAMABAD, PAKISTAN

Doktor Omar al-Wazir zaparkował samochód przy Scholar s Drive i po betonowych stopniach wszedł do swego gabinetu na Państwowym Uniwersytecie Nauki i Technologii. Znajdował się on na zachód od Islamabadu, w opuszczonym sektorze przyległym do Szosy Kaszmirskiej, znanym jako H-12. Zupełnie jakby władze pragnęły objąć naukę kwarantanną i utrzymać ją na bezpiecznej odległości. Palmy przy wejściu były tak przywiedle, że czubkami niemal sięgały podłoga, zaś z roślin doniczkowych ustawionych wzdłuż chodnika w upale pełnego lata pozostał szpaler łodyżek z otaczającymi je grudkami ziemi.

Tego dnia doktor Omar pełnił dyżur w Szkole Inżynierii Elektrycznej i Informatyki.

Zajmował stanowisko pracownika badawczego, pozycję przez wielu pożądaną ze względu na fakt, że jedyną związaną z nią odpowiedzialnością, poza prowadzeniem własnej pracy naukowej, było nadzorowanie garstki studentów ostatniego roku. Doktor zamknął chroniące od słońca żaluzje i w gabinecie zapanowała niemal zupełna ciemność. Jedyнным przedmiotem, który odbijał jakiegokolwiek światło, była zapisana równaniami i algorytmami biała tablica na drugim końcu pomieszczenia.

Doktor Omar włączył komputer i zaczął, aż ekran maszyny ożyje. Korespondencji na wrażliwe tematy nie prowadził stąd, a z innego urządzenia w sali komputerowej, którego

adres IP łatwiej było ukryć. Istniały jednak również zagadki, które mógł rozwiązywać w gabinecie. Zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku, który znajdował się na tkwiącym w drzwiach haku. Był ubrany elegancko - miał na sobie białą koszulę i lekki, letni garnitur w kolorze tytoniu. Gładko ogolony, bez chociażby wąsów, pomimo wydatnego nosa i ciemnej karnacji wyglądał bardziej na człowieka z Zachodu aniżeli na Pakistańczyka.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzał młody człowiek o postrzępionej brodzie. Miał na imię Tahir i pod opieką doktora Omara prowadził studia doktoranckie. Temat jego pracy przedstawiał się obiecująco: „Analiza przepływu danych dla bezpieczeństwa sieci przy użyciu algorytmów strumieniujących i teorii nauczania”. Kiedy praca zostanie ukończona, armia zapewne postanowi ją utajnić, co zatrzyma karierę Tahira w miejscu, na razie jednak mógł on jeszcze marzyć.

- Przepraszam, Ustad, że pana niepokoję - odezwał się młodzieniec. Wyglądał, jakby od tygodnia nie jadł ani nie spał.

- Wejdz, Tahir - powiedział nauczyciel, podając studentowi dłoń i delikatnie wciągając go do gabinetu. - Mam teraz dyżur. Wcałe mnie nie niepokoisz. Dzisiaj jestem cały twój. O co chodzi?

- Zastanawiałem się, doktorze, czy odezwali się do pana ze Stanforda lub Caltech?

Doktor Omar dysponował kontaktami na wydziałach informatyki obu kalifornijskich uczelni jeszcze z czasów, gdy sam był młodym geniuszem bezpieczeństwa komputerowego. Tahir poprosił go o pomoc w zaaranżowaniu wyjazdu stypendialnego na jedną z nich po ukończeniu doktoratu.

- Rozmawiałem z nimi, ale obawiam się, że nie mam dobrych wieści. Nie mogą przyjąć cię na przyszły rok. Zdażyli już poczynić ustalenia z ludźmi opracowującymi podobną tematykę badawczą. Mówię ci, koi baat nahin. Nie przejmuj się. Będą inne okazje, by postudiować zagranicą. Uniwersytet prowadzi teraz wiele programów wymiany z Chinami.

Młody człowiek z zalem potrzęsnał głową. Nie chciał jechać do Chin, tylko do Stanów Zjednoczonych.

- A co z Iowa State? - spytał. - Albo University of Central Florida? - Państwowy Uniwersytet Nauki i Technologii utrzymywał bowiem oficjalne kontakty również z tymi uczelniami.

Doktor Omar roześmiał się na myśl o małym Tahirze, mizernym niczym koza, który miałby walczyć o swoje w dziczy Orlando.

- Spróbujemy - oznajmił. - W żadnym z tych miejsc nikogo nie znam, ale wyślę im abstrakt z twojej pracy dyplomowej wraz z uprzejmym listem... i kto wie.

- Dziękuję, Ustad.

Student pokłonił się lekko i wycofał z pokoju, zupełnie jakby zakończył audiencję u średniowiecznego księcia.

Gdy Tahir wychodził, doktor Omar się uśmiechnął. Wszyscy ci chłopcy pragnęli wyjechać do Ameryki, nie zważając na trudności z wizami, na wydatki i wszystko inne. Profesor był to w stanie w pełni zrozumieć. Sam w ich wieku postępował bardzo podobnie. Chciał wyrwać się ze świata, gdzie pisane ci było mieszkać z matką aż do czasu znalezienia sobie żony, która następnie zaczynała się zachowywać, jakby to ona była twoją matką.

Ten akurat problem nie dotyczył już doktora Omara, aczkolwiek nie znajdował w tym fakcie pocieszenia. Swoją

matkę stracił przed niemal dwoma laty, a wraz z nią prawie wszystkich pozostałych członków rodziny, wspomnienie o tym było dla niego gorzkie jak trucizna. Czasem, gdy zamykał oczy, świat ponownie pogrążał się w białości. Nigdy o tym zdarzeniu nie mówił i wiedziało o nim tylko parę osób. Wciąż żyła jego jedna siostra, która owego potwornego dnia przebywała gdzie indziej z własną rodziną. Obecnie mieszkała w Peszawarze, gdzie doktor Omar od czasu do czasu ją odwiedzał i dokąd przesyłał pieniądze, aby pomóc w opłaceniu edukacji jej dzieci.

???

W oczekiwaniu na przyjsie kolejnego chętnego studenta naukowiec powrócił do prowadzonych badań. Ostatnimi czasy jego główny projekt, przynajmniej oficjalnie, dotyczył zagadnienia zwanego „neurobiologią obliczeniową” skupiającego się na algorytmach ludzkiego mózgu. Myśl, że komputery będą w stanie naśladować procesy zachodzące w kłębkach neuronów, napawała nadzieją i optymizmem i pod tym względem badania stanowiły dla doktora wytchnienie od jego drugiej roboty, którą utrzymywał w tajemnicy przed wszystkimi. Ludziom z Wojskowej Akademii Łączności w Rawal-pindi, którzy przeglądali prowadzone przez niego prace, powiedział, iż neurobiologią obliczeniową stanowi przyszłość technologii militarnej, gdyż pewnego dnia będzie można dzięki niej sterować robotami. Pomysł spodobał się wojskowym, co zaowocowało okazałym grantem badawczym. Aby wszyscy byli zadowoleni, doktor Omar nie przestawał się też udzielać w kwestiach bezpieczeństwa komputerowego. Co jakiś czas pisał artykuły naukowe, udzielał konsultacji za granicą, a także na prośbę Wojskowej Akademii Łączności dawał wykłady w Rawalpindi. Praca, którą zwięźcił własne

studia, poświęcona była dziedzinie „pseudoprzypadkowości” czyli technice wykorzystującej mechanizmy algorytmiczne dla osiągnięcia liczb, które z technicznego punktu widzenia niczym nie różniły się od wartości losowych. Doktor Omar fascynował się liczbami od zawsze, odkąd był jeszcze małym chłopcem w Makinie, a rozwiązania zagadek numerycznych rozbłyskiwały mu w głowie niczym girlandy jarmarcznych lampek.

Kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych skończył prace nad doktoratem, okazało się, że temat „pseudoprzypadkowości” stał się niezwykle popularny. Nad podobnym zagadnieniem pracował zespół badawczy na Uniwersytecie Stanforda, toteż doktor Omar został zaproszony, by przedstawić wyniki swoich dociekań. W ten oto sposób zawarł znajomość z Kalifornijczykami, jak również z wieloma innymi ludźmi. Siedzący w końcu sali gościnni analitycy przestudiowali wzory Pakistańczyka i znaleźli dla nich zastosowania dalece wykraczające poza wyobrażenia młodego naukowca.

Omar al-Wazir, ochrzczony przez poznanego tego lata hinduskiego kolegę przydomkiem „Waz” spędził w Pało Alto miesiąc. Mieszkał w apartamencie akademika dla studentów ostatniego roku za budynkiem wydziału prawa, większość czasu spędzał jednak w bibliotece informatycznej w matematycznym skrzydle Izby Pamięci.

Kiedy Omar chadzał do pobliskiego baru Peet's Coffee & Tea, kalifornijskie dziewczęta często próbowały go poderwać. Był wysoki, wyglądał egzotycznie i już wówczas wyróżniał się ujmującym usposobieniem młodego wykładowcy. W końcu dziewczyna o imieniu Debbie zdołała zaciągnąć go do łóżka. Mieszkała w przestronnym, typowym kalifornijskim domu przy Page Mili Road. Omar nigdy w życiu nie widział równie ogromnych piersi. Od tej pory kochali się każdego dnia, aż nadeszła pora, by wrócił do Pakistanu. Debbie obiecała, że będzie pisać, lecz słowa nie dotrzymała. Dla niej był po prostu wakacyjną miłością.

Podczas miesiąca spędzonego w Pało Alto Omar poznał też wiele innych osób, które później utrzymywały z nim kontakt i interesowały się jego postępami w badaniach. Pakistańskie władze przepętały go po powrocie do kraju, zarazem jednak były z niego dumne. Wykonał kilka konsultacji na zlecenie rządu, a jako że zaczęto go zapraszać na konferencje za granicą, zawsze po powrocie składał sprawozdania - nie o wszystkich wyjazdach i z pominięciem niektórych szczegółów, tyle jednak wystarczyło, by wszyscy byli zadowoleni. Ze względu na swe plemienne wychowanie i uprzejme usposobienie Omar al-Wazir postrzegany był jako człowiek nieskazitelny.

Przed kilkoma laty, jeszcze przed nieszczęściem w Makinie, zdarzyło się, że Zarząd Służb Wywiadowczych zaprosił go - a w istocie polecił mu się udać - do swej siedziby w dzielnicy Aabpara. W owym okresie służby wzywały do siebie wielu naukowców.

Przepytował go nieprzyjemny człowiek, który przedstawił się jako major Nadim. Śledczy przeciągnął go po wszystkich drózkach jego dotychczasowego życia.

- Dlaczego poszedł pan do Szkoły Kadetów w Razmak? - spytał major.

- Wysłał mnie tam ojciec. Powiedział, że na nic bym się nie przydał jako myśliwy lub bojownik, bo zawsze siedziałem tylko nad liczbami. Proszę nie pytać w jaki sposób, lecz wiedziałem, które z nich są pierwsze, a które dzielą się przez dziewięć, dwadzieścia siedem czy sto dwanaście. Ojciec

uznał, że to dar, aczkolwiek nieco dziwny. Stwierdził, że powinienem pójść do szkoły z prawdziwego zdarzenia. Jak pan chce, może pan zadzwonić i go spytać.

Doktor Omar podał majorowi telefon komórkowy.

Żył wtedy jeszcze jego ojciec - pomarszczony staruszek, starający się jakoś przetrwać w Południowym Waziristanie, który z każdym dniem przemieniał się w istną strzelnicę.

Major potrząsnął głową. Nie miał najmniejszej ochoty na pogawędkę z żyjącym pośród skał starym pasztuńskim dziadkiem.

- Co pan robił w Razmak? - zapytał.

- Studiowałem matematykę i inżynierię. Zdobyłem tam wszystkie możliwe wyróżnienia i to dwa lata przed czasem, więc załatwili mi stypendium na uniwersytecie w Pesza-warze, gdzie istniał wydział informatyczny. Zamieszkałem w jednym ze schronisk młodzieżowych i wstąpiłem do Chaj-berskiego Islamskiego Towarzystwa Kulturalnego. Może pan to sprawdzić.

- Znał pan już wtedy jakichś Amerykanów?

- Nie, ale pragnąłem poznać. Na ścianie powiesiłem sobie zdjęcie młodego Billa Gatesa. Nie wyglądał wcale lepiej czy mądrzej od któregośkolwiek z mieszkających w schronisku pasztuńskich chłopców. Wszyscy chcieliśmy być tacy jak on.

Major skinął głową. Bill Gates był do przyjęcia. Zapytał o wyjazd na Uniwersytet Stanforda. Kto też interesował się jego badaniami?

- Tak wielu ludzi, że nie wszystkich zdołałem poznać. Analizowali moją pracę, zadawali mi pytania. Zaraz po powrocie opowiedziałem o tym ISI. Majorowi takiemu jak pan. Może pan to sprawdzić.

Major nie chciał sobie przysparzać dodatkowej roboty. A poza tym przesłuchiwany mówił prawdę, podane informacje znajdowały się już w aktach.

- Po co wrócił pan do Ameryki? - spytał, spoglądając na kartkę papieru.

- Zostałem zaproszony na konferencję, którą sponsorował m.in. Instytut Inżynierii Elektrycznej i Elektronicznej. Był to wielki zaszczyt zarówno dla mnie, jak i dla mojej uczelni. Może pan ich spytać.

Po raz kolejny wyciągnął dłoń z telefonem, aby major Nadim mógł zadzwonić i sprawdzić, lecz major potrząsnął tylko głową.

Spędzili tak jeszcze parę ładnych godzin, przekopując się przez istotne epizody kariery doktora Omara. Kiedy doszli do jego najświeższych badań nad algorytmami dotyczącymi bezpieczeństwa komputerowego, doktor Omar z przykrością wyjaśnił, iż w żadnej mierze nie może na ten temat rozmawiać, bowiem pakistańska armia zastrzegła prace jako „ściśle tajne”.

Major nie dopatrzył się w zeznaniach niczego ciekawego. Doktor Omar był osobą bardzo ostrożną zarówno wtedy, jak i zawsze. Major polecił mu podpisać dokument i donosić o wszelkich podejrzanym znajomościach, zaś doktor zapewnił, że tak właśnie postąpi.

Pakistańskie władze nigdy potem już się nim nie interesowały. Działo się to na trzy lata przed chwilą, gdy świat doktora pogrążył się w białości.

Można by powiedzieć, że Omar al-Wazir miał pod wieloma względami osobowość binarną. Był Pakistańczykiem, lecz zarazem w pewnym sensie człowiekiem przywiązany do kultury Zachodu. Paszturem z dzikich terytoriów plemiennych Południowego Waziristanu, a jednocześnie osobą nowoczesną. Był świeckim naukowcem, a przy tym muzułmaninem,

nawet jeśli niekoniecznie żarliwym. Przed wydarzeniami sprzed prawie dwóch lat kwestia poczucia lojalności mogła zaiste stanowić dla niego dylemat, tak już jednak nie było. Niekiedy doktor Omar zamartwiał się, przywołując w myślach ducha swego ojca Hadži Mohammeda. Pamiętał, jak starzec ze zrezygnowaniem kręcił głową, gdy Omar oddawał kiepskie strzały ćwiczebne ze starego karabinu Enfiel-da, prawie za każdym razem pudłując. W obliczu ojca mógł wtedy wyczytać pytanie: Jak to możliwe, że ten nieumiejący strzelać chłopiec to mój pierworodny syn? Lecz mimo to Hadži Mohammed zdołał nauczyć go kodeksu honorowego.

Ojciec wpoił Omarowi katechizm zasad. Wojny zaczyna badał, czyli obraza czyjegoś honoru i poczucia poszanowania samego siebie. Dumny człowiek musi pomścić taką zniewagę, oko za oko, bo w przeciwnym razie okryje się wielką hańbą. Hadži Mohammed wytłumaczył synowi, że właśnie dlatego na terytoriach plemiennych trwały bezustanne wojny. Na tym polegał Nang-e-Paszo, plemienny kodeks honorowy, który zobowiązywał ludzi do szukania zemsty za niesprawiedliwość doznaną ze strony kuzynów, sąsiadów, wrogich plemion czy też cudzoziemskich najeźdźców. Człowiek poprzysięgał spać na gołej ziemi bądź też jeść wyłącznie przy użyciu lewej ręki aż do czasu dopełnienia zemsty i dopiero wtedy przestawał się umartwiać.

- Mój umysł śmierć przedkłada nad życie, jeśli życie wieść by trzeba było w stanie hańby - wyznał pewnej nocy Hadži Mohammed na koniec długiego spaceru pod rozgwieżdżonym niebem.

- Ojczy, proszę cię - odezwał się wówczas Omar, podejrzewając, że starzec może w tej samej chwili przystawić do jego głowy lufę. Lecz Hadži Mohammed zaśmiał się tylko i wyjaśnił, że po prostu cytował tekst Khuszala Khan Khatta-ka, siedemnastowiecznego poety-wojownika i że jego słowa nic nie straciły na aktualności.

Był to kodeks, który pojmował fenomen walki, lecz który zarazem został wystawiony na próbę przez wielkie wojny, jakie wstrząsały czerwonymi skałami wzgórz niczym długi, rezonujący łańcuch eksplozji.

Kiedy Omar był małym chłopcem, po drugiej stronie granicy wciąż jeszcze stacjonowali Rosjanie, a jego miasto stanowiło bazę wypadową dla afgańskich świętych wojowników. Omar pamiętał, jak obnosili się po ulicach z bronią, którą otrzymywali od Amerykanów i ich pakistańskich agentów. Kiedy Rosjanie wreszcie sobie poszli, święci wojownicy przemienili się w zwykłych watażków i tamtejszy świat pogrzyżył się w anarchii. Gdy zaś Omar był nastolatkiem, pojawili się gniewni młodzieńcy, którzy nazywali się Talibami i domagali się sprawiedliwości. Oni również przechodzili przez Makin w drodze do Chost i Kandaharu i z powrotem.

Jednak wszystko to stanowiło zaledwie preludeum do wielkiej wojny, jaka nadeszła, kiedy Omar opuścił już strony rodzinne i wyjechał na studia - kiedy do Południowego Waziristanu przybyła Al-Kaida z jej pieniędzmi, a potem w ślad za nią pojawili się Amerykanie i rozpętali istne piekło. Doktor Omar zastanawiał się wówczas, czy nie powinien wrócić w rodzinne strony, lecz wiedział, że było to niemożliwe. Namawiał więc ojca i matkę, by wyjechali, to jednak również było niewykonalne. Oboje byli zakorzenieni w tamtejszej skalistej glebie niczym dwa kolczaste krzaki kaktusa.

Przez jakiś czas Omar sądził, że może zakończyć wojnę, jeśli pomoże w pozbyciu się Al-Kaidy, aby w rezultacie Amerykanie wyjechali. To jednak przerastało jego możliwości. Podążał za nim cień, który podąża za każdym pasztuńskim mężczyzną, a który zwie się wstyd. Nie wystarczyło odnieść sukces; najistotniejsze to być człowiekiem honoru. Dlatego też przed dwoma laty Omar udał się w rodzinne strony, chcąc się przekonać, czy może przed tym cieniem umknąć. Jednakże kolejny cień pozbawionej wstydu hańby, pogrzyżył jego świat w ciemnościach.

Omar od zawsze zastanawiał się, co by zrobił, gdyby coś stało się jego rodzicom. I wtem, owego koszmarne dnia, poznał odpowiedź.
???

Doktor Omar czekał na kolejnych studentów, lecz przez resztę poranka żaden już do niego nie zajrzał. Zamknął więc drzwi swojego gabinetu i udał się do pracowni komputerowej w oddalonym o sto metrów przysadzistym, dwupiętrowym budynku, skąd wolał prowadzić korespondencję ze względu na większe bezpieczeństwo przesyłu danych. Miał szereg rozmaitych kont e-mailowych, które regularnie sprawdzał, a także - można powiedzieć - szereg różnych osobowości, które zamieszkiwały owe wirtualne przestrzenie. Przez większość czasu Omar czuł, że żyje skryty pod maską. Paradoksalnie jednak, kiedy wykonywał pracę pod którymś z fikcyjnych nazwisk, odczuwał pewną namiastkę wewnętrznego spokoju.

Rozdział 15

STUDIO CITY, KALIFORNIA

Po powrocie z Dubaju Sophie Marx padała ze zmęczenia. Podczas lotu w tamtą stronę nie wyspała się, gdyż trapiły ją myśli o czekającym ją spotkaniu. Miała nadzieję, że w drodze powrotnej po prostu zapadnie się w fotelu, jednakże mogła pozwolić sobie jedynie na przerywaną drzemkę. Jej ciało było zbyt zmęczone, a jej umysł zbyt rozgrzany, by mogła spokojnie zasnąć. W imieniu Gertza i całego zespołu wzięła na siebie odpowiedzialność za zbadanie sprawy zniknięcia jednego z kolegów. Tymczasem wracała do domu z pustymi rękami. Jej teoria okazała się błędna. Wciąż nie miała pojęcia, w jaki sposób zdekonspirowano Howarda Egana, nie wiedziała też, kto jeszcze w formacji mógł być narażony na niebezpieczeństwo. Dręczyło ją nieznośne poczucie klęski poniesionej w misji, na której powodzeniu bardzo jej zależało.

Na rozkładanym łóżku w odrzutowcu linii Emirates wierciła się na wszystkie strony, usiłując znaleźć wygodną pozycję. Sen jednak nie przychodził, zaczęła się więc zastanawiać nad odpowiedziami na przesładujące ją pytania. Po wielu godzinach doszła do wniosku, że problem po części leży w fakcie, iż nie rozumie kontekstu rozgrywających się wydarzeń. Czemu w ogóle Egan był w Pakistanie? Dlaczego przekazywał pieniądze plemiennym emirom? O co chodziło w misji, dla której Gertz postanowił zaryzykować jego życie? Marx wpadła na chwilę do domu, wzięła prysznic i przebrała się, po czym pomimo zmęczenia udała się do biura. Chciała zacząć przetrząsać akta, by sprawdzić, czy znajdzie w nich odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Jeff Gertz wybył akurat na kolejną tajemniczą wycieczkę, co tylko ułatwiało sprawę. Uznała, że nie musi go prosić o zgodę na ściągnięcie danych operacyjnych, jako że już wcześniej ją od niego otrzymała.

Najtajniejsze informacje w zasobach Hit Parade nie były dostępne w systemie komputerowym, a jedynie w wersji papierowej, którą przechowywano w dużym pomieszczeniu zwanym „Skarbcem” na dziewiątym piętrze budynku. Pieczę nad tą archaiczną biblioteką trzymał emerytowany oficer wojska, który wcześniej pracował dla Wydziału Kryptologii Militarnej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, znanego jako Centralna Służba Bezpieczeństwa. Był nim marudny gość, który przez kilka dziesięcioleci pomagał strzec największych sekretów Ameryki. Zawsze mówiono o nim „Pułkownik” pomimo że z aktywnej służby odszedł już przed dziesięcioma laty.

Marx wjechała windą na dziewiąte piętro i weszła do jaskini pułkownika. Drzwi były zamknięte, a strażnik w pierwszej chwili nie odpowiedział, być może licząc, że przybysz sobie pójdzie. Zapukała ponownie, już mocniej - tym razem drzwi otworzyły się i stanął w nich Pułkownik. Był to niski, łysiejący człowiek, niewiele wyższy od samej Marx, o rumianej twarzy i bulwiastym nosie. Naprawdę nazywał się Samuel Sinkler, jednak rzadko kiedy ktoś się do niego tak zwracał. Wolał posługiwać się jedynie stopniem.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Pułkowniku, ale muszę zajrzeć do akt operacji w Pakistanie.

Pokazała mu swoją odznakę.

- Nie da rady - odparł. - Przykro mi, lecz ich pani nie dostanie.

- Ale pan Gertz osobiście zezwolił mi na przeglądanie wszelkich akt potrzebnych w dochodzeniu odnośnie Howarda Egana.

- Nic takiego mi nie mówił. - Na ustach Pułkownika pojawił się delikatny uśmiech. Lubił mówić nie.

Marx pokręciła głową. Była zmęczona i nie lubiła, gdy nią pomiatało.

- Potrzebuję tych akt, Pułkowniku. Bez nich nie mogę wykonywać mojej pracy.

- To już nie mój problem, panienko. Mogłaby się pani zwrócić do pana Gertza, ale go tu nie ma.

Ponownie się uśmiechnął.

Zastanowiła się, co zrobić. Najwyraźniej spodziewał się, że jeśli odmówi interesantce wystarczającą ilość razy, ta skapituje.

- Nie pójdę sobie, dopóki nie przejrzę tych akt. Dopuści mnie pan do nich, jeżeli zgodę wyrazi Steve Rossetti?

- Być może - odparł Pułkownik.

Podniosła słuchawkę telefonu na najbliższym biurku i wybrała numer wewnętrzny Rossettiego.

- Steve, tu Sophie. Wróciłam z Dubaju i mam pilną sprawę. Muszę się dostać do pewnych akt na dziewiątym piętrze, a Pułkownik Sinkler mówi, że potrzebuje czyjś upoważnienia.

Możesz tu teraz podejść?

Zapadła cisza. Po drugiej stronie łączy Rossetti zwlekał z odpowiedzią. Nie lubił podejmować decyzji.

- Naprawdę potrzebuję w tej chwili pomocy, Steve - odezwała się. - W innym wypadku będę zmuszona zadzwonić do Jeffa. Raczej się nie ucieszy, ale nie mam wyboru.

To wystarczyło. Pięć minut później Rossetti przyszedł i osobiście podpisał Pułkownikowi wymagany świstek. Ani jeden, ani drugi nie wydawał się zadowolony.

- Dziękuję panom - rzuciła lekkim tonem. Pułkownik odprowadził ją do Skarbcza i odblokował stalowe drzwi, podczas gdy Rossetti powrócił do swojego gabinetu.

???

Między regałami panował ziąb. Pułkownik należał do ludzi, którzy uznawali, że w niskich temperaturach pracuje się skuteczniej. Marx miała na sobie bluzkę z długim rękawem, mimo to po półgodzinie dygotała już z zimna. Zeszła do swego biura i wróciła z kardiganem, zapinając go pod szyją. Regały i szafki skrywał mrok, poprosiła więc Pułkownika o latarkę, którą ten z niechęcią pożyczył. Tak jakby uważał, że ciemność stanowi jeden z elementów dobrego systemu ochrony.

Marx zaczęła się przekopywać przez papierową dokumentację podróży Egana. Była ona dokładniejsza od rejestrów w komputerze, z którymi zaznajomiła się wcześniej. Wymieniono w niej pięć wyjazdów do Pakistanu w ciągu ostatnich trzynastu miesięcy. Dwie z podróży Egan odbył do Karaczi, dwie do Lahore, a jedną do Islamabadu. Aby dowiedzieć się, co tam robił, Marx musiała przejrzeć dwa kolejne zestawy dokumentów. Pierwszym była teczka personalna Egana, zawierająca informacje o nadzorowanych przez niego kontaktach, lecz skrywająca też prawdziwe dane jego informatorów pod pseudonimami. W chwili zniknięcia prowadził czterech agentów, wszystkich opatrzonych w kartotece literami „AC” co w Hit Paradę stanowiło oznaczenie Pakistanu, zapożyczony z dawnego kryptonimu używanego przez CIA.

By poznać rzeczywistą tożsamość ludzi chronionych pseudonimami, Marx musiała zajrzeć do osobnego rejestru

w Skarbcu, trzymanego pod kluczem i pilnowanego przez kamery wideo. W tym wypadku Pułkownik także początkowo odmówił, toteż Marx ponownie wezwała Rossettiego, a ten podpisał kolejne upoważnienie, dzięki któremu mogła dostać się do środka.

- Miejmy nadzieję, że coś znajdziesz - zauważył Rossetti. - Jeżeli okaże się, że szukamy wiatru w polu, Gertz wkurzy się nie na żarty.

- Ty się już nie martw o Jeffa - odparła. - To moja sprawa. Rossetti wycofał się w kierunku windy, mamrocząc na odchodnym:

- Idź się przespać.

Pułkownik polecił jej odwrócić się tyłem i wstukał odpowiednią kombinację w elektroniczny zamek szyfrowy. Rozległo się kliknięcie i drzwi stanęły otworem. Marx wymacała włącznik światła i zabrała się do roboty.

Zacząła zestawiać kryptonimy z prawdziwymi nazwiskami. W pierwszej kolejności natrafiła na imię człowieka, którego przesłuchiwała w Dubaju, czyli Hamida Akbara. Wiedziała, że będzie jednym z tych czworga. Egan w ciągu trzynastu miesięcy spotkał się z nim czterokrotnie - dwa razy w Karaczi, raz w Stambule i raz w Abu Zabi. Drugi na liście był Azim Mohammed al-Darwesz. Uznała, że musi tu chodzić o wujka Akbara. Egan widział się z nim tylko raz, cztery miesiące przed uprowadzeniem, w Abu Zabi, tego samego dnia, kiedy spotkał się z jego bratankiem Akbarem, który najwyraźniej postanowił towarzyszyć wujowi we wstępnym spotkaniu zapoznawczym poza granicami kraju. Stanowiło to po prostu potwierdzenie jej wcześniejszych przypuszczeń.

Wtem przyszła pora na niespodzianki.

Trzecią osobą na liście był podpułkownik Hassan Chau-dhary. Wyglądało na to, że jest on oficerem w służbie czynnej pakistańskich sił zbrojnych. Egan spotkał się z nim trzy razy: raz w Londynie, raz w Bejrucie i raz w Lahore. Marx przeszledziła dostępne informacje o Chaudharym i odkryła, że służył w biurze szefa Rozwoju Bojowego, czyli jednostki organizacyjnej pakistańskiej armii, która nadzoruje tamtejszy program zbrojeń jądrowych. Pochodził ze znanego pendżab-skiego rodu, należał do trzeciego pokolenia wojskowych. Listę zamykał profesor Aziz Mukhtar, rektor Islamskiego Uniwersytetu Mohiuddin w kaszmirskim mieście Azad. Według dostępnych informacji profesor był wiodącym aktywistą na rzecz wyzwolenia Kaszmiru spod kontroli Indii. Egan spotkał się z nim dwukrotnie, za każdym razem miało to miejsce w Delhi.

Osobliwa to była mieszanka: bankier, przywódca plemienny, oficer wojska z wielkiego arystokratycznego rodu i muzułmański aktywista. Marx była zdezorientowana. Mogły to być działania wywiadu zagranicznego, mające na celu zbieranie informacji o planach i zamiarach Pakistańczyków. Takie wytłumaczenie nie wydawało jej się przekonujące. Zdobywanie materiałów o innych państwach nadal stanowiło domenę starych struktur CIA. Tutaj chodziło o coś innego.

Marx zapukała do drzwi Pułkownika, który zinterpretował to jako sygnał zakończenia działań na dziś i wyciągnął dłoń, aby odebrać pożyczoną latarkę. Tymczasem jednak padło kolejne pytanie.

- Jeśli pan pozwoli, Pułkowniku, chciałabym rzucić okiem w rejestr wydatków - oświadczyła.

- Muszę zobaczyć kwoty, jakie płaciliśmy agentom, których dane właśnie posprawdzałam.

- Nie wolno - odparł pilnujący bezpieczeństwa oficer. Jego pusty i nieprzyjazny wyraz twarzy przeistoczył się w uśmiech. Kolejny raz wypowiedzenie słów odmowy sprawiło mu przyjemność.

- Już się w to nie bawmy. Mogę znowu zejść na dół i po raz trzeci ściągnąć tu Steve'a Rossettiego, który przyjdzie i powie panu dokładnie to samo, co poprzednio. Ale szczerze mówiąc, Pułkowniku, będzie to strata czasu. Dlaczego się pan po prostu nie zgodzi?

- Nie mogę. To niemożliwe.

- A to niby dlaczego do cholery? - Użycie przekleństwa w obecności tego starego gbura sprawiło jej przyjemność, nie liczyła jednak na odpowiedź.
 - A dlatego, że tych danych po prostu tutaj nie ma. I proszę kontrolować słownictwo.
 - Skoro nie ma ich tu, to gdzie są?
 - Ma je pan Gertz. Nie wiem, gdzie je przechowuje. I jednocześnie jestem pewien, że nikt się nigdy do nich nie dostał, bowiem w przeciwnym razie najpierw spytałiby mnie, tak jak uczyniła to pani. Ale to strata czasu. Rejestry wydatków są poza systemem. Kiedy mam pytania co do pieniędzy, zwracam się z nimi do pana Gertza. Tak samo powinna postąpić i pani.
- ???

Sophie Marx powróciła do Skarbca jeszcze bardziej zdezorientowana niż dotychczas. Wciąż pragnęła znaleźć odpowiedź na podstawowe pytanie: jakie były cele działalności Hit Parade w Pakistanie? Teraz zastanawiała się jednak, czy być może nie oceniła mylnie skali całego programu. Przyjęła, że Howard Egan był jedynym oficerem zajmującym się pakistańskimi informatorami, ale tak wcale być nie musiało. Ponownie złapała za latarkę i zaczęła myszkować w głównej kartotece danych osobowych oraz danych dotyczących podróży. Jako że biblioteka nie została skomputeryzowana, nie można było dokonać prostej kwerendy i wyszukać wszystkich, którzy odwiedzili Pakistan bądź też prowadzili pakistańskiego agenta. Robotę trzeba było wykonać ręcznie.

Marx ponownie zajrzała do rejestru pseudonimów w poszukiwaniu wszelkich wpisów oznaczonych literami „AC”, które wyróżniały agentów pakistańskich. Zgromadzenie informacji zajęło jej resztę popołudnia, ale trud się opłacił. Zdała sobie bowiem sprawę, że ma do czynienia z fragmentem zakrojonej na większą skalę operacji.

Łącznie natrafiła na dziewiętnaście pozycji, w tym cztery odpowiadające agentom prowadzonym dotychczas przez Howarda Egana. Pozostali informatorzy podlegali oficerom prowadzącym, którzy stacjonowali w Paryżu, Bejrucie, Delhi, Kairze oraz Amsterdamie. Uzbroiwszy się w nazwy kodowe agentów, Marx ponownie skupiła się na dokumencie zawierającym ich prawdziwe dane i zaczęła scalać obraz sytuacji. Hit Parade udało się zwerbować wyższych funkcjonariuszy z wszystkich trzech najważniejszych pakistańskich partii politycznych. Opłacano również przywódców czterech kolejnych plemion na terenach przygranicznych - dwóch w Północnym Waziristanie, jednego w Orakzai i jednego w Malakandzie. Na liście płac figurowało dodatkowo dwóch informatorów z Kaszmiru oraz trzech prominentnych pakistańskich duchownych.

Jeśli wierzyć dokumentom, niedługo miała się rozpocząć nowa operacja. Młody oficer prowadzący z Amsterdamu niebawem miał się po raz pierwszy spotkać z potencjalnym kandydatem na współpracownika w osobie młodego pakistańskiego dyplomaty ze znanej rodziny, który pracował

w ambasadzie Pakistanu w Moskwie. Nazwisko amsterdamskiego oficera Hit Parade zapadło jej w pamięć. Był to Alan Frankel - rudy facet, część jego przykrywki stanowiło pisanie błoga. Marx poznała go przed sześcioma miesiącami, gdy przechodził akurat jakieś nowe szkolenie. Uznała wtedy, że jest całkiem uroczy i poniekąd nawet liczyła, że ją dokądś zaprosi, nic takiego się jednak nie stało.

Sieć, na którą natknęła się Sophie Marx, wyglądała na szeroko rozbudowaną - czyli na coś, czym w kwaterze głównej w Langley zajmowałaby się pewnie Sekcja Działań Specjalnych. W teorii wszelkie tego typu tajne operacje miały być prowadzone wedle planu strategicznego, który regularnie poddawano rewizji i aktualizacji. W wypadku działań w Pakistanie nie zachował się jednak ani jeden ślad po podobnych wytycznych. Skąd się te projekty brały? W jaki sposób je przydzielano? Kto sugerował odpowiednie nazwiska?

Nim na dobre oddała latarkę, jeszcze raz przeszła się do Pułkownika.

- Chciałabym przejrzeć wyniki dotyczące Działań Specjalnych w Pakistanie - oznajmiła. - I proszę tylko mi nie mówić, że się nie da.

- Ale się nie da.

- Nie no, doprawdy! A to dlaczego?

- Bo nie istnieją. A przynajmniej nie na papierze, ja żadnych nie widziałem.

- W takim razie gdzie? Musi istnieć jakiś plan. Nie wysyłamy ludzi w świat ot tak, od niechcenia. Jest jakaś dyrektywa, jakiś schemat.

- Tkwi w głowie pana Gertza. To on jest szefem. Może to spisuje, a może nie. Nawet jeśli, nic mi o tym nie wiado-

mo. Jestem pewien, że z kimś to omawia, ale w tej kwestii też nie mogę nic powiedzieć. A zatem, panno Marx, będzie pani musiała poczekać, aż pan Gertz wróci z podróży.

Tym razem Pułkownik miał całkowitą rację. Jedyным wyjściem było zaczekać na powrót szefa.

???

W drodze do wyjścia Marx zahaczyła o gabinet Rossettiego, aby podziękować mu za wstawienie. Kiedy zajrzała przez drzwi, wciąż był u siebie i wpatrywał się w ekran komputera. W pierwszej chwili sprawił wrażenie podenerwowanego, gdyż sądził, że przyszła znowu go o coś prosić, z ulgą więc przyjął wiadomość, że postanowiła na dziś skończyć robotę.

- Ty to się nie poddajesz, co? - zagadnął. - Zawsze taka jesteś?

Pytanie zaskoczyło ją. Była tak zmęczona, że nie pozostało jej nic innego jak odpowiedzieć szczerze.

- Jestem uparta. A przynajmniej byłam, kiedy jeszcze pracowałam w terenie. Po powrocie do Centrali rozleniwiłam się. Jak chcesz szczegółów, to wszystko jest w mojej teczce.

- Wiem - odparł. - Przejrzałam ją. I mnie zacięła.

- Zatem wiesz, że wpakowałam się w tarapaty w Addis Abebie?

- Tak, tylko dlaczego? Tego nie wyjaśnili. W teczkach osobowych zawsze pomijają najlepsze kawałki.

- Zostałam zdekonspirowana, ot co. Dla przykrywki pracowałam jako urzędnik UNESCO w Paryżu, dzięki czemu miałam powód, by regularnie odwiedzać biura ONZ w Libanie i Etiopii. Przede wszystkim zajmowałam się sprawami rozwojowymi, kursując do Bejrutu i z powrotem, i operując z biura UNESCO w obozie dla palestyńskich uchodźców w Mar Elias. Udał mi się tam werbunek, dzięki któremu dostaliśmy się do środka sieci komunikacyjnej Hezbollahu. Już mi się wydawało, że jestem całkiem niezła. Ale wtedy sprawy przybrały paskudny obrót.

- Co się stało?

- Rozpracowali mnie przy okazji następnego wyjazdu do Etiopii. Było naprawdę niewesoło.

- Opowiedz dokładniej. W latach dziewięćdziesiątych sam przez parę miesięcy siedziałem w Addis Abebie.

- Dobra. Już pierwszego dnia złapałam ogon. Taksówki, którą jechałam do lokalnej siedziby ONZ, uczeły się dwa wozy. Niezbyt się tym przejęłam, w końcu Addis Abeba nie była placówką podwyższonego ryzyka, wszędzie wkoło byli nasi sprzymierzeńcy, a ja nie chciałam wracać z pustymi rękami. Tak więc nazajutrz wybrałam się - już samochodem personelu UNESCO, fajnym, przestronnym mercedesem - aby obejrzeć projekt demonstracyjny w Debrę Zeit.

- I to był, jak rozumiem, błąd.

- I to duży. Jak tylko wyjechaliśmy ze strefy międzynarodowej, ruszyły za nami dwa pojazdy. Jechaliśmy przed siebie, aż wjechaliśmy w muzułmańską dzielnicę Saris, zamieszkałą przez uchodźców z Somalii. Droga stała się węższa. Wokół żadnych sprzymierzeńców. Wredna okolica. Idealna na zasadzkę.

- Co cię uratowało?

- Szczerze mówiąc, łut szczęścia. Kiedy samochód, który miał nas odciąć, ruszył w naszą stronę, wrzasnąłam na mojego kierowcę. Okazało się, że kiedyś był taksówkarzem w Stanach. To nas wybawiło: fakt, że Etiopczyk umiał prowadzić jak wariat. Uciekł wozem na pobocze. Goniące nas samochody próbowały za nami nadążyć, ale nasz mercedes z łatwością grzał ponad sto sześćdziesiąt na godzinę, a oni jechali jakimiś gruchotami. Krótko rzecz ujmując, po prostu im uciekliśmy.

- Nie chrzań. - Rossetti kręcił głową. Wbrew samemu sobie był pod wrażeniem.

- Zadzwoiłam pod numer alarmowy ambasady, po kilku minutach na miejscu zjawiała się policja i było już po wszystkim.

- I nikomu nic się nie stało?

- Przynajmniej fizycznie. Byłam spalona. Nawet ja to rozumiałam. Złożyłam rezygnację w UNESCO, wyprowadziłam się z nieziemsko uroczego mieszkania w Paryżu i wróciłam do Centrali, gdzie wegetowałam sobie do czasu, aż uratował mnie Gertz.

- W jaki sposób te dranie cię rozpracowały? - spytał Rossetti. - Kontrwywiad zdołał coś ustalić?

- Oficjalnie nic. Ale moim zdaniem od strony technicznej, jakoś pozyskując dane jeszcze w Libanie.

- Daj spokój! - Rossetti potrząsnął głową. Tamtejsi bojownicy nie byli wystarczająco rozgarnięci, by prowadzić eksplorację danych.

- Serio. Dzięki moim rozmowom przez komórkę. Libański rząd, czytaj Hezbollah, dorwał się do zestawień moich połączeń. Kiedy porównali dane z telefonami innych osób, które obserwowali, było po mnie. Tym odkryciem podzielili się ze swoimi przyjaciółmi z Addis Abeby.

- Naprawdę sądzisz, że są na tyle cwani?

- Steve, oni wcale nie muszą być cwani. Wystarczy, że mają ten sam sprzęt co my: oprogramowanie do drażenia danych, do analizowania wzorców, do badania powiązań, listy śledzonych wątków. Mogą być głupi jak cepy, a i tak zdołają przyskrzynieć dawną CIA. Ale właśnie dlatego istnieje Hit Parade, nie? Żebyśmy mogli jeździć tam, gdzie nas nie znajdują.

- Mam nadzieję, że to nadal działa.

Marx chciała w odpowiedzi rzucić coś optymistycznego, na nic takiego jednak nie wpadła. ???

Tajemnicza wyprawa Jeffa Gertza zawiodła go do Waszyngtonu, być może najmniej tajemniczego miasta świata. Pojechał tam, aby spotkać się z szefem personelu prezydenta Tedem Yazdim. Niezwykle to jednak było spotkanie. Odbyło się w prywatnym domu w Bethesda, należącym do jednego z asystentów Yazdiego, który na życzenie szefa udostępnił lokum. Pod tym względem przypominało to spotkanie z informatorem, aczkolwiek trudno było określić, kto tu kogo zwerbował.

Miejscem schadzki była rozległa podmiejska posiadłość na szczycie wzgórza. Z dużym portykiem oraz ceglano-ka-mienną fasadą, okolony równo przystrzyżoną trawą budynek przypominał siedzibę klubu golfowego. Teren oświetlały reflektory dalekosiężne, zaś na podjeździe stał mężczyzna w obszernym garniturze, który przyglądał się ulicy.

Kiedy Gertz zapukał do drzwi, Yazdi już czekał na niego w salonie. Żuł gumę i chociaż zasłony w pomieszczeniu były zaciągnięte, miał na nosie ciemne okulary. Siedział na brzegu kanapy, z niecierpliwieniem wyczekując początku spotkania. Niektórzy cywile łatwo dają się oczarować tajemnicom i rechoczą, słysząc szczegóły dotyczące życia seksualnego bądź problemów zdrowotnych zagranicznych przywódców, o których wspominają ich rozmówcy. Kimś takim był właśnie szef personelu prezydenckiego, który z wielką chęcią wkraczał do świata, który w innych okolicznościach był dla niego niedostępny.

Yazdi zażyczył sobie sprawozdania na temat prowadzonych przez Hit Paradę operacji. Z oczywistych względów bez śladu na papierze. Jako że prezydent był zajęty kalendarzem legislacyjnym, szef personelu nie chciał zwracać mu głowy i otrzymywane informacje zapisywał w swojej głowie. Zapanowanie nad nimi przysparzało mu jednak pewnych trudności.

- Płacą mi za to, bym się niepokoił - zaczął. - Na tym polega moja praca. Muszę więc wiedzieć wszystko o tym waszym bajzlu. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, idzie to na moje konto. To ja ponoszę odpowiedzialność.

- Nikt, proszę pana, nie ponosi odpowiedzialności, bo też nie ma za co. Jak już powiedziałem, kiedy ustalaliśmy zasady naszej działalności, nie istniejemy. Jesteśmy samodzielni i samowystarczalni.

Yazdi zdjął okulary. Jego twarz była wąska, zaś usta wiecznie półotwarte, tak jakby przygotowywał się, by ugryźć.

- Nie wierzę. Jak to możliwe? Pracowałem kiedyś dla banku inwestycyjnego. Pieniądze muszą się skądś brać.

- Naprawdę, panie Yazdi, proszę mnie o to nie pytać. Nie chce pan wiedzieć. Mamy pewien system. Działa. Pieniądzy u nas dostatek.

- Niech będzie - Yazdi przytaknął. Nienawidził sytuacji, kiedy cokolwiek przed nim zatajano.

- Wymieniaj.

Gertz wyrecytował listę krajów, w których prowadzono operacje. Figurowały na niej nazwy, których można się było spodziewać - Liban, Syria, Iran, Egipt, Pakistan, Afganistan - jak również kilka nazw, które mogły zaskakiwać, takich jak Chiny, Rosja czy Francja.

- Największa to ta w Pakistanie, zgadza się? - spytał Yazdi. - I o ile się nie mylę, najtrudniejsza? Mają ze dwieście

milionów wkurzonych obywateli, a na dodatek arsenał nuklearny. Można się zesrać ze strachu.

- Pakistańczycy, proszę pana, stanowią obecnie nasz główny cel. Tam też skupiliśmy najwięcej zasobów, zarówno ludzkich, jak i finansowych.

- I co, działa? - spytał Yazdi. - Ta cała draka ze zniknięciem jednego z twoich ludzi w Karaczi nieźle mnie wystraszyła.

- To potrwa. Ale pieniądze, gdy się je rozprowadzi, potrafią czynić cuda. Nie znam nikogo, kto nie chciałby być bogaty. Nawet w Pakistanie.

- Skąd macie nazwiska? To jest - skąd wiecie kogo przekupić?

- Ludzie dużo gadają. Starzy znajomi, nowi znajomi. Dodaj parę tajnych składników, wymieszaj, wsadź do piekarnika i voild, suflet jak ta lala.

- Oby tak było, przyjacielu. W rozmowie z prezydentem ochrzciłem tę operację mianem „Projektu Pax”. Wystarczająco długo już zwalczamy naszych wrogów. Teraz będziemy ich opłacać. Przyszła pora na zieleń i mam tu na myśli zieleń pieniędzy. Przeprowadzimy masowy wykup wszystkich tych, którzy starali się nas zrobić na szaro. Tak to właśnie naświetliłem szefowi. Bo tak jest, prawda? Na tym polega nasza strategia.

Gertz skinął głową. Strategia nie była czymś, co go interesowało. Był wykonawcą, myślenie na większą skalę zwykł zostawiać innym, aczkolwiek w tym wypadku nie było tak naprawdę, komu go zostawić, jeśli nie liczyć przezuwającego gumę szefa personelu Białego Domu, który miał jedynie mgliste pojęcie co do istoty prowadzonych przez nich działań.

Gertz się tym nie martwił. Jego zadaniem było służyć prezydentowi, a jeżeli prezydent pragnął zalać strefę działań

wojennych szerokim strumieniem pieniędzy, aby miejscowi przestali zabijać Amerykanów, a on sam został wybrany na kolejną kadencję, to w porządku. Gertz pragnął tylko wykonać swoją pracę. Znajdował odpowiednich ludzi, sporządzał listy nazwisk, opracowywał

możliwości i przykrywki. Niebawem operacja zaczęła żyć własnym życiem - tryby wprawiono w ruch i niełatwo byłoby je zatrzymać.

- „Projekt Pax” - powtórzył Gertz, kiwając głową. - Świetne. Podoba mi się. Prezydent zgarnie za to pokojową Nagrodę Nobla, a my dwaj jako jedyni będziemy wiedzieli, jak do tego doszło.

Rozdział 16

MOSKUFI

Alan Frankel miał wszelkie powody, by czuć się bezpiecznie. Nim dotarł do Moskwy, w ramach gubienia ewentualnego ogona zdążył odwiedzić dwa kraje. Najpierw ze swojego domu w Amsterdamie poleciał do Berlina na spotkanie z potencjalnymi klientami jego firmy reklamowej Kiosks Unlimited, która pomimo dumnej nazwy w istocie zatrudniała jednego sprzedawcę oraz sekretarkę. Następnie udał się na jeden dzień do Pragi, gdzie spotkał się z kolejnym potencjalnym klientem, jak również wysłał wiele wiadomości elektronicznych i tekstowych. Z każdego z miast publikował wpis na swym blo-gu „Przestrogi” poświęconym światowemu rynkowi mediów. Jego przykrywka była zabezpieczona i zintegrowana na każdym poziomie: im głębiej ktoś przekopywałby zasoby interne-tu, chcąc się czegoś o nim dowiedzieć, tym więcej napotykałby dowodów potwierdzających jego tożsamość.

Teraz Alan Frankel znajdował się w Moskwie, stanowiącej ostatni przystanek w podróży. Zatrzymał się w nowym hotelu Volodya Park, wzniesionym na południowym brzegu rzeki Moskwy, nieopodal starego Placu Czerwonego. Niewielki hotelik nie dorównywał bynajmniej luksusem Kempieńskiemu czy Four Seasons, stanowił jednak idealny wybór dla młodego przedstawiciela handlowego, starającego się wybić na niezależnym rynku z pomocą swego laptopa i dużej dozy tupetu.

Jeffrey Gertz uważał Frankla za jednego z najbardziej obiecujących podwładnych. Na zebraniach z personelem wyższego szczebla w Studio City czasami nazywał go „chłopcem od błoga”. Frankel był oficerem operacyjnym nowej generacji, który mógł udać się w dowolne miejsce na ziemi, bowiem jego przykrywka była niewykrywalna.

Niekiedy Gertz publikował na „Przestrogach” własne komentarze, posługując się pseudonimem „Ironman23”. Zamieszczał opinie na temat kampanii reklamowych nowych filmów i produkcji muzycznych. Od czasu do czasu w subtelny sposób wtrącał wyrazy uznania dla Frankla za wyjątkowo udaną operację, maskując je specyficznym językiem opartym na wyobrażeniu o żargonie blogerów tudzież podpisem „Ironman23”.

Rosja stanowiła niełatwy teren do działania i przyznawał to nawet sam Gertz. Dzięki zamontowanym wszędzie kamerom Rosjanie sprawowali całkowitą kontrolę nad otoczeniem. Widzieli, jak wchodzisz i wychodzisz, jak czekasz na pociąg metra, jak przechodzisz przez ulicę czy jak siadasz w hotelowym lobby. Starzy znawcy tematu twierdzili, że aranżowanie spotkań w Moskwie i tak nie miało już sensu. Rosjanie mogli teraz na tyle łatwo wyjeżdżać z kraju, że wystarczyło, by wybrali się wraz z innymi turystami do Chorwacji czy na Majorkę i tam spotkali się z oficerem prowadzącym.

Ale zdaniem Gertza taka taktyka unikania wyjazdów była dobra dla słabeuszy. W świecie mobilnych platform wywiadowczych nie było czegoś takiego jak teren niedostępny. Hit Paradę była w stanie działać absolutnie wszędzie, przerzucając i ewakuując swoich ludzi, zanim lokalne władze zdążyłyby się przyjrzeć stemplom w ich paszportach, nie mówiąc już o pokrzyżowaniu im planów. W atlasie operacyjnym szefa Moskwa niczym nie różniła się od Monachium czy Montrealu.

???

Alan Frankel przybył do Moskwy, aby spotkać się z oddelegowanym tam przed rokiem pakistańskim dyplomatą. Pakistańczyk wywodził się ze znanej pendżabskiej rodziny z Lahore, wśród której członków znajdowali się przywódcy rządzącej prowincją partii politycznej. Niektórzy z nich zdążyli już zaleźć Ameryce za skórę. Frankel miał mu

zapropnować wielką sumę pieniędzy - tak ogromną, że w dawnych, przedgertzowskich czasach mogłoby ją uzasadnić dokonane dzięki tajnej akcji odkrycie. W zamian Pakistańczyk miał odciągnąć swój ród od „antyamerykańskiego wirusa” jaki rozprzestrzenił się pośród pendzabskich polityków.

Gertz otrzymał od jednego ze swych źródeł cynk, że dyplomata dojrzał do zwerbowania. Zadaniem Alana było przypieczętowanie interesu.

Po przybyciu do Moskwy Frankel kontynuował utrwalanie swego żelaznego alibi. Umówił się na wizytę w Tanya Tech, agencji reklamowej wykonującej polityczne zlecenia Kremla. Jej wystawna siedziba mieściła się w starej willi nad rzeką. Wewnątrz witały goście i prowadziły na umówione spotkania piękne i młode rosyjskie dziewczęta. Te długonogie kobiety o jedwabistych włosach mogły równie dobrze być narzeczonymi oligarchów lub wręcz kimś jeszcze, tutaj jednak pełniły tylko funkcję wdzięcznie prezentujących się recepcjonistek. Frankel zażyczył sobie spotkania z szefem agencji Lwem Liebermanem. Był on jednak nieobecny - tak przynajmniej stwierdziła jego sekretarka, kobieta o oszałamiająco jasnych blond włosach i oczach umalowanych na fioletowo. Na zmianę czarując i naciskając, Frankel skłonił ją do podniesienia słuchawki telefonu. Kilka minut później dyrektor wtoczył się do hallu.

Rosjanin ze znużeniem wysłuchał dokonanej przez Frankla prezentacji, przez większość czasu wpatrując się w ekran swojego iphona. Lekko ożywił się, kiedy Amerykanin oznajmił, iż mógłby reprezentować Tanya Tech za jedną czwartą ceny, jaką dyktowała im elegancka agencja reklamowa z Londynu. Zaraz jednak potrząsnął głową - niemożliwe! - i wrócił do wklepywania wiadomości na telefonie.

Ostatecznie dyrektor zdołał pozbyć się Frankla, wysyłając go do NovaBanku, moskiewskiej spółki finansowej stanowiącej część tej samej sieci biznesowej. Kiedy Amerykanin poprosił o namiar na kogoś w banku, Rosjanin ze zniecierpliwieniem przewrócił oczami i zadzwonił do zaprzyjaźnionego pracownika spółki, który niechętnie zgodził się przyjąć Frankla jeszcze tego popołudnia w swym biurze na wschód od centrum miasta.

???

Siedzibą NovaBanku był budynek z szarej płytki łupkowej, któremu ostre letnie słońce przydawało okopcony wygląd niemytej ciężarówki. Na drogach wyjazdowych ze śródmieścia Moskwy panowały korki, więc Frankel spóźnił się piętnaście minut. Kiedy przybył na miejsce i poprosił portiera, by ten zadzwonił na górę, został poinformowany, że człowiek, z którym miał się spotkać, jest nieobecny. Jego sekretarka łamaną angielszczyzną wyjaśniła, że jegomość ów wyszedł przed dwiema godzinami - czyli niedługo po tym, jak Lieberman zadzwonił, by umówić spotkanie.

Frankel dwukrotnie przeliterował sekretarce swoje nazwisko, podał jej swój numer telefonu oraz adres e-mailowy, a dodatkowo zostawił u portiera wizytówkę. Pragnął w ten sposób wzmocnić tylko swoją tożsamość, którą potwierdził już samym faktem udania się do biura banku.

Ani razu nie rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie jest śledzony. Na tym polegała zaleta podróży przez trzy kraje. Jeżeli ktokolwiek po drodze nabrałby podejrzeń i zaczął rozpytywać, napotkałby jedynie na dowody potwierdzające legendę. Miejsce za miejscem i spotkanie za spotkaniem. Nie była to już w istocie legenda, a prawdziwe kłamstwo.

???

Spotkanie z pakistańskim dyplomatą wyznaczone było na dziesiątą wieczorem w barze nieopodal moskiewskich wzgórz, gdzie nowożeńcy jeździli robić sobie zdjęcia. Gertz był zwolennikiem spotkań na tego typu otwartych przestrzeniach. Twierdził, że kiedy już wypracuje się przykrywkę, najlepszym kamuflażem jest pozostawanie na widoku. To właśnie próby ukrycia się przed wzrokiem innych najbardziej przyciągają uwagę.

Franklowi pozostało jeszcze sześć godzin. Wrócił do hotelu i zostawił w nim swą teczkę. Nieopodal znajdowała się Galeria Tretiakowska, do której nie udało mu się pójść przy okazji poprzednich wizyt w Moskwie. Stanowiła wiarygodny cel wizyty amerykańskiego biznesmena, a przy tym atrakcyjną alternatywę dla siedzenia w hotelowym pokoju. Pokonał kilka przecznic, jakie dzieliły go od galerii, od zawsze znajdującej się w tym samym dziewiętnastowiecznym pałacu. Kolekcja była istnym skarbem dziejów Rosji. Malowidła na ścianach przedstawiały wszystkie sprzeczne pragnienia rosyjskich elit - ich francuskie maniery i mody, ich niezręczne rozkoszowanie się przywilejami zrodzonymi z ucisku chłopów pańszczyźnianych, będących w istocie niewolnikami; ich wycieczki na intelektualne obszary, które ostrożniejsi Europejczycy ledwie śmieli sobie wyobrażać. Sala za salą, w portretach bladych arystokratów i srogie i brodatych chłopów, w pustych zimowych krajobrazach, galeria wyrażała przeczucie co do czekającej Rosję przyszłości.

Frankel przystawał tu i tam, napawając się widokiem obrazów. Dobrą minutę przesiedział wpatrzony w portret Nieznajomej pędzla Kramskiego, z białym piórem w sobolim kapeluszu pyszniącej się w swym powozie. Cofnął się do minionej już sali, aby przyjrzeć się pociągnięciom pędzla na namalowanym przez Borowikowskiego pięćdziesiąt lat wcześniej portrecie podobnie zapadającej w pamięć rosyjskiej piękności. Wtedy pierwszy raz odniósł wrażenie, że jest śledzony. Podobny do chrząszcza mężczyzna o ciemnych brwiach, którego dostrzegł wchodząc do galerii, ukazał mu się ponownie, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tym razem ciemna postać miała na sobie okulary przeciwsłoneczne oraz czerwony beret w kratkę.

Frankel nijak nie dał po sobie poznać, że zauważył śledzącego. Ale gdy zdał sobie z tego sprawę, zaczął dostrzegać inne oznaki. Kiedy wszedł do jednej z galerii, kręciła się po niej kobieta, a kiedy przeszedł dalej, ta została z tyłu. Pośród uczestników zorganizowanej wycieczki, która przesuwała się z sali do sali, widział piegowatą twarz, zbyt sztywną i niewzruszoną, by mogła należeć do zwyczajnego gościa galerii.

Czyżby sam się nakręcał? Na tym polegał kłopot z działaniami z dala od domu, opierającymi się na długim szeregu fikcyjnych tożsamości i spotkań: zaczynałeś widzieć cienie nawet tam, gdzie w rzeczywistości ich nie było.

Kiedy w popołudniowym słońcu Frankel wyszedł z galerii, usiadł na ławce i w zawołowanej formie zredagował na blackberry wiadomość, aby wysłać ją pod fikcyjny adres Hit Parade. Wygląda na to, że w kwestii moskiewskiej pojawiła się konkurencja. Mam nadzieję, że zrezygnują i będę

mógł w spokoju nacieszyć się wieczorem. Gdybyście mieli jakieś wskazówki biznesowe, dajcie znać. Jednakże po minucie namysłu zrezygnował z wysłania wiadomości i ją skasował. Gertz uznałby go za mięczaka. A zresztą, w jaki niby sposób mogliby mu pomóc?

Frankel nie za szybkim krokiem udał się w stronę rzeki Moskwy, a następnie wzdłuż jej brzegu podążył do Kamiennego Mostu. Przeszedł na Plac Czerwony, przystając na chwilę kolejno przy katedrze świętego Bazylego i przy Mauzoleum Lenina. Marmurowa fasada grobowca sprawiała wrażenie brudnej, tak jakby od 1989 roku nikt jej nie polerował. Teraz już nikogo nie dostrzegał, lecz na dużej, otwartej przestrzeni wypatrzyć obserwatorów jest o wiele trudniej. Przeszedł wąskimi chodnikami Ogrodu Aleksandrowskiego, a następnie wrócił tą samą ścieżką przez plac i skierował się ku ulicy Twerskiej.

Niektóre z widzianych twarzy wydawały mu się znajome, nie miał jednak pewności. W chłodzie późnego popołudnia, choć słońce chowało się już za niskimi chmurami, Frankel oblewał się potem.

Przemierzył plac, ruszył Twerską i podszedł do wspaniałej, starej fasady Hotelu National. Ściany tej pięknej budowli tworzyły cegły w łososiowym odcieniu różu przeplatające się z białymi aż po sam zwieńczony blankami dach. Pod markizą widać było błyszczące,

drewniane drzwi wejściowe z wypolerowanymi mosiężnymi klamkami, tkwiące w kamiennej framudze zdobionej reliefami kwiatów i winogron. Wejścia pilnował portier w letnim mundurze z czapką i kamizelką.

Gdy Frankel ruszył w kierunku wejścia, portier zatrzymał go i spytał, czy jest gościem. Jak wyjaśnił, w hotelu odbywała się prywatna impreza i osoby niezaproszone nie miały wstępu. Frankel musiał się zabierać. Nie było to odpowiednie miejsce dla niego. Z hotelowego lobby dobiegł go odgłos zamieszania, po czym chmara ludzi wytoczyła się przez drzwi w kierunku hałaśliwej ulicy.

Tuż obok wejścia do gmachu stał mężczyzna z burzą ciemnych włosów na głowie.

Pogryzając jeden z paznokci, uważnie obserwował postać Frankla. W prążkowanym garniturze i grubych okularach przeciwsłonecznych w czarnych oprawkach wyglądał jak najprawdziwszy moskiewski mafioso. Skierował się teraz w stronę Frankla, wskazując na zaparkowany wzdłuż Twerskiej samochód z otwartymi drzwiami i gestem polecając mu wsiąść. Dwóch kolejnych podchodziło już od tyłu.

Mężczyzna krzyknął coś do Frankla. W jego głosie słychać było silny akcent, toteż przypadkowy przechodzień raczej nie zrozumiałby jego słów. Nazajutrz gazeta „The Moscow News” doniosła, cytując ludzi znajdujących się wówczas na chodniku, że brzmiało to jak „dodanie” czy też może „poddanie”. Nie miałyby to jednak żadnego sensu. Według innych gazet ów człowiek wyrzucił z siebie jedynie przekleństwo.

Frankel uskoczył i rzucił się sprintem po Twerskiej. Ciemnowłosa twardziel ruszył w pościg za nim, po chwili zaś dołączył do niego kolejny mężczyzna, szybszy i silniejszy, szybko zmniejszając dystans. Na bulwarze kłębiły się tłumy ludzi, którzy wczesnym wieczorem wybrali się na zakupy. Frankel wymijał ich słalodem - przy takim zatłoczeniu nikt nie zdecydowałby się na użycie broni palnej. Za dużo osób postronnych.

Frankel spojrzął za siebie i dostrzegł, że obaj prześladowcy są tuż za nim. Zbyt mocno rzucał się w oczy - młócił wkoło rękami, a koszula wysunęła mu się ze spodni. W biegu potknął się na obluzowanej płycie chodnikowej i na chwilę zatoczył. Mimo że tamci nie strzelali, i tak podążał pewną ścieżką ku własnej zgubie. Jeżeli w dalszym ciągu będzie tak przeciskać się przez tłum, nawet jeśli zgubi ogon, w końcu zatrzyma go policja. Tak czy owak wpadnie.

Po lewej stronie dojrzał otwierający się Zaułek Nikicki i popędził w jego kierunku. Ścigająca go dwójka podążyła w jego ślady. Przemierzając ulicę, dostrzegł trzeciego mężczyznę, który zbliżał się, aby zablokować mu drogę ucieczki. Frankel uskoczył w ciemną uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się kontenery ze śmieciami z pobliskich bloków mieszkalnych.
???

Policja znalazła ciało Frankla w zaułku nieco po szóstej wieczorem. Świadkowie z okolicznych biur i mieszkań zeznali reporterom, że stawiał opór prześladowcom starającym się odciągnąć go na bok. Kiedy usiłował się wyrwać, został trafiony z bliskiej odległości trzema pociskami z pistoletu z tłumikiem.

Gazety opisały dwójkę zabójców jako śniadych i o obcych rysach, zgodnym chórem uznając ich za przybyszów z Czeczenii. Zbrodnia, podobnie jak tak wiele innych w nowej Rosji, pozostała jednak bez wyjaśnienia. Mordercy rozplynęli się w mroku przestępczego podziemia stolicy, skąd sprawowali władzę nad skorumpowanymi organami ścigania. Rzecznik moskiewskiej prokuratury oświadczył, że zabójstwo wygląda na robotę czeczeńskiej mafii, aczkolwiek taka opinia zwykła się pojawiać przy okazji każdej niewyjaśnionej zbrodni.

Rozdział 17

STUDIO CITY. KALIFORNIA

Jeffrey Gertz oglądał właśnie program Morning Joe na telewizorze w łazience, przycinając sobie brodę i zastanawiając się nad wyborem marynarki, gdy serwis informacyjny doniósł o zastrzeleniu amerykańskiego biznesmena w Moskwie. W komunikacie nie padło nazwisko, a

sam z siebie nie pomyślał, że mogło chodzić o kogoś z jego własnych ludzi. Minionej nocy powrócił do Los Angeles z Waszyngtonu i głowę zaprzętała mu przede wszystkim decyzja, czy może w najbliższy weekend wybrać się do Las Vegas. Kiedy się ubierał, usłyszał dzwonek telefonu. Dzwonił Albert, nowy oficer dyżurny ze Studio City. Trudno było mu zacząć rozmowę i nim odezwał się, odchrząknął.

- Proszę wybaczyć, że niepokoję pana w domu, panie dyrektorze. - Pracował zaledwie od kilku dni i wciąż zwracał się do Gertza, jakby chodziło o szefa rządowej kancelarii.

- Co jest, Albert? Właśnie się ubieram.

- W Moskwie zastrzelony został Amerykanin. Wiadomość trafiła już do mediów. Pan Rossetti podejrzewa, że może chodzić o kogoś z naszych. Uznał, że pan zapewne chciałby o tym wiedzieć.

- Dopiero co usłyszałem o tym w telewizji. Gość był od nas? Co jest, do diaska?

Gertz na chwilę stracił równowagę i przysiadł na obitej skórą ławeczce w swej garderobie.

Ręcznik, którym owinał

się wokół talii, opadł na podłogę. Zamamrotał, bardziej do siebie aniżeli do oficera dyżurnego:

- Chryste, to musi chodzić o Frankla.

- Zgadza się, proszę pana. Ambasada wysłała kogoś do kostnicy. Rosjanie zidentyfikowali denata jako Alana Frankla, urodzonego w Denver dwudziestego szóstego maja 1980 roku. Według posiadanych wizytówek miał w Amsterdamie agencję reklamową pod nazwą Kiosks Unlimited. Parę minut temu Centrala zadzwoniła do pana Rossettiego, on zaś zadzwonił do mnie. Sprawdziłem. Wszystkie informacje zgadzają się z naszymi aktami operacyjnymi. Co mam robić?

- Nic. Czekaj na mnie. Dopóki nie przyjadę, nie rozmawiaj z Centralą. Ani też z panem Rossettim. On nie jest twoim szefem, do cholery.

Po drugiej stronie linii zapadła na chwilę cisza. Oficer dyżurny nie był pewien, co ma prawo powiedzieć.

- Trochę się tu denerwujemy, panie dyrektorze. Zdążyliśmy już dostać dwie wiadomości z terenu z zapytaniem co się dzieje. Co mam im powiedzieć?

- Powiedz, że już jadę. Każ wszystkim na chwilę wyluzować. Być może wcale nie jest tak, jak sądzimy. Żadnych depeš do nikogo, póki nie dojadę.

- Tak jest, dyrektorze.

Po wydaniu rozkazu Gertz poczuł się lepiej, nawet jeśli polecił po prostu trzymać gębę na kłódkę i czekać na jego przybycie. Na chwilę się zamyślił. Wypadki rozwijały się tak prędko, że musiał niezwłocznie zatroszczyć się o wzmocnienie oficjalnej wersji.

- Jeszcze jedno - dodał Gertz. - Zadzwoń do Tommy'ego Ardena z sekcji wsparcia i poproś, żeby załatwił kogoś do odbierania w Amsterdamie telefonów do Kiosks Unlimited. Ma potwierdzać fikcyjną biografię Frankla, ale nic ponadto. Wyrazić niedowierzanie, żal, „jak można było zrobić coś takiego panu Franklowi”, i tak dalej. Natychmiast to załatw i powiedz ludziom, żeby zachowali spokój. Będę za pół godziny.

???

Gertz skończył się ubierać, zamiast letniej marynarki w kratę zdecydował się na zwykły, niebieski blezer oraz krawat. Przez moment stał przed oknem i wpatrywał się w dal, usiłując zebrać myśli.

Jego mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze budynku na wschodnim skraju Beverly Hills, niemal w West Hollywood. Z jednego rzędu okien, ponad szosą Doheny Drive, roztaczał się widok na zadrzewione przedmieścia i wzgórze. Z drugiej strony widać było Santa Monica Boule-vard i majaczące na horyzoncie bezładne skupisko śródmieścia, na poły ukryte w zadymionej mgłę poranka. Gertz wyjął z lodówki red bulla i popił nim pigułkę energetyzującą, jaką zalecił mu jego doradca od homeopatii.

Wrzucił teczkę na siedzenie chevroleta corvette. Chociaż dzień był słoneczny, postanowił nie opuszczać dachu. Włączył radio i znalazł lokalną stację publiczną. Słuchał jej aż do chwili, gdy wspomniano o zabójstwie w Moskwie. Wtedy wyłączył odbiornik. Nie chciał nic o tym słyszeć.

Umiał przyjąć na siebie cios. Między innymi temu zawdzięczał tak szybki awans w agencji hierarchii. Kiedy inni martwili się, czy w pełni opłacili polisę ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej, on podejmował ryzyko. Kiedy uznano, że w CIA panuje tak wielki bałagan, że przyszedł czas, by zacząć od nowa, Gertz stanął na wysokości zadania, gotów sprowadzić całe przedsięwzięcie do głębokiego podziemia.

A cios, który przyszło mu przyjąć, był w istocie całą serią uderzeń. W ciągu dwóch tygodni namierzono dwóch członków jego formacji, on zaś nie wiedział dlaczego. Było mu tych ludzi żal, aczkolwiek prawie ich nie znał. Bardziej przejmował się samym sobą. O ile nie zdoła określić ciasnego kręgu i odciąć przepływu informacji, stworzona przez niego struktura zacznie drżeć w posadach. Pojawią się pytania, z początku zadawane dyskretnie, jednakże pociągną za sobą kolejne. Wdzianko zacznie pruć się w szwach, a potem - jeśli wszyscy będą szarpać z całej siły - po prostu się rozpadnie.

Gertz powiedział sobie, że sytuacja nie różniła się niczym od innych. Najlepszym rozwiązaniem było przyciąć się i przeczekać, aż przeminie.

???

Kiedy Gertz przybył do biurowca przy Ventura Boulevard, fasada budynku spowita była bielą porannego słońca. Wewnątrz dawało się odczuć oznaki zaniepokojenia: ludzie czekali na przyjazd szefa, teraz zaś pragnęli, by zaczął wydawać polecenia. Ludzie mogli zacząć panikować. Wieści rozeszły się błyskawicznie - jakże jednak mogłoby być inaczej?

Pracowników martwiło, iż ich niewidzialna organizacja znalazła się jakimś cudem w świetle jupiterów, przez co wszyscy byli teraz wystawieni na niebezpieczeństwo.

Gertz zaś postąpił w sposób, jakiego nikt się nie spodziewał, to jest zachował się normalnie.

Przywitał się po imieniu z sekretarkami, a następnie poszedł do swojego gabinetu, aby przeczytać otrzymane depesze. Nakazał Ardenowi złożyć raport. Telefony do siedziby Kiosks Unlimited w Amsterdamie odbierała oficer sprawozdawcza, która pracowała z Frankiem jako jego sekretarka. W najnowszych doniesieniach medialnych przytaczano jej wypowiedzi, w których wyrażała żal i niedowierzanie. Zapora trzymała, przynajmniej na razie.

Gertz zadzwonił do Centrali do Cyrila Hoffmana. Hoffman również nie wiedział zbyt wiele, zgodził się jednak, że w sytuacji niepewności najlepiej będzie, by wszyscy trzymali gęby na kłódkę. W tym wypadku najlepszym sposobem na ograniczanie strat była bezczynność.

- A nad czym tak w ogóle ten twój człowiek w Moskwie pracował? - spytał Hoffman. -

Dziwne to miejsce na wizyty.

- Nad Pakistanem. Miał się spotkać z tamtejszym dyplomatą.

- Wiem coś o tym?

- Oczywiście. Ty wiesz o wszystkim. Jak chcesz poznać szczegóły, zgłoś się do Białego Domu.

- Dlaczego zginął? Pachnie mi to naszym problemem z Karaczi.

- Zabiła go mafia.

- Chyba sobie żartujesz - rzucił Hoffman.

- Tak przynajmniej mówią w telewizji. Że to czeczeńscy gangsterzy.

- Ale to na sto procent nieprawda.

- Możliwe. Ale nam pasuje. Moja rada, panie Hoffman: proszę nie przeginać. Staram się utrzymać to wszystko w tajemnicy. Mam nadzieję, że pan również.

- Ostrożnie z Pakistanem. Moje źródła mówią, że ludzie są tam na nas dosyć wściekli.

Niezbyt lubią, jak się ich rozwała z wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Nie lubią też, gdy CIA

wcisła im na siłę pieniądze, nawet jeśli robi to w sposób tak nieszkodliwy i dyskretny, który wydaje ci się, że wypracowałeś.

- Moje źródła mówią, że kiedy ktoś do ciebie strzela, powinienesz zabrać mu broń.

- Tak się zastanawiam - masz na myśli nas czy Pakistańczyków?

- I jednych, i drugich, proszę pana.

- Śmiało słowa. Podeślę ci zaraz jakąś mównicę.

- Panie Hoffman, jeśli jest pan ze mnie niezadowolony, proszę po prostu powiedzieć.

- Jejku, nie. W żadnym wypadku. Śledzenie twoich przygód to jedna z niewielu moich przyjemności. Ale mógłbyś może utrzymywać nieco bliższy kontakt z Centralą, co? W wymiarze osobistym. Co ty na to?

Rozmawiali jeszcze przez parę minut, po czym zastępca wicedyrektora Agencji rzucił swym typowym, nieadekwatnie optymistycznym tonem „papa!” i się rozłączył.

???

Kiedy Gertz zakończył rozmowę z Hoffmanem, zadzwonił do Steve'a Rossettiego i oznajmił, że pragnie zorganizować zebranie wyższego personelu w bezpiecznej sali konferencyjnej.

Grono zgromadziło się na trzecim piętrze. Pracownicy zostawili telefony komórkowe w szafce przed wejściem do pomieszczenia i wtoczyli się do środka. Było ich około dwudziestu

- szefowie i zastępcy wszystkich głównych działów operacyjnych, a także paru innych kluczowych członków personelu. Wchodząc, sztywno kiwali głowami Gertzowi. Podobało im się uczestnictwo w jego wielkim eksperymencie, w większości nie znali go jednak zbyt dobrze.

Sophie Marx weszła do sali i zajęła miejsce na końcu. Miała na sobie czarny, dobrze skrojony aczkolwiek poważnie wyglądający kostium. Była zmęczona, a jej twarz przybrała ów ziemisty odcień, który pracownicy Agencji niekiedy nazywali „piwniczną opalenizną” Po szybkim wypadzie do Dubaju prze-

siedziała wiele godzin pośród strzeżonych przez Pułkownika dokumentów. Musiała porozmawiać z Gertzem. Wysłała mu już krótką notatkę na temat badania wariograficznego Hamida Akbara, prosząc o spotkanie w celu przedyskutowania jej dalszych planów, nie doczekała się jednak odpowiedzi.

Marx siedziała już w swym fotelu, żałując, że nie zdecydowała się ukryć zmęczenia pod grubszą warstwą makijażu, kiedy Gertz ruszył w jej kierunku. Obszedł cały stół konferencyjny i podszedł do jej miejsca. Chciała z nim porozmawiać, ale nie w tym momencie, nie w obecności pracowników wyższego szczebla.

- Jak było w Dubaju? - spytał, ściskając dłoń na powitanie. - Podróż się udała?

I tak, i nie - odparła. - Jedna z moich teorii legła w gruzach. Teraz muszę zaczynać od nowa.

- Jak my wszyscy - zauważył Gertz. - Wpadnij do mnie później, jak już ogarniemy ten bałagan z Moskwą. Zdecydujemy co robić dalej.

Rozmowę słyszeli wszyscy obecni w pomieszczeniu. Wiercili się teraz w fotelach, chrząkali bądź w inny sposób dawali do zrozumienia swoje zakłopotanie. O ile tylko wcześniej tego nie wiedzieli, zdali sobie właśnie sprawę, że Sophie Marx odgrywała w zaistniałym kryzysie szczególną rolę i jakkolwiek Gertz starałby się to ukryć, była jego partnerem.

Kiedy wszyscy się zgromadzili, Gertz odczekał jeszcze chwilę, aż wszelkie szepty i pokasływania ustały.

- Chciałbym potwierdzić to, o czym większość z was zdążyła już usłyszeć - zaczął. - Dziś rano w Moskwie zginął jeden z naszych oficerów. Zabito go w śródmieściu, nieopodal Kremla, trzema strzałami z bliskiej odległości. Z tego, co wiem, zginął na miejscu.

W sali dały się słyszeć jęknięcia. Przy całej odwadze pracowników branży wywiadowczej, tego typu rzeczy nie zwykli im się przydarzać. Nie byli żołnierzami i w żadnym razie nie

spodziewali się, iż ich koledzy mogą zostać sprzątnięci w sposób rodem z gangsterskich porachunków.

- Pozwolę sobie powiedzieć parę słów o naszym koledze, panu Franklu. Działał pod głęboką przykrywką, nieznaną części z osób obecnych teraz w tym pokoju. Był niezwykle zdolnym, młodym oficerem i wyrażał sobą to, o co w naszej organizacji chodzi - dyskrecję, szybkość, zuchwałość. Niestety, świat nigdy, przenigdy się o tym nie dowie. Nasz człowiek zabrał swoją przykrywkę do grobu. Chciałby też, żeby tak pozostało. Wierzę, że się co do tego rozumiemy.

Ciszę, która zapadła, przerwał Steve Rossetti. Miał na sobie marynarkę z wpiętą w kłapę amerykańską flagą. Powszechnie wiadomo było o jego bliskich kontaktach z Centralą, toteż wysłuchano go ze szczególną uwagą.

- Czy nadal jesteśmy w stanie tę przykrywkę utrzymać?

- zapytał. - To znaczy, czy nie będzie się temu chciała przyjrzeć Rada Bezpieczeństwa Narodowego? Oraz generalny inspektor z Langley? No i czy nie będą czegoś od nas chciały komisje Kongresu?

- Nie, nie i nie - odparł Gertz. - Nie zamierzamy przed nikim otwierać naszych drzwi.

Niczego tu nie musimy ujawniać. Mamy do czynienia z tragedią osobistą, musimy też się zająć pewnymi kwestiami operacyjnymi. Ale to nasz problem, nasz i tylko nasz.

- Co zatem robimy? - spytał szef działu operacyjnego.

- Zachowujemy ciszę w eterze. I nie robimy niczego

- powtarzam, niczego, co mogłoby zasugerować istnienie jakichkolwiek powiązań między panem Frankiem a tą organizacją bądź też jej założycielami w Langley. Pamiętajcie, my nie istniejemy. Otrzymaliśmy zgodę na funkcjonowanie jako służba prawdziwie tajna. To bardzo cenna cecha i musimy ją chronić, zwłaszcza teraz.

Rossetti w dalszym ciągu drażył temat, choć dla wszystkich było oczywiste, że jego interwencja nie spotkała się z dobrym przyjęciem.

- Tyle tylko, proszę pana, że straciliśmy już dwóch oficerów. Niepokoję się o bezpieczeństwo naszych ludzi. Ludzie pracujący w tym gmachu pytają, co się dzieje.

Gertz wyczuwał panujący w pomieszczeniu niepokój - strach, który mógł przerodzić się w rewoltę, prowadząc do bezładnej ucieczki, a wreszcie do porażki. Musiał zgromadzonym coś zaoferować.

- Dziękuję, Steve, za poruszenie tej kwestii. Pragnę odnieść się do niej wprost. Przypadek Howarda Egana zmartwił nas wszystkich. Zabili go ludzie, którzy ewidentnie wiedzieli, że odgrywał on sekretną rolę, odrębną od jego biznesowej przykrywki. Poprosiłem szefową naszego działu kontrwywiadu-dowczego Sophie Marx, by przeprowadziła agresywne dochodzenie wewnętrzne celem ustalenia, co się takiego stało. Przypadek Alana Frankla jest zgoła odmienny. Rozmawiałem już z Centralą i jesteśmy zdania, że nie ma to związku ze wcześniejszym atakiem.

- A więc o co chodzi? Wiemy tyle, że nie żyje, a to i tak więcej, niż jesteśmy w stanie powiedzieć o Eganie.

- Z tego, co jak na razie stwierdziliśmy, wygląda to na robotę rosyjskiej mafii. Działacze organizacji terrorystycznych w ten sposób nie postępują, nie mówiąc już o agentach służb wywiadowczych. Za dużo krwi, za bardzo na widoku. W tym momencie zgaduję, podejrzewam jednak, że zabójstwo zlecił

czeczeńscy biznesmeni. Martwiło ich, że nasz młodzieniec wkracza na ich terytorium.

- Dlaczego mieliby tak pomyśleć - spytała z końca sali Sophie Marx. - Z tego, co było wiadomo, chłopak sprzedawał tylko reklamy, zgadza się?

Pierwszy raz zdarzyło jej się przemówić na dużym zebraniu pracowników. W jej głosie trudno byłoby się doszukać szacunku.

- Wyłącznie na potrzeby osób tu obecnych pozwolę sobie wyjaśnić, dlaczego miejscowi gangsterzy mogliby się poczuć podenerwowani: pan Frankel spotkał się w Moskwie z przedstawicielami przedsiębiorstwa z branży wydawniczej, które należało do gościa zaprzyjaźnionego z Kremlem. Możliwe, że to był jego błąd. Podejrzewam, że ktoś uznał, że zaczyna się panoszyć na jego terytorium. Albo może to Kreml się zdenerwował. Sęk jednak w tym, że nie ma powodów, by przypuszczać, że Frankel został zdemaskowany.

- Poza faktem, że nie żyje - zauważyła Sophie. Naciskała na niego w sposób, na jaki nie odważyłby się nawet Rossetti. Na tym polegała korzyść z bycia pupilkiem szefa.

- Posłuchajcie, moi drodzy. Staram się być z wami szczerzy. Wiem, że wszystkim nam jest teraz trudno. Mnie to jednak wygląda na sprawkę mafii. Tak też głoszą pierwsze doniesienia w moskiewskiej telewizji. I tak też parę minut temu powiedziałem Centrali.

- A jak uważa Cyril Hoffman? - spytał Rossetti. Wątpił, by zastępca wicedyrektora Agencji tak szybko kupił przedstawione wytłumaczenie.

- Hoffman uważa, że to nasza sprawa - odparł Gertz. - Ufa naszemu osądowi sytuacji. ???

Spotkanie dobiegło końca i członkowie kierownictwa Hit Parade rozeszli się nieco spokojniejsi niż przed godziną, aczkolwiek nadal bez przekonania, że rozumieją zaistniałą sytuację.

W swej końcowej wzmiance na temat Cyrila Hoffmana Gertz pominął tylko jedną kwestię. Wprawdzie zastępca wicedyrektora CIA zgodził się, by to szef Hit Parade zajął się sprawą zdarzenia w Moskwie, jednocześnie poprosił go jednak, by niezwłocznie stawił się z powrotem w Waszyngtonie, aby omówić sprawy bezpośrednio. W wymiarze osobistym. ???

Gertz zajął do kanciapy Marx po południu, jeszcze przed wyjazdem na lotnisko, ponieważ chciał zdążyć na nocny lot do Waszyngtonu. Po całym dniu uderzania głową w mur twarz miał szarą ze zmęczenia.

- Przejdźmy się - zaproponował. - Chodźmy na lody.

- W porządku, tylko że ja nie jadam lodów.

Udała się do łazienki, nałożyła pod zmęczone oczy nieco więcej kremu maskującego i dogoniła szefa w windzie.

Tego popołudnia Studio City sprawiało wyjątkowo obskurne wrażenie. Nisko w powietrzu wisiał lepki skwar - nie typowy dla doliny San Fernando suchy upał pustyni, a coś bardziej przypominającego wilgotny klimat wybrzeża Atlantyku. Gertz zdjął krawat i przerzucił marynarkę przez ramię. Po Ventura Avenue śmigały samochody, zapewniając jedyne tego gorącego dnia chłodne powiewy.

- Rzeczywiście byłeś tam tak pewny siebie, na jakiego brzmiałeś? - spytała Marx.

- Nie - odparł. - Musiałem grać na czas... z myślą o tobie. Abyś mogła w spokoju zbadać tę sprawę.

- Wierzysz w tę historyjkę, którą wciskałeś podwładnym, jakoby za zabójstwem w Moskwie stała mafia?

Spojrzał na nią bez wyrazu. Jakże trudno było wyczytać mu coś z oczu.

- Być może to prawda. Nie wiem w co powinienem wierzyć. Po to właśnie mam ciebie. Ty to rozgryziesz i mi powiesz.

- A zatem teraz to mój problem?

- I mój. Ale to ty go rozwikłasz.

Objął ją ramieniem. Delikatnie się odsunęła.

- Sądziłam, że Alan Frankel pojechał do Moskwy, aby spotkać się z pakistańskim dyplomatą - oznajmiła. - Nie chodziło tu o żadnych Czeczenów.

Strzał okazał się celny. Gertz zrobił krok w tył, jak gdyby dla odzyskania równowagi.

- Skąd ty to, u diabła, wiesz? Ani słowem nie wspominałem o charakterze jego zadania.

- Posprawdzałam archiwa. Sam mi to poleciłeś, tak więc zrobiłam. Przejrzałam wszystkie nasze pakistańskie operacje. Jedną z nich zajmował się Alan Frankel. Miał spotkać się z kimś z jednego z potężnych rodów politycznych.

Gertz na chwilę zmrużył oczy, po czym jego twarz odzyskała neutralny wyraz.

- Sprytna jesteś - przyznał. - Właśnie dlatego powierzyłem ci to zadanie. Owszem, pracował nad Pakistanem. Podobnie jak to robi parę innych osób. My tam góry przenosimy, a przynajmniej się staramy. Bądź jednak ostrożna. W grę wchodzi tu sprawy, o których nikt - ale to nikt - w Centrali nie ma pojęcia.

To ją zaintrygowało.

- To kto o tym wie, jeśli nie Centrala? Nie łapię.

- Zaakceptował to człowiek, dla którego pracujemy, czyli prezydent Stanów Zjednoczonych. Stała przy Ventura Boulevard, podczas gdy parę metrów dalej warczały silniki przejeżdżających samochodów.

- To dlatego w aktach nie ma informacji o wydatkach związanych z Pakistanem? Żadnych wyników, żadnych rozkazów operacyjnych?

Oczy Gertza ponownie rozbłysły, po czym się roześmiał.

- Ale ty jesteś wścibska. No, ale wystarczy. Jeśli uznam, że o czymś powinnaś wiedzieć, to ci o tym powiem.

- Jeff, jak ty planujesz te misje? Skąd wiesz, do których drzwi zapukać?

Gertz potrząsnął głową. Tym razem już się nie uśmiechał.

- Zadajesz zbyt wiele pytań. To nie twoja działka. Nie próbuj być za cwana.

? ??

Przeszli kolejne pięćdziesiąt metrów w ciszy i dotarli do świateł ulicznych. Gertz powiedział, co miał do powiedzenia, zaś Marx czekała, aż napięcie opadnie. Musiała od niego wyciągnąć tyle informacji, ile tylko byłby gotów jej przekazać. Działała teraz poza terenem bazy.

- Przeczytałeś moją depezę z Dubaju? - spytała.

- Przejrzałem. Jak rozumiem, Akbar przeszedł badanie na wariografie.

Marx skinęła głową.

- Na tym nie koniec. Sam wariograf mógłby przechytrzyć. To się w nim po prostu czuło. Im dłużej rozmawialiśmy, tym mniej mi się wydawało prawdopodobne, by pracował dla naszych wrogów. To głupi, wystraszony, bogaty chłoptaş, który wyjechał na studia do Ameryki.

Dobijałam się pod niewłaściwy adres.

- Jeżeli to nie Akbar, to w takim razie kto zdekonspirował Egana?

- Nie wiem. Obawiam się, że mamy większy problem, ale wciąż jeszcze nie znam jego istoty.

- Mam nadzieję, że uda ci się to rozwikłać, zanim nasz następny człowiek zostanie zlikwidowany.

- Czyli jednak nie wierzysz w bajeczkę o mafiosach z Moskwy?

- Ejże, wyluzuj. Na użytek publiczny wierzę. Tak między nami - jestem w tej sprawie agnostyką.

Zatrzymała się i spojrzała na niego badawczo. Jego twarz przedstawiała się surowo, a kozia bródka nadawała mu wygląd, który Marx przez chwilę skojarzyła z plakatem D.H.

Lawrencea. Gdzie w tej całej jego gadaninie i tajemniczości tkwiła prawda?

- Mogę zadać ci pytanie?

- Jasne. Życzę szczęścia.

- Co my takiego robimy w Pakistanie? Pomóż mi to zrozumieć. Innymi słowy, co starał się załatwić Egan, kiedy go uprowadzono? Nie wydaje mi się, żeby Hamid Akbar miał o tym jakiegokolwiek pojęcie. Ale o co chodzi?

- Wybacz, ale naciskasz na mnie w kwestii, w której nie dam na siebie naciskać.

Jego twarz skamieniała.

- Zbierał tam materiały wywiadowcze, czy może chodziło o działania specjalne? W jego aktach operacyjnych znalazłam pokwitowanie za sztabki złota, które pobrał z depozytu przy okazji którejś z wcześniejszych operacji. Ponad dwadzieścia kilogramów, to jest prawie milion dolarów. Po co mu to było? Żadnemu agentowi tyle nie płacimy.

Złapał ją za nadgarstek i przytrzymał, nie w delikatnym uścisku, a w silnym uchwycie.

- Na te pytania nie mogę odpowiedzieć, a ty nie powinnaś ich zadawać. Robimy rzeczy bardzo, bardzo tajne, a to

jest właśnie jedna z nich. Więcej mnie o to nie pytaj, bo odpowiedź otrzymasz tę samą.

- Usiłuję wykonać powierzone mi zadanie.

- Za bardzo naciskasz. Jeszcze dysk ci wyskoczy. Jak już mówiłem, wyluzuj.

•k-k-k

Tuż za rogiem znajdowała się lodziarnia sieci Baskin--Robbins - różowy, jarmarczny, niepasujący do otoczenia relikw.

- Chcesz rożek?

- Nie - potrząsnęła głową. - Ale możesz dać mi coś innego, skoro już jesteś taki hojny?

- Co takiego? Dla ciebie zawsze jestem hojny.

- Bilet do Londynu. Chcę się spotkać z szefem Egana, tym gościem od funduszu hedgingowego. Chcę zrozumieć jak oni prowadzą interesy, ilu ludzi wiedziało tam o podróżach Egana. Te lotry na pewno wycisnęły z biednego Howarda informacje o jego miejscu pracy. Wiedzą zatem więcej, niż ja sama.

- Z Thomasem Perkinsem - powiedział spokojnie, dokładnie wymawiając każdą sylabę. Na jego twarzy tkwił dziwny wyraz zawieszoności. Dał się podejść.

- Prawda, z Perkinsem. Alphabet Capital. Uprzedziłeś go, że mogę wpaść z wizytą. No to chciałabym tak zrobić i to jak najszybciej.

- To skomplikowana znajomość. Pełna wydarzeń, po części niezwiązanych z nami, z których wynika obecna sytuacja. Może lepiej będzie, jak sam się tym zajmę.

- Jeff, skoro nie mogę tego załatwić, to może od razu zostawię całą sprawę tobie. Bo jaki to ma sens? Może powinieneś powierzyć swoje śledztwo komuś innemu.

Subtelnie mu groziła. Nie miał większego wyboru i ustąpił. Marx dawała największą nadzieję na zachowanie sprawy w tajemnicy.

- Musisz być ostrożna. Nie odwracaj kamieni, jeśli nie wiesz, co jest pod spodem. Pamiętaj, droga pani - jesteś treserem węży, a nie ich zaklinaczem.

- Nie martw się. - Przełożyła rękę pod jego ramieniem, co stanowiło damską wersję jego objęcia w barku. - Ja zawsze jestem ostrożna.

Rozdział 18

CHARLES TOUN. ZACHODNIA VIRGINIA

Stwierdzić, iż Cyril Hoffman jest dandysem, byłoby błędem. Był na to zbyt wielkim i zbyt poważnym człowiekiem. Zarazem jednak ubierał się w stylu rodem z innej epoki, być może z lat pięćdziesiątych, kiedy oficerowie CIA nosili garnitury z kamizelkami i kapelusze zamiast czapek z daszkiem, zaś starsi funkcjonariusze Agencji zachowywali się, jakby należeli do najwspanialszego klubu w dziejach świata. Tego wieczora Hoffman miał na głowie słomkowy kapelusz okolony wstążką w barwach pułku. Widząc wchodzącego do restauracji Jeffrey'ego Gertza, zdjął nakrycie głowy i machnął nim na powitanie.

Hoffman był mistrzem w kwestii szczegółów, o których inni zapominali. Na tym polegał jego sekret w czasach, gdy kierował sekcją wsparcia. Zorganizował małą armię zakonspirowanych logistyków, którzy znajdowali bezpieczne lokale w setkach miast na całym świecie, po czym umieszczali w nich wiarygodnych i dyskretnych podnajemców, aby nie wyglądały one na pustostany. Zorganizował sieć prywatnych linii lotniczych i obmyślał sposoby, by ich maszyny nadal kursowały, gdy inne państwa zaczęły narzekać z powodu skandali z przetrzymywaniem i torturowaniem więźniów.

Hoffman dwoił się i troił jak tylko mógł, lecz nawet on musiał zdać sobie sprawę, że dawne czasy, w których klan Hoffmanów pospołu z kolegami stawiał się ponad obowiązującymi zasadami, dobiegły końca. Dopadła ich rzeczywistość.

Przeczuwając huragan mogący zagrozić rodzinnym interesom, Hoffman pragnął zawczasu znaleźć sobie bezpieczną posadę lub jak to zwykli określać w Agencji - „nenufara”, gdzie mógłby przeczekać burzę. W nagrodę został mianowany zastępcą wicedyrektora - czyli niegdysiejszym dyrektorem wykonawczym, zwanym tak do czasu zbrukania stanowiska przez jednego z poprzedników. Człowiek zajmujący tę pozycję uważany był za trzecią najpotężniejszą osobę w Centrali.

Hoffman wykorzystał otrzymane stanowisko, by walczyć o przetrwanie Agencji w sytuacji, gdy większość decydentów z Waszyngtonu pragnęła ją wykastrować. Niekiedy oznaczało to przystawanie na pomysły, których sam z siebie by nie popierał. W ten właśnie sposób stał się dla Jeffa Gertza łącznikiem i kimś na kształt protektora: pojął bowiem, iż nowa administracja pragnie przeprowadzić ów eksperyment z nową tajną służbą z dala od Langley i dawnych środowisk wywiadowczych. W żadnym razie nie zamierzał się w to wcinąć. Zarazem jednak pragnął mieć oko na nowy twór i jego krnąbrnego, charyzmatycznego szefa. Gertz w rzeczywistości stanowił całkowite jego przeciwieństwo.

Pomimo łagodnej i sympatycznej powierzchowności, Hoffman w istocie nie cierpiał tego typu cwaniaków bardziej, niż ktokolwiek by podejrzewał. Pomagała mu ich znosić świadomość, że tacy ludzie zawsze popełniali błędy. Sam odczuwał głęboki, trwały gniew, jaki nachodzi człowieka, gdy obserwuje on, jak inni przez długie lata zdobywają chwałę i przypisują sobie zasługi za czyny, których nie dokonaliby bez jego pomocy. Dopracował jednak do perfekcji metodę tłumienia swojej wściekłości w możliwie najsympatyczniejszy sposób - poprzez udawanie postaci raczej pociesznej aniżeli zazdrosnej czy niebezpiecznej. ???

Hoffman zaproponował, by spotkali się w skromnej restauracji o nazwie „Kowadło” tuż za miasteczkiem Harpers Ferry w Zachodniej Wirginii i mniej więcej półtorej godziny jazdy od Waszyngtonu. Był to ekscentryczny wybór i Gertz założył, że Hoffman poczynił go ze względów bezpieczeństwa. Jak się jednak miało okazać, istniało też inne uzasadnienie. Przed przybyciem na obiad Hoffman odwiedził tor wyścigowy w Charles Town, położony kilka kilometrów dalej wzdłuż szosy. Wygrał tam ponad tysiąc dolarów dzięki wskazówkom od byłego oficera Agencji, który nabył w pobliżu stadninę i twierdził, że bez najmniejszych wątpliwości potrafi odróżnić pewniaki od chabet niewartych postawionych na nie pieniędzy. Hoffman ciągle promieniał zadowoleniem z wygranej, toteż Gertz w pierwszej chwili uznał jego uśmiech za zapowiedź milej pogawędki.

- Witam w „Kowadle” - rzucił władczo Hoffman, wskazując na niemal pustą salę restauracyjną. - Gdy jest się kowadłem, wszystko przypomina młot, że się tak wyrażę. A ty, Jeffrey, jesteś kowadłem czy może młotem?

- Zdecydowanie jestem młotem, proszę pana.

- Obawiam się, że ostatnimi czasy dosyć nieskutecznym. Tłuczysz się po własnych palcach, bądź też czyni ci to ktoś inny.

- Nie ulega wątpliwości, przez parę ostatnich tygodni mieliśmy trochę pecha. Ale odzyskamy naszą sprawność.

- Co tam się do licha ciężkiego wyprawia? Pozwolisz, że spytam. A jak nie pozwolisz, to i tak spytam.

- Pracujemy nad tym, ale już widać, że mamy kłopot.

- Istotnie, należałoby tak powiedzieć. Strata jednego oficera to nieszczęśliwe zdarzenie. Strata dwóch, no cóż... sam mi powiedz: to co?

- To pierdolnik. Ale jak już ci mówiłem przez telefon, być może te dwa zajścia nie są powiązane. Może w jednym wypadku mamy do czynienia z problemem operacyjnym, natomiast w drugim to sprawka moskiewskiego półświatka przestępczego. To właśnie powiedziałem moim ludziom.

- Ale to jakiś absurd. Nie powtarzaj tego, bo obrażasz moją inteligencję.

- Tak jest, proszę pana.

Hoffman pokiwał gościowi swym grubym palcem wskazującym.

- Sprawiasz wrażenie, chłopcze, jakbyś sądził, że możesz przez to wszystko przebrnąć dzięki blefowi. To duży błąd. Macie poważny problem. Wasi oficerowie mają być podobno niewidzialni, ale ewidentnie nie są. Ktoś znał ich posunięcia. A to, mój przyjacielu, coś groźnego. Co jeśli masz u siebie poważny przeciek? Co jeśli wszystkie wasze operacje są zagrożone? Znaczyłoby to, że krwawicie. Że się wykrwawiacie. Czyż nie?

- Nic takiego się nie stanie. Ktoś ode mnie już nad tym pracuje. Prowadzimy dochodzenie. Zlokalizujemy przeciek, jeśli takowy istnieje, a następnie go zlikwidujemy.

- O, to świetnie. Zawsze powinno się przeprowadzać dochodzenie. Dzięki temu, jeśli szambo się wyleje i wszyscy zaczną świrować, można powiedzieć „wybaczcie, ale nie możemy na ten temat rozmawiać. Sprawa jest przedmiotem dochodzenia” A któż to prowadzi owo superśledztwo?

- Moja szefowa kontrwywiadu. Nazywa się Sophie Marx. Hoffman wyjął z kieszeni białą fiszkę oraz wieczne pióro i czytelnie zapisał nazwisko.

- To taka urocza, z włosami w koński ogon, co była w Bejrucie i ma rodziców hippisów?

- Zgadza się. Jest bardzo dobra. I umie dochować tajemnicy.

Hoffman przyjrzał mu się, a jego oczy zmrużyły się do rozmiarów szparek.

- Posuwasz ją?

- Nie było mi dane.

Hoffman wywinął swym srebrno-złotym piórem marki S.T. Dupont i wskazał nim na Gertza.

- Nie maczaj swojego pióra w firmowym kałamarzu, chłopcze. Te czasy już minęły.

- Bez obaw. Używam długopisu. Nigdy nie potrzebuje atramentu.

- Czy panna Marx zdołała odkryć cokolwiek, co pomogłoby rzucić światło na wydarzenia, które zaszły w Pakistanie?

- Jeszcze nie. Wybrała się jedynie do Dubaju i rozwałkowała agenta dostępowego, który jako ostatni widział mojego oficera przed jego zniknięciem. Doszła do wniosku, że jest czysty. Nadal staramy się zrozumieć, skąd te łajdaki wiedziały, że nasz człowiek jest w Karaczi. Hoffman postukał się palcem wskazującym po nosie, jak zwykł to czynić, kiedy nad czymś myślał.

- Niepokoją mnie nasi pakistańscy przyjaciele z ISI - odezwał się w końcu. - To jeden z powodów, dla których chciałem się z tobą zobaczyć. Obawiam się, że nie są z nami w stu procentach szczerzy. Choć nie, wyrażę to dosadniej: sądzę, że nas okłamują.

- Skąd takie podejrzenie?

- W zeszłym tygodniu złożyłem wizytę pewnemu dawnemu przyjacielowi. Gość jest dosyć wysoko postawiony. Przebieg wizyty nie wzbudził we mnie zaufania. Facet twierdził, że są niewinni. Czyści jak łąza. Obawiam się jednak, że w pełni im nie wierzę. Sądzę, że wpadli na twój trop, chłopcze. Słyszą wasze kroki. Widzą, jak chowacie się w cieniu. Musicie być bardzo ostrożni.

- Ma pan cokolwiek, co mogłoby się przydać? Coś, co mógłbym przekazać Marx?

- Obawiam się, że nic poza intuicją. Doświadczenie mówi mi, że Pakistańczycy to kompulsywni kłamcy. Tak bardzo czują się skrzywdzeni dawniejszymi zniewagami, że wszelkie zachowanie uważają za dopuszczalne. Ja jednak jestem zdumiony. To akurat mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego, panie Hoffman?

- Bo poleciłem naszym rezydentom mieć oko na oficerów ISI we wszystkich większych placówkach, w tym też w Moskwie. To samo przekazałem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, Narodowemu Biuru Rozpoznania i wszystkim pozostałym molochom, które bez wątpienia uważasz za ociążałe - teraz, gdy sam jesteś taki zwinny i sprawny. Siedzą nad tym już prawie od tygodnia. I ku mojemu zaskoczeniu, nie znaleźli niczego, co by wykraczało poza normę. Jestem prawie pewien, że oficerowie ISI w Moskwie zarówno legalni, jak i nielegalni, nie mieli nic wspólnego z zabójstwem biednego pana Frankla. I dlatego właśnie jestem zdumiony.

- Co powinniśmy zrobić?

Hoffman kiwnął palcem - raz, drugi i trzeci.

- Bądźcie... bardzo... ostrożni...

Zamówili obiad. Hoffman, choć był pokaźnych rozmiarów, jadł z umiarem, odkrawając od swojego befsztyka małe kęsy. Zamówił również butelkę wina, lecz tylko od czasu do czasu upijał nieco z kieliszka. Zupelnie jakby jedzenie i picie stanowiły prywatne przyjemności, którymi nie można się

było w pełni nacieszyć, jeżeli było się przez kogoś obserwowanym. Podczas posiłku Hoffman w przyjemnym, melodyjnym monologu opowiadał o swojej kolekcji białych kruków, a także o operze. Kiedy uprzątnięto talerze po potrawach, stał się na powrót poważny.

- I jak wam idzie? To jest, pomijając całą tę paskudną awanturę. Radzicie sobie? Wiem, że to sprawa między wami, a waszymi przyjaciółmi w Białym Domu, pomyślałem jednak, że mógłbyś wujkowi Cyriłowi uchylić rąbka tajemnicy.

Po raz pierwszy tego wieczoru Gertz szeroko się uśmiechnął.

- Tak się składa, że idzie nam wyśmienicie. Robimy postępy na wszystkich frontach. A kiedy czegoś nie da się zrobić - cóż, my to robimy.

- I macie wystarczająco dużo pieniędzy na wszystkie wasze operacje? Nie mów mi ile, bo wcale też o to nie pytam.

- Śpimy na pieniądzech. Dysponujemy pewnymi, że tak powiem, „innovacyjnymi” mechanizmami finansowania. Szczerze mówiąc, byłbyś nimi zachwycony.

- Nie chcę wiedzieć. A przynajmniej nie teraz, kiedy mogą mnie wezwać do sądu, oskarżyć i publicznie wykastrować na jezdni George Washington Parkway. Dziękuję, postoję. Po to właśnie ty tam jesteś: żeby wymyślać koncepcje nie do pomyślenia. Oraz żeby je realizować.

- Usłyszano, zrozumiano, przyjęto.

- Możemy cokolwiek powiedzieć Kongresowi?

- Proszę nawet o tym nie myśleć. Podkopałoby to wszystkie nasze starania.

- Rany Boskie, chłopcze! Nie mów mi co mam robić. Zdążyłem już poinformować dyrektora. Na szczęście nie zrozumiał tego, co mu powiedziałem. Ale, na miłość boską, on sam jest byłym senatorem i nie lubi, gdy sprawy zaczynają się babrać. Jeśli zdałby sobie sprawę z tego, że ktoś morduje naszych głęboko zakonspirowanych oficerów, stwierdziłby, że musimy tę wieść rozgłosić - choćby tylko dla samoobrony.

- To zbyt ryzykowne. Jeśli wyszłoby na jaw, że ci ludzie byli oficerami wywiadu Stanów Zjednoczonych, zaczęłyby się pytania o to, dla jakiego departamentu Agencji pracowali. A wtedy musiałby pan przyznać przed swoimi przyjaciółmi w Kongresie, że zbudował pan całkiem nową służbę, o której opinia publiczna absolutnie nic nie wie. W tym zaś momencie mógłby się pan z ową nową tajną służbą pożegnać.

- Nawracasz pan papieża. - Hoffman uniósł dłoń, lecz Gertz kontynuował.

- Następnie by spytano o to, co też robiliśmy. Jakie prowadziliśmy operacje? Czy prezydent o tym wiedział? Jakby na to zareagował Biały Dom? Rżnięcie głupa nie wystarczy, jeśli sprawa trafi na Kapitol.

- Tak, tak. Mam tego wszystkiego świadomość. Istnieje jednak taka irytująca kwestia jak prawo. Któregoś dnia dyrektor przeczytał mi rozporządzenie dotyczące służb wywiadowczych. Tak się akurat złożyło, że sam pomagał w jego pisaniu. Lektura przyprawiła mnie o niestrawność.

- Ludzie za dużo gadają.

- A i owszem. Taka ludzka natura. Obawiam się, że Bóg nie był oficerem wywiadowczym.

- Z całym szacunkiem, panie Hoffman, to pański problem. Proszę przeczytać dyrektorowi „Akt o Bezpieczeństwie Narodowym” z 1947 roku. Stwierdza on, że Rada Bezpieczeństwa Narodowego wyda zgodę na „takie odmienne działania wywiadowcze, jakie okażą się niezbędne”, a zarazem nie stwierdza w jaki sposób, co moim zdaniem wystarczy. Jeżeli jednak zdecydujecie się urządzić striptiz, nie wystawiajcie mnie do powietrza. Gwarantuję, że zarówno pan, jak i dyrektor byście tego pożałowali.

Oczy Hoffmana pojaśniały.

- Oj, to przecież groźba! Podoba mi się. Naprawdę mi się podoba. Nawet nie wiesz, jak bardzo ogrzałeś tym duszę starego biurokraty. W takiej walce, przyjacielu, poniósłbyś klęskę i to sromotną. Zostałbyś rozpieprzony na tyle kawałeczków, że ludzie nie wiedzieliby nawet, gdzie ich mają szukać.

- Nie wydymajcie mnie, panie Hoffman. Tylko o to proszę. Wraz z sobą pociągnąłby pan na dno całe mnóstwo innych osób.

- To się robi nużące - zauważył Hoffman. - Muszę się znowu napić.

Odskoczył od stolika delikatnymi, drobnymi kroczkami, niepasującymi do wielkoluda.

Sposób, w jaki się poruszał, wyglądał niemalże jak taniec, miał przy tym w sobie coś z rytmu dawnego komika Jackiego Gleasona. Z baru Hoffman wrócił z kieliszkiem tequilii dla Gertza, dla siebie zaś wziął mai tai z unoszącą się na powierzchni tycią papierową parasolką.

Rozdział 19

LONDYN

W dniu przyjazdu Sophie Marx do Londynu Thomas Perkins zaprosił ją na kolację.

Zaproponował, by spotkali się o dziewiątej trzydzięci, jego zwyczajowej porze posiłku, zważywszy na fakt, że było to już po zamknięciu dnia na nowojorskich giełdach. Podał adres na South Audley Street, a gdy spytała, czy lokal ma charakter oficjalny, zaśmiał się i odparł, że jest to miejsce irytująco eleganckie. Zdecydowała się na prostą czarną sukienkę i sznur pereł. W chwili, kiedy wychodziła już ze swojego pokoju hotelowego, postanowiła jednak rozpuścić związane w koński ogon włosy i pozwolić im swobodnie opaść na kark.

Kiedy przybyła pod wskazany adres, trafiła na nieoznaczone w żaden sposób drzwi, a za nimi była kotara z czarnego aksamitu. Dochodzące odgłosy przywoływały na myśl raczej prywatny bankiet aniżeli zwyczajną restaurację. Przy wejściu nie było żadnych oznaczeń, z których można byłoby wyczytać nazwę lokalu.

- Jak się nazywa ta restauracja? - spytała hostesse, która sceptycznie jej się przyglądała.

- To klub kolacyjny, droga pani. Nazywa się Edwards.

Hostessa złagodziła ton, gdy Marx oświadczyła, że została zaproszona przez Thomasa Perkinsa i poprosiła o zaprowadzenie do jego stolika.

Kiedy szła długim przejściem między stolikami w stronę stolika Perkinsa na końcu sali, goście odprowadzali ją wzro-

kiem. Nie chodziło o sam fakt, że była atrakcyjna - to samo można było powiedzieć o większości obecnych w klubie kobiet - a bardziej o jej pewną i władczą postawę.

Przypatrujący się jej gibkiej sylwetce podejrzewali zapewne, że wykształciła ją dzięki jeździectwu bądź grze w tenisa. Nie wpadłoby im do głowy, iż została wyszkolona w strzelaniu z broni automatycznej oraz skokach z samolotu.

Goście prowadzili pogawędki, popijając drinki, więc w lokalu panował gwar. Wyczuwało się energię rodem z giełdowego parkietu, czyli miejsca, gdzie większość obecnych przebywała

jeszcze przed godziną, domykając dzień transakcji wartych pięćdziesiąt czy sto milionów dolarów, a w niektórych wypadkach o wiele więcej. Instytucje finansowe z Mayfair stanęły z powrotem na nogi. Nawet ci, którzy byli splukani, udawali, że nie są i nikt w rzeczywistości nie miał o tym pojęcia, jeśli pominąć widoczny spadek wydawanych przez nich dyspozycji. Wszyscy obecni zdawali się z kolei być pewni, iż Thomas Perkins dotarł na sam szczyt, zwłaszcza teraz, gdy elegancka niewiasta w czarnej kreacji zajmowała miejsce przy jego stoliku.

Perkins czytał podsumowanie transakcji dnia, toteż nie zauważył jej przyjścia. Gdy dotarła do stolika, z zaskoczeniem podniósł wzrok. Przypominało to randkę w ciemno. Kiedy Anthony Cronin zadzwonił do niego i poprosił, by spotkał się z kobietą będącą znajomą Howarda Egana, nie spodziewał się, że przybędzie ona pod tak atrakcyjną formą. Ona sama również na swój sposób była zadowolona: spodziewała się kogoś ostrego, tymczasem Perkins wyglądał po prostu na osobę inteligentną. Był ubrany w sposób, w jaki ubierają się ludzie zamożni - miał na sobie odzież szytą na miarę i z tkanin lepszej jakości niż ubrania, które można znaleźć na pierwszym lepszym sklepowym wieszaku. Okulary sprawiały, że wyglądał na pracowitego, a przy tym na młodego człowieka, co zawdzięczał swojej niesamowitej blond fryzurze z opadającym lokiem. Ludzie wciąż się na nich patrzyli. Za bardzo przyciągali uwagę. Marx nachyliła się ku Perkinsowi i oznajmiła, że ma na imię Sophie.

- Kiedyś przeczytałem, że szpieg powinien mieć twarz nie do zapamiętania dla kelnerów - zauważył Perkins. - Pod tym względem chyba zawałaś sprawę.

- Dziękuję, jeśli miał to być komplement. - Uśmiechnęła się, lecz już po chwili uśmiech zniknął z jej ust. Pochyliła się i powiedziała mu na ucho: - Przykro nam z powodu zniknięcia Howarda Egana. Dla pańskich ludzi to z pewnością szok. Jesteśmy wdzięczni, że jest pan tak pomocny.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jego praca była tak niebezpieczna.

- My też nie. Dlatego tu jestem.

Perkins przysunął swoje krzesło. Znajdowali się w hałaśliwym miejscu, a co parę minut z South Audley Street wchodzili kolejni napompowani testosteronem, głośni i wulgarni maklerzy, którzy przechwalali się swymi wielkimi transakcjami. Usiłowali zamaskować swoją niepewność, lecz w tym świecie ludzie bywali niszczeni w ciągu jednego dnia. Makler podejmował nietrafne decyzje, zapożyczał się, by pokryć skutki błędów z poprzedniego, a potem także bieżącego dnia, gdy nagle trach! - menedżer ryzyka podchodził do jego ekranu i go odcinał. Wtedy makler szedł do klubu Edwards i udawał, że nic się nie stało.

- Czy ci wszyscy ludzie to miliarderzy? - spytała Marx, rozglądając się po sali.

Perkins pokręcił głową.

- Wszyscy tego pragną i niektórzy nimi będą, nikt jednak nie wie, którym akurat się poszczęści. Dzięki temu gra toczy się dalej.

???

Wypili nieco wina, ciągnąc konwersację, po czym zamówili jedzenie. Spytała, czym jest „przybrany krab”, na co odparł, że stanowi przeciwieństwo kraba rozebranego. Zdecydowała się go zamówić, jak również risotto z białymi truflami, które, jak zauważyła, kosztowało niemal sto dolarów. Aby ułatwić sprawę, Perkins poprosił o to samo, dobierając do tego butelkę Cheval Blanc rocznik 1990 z pierwszego zbioru z Saint-Emilion, która z ceną pięciu tysięcy dolarów stanowiła najdroższą pozycję w miejscowej karcie win.

W końcu przeszli do sedna sprawy. Perkins spytał, dlaczego chciała się z nim zobaczyć. W ogólnym zarysie odpowiedziała zgodnie z prawdą: że pracowała w tym samym departamencie CIA co Howard Egan i że poproszono ją

o przeprowadzenie śledztwa w sprawie jego zniknięcia. Liczyła, że będzie mogła spędzić nieco czasu w Alphabet Capital, przejrzeć korespondencję i dokumentację transakcji Egana i pobyć w towarzystwie jego kolegów.

- Czego szukasz? - spytał Perkins.

- Jeszcze nie wiem. Ale w jakiś sposób Howard został zdekonspirowany. Ludzie, którzy go uprowadzili, wiedzieli, że nie jest po prostu pracownikiem funduszu hedgingowego. Muszę sprawdzić, czy nastąpił przeciek.

- Zawsze jest jakiś przeciek - odparł Perkins, zdjął okulary i spojrzał jej w oczy z odległości paru centymetrów. - Co druga osoba w tym pomieszczeniu próbuje dostać się obecnie do mojego systemu komputerowego i odkryć, czy pozbywam się obligacji rządu argentyńskiego, czy też je gromadzę, czy kupuję walory Hongkongu, czy może je sprzedaję.

- Ten przeciek jest niebezpieczny, panie Perkins. Potrzebujemy pomocy. Musimy go znaleźć i załatać.

Perkins skinął głową, starając się dostosować do jej poważnego tonu. Lok opadł mu na czoło, przez co wyglądał nieprawdopodobnie młodo.

- W porządku. Co powiem o tobie moim ludziom? Bo jeśli zamierzasz spędzić trochę czasu na naszej sali transakcyjnej, będą się zastanawiać, co się do diabła dzieje.

- Powiedz, że jestem na próbę - odparła żwawo Marx. - Powiedz, że rozważasz zatrudnienie mnie jako analityka. Za maklera mnie nie wezmą, ale analitykiem może być każdy, prawda?

- A co będziesz analizować? Nie wiem czy wiesz, ale to nie jest całkowicie bezmyślna robota.

- Pracowałam w Bejrucie. Wiem coś o ropie naftowej. Zatem powiedz swoim ludziom, że tym się właśnie zajmuję. Jestem kandydatką na stanowisko analityka energetycznego. A kiedy już skończę, możesz mnie zwolnić.

- W końcu analityków energetycznych nigdy za wielu, tak? Co robiłaś w Bejrucie?

- Nie znamy się wystarczająco dobrze, bym mogła odpowiedzieć - odpowiedziała z miną po części nieśmiałą, a po części przebiegłą. - Powiem tylko, że by ci się to spodobało.

Widowiskowy sport, ale nie rozumiałbyś jego zasad.

- Brzmi kusząco.

- Więcej się nie dowiesz.

Sophie Marx nie byłaby w stanie wyjaśnić, dlaczego z nim flirtuje. Być może był to wpływ wina lub też faktu, że okazał się przystojniejszy niż się spodziewała. Może chodziło o to, że jest bardzo bogaty. Sophie dorastała w ubóstwie, pod opieką szurniętych rodziców, którzy przeprowadzali się między chatkami na plaży, łodziami i hotelami na godziny, a jedno z nich zawsze uciekało z kimś innym. Pieniądze kojarzyły jej się z czymś nieuchronnie przyjemnym.

Kiedy jedli deser, w kierunku ich stolika zatoczył się wielki, pijany Irlandczyk. Sophie zauważyła go przy barze, gdy tylko przyszła do klubu - już wtedy był nietrzeźwy i robił za dużo hałasu. Zbliżywszy się do krzesła Perkinsa, opadł swym okazałym zadem na jego kolano i zaczął jęczeć.

- O, co za przyjemność. Och, czuję, jak ci staje. - Usiłował być zabawny.

- Witaj, Aidan. Spierdalaj z moich kolan. - Perkins bez ceregieli go zepchnął.

Wielkolud podniósł się i chwiejnie uklonił w stronę Sophie.

- Przepraszam, panienko. To taki żart hermetyczny.

- Spieprzaj, Aidan, i to już. Nie kompromituj się bardziej niż to zrobiłeś przed chwilą.

- Wiesz, Perkins, ty rzeczywiście jesteś niewdzięcznym chujem. Wiesz o tym?

Perkins podniósł się. Na miejscu pojawili się barman i barczysty kelner, gotowi wyprowadzić awanturnika za drzwi.

- Idź do domu, Aidan. Przestań robić z siebie idiotę. Przyjdź jutro i spróbuj zarobić trochę pieniędzy.

Irlandczyk wytoczył się z klubu w obstawie personelu.

- Jesteś chujem - powtórzył na głos. - Samolubnym, niewdzięcznym chujem.

Perkins pokręcił głową.

- Przepraszam za to.

Sophie nachyliła się ku niemu i położyła dłoń na jego ramieniu.

- O co tu chodziło? - spytała. - Dlaczego się tak wyrażał?

- To zwykły frajer i tyle. Jest splukany. Jego fundusz ma ulec rozwiązaniu. Nikt nie pożyczycy mu ani grosza. Jest przekonany, że to moja wina.

- Dlaczego tak sądzi?

- Któż to wie? Nadal jestem wypłacalny, a on nie. Przy okazji paru transakcji znaleźliśmy się naprzeciw siebie. Ja wygrałem, on przegrał. Poprosił mnie o pożyczkę, a ja odmówiłem. Jego problem polega na tym, że jest beztalenciem i pechowcem, w takiej właśnie kolejności.

- Cóż, muszę przyznać, że było to coś ciekawego. Darmowy program artystyczny. Kiedy na tobie usiadł, chyba ci nie stanął, prawda?

Na szczęście dla Sophie Perkins głośno się roześmiał. Do deseru zamówił jeszcze pół butelki Chateau d'Yquem.

???

Kiedy wieczór dobiegał końca, Marx spoważniała. Nie chciała psuć nastroju, musiała jednak przekazać Perkinsowi pewne wieści, aby mógł zacząć robić plany.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła.

- Coś miłego? Pokręciła głową.

- Howard Egan nie żyje - powiedziała cicho. - Pakistańska policja wyda oświadczenie.

Stwierdzają w nim, że zginął w wypadku podczas wspinaczki. Przyślą tu trumnę, a my zajmiemy się resztą. Powinieneś poinformować swoich ludzi. Najprawdopodobniej napiszą o tym gazety. Musimy się na to przygotować.

Wyjęła z torebki kartkę papieru i przekazała ją Perkinsowi. Znajdował się na niej tekst oświadczenia, które planowali wydać Pakistańczycy.

Perkins zerknął na kartkę i pochylił głowę. Kiedy podniósł wzrok, Marx dostrzegła, że jego oczy są wilgotne.

- Naprawdę lubiłem Howarda. Wiesz, on miał już dość pracy dla was. Chciał z tym skończyć. Zwierzył mi się, kiedy ostatni raz go widziałem. Spytał, czy mógłby liczyć na prawdziwą pracę w Alphabet Capital, a nie tylko fikcyjną.

- Co mu powiedziałeś?

- Że znużyłby się. Powiedziałem, że w Alphabet Capital tak naprawdę tylko zarabiamy pieniądze.

???

Na zewnątrz czekał samochód Perkinsa wraz z kierowcą. zaproponował, by wpadła do jego miejskiej rezydencji przy Ennismore Gardens na drinka na dobranoc, bądź też by wybrali się do lokalu Annabels przy Berkeley Square. Propozycja wydała jej się kusząca, jednak była świeżo po locie przez Atlantyk i dobrze wiedziała, że to zły pomysł. Ostatecznie oznajmiła, że skorzysta z zaproszenia w innym terminie.

Perkins nalegał, by dała się odwieźć do hotelu. Mieścił się on w starym gmaszysku nieopodal Marble Arch, przemodelowanym przez pewną amerykańską sieć hotelarską. Dla Marx jego zaletą była cena, która nie przekraczała przydzielonej jej diety. Kiedy kierowca otworzył drzwi, Perkins udał, że jest zszokowany widokiem tak zwyczajnego budynku.

- Tak być nie może. To nie miejsce dla ciebie. Powiedz szefowi, że nie będę z tobą rozmawiał, o ile nie przeprowadzisz się do czegoś stosowniejszego. To miejsce jest ryzykowne: w rzeczywistości nikt pracujący dla mnie nigdy by się tu nie zatrzymał. Od razu się dekonspirujesz. Sugeruję hotel Dorchester. Jest niedaleko mojego biura i tam powinnaś się była zatrzymać.

Nazajutrz rano przeniosła się do hotelu Dorchester. Przydzielono jej wspaniały pokój z widokiem na Hyde Park. Pan Perkins zawczasu zadzwonił i wszystko ustalił.

Rozdział 20

LONDYN

Sala transakcji Alphabet Capital pełna była komputerowych monitorów, stojących po dwa, a niekiedy po trzy na jednym biurku. Nie było to eleganckie biuro. Nikt spośród obecnych nie nosił krawata, pewien mężczyzna miał na sobie szorty i sandały, a kilku innych miało włosy dłuższe niż u Sophie i związane w koński ogon. Najwyraźniej nie miało znaczenia jak wyglądasz, o ile tylko potrafiłeś zarabiać pieniądze. Wśród obecnych widać było mnóstwo Azjatów - wielu Hindusów i najprawdopodobniej kilku Pakistańczyków. W obecnej sytuacji mogło to stanowić problem.

Mara przybyła na miejsce o dziewiątej trzydzięci, ubrana w niebieski kostium z białą bluzką, czyli zdecydowanie zbyt elegancko jak na panujące w firmie zwyczaje. Sekretarka Perkinsa o imieniu Mona zaprowadziła ją na spotkanie z dyrektorem departamentu zasobów ludzkich. Ten znalazł jej biurko na dalekim końcu sali, gdzie siedzieli analitycy. Stał na nim tylko jeden monitor. Poranek upłynął na szkoleniu, podczas którego miała nauczyć się, jak korzystać z oprogramowania Bloomberg Terminal.

Przed południem Perkins wysłał wiadomość systemową, prosząc wszystkich o zebranie się w sali transakcyjnej. Wyszedł z gabinetu w samej koszuli, miał pochyloną głowę. Wszyscy w mig pojęli, że stało się coś złego.

Perkins oznajmił, iż otrzymał właśnie wiadomość od amerykańskiego konsulatu w Karaczi. Howard Egan, ich za-

giniony kolega, nie żyje. Spadł podczas wspinaczki w górach nieopodal Karaczi, a Pakistańczycy wreszcie zdołali odszukać jego ciało. Perkins odczytał oświadczenie ze strony miejscowej policji. Stwierdził, że szczątki Egana zostaną zwrócone jego bliskim w Stanach Zjednoczonych, gdzie rodzina zorganizuje ceremonię pożegnalną. Wypełniwszy ponury obowiązek, szef miał już udać się z powrotem do gabinetu, stanął jednak i odwrócił się ku dziesiątkom pracowników, z których większość znała zmarłego zaledwie przelotnie.

- Howard Egan był zacnym człowiekiem, zdecydowanie zbyt miłym jak na charakter naszej pracy. Kochał to, co robił. Zawsze lubił podejmować ryzyko. Tym razem ryzyko okazało się jednak zbyt wielkie. Tego typu straty zawsze są bezsensowne.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w podłogę, jak gdyby chciał powiedzieć coś jeszcze. Nie znalazł jednak odpowiednich słów, więc odwrócił się nagle i wycofał za ekrany z giełdowymi wykresami.

Pracownicy stali przez moment w miejscu, starając się przyswoić otrzymane wieści. Ktoś z końca sali rzucił „racja!”, tak jakby Perkins dopiero co wygłosił toast, a nie wspomnienie po zmarłym. Zebrani powoli rozeszli się do swoich biur, aby ponownie rzucić się w nieubłagany wir handlu.

???

Niedługo po wydaniu oświadczenia dla pracowników Perkins zadzwonił do Sophie Marx, przebywającej w salce szkoleniowej departamentu zasobów ludzkich, aby zaprosić ją na lunch. Zasugerował, by spotkali się o trzynastej w restauracji LOranger na St James Street. Miejsce wydało jej się rozsądnie dyskretne, więc przystała na propozycję.

Dręczyło ją lekkie poczucie winy, że sama dobrze się bawi w Londynie, podczas gdy jej kolegom grozi niebezpieczeństwo,

toteż wysłała e-maila do Gertza, w którym donosiła, że wszystko idzie zgodnie z planem i że niebawem ma nadzieję przedstawić mu odpowiedzi na niektóre pytania. Gertz natychmiast odpisał. Zastanawiała się, dlaczego jeszcze nie spał - w Los Angeles zbliżała się trzecia w nocy. Poleciał jej udać się gdzieś, gdzie nie dałoby się jej podsłuchać, aby mógł zadzwonić na jej komórkę.

- Podobasz się Perkinsowi - brzmiało pierwsze zdanie, jakie wypowiedział podczas rozmowy. Z tonu jego głosu nie była w stanie wyczytać, czy był z tego faktu zadowolony. Spytała, w jaki sposób tak prędko się o tym dowiedział, on zaś wyjaśnił, że Perkins napisał do

kontaktującego się z nim z ramienia Agencji Anthonyego Cronina, natomiast Cronin poinformował jego.

- Nasze relacje z tym gościem mają delikatny charakter - ciągnął Gertz. Cieszę się, że otwiera przed tobą wrota, musisz jednak uważać. To jak sklep z porcelaną - jak będziesz to i owo ruszała, coś w końcu zbijesz. A wtedy masz prze-kichane. A właściwie to mamy przekichane wszyscy. Więc poruszaj się ostrożnie, działaj profesjonalnie i postaraj się nie mitrzyć na potęgę. Jak najszybciej muszę pokazać Centrali jakieś rezultaty, bo w innym wypadku wszystkich nas udupią.

- Ile mam czasu?

- Tydzień, góra dwa.

- To może nie wystarczyć. Sprawa nie jest taka prosta. A jeśli natrafię na jakiś trop, będę musiała za nim pójść, nie sądzisz?

- Dobra, dobra. Po prostu uwiń się z tym w dwa tygodnie. Powiedziałem Hoffmanowi, że ty nad tym pracujesz. Ty, z imienia i nazwiska. Wiesz co to znaczy?

- Że chodzi tu o mój tyłek.

- Otóż to.

Powiedział, żeby dobrze bawiła się w Londynie i postarała się nie nabić zbyt wysokiego rachunku w hotelu Dorchester. Najwyraźniej o tym Perkins również raczył wspomnieć Croninowi.

???

Restauracja mieściła się w głębi londyńskiej krainy klubów, na rogu St James Street i Pall Mail. Marx pojechała taksówką, mając nadzieję dotrzeć na miejsce jako pierwsza, lecz kiedy przyjechała, dostrzegła stojący przed lokalem samochód Perkinsa. Jego właściciel usadowił się na ławeczce i przeglądał najnowsze doniesienia z rynków, co zwykł czynić gdziekolwiek się znajdował. Liczyby te zdawały się w całości podsumowywać losy funduszu: jakie pozycje zajął tego ranka, co w ciągu tego dnia sprzedał. Kiedy Marx usiadła, Perkins odłożył rynkowe zestawienia na bok. Wskazała je gestem i spytała, co też sprawiło, że są dla niego tak interesujące.

- Handel to opowieść - odparł. - Możesz opisać go na jednej kartce papieru, bardziej jednak przypomina książkę. Jeden wątek opowieści łączy się z całą resztą. Akurat teraz podejrzewamy, że Europejski Bank Centralny na następnym posiedzeniu zacznie znowu zaostrzać kurs, co oznacza, że stopy procentowe w strefie euro pójdą w górę. A zatem kupujemy euro i sprzedajemy europejskie udziały. W miarę umacniania się euro w stosunku do dolara, wzrosną nieco ceny ropy, tak więc kupujemy też ropę. Zarazem jednak spadek wartości dolara to dobra wiadomość dla eksporterów ze Stanów Zjednoczonych, toteż jednocześnie zwiększamy nasze udziały w pewnych wielkich spółkach amerykańskich. Tłumacząc, wskazywał na transakcje z tego poranka, które wynikały z rozwoju „opowieści”, jak to sformułował. Marx starała się podążać za wywodem i co jakiś czas kiwała głową, jak gdyby rozumiała to, o czym do niej mówi. Lecz w większości znaczników na wykresie widziała po prostu ogromne liczby i nie była w stanie śledzić logiki rynkowych wzrostów i spadków.

- Wróćmy do punktu wyjścia - rzuciła. - Skąd wiecie, że Europejski Bank Centralny zacznie na następnym zebraniu zaostrzać kurs?

Perkins uśmiechnął się z zażenowaniem i w pierwszej chwili uznała, że zadała właśnie głupie pytanie. Tak jednak nie było.

I tu jest pies pogrzebany - oświadczył. - Tego wyjaśnić nie mogę. Tak właśnie zarabiamy pieniądze. Kiedy wiesz to i owo, czynione zakłady nie są już tak ryzykowne. W innym razie mamy do czynienia po prostu z kasynem. Jeśli miałbym ochotę na hazard, pojechałbym do Las Vegas i nie potrzebowałbym takiego personelu.

Zamówili lunch, który oczywiście okazał się wyśmienity. Wydawało się, że człowiek ten jada tylko najlepsze potrawy i pija najwyborniejsze wina. W tym wypadku oznaczało to zupełnie dyniową na koniaku, podaną z kurczącymi wątróbkami na grzankach, następnie zaś jagnięce navarin. Marx odprawiła sommeliera, Perkins zauważył jednak, iż pałaszowanie jagnięciny bez kieliszka Margaux byłoby zbrodnią, zatem ustąpiła.

Jako że był to jej pierwszy dzień w Alphabet Capital, miała szereg pytań, na które Perkins uprzejmie odpowiedział. Poinformował ją, że wśród jego pracowników znajdowało się kilku ludzi pochodzących z Pakistanu. Paru z nich pracowało w dziale informatycznym, jeden zaś w księgowości. Obiecał przekazać jej ich nazwiska oraz wydobyć z archiwum ich teczek osobowe. Wyjaśnił też zasady, według których działał Howard Egan. Swe wyjazdy organizował za pośrednictwem Mony, sekretarki Perkinsa, w podróży zaś posługiwał się własnym funduszem operacyjnym. Było to jedno z kilku kont, jakimi spółka dysponowała w bankach zrzeszonych w ramach Federation des Banques Suisses, miało jednak własny numer kierunkowy i osobne ustalenia depozytowe. Na co dzień Howard Egan oraz urzędnik bankowy z FBS Felix Stern byli jedynymi osobami, które miały dostęp do tych danych, jednakże Perkins oznajmił, że je także postara się wydobyć.

???

Sophie uważnie słuchała, niektóre rzeczy notując w notatniku, który wyjęła z torebki. Podczas gdy Perkins mówił, przypominała sobie inną rozmowę sprzed dwóch tygodni, kiedy to po raz pierwszy usłyszała o Thomasie Perkinsie. Siedziała wtedy w gabinecie Gertza w Studio City i słuchała prowadzonej przez niego rozmowy telefonicznej. Perkins spytał wtedy „co z systemem?”, lecz Gertz zbył go. W tamtej chwili zwróciło to jej uwagę.

- Mam pytanie - oznajmiła. - Czym jest „system”? Jedna z jego powiek delikatnie zadrżała. Spróbował ukryć

to za uśmiechem i kolejnym łykiem Margaux.

- O czym ty mówisz? Nic nie wiem o żadnym systemie. Jaki system?

- Właśnie tak zareagował mój szef, kiedy spytałeś go o „system” Podawał się wówczas za „pana Jonesa”. Pamiętasz, zadzwonił, żeby ci powiedzieć, że Howard Egan zaginął. Pod koniec rozmowy spytałeś go „co z systemem?” Odpowiedział, że nie wie o czym mówisz, zupełnie jak ty przed momentem.

A zatem, jako że jestem ciekawska, chciałabym się dowiedzieć: co to takiego - ten system, o którym nikt zdaje się nie wiedzieć? Pokręcił głową.

- Jak do licha udało ci się podsłuchać tę rozmowę?

- Miałam drugą słuchawkę. Nie wściekaj się, szef chciał, żebym się przysłuchiwała tej rozmowie. Zdaje się, że wiedział, iż przyjdzie nam się zaprzyjaźnić.

Perkins wypił wino i przerzucił się na wodę mineralną. Bardzo starał się zachowywać zwyczajnie.

- Nie mogę o tym mówić, Sophie. Przykro mi, ale nie do moich zadań należy ujawnienie tej tajemnicy.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jeżeli dotychczas się nie dowiedziałaś, to istnieje po temu powód. A ja nie powinienem na ten temat kłapać dziobem. Z pewnością mnie zrozumiesz. To wasz świat, wasze zasady, ja tu jestem tylko świadkiem.

- Mógłbyś spytać Anthony ego Cronina? - poprosiła.

- Uczynię to z pewnością. - Na jego obliczu zagościł z powrotem swobodny uśmiech. Nie był to nawet uśmiech hollywoodzki, a po stokroć jaśniejszy. - Masz to jak w banku.

???

Perkins zaproponował, by wrócili do biura piechotą. Było piękne, letnie popołudnie, a na błękitnym niebie widniały lekkie, niby bawełniane obłoczki. Wyglądało na to, że Perkins pragnie opowiedzieć jej o sobie, wyjaśnić kim jest i w jaki sposób dostał się na sam szczyt.

Wyznał, że dawno temu wykładał ekonomię na MIT, ucząc studentów o hipotezie rynku efektywnego i teorii portfela. Z punktu widzenia świata nauki był cudownym dzieckiem - jako najmłodszy z grona kolegów zrobił doktorat, jako najmłodszy zdobył stałą posadę wykładowcy; jak trafnie ujął to pewien przyjaciel, jako najmłodszy człowiek na świecie skończył trzydziestkę. Od zawsze pragnął być profesorem, kiedy jednak udało mu się zrealizować marzenie, ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że ta praca go nudzi. Zatrzymał Sophie pośrodku chodnika i złapał ją za ramię. Zdawało się, że szczególnie zależy mu na wytłumaczeniu jej dlaczego jego życie zwróciło się ku interesom i skąd wziął się oblewający go deszcz pieniędzy.

- Wszyscy moi znajomi z uczelni uważali przejście na Wall Street za zdradę. W tamtych czasach nie istniały jeszcze żadne fundusze hedgingowe. Ludzie nie pochwalali pomnażania pieniędzy. Tymczasem jednak złapałem się na myśli: dlaczego niby wykładanie o systemie finansowym z pozycji profesora miałoby być lepsze od uczestniczenia w nim? Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o założeniu własnego funduszu. Nie chodziło bynajmniej o to, bym chciał być bogaty. Pragnąłem po prostu żyć aktywnie, a nie jak statysta. Zdawało się, że szuka potwierdzenia i uznania w oczach tej kobiety, która ryzykowała życiem w odległych krańcach świata.

- Byłem niepewny siebie, jak to się zdarza wykładowcom - kontynuował. - Nie wiedziałem, czy jestem wystarczająco twardy, by sobie poradzić w prawdziwym świecie. Bardzo mnie to dręczyło.

- I jak? Jesteś wystarczająco twardy? Wzdrygnął się. Pytanie go zraniło.

- Przepraszam - rzuciła. - Jasne, że jesteś. Jesteś do tego stworzony, to oczywiste nawet dla mnie. Sprawiasz, że to wszystko wydaje się proste.

Przechodzili Jermyn Street i zbliżali się do hotelu Ritz. Przemierzali właśnie najbogatszy kilometr kwadratowy na ziemi, on zaś pragnął, by go zrozumiała.

- Ale nie jest proste. To, co widzisz, to tylko ułuda. Gra na rynkach to nie bułka z masłem, a mordercza jazda. Jest w stanie cię zniszczyć. Parę lat temu o mały włos nie zniszczyła i mnie. Zaśmiała się. Sądziła, że żartuje.

- Ciebie? Ty przecież jesteś w czepku urodzony. Wszyscy tak mówią. To tobie udało się przejść przez chude lata i przy tym nie oberwać. Jesteś Pacman - pożerasz wszystkich i wszystko.

- To stek bzdur. Prawie było już po mnie. Wierzyście ustawiali się do mnie w kolejki sięgające Trafalgar Square. Udało mi się przetrwać, ale ledwo. A równie dobrze jutro mogę zbankrutować. Pozory mylą, moja droga. Może jednak wydaje się, że wszystko złoto, co się świeci, ale na pewno nie wszystko można zatrzymać dla siebie. Musisz wchodzić w układy, wpadać do lombardu. Musisz mieć znajomości. Jesteś zmuszony uczestniczyć w grze.

- Ale wszyscy tak robią, prawda? Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia, jak powiedział kiedyś jakiś Francuz.

- Konkretniej Balzac, i miał rację. I wiesz co? Łatwiej cię wtedy trafić.

- Wybacz, Tom, ale nie mam pojęcia o czym ty mówisz. Ponownie wziął ją za ramię.

- Kiedy w 2008 roku znalazłem się na krawędzi, dopuściłem się oszustwa. Był to jedyny sposób, aby utrzymać się na powierzchni. Ludzie, którzy wiedzieli, co wtedy zrobiłem, od tamtej pory mieli na mnie haka. Nie byłem już wolnym człowiekiem.

- Co to za ludzie?

- Nie twój interes. Choć w sumie to nie do końca prawda, bo to interes tobie bliski. Ale nie chcę o tym gadać.

- Jak na multimiliardera nie wydajesz się zbyt szczęśliwy. Wyraz jego twarzy potwierdził jej przecucie.

- Jestem w pułapce - wyznał. - Wiem, że brzmi to absurdalnie, ale jeśli mógłbym wyrwać się z tego świata, zrobiłbym to natychmiast. Lecz nie mogę, staram się więc zbierać rzeczy, które można kupić, aby dzięki nim zapomnieć o tym, czego kupić się nie da.

Sophie nie za bardzo wiedziała o czym on mówi, on zaś, powiedziawszy tak wiele, nagle zamilkł. Przez resztę drogi powrotnej nie odzywał się już prawie w ogóle. W sposobie, w jaki kroczył, trudno byłoby dopatrywać się wcześniejszej lekkości i beztronski. Było go jej żal, ale nie umiała wy tłumaczyć dlaczego.

???

Kiedy doszli do siedziby spółki, Perkins udał się do swojego gabinetu i zaczął telefonować. Na piętnastą Sophie miała zaplanowane kolejne szkolenie z systemu Bloomberga. Gdy o piątej wróciła za biurko, czekała na nią jednozdaniowa wiadomość od Jeffa Gertza: Musimy porozmawiać.

Zjechała windą do wyjścia na Curzon Street i ruszyła na północ, aż znalazła wystarczająco dyskretne miejsce w postaci niewielkiego parku przy Mount Street, otoczonego potężnymi gmachami z cegły. Przysiadła na wolnej ławce i zadzwoniła do Gertza. Był wściekły, a w jego głosie było sły chać, jak usiłuje nad sobą zapanować.

- Gdzie jesteś? - zaczął. - I nie odpowiadaj, że w Londynie. Na jakiej ulicy?

Podala mu adres bujnie zarośniętego parku, dodając, że leży nieopodal Audley Street, na tyłach biblioteki publicznej. Telefon zamilkł i Sophie wnet zdała sobie sprawę, że Gertz byt na miejscu, w mieście, musiał być tu już od chwili jej przyjazdu i miał ją na oku.

Czekając, obserwowała wiewiórki hasające po gałęziach drzew, tak zręczne i pewne tego, dokąd zmi erają. Łapka po łapce. Mają szczęście, że mogą polegać na instynkcie i brak im świadomości, która pozwoliłaby im wyobrazić sobie możliwość upadku.

Nie minęło pięć minut, a w wejściu do parku pojawiła się znajoma postać: szczupła, niemal wychudzona sylwetka, wilcza twarz z ostrymi kośćmi policzkowymi zlagodzonymi przez kozią bródkę. Miał na sobie jeden ze swoich kalifornijskich garniturów - czarna koszula, czarne spodnie, jak gdyby wybierał się do restauracji Dana Tany na spotkanie z kumplami z Hollywood. Gertz obejrzał park i okoliczne budynki pod kątem ewentualnych obserwatorów, po czym usiadł na drewnianej ławce u boku Sophie Marx.

- Cóż, moja pani, tym razem naprawdę ci się udało. Doprawdy koncertowo to spieprzyłaś. Kręcił przy tym głową.

- Witaj, Jeff. Też się cieszę, że cię widzę. O czym ty do cholery mówisz?

- Mówiłem i powtarzałem, żebyś uważała i nie pakowała paluchów we wszystko, co ci się wyda apetyczne. Ale ty okazałaś się na to zbyt mądra. Musiałaś poprosić naszego szczęściarza, żeby opowiedział ci wszystko, i to już w pierwszej dobie znajomości. A teraz naraziłaś na szwank jego, mnie i całe nasze cholerne przedsięwzięcie, nie wspominając już nawet o tobie samej. Rzeczywiście niezłe z ciebie ziółko, Sophie.

Wstał jakby rozszadająca go konsternacja nie pozwalała mu usiedzieć w miejscu, zrobił parę kroków, po czym wrócił i usiadł z powrotem na ławce. Marx obserwowała go, czekając, aż się uspokoi.

- Ależ o czym tym mówisz, Jeff? Widzę, że jesteś na mnie wściekły, ale nie rozumiem dlaczego. Co ja takiego zrobiłam?

- Daruj sobie. Taka piękna gadka działa może na Perkinsa, ale on nie zarabia na życie kłamstwami, a ja owszem. Świadomie mnie wystawiłaś, pytając Perkinsa o poufny komentarz, jaki poczynił w rozmowie telefonicznej ze mną dwa tygodnie temu. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Wiem, że starałaś się to z niego dzisiaj wydusić podczas waszego jakże eleganckiego lunchu.

- Chodzi ci o to, że spytałam Perkinsa o „system”?

- Oczywiście, że o to mi chodzi. Wprost nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Co za beznadziejny osąd sytuacji. W normalnych warunkach byłby to już IKK. Wiesz co to znaczy? „Incydent kończący karierę”.

- Powoli. - Myślami wybiegała wprzód i w tył, starając się zrozumieć furję przełożonego. - A więc Perkins zdążył już zadzwonić do Anthonyego Cronina? A Cronin doniósł tobie? Szybko. Nie tracicie czasu.

- Jezu, dziewczyno, czy naprawdę jesteś taka głupia? To ja jestem Anthony Cronin. Przez ostatnich parę lat byłem oficerem prowadzącym Perkinsa.

- Oo. - Czula się zmanipulowana, lecz przede wszystkim czula się głupio.

- Powiem ci, co teraz zrobimy, skoro przepchnęłaś się już do części sklepu z porcelaną oznaczonej tabliczką WSTĘP WZBRONIONY. Wyjaśnię ci, na czym polega „system” a ty pomożesz mi zagwarantować jego dalsze funkcjonowanie. Bo jeśli tego nie zrobisz, wylecisz z pracy w trybie natychmiastowym, ja zaś uczynię wszystko, co w mojej mocy, byś na pożegnanie dostała wilczy bilet. Czy to jest jasne?

- Jasne.

Po raz pierwszy, odkąd niczym trąba powietrzna wpadł do parku, uśmiechnął się. Zęby miał tak białe i ostre, że wydawały się iskrzyć w promieniach letniego słońca. Już ją miał: znowu była po jego stronie, co też przyjął z ulgą.

- Tak lepiej.

- Może dla ciebie. Co to za „system”?

- System, o którym mówimy, jest w istocie całkiem prosty. Opiera się bowiem na najprostszej zasadzie w życiu człowieka - złotej zasadzie wzajemności - która mówi: „czyń drugiemu tak, jakbyś chciał, by on czynił tobie”. Co oznacza, że Thomas Perkins pomaga nam, a my z kolei pomagamy Thomasowi Perkinsowi.

- W jaki sposób mu pomagamy?

- Oferujemy mu, moja droga, monetę przetargową naszego królestwa, czyli informację. Wiemy o sprawach, które napędzają rynki. Mówimy mu o tym. On dzięki temu zarabia pieniądze. Część dla siebie, część zaś dla nas - i po sprawie.

- Co robimy z naszą działką?

- Wydajemy ją. O ile nie zauważyłaś, mamy na całym świecie agentów, którzy wypłacają różnym ludziom hojne gratyfikacje - a mówiąc wprost, łapówki. Jak myślisz, skąd się te pieniądze biorą, zważywszy na fakt, że oficjalnie nie istniejemy? Otóż już ci mówię - zdobywamy pieniądze w tradycyjny sposób. Zapracowujemy na nie. Thomas Perkins zapewnia struktury. My zapewniamy informacje. Dodaj jedno do drugiego i masz maszynkę do zarabiania pieniędzy.

- Na tym polega system?

- Zgadza się. I od tej chwili sama stanowisz jego element. Marx rozejrzała się po schludnym parku. Trawa pod jej stopami była szmaragdowozielona. W promieniu kilkuset metrów w jednostajnym, niewidzialnym ruchu krążył majątek wart może nawet trylion dolarów.

- Mogę o coś spytać?

- Nie. Czas, kiedy zadawałaś pytania, dobiegł końca. Teraz przyszedł czas, byś wykonywała polecenia.

- I tak jednak spytam. Jeff, czy to, co robimy, jest legalne? Położył jej rękę na ramieniu - nie narzucając się, a w sposób wyrażający otuchę.

- Tak. Hit Parade utworzono na mocy National Security Act. Ma prawo i możliwości robienia tego, czego innym organizmom nie wolno. Dzięki temu możemy działać. Wedle czyichś innych zasad być może postępujemy nielegalnie, mamy jednak nasze własne zasady. I jak, lepiej?

- Nie bardzo, Jeff. Zdołałeś za jednym razem odpowiedzieć „tak” i „nie”.

- No, czyli rozumiałaś. Na tym to właśnie polega.

Rozdział 21

MfIKIN. POŁUDNIOWY UfIZIRISTfIN

Doktor Omar powrócił w rodzinne strony Południowego Waziristanu w drugą rocznicę dnia, w którym jego świat przemienił się w piekło. Nikomu o tym nie mówił. Ludzie gadali, że na obszarach plemiennych zrobiło się teraz zbyt niebezpiecznie, a tylko niektórzy jego koledzy z uczelni wiedzieli, że wywodzi się z tamtego świata. Lecz nadal prześladowały go wspomnienia stamtąd, zwłaszcza zaś z owego ostatniego popołudnia. Gdy zamykał oczy, trzy tysiące metrów nad głową widział na niebie metaliczne lśnienie, widział rozbłysk przypominający flesz w aparacie, otwarcie i zamknięcie migawki, która przemieniała życie w śmierć. Widział, jak jego własna rodzina znika w wybuchu światła. Niekiedy nie widział nic poza tym.

Marzył o opuszczeniu tego miejsca raz na zawsze. Jego wygnanie zaczęło się z chwilą, gdy ojciec wysłał go do szkoły w Razmak w Północnym Waziristanie. W chwili wyjazdu dopiero rosła mu broda, lecz już wtedy łaknął życia, które nie zamykałoby się w prymitywnej triadzie zar zam zamin - złota, kobiet i terytorium. Był bystrym chłopcem o wybitnych zdolnościach matematycznych, jego przeznaczeniem było pójść do koledżu i na uczelnię inżynierską. Omar uosabiał możliwość wyrwania się ze środowiska. Z czasem jednak zrozumiał, że była to tylko iluzja. Od plemiennego kodeksu, który określa, kim jesteś, uciec nie sposób.

Ludzie tytułowali go doktorem Omarem, bądź też „profesorem”, zaś religijni znajomi stosowali islamski zwrot grzecznościowy ustad, którym określa się „uczonego” Garstka osób, które wiedziały, iż wywodzi się z Terytoriów Plemiennych, mówiła o nim jako o nadziei na postęp i pojednanie. Swe czarne włosy przystrzygał u fryzjera; każdego ranka golił zarost elektryczną maszynką; ubierał się jak na uniwersyteckiego profesora przystało, w sportowe marynarki i koszule z otwartym kołnierzykiem. Jego dłonie również były gładkie. Nie uznawał przemocy jako sposobu na życie, a plemienny kodeks zemsty był dla niego czymś wyuczonym, a przez to nienaturalnym. Po to właśnie musiał wrócić do domu - aby wspominać i odnowić w sobie zapamiętane.

Doktor Omar oznajmił kolegom z Islamabadu, że wyjeżdża na krótki urlop w góry. Myśleli, że ma na myśli Gilgit bądź Chitral na dalekiej północy. On tymczasem pożyczył od znajomego toyotę i udał się na południowy zachód do Bannu, gdzie odwiedził biuro ISI, by zdobyć niezbędne dokumenty i pozwolenia. Okazał dowód tożsamości, w którym widniało jego miejsce urodzenia. Wyjaśnił, że jedzie odwiedzić rodzinne strony - dzięki ISI w okolicy nastał spokój, toteż pragnął ponownie się jej przyjrzeć i opowiedzieć ludziom o nowym świecie, jaki czekał na nich za tymi jałowymi pagórkami.

Droga prowadząca na zachód w góry była zdradziecka i lepiej radziły sobie z nią zwierzęta niż pojazdy. Omar nie spieszył się. Pragnął obejrzeć każde drzewo i każde zbocze. Z Razmak do Makinu jechał pylistą szosą tak wolno, że ściągał na siebie klaksony i wyzwiska innych, wyprzedzających go kierowców. Nie zwracał na nich uwagi. Odległy krajobraz wciąż wyglądał tak samo - niskie wzgórza wyrastające z wąskiej doliny, rosły na nich sosny i krzaczaste zarośla, powyżej

zaś popielate zbocza wyschniętych gór. I wszędzie skały, zupełnie jakby Bóg uczynił z tego skrawka ziemi zwałowisko dla elementów, które nigdzie indziej nie pasowały.

W miarę zbliżania się do rodzinnego domu Omar zaczął zauważać ślady po działaniach wojennych. Duży ośrodek w Makinie, gdzie młodzi bojownicy przechodzili szkolenie, został zniszczony przez bomby. Omar zatrzymał samochód i wysiadł, aby się przypatrzeć. Dojrzał poskręcane kawałki metalu, które niegdyś stanowiły dach budynku; zobaczył zawałone ściany i betonowe bloki z wystającymi stalowymi prętami zbrojeniowymi. Były to ważne cele ataków ze strony pakistańskich sił powietrznych; były to rany widoczne gołym okiem. Na

bazarze pojawiły się nowe sklepy. Jasne afisze reklamowały operatorów telefonii komórkowej, japońskie opony samochodowe oraz proszek do prania z Lahore. Na nowym, czerwonym banerze widniał napis COCA-COLA.

Omar zjechał z głównej szosy w kierunku rodzinnego gospodarstwa, położonego kilka kilometrów od centrum Maki-nu. Droga wznosiła się teraz, wijąc się wzdłuż wyschniętego koryta rzeki, którego dno w ów letni dzień zasypane było kamieniami. Pamiętał, jak wiosenną porą wzbierały w nim wody ze śniegów topiących się w górach na zachodzie, nieopodal afgańskiej granicy. W słoneczne dni przychodził tu z młodszym bratem Karimullahem, tocząc przed sobą dętkę, na której później zjeżdżali po spiętrzonych wodach, kurczowo się trzymając w obawie przed wywrotką. Kiedy teraz spoglądało się na suche łożysko rzeki, nie sposób było wyobrazić sobie, by kiedykolwiek płynęła nim woda.

Droga oderwała się od strugi i oczom kierowcy ukazał się szereg jabłoni, wyznaczający południowy kraniec rodzinnej posiadłości. Niegdyś sad ów starannie pielęgnowano. Ojciec wysyłał Omara z kosą, aby przycinał niskie chaszczki. Teraz teren pokryły chwasty i zarośla. Parę wczesnych jabłek, które zdążyły już spaść z gałęzi, gniło teraz na ziemi pośród robactwa.

W umyśle tkwił mu obraz tego, co widział, gdy jako chłopiec wracał z sadu z koszykiem jabłek na plecach. Kierował się wtedy zaczynając się tuż obok ścieżką ku domowi i dostrzegał z niej rodzinne gospodarstwo wtulone między wzgórzami. Jego mury zmieniały barwy w zależności od pogody - w letnim słońcu płonęły czerwienią, w pochmurne dni zaś sprawiały wrażenie poplamionych. Kiedy stukał w bramę i usługujący chłopiec otwierał ciężką drewnianą barierę, wkraczał w szczególne miejsce, gdzie zawsze coś akurat gotowano, ludzie śmiali się, zawsze też znalazł się jakiś kąs, by odpocząć, chłodny podczas letnich upałów, a zimą pozwalający się ogrzać.

Omar wyszedł za ostatni zakręt i spojrzał: z domu nie zostało zupełnie nic. Rozebrano nawet pozostały gruz. Widać było miejsce po murach gospodarstwa, a także szczątki konstrukcji, które nawet dla okolicznych złomiarzy okazały się bezużyteczne. Nie było nikogo, kto by tu mieszkał, czy choćby podjął się odbudowy.

Zamknął oczy i spróbował przypomnieć sobie, jak okolica wyglądała kiedyś, lecz tym razem obraz nie dawał się przywołać. Przepadł, podobnie jak jego rodzina. Szczątki ich ciał zdążyły rozłożyć się w tutejszej glebie. Schylił się i ucałował ziemię. Jego wargi oblepił pył, mimo to pocałował ziemię powtórnie i zapłakał. Przez dłuższą chwilę nie był w stanie się podnieść. Wynikające ze straty smutek i pustka pozbawiły go władzy w nogach. Cóż zatem daje nam siłę, by iść dalej? Gniew.

Po drugiej stronie doliny dostrzegł dom kuzyna Nadzi-ba. Gospodarstwo wciąż stało.

Przeszedł kilkaset metrów, jakie dzieliło go od bramy i zaczął w nią pukać, aż ze środka wyłonił się poskręcany, siwobrody mężczyzna o obliczu pooranym przez słońce i cierpienie. Wydawało się niemożliwe, by starzec ów był jego kuzynem - byli niemal rówieśnikami. Wzrok już go zawodził, więc nie rozpoznał Omara. Powitał przybysza zgodnie z pasztuńskim obyczajem, zaprosił go na podwórze, posadził i poczęstował napitkiem. Posiadał napędzany generatorem odbiornik telewizji satelitarnej i włączył go teraz, aby obraz umiłał gościowi rozmowę.

Kuzyn Nadzib pragnął wiedzieć kim był przybysz. Profesor wyjaśnił, że jego krewni mieszkali dawno temu w Makinie, lecz się wyprowadzili i obecnie zamieszkują w Kwecie; tam właśnie w ciągu trwającej całej dekady wojny skupiała się większość uchodźców.

Wspomniał nazwisko rodziny mieszkającej w odległości paru kilometrów, podając się za jednego z nich. Wypytał o sąsiadów, z którymi jego ojciec i bracia zwykli się przyjaźnić. Co z Hakimullahem, który mieszkał po drugiej stronie doliny? Nie żyje, podobnie jak cała jego rodzina. A Madzid, co tam u niego? Madzid również nie żyje. Jego żona uszła z życiem, lecz po ataku dronów wyprowadziła się. Mieszka teraz w Peszawarze, a może w Mingorze. A

Ahmed Wali? Przeżył atak dronów, lecz potem zginął w górach. Jego chłopcy poprzysięgli zemstę, ale też już nie żyli. To kraina duchów, oznajmił gospodarz. Wszyscy jej mieszkańcy odeszli. Tacy jak on, którzy udawali, że żyją, również byli już duchami.

Kuzyn Nadżib włożył okulary i przyjrzał się obliczu przybysza - krótkowłosego, bez brody, o twarzy, zdawałoby się, nienaznaczonej przez ten brutalny świat.

- Ja cię znam - stwierdził brodac. - Jesteś Omar. Bawiliśmy się razem, gdy byliśmy chłopcami. Twoimi braćmi

byli Karimullah i Nazir. Wasz ojciec to Hadzi Mohammed. Znam cię.

- Mylisz się - odparł gość. - Omar nie żyje. Zginął wraz z rodziną w ataku dronów. Ja jestem kimś innym.

???

Po powrocie do Islamabadu profesor udał się do dziekana wydziału i poprosił o kilkutygodniowy urlop. Oznajmił, że trafił mu się obiecujący projekt badawczy, nad którym musi się skoncentrować. Nie ufał systemowi bezpieczeństwa komputerów na uniwersytecie, kupił więc sobie nowy, do którego mógł podłączyć pendrive'a i przeprowadzić analizę zbioru nazwisk i liczb, jakie z takim wysiłkiem udało mu się zgromadzić. Planowana zemsta przypominała układankę. Należało odpowiednio połączyć elementy, aby dostrzec rządzącą nimi zasadę, a wtedy cały obrazek stawał przed oczami.

W kulturze, z której doktor Omar się wywodził, obowiązywały zasady tak precyzyjne, jak symboliczna logika komputerów. Istniało więc itbar, czyli zaufanie, stanowiące więź między równymi sobie mężczyznami i fundament godnego życia. Istniały nang, to jest honor, oraz badał, czyli osobisty kodeks, który wymagał, by na atak przeciw honorowi odpowiedzieć takim samym atakiem, oko za oko. Bez owej wzajemnej równowagi na świecie brakowałoby porządku, a życie nie miałoby sensu.

Szczególny obowiązek pomsty zachodził w wypadku meerata, to jest zabicia wszystkich męskich członków rodziny. W takich sytuacjach przedstawiciele plemienia podpalali domostwa winowajców, wypędzali ich z okolicy i jednego za drugim mordowali, aż do wyrównania krzywd. Tor, czyli czerń hańby, przemienić można było w spin, czyli biel, jedynie poprzez śmierć. Oczyszczający cykl kończył się nastaniem pokoju zwanego melmastia, gdy w swej wielkoduszności sprawiedliwy człowiek zdobywał się na wybaczenie winowajcom wyrządzonego mu zła. Mogło to jednak nastąpić dopiero po powrocie do stanu równowagi w sferze honoru.

Profesor doskonale wiedział, kto zabił jego rodzinę i doprowadził do śmierci członków pozostałych klanów, które tworzyły jego świat. Uczyniła to Centralna Agencja Wywiadowcza. Opracowali oni ową metodę zabijania z powietrza; twierdzili, że czynią to w tajemnicy, a jednocześnie ciągle się tym przechwalali. Najgorsze zaś było to, że przeprowadzali te akcje z dużej odległości, która zapewniała im komfort i bezpieczeństwo. Działali tchórzliwie: nigdy nie spoglądali swym ofiarom w oczy, nigdy nie słyszeli ich krzyków. Zdaniem profesora było to niehumanitarne i wymagało dokładnie zaplanowanej zemsty. Profesor zastanawiał się więc, w jaki sposób mógłby sprawić, by zabójcy ci odczuli ten sam strach, jakim mieszkańcy jego doliny żyli przez te wszystkie lata. Nie prowadził wojny przeciwko światu. Był muzułmaninem, lecz kwestia wiary go nie pasjonowała. Nie chciał upodobnić się do prowadzących dżihad bojowników, którzy chwalili się swymi brutalnymi czynami na taśmach wideo czy w internecie. W niczym nie byli lepsi od Amerykanów; uważali się za wybrańców Boga. Rozprawiali o dziewicach, które czekały na nich w niebiosach i o tym, jak „wysadzą się wprost do raju”. Kiedy przeglądali pornografię, tłumaczyli, że przygotowują się na rozkosze męczeństwa. Profesor z braku innych opcji mógł posłużyć się dżihadystami, ale ich nie podziwiał. Nie pojmowali honorowej równowagi zwanej gundi, która czyniła możliwym cywilizowane życie nawet pośród straszliwej dzicyzmy Terytoriów Plemiennych.

Profesor rozpoczął swoje dzieło, lecz nie doprowadził go do końca. Zrozumiał to, gdy pocałował ziemię w miejscu, w którym zginęła jego rodzina. Dług krwi, szaz, nie został jeszcze do końca spłacony. Wiedział, że kiedyś zniknie, tak jak się pojawił, nie wiedział jednak w jaki sposób. Kiedy szaz należało uznać za spłacony? Żałował, że nie ma już ojca, który by mu to wytłumaczył.

Raz jeszcze udał się do Europy, aby spotkać się z przyjacielem w Belgii. Był to krótki wyjazd, zaledwie na dwa dni. W drodze powrotnej zatrzymał się w Paryżu i spędził dzień na udzielaniu konsultacji francuskiemu bankowi, który zainwestował w zakrojony na szeroką skalę projekt rolniczy w prowincji Sindh i miał teraz trudności z uzyskaniem swych profitów. Przeszło mu nawet przez myśl odwiedzić położoną niedaleko Place de la Concorde ambasadę Stanów Zjednoczonych, tylko po to, by spojrzeć w oczy jej pracownikom. Lecz oni również by go wtedy zobaczyli i sfotografowali, a to sprawiłoby, że gdzieś ponownie otworzyłaby się jakaś teczka. Usiadł więc na ławce w parku przy Avenue Gabriel, w odległości około stu metrów od wejścia do ambasady i przyglądał się ludziom przechodzącym przez ciężkie, stalowe drzwi.

Rozdział 22

LONDYN

Thomas Perkins zaprosił nową analityczkę do spraw energetycznych na poranne spotkanie, na którym zwykle omawiał z najbliższymi podwładnymi strategię handlową na dany dzień. Widoczne za oknem niebo londyńskiego poranka przybrało odcień królewskiego błękitu, a nieliczne, cienkie obłoki dryfowały z zachodu na wschód przez rozciągającą się za szkłem przestrzeń. W dole rozciągał się południowy kraniec dzielnicy Mayfair ze sklepami St James s Street na wschodzie oraz gładkimi trawnikami Green Parku na zachodzie.

Ludzie przebywający w gabinecie na ostatnim piętrze mieli wrażenie, że znajdują się w kokonie uplecionym ze złotej nici. Żeby pozostać na szczycie tak wspaniałego budynku człowiek był gotowy przyjąć każdą rozsądną propozycję pomocy, zwłaszcza zaś, jeśli miał pewność, że posunięcia, o które jest proszony, będą legalne, a co więcej, przysłużą się ojczyźnie.

Perkins siedział za swym biurkiem. Cztery duże ekrany zawieszono naprzeciwko w dwóch rzędach pokazywały sytuację na rynkach w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Wielkiej Brytanii i reszcie Europy. Z trzech stron biurko obstawione było terminalami transakcyjnymi Bloomberg'a: lewy przedstawiał strumień dyspozycji Alphabet Capital na dany dzień obrotów, środkowy ukazywał w postaci graficznej informacje o papierach wartościowych i rynkach wartych szczególnej uwagi, zaś na prawym widniał szereg otwartych okien komunikatorów, umożliwiających kontakt z brokerami, którzy zajmowali się interesami firmy oraz z innymi przydatnymi informatorami. „System”, który skonstruował Perkins wraz z człowiekiem znanym mu jako Anthony Cronin, był niewidzialny, ale bez najmniejszej wątpliwości istniał. Dla osoby z zewnątrz niemożliwe byłoby dostrzeżenie jakichś pojedynczych skrawków informacji w strumieniu, który tworzyły spływające z wielu ekranów wiadomości. Dlatego też było to takie opłacalne. Drobną przewagą na starcie mogła prowadzić do znaczącej różnicy w końcowym rozrachunku. Jeśli wiedziałeś ponad wszelką wątpliwość, że dajmy na to, Ludowy Bank Chin zamierza następnego dnia transakcji podnieść stopy procentowe, mogłeś na tym zarobić furę pieniędzy. W opinii większości ludzi uzyskanie tego typu przewagi było niewykonalne - w chińskim banku centralnym trzeba by było mieć własnego szpiega lub też ukryty mikrofon, albo złamać kody zabezpieczające i dzięki temu czytać ich zaszyfowaną korespondencję. Żaden prywatny gracz nie mógł na nic takiego liczyć. Ale już ktoś dysponujący pomocą ze strony rządu... to zupełnie inna sprawa.

Perkins wyszedł zza biurka i podszedł do stołu konferencyjnego, po czym przedstawił zespołowi analityków nową kandydatkę do sekcji energetyki - Sophie Marx. Zainteresowana okazywała właściwy stopień podenerwowania. Przygotowaniom do zebrania poświęciła jeden dzień pod opieką Jeffrey'a Gertza, który pragnął, by jego podopieczna miała efektowne wejście. Nadal nie była pewna, czy jej się to uda, na szczęście jednak nie musiała pierwsza zabierać głosu.

Marx spojrzała w notatki. Gertz postarał się, by mogła przeprowadzić szybką „kwerendę” w temacie energetyki z Janko Spellmanem, Serbem o wygolonej głowie i dużych uszach, który podczas wojny w Kosowie pracował na usługach CIA. Obecnie podróżował po Europie Wschodniej, zbierając dla Gertza informacje z łatwością, z jaką zrywa się jabłko z pochylonej gałęzi. Dopiero co powrócił z owocnego wyjazdu na Ukrainę.

- Porozmawiaj z Janko - poradził jej Gertz. - On ma dla ciebie perełki.

- Nie podoba mi się to - odparła wtedy.

- Za późno. Wahać to się mogą frajerzy.

I miał rację. Jeżeli zależało ci na pracy, w której robi się wyłącznie to, co jest właściwe, trzeba było poszukać zatrudnienia w innej branży.

???

Perkins uderzył długopisem w szklankę z wodą, dźwięk przypominał dzwonek otwierający sesję na Wall Street: przyszła pora, by zarobić nieco pieniędzy.

- Jak wygląda sytuacja na rynku obligacji? - zaczął. - Wydaje się, że nadeszła chwila, by sprzedawać wszystko, co francuskie. Ich banki cienko przędą, wzrost PKB mają mizerny, rating ich obligacji jeszcze nie został obniżony, ale założę się, że niebawem do tego dojdzie. Sprzedajemy Francuzów. Mam rację, Fiona?

Perkins zwrócił się do trzydziestoparoletniej Brytyjki, będącej jedną z jego analityków do spraw bankowych. Fiona miała na nosie grube okulary, zaś włosy upięła w kok. Widać w niej było zaciekłość.

- La chute* - odparła zapytana. - Różnica między stopą LIBOR a francuską stopą międzybankową narasta już od tygodnia. Ale rynek jest zdezorientowany. Tego ranka róż-

* La chute - (franc.) upadek.

nica wynosiła czterdzieści punktów bazowych, to jest o pięć mniej niż wczoraj.

- Zdezorientowany - Perkins z rozkoszą powtórzył komentarz analityczki, gdyż określał on jego najbardziej ulubiony stan na rynku. - Ludzie zakładają, że Niemcy zaraz nadciągną z pomocą. Ale tak się nie stanie. Dlaczego mieliby brać na siebie francuski bałagan? Tu nie chodzi o jakieś blotki pokroju Grecji czy Portugalii, Francja uchodzi za równorzędnego gracza. Francuskie spready tylko się powiększą. Pójdź przekazać Cameronowi, że chcemy się pozbyć wszelkich obligacji i papierów własnościowych z napisem „Francja”. Mogłabyś to zrobić? Ale w tym momencie.

Fiona pobiegła z gabinetu Perkinsa do sali transakcyjnej, gdzie odszukała Camerona Cummingsa, głównego maklera od rynków strefy euro. Nosił okulary w niebieskich oprawkach, przez co wyglądał jak model z męskiej edycji magazynu „Vogue”. Był jednak urodzonym zabójcą, jak zresztą większość tu obecnych.

Podczas gdy Fiona przekazywała polecenia szefa, Perkins zdecydował się udoskonalić dyspozycję. Nacisnął guziki przy stojącym obok niego mikrofonie, włączając tym samym interkom. Wybrał dwa kolejne przyciski i połączył się bezpośrednio z biurkiem Camerona.

- I zrób to, proszę, ostrożnie. Nie wystrasz rynku. Sprzedawaj małymi porcjami przez cały ranek, a nie za jednym zamachem, żeby maklerzy się nie połapali. Jeśli ludzie zorientują się, co robimy, wszyscy również rzucą się do sprzedaży. Byłbyś w stanie skorzystać z jakiegoś pośrednika?

- Morgan Stanley ma u mnie dług. Zaczną operację przez swoje własne konto - odparł pracownik odpowiedzialny za portfel europejskich papierów dłużnych.

- Wspaniale. - Perkins wyłączył interkom i z powrotem zwrócił się ku zebranych analitykom. - Co nam wiadomo o działaniach EBC, Dominie? Coś nowego?

Dominie Caprezzi, łysiejący, dobrze odżywiony analityk odpowiedzialny za poczynania Europejskiego Banku Centralnego, zabrał głos.

- W zeszłym tygodniu spotkałem się z Georgeem Pater-nosterem, zastępcą głównego ekonomisty banku. Nie powiedział tego wprost, ale mam wrażenie, że znowu przystąpią do zaostrzania kursu.

Perkins potrząsnął głową.

- Paternoster jest na wylocie. Wiem to z pewnych źródeł, miałem wam właśnie powiedzieć. A co z niemiecką krzywą dochodowości? Wspominał coś o tym?

Wokół stołu zaczęto kiwać głowami. Niemieckie stopy procentowe stanowiły obecnie jeden z najpoważniejszych czynników w świecie funduszy hedgingowych. Wielu graczy obstawiało, że stopy długoterminowe również zaczną rosnać, aby przywrócić krzywej tradycyjną, wznoszącą się postać.

- Stopy długoterminowe muszą pójść w górę - skostatował Dominie, wyrażając powszechne przekonanie. Uderzył zarazem w nieco mentorski ton, przypominając wszystkim, że wyższe krzywe długoterminowe są racjonalne, a przez to nieuniknione, stanowią bowiem współmierne wynagrodzenie ryzyka związanego z dłuższą blokadą środków pieniężnych.

- Nie - rzucił Perkins, przerywając jego tyradę. - Tak się nie stanie. Oto jak wygląda sytuacja: krzywa dochodowości przebiega poziomo, EBC jest z tego zadowolony, więc pragnie, by długoterminowe stopy pozostały niskie. Koniec, kropka. Typujemy, że krzywa będzie płaska.

- Jest pan pewien? - zapytał ostrożnie Dominie. Perkins zachęcał analityków, by z nim polemizowali, aczkolwiek sami nigdy nie byli co do tego w pełni przekonani.

- To pytanie natury epistemologicznej, na które odpowiedzieć nie potrafię. Bo czymże jest pewność? Sądzę jednak, że mam rację. I to wystarczy.

Włączył interkom i ponownie wywołał Camerona.

- Racz zwrócić uwagę na terminy płatności euroobligacji, którymi obracasz. I przy takich cenach dalej kupuj, choćby nawet wszyscy sprzedawali. Nie mają racji.

???

Następnie Perkins zwrócił się ku Sophie Marx. Obserwowała ona trwający rytuał z narastającym zainteresowaniem - nie tyle z samego podziwu dla precyzji, z jaką mechanizm funkcjonował, a z ciekawości co do pochodzenia wykorzystywanych informacji. Ile w tym było zwykłego rozpoznania rynkowego, ile zgadywanki, ile zaś danych poufnych - z podsłuchanych rozmów telefonicznych i przechwyconych e-maili bądź też od agentów porozmieszcza-nych wewnątrz banków centralnych - które pozyskały, a następnie przekazały Perkinsowi amerykańskie służby wywiadowcze? Nie sposób było to stwierdzić i o to właśnie chodziło.

- Czy ma pani cokolwiek dla nas, panno Marx? - spytał. - Jest pani nowa, ale proszę się nie krępować.

- Istotnie, coś tam mam.

Uśmiechnęła się wstydliwie. Ludzie wokół nie znali jej. Była tu w końcu na próbę.

- Wybornie, proszę podzielić się z resztą klasy. Pacman rozwarł paszczę, gotów przed porą lunchu pochłonąć kolejne nowe materiały.

- To odpowiedni moment, by na giełdach surowców skupować ropę i gaz zarówno w formie bezpośredniej, jak i przez kontrakty terminowe.

Mówiła wolno, głosem lekko drżącym z niepewności i przejęcia, jakie odczuwać powinien ktoś nowy w ekipie.

- Tak pani sądzi?

- Tak, proszę pana. To również dobry moment, żeby wyprzedać posiadane akcje rosyjskich spółek naftowych i gazowniczych, a także wszelkich dużych przedsiębiorstw zagranicznych, które handlują rosyjskimi dostawami.

- A to z jakiego powodu? - spytał Perkins. O niczym go nie uprzedziła, więc był autentycznie zaintrygowany. - Większość czyni dokładnie na odwrót. Uznają, że ceny paliw osiągnęły jak na razie szczyt. A poza tym lubią Rosjan. Dlaczego pani jest innego zdania?

- Rosjanie mają problemy z rurociągiem.

Mówiła tak cicho, że ludzie po drugiej stronie stołu mieli trudności z jej usłyszeniem.

- Czyżby? Ja o nich nic nie słyszałem, a rynkowi energetyki przyglądam się całkiem uważnie.

- W istocie tego jeszcze nie upublicznili, panie Perkins. Ale dwa dni temu doszło do przebicia rosyjskiego gazociągu na zachodniej Ukrainie. Wczoraj wyłączyli go z użytku, a naprawa uszkodzenia może potrwać. Tak mi się wydaje.

Wszyscy wokół milczeli. O ile była to prawda, wiadomość miała wielkie znaczenie i zmieniała sytuację na rynku.

- Dobra, kupuję to - oznajmił Perkins. - Podoba mi się. Nawet bardzo mi się podoba. Zróbmy tak, jak radzi nowa. Co ty na to, Ivor?

Ivor Fyfe, główny menedżer spółki do spraw ryzyka, był sceptyczny. Jego działkę stanowił rachunek prawdopo-

dobieństwa, a prawdopodobieństwo, że nowa analityczka, o której nikt nigdy wcześniej nie słyszał, zdołała dokonać takiego odkrycia, było zdecydowanie niskie. Fyfe narzucił firmie zasady bezpieczeństwa w przeprowadzanych transakcjach, które nakazywały, by każdy makler, którego konto zanotowało stratę w wysokości pięciu procent, był poddawany obserwacji, zaś konto każdego maklera, który tracił dziesięć procent, było blokowane. Teraz zaś ta neofitka prosto z ulicy chciała zaryzykować kapitałem firmy, do której jej jeszcze tak naprawdę nie przyjęto. Czuł się tym wszystkim obrażony.

- Nie chciałbym gasić pani entuzjazmu - zaczął Ivor - ale skąd pani to „wie”, panno Marx? Powiedziały to pani rosyjskie wróbelki?

- Mam znajomego na Ukrainie - odparła Sophie. - Dopiero co był we Lwowie, niedaleko jednej ze stacji przesyłowych rurociągu. O problemie usłyszał wczoraj. Starają się to ukryć, ale ludzie w mieście już wiedzą. Mówi, że sprawa jest poważna.

Perkins dalej ją prowokował.

- A co w niej jest aż tak poważnego, jeśli można spytać?

- Jest poważna, ponieważ do awarii doszło akurat za punktem, w którym dwa gazociągi dostawcze, Sojuz i Braterstwo, łączą się w linię Trans-Gas. Dziś rano sprawdziłam osobiście. Przesył tą linią przez Polskę został zatrzymany. Twierdzą, że chodzi po prostu o rutynowe prace konserwacyjne, ale tak nie jest.

Perkinsowi błyszczały oczy. Widać było, że jest podekscytowany.

- Proszę nam więc powiedzieć, panno Marx: powinniśmy zagrać tu na całego?

Z zapalem pokiwała głową, a zebrane w kucyk włosy uderzyły ją po karku.

- Ivor? Ostatnia szansa, by popsuć nam humory.

Fyfe minę miał ponurą, lecz skinął głową i niemal bezgłośnie rzucił:

- Zgoda.

- A zatem zrobmy to. Niech ktoś ściągnie tu Staną. On będzie mógł skoordynować transakcje. Do gabinetu ściągnięto Staną Ferbera. Zajmował się rosyjskimi papierami wartościowymi i pomógł w zaplanowaniu na cały dzień strategii transakcyjnej. Postanowiono działać zdecydowanie, aczkolwiek maskując posunięcia, kiedy tylko było to możliwe, trzeba było zająć odpowiednie pozycje, zanim informacja przedostanie się do powszechnej świadomości i rynki zareagują. Ropę i gaz planowano skupować, zaś rosyjskie papiery wartościowe sprzedawać.

Perkins promieniał. Sophie powróciła do swojego biurka, aby obserwować rozwój wypadków. W sali transakcyjnej wyczuwało się istic zwierzęcą energię. Wydawało się, że już po minucie wszyscy obecni zorientowali się, że mają właśnie podjąć wielkie ryzyko w oparciu o wskazówki od nowicjuszki, która właśnie weszła do pomieszczenia.

Pośród kontrolowanego chaosu przygotowań do operacji Perkins spacerowym tempem podszedł do jej biurka.

- Zepsułem cię - oświadczył. Na jego twarzy pojawiła się zagadkowa mina.
???

Przez większość dnia Alphabet Capital było na rynkach masakrowane. Gazprom wydał oświadczenie o prowadzonych rutynowych pracach konserwacyjnych na Ukrainie i w Polsce, a większość inwestorów przyjęła je ze zrozumieniem. Do południa na papierze straty spółki przekroczyły dwieście milionów dolarów, zaś wczesnym popołudniem wzrosły do ponad trzystu milionów dolarów i w dalszym ciągu narastały.

O wpół do drugiej Ivor Fyfe udał się do Perkinsa. Na tym właśnie polegało zadanie menedżera do spraw ryzyka - miał chronić firmę przed znacznymi wahaniami na rynku - a to, co się właśnie działo, nie podobało mu się ani trochę. Zazwyczaj w ciągu dnia Alphabet Capital zarabiała lub traciła na swym portfelu inwestycyjnym pół punktu procentowego. Ograniczając ponoszone ryzyko do jednego procenta dziennie, z dużym prawdopodobieństwem mogło wypracować zwrot na przyzwoitym poziomie szesnastu procent rocznie, zarówno z silnych, jak i słabych rynków. Ryzykując trzy procent, mogłoby osiągnąć o wiele bardziej ekscytujące czterdzieści osiem procent. Tymczasem Perkins odrzucał nawet tę kalkulację ryzyka do zysku, opierając się przy tym na przemysłeniach nowej ślicznej analityczki. A to się Ivorowi nie podobało.

Po wizycie specjalisty do spraw ryzyka Perkins wezwał Sophie do swojego gabinetu. Straty w dalszym ciągu narastały, toteż cały personel spółki przyglądał się, jak przemierza salę niczym skazaniec w drodze na szafot. Lecz po kilku minutach wyszła z gabinetu szefa z szerokim uśmiechem na ustach, a chwilę potem wyłonił się sam Perkins i polecił maklerom podwoić wartość zakładów. Za pośrednictwem wewnętrznej sieci żartowniś z końca sali rozesłał kolegom wiadomość: Firmowa ankietka: czy miss energetyki a) zrobiła szefowi laskę b) zrobiła mu lizanko c) dała mu parę klapsów?

Po drugiej trzydziści po południu, zaraz po otwarciu na giełdzie w Nowym Jorku, sytuacja na rynkach zaczęła się

odwracać. Rozeszło się, że Alphabet Capital czyni jakieś zakrojone na szeroką skalę ruchy, a maklerzy tylko podsycali plotki. Krótko po godzinie trzeciej Bloomberg doniósł, że według pewnych doniesień problem z rosyjskim gazociągiem może mieć nieco poważniejszy charakter. O czwartej ukazała się pierwsza depesza z pogłoskami, iż rurociąg został uszkodzony. Gazprom nadal powstrzymywał się od komentarza, ale wszystko, co rosyjskie, leciało już na łeb, na szyję, gdyż rynki zaczęły przyjmować, że coś może być na rzeczy.

Gazprom wydał oświadczenie o dwudziestej czterdzieści pięć czasu londyńskiego, czyli tuż przed zamknięciem notowań w Nowym Jorku, i potwierdził, że jego główny rurociąg zaopatrujący Europę został przerwany. Pełna naprawa mogła potrwać od trzech tygodni do miesiąca. Zapanował ogólnoswiatowy szal transakcji. Notowania Alphabet Capital, które koło południa wykazywały stratę trzystu milionów dolarów, wzniosły się teraz o niemal trzykrotność tej sumy.

Sophie Marx właśnie zarobiła dla spółki bez mała miliard dolarów. Kiedy komunikat Gazpromu został upubliczniony, Stan Ferber, kierujący transakcjami dotyczącymi Rosji, podszedł do jej biurka z butelką szampana. Nalał kieliszek nowej analityczce do spraw energii, czemu towarzyszyły oklaski zebranych w pobliżu maklerów.

Kiedy Sophie popijała szampana, Perkins wyszedł ze swojego gabinetu. Pracownicy uznali, że postanowił świętować z nimi, lecz twarz miał napiętą. Gdy doszedł do biurka, spytał ją na ucno, czy wieczorem, po zamknięciu notowań w Nowym Jorku, mogliby zjeść razem kolację. Wyglądał zaskakująco posepnie. Ferber i reszta wycofali się do swoich stanowisk.

- Coś nie tak? - spytała. - Wygrałeś.

- Bardziej mnie to cieszyło, kiedy graliśmy naprawdę - odparł cicho Perkins. - Znaczonymi kartami grać jest zbyt łatwo.

- To się poddaj - odparła.

Przez dłuższy moment się w nią wpatrywał, jak gdyby w ogóle nie uważał takiego rozwiązania za możliwe.

Rozdział 27

LONDYN

Perkins chciał wyjechać z Londynu. Zaproponował, by jego prywatnym odrzutowcem polecieci na późną kolację do Paryża. Zadzwoiłby do Jeana-Marie w Taillevent, a ten zająłby im stolik. Sophie uznała, że to żart, ale po prostu nie rozumiała sytuacji: dopiero co dzięki niej firma Perkinsa zarobiła miliard dolarów. Gdyby przez pięć dni w tygodniu wydawała po milion dolarów dziennie, suma ta i tak starczyłaby jej na prawie cztery lata. Dlaczego więc nie polecieć prywatnym samolotem na kolację do Paryża? Pieniądze istotnie nie grały roli, gdy było ich tak mnóstwo. Pogodzenie się z tym faktem kosztowało nieco wysiłku Sophie, dla której w okresie dorastania szczytem marzeń były rzeczy, które można było kupić. Kiedy jednak w swym pokoju w hotelu Dorchester pakowała się już do podręcznej torby, rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił Perkins.

- Za późno - oznajmił. W pierwszej chwili nie do końca wiedziała, co chce przez to powiedzieć. - Mój pilot twierdzi, że na zgodę na lądowanie w Paryżu musielibyśmy czekać do rana. Powiedział, że jestem naiwny.

Ostatecznie zdecydowali się na River Cafe, lokal położony tuż poza granicami londyńskiego śródmieścia. Była to szykowna restauracja nad Tamizą, nieopodal Hammersmith. Wnętrze utrzymane było w odcieniach niebieskiego - dywan w kolorze jasnego morza i granatowe ściany zestawiono z połyskującą stalą otwartej kuchni. Perkins był tu stałym bywalcem - chadzał w miejsca, które lubił, miejsca, w których ryzyko nieudanego posiłku było małe.

Perkins zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. W słabym świetle restauracji nie wyglądał już tak bardzo na Pacmana. Sophie miała na sobie niebieską bluzkę i przylegający do ciała, dobrze skrojony żakiet. Teraz również zdjęła go i przewiesiła przez oparcie krzesła. Jedną z zalet bycia bogatym był w tym momencie luksus nieprzejmowania się własnym wyglądem. Sophie była atrakcyjną kobietą: gibką, jasnooką, na jej twarzy niemal zawsze błąkał się psotny uśmiech. Tego zaś wieczora, odprężając się po dniu pełnym udanych interesów, również Perkins sprawiał wrażenie przystojnego. Emanował nieśmiałością charakterystyczną dla ludzi znanych, którzy poszukują w życiu celów, do których nie da się przyczepić metki z ceną.

Perkins znał menu na pamięć i zamówił to, co uznał, że będzie jej smakować: pieczone żółte papryczki, bruschettę z dzikim oregano, risotto z białymi brzoskwiniami, a także grillowane ryby, które z włoska nazwane spiedino oraz bran-zino sprawiały wrażenie dalece apetyczniejsze, niż gdyby figurowały w karcie po prostu jako labraks i żabnica. Nie oparł się przy tym pokusie zamówienia kolejnej butelki wyborowego wina, tym razem z Górnej Adygi. Sophie zazwyczaj nie dawała się rozpieszczać, teraz jednak z chęcią przystała na propozycję i zaczęła pałaszować stawiane przed nią potrawy.

- Opowiedz mi o Sophie Marx, o ile to dopuszczalne - zagaił Perkins. - Nic o tobie nie wiem, pomijając fakt, że zdajesz się być potwornie dobra w tym, co robisz.

- „CIA - my zmieniamy świat”. Hasło naszych oficerów werbunkowych.

I jak? Zmieniacie?

- Wystarczająco, by nadal mnie to pociągało. Można powiedzieć, że kręci mnie działanie. I lubię dotrzymywać tajemnicy. Mam w tym dużo wprawy.
- Ale nadal nic mi nie powiedziałaś. Gdzie się wychowałaś? Może zacznijmy od tego. To nie są chyba informacje poufne?
- Głównie na Florydzie, potem również przez chwilę na Saint Croix. A później uciekłam z domu. Zwykle, normalne dzieciństwo.
- Chyba ma się pani z czego tłumaczyć, madame.
- Ja nigdy się nie tłumaczę.

???

Wnet jednak tłumaczyć się zaczęła. Czar letniego wieczoru sprawił, że podzieliła się z Perkinsem historią, której dotychczas nie opowiedziała nikomu spoza Agencji. Z przyczyn, które tylko częściowo pojmowała, wzbudzał w niej zaufanie. Czuli, że tak jak ona tkwił w świecie, w którym odnosił sukcesy, lecz nie był w nim w pełni szczęśliwy. Pędził za nią babiego lata, która nieustannie mu się wymykała. A na dodatek okazał się dobrym słuchaczem i pozwolił jej snuć swą opowieść.

- Można powiedzieć, że moi rodzice byli hippisami - zaczęła. - Ciągłe uciekali. Nigdy do końca nie wiedziałam, czy przed policją, czy przed FBI, czy może po prostu przed zwykłymi ludźmi. A mnie ciągaliby ze sobą. Było pełno spraw, o których nie mogliśmy rozmawiać z nikim obcym. Chyba stąd wzięło się to moje zafascynowanie światem tajemnic.
- Jaka była twoja matka? W ciemno strzelam, że szpiegiem nie była.
- Naprawdę chcesz wiedzieć? To prywatne sprawy, a do tego trochę żenujące.
- Tak, naprawdę chcę wiedzieć. Chcę zrozumieć, skąd się biorą takie kobiety jak ty.
- Matka była buntowniczką. Przypominała te śliczne dziewczyny, które widać na zdjęciach z festiwalu Woodstock lub na okładkach płyt Joni Mitchell. A do tego lubiła kusić los. Jeżeli ktoś jej mówił, że czegoś nie można zrobić, absolutnie musiała tego dokonać. Miała niestety paskudny nawyk znikania. Sądziłam, że chciała oderwać się ode mnie i mojego ojca, ale ona twierdziła, że jest po prostu wolnym duchem. Kiedy dobrze się bawiła, zdarzało jej się zapomnieć o konieczności powrotu do domu.
- Wracała?
- Najczęściej tak, choć niekiedy trochę to trwało. Pod jej nieobecność sama musiałam dbać o pewne sprawy. Gotowałam, robiłam zakupy, opłacałam rachunki. A także zajmowałam się tatą, jeśli akurat miał doła. Pełniłam obowiązki matki. Nic dziwnego, że jestem taka dziwna, prawda?
- Przykro mi to mówić, ale nie jesteś ani trochę dziwna. A jaki był twój ojciec?
- Tata był marzycielem. I zdaje mi się, że romantykiem. Był bardzo przystojny, a do tego nieco impulsywny. Ze swojej strony także zaliczał skoki w bok. Jego największym problemem było niezorganizowanie. Jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Columbia zgarnęli go w Nowym Jorku za sprzedaż LSD, potem zaś złamał zasady zwolnienia warunkowego, więc musieliśmy się ciągle przeprowadzać. Czasami używał fikcyjnych nazwisk, przez co każdej jesieni robił się wielki bałagan, kiedy musiałam iść do szkoły i trzeba było wypełniać masę formularzy.
- Gdzie mieszkaliście?
- Na początku w Naples nad Zatoką Meksykańską, potem w Daytona Beach od strony Atlantyku, a następnie w Key West. Czasami na lato jechałam na północ do krewnych. Ale co roku we wrześniu powracał problem szkoły. Dlatego też przeprowadziliśmy się do Christiansted na Wyspach Dziewiczych. Jacyś szurnięci znajomi rodziców organizowali tam prywatną szkołę, aby ich dzieci mogły zostać wolnomyślicielami i nie musiały zgłębiać tak drobnomieszczańskich przedmiotów, jak ortografia czy gramatyka. Mieszkaliśmy na

zakotwiczonej w porcie łodzi w Christiansted Harbor. Tylko na to było ich stać. Dla mnie to był koszmar. Zupełnie jakbym codziennie miała w domu przyjęcie ekipy z musicalu Hair.

- Jak ci się udało stać tak normalną, Sophie? Nie rozumiem. Po takim dzieciństwie powinnaś wylądować w wariatkowie.

- Widać jestem niezwykle odporna. Uratowało mnie to, że uciekłam z domu. Zrozumiałam, że tak dalej żyć nie mogę, a rodzice się nie zmieniają, więc w końcu po prostu od nich odeszłam.

Miałam bogatą ciotkę ze strony ojca, która mieszkała w Chicago. Przygarnęła mnie.

- To stamtąd właśnie pochodzi rodzina Marxów? Z Chicago?

- Niezupełnie. To nie jest nasze prawdziwe nazwisko. Ojciec przyjął je podczas jednej z ucieczek. W rzeczywistości nazywaliśmy się Devereux. Ciotka chciała, żebym wróciła do pierwotnego nazwiska, kiedy z nią zamieszkałam, ale ja się nie zgodziłam. Następnego roku załatwiła mi przyjęcie do szkoły z internatem w New Hampshire. Tam nauczyłam się zachowywać jak ktoś normalny. Ale wierz mi, normalna nie jestem.

- A już by ci się udało mnie nabrać. Od chwili, gdy we-szłaś do klubu Edwards, miałem wrażenie, że jesteś Gretą Garbo.

- Umiem dobrze udawać. To jedna z pomocnych do przetrwania umiejętności, jakie wykształciłam. A przez to,

że miałam takie wariackie dzieciństwo, umiałam to i owo,

o czym inne dzieciaki nie miały pojęcia, więc stałam się popularna. W samej szkole też sobie nieźle radziłam. Jakoś pomimo tych wszystkich lat spędzonych w wiejskich szkołach i na wysłuchiwanie poronionych pomysłów moich rodziców udało mi się nie zidiociec.

Uchodziłam więc za „sukces pedagogiczny”.

- Nadal nie rozumiem w tym wątku CIA. Jak trafiłaś do Agencji? Po tak pokręconym dzieciństwie spodziewałbym się, że zapragniesz zajęcia jak najnormalniejszego - w banku czy firmie ubezpieczeniowej.

Jej oczy błyszczały. Była na lekkim rauszu, zarówno pod wpływem wina, jak i towarzystwa.

- Czyż to nie oczywiste? To jedyne miejsce, w którym mogłam liczyć na zrozumienie. CIA to agenda rządu federalnego pełna ludzi, którzy przed czymś uciekają; ludzi z sekretami, których nie mogą nikomu wyjawić; ludzi, którzy ciągle kogoś udają. Trafiłam do budynku pełnego dziwaków takich jak ja. Oficerom werbunkowym Agencji opowiedziałam o sobie absolutnie wszystko. Nie miałam zresztą wyboru. Jeszcze nigdy przedtem nie wyjawiałam nikomu całej prawdy. I wiesz co? Szalenie im się to spodobało.

- Oj tam, panno Devereux. Czy rzeczywiście zawsze kogoś udajesz? Dajmy na to, w tej chwili?

- Zawsze, a teraz w szczególności. Nieustannie boję się, że ktoś zdemaskuje we mnie fałsz. Śni mi się to po nocach. A na nazwisko mam Marx.

Perkins ujął ją za dłoń. Nawet wzięwszy pod uwagę osobisty charakter rozmowy, był to gest niespodziewany.

- Zapewne mi nie uwierzysz, ale odczuwam tę samą niepewność. Boję się, że mnie zdemaskują. Świat, który wzniosłem,

rozleci się jak domek z kart, a ja spędzę resztę życia na zbieraniu jego resztek. Boję się, i to nieustannie.

- Ty? Przecież to śmieszne. Czego miałbyś się niby bać?

- Porażki, upadku, bankructwa. Kiedy w grę wchodzi tak ogromne pieniądze, łatwo jest wpaść w tarapaty. Dlatego właśnie zgodziłem się pomagać Agencji. Próbowałem ci to wytłumaczyć. Kiedy po raz pierwszy się z wami zetknąłem, byłem w bardzo poważnych kłopotach. Nie wiedzieli o tym moi inwestorzy, nie wiedziała o tym giełda, ale twoi znajomi - owszem. Zdawali sobie sprawę, że jestem bezbronny. Czyniło to ze mnie perfekcyjnego kandydata do werbunku. Bo tak to, zdaje się, zwykliście określać?

- Tak, tak na to mówimy.

Spojrzała przez stół na Perkinsa. Chciał się wytłumaczyć, a ona istotnie była jedyną osobą, przed którą mógł się otworzyć.

- Jak do tego doszło? - spytała. - W jaki sposób cię zwerbowałam???

Opowiedział jej więc swą historię. Osobliwe było to przedstawienie, gdzie widownia zdawała się rozumieć fabułę równie dobrze, co aktor.

- Znasz Anthonyego Cronina, człowieka, który nas skontaktował? - zaczął.

Przytaknęła. Na chwilę obecną poprzestała tylko na tym.

- Poznałem go w Nowym Jorku, jakieś pięć czy sześć lat temu. Dokładnie nie pamiętam.

Wtedy wszystko jeszcze łatwo szło, nikt mnie nie naciskał. Spotkanie zaaranżował znajomy menedżer funduszu hedgingowego. Bez dwóch zdań miał on jakieś powiązania z wywiadem, nigdy mi ich jednak nie wyjaśnił.

- Namiernik - wtrąciła Marx i puściła oko. - Tak na takich mówimy.

- No dobra, w każdym razie pewnego dnia do mnie zadzwonił i powiedział, że ma w rządzie przyjaciela, który nazywa się Cronin i jest większą szycią, i że przy okazji następnej wizyty w Stanach powinienem się z nim zobaczyć. A ja na to, że jasne, czemu nie. Po 11 września masa ludzi ze świata finansów zaczęła pomagać władzom i uznałem, że w sumie też powinienem. Zadzwoniłem więc pod numer Cronina, który mi dał i zostawiłem wiadomość, że za tydzień będę w Nowym Jorku. Nazajutrz Cronin oddzwonił. Zaproponował, byśmy spotkali się w klubie Athenian, do którego jak przypuszczam należał.

Marx uśmiechnęła się na myśl o podobnym spotkaniu. Sama jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Princeton odwiedziła Athenian Club w towarzystwie jednego z wykładowców. Klub mieścił się w eleganckim, neoklasycystycznym gmachu przy Czterdziestej Trzeciej Zachodniej, jego fasadę z białego marmuru zdobiły misterne reliefy i gzymsy, zaś przed wejściem, tuż obok Gwiazdzonego Sztandaru, powiewała na wietrze klubowa flaga.

- Idealne miejsce, by podejść takiego jak ty, byłego wykładowcę - zauważyła. - Na ścianach stare malowidła, regały biblioteczne pełne książek, pokoje bez pryszniców, ale za to z wannami. Słowem - staroświecko. Miejsce, w którym nic złego zdarzyć się nie może.

- Cronin oczekiwał mnie na piętrze. Siedział w skórzanym fotelu i sącył martini, zupełnie jakby był tam właścicielem. Podniósł się, kiedy tylko wszedłem. Nie ulega wątpliwości, że znał mnie z fotografii. Pojawił się kelner, a ja uznałem, że co mi szkodzi, pobawię się w Jamesa Bonda, i również

zamówiłem martini. Napiliśmy się, chwilę pogadaliśmy. Powiedział mi, w jaki sposób niektórzy znani gracze ze świata finansów wspierają ich działalność. Jeden z nich, kiedy ich nowojorska siedziba legła w gruzach 11 września, załatwił im od ręki nowy gmach przy Piątej Alei. Inny pozwolił wykorzystać swoją firmę jako przykrywkę, aby pojmać pakistańskiego terrorystę. Wszystko to robiło niesamowite wrażenie.

- Czyli połknąłeś haczyk.

- Bez dwóch zdań. Po chwili zadał kluczowe pytanie: „Czy zechciałby pan wesprzeć ojczyznę w potrzebie?”

- Szybka piłka. I co mu powiedziałaś?

- Odparłem, że oczywiście chciałbym. Decyzję podjąłem już w samolocie do Nowego Jorku. Spytałem, na czym miałyby polegać moja pomoc, a on wyjaśnił, że na drobnych przysługach, dopóki lepiej się nie poznamy. I przez pierwsze lata tak właśnie było. Same drobnostki. Może nam pan opowiedzieć o swoich kontaktach zagranicznych? Pomoże nam pan z zagranicznym przelewem? Możemy wykorzystać jeden z pańskich domów do organizacji spotkania? Bułka z masłem.

- To tak zwana „faza rozwoju” podczas której obserwujemy i sprawdzamy jak sobie radzisz. Kiedy przestało być przyjemnie?

Perkins wbił wzrok w stojący przed nim talerz. Chociaż pragnął podzielić się opowieścią, od tego momentu nie szło mu już tak łatwo.

- Przyłapano mnie na oszustwie. Od tego się zaczęło. Miałem swojego człowieka w Banku Anglii. Przekazywał mi informacje na temat zamierzeń Komitetu Polityki Monetarnej. Odpalałem mu pięćset tysięcy dolarów rocznie na konto w banku na Kajmanach, a sam dzięki tym danym zyskiwałem

dwadzieścia razy tyle. Ale amerykańskie szpicle od prania brudnych pieniędzy namierzyły przelewy i mój informator spanikował. Sądził, że fiskus przyskrzyni go za uchylanie się od płacenia podatków.

- Więc poprosiłeś o pomoc?

- W rzeczy samej. Powiedziałem o sprawie Croninowi. Nie poprosiłem go wprost, by to załatwił, ale wiedział, że o to właśnie mi chodzi. Sprawa rozeszła się po kościach. Paf - i nie ma więcej pytań.

- A tobie ulżyło. I sobie pomyślałeś, że tacy znajomi z tajnych służb to bardzo fajna sprawa.

- Nie inaczej. Ale wtem sytuacja uległa zmianie. Rynki zaczęły szaleć i wpadłem w tarapaty. Podobnie jak wielu innych inwestorów, zakupiłem masę cudzych papierów dłużnych, które teoretycznie nigdy nie powinny stracić na wartości. No bo kto by pomyślał, że taki Morgan Stanley kiedykolwiek splajtuje, racja? Tymczasem w parę tygodni wszystko trafił szlag, a ja nagle musiałem jak najszybciej wytrzasnąć skądś pieniądze.

- I zadzwonił do ciebie Cronin?

- Resztę możesz sobie dośpiewać. Zadzwonił i powiedział, że ma świetny pomysł. Usłyszał, że mam pewien problem i przygotował idealne rozwiązanie. Powinniśmy zrobić to, co wcześniej robiłem z tym gościem z Banku Anglii, ale na skalę globalną. On będzie mi dostarczał zastrzeżone informacje, ja dzięki nim będę zarabiał forszę, a zyski będziemy dzielić.

- To jest ten słynny „system”. Perkins skinął głową.

- Teraz sama stanowisz jego część. I to z mojej winy. Marx potrząsnęła głową.

- Duża ze mnie dziewczynka. Wiem co robię. A ten cały Anthony Cronin nie jest nadczłowiekiem. Wierz mi, jeśli rzeczywiście zechcesz się z tego wyrwać, znajdziesz odpowiedni sposób.

???

Perkins chciał zamówić ser, lecz Sophie zaoponowała. Po tak poważnej rozmowie miała ochotę na coś słodkiego. Dolce, jak to ujęła, ale nie *dolcissime*. Poprosił więc o panna *cot-ta*, delikatny deser z gotowanej śmietany, podawany z grą-pą oraz pieczonym nespole - włoskim owocem o wyglądzie zbliżonym do moreli i słodko-cierpkim smaku.

- Opowiedz mi o Bejrucie - rzucił, gdy dopijali resztki deserowego wina. - Wspomniałaś, że tam pracowałaś, ale nie wyjawiałaś mi, co takiego robiłaś.

- Oczywiście, że nie wyjawiałam. Nie bądź niemądry. To temat tabu.

- Nie chodzi mi o szczegóły, tylko tak... ogólnie. Podkolo-ruj trochę, jakby to była powieść szpiegowska.

- No dobrze. Wyobraź sobie funkcjonariuszkę międzynarodowej służby cywilnej. Pracuje dla centrali UNESCO w Paryżu, a przynajmniej tak wynika z jej wizytówki. Regularnie jeździ do Bejrutu, gdzie zatrzymuje się w położonym tuż nad morzem eleganckim hotelu Phoenicia.

Przeważnie przesiaduje w biurze UNESCO nieopodal lotniska, wieczorami i w weekendy ma jednak czas wolny. Chadza do restauracji, ma domek na plaży. Zawsze się z kimś spotyka.

Czasami są to jej agenci, czasami to współpracownicy libańskiego wywiadu, czasem to ludzie na usługach Syryjczyków lub Irańczyków. Czasami sprzedają jej informacje za gotówkę.

Jeden z nich ujawnia jej wielki sekret dotyczący sposobu, w jaki Hezbollah komunikuje się ze swoimi agentami. Organizacja

stworzyła w tym celu własny system telefoniczny. Informator wyjawia agentce miejsce, w którym zakopane są kable.

- Czy tej kobiecie grozi niebezpieczeństwo?

- Zazwyczaj nie, o ile robi wszystko jak należy. Może się wydawać, że to duże ryzyko, ale ona zna się na rzeczy i uchodzi po prostu za kolejną pracującą w Bejrucie ślicznotkę. Nagle jednak ktoś uznaje, że jej przykrywka jest zbyt słaba i zmusza ją do pospiesznego wyjazdu z Libanu. A potem w Addis Abebie przytrafia jej się coś złego i staje się jasne, że została zdekonspirowana. Ściągają ją do Centrali. Dostaje atrakcyjną posadkę, ale nudzi się jak mops. Nie może ścierpieć sukcesu.

- Aha, widzisz! Dlatego właśnie tak cię polubiłem. Jesteśmy dokładnie tacy sami.

- Tylko, że ja się wymknęłam sukcesowi, Tom. Z powrotem trafiłam na pierwszą linię frontu. A ty nadal jesteś miliarderem.

Pokręcił głową. Jej opowieść szalenie mu się spodobała, ale wszystko to wydało mu się aż nazbyt proste, nawet jeśli dotyczyło kobiety, która już w dzieciństwie wprawiała się w prowadzeniu podwójnego życia i która nauczyła się kłamać, aby przetrwać.

- Czy w tym, co mi właśnie powiedziałaś, jest trochę prawdy?

- Ani krztyny - odparła. Zamknęła oczy. - Innym razem pozmyślam kolejne historie. ???

Siedzieli w samochodzie Perkinsa, który wiozł ich z powrotem do Mayfair. Wino i jedzenie sprawiły, że w restauracji Sophie nieco odpłynęła, teraz jednak wróciła myślami na ziemię. Przez pewien czas żadne z nich się nie odzywało. W zupełnej ciszy Sophie przypominała sobie wydarzenia kończącego się dnia. Bez względu na to, jak by rzecz nazywać, transakcje, które w parę godzin przysporzyły spółce krociowych zysków, były nielegalne. Zwykli ludzie za korzystanie z takich informacji trafiali do więzienia.

Fakt ten sam w sobie jej nie przeszkadzał. Agencja w ramach rutynowych działań ciągle łamała przepisy innych krajów. Jeżeli zadanie byłoby proste i legalne, mogłaby się nim zająć jakaś inna rządowa agenda. Od oficerów wywiadu oczekiwano gotowości do śliskich działań, a reguła ta tym dobitniej odnosiła się do nowej służby, dla której Sophie teraz pracowała. Lecz nawet biorąc pod uwagę tak zmodyfikowane granice tego, co dopuszczalne, Marx miała poczucie, że wraz z Perkinsem posunęli się za daleko.

- To, co dzisiaj zrobiliśmy, to oszustwo, prawda? - stwierdziła. - Handel w oparciu o poufne informacje i cały ten zarobek. To niezgodne z prawem.

- Jakże mogłoby to być nielegalne, skoro sam rząd kazał nam tak postąpić?

Skinęła głową. Była to prawidłowa odpowiedź. Takiej właśnie udzieliłby Jeff Gertz. Ale błędem byłoby utożsamianie Jeffa Gertza z rządem Stanów Zjednoczonych.

- Chcesz poznać radę nowej analityczki do spraw energii?

- Oczywiście. Chcę wiedzieć wszystko, co tylko jesteś gotowa mi powiedzieć na jakikolwiek temat.

- A zatem: jeśli moi koledzy poproszą, byś coś dla nich zrobił, zapewniając przy tym, że jest to w pełni legalne, zażądaj tego na papierze. Tak tylko sugeruję. Nie daj się zbyć patriotyczną gadką i uściskiem dłoni. W naszej branży znaczy to niewiele.

- Już próbowałem. Poprosiłem Anthony'ego Cronina. Odparł, że to niemożliwe. Powiedział „zaufaj mi”, a ja zaufałem.

- O Jezu.

Potrząsnęła głową, a następnie się zaśmiała. Istotnie, śmiać się człowiekowi chciało, gdy nieszczery ludzie radzili, by im zaufać.

- Pozwól, że o coś spytam - powiedziała. - Czy sądzisz, że dałbyś radę się z tego wykaraskać, jeśli doszedłbyś do wniosku, że to, co robisz, jest złe?

Perkins dłuższą chwilę się zastanawiał. Wziął Sophie za rękę, po czym ją puścił.

- Teraz byłoby to trudne. Kiedy się do mnie zgłosiliście, byłem nieźle zadłużony. Prawdę mówiąc, doszedłem do końca baku i leciałem już na oparach. Wasi ludzie pomogli mi

pospłacać długi, a kiedy uruchomiliśmy system, pieniądze zaczęły spływać szerokim strumieniem. Ale to oni pociągają za sznurki i zgarniają swoją część profitów.

- Chcesz powiedzieć, że mają cię w garści?

- Oni nazywają to partnerstwem. A w tym momencie są to takie kwoty, że właściwie się tym nie przejmuję. Ponad dziesięć miliardów dolarów i na dobrej drodze ku dwudziestu. Nawet, jeśli biorą dla siebie trzy czwarte, to i tak jestem absurdalnie bogaty.

- Wczytaj się dobrze w treść umowy. Tom, ci ludzie to mordercy. Na tym polega ich praca. A ty z kolei wydajesz mi się sympatyczny. Nie chcę, byś dał się w to wplątać.

Perkins zdjął okulary i potarł oczy. W tym momencie nie wyglądał już tak młodo.

- Sophie, ja już się wplątałem. I tu jest pies pogrzebany. Istnieje w ekonomii takie pojęcie, caeterisparibus, co oznacza

„przy pozostałych warunkach równych”. Pozwala czynić założenia i konstruować modele ekonomiczne. Ale w tym wypadku pozostałe warunki nie są bynajmniej równe. Co się stało, już się nie odstanie. To, co się dzieje, wcale mi się nie podoba. Śmierć Howarda Egana mnie przeraża. Jeśli ludzie odkryją, że był szpiegiem, będą mogli odkryć inne fakty dotyczące moich interesów. A wtedy cała konstrukcja z hukiem się zawali.

Marx sięgnęła po jego dłoń i ją ścisnęła. Chciała powiedzieć coś podnoszącego na duchu, nawet jeżeli sama do końca w to nie wierzyła.

- Nie znam się na ekonomii. Ale kiedy byłam małą dziewczynką, tata lubił mi powtarzać, że „jedynym sposobem na bycie wolnym jest praca na własny rachunek”. W jego wypadku najczęściej oznaczało to nierobienie absolutnie nic, miał jednak rację. Musisz znaleźć sposób, by się z tego wydostać. Być może będę ci mogła w tym pomóc.

- Mądry człowiek z twego taty. Córkę też ma mądrą. Staram się. Szukam metody, by się z tego bagna wygrzebać. Może moglibyśmy wspólnie pomachać przy tym szpadlem.

Gdy podjechali pod Dorchester, Perkins ponownie zaproponował, by wpadła do niego do Ennismore Gardens na drinka na dobranoc. Sophie kolejny raz odparła, że to miło z jego strony, naprawdę bardzo miło, ale nie skorzysta.

Rozdział 24

MALAKAND, PAKISTAN

Mieszkańcy Terytoriów Plemiennych mają słabość do przysłów, a jedno z nich brzmi w pasztuńskim dialekcie następująco: Khar cha har chaire hum law she, bia hum haghā khar we. Dosłownie oznacza to, że: „osioł pozostanie osłem bez względu na to, dokąd pójdzie”. Bądź też, by ująć sens powiedzenia w sposób bardziej elegancki - nie sposób zmienić czyjejs natury.

Kiedy generał Mohammed Malik po raz pierwszy usłyszał tę mądrość od jednego ze swych pasztuńskich oficerów operacyjnych, zrozumiał, że wyrażała ona prawdę na temat ludzi z tych przygranicznych obszarów: byli oni tym, kim byli, można ich było szturchać i popychać, jednak nie można ich było zmienić. Pieniądze, pochlebstwa, naciski, broń - mogą skłonić osła, by ruszył się nieco na lewo czy na prawo, ale nie zmienią jego charakteru. Miejscowi żyli w zgodzie z zasadami Pasztunwali, kodeksu plemiennego. Jego filarami były honor osobisty, zobowiązanie do zemsty za zniewagę oraz rycerskość, która pozwalała silniejszemu mężowi na hojność względem słabszego.

Generał Malik przypominał sobie te zasady w drodze do Peszawaru, zagłębiając się w serce terytoriów pasztuńskich. Poprzedniego dnia otrzymał telefon od jednego z działających w terenie oficerów ISI. W Agencji Bajaur na dalekim północnym zachodzie schwytano członka bractwa

Al-Tawhid. Miał on przy sobie nietypowy dokument, którego zawartości miejscowy oficer wywiadowczy nie był w stanie zrozumieć. Wydawało się, że pojmany jest gotów mówić, wciąż jednak nie rozpoczął składania zeznań. Oficer prowadzący z ramienia ISI wołał uniknąć przekazywania informacji po kolejnych szczeblach hierarchii dowodzenia. Pragnął,

by generał Malik przybył osobiście do fortecy w Malakandzie, przesłuchał kuriera z bractwa i przyjrzał się przenoszonym przez niego dokumentom.

O świcie generał Malik wyruszył w trasę swą toyotą land cruiser. Tym razem podróżował w niewielkim konwoju, dla ochrony przed ewentualną zasadzką zarówno od przodu, jak i od tyłu był ubezpieczony przez pojazd z uzbrojonymi ochroniarzami. Po drodze zaplanował postój w Peszawarze, gdzie pragnął spotkać się z generałem dowodzącym Korpusem Granicznym - formacją porządkową, której zadaniem było utrzymywanie pokoju na Terytoriach Plemiennych i której niekiedy się to udawało.

W miarę, jak samochody zbliżały się szosą Great Trunk do przedmieść Peszawaru, na horyzoncie rosła spora, czerwona bryła. Z oddali wyglądała na niewielki pagórek o płaskim jak stół szczycie obsadzonym przez miejscowy garnizon. Była to forteca Bala Hisar, która od szesnastego wieku strzegła wejścia do oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów na zachód Przełęczy Chajberskiej, stanowiącej bramę pomiędzy Afganistanem a wielką Doliną Indusu, na której rozpościerają się współczesne Indie oraz Pakistan.

Konwój minął posterunek kontrolny i zaczął wspinać się stromą drogą prowadzącą na szczyt pagórka usypanego ludzkimi rękami. Na znajdującym się na szczycie fortu dziedzincu czekała na generała kompania wartowników z Korpusu Granicznego. Tuniki i sztylety żołnierzy nawiązywały do tradycji Imperium Brytyjskiego, podobnie zresztą jak nazwy jednostek, w których służyli - Strzelcy Chajberscy, Zwiadowcy Południowego Waziristanu, Zwiadowcy Bajauru i z pół tuzina innych tego typu formacji.

Dowódca korpusu przywitał się z przybyszem. Był to potężny mężczyzna, mierzący grubo ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, o wydatnym brzuszysku i bujnym zarostem. Był Pasztunem i wywodził się z książęcego rodu, który niegdyś władał pradawnym kupieckim miastem Ban-nu, stanowiącym przystanek na szlaku między Peszawarem a Kwetą. Wiedział, jak po staremu zarządzać terenami pogranicza, nie był jednak człowiekiem odpowiednim do wywiadowczych rozgrywek ISI. Gdy na swej drodze napotykał adwersarza, instynkt nie kazał mu go zwerbować, ale po prostu zastrzelić.

Generał Malik starał się pociągnąć go za język w kwestii bractwa Al-Tawhid. Czy ugrupowanie to nadal rosło w siłę na terenie Bajauru oraz obu Waziristanów? Czy jego członkom wystarczały ataki przez granicę na Amerykanów i ich afgańskich sprzymierzeńców, czy stanowili też zagrożenie dla Pakistanu? Generał nigdy nie przyznałby tego przed kimś ze świata zewnętrznego, ale ISI był gotów tolerować istnienie bractwa, o ile tylko nie dążyło ono do otwartej konfrontacji z administracją rządową. Gra na dwa fronty jeszcze była wykonalna, jednak gra na trzy - byłaby przesadą.

Dowódca Korpusu Granicznego odpowiadał najdokładniej, jak tylko mógł - bractwo Al-Tawhid funkcjonowało przechodząc od wioski do wioski, od operacji do operacji. Nie atakowało jednostek Korpusu Granicznego wczoraj ani przez ostatnich sześć miesięcy, lecz równie dobrze mogło to uczynić nazajutrz. Jego agenci działali tutaj, na pograniczu, ale działali również na obszarach zurbanizowanych - w Karaczi, w Lahore, nawet w samym Islamabadzie. Generał Malik skinął twierdząco głową: zasięg działań „braci” znał aż za dobrze.

- Aroganckie gnojki z tych Tawhidów - zauważył dowódca korpusu. - Aby władać pograniczem, potrzeba grubego portfela i okazałego arsenału. Ci heretycy nie mają ani jednego, ani drugiego, a Amerykanie dają im łupnia przy użyciu bezzałogowych dronów. Oni jednak nadal sądzą, że zdołają pokonać Amerykę. Ja w to wątpię. Pod turbanami kryją się zwykli ludzie. Udają, że coś wiedzą, co jednak mogą wiedzieć? To maluczcy ludzie z wielkimi systemami wartości.

Dowódca korpusu, trzęsąc brzuchem i nie przebierając w słowach, wyraził istotę problemu, który trapił generała Malika. Co ci Tawhidzi wiedzieli? Jak ci „maluczcy” posiadli

informacje, które pozwoliły im zranić giganta? Pogłoski o pewnym świątłym profesorze i jego tajemniczych metodach działania nie uszły uwadze służb generała. Analitycy ISI nie pojmowali jednak, co to miało znaczyć, a fakt ten generała niepokoił. Już tak wielu profesorów figurowało na liście płac ISI. Czyżby ów heretycki mentor miał być jednym z nich?

???

Konwój szefa ISI ruszył w dalszą drogę do Malakandu. Kawalkada podążała na północ przez pylistą równinę Mar-dan, mijając ciągnące się wzdłuż szosy warsztaty i sklepiki. Generał uśmiechał się za każdym razem, gdy zauważał billboardy przedstawiające automat Kałasznikowa. Były to reklamy proszku do prania o tej samej nazwie. Tylko Pasztu-nowie mogli wpaść na pomysł, by z karabinu szturmowego uczynić symbol czystości.

W miarę, jak posuwali się naprzód wzdłuż wschodniej granicy Agencji Mohmand, droga zaczęła wznosić się ku górą. Zabawnie udekorowane ciężarówki, obciążone do granic możliwości, czołgały się teraz w istic ślimaczym tempie. Konwój generała co chwila wyskakiwał na przeciwny pas ruchu, przy wyprzedzaniu zawalidrogów ledwie unikając pojazdów zjeżdżających z góry. Podjazdy robiły się coraz bardziej strome i niekiedy ruch zamierał całkowicie, na co szofer generała reagował niecierpliwym trąbieniem, mamrocząc przy tym pod nosem pendzabskie przekleństwa.

W końcu dojechali do Przełęczy Malakandzkiej, a tuż za nią natrafili na stary fort strzegący tej górskiej bramy. Uporządkowana placówka niewiele się zmieniła na przestrzeni sześćdziesięciu pięciu lat, jakie minęły od czasu odejścia Brytyjczyków. Konwój wyminął kompanię żołnierzy piechoty, którzy ładowali się do pojazdów mających ich zabrać na patrol, po czym podjechał do znajdującego się na skraju kompleksu niewielkiego budynku z cegły. Przed wejściem stał ubrany po cywilnemu mężczyzna. Był to major Taria - miejscowy oficer ISI, który poprosił generała Malika o przybycie.

Major poprowadził przełożonego na drugą stronę pagórka, następnie szli ścieżką obsadzoną sosnami himalajskimi oraz cedrami. Z opadającego zbocza roztaczał się widok na otwierającą się w oddali wspaniałą dolinę - oto rzeka Panjko-ra pędziła na południe przez ziemie dystryktu Dir na spotkanie z rzeką Swat. Krajobraz przypominał letni pejzaż alpejski: górskie szczyty komponowały się z soczystą zielenią pól, brzeg rzeki porastały pełne wdzięku olchy i wierzby, a gospodarstwa wyglądały na dostatnie i dobrze prosperujące.

Major podążył ścieżką w dół zbocza, aż doszedł do pary budynków z czerwonej cegły. W jednym mieściła się lokalna

komórka ISI, drugi zaś stanowił połączenie kwatery gościnnej z aresztem, zależnie od tego, kto akurat go zajmował. Tego dnia domek pełnił funkcję aresztu, a w środku przebywał człowiek, z którym generał Malik przyjechał się spotkać.

Zatrzymany przedstawił się majorowi Tariaowi jako „Hadż Ali” Pojmano go przed dwoma dniami na terenie Agencji Bajaur. Usiłował przedostać się przez granicę do Afganistanu. Podczas przeszukiwania major Taria znalazł u niego nośnik pamięci typu flash, który można było wetknąć w port USB dowolnego komputera. Major podłączył pendri-ve'a do własnego laptopa i przyjrzał się jego zawartości. Nie zrozumiał jednak nic poza faktem, że dane wyglądały na coś ważnego, więc postanowił ściągnąć na miejsce szefa swojej formacji.

Generał Malik wszedł do budynku służącego za miejscową siedzibę ISI. Na ścianie dostrzegł elegancko oprawiony portret samego siebie, sąsiadujący z obliczami swych ostatnich poprzedników. Dyrektorzy przychodzili i odchodzili, ale ISI stanowił w tych stronach stały element: ludzie wchodzący do kwatery majora mogli zostać zwerbowani przez różne ekipy, które kierowały ISI, ale galeria przypominała im, iż stanowią fragmenty tej samej sieci. Major Taria otworzył przejście do zabezpieczonej strefy w głębi pomieszczenia, gdzie przechowywał najistotniejsze materiały, a następnie zaprosił generała do środka.

Generał Malik zasiadł przed komputerem. Pendrive tkwił już w porcie, a po chwili monitor się rozświetlił. Nośnik zawierał tylko jeden niewielki dokument - arkusz kalkulacyjny Excela o nazwie „Rejestr”.

Generał kliknął w ikonę dokumentu i na ekranie pojawiły się cztery wpisy, każdy złożony ze skomplikowanego ciągu

alfanumerycznego. Poszczególne kolumny nie były na górze arkusza podpisane, a całemu zestawieniu brakowało przejrzystości.

Cztery wpisy uporządkowane były w dwie następujące pary:

1) BANK JULIUS BAER BKTULIUS CH12 0869-6005-2654-1601-2 BAERCHZU 200 71835

BANK ALFALAH ALFHAFKA 720 34120

2) BARCLAYS BANK BARCLON GB35 BARC-4026-3433-1557-68

BARCGBZZ 317 82993 AMONATBONK ASSETJ22 297 45190

Generał Malik przyjrzał się krótkiemu dokumentowi, na własny użytek zapisując coś w notesie. W końcu, zdziwiony, zwrócił się ku podwładnemu.

- Co ma znaczyć to całe hallahgullah, majorze? - spytał, używając oznaczającego zamęt określenia z miejscowego slangu. - To jest ta rzecz, dla której musiałem przejechać taki kawał drogi? Przecież to tylko liczby i litery. Dane jakiegoś konta bankowego.

- Tak, panie generale. - Major pokornie skłonił głowę. - Ale jestem całkiem przekonany, że to coś oznacza.

- Wszystko coś oznacza, babu. Tylko co? Przesłuchaliście już człowieka, przy którym to znaleziono?

- Tylko pobieżnie, panie generale. Postanowiłem poczekać, aż pan przyjedzie.

Generał Malik wydrukował sobie kopię przeglądane dokumentu. Następnie wylogował się z systemu i odłączył

pendrive'a, aby zabrać go ze sobą do Islamabadu. Młodego oficera poprosił, by poczekał na miejscu, podczas gdy sam udał się do sąsiedniego budynku, w którym przetrzymywano kuriera.

Szef ISI garbiąc się wszedł do niskiego pomieszczenia. W środku panował stęchły, zwierzęcy smród, w miejscu tym od dziesięcioleci przechowywano więźniów. Generał otworzył okiennice i jasny słup światła oblał sylwetkę człowieka przedstawiającego się jako Hadż Ali. Pomimo cierpienia, które wynikało z niewoli, młodzieniec sprawiał wrażenie przystojnego. Rysy twarzy jednoznacznie zdradzały w nim Pasztuna - miał wydatny nos, ostre kości policzkowe, gęste, czarne włosy i brodę oraz przenikliwe oczy z zapadniętymi powiekami. Zakuto go w kajdany, jego ręce i nogi wykręcono, aby przylegały ściśle do ramy drewnianego krzesła.

Generał Malik usiadł przy krześle obok okna, więc więzień, spoglądając na niego, musiał mrużyć oczy. Przez dłuższą chwilę, trwającą może pięć minut, generał nie wypowiedział ani słowa. Pojmany kurier naciskał na kajdany, a mięśnie jego karku, twarzy i ramion napinały się od wysiłku.

Kiedy generał wreszcie przemówił, w pierwszych słowach przywołał majora i nakazał mu rozkuć więźnia. Kiedy okowy na kostkach i nadgarstkach puściły, młodzieniec wstał na moment, rozprostował plecy, a następnie z godnością zasiadł z powrotem na krześle. Major Taria spytał generała, czy ten dla własnego bezpieczeństwa życzy sobie obecności strażnika, generał odmówił i polecił zostawić go z aresztan-tem sam na sam.

Znów zapadła cisza. W miarę upływu czasu, po pięciu, dziesięciu minutach ciszy, to Pasztun zaczął zdradzać oznaki

zniecierpliwienia. Odwracał wzrok, strzykał kostkami w dłoni, pokasływał, drapał się po głowie. Ostatecznie to on odezwał się pierwszy.

- Nikka - zaczął, korzystając z pasztuńskiego określenia na dziadka. Przytoczył słynne przysłowie wojowników, które generał słyszał już wcześniej z ust innych hardych górskich partyzantów: „Kiedy przyjdzie mi umrzeć, niechaj umrę jak człek odważny, aby wszyscy pograżyli się w smutku, a nie jak skorpion czy wąż, których śmierć przynosi wszystkim ulgę”. Generał Malik nie odpowiedział. Niską izbę ponownie wypełniła cisza. Wreszcie zwrócił się do więźnia. Mówił niskim głosem, w którym czuć było nie groźbę, a autorytet.

- Kim jesteś, bracie? - spytał generał. - I co tu robisz?

- Jam jest Badał. Oto moje imię. Jam jest zemsta. Co tu robię? Nim mnie schwytano, podróżowałem w stronę Afganistanu, aby zemścić się na moich wrogach, czyli amerykańskich szpiegach.

- Achaah - odparł generał. W urdu wyrażenie to mogło oznaczać zarówno przyzwolenie, jak i sceptycyzm. - A jak to planowałeś uczynić, Panie Zemsto?

- My już ich znamy, Nikka. Rozumiemy ich tajemnice. Wiemy dokąd się udają i z kim spotykają. Wykorzystamy tę wiedzę, aby ich wymordować, jednego po drugim.

- Ja również nie lubię tych Amerykanów. Ale ja jestem, bracie, od ciebie mądrzejszy. Ja tego wszem wobec nie rozgłaszam. Sądzę, że musisz być słaby, skoro tak zuchwale prawisz, a masz tylko swe krótkie ręce i nogi, które cię niosą. Obiecuję ci, że sam osiągnę więcej. I nie mów do mnie nikka. Nie jestem twoim dziadkiem.

Młodzieniec potrząsnął głową.

- To kłamstwo, Nikka. Ty nie walczysz z Amerykanami. Ty jesteś ich przyjacielem.

Generał puścił prowokację mimo uszu. Pozwolił, by znowu narosła cisza, a po następnej minucie zabrał głos.

- Żal mi ciebie, bracie. Jesteś młody i głupi. Ci, którzy coś wiedzą, milczą. Spytaj zresztą swoich zwierzchników w bractwie. Oni powiedzą ci to samo. Wydaje mi się, że nasza rozmowa dobiegła końca. Nie udało ci się zyskać mego szacunku.

Kurier uważnie przyjrzał się generałowi. Nie tego się spodziewał. Każdy bojownik przewiduje, że w wypadku pojmania będzie bity, więc stara się przygotować na czekające go tortury. Fakt, że uznają cię za człowieka niebezpiecznego to powód do dumy. Lecz teraz wzgarda ze strony generała zraniła honor bojownika. Aresztant wypiął pierś i podniósł głowę niczym gotujący się do walki kogut.

- Znamy ich tajemnice - powtórzył posłaniec. - Zgładzimy ich, tak jak uczyniliśmy to z ich agentami w Karaczi i w Moskwie. Widzimy wszystko i wszystkich.

- A zatem to w Moskwie to wasza operacja? - spytał generał, pochylając głowę w geście pełnym szacunku.

- Oczywiście, a dzięki Najwyższemu przyjdą i kolejne. Poczekaj, to się przekonasz. Ja nie kłamię. My wiemy wszystko.

Generał Malik rozparł się na krześle. Przyjrzał się więźniowi, po czym potrząsnął głową.

- Nie, nie wierzę. Gdybyś w rzeczywistości był tak ważny, jak twierdzisz, przeniósłbyś przez granicę dokumenty. My tymczasem przyjrzelśmy się temu drobiaźdzkowi, temu byleco, jakie miałeś przy sobie w kieszeni. Obejrzelśmy go sobie, bracie, i wiemy, że to po prostu parę numerów i danych bankowych. Jeżeli na tym polega ten twój wielki sekret, to jesteś kutti daputr, jak to zwykliśmy mawiać w Pendżabie. Zwykły suczy syn.

Teraz posłaniec rozłożył się na całego. Został znieważony i zareagował w sposób, którego generał w pełni się spodziewał.

- Mylisz się, Nikka. Słowa me znajdują niebawem potwierdzenie w zgonach kolejnych amerykańskich agentów. Jak sądzisz, dlaczego przeniósłem ze sobą pendrive'a? Ponieważ mam przekazać zawartą w nim wiedzę naszym braciom w Afganistanie, oni zaś prześlą ją dalej na północ, do Duszanbe. Jeżeli nawet zostałem schwytany, to cóż z tego? Inni są już w drodze i to nie tylko do Kabulu. Wyjeżdżają do Kairu, a nawet do Londynu i Paryża.

Niebawem cała kula ziemską stanie w ogniu, a amerykańscy agenci nie będą już w stanie po niej stapać.

- Dokument zawiera nazwy banków w Afganistanie i Tadżykistanie. Czy banki stanowią część planu waszej zemsty?

- Tego, proszę pana, nie wiem. Jestem bojownikiem, a nie administratorem. Nie przeglądałem tego pendrive'a, nie wiem zatem, co takiego zawiera. Nie ma pan szczęścia, proszę pana. Na próżno mnie pan schwytał.

Generał ponownie zamilkł, tym razem nie tylko dla wywarcia odpowiedniego efektu.

Poważnie zastanawiał się nad tym, co kurier właśnie powiedział i starał się to dopasować do posiadanej już wiedzy. Po kolejnej, długiej przerwie, podczas której młodzieniec znowu zdążył się zniescierpliwzić, generał zadał następne pytanie.

- Opowiedz mi o człowieku, którego nazywacie „Profesorem”. Znasz go?

- Nie, Nikka. Nie znam tego człowieka.

- Ale o nim słyszałeś. Nie kłam, bo to wykryję i później tego pozalujesz.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że o nim słyszałem. Profesor to nasz miecz. On jest tym, który wie. Nigdy go jednak nie spotkałem. Nikt się z nim nie spotyka. To duch. A teraz cieszy mnie, że o niego spytałeś, bo dzięki temu wiem, że nie znasz jego tożsamości.

- Sądzisz, że twój pendrive pochodzi od niego?

- Być może. Czemu nie? Nie wiem. Zawiera jednak tajemnice, więc możliwe, że pochodzi od profesora. Lecz nigdy się tego nie dowiem. Ty też nie, stary generale.

- Okłamujesz mnie, Hadż Ali?

- Jestem bojownikiem. Jam jest Badał. Mszczę się za śmierć mojego brata i wuja, i przywracam cześć mej rodzinie. Czemuż miałbym kłamać? Możecie mnie bić cały tydzień, cały miesiąc, nawet cały rok, lecz nie dowiecie się niczego poza tym, co już powiedziałem. ???

Rzecz jasna, spróbowali wydusić z niego coś jeszcze. Zgodnie jednak z tym, co zapowiedział, niczego więcej już nie ujawnił. Generał Malik obserwował pierwsze przesłuchanie więźnia po przewiezieniu go do centrali w dzielnicy Aabpara, gdzie w pierwszej kolejności zatrzymanemu założono na głowę kaptur. W kolejnych przesłuchaniach generał już nie asystował. Nie lubił tortur, zaś w tym wypadku był po prostu pewny, że nic się nimi nie wskóra. Młodzieniec był tylko kurierem. Sam nie znał tajemnicy ukrytej w umieszczonych na nośniku cyfrach i literach. Wiedział jedynie, że dane te są zabójcze dla Amerykanów. Po tym wszystkim, do czego doszło, kuriera nie można było już wypuścić. Zmarł w drodze do więzienia w Lahore.

Generał Malik zastanawiał się, czy powinien podzielić się zdobytą wiedzą z Amerykanami.

Postanowił jednak tego

nie czynić. Jego praca nie polegała na chronieniu agentów wywiadu Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej agentów działających nielegalnie na terenie jego kraju. Ktoś mniej wyrafinowany w jego sytuacji dałby bractwu Al-Tawhid swobodę działania, aby zlikwidowali jeszcze paru szpicli faranghi, a sam udałby się do meczetu, żeby się pomodlić. Lecz generał Malik skażony był pewną zachodnią cechą charakteru: rozpamiętywał swoje błędy i czuł się winny, jeśli jakąś sprawę pozostawiał niedokończoną.

Co też w rzeczywistości wiedział? Wszedł w posiadanie czteroelementowego arkusza kalkulacyjnego z literami i liczbami. Postanowił, że poleci swoim analitykom zbadać znaczenie tych danych, a następnie zastanowi się, co z tym fantem zrobić. Ale to już nie był jego problem. Generał miał do powiedzenia Amerykanom właściwie to samo, co sam niedawno od nich usłyszał: lund te char. Skoczcie mi na fiuta.

Rozdział 25

DUSZANBE, TADŻYKISTAN

Meredith Rockwell uwielbiali wszyscy. Dla zamieszkałej w Stambule elity stanowiła istną instytucję. Była śliczną, długowłosą blondynką, tak ekstrawagancką i tak towarzyską, że nikogo nie dziwiło, gdy wyskakiwała na weekend do Dubaju czy Casablanki. Status bywalczyni wśród stambulskiej społeczności Amerykanów zyskała bardzo szybko, organizując lunche i kolacje, spotkania z miejscowymi artystami oraz wycieczki statkiem po Bosforze. Rozповідаła, że jest wdową, a jej dzieci uczą się w Stanach w szkołach z internatem. Podróże i miłe spędzanie czasu umożliwiał jej pokaźny fundusz powierniczy, założony swego czasu przez jej zmarłego męża. Kiedy zamieszkała w eleganckim apartamencie w dzielnicy Besiktas, zaczęły krążyć na jej temat barwne opowieści. Miała rzekomo romans z francuskim hrabią; choć nie, w istocie chodziło o saudyjskiego księcia, albo też - w jeszcze innej wersji - o rosyjskiego oligarchę. Ona tymczasem nieustannie hulala ze znajomymi i podróżowała w egzotyczne miejsca, z fałszywą skromnością unikając wszelkich wyjaśnień.

Znaleziono ją martwą na ulicy w Duszanbe, w stolicy Tadżykistanu, dokąd udała się na jedną ze swych sławnych wycieczek. Wynajmowała apartament w nowym hotelu Hyatt Regency, stanowiącym najelegantsze lokum w całej Azji Środkowej. Personel zdołał ją zidentyfikować, bowiem już kiedyś się tam zatrzymała. Jej bagaże wciąż znajdowały się w pokoju - dwie torby marki Louis Vuitton, z których jednej nawet nie rozpakowała. Miejscowe władze pozostawiły zajęcie się jej rzeczami ludziom z ambasady.

Raport policji stwierdzał, że wyszła w poszukiwaniu banku na Aleję Rudaki, a następnie udała się na spacer do parku miejskiego położonego nieopodal hotelu. Spotkała się tam z jakimś mężczyzną; według relacji świadków, wydawało się, że go zna. Wróciła z nim do hotelu i poszli do jej pokoju, później mężczyzna opuścił budynek. Pracownicy obsługi hotelu nie byli tym faktem zszokowani. Po kobietach z Zachodu spodziewali się podobnego zachowania. Świadkowie zeznali, że mężczyzna wyglądał na Tadżyka, a być może Uzbeka czy Pakistańczyka. Nikt nie był w stanie podać dokładnego rysopisu. Kiedy para zjawiała się w hotelu, portierzy i bagażowi dyskretnie odwrócili wzrok.

Później Amerykanka złapała taksówkę, pojechała na północ wzdłuż rzeki Warzob i skręciła w prawo w Aleję Somoni. Wsiadła w pobliżu pałacu prezydenckiego, udała się jednak w drugą stronę, zagłębiając się w cichą uliczkę z dala od zatłoczonych bulwarów i ruchu ulicznego. Ten rejon miasta zamieszkiwali głównie Rosjanie i wciąż można tu było napotkać pozostałości po czasach radzieckich - lekkie, drewniane domki pomalowane na łososiowy odcień różu, szлды z migoczących lampek ułożonych w litery rosyjskiego alfabetu.

Mieszkały tam także przechadzające się w jeansach i koszulkach z krótkim rękawem tadżyckie dziewczęta o wysokich kościach policzkowych. Przez taką oto miejską scenę przedzierała się Amerykanka. Sprawiała wrażenie, jakby podążała w konkretne miejsce, nie natrafiono jednakże na dowody wskazujące na to, że była z kimś umówiona.

Zabójstwa dokonano w sposób profesjonalny. Gdy Rockwell kroczyła oddaloną o kilkaset metrów od centrum miasta

ulicą, zatrzymał się przy niej samochód z przyciemnianymi szybami. Zabójca otworzył drzwi pojazdu i trzykrotnie wystrzelił z broni z tłumikiem. Początkowo przechodnie nie zdali sobie sprawy, że padły jakiegokolwiek strzały; w ogóle nikt nie zwróciłby uwagi na sytuację, gdyby padająca na ziemię Amerykanka nie krzyknęła głośno po angielsku. Policjanci usiłowali porozmawiać z nią podczas jazdy karetką do szpitala, ranna nie chciała jednak odpowiadać na zadawane pytania. Uznano, że jest w szoku. Zgon nastąpił na izbie przyjęć, gdy tadżycki lekarz starał się zatamować krwotok.

???

Gdy wczesnym rankiem rozległ się dzwonek telefonu, Jef-frey Gertz już nie spał.

Usłyszawszy wiadomość od oficera dyżurnego, aż się wzdrygnął. Swego czasu z Meredith Rockwell łączył go romans. Zabita lubiła imprezować nie tylko według fikcyjnego życiorysu.

Gertz natychmiast wrócił do biura, zdecydowanie za szybko przejeżdżając samochodem przez kanion. W tym momencie nie zwracał uwagi na nic i na nikogo. Obchodziło go tylko ratowanie jego niewielkiej organizacji.

Kiedy dotarł na miejsce, Steve Rossetti już na niego czekał. Kierownik działu operacyjnego mieszkał w Encino, czyli o parę minut jazdy bliżej. Pojawienie się szefa przyjął z widoczną ulgą. Wolał, by zaistniała sytuacją martwił się kto inny.

Gertz chwycił go za ramiona i spojrzał prosto w oczy.

- Jesteśmy na wojnie, a nie wiemy nawet kto z nami walczy. Nie pozwolimy przeciwnikowi uderzyć w kolejne cele. To rozkaz numer jeden. Wszyscy mają się ukryć i nie wychylać, dopóki nie dowiemy się skąd nadchodzą ataki.

Gertz polecił Rossettiemu dopracować szczegóły i za godzinę stawić się z raportem. Było to niewiele czasu, by zorganizować wydanie odpowiednich dyspozycji i wprowadzić zmiany w planach operacyjnych, lecz Rossetti podołał powierzonym zadaniom. Był skuteczny, o ile tylko powiedziano mu, co ma robić.

Tym razem darowano sobie wszelkie półśrodki i polecono wszystkim zapaść się pod ziemię.

Gertz wydał rozkaz natychmiastowego ukrycia się wszystkim swoim oficerom z każdej zakonspirowanej platformy wywiadowczej na świecie. Żadnego przemieszczania się, żadnych podróży służbowych, żadnych spotkań z agentami, za wyjątkiem absolutnej konieczności zero ruchu poza domem. Można było wrócić do miejsca zamieszkania, ale na tym koniec.

Gertz skontaktował się ze swoimi źródłami za granicą, aby wy badać, czy wiedzą coś nowego. Usłyszał wiele wyrazów współczucia, nie uzyskał jednak żadnych informacji. Owa sieć znajomych i konsultantów, którą wypracował na przestrzeni lat, stanowiła jego prywatne ciało doradcze. W oparciu o ich wskazówki i sugestie Gertz nadawał kształt zleczonym operacjom. Pewien szczególnie informator z punktu zapalnego Azji Południowej zazwyczaj miał coś do przekazania, tym razem jednak on również nie dysponował żadnymi informacjami. Stwierdził tylko, że ten, kto odpowiadał za atak, nie pozostawił po sobie śladów.

Rossetti żywił jeszcze nadzieję, że być może media nie wychwycą zdarzenia, do którego doszło w odległym Duszan-be, lecz Gertz wiedział, że to niemożliwe. Tego typu wiadomość była wprost stworzona dla kanałów telewizji kablowej oraz magazynów plotkarskich: przedstawicielka amerykańskiej śmietanki towarzyskiej w tajemniczych okolicznościach ginie zastrzelona w jakiejś środkowoazjatyckiej dziurze, pozostawiając w apartamencie prezydenckim swą wartą miliony garderobę.

W środkach masowego przekazu zapanowało poruszenie, jakiego przy dwóch poprzednich zgonach udało się uniknąć. Już w pierwszym cyklu doniesień przed obiektywem kamer przewinęli się stambulscy znajomi Meredith, którzy opowiadali o jej balach dobroczynnych, wystawnych kolacjach oraz skrytym życiu uczuciowym. Porywająca historia. Kim była owa tajemnicza blondynka? Co też zawiodło ją do Duszanbe? Dlaczego padła ofiarą tak brutalnej zbrodni, której nie sposób było zrzucić na byle kieszonkowców?

Gertz polecił ludziom obdzwonić dziennikarzy i zasugerować, że Meredith Rockwell prowadziła podwójne życie - że w istocie była narkomanką, która uwikłała się w porachunki międzynarodowych karteli przemytniczych. Szereg agencji informacyjnych z miejsca przydzielił reporterów do opracowania tematu pod tym właśnie kątem. Zasady dziennikarstwa mówiły, że zmarłych zniesławić już się nie da.

Garstka osób w rządzie Stanów Zjednoczonych, która znała prawdę, wpadła w popłoch.

Zadzwoił Cyril Hoffman. Zadzwonił też szef personelu Białego Domu. Chcieli wiedzieć, co należy mówić. Gertz udzielił im tej samej odpowiedzi, co zawsze: nie mówić absolutnie nic.

Nie przyznawać, a nawet nie sugerować, że amerykańska administracja jest ze sprawą jakkolwiek powiązana. Doszło do bezsensownego ataku na obywatelkę Stanów Zjednoczonych. Akt ten nie ma związku z żadnym innym wydarzeniem. Nie ulega wątpliwości, że ofiara prowadziła skomplikowane życie osobiste. Cóż, bywa.

Tłumaczenie, choć wyświechtane, mogło nawet się wybronić, podobnie jak miało to miejsce przy dwóch poprzednich zgonach. Ale tym razem sytuacja wyglądała inaczej. Bowiem ktoś postanowił wziąć na siebie winę za zabójstwo.

Późnym popołudniem w dniu zamordowania Meredith Rockwell w biurze Associated Press w Islamabadzie odebrano telefon. Dzwoniący znany był szefowi biura jako przedstawiciel islamistycznego podziemia. Zapowiedział, że za minutę na stronie internetowej dżihadystów pojawi się oświadczenie grupy nazywającej siebie Al-Tawhid. Stwierdził, że jest ono autentyczne, zaś agencja powinna niezwłocznie je rozpowszechnić.

Zgodnie z zapowiedzią, oświadczenie chwilę później zostało umieszczone w internecie.

Napisane było po angielsku i głosiło co następuje:

W imię Proroka Mahometa, któremu pokój i błogosławieństwa niechaj będą dane:

W dniu dzisiejszym Bractwo Al-Tawhid, które czci jedność Boga, ogłasza, że w Duszanbe w Tadżykistanie zlikwidowało agentkę amerykańskiej CIA. Agentka ta miała dostarczyć łapówkę przywódcy Islamskiego Ruchu Tadżykistanu, aby ściągnąć go do obozu kapitulacji i hańby, jej zamiśl się jednak nie powiódł. Za ów występek agentkę spotkała sprawiedliwa kara. W dniu dzisiejszym Bractwo ogłasza również, że to ono odpowiada za dwie wcześniejsze operacje przeciwko amerykańskim agentom. Agent Howard Egan został pochwycony w Karaczi w Pakistanie, gdzie planował przekupić plemiennego przywódcę. Agent Alan Frankel został pojmany w Moskwie, gdzie usiłował przekupić pakistańskiego dyplomatę. Za te występki obaj zostali straceni. Bractwo opóźniło swą kampanię w nadziei, że owe działania przeciwko Pakistanowi ustaną, tymczasem jednak prowadzono je nadal. Czynimy niniejszym deklarację wojny. Istnieją jeszcze inni tajni amerykańscy agenci, którzy również będą zabijani, jeden po

drugim, do czasu aż Stany Zjednoczone nie wycofają się z Pakistanu i wszystkich innych terytoriów muzułmańskich. Sami wybieremy miejsce i czas kolejnych ataków. Amerykańscy obywatele powinni zadać pytanie: kim są ci agenci, którzy z dala od domu przekupują i zabijają muzułmanów? Dlaczego pragną oni zniszczyć Pakistan i inne wolne, demokratyczne narody muzułmańskie? Potwierdzamy jedność Boga. Bóg jest wielki. - Ikwan Al-Tawhid. Pomimo rozpaczliwych ponagleń ze strony przedstawicieli mediów, Biały Dom odczekał dwie godziny, zanim wydał odpowiedź. Tak niewielu ludzi znało szczegóły sprawy, że trudno było zebrać odpowiednią ekipę do jej przedyskutowania. Ostatecznie odbyła się zabezpieczona wideokonferencja z udziałem zaledwie czterech osób: prezydenta, szefa jego personelu, zastępcy wicedyrektora CIA oraz oficera CIA w Los Angeles, o którym nawet podczas utrzymanego w tajemnicy zebrania mówiło się wyłącznie „John Doe”. Po zakończeniu narady szef personelu polecił rzecznikowi Departamentu Stanu wydać następujące oświadczenie:

Zarzuty ze strony ugrupowania nazywającego siebie Ikwan Al--Tawhid to absurdalna i nieuzasadniona próba przypisania sobie odpowiedzialności za tragiczną śmierć trojga Amerykanów, którzy zginęli za granicą w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wbrew twierdzeniom organizacji Al-Tawhid, osoby te nie były pracownikami ani agentami rządu Stanów Zjednoczonych. Powszechnie dostępne szczegółowe informacje potwierdzają, że byli to odpowiednio: biznesmen z sektora finansowego, handlowiec z branży reklamowej oraz postać zaangażowana w międzynarodową działalność filantropijną.

Oświadczenie opublikowane przez Al-Tawhid stanowi cyniczną próbę wykorzystania śmierci tych osób do rozreklamowania wcześniej nieznannej grupy. Stany Zjednoczone Ameryki potępiają takie postępowanie. Federalne Biuro Śledcze i pozostałe agencje wspólnie z rządami Pakistanu, Federacji Rosyjskiej oraz Tadżykistanu pracują nad zidentyfikowaniem prawdziwych zabójców trójki Amerykanów i nad doprowadzeniem ich przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

Rzecznik Departamentu Stanu powtórzył te słowa, gdy tego samego dnia podczas konferencji dla prasy został poproszony o ustosunkowanie się do oświadczenia Al-Tawhid. W nieoficjalnej pogawędce, do której doszło po zakończeniu briefingu, wyznał dziennikarzom, że FBI bada trop wskazujący na to, że zabójstwo Meredith Rockwell może mieć podłoże narkotykowe. Jak stwierdził, nie można było wykluczyć możliwości, iż we dwa pozostałe morderstwa również zamieszane były międzynarodowe organizacje przestępcze, zaś „absurdalnym” oświadczeniem podpisanym przez Al-Tawhid przestępcy mogli chcieć zatrzeć za sobą ślady.

Jednocześnie szef wydziału spraw publicznych CIA skontaktował się z reporterami, którzy zwykle zajmowali się tematyką wywiadowczą. W zdecydowanych słowach zapewnił ich, jako „przedstawiciel rządu Stanów Zjednoczonych” że żadna z zabitych osób nie miała jakichkolwiek powiązań z CIA. Paradoksalnie, takie dementi brzmiało bardziej autentycznie, gdy nie ujawniano tożsamości jego autora, a w tym konkretnym wypadku można było powiedzieć, że człowiek ten mówił prawdę. Nie ulegało przynajmniej wątpliwości, że sam był o tym przekonany. Sam kierownik Narodowej Służby Tajnej zadzwonił do reporterów z dzienników „New

drugim, do czasu aż Stany Zjednoczone nie wycofają się z Pakistanu i wszystkich innych terytoriów muzułmańskich. Sami wybierzemy miejsce i czas kolejnych ataków. Amerykańscy obywatele powinni zadać pytanie: kim są ci agenci, którzy z dala od domu przekupują i zabijają muzułmanów? Dlaczego pragną oni zniszczyć Pakistan i inne wolne, demokratyczne narody muzułmańskie? Potwierdzamy jedność Boga. Bóg jest wielki. - Ikwan Al-Tawhid. Pomimo rozpaczliwych ponagleń ze strony przedstawicieli mediów, Biały Dom odczekał dwie godziny, zanim wydał odpowiedź. Tak niewielu ludzi znało szczegóły sprawy, że trudno było zebrać odpowiednią ekipę do jej przedyskutowania. Ostatecznie odbyła się zabezpieczona wideokonferencja z udziałem zaledwie czterech osób: prezydenta, szefa jego personelu, zastępcy wicedyrektora CIA oraz oficera CIA w Los Angeles, o którym nawet podczas utrzymanego w tajemnicy zebrania mówiło się wyłącznie „John Doe”. Po zakończeniu narady szef personelu polecił rzecznikowi Departamentu Stanu wydać następujące oświadczenie:

Zarzuty ze strony ugrupowania nazywającego siebie Ikwan Al-Tawhid to absurdalna i nieuzasadniona próba przypisania sobie odpowiedzialności za tragiczną śmierć trojga Amerykanów, którzy zginęli za granicą w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wbrew twierdzeniom organizacji Al-Tawhid, osoby te nie były pracownikami ani agentami rządu Stanów Zjednoczonych. Powszechnie dostępne szczegółowe informacje potwierdzają, że byli to odpowiednio: biznesmen z sektora finansowego, handlowiec z branży reklamowej oraz postać zaangażowana w międzynarodową działalność filantropijną.

Oświadczenie opublikowane przez Al-Tawhid stanowi cyniczną próbę wykorzystania śmierci tych osób do rozreklamowania wcześniej nieznannej grupy. Stany Zjednoczone Ameryki potępiają takie postępowanie. Federalne Biuro Śledcze i pozostałe agencje wspólnie z rządami Pakistanu, Federacji Rosyjskiej oraz Tadżykistanu pracują nad zidentyfikowaniem prawdziwych zabójców trójki Amerykanów i nad doprowadzeniem ich przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

Rzecznik Departamentu Stanu powtórzył te słowa, gdy tego samego dnia podczas konferencji dla prasy został poproszony o ustosunkowanie się do oświadczenia Al-Tawhid. W nieoficjalnej pogawędce, do której doszło po zakończeniu briefingu, wyznał dziennikarzom, że FBI bada trop wskazujący na to, że zabójstwo Meredith Rockwell może mieć podłoże narkotykowe. Jak stwierdził, nie można było wykluczyć możliwości, iż we dwa pozostałe morderstwa również zamieszane były międzynarodowe organizacje przestępcze, zaś „absurdalnym” oświadczeniem podpisanym przez Al-Tawhid przestępcy mogli chcieć zatrzeć za sobą ślady.

Jednocześnie szef wydziału spraw publicznych CIA skontaktował się z reporterami, którzy zwykle zajmowali się tematyką wywiadowczą. W zdecydowanych słowach zapewnił ich, jako „przedstawiciel rządu Stanów Zjednoczonych” że żadna z zabitych osób nie miała jakichkolwiek powiązań z CIA. Paradoksalnie, takie dementi brzmiało bardziej autentycznie, gdy nie ujawniano tożsamości jego autora, a w tym konkretnym wypadku można było powiedzieć, że człowiek ten mówił prawdę. Nie ulegało przynajmniej wątpliwości, że sam był o tym przekonany. Sam kierownik Narodowej Służby Tajnej zadzwonił do reporterów z dzienników „New York Times” oraz „Washington Post” i oznajmił, że zabici Amerykanie nie figurowali na liście płac Agencji. Osobiście za to ręczył.

Zaprzeczenia zostały bez zastrzeżeń włączone w pierwszy obieg serwisów informacyjnych i przez kolejne dni funkcjonowały zgodnie z planem. Kilka zapierających dech w piersiach demaskatorskich tekstów ukazało się na łamach pakistańskiej prasy, lecz tamtejsze media od zawsze przedstawiały nieuzasadnione twierdzenia na temat działalności amerykańskich służb wywiadowczych, więc nikt teraz nie zwrócił na nie uwagi. Komórka prasowa ISI w Islamabadzie zaskakująco milczała, co zdaniem miejscowych reporterów oznaczało, że agencja musi mieć jakieś powiązania z ugrupowaniem Al-Tawhid. Była to poniekąd prawda, aczkolwiek nawet ludzie w ISI wiedzieli mniej, niżby sobie tego życzyli. Powód milczenia był bardziej skomplikowany. Dyrektor generalny służb, generał porucznik Mohammed Malik, starał się zdecydować, co teraz zrobić.

Jeff Gertz zareagował jak na niego przystało, dogłębnie analizując sytuację. Opanowany, zachował pewność siebie i usiłował znaleźć sposób, by udzieliła się ona również jego podwładnym. Pod koniec pierwszego dnia kryzysu zwołał w Studio City „naradę gabinetową” personelu i zapewnił, że jego najważniejszą troską jest zadbanie o ich bezpieczeństwo. Dograł szczegóły wprowadzanych środków ostrożności, zorganizował opancerzone samochody, zapewnił profesjonalną pomoc w radzeniu sobie ze stresem, słowem - obsypał Hit Paradę i jej współpracowników na całym świecie pieniędzmi i bonusami.

Gertz zadzwonił do Londynu do Sophie Marx i powiedział, że kończy jej się czas. Jeżeli w ciągu kilku dni nie od-

kryje czegoś, co pomogłoby wytłumaczyć w Białym Domu, dlaczego najtajniejsi wojownicy w służbie Ameryki są jeden po drugim mordowani, ściągnie ją do kraju i wyśle na jej miejsce kogoś innego. Jak najszybciej należało ustalić ogólny zarys sytuacji. Nad szczegółami będzie można popracować potem, kiedy uda się zyskać trochę czasu.

Rozdział 26

AD-DAUHfl. KATAR

Cyril Hoffman nie pozwalał sobie na błąd polegający na zaufaniu propagandzie, zwłaszcza zaś, gdy chodziło o propagandę głoszoną przez rząd jego własnego kraju. Po poświęconej bractwu Al-Tawhid wideokonferencji z Gertzem, prezydentem oraz szefem prezydenckiej administracji, Departament Stanu wydał oświadczenie, w którym - co Hoffman wiedział - kłamano w żywe oczy. Twierdzenia przedstawicieli Al-Tawhid były w gruncie rzeczy trafne: Stany Zjednoczone prowadziły potajemną kampanię wymierzoną w Pakistan, mającą na celu przekupienie kluczowych postaci w kraju, a z czasem być może również powstrzymanie działań przeciwko Ameryce i przejęcie kontroli nad pakistańskim arsenałem nuklearnym. Hoffman bynajmniej nie był przeciwny założeniom operacji. Nie podobało mu się tylko, że za plecami CIA realizację projektu powierzono naprędce skleconej, raczkującej dopiero agencji. Na dodatek niepokoił go fakt, iż Al-Tawhid zdołało w jakiś sposób przeniknąć rzekomo perfekcyjny system zabezpieczeń Hit Paradę i mordowało teraz jej agentów. Trzeba to było zatrzymać, tymczasem wydawało się, że wspaniała Gertz nie jest zdolny do zlokalizowania przecieku.

Hoffman od lat miał na niego oko, tym bardziej, odkąd Gertz zaczął rozkręcać w Los Angeles działalność Hit Parade. Lecz pomimo wysiłków, jakie Hoffman czynił, by zapanować nad tym eksperymentem, projekt przeobraził się i rozrósł do tego stopnia, że stanowił obecnie zagrożenie dla całego rządu Stanów Zjednoczonych, w tym również dla CIA, którą Hoffman poprzysiągł chronić. Ginęli amerykańscy agenci, prowadzące dzihad ugrupowania wydawały oświadczenia, a wyciek tylko się powiększał. Hoffman zwykł napawać się myślą, że gdy Gertzowie tego świata bałaganili, do ludzi takich jak on należało zrobienie porządku. Wiele lat temu otrzymał od wuja Franka, który również trudnił się sprzątaniami po czyichś katastrofach, wiersz autorstwa Rudyarda Kiplinga, który bardzo mu się spodobał. Wiersz miał tytuł „Bogowie Starych Ksiąg” i Hoffman przechowywał go w szufladzie biurka, aby móc go sobie przeczytać za każdym razem, gdy trafiał na wyjątkowo głupią sytuację. Teraz także sięgnął do szuflady i przypomniał sobie ową moc, z jaką wspomniani bogowie potrafią przeczekać ambitnych ludzi czyniących dobro: Jak u zarania dziejów, tak będzie też w przyszłości - Cztery rzeczy niezmiennie od początków ludzkości: Pies do wymiotów powraca, a do błota świnie, Zaś głupiec palcem sparzonym znów dłubie w kominie,

I że kiedy nadejdzie Świat ów Nowy, Wspaniały, Gdzie wszystkich ludzi przewiny zapomniane zostały, Jak to, że deszcz nas zmoczy, a ogień w proch obróci, Tak pewne: Starych Ksiąg straszni Bogowie wrócą!

Jak tych strasznych Bogów powstrzymać? Od tej chwili stawało się to również zadaniem Hoffmana. Skoro Gertz nie był w stanie zatamować przecieku, sam będzie musiał wkroczyć do akcji. W myślach powrócił do rozmowy, jaką

Podczas wizyty w Islamabadzie odbył z generałem porucznikiem Mohammedem Malikiem. Dyrektor ISI starał się wtedy powiedzieć mu coś ważnego. Hoffman był jednak tak skupiony na przekazaniu własnego komunikatu, że nie słuchał rozmówcy wystarczająco uważnie. Pakistański generał zgłaszał swój sprzeciw wobec akcji w Karaczi. W sumie można się było tego spodziewać. Żaden kraj nie lubi, kiedy rząd innego państwa samowolnie przeprowadza na jego terytorium operację wywiadowczą. Ale było coś jeszcze, co generał pragnął dać mu do zrozumienia. Doszło do przecieku - porwanie Howarda Egana nie było kwestią szczęścia, jakie spotkało „tych złych”, lecz czymś o wiele istotniejszym.

Po powrocie z Islamabadu Hoffman zrobił parę oczywistych ruchów. Rozmówił się z najlepszym ekspertem od Pakistanu w Langley oraz skontaktował się ze swoimi prywatnymi informatorami, nic to jednak nie dało. Z perspektywy czasu zastanawiał się, dlaczego uważniej nie wysłuchał usiłującego mu coś powiedzieć generała.

Nigdy jednak nie jest za późno, by dzięki zdrowemu rozsądkowi naprawić popełnione błędy. Hoffman zerwał się do działania późną nocą w dniu zabójstwa Meredith Rockwell. W Islamabadzie wstawał już nowy dzień, zaś generał Malik zapewne siadał akurat za biurkiem w gabinecie, aby nad filiżanką herbaty przeczytać otrzymane depesze i zaplanować następne posunięcia. Bardzo często Hoffman stosował zasadę, iż w razie wątpliwości należy absolutnie nic nie robić. Lecz tym razem instynkt podpowiadał mu co innego, a przy tym wiedział, że nie ma już więcej czasu do stracenia.

Hoffman sięgnął po bezpieczny telefon STU-5 i wybrał prywatny numer Malika w kwaterze ISI. Już po pierwszym dzwonku generał odebrał, rzucając do słuchawki sztywne „halo”

- Tu twój przyjaciel, Cyril Hoffman - zaczął. - Sądzę, że powinniśmy porozmawiać. Co ty na to?

- Albo porozmawiamy, albo będziemy do siebie strzelać. Jedno z dwóch. Twój chłopcy bardzo ostatnio narozrabiali. Oświadczenie Al-Tawhid wywołało efekt wsadzenia kija w mrowisko. Muszę przyznać, drogi panie, że jesteśmy rozszłoszczeni.

- A zatem porozmawiajmy. I to nie są moi chłopcy, ani też moje dziewczynki. Na ten temat również chciałem zamienić parę słów. Obiecuję Mohammedzie, że ci się to opłaci. A tak na marginesie - to nie moi chłopcy pociągają za spusty, tylko twoi.

- A jakie miejsce spotkania proponowałbyś, Cyrilu? Rozmowa przez telefon to dla nas obu pomysł nie najlepszy. Jednocześnie muszę z żalem przyznać, że nie mogę cię w chwili obecnej zaprosić do Islamabadu. Jak się zapewne domyślasz, nastroje tu panują cokolwiek niegościnnie.

- Spotkajmy się jutro gdzieś nad Zatoką, na terenie neutralnym. Przylecę dokąd zechcesz, powiedz tylko dokąd.

- Dubaj odpada. Trzęsą nim twoje służby. Gdybym miał się zgodzić, zasugerowałbym Ad-Dauhę.

- Dalej, staruszk. Opuść sobie gierki. To konieczność. Giną ludzie, a będzie tylko gorzej, o ile w sprawę nie zaangażują się ludzie rozsądni. Sytuacja jest niebezpieczna, mój szacowny bracie.

- Cieszę się, że wciąż wliczasz mnie do swojego grona „ludzi rozsądnych” Cyrilu. I dziwię się, że w takim momencie postanowiłeś nazwać mnie „bratem”. Albo to oznacza, że jesteś ze mną szczery, albo też, że jesteś draniem bez skrupów.

- Wiesz doskonale, że jestem draniem. Dlatego właśnie się dogadujemy. Dalej, zgódź się. Zobaczymy się jutro wieczorem w Ad-Dausze. Zatrzymam się w hotelu Four Seasons. Zjemy sobie kolację, ja zapraszam. To co, jesteśmy umówieni? Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię błagał.

Na parę chwil w słuchawce zapadła cisza, podczas gdy generał Malik rozważał rozmaite aspekty sytuacji zarówno te znane Hoffmanowi, jak i te będące dla niego tajemnicą.

- Dobrze - odparł w końcu Pakistańczyk. Jutrzejszego wieczoru spotkamy się w Ad-Dausze. Przyjedź sam. Ja uczynię podobnie. Nie jest to spotkanie, do którego zamierzam komukolwiek się przyznawać.

- Już się o to nie martw. Wujek Cyril skorzysta z czystego samolotu z dziewiczymi numerami na ogonie. Będę też nad wyraz zobowiązany, drogi przyjacielu, skoro już rozmawiamy o dyskrecji, jeśli nie podzielisz się moim grafikiem z dzentelmenami z Al-Tawhid, jeżeli jakimś cudem przyszłoby ci się na nich natknąć. Nie mówię tego, aby wszcząć kłótnię, po prostu jestem szczery.

Generał Malik chciał już zaprotestować, lecz wobec śmierci trzech oficerów amerykańskiego wywiadu przedstawiona prośba nie była bezzasadna.

???

Tego samego wieczora Hoffman wykonał kolejny telefon, tym razem do Jeffrey’a Gertza. Poprosił o podsumowanie śledztwa, które zespół Gertza prowadził w sprawie wycieku informacji prowadzącego do ataków na Howarda Egana i pozostałych. Przypomniał sobie, że dochodzenie przeprowadzała sympatyczna, młoda kobieta, będąca u Gertza szefową kontrwywiadu; ta, która wcześniej rezydowała w Bejrucie i miała dziwną rodzinę. Zatem jak jej szło?

- Oficer nazywa się Sophie Marx - odpowiedział Gertz. Głos mu się urywał. Bynajmniej nie miał w tej chwili ochoty odpowiadać na pytania z Centrali.

- I gdzie to przebywa obecnie panna Marx, jeśli mogę spytać?

- Jest w Londynie i bada fundusz hedgingowy, dla którego pracował Egan. Jest uparta, ale do tej pory nie udało jej się poskładać wszystkiego do kupy. O ile prędko czegoś nie odkryje, wyślę w jej miejsce kogoś, komu się to uda.

- Trochę trudno nią kierować? Za bardzo lubi węszyć tu i ówdzie?

- Tak - odparł Gertz. - Coś w tym guście. A poza tym nie dostarcza mi żadnych odpowiedzi. Tylko kolejne pytania. Ciągłe wypytywanie o szerszy kontekst sprawy. Tu chodzi o zadanie natury detektywistycznej.

- Domyślam się, że mówiąc o szerszym kontekście, masz na myśli Pakistan?

- Mam na myśli szerszy kontekst. Sprawy, do których nie ma dostępu, a mimo to pragnie je poznać. Musimy to wszystko domknąć. Giną ludzie, a my nie wiemy dlaczego. Będę musiał skierować do tego kolejnych ludzi, być może w przyszłym tygodniu. W tym momencie nikt nie ma prawa ruszyć się z miejsca.

- Jak mogę się skontaktować z tą skomplikowaną niewiastą? Sam również chciałbym otrzymać raport o postępach.

- Wybacz, Cyrilu, ale nie możesz. Ona pracuje dla mnie, a ja nie jestem jeszcze gotów, by udostępnić wyniki. Jeśli tylko coś znajdziemy, damy ci znać, a wtedy będziesz mógł z nią gadać do woli. Ale nie teraz.

Kilka minut później Hoffman zakończył rozmowę, radosny jak zawsze. W chwili, gdy tylko przerwał połączenie, zadzwonił do Steve'a Rossetiego, który przekazał mu numer telefonu komórkowego Sophie Marx oraz jej bezpieczny adres e-mailowy.

Hoffman zastanowił się, czy by do niej nie zadzwonić, ale w Londynie był środek nocy, a zresztą w tym momencie nie musiał jeszcze z nią rozmawiać. Zdążył już ustalić jedyną kwestię, która istotnie go obchodziła, mianowicie fakt, że Marx była wystarczająco niezależna i niecierpliwa, by zaniepokoić Jeffa Gertza. Hoffman nie wiedział, czy można jej zaufać, ale takie rzeczy odkrywa się dopiero, gdy podejmie się ryzyko i przekona się na własnej skórze.

???

Następnego popołudnia dwaj moiści świata wywiadu przylecieli swymi nieoznakowanymi samolotami do Ad-Dauhy i udali się do hotelu Four Seasons, ulokowanego przy brzegu w nowej dzielnicy West Bay. Hotel stanowił przykład ekspresowego luksusu, który zagościł w mikroskopijnym i absurdalnie zamożnym Katarze. Miał formę nowoczesnego wieżowca, z wtrąconymi gdzieś dla uspokojenia miejscowych kiczowatymi akcentami islamskimi - bliźniacze wieże hotelu wieńczyły przeszklone kopuły, zaś przed gmachem wznosiła się imitacja pustynnej fortecy, w której rezydowali parkingowi.

W skwarze pełni lata nad wodami Zatoki unosiła się połyskująca mgiełka. Otaczające hotel palmy pomimo ciągłego nawadniania chyliły się ku ziemi. Hotelowe lobby sprawiało wrażenie wielkiego i pustego salonu wystawowego. Wszyscy Katarczycy, których tylko było na to stać, uciekli przed letnimi upałami w góry Libanu bądź na Lazurowe Wybrzeże.

Cyril Hoffman wynajął najtańszy możliwy pokój. Na swój wyjazd nie uzyskał zgody dyrektora Agencji, nie planował go zresztą w ogóle o nim informować. Samolot udało mu się zarekwirować w oparciu o własny autorytet, lecz rachunek za zakwaterowanie najprawdopodobniej będzie musiał uregulować sam.

W oczekiwaniu na kolację Hoffman rozsiadł się w pokoju, przyglądając się arabskim dziewczętom, które w strojach bikini bawiły się w widocznych niżej basenach, a następnie wracały do domów w bezkształtnych hidżabach i chustach. Jakże osobliwa była ta część świata. Hoffman przypomniał sobie, że ma być tej nocy wyrozumiały, jeśli pakistański generał oświadczy coś, co będzie oczywistym kłamstwem. Była to kwestia różnic kulturowych.

Spotkali się w prywatnej jadalni znajdującej się na parterze włoskiej restauracji La Fortuna. Hoffman zawczasu zszedł na dół i wręczył kelnerowi studolarowy banknot oraz kartę kredytową na nazwisko, na jakie zameldował się w hotelu. Poleciał mu, by ten nie wchodził do oddzielonej sali, o ile nie zostanie wezwany.

Generał Malik przybył równo o ósmej, ubrany w niebieską marynarkę, białą koszulę i czarnoczerwony krawat w prążki. Nawet w ubraniu cywilnym wyglądał na oficera wojska. Hoffman był już na miejscu, popisując się letnim garniturem z białego lnu z workowatymi spodniami i luźną, dwurzędową marynarką. Zamiast krawatu zdecydował się na chustę typu ascot w

indyjskie wzory. Wyglądał jak wykładowca historii sztuki z niezależnej uczelni w Nowym Jorku.

Hoffman zamówił butelkę wybornego wina oraz szeroki wachlarz przystawek. W chwili przybycia generała wszystko było już na stole. Hoffman polecił kelnerowi odejść i zostawić ich samych. Swojemu pakistańskiemu przyjacielowi nalał kieliszek brunello.

- Czy życie nie jest wspaniałe? - spytał, stukając się kieliszkiem z rozmówcą.

- Bynajmniej - odparował generał Malik. - Nie jest ani trochę wspaniałe. Życie to raczej wielki bałagan. Zdrówko.

- A zatem żadnej pogawędki? Żadnej gry wstępnej? Żadnego „co tam u rodziny?”

- Nie wydaje mi się. Jeszcze tej nocy wracam do Rawalpin-di. - Malik spojrzał na zegarek. - Dokładniej, za trzy godziny.

Hoffman upił spory łyk wina i odstawił kieliszek.

- Niechaj więc przejdę do sedna. Przyjechałem tu, żeby powiedzieć ci jedną, bardzo ważną rzecz. Za to, co chcę ci powiedzieć, mogliby mnie aresztować pod zarzutem przekazywania tajemnic nieprzyjacielowi. Pragnę więc, byś wysłuchał mnie uważnie. Wysłuchasz?

- Oczywiście, Cyrilu. Jak myślisz, po co tu przyleciałem, jeśli nie po to, żeby słuchać, a może też trochę porozmawiać?

- Operacji, które wam i waszym kumplom z Al-Tawhid udało się wykryć, nie prowadzi CIA. To sprawa zupełnie nowej formacji, która zaczęła świrować. Prowadzą potajemną kampanię przeciwko Pakistanowi, która nie ma żadnego prawnego uzasadnienia i która zakończy się klęską. Mówię to, ponieważ osobiście zadbam, by przedsięwzięciu urwać łeb. Ta nowa formacja zdołała zyskać sobie przychylność Białego Domu, ale to tylko dlatego, że środowisko prezydenta to żółtodzioby. Nad tym również pracuję.

Malik potrzęsnał głową.

- To jakiś absurd. Znam twoje sztuczki, Cyrilu. Weiskasz mi kolejną historyjkę.

- Podejrzałem, że tak powiesz, więc przywiozłem ze sobą mały dowód na potwierdzenie moich słów.

Hoffman wyjął z kieszeni białego garnituru kilka kartek papieru i przekazał je przez stół Pakistańczykowi.

- Co to takiego?

- To list z biura doradcy Białego Domu do głównego prawnika CIA. Datowany na przedwczoraj. Jeśli przekopać się przez prawnicze formułki, chodzi w nim o to, że Biały Dom bierze na siebie odpowiedzialność za wszelkie oświadczenia, jakie zostaną poczynione w odpowiedzi na zarzuty Al-Tawhid. Jak to mówią prawnicy, gwarantuje Agencji niekaralność. To nie ich dziecko.

- I czego to dowodzi? Jestem wojskowym, a nie prawnikiem.

- Dowodzi właśnie tego, co ci powiedziałem. To nie jest operacja CIA. Ze strony Agencji nie istnieje żadna oficjalna kampania, która miałaby cokolwiek wspólnego z Pakistanem. Istnieje, owszem, pewna szaleńcza operacja, prowadzona przez zgraję napaleńców, którzy odkryli sposób na finansowanie swoich działań bez uciekania się do pomocy Kongresu i którzy tymczasowo zdołali przekonać do swoich pomysłów paru narwańców z Białego Domu. Ale jak już powiedziałem, niebawem będzie po nich. Osobiście to gwarantuję.

- Powiedz, mój drogi, po co mi to mówisz? To z twojej strony nader nietypowe, byś sam z siebie o czymś informował. Wręcz nie jestem w stanie przypomnieć sobie podobnie hojnego gestu, czy to z twojej strony, czy to ze strony któregoś z twoich słynnych kuzynów i wujów. Gdzie więc tkwi „haczyk”, że się tak wyrażę?

- Najzwyczajniej w świecie potrzebuję twojej pomocy. Mamy tu do czynienia z paskudnym pojedyńkiem. Zginęły już trzy osoby. Jak tak dalej pójdzie, ludzie zaczną panikować. W trosce o samych siebie podejmą pewne działania. Bardzo szybko sprawy mogą przybrać wredny obrót.

- I co ja mogę na to poradzić? - spytał generał Malik, wzruszając przy tym ramionami. - Nie należę do Ikwana

Al-Tawhid. Nie strzelałem do żadnych Amerykanów. Jestem tu ofiarą, a nie zbrodnią. Cyril Hoffman pomachał palcem przed nosem siedzącego po drugiej stronie stołu rozmówcy.

- Ale ty coś wiesz. To oczywiste, że wiesz. Na tym polega twoja robota, a jesteś w niej dobry. Znasz ludzi, którzy zabijają i mam nawet przecucie, że wiesz, w jaki sposób to czynią. Otrzymują informacje, które pomagają im tropić ruchy agentów tej nowej formacji, o której ci mówiłem. Staraliśmy się odkryć źródło przecieku, ale jak na razie go nie znaleźliśmy. Założę się jednak, że tyje znasz.

- Stanowczo nas przeceniasz, przyjacielu. Jesteśmy ISI, a nie MI6 czy Mossad. A jeśli twierdzisz, że to my kierujemy bractwem Al-Tawhid, to jest to, proszę pana, kłamstwo. I to kłamstwo nader nikczemne.

Uderzył dłonią w blat.

Generał Malik protestował goręcej, niż sugerowałyby to konieczność, a nawet zdrowy rozsądek. W ciszy, która zapadła po jego riposie, Cyril Hoffman był bowiem w stanie spojrzeć mu głęboko w oczy i w ów niezwykle, typowy dla siebie sposób wyczytać z nich prawdę.

- Mnie, bracie, nie nabierzesz. Dostrzegam ten uśmieszek pod wąsem, Mohammedzie. Dostrzegam ten błysk w oku. Ty coś wiesz. Oj, wiesz. A my musimy się tego dowiedzieć. Będę z tobą szczerzy, nawet jeśli nie leży to w mojej naturze. O ile nie znajdziemy sposobu, by współdziałać, cała ta sytuacja może stać się niebezpieczna. Potrzebuję twojej pomocy. Powiedz mi, co wiesz.

Pakistańczyk w pierwszej chwili nie odpowiedział. Nigdy nie był człowiekiem skorym do pośpiechu.

- Zjedźmy coś, co ty na to? - zaproponował.

Generał Malik sięgnął po talerz z carpaccio z wołowiny i powoli zjadł cienki jak opłatek plasterk mięsa, rozkoszując się smakiem, podczas gdy zastanawiał się nad sytuacją. Następnie skierował uwagę na foie gras, nałożył sporą porcję na grzanekę i delektował się każdym kęsem.

Hoffman posmarował chleb masłem. Starał się ukryć zniecierpliwienie.

Pakistańczyk skończył jeść i wytarł usta serwetką.

- Masz oczywiście rację. Jak mogłeś się tego spodziewać, coś tam o Al-Tawhid wiemy. Słusznie też podejrzewasz, że wiemy coś na temat ich metod namierzania celów.

- O to chodzi. No, dalej, powiedz mi. Po to tu w końcu przyjechałeś. Sam zdajesz sobie z tego sprawę.

- Chodzi o banki. Dopiero co udało nam się zdobyć pewne dane komputerowe, które przejęliśmy od kuriera Al-Tawhid. Będę jednak szczerzy, nie jesteśmy w stanie ich zrozumieć. Starłem się namierzyć geniusza informatyki, który te dane zestawił, ale - mówiąc wprost - nie udało mi się. Niepokoją mnie te materiały. Ktoś mógłby ich użyć w niewłaściwym celu. Dlatego też tyle nad tym siedziałem. Ale sądzę, że mógłbym polecić mojemu analitykowi, by przyjrzał się tym danym raz jeszcze.

Hoffman nałożył nieco więcej masła na kromkę, po czym odłożył ją na bok i upił łyk wybornego czerwonego wina. Rozglądał się za innymi możliwościami, ciągle jednak myślami wracał do Sophie Marx w londyńskim funduszu hedgingowym. To ona pracowała nad tym problemem i to ona miała największe szanse na złamanie kodu, o którym wspominał generał.

- A co, jeśli wyślę ci kogoś z pomocą? - spytał Hoffman. - To jedna z naszych najlepszych oficerów kontrwywiadu

i z naszej strony to właśnie ona starała się namierzyć wyciek informacji dotyczący naszego człowieka w Karaczi, a teraz również i pozostałych. Jest bystra i umie trzymać język za zębami.

- A jakże się nazywa owa superbohaterka?

- Sophie Marx.

Generał Malik wyjął pióro i drobnym, eleganckim pismem zanotował jej imię w czarnym notatniku, który wyjął z kieszeni marynarki.

- Nie znajdziesz o niej zbyt wiele w swoich aktach, ani też w żadnych innych - zapowiedział Hoffman. - Gdybyś jednak rozpytał właściwych ludzi, dowiedziałbyś się, że owa młoda niewiasta przeprowadziła bardzo profesjonalną operację w Bejrucie, która pozwoliła nam przeniknąć system komunikacyjny Hezbollahu. Udało jej się zwerbować kobietę pracującą w jednej z libańskich spółek telekomunikacyjnych oraz urzędnika z Ministerstwa Łączności. Było to całkiem ryzykowne. Mamy o niej bardzo dobre zdanie.

- Jak wyglądałby nasz układ, gdybym postanowił ją u siebie przyjąć?

- Pomogłaby wam w przeanalizowaniu tych informacji. Dogłębnie by je zbadała. Następnie wykorzystaliby ją, żeby ochronić naszych ludzi przed kolejnymi atakami.

- Innymi słowy, zdemaskowałaby sieć informatorów Al--Tawhid.

- Naturalnie, jeżeli z tym właśnie mamy do czynienia. Pomogłaby ci ich dopaść. Lub też, jeśli tak będzie łatwiej, sami byśmy ich dopadli.

Generał sięgnął po kolejną smakowitą porcję foie gras. Do tej pory niemal nie naruszył zawartości kieliszka, teraz jednak wypił solidny łyk wina.

- A co my z tego będziemy mieli, Cyrilu? Wybacz mi obcesowość, ale - ostatecznie - mówimy o interesach. Co takiego otrzymam w zamian za przekazanie wam tych jakże istotnych danych?

- Cóż, uczciwe pytanie, w pełni zresztą uzasadnione. Po pierwsze, unikniesz otwartego konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi, które pomimo słabości władzy politycznej nadal są najpotężniejszym państwem świata, i które krajom, których nie lubią, potrafią niezwykle uprzykrzyć życie. Po drugie, daję ci słowo, że powstrzymam potajemną operację, którą prowadzi się przeciwko Pakistanowi. Powstrzymam i już. A jeśli mi się nie uda, masz pełne prawo upublicznić co tylko chcesz, a tym samym udupić mnie i całą masę innych ludzi.

- To wszystko bardzo miłe, Cyrilu, tyle że nienamacalne. Są w Pakistanie ludzie, którzy uznaliby, że oto zdradzam sprzymierzeńca, jakim jest Al-Tawhid, aby wesprzeć wroga, czyli Stany Zjednoczone. Jak dobrze wiesz, jestem człowiekiem neutralnym i taki sposób rozumowania budzi we mnie odrazę, ale tak się sprawy mają.

- Przyjacielu, jeżeli Al-Tawhid są w stanie zabijać naszych oficerów, są też w stanie zabijać agentów Chin czy Rosji - a nawet twoich oficerów ISI. Nie wiem, na czym polegają te ich tajne metody inwigilacji, lecz jeśli potrafią użyć ich przeciwko nam, mogą ich użyć przeciwko komukolwiek. To niebezpieczne - zwłaszcza jednak dla ciebie, mój drogi bracie. Wyświadczymy ci więc wielką przysługę.

- Oswajam się z tą myślą. Nadal jednak nie widzę w tym korzyści współmiernej z tym, czego się zrzekamy.

- Ejże, Mohammedzie, mówimy tu o losach świata, a ty się targujesz, jakbyśmy byli na straganie z przyprawami. Ale w porządku, bo i tak cię kocham. Pozwól więc, że sformułuję to następująco: Ameryka będzie ci za tę pomoc niezwykle wdzięczna. Wiem, że ty nigdy byś mnie nie poprosił o jakiegokolwiek osobiste wynagrodzenie. Jednak sam bym się czuł zobligowany takowe ci zaoferować i to w możliwie najdy-skretniejszej formie. Cała ta nielegalna operacja generuje miliardy dolarów zysku. Kiedy ją przerwiemy, część tych pieniędzy może zsunąć się z ciężarówki. Rozumiesz o czym mówię?

Generał Malik pogładził się po wąsach i wytarł usta serwetką, chociaż niczego ostatnio nie jadł.

- Nie mam zielonego pojęcia o czym mówisz. Cyril Hoffman uśmiechnął się.

- Wybacz mi, że w ogóle o tym wspomniałem.

- Podesłij tę kobietę, tę pannę Marx, do Islamabadu. Niech po przyjeździe skontaktuje się ze mną pod moim prywatnym numerem. Zobaczymy, co da się zrobić. Więcej obiecać nie mogę. ???

Dokończyli przekąski i wino. Hoffman chciał zamówić danie główne, lecz generał Malik stwierdził, że musi wsiąść w samolot i wrócić do kraju. Jeżeli spóźniłby się z powrotem, ludzie zaczęliby o niego wypytywać. Hoffman złożył więc wspaniałe zamówienie i polecił kelnerowi dostarczyć potrawy do jego pokoju, w którym spałszował posiłek przed telewizorem, oglądając Fashion TV.

Rozdział 27

LONDYN

Kiedy gulfstream Cyrila Hoffmana wylądował w bazie RAF Mildenhall, żeby zatankować, Hoffman udał się do eleganckiego lobby dla gości i zadzwonił pod numer telefonu komórkowego Sophie Marx. W Londynie był poranek, a Marx w biurze w dzielnicy Mayfair zaczynała właśnie kolejny dzień dochodzenia. Numer dzwoniącego nic jej nie mówił, więc za pierwszym razem nie odebrała. Zazwyczaj jedyną osobą, która dzwoniła do niej pod ten numer, był Jeff Gertz. Kiedy jednak zaraz potem spod tego samego numeru dzwonił ponownie, zdecydowała się odebrać.

Hoffman był zmęczony podróżą, postarał się jednak zabrzmieć wesoło.

- Nie znasz mnie - zaczął. - Ale nazywam się Cyril Hoffman i jestem zastępcą wicedyrektora twojej firmy-matki, że tak to ujmę.

- Wiem, kim pan jest - odparła Marx. - Wszyscy to wiedzą. Jest pan sławny.

- Doskonale! Jestem akurat przejazdem w Wielkiej Brytanii i pomyślałam, że być może mogłabyś się ze mną umówić na śniadanie czy lunch lub jakikolwiek inny posiłek, który ludzie zwykli o tej porze jadać. Dopiero co przyleciałem i jestem nieco skołowany.

- Gdzie pan jest, panie Hoffman?

- W hrabstwie Essex, albo Sussex, albo jakoś tak. To baza lotnicza. Mogę zorganizować samochód i w ciągu godziny dotrzeć do Londynu. Powinniśmy się spotkać w jakimś... dyskretnym miejscu, gdzie nikt nie będzie miał pojęcia kim jesteśmy. Zarezerwuję pokój w... chwileczkę... w Holiday Inn. Właśnie szukam w moim piekielnym blackberry odpowiedniej placówki. „Holiday Inn Express Limehouse”: Brzmi koszmarnie, nieprawdaż? Znajduje się na East Endzie, akurat pośrodku między nami. Spotkajmy się tam za godzinę. Spytaj o „Freda Smitha” i idź prosto do mojego pokoju. Nie bój się, jestem całkowicie niegroźny.

- Będę na miejscu. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

- Jak najbardziej się stało. Właśnie dlatego chcę się z tobą zobaczyć. Ale ty się nie masz o co martwić, jeżeli o to pytasz. Po prostu przyjdź do hotelu - i proszę cię, nie mów nikomu, a zwłaszcza twoim kumplom z Los Angeles.

???

Kiedy Sophie Marx spytała w Holiday Inn o pokój pana Smitha, spotkała się z podejrzliwym spojrzeniem recepcjonisty. Zadzwonił do pokoju, by upewnić się, że klient oczekuje gościa. Kiedy „pan Smith” potwierdził, recepcjonista potrząsnął z pożałowaniem głową, jak gdyby współczuł obydwojgu czekającego ich spotkania.

Hoffman czekał w niewielkim pokoju na ósmym piętrze, którego okna wychodziły na parking, a w oddali można było zobaczyć budowle londyńskiego City. Miał na sobie granatowy sweter z kaszmiru, w którym wyglądał jak miękka i okrągła pianka cukrowa. Z powodu przemęczenia miał cienie pod oczami. Okulary do czytania dyndały mu na pleconym sznurku.

Marx nie miała czasu, by przebrać się w coś elegantsze-go, miała więc na sobie zwykłe spodnie i jeansową kurtkę,

w których była tego dnia w pracy. Razem wyglądali nad wyraz osobliwie.

Hoffman serdecznie uściśnął jej dłoń, tak jakby byli starymi przyjaciółmi, i podziękował za tak szybkie przybycie. Gestem wskazał jej stojącą po drugiej stronie łóżka jasnoczerwona kanapę, sam zaś spoczął na równie czerwonym krześle przy stole. Wyciągnął telefon komórkowy i wyjął z niego baterię. Sophie zrobiła to samo.

- Wyglądasz znajomo - rzucił, uważnie się jej przypatrując. - Czy my się znamy?

- Przemawiał pan na uroczystości zakończenia mojego kursu szkoleniowego, ale tego pan raczej nie pamięta. Kiedy zaś wróciłam z Bejrutu, pracowałam w zespole, który przedstawiał panu sprawozdania na tematy związane z łącznością. Stamtąd prawdopodobnie również mnie pan nie pamięta.

- Nie, ale tak czy owak kojarzę twoją twarz. Poza tym przeczytałem twoją teczkę, więc czuję się, jakbym cię znał. Muszę przyznać, że twoje akta robią bardzo dobre wrażenie. Jesteś lubiana. Ludzie ci ufają. Dotyczy to również twojego obecnego przełożonego, pana Gertza, który pragnie, byś rozwiązała zagadkę i odkryła, kto morduje jego oficerów. Mam jednak wrażenie, że zaczyna się nieco niecierpliwić. No, to jak ci idzie?

Marx spojrzała na niego ostrożnie, niepewna, jak powinna się zachować. Hoffman nie był jej szefem i nie miała prawa rozmawiać z nim na temat powierzonego jej zadania, nawet jeśli był jednym z najwyższych oficerów CIA. Zarazem jednak był uznaną postacią i roztaczał wokół siebie aurę autorytetu, która brała górę nad formalnymi zasadami. Marx postanowiła udzielić odpowiedzi.

- Jak dotąd wszystkie moje teorie okazały się błędne, ale pracuję nad tym. Jeżeli Jeff się niecierpliwi, to ja tym bardziej.

- Co ci mówi intuicja? Szczerze, chcę poznać twoje przypuszczenia.

- Odnoszę wrażenie, że nie jest to typowe dochodzenie kontrwywiadowcze, panie Hoffman. Zazwyczaj szukamy informatora, któremu udało się przeniknąć nasze struktury. Takiej śliwki robaczywki. Fakty jednak mówią co innego: agenci, którzy zginęli, działali w różnych placówkach. Nie znali się nawzajem, a łączyło ich jedynie to, że pracowali nad tym samym zagadnieniem. Jediną osobą, która znała szczegóły ich zadania, jest pan Gertz, ale on przecież nie jest podejrzanym.

- A zatem jakie nam zostają opcje? Gdzie jest przeciek?

- Jeszcze nie wiem. Gdybym jednak miała zgadywać, to uznałabym, że mamy problem natury technicznej. Ktoś czyta naszą korespondencję. Tropią zostawiane przez nas cyfrowe ślady. Ale to aż niewiarygodne. Te pakistańskie ugrupowania są przebiegłe, ale nie dysponują takimi samymi środkami podsłuchu i przechwytywania informacji, co służby rządowe. Tak przynajmniej sądzimy. I stąd wynika zagadka. Czy pana zdaniem ma to jakkolwiek sens? Hoffman energicznie przytaknął. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Chciał być pewien, że Sophie Marx jest odpowiednią osobą do realizacji planu, który przygotował. Teraz mógł się już uspokoić.

- Jak najbardziej. Ktoś czyta naszą korespondencję, a dokładniej, nasze zestawienia finansowe. W ten właśnie sposób nas namierzają. Udało im się przedostać do systemu bankowego, skąd widzą naszych ludzi i wiedzą, dokąd się wybierają. Tak właśnie zabijali naszych agentów.

Marx spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Skąd pan to wszystko wie, panie Hoffman? Hoffman poklepał się po brzuchu i ponownie uśmiechnął.

- Mam swoje źródło. A jeśli zgodzisz się mi pomóc, stanie się ono także twoim źródłem.

- Co mam zrobić? Niech pan po prostu powie.

- To skomplikowane. Muszę zadać ci kilka pytań. Jesteś głodna?

Pokręciła głową, lecz Hoffman i tak zadzwonił do recepcji i zamówił dwa talerze frytek i dwa piwa - wydawało się, że jest gotów pochłonąć je sam. Kiedy już złożył zamówienie, zwrócił się z powrotem ku Marx.

- A zatem, żeby od czegoś zacząć, boisz się? W sensie osobistym. Trzy osoby z twojej agencji nie żyją, widać więc wyraźnie, że to niebezpieczna fucha. Jeff Gertz powiedział, że wydał rozkaz zakazujący podróży i uziemiający wszystkich agentów w miejscu zamieszkania. Ale ty nadal jesteś w Londynie. Dlaczego? Nie niepokoisz się?

- Oczywiście, że się niepokoję. Ale ani myślę wracać teraz do domu. Nie tak łatwo mnie przestraszyć. Skoro czytał pan moją teczkę, wie pan, że wychowano mnie w nietypowy sposób. Wszystkiego, co straszne, zdążyłam już doświadczyć.

- Czy jesteś gotowa udać się w miejsce bardziej niebezpieczne niż Londyn?

- Oczywiście. A o jakim konkretnie miejscu mówimy? Hoffman zamknął oczy, po czym splótł dłonie i złożył je pod brodą. Wyglądał teraz jak przekarmiony mnich.

- O Pakistanie - odrzekł. - Chcę, byś spotkała się z kimś w Islamabadzie, jeśli oczywiście czujesz się na siłach. Obawiam się, że będziesz tego kogoś musiała poznać osobiście i to na jego terenie. W innym wypadku nie zdołamy pozyskać informacji, którą - jak twierdzi - jest gotów nam udostępnić.

- Kim jest to islamabadzkie źródło, jeśli tylko mogę spytać?

- Nazywa się Malik i jest dyrektorem generalnym ISI.

- To przyjemnie. Gratuluję, panie Hoffman.

- Dziękuję - odparł ceremonialnie, czyniąc dłonią nieznaczny gest, który oznaczać miał ukłon.

- Wiesz jednak, co to oznacza. Mój informator utrzymuje kontakt z ludźmi, którzy pozabijali twoich kolegów. I tu jest pies pogrzebany. Powiedział, że jest gotów nam pomóc i ja mu wierzę. Ale to ty weźmiesz na siebie ryzyko.

- To mi nie przeszkadza. Ludzie w tamtych stronach świata zawsze prowadzą jakąś podwójną grę. Taka już specyfika regionu. Nauczyłam się tego w Bejrucie. Proszę zatem wybaczyć, ale jeżeli próbuje mnie pan odstraszyć, to się panu nie uda.

- Zuch dziewczyna. A teraz, jeśli pozwolisz, mam do ciebie kolejne pytanie. Co sądzisz o Jeffie Gertz?

- To nie jest proste pytanie. Gertz to mój szef. Osobiście mu podlegam. Powierzył mi to zadanie, dając zarazem możliwość przejęcia odpowiedzialności, za co jestem mu wdzięczna. Nigdy nie zrobił niczego, co zaszkodziłoby mojej karierze.

- Tak, tak. Ale nie o to pytam. Czy mu ufasz? Bo o to mi przede wszystkim chodzi. Starła się odgadnąć odpowiedź poprawną politycznie, lecz doszła do wniosku, że takowa nie istnieje. Musiała po prostu powiedzieć prawdę.

- On ma potężnych przyjaciół, panie Hoffman. Tak przynajmniej ludzie mówią. Odpowiadając, mogę się wpakować w tarapaty. Ale nie, nie ufam mu do końca. Nie zawsze rozumiem jego modus operandi. Trzyma pracowników naszej agencji krótko, czasami jednak nie wiem, co robi. Być może nie powinnam tego mówić, ale takie jest moje zdanie. Podczas, gdy odpowiadała, Hoffman ponownie zamknął oczy, więc nie była w stanie wyczytać jego reakcji. Kiedy skończyła, przez kilka sekund milczał, jednak potem się odezwał.

- O ile wiem, ujęłaś to absolutnie perfekcyjnie. Dlatego też poproszę cię, byś ani słowem nie wspominała Gertzowi o swoim wyjeździe do Pakistanu, ani też o tym, czego się tam dowiesz. Masz zgłosić się bezpośrednio do mnie, a wtedy pomyślimy, co dalej robić.

- Wylecę z pracy, panie Hoffman. Jeff nie toleruje nielojalności. To akurat o nim wiem. Dowie się, bo zawsze jakoś się dowiaduje, a wtedy wywali mnie za drzwi. Prosi mnie pan, żebym popełniła zawodowe samobójstwo.

- Nie wydaje mi się - z wolna odparł Hoffman. - W rzeczywistości podsuwam ci możliwość ucieczki przed zawodową katastrofą. Ale pewności mieć nie możesz, bo skąd? Fakty są takie, że będziesz mi musiała uwierzyć na słowo. Nie mogę zaoferować ci żadnego wiarygodnego

zapewnienia. Ostatecznie do tego przecież sprowadza się istota naszej branży. Do kwestii zaufania.

Marx wyrzała przez okno sprawiającego szpitalne wrażenie hotelu w stronę słoczonych gmachów londyńskiego City. Żywiła nadzieję, że przyjdzie w jej karierze chwila jak ta, w której ktoś da jej szansę dokonania czegoś naprawdę ważnego. Lecz teraz, gdy chwila ta nadeszła, wydawała się tak krucha, jak nić łącząca dwie osoby, które w ciągu tej godziny po raz pierwszy w życiu ze sobą rozmawiały.

- Ufam panu - odparła. - Omówmy więc szczegóły.

???

W bezbarwnych czterech ścianach hotelu Holiday Inn spędzili jeszcze godzinę. Hoffman spałaszował oba talerze frytek, lecz Marx zdecydowała się wypić jedno z piw. Wyjaśnił jej procedurę skontaktowania się z generałem Moham-medem Malikiem za pośrednictwem jego osobistego adresu e-mailowego oraz prywatnego numeru telefonu. Dodał, że uprzedzi pakistańskiego generała o jej przybyciu.

Ostrzegł, że naprawdę niebezpiecznie zrobi się w chwili przekazania interesujących ich informacji. Oczywiście było, że generał Malik kontaktował się z ludźmi, którzy zabijali kolegów Marx i że gdyby tylko uznał to za opłacalne dla siebie, mógł owe kontakty odnowić. Jednak, jeśli nawet sam generał Malik nie piśnie słowa, prześladowcy z bractwa Al-Tawhid i tak mogą wpaść na trop Sophie przy użyciu własnych metod inwigilacyjnych, podobnie jak to uczynili w przypadku innych agentów Hit Parade.

Na koniec omówili kwestię tego, jak Marx miała wytłumaczyć Gertzowi swoją nieobecność. Sama zaproponowała alibi - w dokumentach Alphabet Capital znalazła coś istotnego dla śledztwa: przed feralną wizytą w Karaczi Howard Egan spotkał się z kimś w Dubaju. Musiała natychmiast tę osobę przesłuchać i nie miała czasu, by wcześniej uzgodnić to z Gertzem. Przeprosi go w e-mailu, którego wyśle z lotniska, na chwilę przed wejściem na pokład samolotu.

- On w to uwierzy? - spytał Hoffman.

- Zapewne nie. Ale wtedy będzie już za późno, by mógł mnie powstrzymać. A pan będzie mnie osłaniał, kiedy wrócę - zakładając, że wrócę.

Ostatnie słowa Marx wypowiedziała w konwencji prowokacyjnego żartu, mimo to żadne z nich się nie roześmiało. W zaistniałej sytuacji nie można było mieć pewności, czy Sophie nie pakuje się prosto w pułapkę.

???

Tego popołudnia, gdy Marx wróciła do siedziby Alphabet Capital w Mayfair, aby zacząć przygotowania do wyjazdu, za pośrednictwem sekretarki Perkinsa otrzymała depezę z centrali Hit Parade w Studio City, którą rozesłano wszystkim pracownikom agencji zagranicą. Informowano w niej, że tego

dnia agent Hit Parade został zabity w Afganistanie, gdy wybierał się na potajemne spotkanie. Razem było ich już czworo.

W depeży powtórzono rozkaz, tym razem w bardziej bezpośredni sposób, aby żaden oficer Hit Parade nie wyjeżdżał bez uzyskania wyraźnej zgody. Ogłoszono ogólnoswiatowy szlaban. Każdy zagraniczny oficer powinien podjąć natychmiastowe środki do zapewnienia sobie bezpieczeństwa osobistego, modyfikując swe trasy, procedury i zwyczaje łącznościowe. Powinien zaprzestać korzystania z telefonów komórkowych oraz kart kredytowych, wliczając w to karty i aparaty wydane na fikcyjne nazwiska.

Sophie Marx zignorowała wiadomość. Mona, sekretarka Perkinsa, zdążyła jej zarezerwować na ten wieczór lot do Islamabadu przez Dubaj. Sophie wiedziała, że jeżeli nie wyruszy natychmiast, być może w ogóle straci możliwość wyjazdu. Zapukała do drzwi Perkinsa, żeby się pożegnać, lecz Mona oznajmiła, że szefa nie ma w biurze, gdyż jest na spotkaniu z

adwokatem. Sophie spróbowała zostawić mu liścik, lecz po paru próbach napisania wiadomości poddała się - raz wyjaśniała za mało, raz za dużo.

Dotarłszy na Heathrow, zgodnie z planem wysłała wiadomość do Gertza, w której informowała go, że wybiera się do Dubaju. Kiedy siedziała już w fotelu w oczekiwaniu na start, zadzwonił jej telefon. Sięgnęła, by go wyłączyć, obawiając się, że może to być Gertz, lecz po numerze dzwoniącego rozpoznała Perkinsa. Kiedy odebrała, w jego głosie słyhać było entuzjazm, prawie brakowało mu tchu, jakby dopiero co podjął kolosalną decyzję. Przeprził za swoją nieobecność w biurze. Jak wytłumaczył, musiał się nad czymś zastanowić.

- Nie będę już dłużej pracować z tymi draniami - oznajmił.

- I dobrze - odparła. - Skończ z tym.

- Ale sama jesteś jednym z nich.

- Już nie. Wypadam z gry.

Zamykano drzwi samolotu i stewardesa poleciła pasażerom pozapinać pasy i powyciągać telefony komórkowe.

- Kim zatem jesteś? - spytał Perkins.

- Nie jestem pewna.

Stewardesa zbliżała się, przechodząc między fotelami. Marx udawała, że wyłącza aparat, a kiedy kobieta ją minęła, z powrotem przyłożyła go do ucha.

- Gdzie jesteś? - spytał Perkins. - Brzmi, jakbyś była w samolocie. Gdzie ty się do diabła wybierasz?

- Jestem w odpowiednim miejscu - odparła. - W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej.

Nie pytaj.

- Nie jedź. Chcę się z tobą zobaczyć. Chcę z tobą być. Jestem jedyną osobą, która wie, jak się naprawdę nazywasz.

- Nie rób z siebie sentymentalnego palanta - powiedziała, a w odpowiedzi usłyszała śmiech. - I powstrzymaj się od wszelkich odruchów autodestrukcyjnych. Lubię chodzić do dobrych restauracji.

- Wróc - powiedział.

Ona już jednak nie słyszała. Stewardesa zagroziła, że jeśli natychmiast nie przerwie rozmowy, odbierze jej aparat i siłą usunie ją z samolotu. Sophie wyłączyła telefon i wyjęła baterię, aby podczas lotu nie można jej było zlokalizować za pośrednictwem GPS. Następnie rozparła się w fotelu i zamknęła oczy.

Rozdział 28

ISLAMABAD

Mówi się, że najbezpieczniejszą linią lotniczą jest ta, której dopiero co przydarzył się wypadek, bowiem jej personel podejmuje odtąd dodatkowe środki ostrożności. Zgodnie z tą teorią Sophie Marx postanowiła zatrzymać się w Islamabadzie w hotelu Marriott, który przed kilkoma laty stał się celem tragicznego w skutkach zamachu bombowego przy użyciu ciężarówki, a w konsekwencji przez jakiś czas stanowił teren niedostępny dla amerykańskiego personelu dyplomatycznego. Marx uznała, że jeżeli hotel oficjalnie uznawano za niebezpieczny, w rzeczywistości był on najpewniejszym lokum w całym Pakistanie. Podróżowała pod przybranym nazwiskiem, a do tego sama z siebie nie była osobą strachliwą. Mimo to, w drodze z lotniska do miasta, w ciężkim od letniego upału powietrzu późnym popołudniem, naszła ją myśl, by zadzwonić do rodziców, z którymi nie rozmawiała już od ponad roku.

Kiedy dojechała na miejsce, było już ciemno. Na całej długości zapory bezpieczeństwa wznoszącej się przed hotelem mrugał nieprawdopodobny łańcuch niebieskich lampek choinkowych. Zaporę tworzył poziomy blok betonu, ozdobiony pseudoorientalnymi łukami i zwieńczony intensywnie czerwonym logo Marriotta. Swym wyglądem budynek głosił:

„Ameryka w Pakistanie”, co niegdyś stanowiło zaletę. Niegdyś. Po zamachu fasada hotelu została przebudowana, a podwójnej grubości ściany zachwalano obecnie jako „bomboodporne”

Marx odczuwała zmęczenie podróży i pragnęła jeszcze przez kilka godzin zachować anonimowość. Poszła popływać do mieszczącego się we wnętrzu hotelu basenu, a następnie samotnie zjadła kolację w japońskiej restauracji. Powtarzała sobie, że jest to po prostu kolejna operacja, że element ryzyka obecny jest w każdej jej podróży, a tym razem jest on tylko bardziej namacalny. Przed pójściem spać zażyła tabletkę, lecz mimo to obudziła się w środku nocy. W końcu zasnęła około czwartej nad ranem przy włączonym telewizorze.

Następnego ranka, jeszcze przed śniadaniem, wysłała wiadomość tekstową na numer komórki generała Malika, informując o swoim przybyciu. Przedstawiła się jako „znajoma pana Hoffmana”. Pół godziny później zadzwonił telefon. Generał we własnej osobie poprosił Marx, aby jeszcze tego ranka złożyła mu wizytę.

- Miła pani - oznajmił z namaszczeniem. - Polecę, by o dziesiątej odebrał panią z Marriotta samochód.

- Skąd pan wie, że mieszkam w Marriottcie?

Marx nie wyjawiała mu miejsca zakwaterowania, a podróżowała ponoć z czystymi papierami.

- Proszę wybaczyć, madame, ale to jest mój kraj. Rzeczy, których o nim nie wiem, jest naprawdę niewiele. Nie chciałbym, byśmy zaczęli naszą znajomość od niewłaściwej strony, tym bardziej, że nie zdążyliśmy się jeszcze nawet spotkać.

Marx oświadczyła, że będzie gotowa na dziesiątą. W tym momencie była już pewna, że grozi jej niebezpieczeństwo. Została zdemaskowana w ciągu paru godzin od przybycia do Pakistanu i nie dysponowała żadnym sposobem, by się zabezpieczyć. Jeżeli usiłowałaby teraz wyjechać z kraju, ISI mogłoby ją powstrzymać. Gdyby spróbowała schronić się na terenie ambasady Stanów Zjednoczonych, ISI mogłoby zablokować jej drogę. W dowolnym momencie mogła zostać aresztowana. Jej bezpieczeństwo zależało od kogoś, kogo nie знаła i komu nie miała powodów ufać.

???

Zgodnie z zapowiedzią o godzinie dziesiątej toyota land cruiser generała Malika zajęła pod budynek hotelu. Kiedy Marx wyłoniła się zza chroniącego gmach muru, kierowca wyskoczył z pojazdu i otworzył drzwi od strony pasażera. Przez wzgląd na miejscowe obyczaje Marx miała na sobie długą szatę i chustę, mimo to szofer zdawał się kojarzyć ją z wyglądu. Czyżby cały Pakistan wiedział już o jej przybyciu?

Marx chciałaby zostawić za sobą ślad z okruszków chleba, aby niczym bohaterowie baśni dla dzieci odnaleźć drogę powrotną. W chwili, gdy wsiadła do samochodu, praktycznie stała się zakładniczką generała Malika.

Podążali na południe ulicą Ataturka, kierując się w stronę siedziby ISI w dzielnicy Aabpara. Zamiast jednak skręcić w prawo na prowadzącą ku centrali szosę kaszmirską, kierowca pojechał prosto na południe, aż znaleźli się w przylegającym do śródmieścia, rozległym i pełnym roślinności parku Shakarparian. Samochód zjechał z głównej alei na wysypaną żwirem, wijącą się pośród zasadzonych drzew alejkę i dotarł do posterunku kontrolnego, gdzie wartownik gestem polecił mu przejechać. Toyota zatrzymała się u kresu drogi przy domku położonym nad brzegiem rozległego akwenu. Z posiadanych map Marx wywnioskowała, że musi to być jezioro Rawal.

W skwarze przedpołudnia panował całkowity bezruch. Tafla jeziora była gładka niczym szkło, powietrze zaś było

gęste. Na drzewach trudno było doszukać się zieleni, już prędzej można było zauważyć jasnobrązowe liście, które spieczone słońcem wyglądały jak wyjęte z piekarnika. Milczało nawet okoliczne ptactwo. Szofer zaprowadził Marx do domku i otworzył drzwi, po czym gestem zaprosił ją, by spoczęła na kanapie. Powietrze w pokoju chłodziła zamontowana w

oknie hałaśliwa aparatura klimatyzacyjna, która warkotała i łomotała w upale. Kierowca wydobyl ze spizarni schłodzony napój i postawił go przed gościem. Następnie opuścił pomieszczenie i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Na przybycie generała Marx musiała poczekać ponad godzinę. W tym czasie rozejrzała się za czymś do czytania, natrafiając tylko na jedną książkę: Almanach Obronności i Stosunków Międzynarodowych Pakistanu. Otworzyła ją na pierwszej stronie. „Pakistan to istotnie kraj na krawędzi. Zarazem jednak za wiele najpoważniejszych trudności, z którymi dzisiaj przychodzi mu się borykać, nie on ponosi odpowiedzialność”. Winna była Ameryka, winne były Indie, winien był ktoś inny. Marx odłożyła książkę.

Naszła ją myśl, by zadzwonić do Cyrila Hoffmana i powiedzieć, gdzie jest, postanowiła jednak tego nie czynić. Połączenie z całą pewnością zostałyby namierzone, zaś Hoffman i tak w żaden sposób nie mógłby jej pomóc. Prościej było jej pogodzić się ze swoją bezradnością. Z gromadzących się deszczowych chmur spadła krótka mżawka. W ów bezwietrzny dzień krople deszczu spadały pionowo do jeziora, nakrapiając powierzchnię wody malutkimi punkcikami. Deszcz skończył się równie szybko, jak zaczął, a po chwili na niebie z powrotem zajaśniało słońce. Zupełnie jakby się było w terrarium. Marx poczuła, że jej opadające na kark włosy zrobiły się wilgotne i lepkie. Zebrała je więc i upięła u góry, z końskiego ogona tworząc kok.

???

Generał Malik pojawił się tuż po południu. Towarzyszył mu adiutant z laptopem. Generał okazał się człowiekiem niezwykle uprzejmym, o nienagannie skrojonym mundurze, w którym prezentował się przystojniej, aniżeli Marx się tego spodziewała. Adiutant umieścił laptopa na stoliku w drugim końcu pomieszczenia, podłączył go do prądu i uruchomił, a następnie zniknął za drzwiami.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - zaczął generał. - Musi ono sprawiać wrażenie umyślnej zniewagi, lecz zapewniam panią, że go nie planowałem. Szczerze mówiąc, rozmawiałem akurat z Cyrilem Hoffmanem.

Marx skinęła głową, niczego jednak nie powiedziała. Przypochlebianie się zawsze było błędem, szczególnie zaś wtedy, gdy próbowała go kobieta. Należało raczej dać generałowi powiedzieć, co miał do powiedzenia. Wobec jej milczenia generał wygiął w zaciekawieniu swe grube, czarne brwi i ponownie zabrał głos.

- Tak się złożyło, że rozmawiałem z Cyrilem na pani temat. Widzi pani, nieco się niepokoję. Marx jeszcze przez chwilę podtrzymywała milczenie, musiała jednak zrozumieć, co jej rozmówca chciał powiedzieć.

- Dlaczego się pan niepokoi, generale? Oto i jestem, gotowa do pracy.

- Sądzę, że o pani obecności w Pakistanie mogą też wiedzieć inni. A dokładniej, madame, obawiam się, że wiadomość o pani przybyciu dotarła już do ugrupowania Tawhid, odpowiedzialnego za zabójstwa innych agentów amerykańskich służb wywiadowczych. Marx przyjrzała mu się. Ów lakoniczny i opanowany człowiek sływał z wprawy, z jaką potrafił kłamać, jednak w tym wypadku sądziła, że mówi prawdę.

- Skąd niby mieliby wiedzieć, że tu jestem? To pan musiałby im o tym donieść.

- W żadnym razie, madame. Dlatego właśnie zadzwoniłem do Cyrila. Widzi pani, chciałem uświadomić mu zaistniałe niebezpieczeństwo i zapewnić, że nie przyczyniłem się do wycieku informacji o pani wizycie. Nie, muszę przyznać, że ugrupowanie dowiedziało się o pani podróży z własnych źródeł. Na tym właśnie polega problem. Już panią zdemaskowali.

- Skąd może być pan pewny, że o mnie wiedzą, skoro sam im pan nie powiedział?

- Proszę, panno Marx, byśmy się nawzajem nie lekceważyli. Wiem, bo moim zadaniem jest poznawać tajemnice tych odszczepieńców. Mam pośród nich informatorów. Przechwytyują ich rozmowy. Obserwuję i nasłuchuję. I z największym żalem mówię pani, że w oparciu o tak

zgromadzone informacje jestem całkowicie pewien, że wiedzą o pani przyjeździe do Pakistanu.

- Czy jest pan w stanie nad nimi zapanować? Czy może pan nie dopuścić, by zrobili mi krzywdę?

- Achaahl - Generał klepnął się dłonią w czoło. - Tego wy, Amerykanie, nigdy nie jesteście w stanie pojąć. Wiedzieć nie oznacza panować.

Marx przez dłuższą chwilę się zastanawiała. Nie chciała sprawiać wrażenia spanikowanej czy spłoszonej. Wpatrywała się w oczy generała. Były ciemnobrązowe, a w ich samym środku dostrzegała iskierki światła. Była to twarz człowieka inteligentnego, nawet jeśli nie do końca uczciwego.

- Wierzę panu, generale - oznajmiła.

- Dziękuję.

Napięcie na jego twarzy opadło. Spróbował zdobyć się na uśmiech.

- Muszę więc pana spytać - ciągnęła dalej - skąd oni wiedzą, że tu jestem? Na czym polega mechanizm, dzięki któremu poznają nasze ruchy? Pan Hoffman powiedział mi, że ma pan pewne podejrzenia co do sposobu, w jaki namierzają naszych oficerów. Powiedział, że ma to jakiś związek z sieciami finansowymi i że mi pan pomoże. Dlatego też przyjechałam. Teraz sprawa nabrała wymiaru bardziej osobistego. Jestem zdana na pańską opiekę.

- Wzrusza mnie pani, madame. - Generał położył rękę na sercu. - Proszę usiąść ze mną do komputera, a wyjaśnię tyle, ile zdołam.

Gestem zaprosił ją do stolika po drugiej stronie bungalowu, skąd pochodziło słabe światło ekranu laptopa. Wstała i w ślad za nim przeszła przez pokój. Generał wyjął z kieszeni munduru niewielki przedmiot, którym był nośnik pamięci typu flash. Przez chwilę mocował się z pendrive'em, usiłując wetknąć go w port USB z tyłu urządzenia.

- Obawiam się, że nie jestem w tym zbyt dobry. Na tym polega kłopot w byciu generałem. Zawsze jest ktoś młodszy i sprytniejszy, który robi takie rzeczy za mnie.

W końcu udało mu się podłączyć nośnik. Usiadł przed komputerem i sięgnął po mysz, z pomocą której otworzył znajdujący się na pendrivie plik. Na ekranie pojawił się czterowierszowy arkusz kalkulacyjny Excela.

- To jest właśnie to, co chciałem, żeby pani zobaczyła - objaśnił generał. - Powie pani, że to jakiś bełkot. Proszę jednak się temu przyjrzeć, a potem będziemy mogli porozmawiać o tym, co to wszystko może znaczyć.

Odwrócił ekran komputera w jej stronę, aby mogła wyraźniej zobaczyć treść dokumentu. A zawierał on cztery ciągi liter i liczb, pogrupowane w dwie pary:

1) BANK JULIUS BAER BKJULIUS CH12 0869-6005-2654-1601-2 BAERCHZU 200
71835

BANK ALFALAH ALFHAFKA 720 34120

2) BARCLAYS BANK BARCLON GB35 BARC-4026-3433-1557-68
BARCGBZZ 317 82993 AMONATBONK ASSETJ22 297 45190.

Wręczył jej kartkę papieru zawierającą ten sam krótki strumień danych. Na tym polegał jego prezent, dla którego ściągnął ją z drugiej strony świata, pomimo wiążącego się z tym znacznego ryzyka.

Marx przyglądała się ekranowi, usiłując złamać szyfr. W końcu odwróciła się z powrotem do Pakistańczyka. Kręciła przy tym głową.

- Chciałabym, generale, pojąć, co to znaczy, jednak mam z tym problem. Wygląda mi to na numery kierunkowe banków. Jest pan w stanie je dla mnie odszyfrować?

- Być może jestem - odparł. - Bynajmniej nie dlatego, bym był w takich sprawach biegły, gdyż w żadnym wypadku tak nie jest. Mam jednak w sztabie pewnego młodego majora, który jest całkiem niezłym specem od komputerów. Widzi pani, pomagał mi w zrozumieniu czegokolwiek z tego totalnego nonsensu.

Ujęła jego dłoń i przez chwilę ją przytrzymała. Jak na kobietę w muzułmańskim kraju był to gest śmiały, lecz spontaniczny i szczerzy.

- Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie. Nie chciałabym dramatyzować, ale to kwestia życia i śmierci.

Widząc kobietę w opałach, generał skinął głową.

- A zatem powiem pani wszystko, madame. Nie byłem pewien, czy tak uczynię. Dla nas ta sprawa jest skomplikowana. Nie muszę tego zresztą tłumaczyć. Teraz jednak, gdy panią widzę i rozumiem ryzyko, jakie podjęła pani, by tu dotrzeć, jestem gotów służyć pani pomocą.

- Dziękuję. Jest pan bardzo hojny.

- W pierwszej kolejności, madame, musi pani wiedzieć, że to komputerowe urządzenie pozyskałem od kuriera bractwa Tawhid, którego pojмалиśmy na obszarze Terytoriów Plemiennych nieco ponad tydzień temu, a który planował przedostać się z nim do Afganistanu. Podczas przesłuchania człowiek ten oświadczył, że zapisane na dysku informacje pomogą jego ugrupowaniu zabić amerykańskich agentów.

- Amerykańscy agenci nie żyją - powiedziała Marc. - Ostatnia ofiara została właśnie zamordowana w Kabulu. Dowiedziałam się o tym tuż przed wyjazdem z Londynu.

Generał Malik przygryzł wargę i potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie zasmuconego, lecz służyło to tylko ukryciu jego poczucia winy. Wiedział, że taki atak nastąpi, a mimo to nie uczynił nic, by jemu zapobiec. Tak wyglądały fakty. Generał nachylił się nad stolikiem ku Amerykance.

- Przykro mi z tego powodu, lecz nie można było temu zapobiec.

Przez chwilę zachowała milczenie, czuła jednak gniew. Agent w Kabulu był jej kolegą. Miał żonę i dzieci.

- Owszem, generale, można było temu zapobiec. Mógł pan powstrzymać ludzi, którzy go zabili. Mógł też pan poinformować nas. Dziwna to przyjaźń, skoro patrzy pan, jak zabijają naszych ludzi, ale nie robi pan nic, by do tego nie dopuścić. Zasłużyliśmy sobie na lepsze traktowanie, nie sądzi pan? W obronnym geście bezwładnie rozłożył dłonie.

- Ależ naprawdę to nie jest odpowiedni moment, by rzucać oskarżenia. Sami moglibyśmy was o wiele obwiniać. Wie pani, to podchwytliwa gra. To nie partyjka krykieta na zielonym trawniczku. Być może powinienem sobie pójść. Bo jaki to ma sens? Ciągłe to samo: wy oskarżacie nas, a my was.

Odsunął krzesło i wstał, tak jakby szykował się do wyjścia.

- Generale, proszę zostać. Porozmawiajmy. Staram się być z panem szczerą. W ten sposób okazuję panu szacunek. Musimy się nawzajem zrozumieć, bo faktem jest, że potrzebujemy pańskiej pomocy.

Skinął głową, niekoniecznie wyrażając tym uległość. W dalszym ciągu stał.

- Proszę pana - powtórzyła.

- Niech będzie - rzucił, na powrót zajmując miejsce. - Nie będziemy myśleć o przeszłości, a skupimy się na przyszłości. Pozwoli pani, że wrócę do przerwanej opowieści. A zatem przechwyciliśmy tego nieszczęsnego kuriera. Miał przy sobie nośnik pamięci, który pani pokazałem, a na nim plik, który widzimy teraz na ekranie. Powiedział nam, że w drodze z tymi samymi danymi są też inni kurierzy. Z początku nie zrozumieliśmy.

- Teraz jednak rozumiecie?

- Tak. A przynajmniej mój bystry major sądzi, że zrozumiał. Tak jak pani powiedziała, są to kody banków. Przypisane im numery, jeden i dwa, odpowiadają dwóm amerykańskim agentom, których bractwo Tawhid śledziło. Spójrzmy zatem na pierwszą linijkę.

Wskazał na wiersz widoczny u góry ekranu.

1) BANK JULIUS BAER BKJULIUS CH12 0869-6005-2654-1601-2 BAERCHZU 200 71835.

A oto, co podejrzewamy: zakodowano tu numer konta, z którego dokonano płatności. Chodzi o bank Julius Baer, prywatną instytucję z Zurychu, znaną jako „BKJULIUS”. Po tym następuje liczący dwadzieścia jeden symboli kod, zaczynający się od „CH12”. Sądzymy, że jest to Międzynarodowy Numer Rachunku Bankowego odpowiadający kontu, z którego pochodzi płatność. Ponoć nazywa się to numerem IBAN. Ostatnia pozycja, zaczynająca się od „BAERCHZU”, to tak zwany kod SWIFT. Zawsze mi się wydawało, że odnosi się to do pośpiechu*. Tymczasem major powiedział mi, że to skrót od Society for Worldwide Interbank Financial Te-lemcommunication**, czyli organizacji, która zarządza owym systemem przelewów. Mam nadzieję, że w tym, co mówię, dostrzega pani choć trochę sensu.

- Jak najbardziej, generale. I niech pan pozwoli, że spróbuję odgadnąć: drugi wiersz zawiera dane konta adresata.

Wskazała na drugą linijkę na ekranie:

BANK ALFALAH ALFHAFKA 720 34120

- Bardzo pani sprytna, madame. Tym rachunkiem posługiwał się wasz agent w Kabulu, aby otrzymać środki dla dżentelmena, którego zamierzał, co tu dużo mówić, przeku-
* pić. Nie zawiera wyróżnika IBAN, ponieważ Afganistan nie należy do systemu IBAN. Posiada jednak adres typu SWIFT, w którym „AF” i „KA” oznaczają odpowiednio Afganistan i Kabul.

- A co z numerem dwa? Domyślam się, że zasada jest ta sama - konto wysyłające i konto odbierające.

Przesunęła palcem po dwóch kolejnych wierszach:

2) BARCLAYS BAN BARCLON GB35 BARC-4026-3433-1557-68 BARCGBZZ 317
82993 AMONATBONK ASSETJ22 297 45190.

Spojrzała na koniec ciągu, aby znaleźć kod SWIFT banku docelowego. Wyróżnikiem kraju były litery „TJ”. Stęknęła i potrząsnęła głową. Musiały one oznaczać Tadżykistan. Były to więc dane rachunku bankowego w Duszanbe, na który przelewano fundusze dla obecnie martwej już Meredith Rockwell.

Marx zamknęła laptopa. Upiornej poświaty monitora miała już serdecznie dość.

- Znałam adresatkę - oświadczyła. - Ta wiadomość stała się dla niej wyrokiem śmierci.

- Owszem. Przykro mi to mówić. Ci odszczepieńcy są niezwykle cwani. Widzi pani, najpierw zdobywają numery kierunkowe, następnie zaś werbują zatrudnionych w bankach zwyczajnych, muzułmańskich chłopców. Tym sposobem dowiadują się, kto tymi kontami zarządza. Kiedy przychodzi płatność, wiedzą, że niebawem przyjedzie ten, kto jej dokonał. Znają też nazwisko, którym ten ktoś się posługuje. A moim zdaniem jest jeszcze coś.

- Co takiego, panie generale?

- Być może numery kart kredytowych, rezerwacje lotnicze, schematy i podpisy. Któż to wie?

Wszystko, co można znaleźć w komputerze. Wszystko, co mogłoby nam się wydawać poufne. Dzięki temu, madame, wiedzą, że pani tu jest. Zaczynają od paru skrawków informacji, a potem je ze sobą łączą. Zwracają uwagę na osobę, która kupuje bilet z Londynu do Islamabadu przy użyciu tego samego numeru telefonu czy procedury przelewu, co ktoś już obecny na ich liście. Po prostu śledzą schematy. Jak każdy dobry pomysł, w istocie jest to bardzo proste. Trzeba tylko być wystarczająco sprytnym, by na to wpaść.

Złapała się za głowę. Usiłowała złożyć tę układankę kawałek po kawałku, a teraz wreszcie udało jej się ujrzeć całość obrazka: był to system, który skonstruowano niczym lustrzane odbicie.

- Mój Boże. Jakie to oczywiste - zauważyła. Pakistański generał przyjrzał się jej uważnie, oczekując

jakiegoś wyjaśnienia dla niespodziewanego wybuchu.

- Czyń drugiemu - wymamrotała.

- Pani wybaczy, madame?

- U nas zwie się to Złotą Zasadą: Czyń drugiemu tak, jakbyś chciał, by on czynił tobie. No to teraz oni czynią nam.

Spojrzał na nią niemo, jak gdyby były to sprawy dla prostego Pakistańczyka zbyt skomplikowane.

- Proszę mi wybaczyć, panno Marx, lecz nie pojmuję waszych złotych zasad i łamigłówek. Jeżeli chce pani, bym wam pomógł, będzie pani musiała dokładniej mi to wyjaśnić.

- Jestem przekonana, że pojmuję pan to doskonale, panie generale. Zapewne zrozumiał pan to już dawno temu. I to nie żadna łamigłówka, a po prostu rzetelna robota. Skonstruowaliśmy system do łapania terrorystów. Obserwowaliśmy ich transakcje bankowe, przelewy, rozmowy telefoniczne,

zakupy przy pomocy kart kredytowych. Śledziliśmy ich wszelkie posunięcia. Następnie przy pomocy programów komputerowych doszukiwaliśmy się powiązań i schematów, które pozwoliłyby nam zidentyfikować cele. A potem je eliminowaliśmy. Niekiedy pan nam w tym pomagał. Generał zakasłał.

- A teraz to oni stosują tę samą metodę przeciwko nam. Bo tak się właśnie dzieje, nieprawdaż?

Generał wygładził kant swej kurtki mundurowej. Konieczność odpowiedzi na tak bezpośrednie pytanie sprawiła, że poczuł się nieswojo.

- Sądzę, że być może jest pani na właściwym tropie, madame. Moim zdaniem bardzo trafnie to pani ujęła. Wzięli podręcznik waszych zagrywek i sporządzili jego kopię, a raczej wywrócili na lewą stronę. Tak, wydaje mi się, że tym razem trafiła pani w dziesiątkę. Pogrywał z nią, a jej się to wcale nie podobało. Ponownie sięgnęła po jego dłoń, lecz generał cofnął ręce ze stołu i złożył je, splatając razem palce.

- Kto jest tak przebiegły, panie generale? Kto zorganizował cały ten system? Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie?

Wpatrywał się w nią, początkowo pustym wzrokiem, co sprawiło, że jego twarz wyglądała jak maska. Po chwili jednak nieco złagodniał, kąciki jego ust uniosły się, a spojrzenie rozluźniło.

- Proszę mi powiedzieć - naciskała. - Za dużo ludzi już zginęło.

- To bardzo drażliwa kwestia. Niełatwo mi o niej mówić.

- Ale musi mi pan pomóc. Pan Hoffman powiedział, że w panu jedyna nadzieja.

Rzykowałam życie, by móc się z panem zobaczyć, generale. Błagam pana.

Ponownie wyciągnęła dłoń. Brakowało tylko, by się rozplakała.

Generał westchnął i uśmiechnął się. Być może od samego początku planował jej powiedzieć, zachował się jednak tak, jakby był to z jego strony rycerski gest wobec niewiasty w opałach.

- Ach, panno Marx, jakbym mógł też pani odmówić? Wobec mężczyzn bezwzględność to nic trudnego, tymczasem czarująca kobieta rozmiękczy każde serce.

Nie podobało jej się to całe przedstawienie, lecz w oczywisty sposób generał łechtł nim swoją próżność.

- Dżentelmen z pana - zauważyła. Na twarzy Pakistańczyka pojawił się wyraz dostojnej satysfakcji.

- Oto, co mogę pani powiedzieć: jest pewien człowiek, którego już od jakiegoś czasu staramy się pochwycić. Jak mogła się pani tego domyślić, ma on wiele imion. Zazwyczaj ludzie mówią o nim „profesor” bądź „ustad”, co oznacza człowieka uczonego. Sądzymy, że to właśnie on rozwikłał owe techniczne łamigłówki. Nie wiemy jednak, kim on jest. Bardzo dobrze zaciera po sobie ślady. Być może już jest nam znany, ale tego nie widzimy. Być może jest znany nawet i wam.

- Gdzie jest ten profesor? Jak możemy go odnaleźć? Generał powoli pokręcił głową.

- Widzi pani, na tym właśnie polega trudność. To duch. Niech mi pani wierzy, ze wszystkich sił staraliśmy się go odszukać. Zapewniam panią, przez ostatnich parę lat wezwaliśmy do

siebie bardzo wielu profesorów. Wszystko to jednak na próżno. Dysponuje siecią współpracowników - część z nich znamy, część nie. Ale nawet oni nie poznali jego tożsamości. Dostrzegamy tylko, gdzie już był, a nie - gdzie jest.

Marx dopiła swoją szklankę wody. Chciała zaufać generałowi, lecz trudno było uwierzyć, że ISI, pomimo swej imponującej sieci kontaktów, nie był w stanie zlokalizować owego człowieka.

- Czy ten profesor to przywódca Al-Tawhid? Wydali oświadczenie, w którym przyznają się do operacji, których realizację on umożliwił, przyjmuję zatem, że jest ich emirem.

- Nie, nie. Podejrzewamy, że współpracuje z Al-Tawhid i korzysta z pomocy ich ludzi, lecz nie jest w rzeczywistości członkiem bractwa. Nie wydaje mi się, by naprawdę odpowiadała mu zapatrywania fundamentalistów. To nowoczesny człowiek, wszak zna się na tylu rzeczach. Oni są dla niego zbyt prymitywni.

- W takim razie dlaczego miałby to robić? Skoro nie jest dżihadystą, po co miałby tak ciężko pracować nad zabijaniem oficerów amerykańskiego wywiadu?

- Ach, madame, mógłbym to pani powiedzieć. Nie jestem jednak pewien, czy chciałaby pani wysłuchać mej odpowiedzi. Może to panią wytrącić z równowagi.

- Oczywiście, że chcę poznać odpowiedź. Niech pan nie będzie śmieszny i mi powie.

- Być może, madame, jest to kwestia zemsty. Widzi pani, tak wielu ludzi zginęło już w tych wojnach. To zniewaga, którą odczuwa cały nasz naród. Możliwe, że profesor znał kogoś spośród zabitych, trudno mi powiedzieć. Podejrzewam jednak, że dla niego to kwestia osobistego honoru. Dopiero co sama to pani rzekła: czyń drugiemu.

Marx milczała. W istocie nie miała nic do powiedzenia. Generał wyszedł, by odszukać adiutanta i polecić, by zaparzył herbatę.

Rozdział 29

ISLAMABAD

Sophie Marx otworzyła drzwi domku na lepki skwar popołudnia. W środku czuła się klaustrofobicznie, postanowiła więc udać się na przechadzkę. Panujący u szczytu dnia bezruch został już zmacony i na powierzchni jeziora gęsto było od owadów. Co chwilę na wodzie pojawiały się nowe kręgi - to jakaś ryba wyskakiwała spod wody w pogoni za pożywieniem. Prowadzącą wokół jeziora ścieżkę starannie obsadzono czerwono-różowo-żółtymi krzewami róż, których płatki bezwładnie zwisały w wilgotnym powietrzu lata. Trawnik składał się głównie z gołej ziemi, którą gdzieniegdzie porastały wyblakłe od słońca kępki trawy.

Pograżona w myślach, Marx spacerowym krokiem oddaliła się od budynku, aż usłyszała przed sobą ostry okrzyk „Ru-kiye!” co w urdu oznacza „stop”. Pakistański żołnierz wymachiwał w jej stronę bronią automatyczną. Za jego plecami wznosił się siatkowany płot. Marx podniosła dłoń w przeproszającym geście, odwróciła się i skierowała z powrotem ku bungalowowi. Oto poznała granice swojej wolności: pięćdziesiąt metrów.

Kiedy wróciła, generał Malik już na nią czekał. Zaproponował jej filiżankę gorącej herbaty, dopiero co zaparzonej przez jego adiutanta, a następnie kazał jej usiąść na kanapie, samemu moszcząc się na stojącym obok rozłożystym fotelu. Mebel obity był wyblakłym zielonym aksamitem, na który ponaszywano białe serwety. Jak wszystko inne w pakistańskich siłach zbrojnych, wyrażał subtelną tęsknotę za zamierchłą epoką Imperium Brytyjskiego. Generał upił nieco herbaty i zjadł jedno z podanych przez adiutanta ciasteczek. W oknie trajkotał klimatyzator.

- Nie powinna pani sama się oddalać, madame. To niebezpieczne.

Marx nie odpowiedziała. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowała się w niebezpieczeństwie, nie było jednak jasne, czy generał jest jej obrońcą, czy też więziennym strażnikiem.

Pakistańczyk sięgnął po kolejne ciasteczko i napił się herbaty. Wydawał się zadowolony, co nie było dobrym znakiem. Marx odezwała się.

- Co zrobimy, generale? Niebawem będę musiała skontaktować się z panem Hoffmanem. Co ja mu powiem? Nie możemy robić absolutnie nic.

Generał zachichotał. Jej niecierpliwość zaczynała go bawić. Postanowił, że jej pomoże, ale jeszcze nie w tej chwili.

- A co mielibyśmy zrobić? Oto jest pytanie. Wy, Amerykanie, zawsze chcecie coś robić. Taka już wasza natura. Ale to, co robicie, często tylko pogarsza sytuację, podczas gdy powstrzymanie się od działania dałoby co najmniej efekt neutralny. Moim zdaniem na tym polega wasz problem.

- Być może, ale ja i tak muszę coś zrobić. Jestem w niebezpieczeństwie. Sam pan tak powiedział. Muszę podjąć działanie, ale nie wiem, w jakim kierunku się zwrócić.

- Zaiste jest pani odważna, madame. Muszę to przyznać. Cyril Hoffman wybrał sobie odpowiednią wysłanniczkę. Ja zaś pragnę być pomocny, naprawdę.

Generał sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął kartkę papieru z czerwonym obramowaniem.

- Mam dla pani coś jeszcze. Możliwe, że się przyda.

Marx wzięła od niego kartkę. Na górze strony widniały oznaczenia tajności, a sam dokument wyglądał na sporządzony po angielsku raport wywiadu. Zaczynał się od daty sprzed nieco ponad dwóch miesięcy. Poniżej znajdowały się dwa numery telefoniczne, opatrzone nazwami „Bhut 1” i „Bhut 2” oraz zapis krótkiej rozmowy:

BHUT 1: - Peryhelium. BHUT 2: - Aphelium.

BHUT 1: - Witaj. Tu twój przyjaciel z Nowego Świata. Mam nadzieję, że nie marzniesz

zbyt w tej Brukseli. BHUT 2: - Ty również witaj. Tu zawsze jest tak samo. W końcu to Belgia.

BHUT 1: - Mam nowe numery. Prześlę ci je na ten sam adres, co poprzednio.

BHUT 2: - Chcesz dane wszystkich transakcji z tych kont? BHUT 1:- Tak.

BHUT2: - To trochę potrwa. Obowiązują teraz nowe zasady. Taka już jest Europa: prywatność przede wszystkim. Muszę uważać.

BHUT 1: - Ile ci to zajmie?

BHUT 2: - Tydzień. Muszę to załatwić zwykłą ścieżką. Czy tydzień to za dużo?

BHUT 1: - Nie, wystarczy. Nim zaczniemy, chcę mieć już wszystko przygotowane.

BHUT 2: - W porządku. Mogę się tym zająć.

BHUT 1: - Dzięki, koleś. Perygeum.

BHUT2: - Apogeum.

Marx odłożyła kartkę i wzruszyła ramionami.

- Bez wątplenia, bardzo to ciekawe. Ale co to jest?

- To zapis rozmowy, którą przechwyciliśmy parę miesięcy temu.

- Kim są Bhut 1 i Bhut 2? Pierwszy z nich brzmiał, jakby był Amerykaninem, sądząc po tym „Nowym Świecie” i tytułowaniu per „koleś”.

- Bardzo przebiegła zagrywka. Chodziło o zmylenie kogokolwiek, kto mógłby ich podsłuchiwać. W rzeczywistości jednak podejrzewamy, że pan Bhut 1 to dżentelmen, którego zdążyłem już pani opisać, znany jako „profesor”. Obawiam się, że ten trop nam już uciekł. Nigdy dwa razy nie korzysta z tego samego telefonu. Lecz ważniejszą osobą z pani punktu widzenia jest w tym momencie Bhut 2.

- A kimże miałyby być ów Bhut 2? Na podstawie zapisu wnoszę, że przebywa w Brukseli.

- Sądźmy, że to obywatel belgijski, niejaki Joseph Sabah. Pracuje w strukturach Stowarzyszenia na Rzecz Światowej Międzybankowej Telekomunikacji Finansowej, znanego również jako SWIFT i stanowiącego, jak to sobie pani przypomina, dość istotny element planu działania waszych adwersarzy. Podejrzewam, że jest tym, kogo zwykło się określać mianem „kreta”.

- Czy zrobił pan już cokolwiek z tymi danymi, panie generale?

- Jak na razie nie.

Spojrzała ponownie na kartkę, tym razem z większą uwagą. Pragnęła zrozumieć każde słowo.

- Dlaczego na początku wspominają o „peryhelium” i „aphelium”, a pod koniec o „perygeum” i „apogeum”? To jakiś kod?

- Moim zdaniem to kod rozpoznawczy. To żargon naukowy. Mój sprytny major powiedział, że pojęć tych używają naukowcy badający zachowania ciał niebieskich. Pierwsza para określa odnosi się do orbit wokół słońca, druga zaś do orbit okołoziemskich. Albo może jest na odwrót. Rozmówców muszą łączyć wspólne zainteresowania naukowe, aczkolwiek jak dotąd nie udało nam się tych powiązań zidentyfikować.

- A te nadane przez was kryptonimy „bhut” - co to oznacza?

- Ach, to, madame, w urdu oznacza „ducha”. I tu jest pies pogrzebany. Mamy do czynienia z Duchem 1 i Duchem 2. Lecz być może namierzenie ich pójdzie pani lepiej niż nam.

Marx przyjrzała się wydrukowi, tak jakby mogła między wierszami doszukać się ukrytego sensu. Był to tylko skrawek informacji, kilka krótkich sekund podsłuchanej rozmowy, zarysowywał jednak kontury starannie zorganizowanej struktury siatki wywiadowczej. W jaki sposób z tak nędznych materiałów pierwotnych udało się utworzyć tak potężny organizm?

- Ten profesor, o którym pan wspominał, kimkolwiek jest, jest niezwykle przebiegły. Tysiące naszych ludzi przez niemal dziesięć lat opracowywało metodę analizowania powiązań i tropów finansowych, a ten wasz gość raz-dwa sklecił ją u siebie w piwnicy.

- To nie jest „nasz gość”, madame. Musi pani odłożyć na bok te rojenia rodem z CIA. Są całkowicie złudne.

- To kim on jest? O to właśnie pytam. Jak ktokolwiek może być aż tak sprytny?

- Ach, teraz zaiste stawia mnie pani przed łamigłówką. Jak wysokie są niebiosa? Jak głęboka jest studnia? Nie sposób nam odpowiedzieć.

- Ale musiał się tego wszystkiego gdzieś nauczyć. Ludzie sami z siebie nie potrafią robić takich rzeczy. To niemożliwe.

Muszą mieć wsparcie ze strony jakichś służb wywiadowczych.

- Jestem zmuszony zaprotestować. Jeśli zarzuca nam pani, że to my go wyszkoliliśmy, to się pani myli. Myli się pani śmiertelnie, że też - wzięwszy pod uwagę okoliczności - pozwolę sobie tak powiedzieć.

- Kto go więc wykształcił? Gdzie się nauczył, jak korzystać z takich technik? Wydawało nam się, że takie rzeczy potrafi robić jedynie CIA.

Generał pokiwał głową na boki i posłał jej rozumne, karcące i zarazem sarkastyczne spojrzenie.

- Cóż, madame, być może to właśnie jest odpowiedź. Być może jest to „odprysk działalności mistrza”.

- Ależ proszę, niech pan nie będzie śmieszny - odparowała. - Dlaczego Pakistańczycy tak lubują się w antyamerykańskich teoriach spiskowych?

Generał Malik mógł odpowiedzieć jedynie śmiechem.

- Doprawdy? - spytał. - To z pewnością efekt naszego zacofania. Tak, jestem o tym przekonany.

Marx jeszcze raz spojrzała na zapis przechwyconej rozmowy.

- Czy dysponuje pan współzrędnymi Duchem 2? - spytała.

- Oczywiście.

Kolejny raz sięgnął do kurtki munduru i wręczył Marx następną kartkę papieru. Zawierała ona imię, numer telefonu oraz brukselski adres Josepha Sabaha.

- Cóż, teraz przynajmniej wiem, dokąd mam się udać. Powiadają, że Bruksela jest o tej porze roku uroczą.

- Czy jest pani absolutnie przekonana, że to rozsądne, by tam pani jechała? Być może pan Hoffman może wysłać kogoś innego.

- Być może, ale ja jestem chciwa. Wolę, żeby cała zabawa trafiła się mnie samej. A poza tym jestem uparta. Zresztą, co mi się tam właściwie może przytrafić? W Brukseli nigdy nic się nie dzieje.

- Niech pani nie żartuje, madame. Oni wiedzą, że pani tu jest. Powiedziałem to pani na samym początku naszej rozmowy. Zeszłej nocy przechwyciliśmy ich rozmowę na temat pani przybycia na lotnisko. Wydaje się, że wciąż nie wiedzą, gdzie się pani zatrzymała, ale to tylko kwestia czasu. A jeżeli widzieli, jak pani przyjechała, dostrzegą też, kiedy pani wyjedzie.

- Nie, jeśli ich pan powstrzyma, generale. Może pan sprawić, że nie będą widzieć ani słyszeć. Może pan odwrócić ich uwagę. Pańskie służby rządzą Pakistanem. Wszyscy tak mówią.

- Chciałbym, by było to takie proste. Naprawdę, chciałbym. Ale tak nie jest. Jeśli chcesz wiedzieć, o czym mówią ci w namiocie, musisz do namiotu wprowadzić kogoś od siebie. I przyznaję bez wstydu, że tak też uczyniliśmy. Ale komplikuje to sprawy, nieprawdaż?

- Gra na dwa fronty? Tak, bez dwóch zdań. Może powinniście sobie odpuścić.

Uśmiechnął się w ów dostojny sposób, którym mówił „tak”, lecz który w istocie oznaczał „nie”

- Gram po waszej stronie, madame. Mam nadzieję, że jest to całkowicie zrozumiałe, zarówno dla pani, jak i dla pana Hoffmana. Nie uważam za rozsądne, by jechała pani do Belgii. Sądzę, że powinna pani wrócić do domu. Ale nie mi o tym decydować.

- Nie, nie panu. W tej kwestii się akurat z panem zgodzę.

- Aby panią wesprzeć, madame, a także by zademonstrować moją dobrą wolę, mam jeszcze jeden prezent. Uzyskałem go od naszej osoby „wewnątrz namiotu”, jak to pozwoliłem sobie ująć. Niestety, nie mogę go pani przekazać, gotów jednak jestem pozwolić pani rzucić na niego okiem.

Generał Malik zawołał swego adiutanta, który czekał na zewnątrz w pobliżu kuchni. Ten natychmiast wszedł, sądząc, że zostanie poproszony o doniesienie herbaty, lecz generał polecił mu przynieść z samochodu swą walizkę. W chwilę później młodzieniec powrócił ze skórzaną aktówką. Generał pokręcił kółkiem zamka szyfrowego i odemknął wieko. Wyjął ze środka pęk zebranych spinką dokumentów i wręczył je Amerykance.

- Uzyskaliśmy to z poufnego źródła. Przykro mi, nie więcej o tych dokumentach powiedzieć nie mogę. Nie mogę też pozwolić, by je pani zachowała. Radzę zacząć lekturę od nagłówka. Na szczycie pierwszej strony znajdowały się słowa „ALPHABET CAPITAL” poniżej zaś podtytuł o treści „odpowiadające konta FBS”. Dokument liczył około dziesięciu gęsto zapisanych stron.

Przewracając kartki, Marx starała się powstrzymać od okazywania emocji. Za pośrednictwem swego konta w Fede-ration des Banques Suisses spółka Alphabet Capital prowadziła interesy z bankami w Londynie, Paryżu, Mediolanie, Moskwie, Tokio, Hongkongu, Dubaju, Nowym Jorku, Los Angeles i dziesięciu innych centrów finansowych. U góry listy figurował oddział Bank of America w kalifornijskim Studio City. W spisie wymieniono też wszystkie cztery banki, o jakich wspomniano w pliku.

- Mogę sporządzić notatki? - spytała Marx.

- Nie - odparł generał. - Ale moja droga pani, tu chodzi właśnie o to, że nie ma pani potrzeby niczego notować. Wszystkie te informacje są już dla pani i pani kolegów dostępne. O ile się nie mylę, są to w istocie wasze informacje.

- Skąd pan to ma?

- Nie mogę powiedzieć. Mam jednak nadzieję, że teraz rozumie pani, dlaczego radzę pani zachować najwyższą ostrożność. Pewni bardzo groźni ludzie czytają z was niczym z otwartej książki.

Generał Malik odesłał ją do Marriotta innym samochodem - vanem mitsubishi na cywilnych numerach. Usiadła na tylnej kanapie, ściśle owijając twarz chustą. Personel szefa ISI wyszukał dla niej startujący tuż po północy samolot do Dubaju. Generał zasugerował, by nim poleciała, dodając, że bezpieczniej będzie, jeśli rezerwacji dokona któryś z jego ludzi. Marx przystała na propozycję.

Jednocześnie dyrektor zapewnił jej asystę ochroniarza, który usiadł obok kierowcy z karabinem automatycznym na kolanach. Gdy wyjeżdżali z parku Shakarparian na północ, żołnierz milczał, obserwując rozpościerający się przed nimi teren. Jego oczy poruszały się tam i z powrotem w równym, jednostajnym rytmie reflektora. Marx spytała, jak się nazywa. W odpowiedzi przedstawił się jako sierżant Asif.

- Jestem do pani usług - oświadczył. Następnie powrócił do obserwacji szosy.

- Skąd pan jest? - spytała.

- Z Chitral, proszę pani. To na północy, tam gdzie hasają pantery śnieżne.

- Tęskni pan za domem?

- Nigdy - odparował surowo.

Następnie odwrócił się w jej stronę i złagodniał.

- Zawsze - przyznał. - Moja żona jest tutaj ze mną, podobnie jak moja córka. Ale ojciec i matka zostali w górach.

Szczęśliwy człowiek, pomyślała. Ma przynajmniej dom i bliskich, którzy na niego czekają.

Kiedy dojechali do białej betonowej fasady hotelu, ochroniarz przejął inicjatywę.

- To dla pani niebezpieczne - stwierdził. Poleciał Marx poczekać w lobby, aż sam wejdzie na górę i sprawdzi pokój. Kiedy zaprotestowała, dumnie oznajmił, że należy to do jego obowiązków. Wręczyła mu kartę otwierającą pokój i usiadła na ozdobionej brokatem kanapie pośrodku marmurowego bezkresu lobby, podczas gdy sierżant Asif udał się na górę.

???

Wybuch wstrząsnął hotelem z wściekłością artyleryjskiej salwy. Bomba zassała tlen i wypluła go z ognistym rykiem. Budynek zadudnił, a następnie zatrzęsł się, zaś wiszące w lobby żyrandole gwałtownie zakołysały się na łańcuchach, dodając do słyszanych odgłosów brzęczenie szkła. Natychmiast też rozległ się alarm przypominający syrenę przeciwlotniczą, umieszczone na suficie zraszacze wystrzeliły w podłogę strugami wody, zaś przerażeni hotelowi goście rzucili się do ucieczki lub do poszukiwania schronienia. Marx ruszyła ku windzie, lecz pracownik ochrony zatrzymał ją i poprowadził do mieszczącego się w hotelowej piwnicy schronu. Spróbowała dodzwonić się do Cyrila Hoffmana, ale w betonowym bunkrze jej telefon nie zdołał złapać zasięgu.

Kiedy pozwolono jej udać się na piętro, lekarze wciąż uwijali się nad porozrywanym i zakrwawionym ciałem ochroniarza. Bomba rozbiła okna w pokoju, a także roztrzaskała instalację hydrauliczną, przez co na podłodze stała woda. Na ścianach widać było krew. Sąsiednie pokoje pozostały niemalże nietknięte. Była to robota profesjonalisty - próba zabicia wyłącznie jednej osoby.

Usta sierżanta Asifa wciąż się poruszały. Właśnie wynosili go na noszach. Przykrywający go koc zdążył już nasiąknąć

krwią. W miejscu, gdzie powinno być jedno z ramion ochroniarza, koc zapadał się w pustkę.

Ratownicy spróbowali odepchnąć Marx na bok, aby móc przejść z noszami korytarzem.

- Jadę z nim do szpitala - zawołała. - Ten człowiek był moim ochroniarzem. To mnie usiłowano zabić. On mnie osłaniał.

Pracownicy Czerwonego Półksiężycy nie mieli zielonego pojęcia, o czym Amerykanka mówi, tak bardzo jednak nalegała, że pozwolili jej się z nimi zabrać. Tymczasem w lobby zdążyła się pojawić ekipa telewizyjna z kanału Dawn TV. Reporterzy sfotografowali Amerykankę w przesiąkniętym krwią szalu, gdy pochylała się nad ciałem rannego.

Kiedy ambulans Czerwonego Półksiężycy dotarł do szpitala marynarki wojennej na Lalak Jan Road, na miejscu roilo się już od kamer telewizyjnych. Wszystkie sfilmowały Amerykankę, kiedy towarzyszyła przenoszonej ofierze, a następnie rozmawiała z żoną poszkodowanego, która przyjechała do szpitala z domu w dzielnicy 1-9, nieopodal dworca kolejowego.

Sierżant Asif zmarł z upływu krwi w godzinę po przyjeździe do szpitala. Grupa funkcjonariuszy ISI, która odszukała Marx w holu dla członków rodzin wraz z żoną sierżanta Asifa, odciągnęła ją na bok i odprowadziła do tylnego wyjścia.

???

Pośród milionów Pakistańczyków oglądających tego wieczoru ujęcia w dziennikach telewizyjnych był też profesor prowadzący badania na Państwowym Uniwersytecie Nauki i Technologii. Z początku nie zwracał większej uwagi na relację. Reporterzy opisywali zajście jako kolejny zamach terrorystyczny w wojnie trwającej w Pakistanie od dawna i spekulowali nad jego antyamerykańskim wydźwiękiem w oparciu o fakt, że doszło do niego w hotelu Marriott.

Profesor nagle zainteresował się programem, gdy kamery ukazały towarzyszącą ofierze Amerykankę. Jego informatorzy opisali agentkę CIA, która poprzedniego dnia przybyła na lotnisko. Wiedział, że cel zamachu w Marriocie zdołał ujść z życiem. Zdziwiło go jednak, iż kobieta udała się z pakistańskim sierżantem do szpitala, a następnie usiłowała pocieszyć wdowę.

Profesor poczuł się zażenowany. Sceny te nie pasowały do jego wizji zemsty. Starł się wyrzucić ze świadomości telewizyjne ujęcia, na których Amerykanka obejmowała pakistańską wdowę, jakby ta była jej siostrą, lecz obraz w dalszym ciągu w nim tkwił.

???

Marx skontaktowała się z Cyrilem Hoffmanem dwie godziny po zamachu, kiedy funkcjonariusze wreszcie zdołali skłonić ją do opuszczenia szpitala.

- Ktoś usiłował mnie zabić - oznajmiła. Lecz Hoffman już to wiedział. Pół godziny wcześniej odebrał telefon od generała Malika.

- Koniec ze zgrywaniem bohaterki - odparł. - Wyciągamy cię stamtąd i to już, zanim wrócisz w dębowej skrzynce.

Hoffman zawczasu omówił już z pakistańskim generałem metody wywiezienia Marx z kraju. Konwój ISI miał ją zabrać do wojskowego sektora portu lotniczego w Islamabadzie, gdzie miała zaczekać w chronionej strefie dla VIP-ów. Następnie w opancerzonym samochodzie dowieziono by ją tuż przed startem do samolotu lecącego do Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

- Czy w ten sposób nie zostanę zdekonspirowana?

- Nielatwo mi to mówić, Sophie, ale już do tego doszło.

- Mam to, po co przyjechałam - oznajmiła. - Zawsze coś.

- Mówiąc w skrócie? - spytał Hoffman.

- Mamy przerąbane. Szczegóły prześlę ci w depeszy. Powiedziałeś już mojemu szefowi?

- Tak. Uznałem, że to konieczność. Nie był zachwycony. Uraczył mnie dosyć ostrymi słowami na okoliczność twojej samowolnej wycieczki. Coś mi się zdaje, że użył przy tym wyrażenia „zdrada”.

Nagle cały gniew, jaki Marx odczuwała względem Gertza, wyrwał się spod kontroli.

Rozejrzała się wokoło. Nikt nie wydawał się podsłuchiwać, zresztą nie miało to znaczenia.

- Czyżby? To niech się pierdoli. Racz mu to przekazać. Hoffman wybuchł radosnym, przenikliwym śmiechem.

- Już, spokojnie. Głowa do góry, moja droga. Ładuj się do tego samolotu i nie rozmawiaj z nieznajomymi. Podczas lotu obejrzyj sobie jakiś fajny film, napij się coli. I - na Boga - uważaj na siebie.

???

W oczekiwaniu na samolot na lotnisku w Islamabadzie Marx sporządziła wiadomość dla Hoffmana. Podpisała ją fikcyjnym nazwiskiem i wysłała zaszyfrowanym e-mailem pod jego fikcyjny adres.

Adresat: Marcus Crabtree Nadawca: Doris Finn Oto złe nowiny:

1. Sieć Hit Paradę została zdemaskowana przez Wrogą Sieć (WS), która publicznie używała nazwy Ikwana Al-Tawhid, lecz w rzeczywistości podlega specjalście od komputerów znanemu jako „profesor”.
2. Operacje pieniężne Hit Paradę są śledzone przez WS, po części poprzez namierzanie numerów SWIFT i IBAN WS ma w centrali SWIFT kogoś, kto umożliwia im analizowanie owych operacji.
3. WS dostała się do rejestrów kart kredytowych oraz rezerwacji podróży Hit Paradę, stosując eksplorację danych, a także zapewne źródła osobowe o niezidentyfikowanej tożsamości.
4. Fakt wykorzystywania przez Hit Paradę spółki Alphabet Capital do koordynowania przepływów pieniężnych został odkryty przez WS, być może jeszcze przed uprowadzeniem Howarda Egana.
5. Tożsamość domniemanego agenta WS w sieci SWIFT: JOSEPH SABAH, obywatel belgijski: zamieszkały: Avenue George Bergmann 127, dzielnica Watermael, Bruksela; telefon komórkowy: 32-400-SSS-268.
6. Prośba o wsparcie operacyjne po przybyciu do Brukseli. Sugeruję podjęcie natychmiastowych działań odnośnie p. 5.

Oto dobre nowiny: 1. Brak takowych. Finn

Zajawszy miejsce w kabinie samolotu, Marx uczyniła jeszcze jedną rzecz. Zadzwoiła do Londynu do Thomasa Perkinsa. Na początku nie odbierał. Zamiast zostawić wiadomość, zadzwoniła jeszcze dwa razy. Przy trzeciej próbie odebrał.

- To ja - rzuciła.

- Gdzie jesteś?

- Nie mogę powiedzieć. Wracam do domu. Sprawy przybrały całkiem niewłaściwy obrót.

- Nie brzmi to dobrze. Mam po ciebie przylecieć? Podesłać gulfstreama albo coś w tym stylu?

- Nie, nic mi nie jest. Dzwonię, żeby cię przed czymś przestrzec. Alphabet ma kłopoty.

Musisz wysłać swoich pracowników na parę dni do domu. Grozi im niebezpieczeństwo. W tej chwili nie mogę ci tego wyjaśnić.

- Teraz, słonko, jest już ciut za późno. Kłopoty już się zaczęły.

Zamarła. Na chwilę w jej umyśle pojawiła się wizja sali transakcyjnej w Mayfair, którą rozrywa na strzępy bomba samobójcy.

- Co masz na myśli? Powiedz, że nie stało się nic strasznego.

- Z tego, co się orientuję, to stało się coś zdecydowanie strasznego. Dzisiaj rano złożyli nam wizytę panowie z Biura ds. Wielkich Oszustw. Zabezpieczyli siedzibę spółki: akta, komputery, wszystko. Musieliśmy wstrzymać transakcje. Wysłałem pracowników do domu i powiedziałem, żeby jutro nie przychodzili.

- To dobrze - stwierdziła.

- Nie, to katastrofa. I nie pojmuję, dlaczego tak się dzieje. O tym właśnie mówiłaś? To sprawa twoich znajomych?

Zamykano już drzwi samolotu. Stewardesa w typowo nachalny sposób poleciła jej wyłączyć telefon.

- Nie wiem - odparła. - Po prostu jedź do domu i nie wychodź.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - powtórzyła.

Stewardesa wezwała bagażowego, który teraz groził nieposłusznej pasażerce palcem. Marx pożegnała się i samolot ruszył ze stanowiska.

Rozdział 70

BRUKSELA, BELGIA

Kiedy samolot z Dubaju wylądował na lotnisku w Brukseli, na Sophie Marx czekało dwóch funkcjonariuszy bezpieczeństwa z ambasady Stanów Zjednoczonych. Wypatrzyli ją, gdy przeszła kontrolę celną i bez słowa obstawili z obu stron. Ucieszyła się na ich widok, chociaż ich obecność raczej rzucała się w oczy. Obaj cechowali się wyglądem napakowanych goryli: mieli wielkie, silne ramiona oraz torsy rozmiarów lodówki. Kierowca czekał w opancerzonym mercedesie na podjeździe pod halą przylotów. Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, ochroniarze przedstawili się jako Ted i Luis - przynajmniej takich używali akurat pseudonimów. Obaj byli pracownikami brukselskiej placówki; jak wyjaśnili, zespół z Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych czekał na miejscu zbiórki.

- Jak minął lot? - spytał Ted. Zarówno bagażowi, jak i ochroniarze, zwykle zaczynali rozmowę z podróżnym od tego samego pytania. Marx odparła, że lot był całkiem przyjemny.

- Słyszałem, że jacyś goście usiłują cię dopaść - zagadnął Luis.

- Na to wygląda. Ale nie możesz mieć pewności, dopóki bomba nie wybuchnie.

- A jeśli bombę porządnie zrobiono, to i wtedy niczego się nie dowiesz - zauważył Ted. - Po prostu nagle urywa ci się film.

Marx zamknęła oczy. Od wielu dni nie miała okazji się wyspać, więc teraz, gdy mercedes toczył się w kierunku miasta, zapadła w drzemkę. Miło było wiedzieć, że ci wielcy Amerykanie czuwają nad jej bezpieczeństwem.

Punkt zbiórki stanowił apartament w hotelu rezydencjonalnym Citadines przy Avenue Louise w centrum Brukseli. Był wczesny ranek i miasto dopiero budziło się do życia.

Chodniki zaczynały się wypełniać szarymi funkcjonariuszami służby cywilnej, którzy spieszyli do swych biur w Komisji Europejskiej. Gdy tylko Marx wysiadła z limuzyny, rachityczna żebraczka popchnęła w jej kierunku swe dziecko i poprosiła o pieniądze. Marx wrzuciła jej do kubka kilka pakistańskich rupii, czyli wszystko, co miała w tym momencie w kieszeniach, a kobieta w odpowiedzi zwymyślała ją w jakimś dziwnym dialekcie.

W apartamencie zdążyli się już ulokować trzej zwaliscy członkowie amerykańskiego zespołu paramilitarnego, którzy teraz przyglądali się planom miasta. Mieli na sobie odzież cywilną, lecz bez cienia wątpliwości dowodził nimi mężczyzna zgięty nad mapą niczym ludzka sprężyna. Zebrani zwracali się do niego „major Kirby”.

- Twarda z pani babka - zauważył major, uściskawszy dłoń Marx.

- Raczej mam po prostu dużo szczęścia - odparła.

- Nawet lepiej. Miejmy nadzieję, że to zaraźliwe. Wskazał na plan miasta rozłożony na stoliku do kawy.

- Mieliśmy jakieś dwanaście godzin, żeby nad tym popracować, czyli tak naprawdę tyle, co nic. Ale mój szef porozmawiał z twoim szefem, kimkolwiek on jest, i z tego, co wiem, nie pozostaje nam nic innego, jak natychmiast ruszać do działania. I zrobić to jednostronnie, bez wtajemniczenia

Belgów, co nigdy nie jest dobrym pomysłem, ale co tam, nie?

- Cokolwiek pan powie, majorze. Ja już nawet nie jestem pewna kto jest moim szefem, ale wydaje mi się, że chodzi o człowieka o nazwisku Hoffman.

Kirby wzruszył ramionami. Był spięty i zniecierpliwiony. Chciał już przejść do rzeczy.

- Proszę posłuchać - odezwał się. - Jesteśmy tu, ponieważ Agencja nie może już się mieszać w porwania, przesłuchania i tak dalej, natomiast w wojsku możemy robić, co nam się żywnie podoba, o ile tylko podciągniemy to pod „ochronę własnych sił”, „zwiad taktyczny” bądź też „przygotowanie pola walki” aby prawnicy mogli oświadczyć, że jest to zgodne z prawem. Ale w gruncie rzeczy pracujemy dla was, zgadza się?

- Dla mnie bomba. Podciągajcie to pod co chcecie.

- Powiedzieli nam tylko, że macie jakiś naglący problem w kwestii bezpieczeństwa, którego mojemu szefowi ponoć nie wyjaśnili. Co oznacza, że sprawa jest cholernie poważna, skoro nie mogli nam nawet wyjawić o co chodzi, racja?

- Tak, majorze, przysięgam, że sprawa jest cholernie poważna. Czworo naszych ludzi już zginęło, a zginą i kolejni, o ile szybko nie opanujemy sytuacji. Jaki jest wasz plan?

- Cel został zidentyfikowany jako Joseph Sabah. Zgadza się? Ze względów bezpieczeństwa od tej chwili będziemy o nim mówić „Harry”, dobrze?

Marx skinęła głową.

Major Kirby wskazał na prawy dolny sektor planu Brukseli, przedstawiający obszary na południowy wschód od centrum miasta. Nazwy miejsc wymawiał bardzo starannie, nie chcąc niczego przekreślić.

- Harry mieszka tutaj, na Avenue... George... Bergmann. Jego mieszkanie znajduje się kilka przecznic od dużego parku Bois... de... la... Cambre. Przeczytałem to poprawnie?

- Powiedzmy - stwierdziła Marx. - Za Belga nikt by pana nie wziął.

- Dziękuję - odparł major. - No dobrze. Harry ma psa, małego i jazgodiwego. Dokładniej co to jest, sierżancie?

- Pudel miniatuurka, panie majorze.

- Właśnie. A więc każdego wieczora, gdy Harry wraca do domu ze swego biura w tej całej centrali SWIFT, położonej na południe od miasta, w... niech no spojrzę... La... Hul-pe, wyprowadza pieska na spacer, żeby mógł się on załatwić w tymże... Bois... de... la... Cambre.

- Może pan po prostu nazywać to parkiem, majorze, i tak zrozumiemy - wtrąciła Marx.

- Tak jest. Zeszłej nocy Harry również zabrał pieska na spacer, tymczasem pewien nasz znajomy zdobył dostęp do kamer bezpieczeństwa w parku. Przez ostatni tydzień facet wyprowadzał psa co noc, za każdym razem trzymając się właściwie tej samej trasy. A zatem, panowie i droga pani, pozwolimy sobie przyjąć, że chodzi do tego parku każdej nocy i że gdy dziś wieczorem wróci do domu, zabierze pudła na spacer po zwyczajowej ścieżce.

- A my będziemy czekać w parku? - spytała Marx.

- Nie do końca my, proszę pani, jeżeli miała pani na myśli również siebie. „My” owszem, będziemy tam, ale oznacza to mnie, moich dwóch kamratów z Operacji Specjalnych, a także Teda i Luisa z lokalnej rezydentury. Pani natomiast będzie przebywać w kryjówce, w której - zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem - później przesłuchamy tego pajaca.

- No dobrze, ale ja przynoszę szczęście. Sam pan tak zresztą powiedział.

- Więc będziemy sobie musieli jakoś poradzić. Czas zakończyć odprawę. Pani może sobie odpocząć. Na końcu korytarza jest sypialnia.

Major spojrział na pozostałych czterech mężczyzn.

- Dobra, bracia. De oppresso liber.

- Po co to pan powiedział? - wtrąciła Marx.

- To motto oddziałów specjalnych. W wolnym tłumaczeniu „uciśnionych wyzwalać”.

- Ach - odparła Marx. - To ładne.

Z rogu pokoju odezwał się czyjś głos. Należał do jednego z dwóch pozostałych żołnierzy, którzy do tej pory milczeli.

- K-N-S-A-T-O-D! - szybko wyskandował.

- A to co do diabła znaczy? - zapytała Mara.

- To z kolei nieoficjalne motto innej formacji, proszę pani. „Kto nie służy w amunicji, ten ostatnia dupa”.

- Panowie, proszę was - zaapelowała. - Wydorościejcie.

???

W południe opancerzony mercedes powrócił pod hotel Citadines, skąd przewiózł Mara do domu na zielonym przedmieściu na południe od Brukseli, w kierunku na Waterloo. Na miejscu był już pracownik lokalnej rezydentury przygotowujący pomieszczenie, w którym

miano przeprowadzić przesłuchanie. Zamknął okiennicę i zaciągnął zasłony, teraz zaś przesuwał meble, starając się upodobnić pokój do babcinego salonu. Samo sformułowanie „przesłuchanie” zdawało się go razić. Polecono mu przywieźć jedzenie dla „podejrzanego” oraz dla przesłuchujących, jak również parę puszek psiej karmy.

Mara udała się na piętro, by zadzwonić do Hoffmana, ten jednak nie odbierał. Ponownie zatelefonowała do Perkinsa,

a kiedy i on nie odebrał, zrezygnowała. Miała świadomość, że powinna odezwać się do Gertza, nie wiedziała jednak, co by miała mu powiedzieć, a gdyby polecił jej wracać do domu, odmówiłaby. Uznała więc, że najlepszą opcją, jaka jej pozostawała, było jeszcze trochę się zdrzemnąć.

???

O szóstej dziesiątej zespół obserwacyjny w centrali SWIFT przy Avenue Adele w La Hulpe, na południe od belgijskiej stolicy, poinformował ekipę zebraną w Citadines, że dostrzeżono, jak „Harry” wychodzi z biura.

- Przedstawienie czas zacząć - rzucił major Kirby. Dwóch z pięciu członków zespołu wyszło już wcześniej, lecz teraz również pozostała trójka podniosła się i udała na stację metra przy Avenue Louise. Nieśli sportowe torby z logo Adidasa i Nikea, zawierające ich uzbrojenie: trzy półautomatyczne pistolety Heckler & Koch Mk 23 z tłumikiem, stanowiące ulubioną broń żołnierzy sił specjalnych.

Cała trójka pojechała metrem do stacji Schumana, włączając się w tłum powracających do domu podróżnych. Następnie przesiadli się do brukselskiego pociągu naziemnego, który zabrał ich do węzła w Watermael. Opuścili stację, skierowali się na zachód i po kilkuset metrach weszli do parku, gdzie zajęli pozycje na uprzednio ustalonych stanowiskach obserwacyjnych.

Park wznosił się głębokim, zielonym łukiem w południowy sektor miasta. Stanowił mniejszą wersję paryskiego Lasku Bulońskiego - miał więc łąki i zagajniki, a piaszczyste ścieżki okalały podłużny staw umiejscowiony w jego środku.

Tymczasem Joseph Sabah jechał swym szarym peugeotem na północ, w stronę domu. Zaparkował wóz w garażu apartamentowca, wszedł do mieszkania, przebrał się z garnituru w niebieskie jeansy i pogłaskał swojego psa Emilea, który, gdy tylko jego pan wrócił do domu, zaczął biegać w kółko po salonie. Teraz pies stał w kuchni tuż obok zawieszanej smyczy, oczekując na wyjście na spacer.

Sabah przypiął smycz do obroży Emilea i zszedł po schodach na ulicę. Na zewnątrz wciąż było widno, a letnie niebo wyglądało jak podświetlone żarówką o słabej mocy. Pies nie mógł już dłużej czekać i walnął klocka zaledwie o przecznicę od domu. Sabah zebrał kupę do plastikowej torebki i ruszył w kierunku parku. Drugą torebkę miał schowaną na później.

Szli wzdłuż Avenue George Bergmann, a pies po drodze obwąchiwał się z mijanymi czworonogami. Następnie weszli do parku od Avenue de l'Oree. Pies znał trasę na pamięć. Wyrwał z Sabahem na południe, w stronę stawu po ich lewej stronie, przystając na parę sekund za każdym razem, gdy napotykał nieznaną zapach. Sabah bezskutecznie pociągał go za smycz.

Major Kirby siedział na ławce przy Avenue de Flores, tuż przy wejściu do parku. Dostrzegł „Harrygo” i przez ukryty w mankiecie mikrofon dał znać kolegom, którzy rozmieszczeni byli w innych punktach obserwacyjnych. Wciąż było jasno, a po parku spacerowali ludzie, toteż trudno im było ukryć swe ruchy. Porywanie ludzi po ciemku było zdecydowanie łatwiejsze.

Członkowie zespołu powoli schodzili się w stronę Saba-ha, dwóch od przodu, trzech kolejnych od tyłu. Jakże wolno się teraz poruszał, co chwilę przystając przy psie! Plan zakładał uprowadzenie go, kiedy będzie już wracał do domu, kiedy zrobi się ciemniej, nadal

jednak panował łagodny półmrok letniego wieczoru. Drzewa zdawały się osłaniać miejsce, w którym byli. Odgłosy miasta milkły pośród zieleni. Dało się słyszeć trele ptaków, śpiewających przed udaniem się na nocny spoczynek.

Sabah przemierzał teraz rozległy, zupełnie odsłonięty trawnik, który wiódł go ku północnemu brzegowi stawu. Pies ponownie sobie ulżył. Był już zmęczony i gotów wracać do domu.

Sabah wyciągnął drugą torebkę i skrupulatnie pozbierał odchody. Pies szarpał się na smyczy, ciągnąc pana w kierunku mieszkania. Ścieli trawnik po łuku i skierowali się ku zadrzewionej ścieżce, która przez Avenue Victoria prowadziła do wyjścia z parku.

- Teraz - rzucił do ukrytego mikrofonu Kirby. - Podchodzić.

Dwaj członkowie ekipy weszli na zadrzewioną ścieżkę i przemierzili siedemdziesiąt metrów, które dzieliły ich od jej końca, po czym się zatrzymali. Duktem wciąż spacerowało kilka osób. Kirby miał nadzieję, że o tej porze będzie tu już pusto, jednak jego ludzie musieli dostosować się do okoliczności.

Wymachując trzymanymi w dłoni plastikowymi torebkami, Sabah wszedł pod liściasty baldachim. Kirby i pozostali członkowie zespołu ruszyli za nim. Obstawiali go teraz z obydwu stron, dotrzymując kroku. Sabah spojrział na nich, początkowo obojętnie, potem jednak, gdy się z nim zrównali, z rosnącym zaniepokojeniem. Znajdowali się w samym środku zalesionej części parku. Kirby rozejrzał się dookoła. Dostrzegł jedynie dwójkę Belgów, którzy zmęczeni spacerem odpoczywali na ławeczkach. Lepsza okazja mogła się nie nadarzyć.

- Jazda - rzucił. Dwaj mężczyźni po bokach Sabaha w dalszym ciągu kroczyli obok niego, tymczasem dwójka w końcu alejki szybkim krokiem ruszyła w ich stronę. Sabah zaczął z niepokojem rozglądać się na boki i patrzeć przed siebie, a pies zaczął nerwowo szczekać. Jeden ze zbliżających się od przodu ludzi Kirby ego potrącił! Sabaha, dźgnął go przy tym igłą. Sabah krzyknął, szczekanie przeszło w skowyt, lecz już po chwili ciało ofiary zwiotczało, a dwaj asekurujący go mężczyźni prędko go wyprostowali, opierając jego ramiona na własnych barkach i wetknęli mu w usta szmatę, by zapobiec kolejnym wrzaskom. Jeden z Belgów przez chwilę patrzył się na zajście z przejęciem. Ekipa ruszyła jednak dalej, jak gdyby pomagała kumpłowi w powrocie do domu. Dzięki kolejnemu zastrzykowi ustało również skomlenie psa, a jeden z członków grupy wziął go na rękę.

Kirby wezwał kierowcę, który czekał w pobliżu parku, i polecił mu odebrać ich z Avenue Victoria w miejscu, w którym dochodziła ona do alei Roosevelta. Jego van miał na sobie oznakowanie belgijskiego Czerwonego Krzyża.

Kiedy kierowca, ubrany w żółty kombinezon pracownika pogotowia, dotarł na miejsce, z zagajnika wyłoniło się dwóch mężczyzn dźwigających między sobą bezwładne ciało, a także trzeci, który niośł na rękach małe, kudłate zwierzę. Drzwi vana otworzyły się i ekipa błyskawicznie zajęła miejsca. Kilku przechodniów przystanęło, by popatrzeć, jak to czynią zaciekawieni ludzie, gdy widzą coś niecodziennego, nikt jednak nie próbował interweniować. Samochód natychmiast odjechał. Pięćdziesiąt metrów dalej inny pojazd odebrał dwóch pozostałych członków zespołu i po chwili wszyscy ruszyli na południe, kierując się szosą N5 w stronę Waterloo.

Rozdział 71

UfITERLOO. BELGIA

Jak na nieprzyjemne przedsięwzięcie, do którego celów miał posłużyć, lokal wyglądał bardzo przyjaźnie. Dom znajdował się na spokojnej ulicy nieopodal podmiejskiego pola golfowego. Otoczony był parkanem z kutego żelaza, przylegał do niego miękki i sprężysty trawnik, zaś ceglana fasadę budynku porastał bluszcz. Zazwyczaj pracownicy brukselskiej rezydentury trzymali tam lokatora, nie chcąc, by miejsce wyglądało zbyt pusto i podejrzenie, chwilowo jednak podnajemca został wyeksmitowany, aby szacowna flamandzka willa posłużyła za tajną

kryjówkę, gdzie w dyskretny sposób można będzie zorganizować pewne nieoficjalne i zdecydowanie nielegalne wydarzenie.

Ludzie Kirby'ego wsadzili pojmanemu na głowę worek, zarówno dla ochrony własnej tożsamości, jak i po to, by go nastraszyć. Dzięki podaniu antidotum, które zneutralizowało działanie środka uspokajającego, jeniec jeszcze w drodze odzyskał przytomność. W pierwszej kolejności zapytał o psa i wielce się uradował, gdy kędzierzawy pudełek został złożony na jego kolanach, aczkolwiek mały Emile wciąż pozostawał nieprzytomny. Porwany zadał jeszcze parę nerwowych pytań - gdzie się znajduje, kim są ci, którzy go uprowadzili, co takiego zrobił - lecz major Kirby otrzymał rozkaz, by nie prowadzić rozmowy, więc ostatecznie Sabah dał za wygraną.

Fałszywy ambulans wjechał na podjazd willi około godziny dwudziestej. Drzwi garażu podniosły się, aby wpuścić przybyłych. Zakapturzony mężczyzna został ostrożnie wyjęty z pojazdu i wepchnięty do salonu, gdzie w miejsce kaptura założono mu przepaskę na oczy, a do tego zaoferowano jedzenie i picie.

Przesłuchujący, który przedstawił się jako Sam, siedział naprzeciwko Sabaha. Przyleciał tego dnia z dużej placówki CIA w Paryżu. Sophie Marx siedziała na następnym krześle, opierając na kolanach notatnik.

Sam włączył magnetofon. Przemawiał głębokim i nie-znoszącym sprzeciwu głosem. Mówił dobrą francuszczyzną, aczkolwiek z wyczuwalnym amerykańskim akcentem.

- Nous sommes prêts a commencer, Monsieur Sabah. Si vous cooperez et vous nous donnez des informations correctes, ce sera un processus tres simple, et vous serriez libre. Mais si vous résistez ou mentez, vous serriez en grand difficulté, je vous assure. Vous vous merderiez!*

Zamilkł, by podkreślić wagę wypowiedzianych słów, tymczasem na twarzy Sabaha pojawił się uśmiech.

- Jesteście Amerykanami! - zawołał jeniec po angielsku. - A zatem już się tak nie boję. Sądziłem, że możecie być z Al--Kaidy.

Pomimo opaski widać było, że uśmiech Sabaha jeszcze się poszerzył. Sprawiał wrażenie, jakby fakt, że został porwany przez Amerykanów, sprawiał mu autentyczną radość.

* Jesteśmy gotowi zacząć, panie Sabah. Jeśli będzie pan współpracował i poda nam właściwe informacje, wszystko pójdzie bardzo łatwo i będzie pan wolny. Lecz jeżeli będzie pan stawiał opór bądź kłamat, zapewniam, że czekają pana wielkie kłopoty. Wpakuje się pan po uszy. Przesłuchujący spojrzał na Sophie Marx. Wzruszyła ramionami - również nie miała pojęcia, co to może znaczyć.

- My nie jesteśmy nikim - oznajmił przesłuchujący, przechodząc na angielski. - Pytanie brzmi: kim jest pan?

- Nazywam się Joseph Sabah. Pracuję dla systemu SWIFT w centrum przetwarzania danych. Ale wy to, rzecz jasna, wiecie. Wszak jestem waszym człowiekiem.

Marx uniosła otwarte dłonie w geście mówiącym „nic z tego nie rozumiem”.

- Mamy do pana kilka pytań, panie Sabah - ciągnął dalej przesłuchujący. - Jest pan gotów teraz z nami porozmawiać?

- Tak, oczywiście. Czemu nie? Czy mogę zdjąć tę opaskę? Przesłuchujący spoliczkował Sabaha, niemalże zrzucając

go przy tym z krzesła. Miejsce uderzenia momentalnie zaczerwieniło się od napływu krwi.

- Żadnych pytań, panie Sabah, pan tylko odpowiada. Czy to jasne?

- Tak, w porządku, przepraszam.

Przesłuchiwany pociągał nosem, starając się powstrzymać łzy.

- Od jak dawna pracuje pan dla systemu SWIFT?

- Już jedenaście lat. Nie, przepraszam, dwanaście.

- Czy przez ten czas ktokolwiek spoza systemu SWIFT kiedykolwiek prosił pana o pomoc w dostaniu się do danych dotyczących przelewów?

- Tak, oczywiście. Dwukrotnie.

Przesłuchujący znowu zerknął na Marx. Ponownie wzruszyła ramionami, a następnie zakreśliła palcem w powietrzu, jakby chciała powiedzieć „kontynuujemy”.

- Za pierwszym razem było to, nie pamiętam, w parę lat po jedenastym wrześniu, być może w 2005 roku. W systemie

SWIFT była nas cała grupa. Działaliśmy oficjalnie - potajemnie, lecz szefostwo zgodziło się pomóc w wyśledzeniu przepływów finansowych Al-Kaidy. Ale wy to przecież wiecie. Sam spojrzął na Marx, oczekując wskazówek. Gestem poleciła mu, by wyszli z pokoju. Podczas, gdy się naradzali, Sabah siedział bez słowa w przepasce. Po minucie wrócili do salonu.

- Wiemy o Programie Inwigilacji Terrorystów - powiedział prowadzący przesłuchanie. - Zorganizował go Departament Skarbu. Pisano o tym w gazetach. Ale program został wstrzymany. To o niego panu chodziło?

- Tak, wtedy po raz pierwszy poproszono mnie o pomoc przy dostępie do przelewów. Dla mnie nie był to żaden problem, bowiem cała sprawa miała zupełnie oficjalny charakter. Sam zresztą nie odgrywałem przy tym większej roli. Potrzebowali kogoś mówiącego po arabsku. Miałem certyfikat bezpieczeństwa wydany przez SWIFT, więc się nadawałem.

Pośredniczyłem w paru przelewach, więc dopuszczono mnie do programu.

Marx podniosła dwa palce. Sam skinął głową.

- A ten drugi raz? Kiedy się to zaczęło?

- Jakiś rok temu. Nie pamiętam dokładnej daty, ale mogę ją dla was odszukać.

- Proszę mi powiedzieć, jak do tego doszło.

- W porządku, ale wy i tak wiecie. Jeden z waszych ludzi się ze mną skontaktował. Na imię miał George. Powiedział, że wy, Amerykanie, wznawiacie program, ale że tym razem wszystko ma się odbywać w ścisłej tajemnicy. Nie miałem prawa rozmawiać o tym z nikim w strukturach SWIFT. Powiedział, że będzie mi przekazywał numery kont i prosił o wyśledzenie wszelkich przelewów, które będą przez nie robione. I tyle. Przez ubiegły rok zrobiłem to dwadzieścia czy trzydzieści razy, może nieco więcej.

- Skąd pan wiedział, że to Amerykanin?

- Sam mi powiedział. Miał amerykańskie imię. Dzwonił z amerykańskiego telefonu komórkowego, początek siedemset trzy, wydaje mi się, że z Wirginii. I wiedział o pierwotnym programie. Oznajmił, że poprzednio pełnił rolę doradcy. Znał nazwiska i procedury. Stąd nabrałem pewności, że musi mówić prawdę.

- Spotkał się pan z nim?

- Tylko raz, na początku. Potem rozmawialiśmy przez telefon bądź wymienialiśmy e-maile. Przesłuchujący potrząsnął głową.

- Pierdolony kłamca z pana - rzucił.

Wyglądało, jakby Sam zamierzał ponownie uderzyć jeńca, lecz Marx podniosła ramię, by go powstrzymać i gestem poleciła, by wyszli na kolejną naradę.

Tym razem trwało to nieco dłużej. Kiedy przesłuchujący wrócił, jego głos brzmiał już łagodniej.

- Przykro mi z powodu tego, co wcześniej powiedziałem, panie Sabah. Nie było potrzeby, bym pana obrażał. Przepraszam pana.

- Dziękuję. Ja nie jestem waszym wrogiem. Proszę mnie nie traktować, jakbym nim był.

- Powróćmy do człowieka, z którym kontaktował się pan za drugim razem. Gdzie się pan z nim spotkał?

- W hotelu w Brukseli. Wydaje mi się, że w Conradzie. Na pewno było to na Avenue Louise.

- Jak ten człowiek wyglądał?

- Zbyt dobrze go nie widziałem. W pokoju panował mrok, a on miał na sobie okulary przeciwsłoneczne. Wiem, że ludzie tacy jak wy używają ich, by się maskować. Rozumiem. Na imię miał George, a nazwisko miał bardzo amerykańskie, coś jak George Washington albo coś podobnego. Wypadło mi z głowy. Uznałem, że nie są to jego prawdziwe personalia.

- Czy ten „George”, z którym spotkał się pan w hotelu, mówił z jakimś akcentem?

- Owszem, z lekkim. Mógł pochodzić z Wielkiej Brytanii bądź też z Indii. Nie wiem. Każdy skądś pochodzi. Tak też sobie pomyślałem.

- Czy jest możliwe, że był z Pakistanu?

- Sądzę, że tak. Ja sam jestem z Libanu, ale nie uważam się za Libańczyka. Twierdzę, że jestem Belgiem. On twierdził, że jest Amerykaninem. I wiedział o rzeczach, o jakich mógłby wiedzieć jedynie Amerykanin pracujący przy pierwotnym tajnym projekcie.

- Czy jest pan muzułmaninem, panie Sabah?

- Pas de tout*. Jestem maronitą. Moja rodzina walczyła przeciwko muzułmanom w Libanie. Nienawidzimy muzułmanów. Między innymi o tym rozmawiałem z tym Amerykaninem, kiedy spotkaliśmy się w hotelu. Oznajmił, że sam również nienawidzi muzułmanów i wszystkich potwornych czynów, których się dopuszczali. Żartował sobie z zamachowców-samobójców. To kolejna rzecz, która nas zbliżyła. Kojarzył moją rodzinę i wioskę w dystrykcie El Metn, z której pochodziliśmy. Wiedział to wszystko i dla mnie był to kolejny dowód, że musiała go przysłać CIA.

- Skąd później dzwonił do pana George?

- Z różnych miejsc. Z Paryża, z Londynu, z Amsterdamu. Wiele podróżował. Oprócz amerykańskiej komórki miał też szwajcarską. Inny numer. Interesował się technologiami, * W żadnym razie.

jeździł na konferencje. Między innymi z tego powodu obdarzyłem go zaufaniem. Przy pierwszym spotkaniu porozmawialiśmy sobie na tematy naukowe.

W miarę, jak Sabah opowiadał, Marx w szaleńczym tempie robiła notatki na kartce zeszytu. Wyrwała arkusz i podała go Samowi. Prowadzący przesłuchanie przeczytał kartkę i spojrzał pytająco na Mara, chcąc się upewnić, czy rzeczywiście chce, by zadał wypisane pytania, lecz ona energicznie przytaknęła.

- Kim jest Peryhelium, panie Sabah? Pojmany otworzył usta ze zdziwienia.

- To pseudonim człowieka, o którym rozmawiamy, proszę pana, tego Georgea. Posługiwał się nim, gdy do mnie dzwonił, abym wiedział, że to on.

- A kim jest Aphelium?

- To mój pseudonim, to ja. Ale to, rzecz jasna, wiecie. Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Czemu zasłaniacie mi oczy i zadajecie mi te wszystkie pytania, skoro chodzi tutaj o waszą operację?

???

Mara gestem wskazała przesłuchującemu, by jeszcze raz wyszli razem z pokoju. Tym razem narada trwała prawie pół godziny, po czym Mara zadzwoniła do Waszyngtonu do Hoffmana, aby zyskać zgodę na to, co planowała zrobić. Hoffman musiał się z kimś skonsultować, po czym nastąpiła kolejna długa rozmowa telefoniczna. Następnie z miejscowej placówki CIA ściągnięto oficera sekcji wsparcia, który sporządził dla Mara i dla Sama proste przebrania, składające się z peruk, okularów i makijażu.

Oczekującemu tymczasem Sabahowi podesłano więcej jedzenia i picia. Kiedy wrócili do salonu, Sam zdjął opaskę zasłaniającą oczy uprowadzonego. Sabah oparł głowę o dłonie.

W pierwszej chwili nie chciał na nich spojrzeć, jak gdyby było to zakazane.

Tym razem to Marx przemówiła pierwsza.

- Chciałabym pana przeprosić, panie Sabah. Byłam tu wcześniej podczas przesłuchania, ale pan nie mógł mnie zobaczyć. Przepraszamy za niedogodności, jakich panu przysporzyliśmy.

Były pewne kwestie, których nie mogliśmy zrozumieć, lecz teraz stały się one jasne. Proszę przyjąć z naszej strony wyrazy ubolewania z powodu wszelkiego doznanego bólu czy nieprzyjemności.

- Ja również pana przepraszam - powiedział najbardziej skruszonym głosem, na jaki tylko mógł się zdobyć. - Szczerze żałuję mojego zachowania. Nie powinienem był pana bić.

- Teraz potrzebujemy pańskiej pomocy, panie Sabah - ciągnęła dalej Marx. - Wiem, że po tym, przez co pana przeciagnęliśmy, prosimy o wiele, lecz mam nadzieję, że będzie pan skłonny z nami współpracować. Chcielibyśmy również zaproponować finansową rekompensatę za uczynioną panu krzywdę, o ile jest pan gotów pójść na ugodę. Ale to możemy omówić później.

Od chwili zdjęcia przepaski Sabah pocierał oczy, wyglądał jak kret, który wynurzył się ze swej nory i przyzwyczajają się do światła. Teraz spojrzął ostrożnie na obecnych, zwłaszcza zaś na Marx. Nie zdawał sobie sprawy, iż podczas wcześniejszego przesłuchania w pomieszczeniu obecna była kobieta.

- Przepraszam, ale kim wy jesteście? - spytał Sabah.

- Jestem oficerem amerykańskiego wywiadu, podobnie jak mój kolega. Nazywam się Edith Halsey, a to jest pan Samuel Potter. Może pan zadzwonić do ambasady Stanów Zjednoczonych i poprosić do telefonu lokalnego oficera do spraw bezpieczeństwa. On za nas poświadczy.

Wręczyła mu kartkę ze swymi nowymi personaliami oraz z numerem telefonu do ambasady. Wsadził ją do kieszeni jeansów.

- Czego ode mnie chcecie? - spytał Sabah. - Jestem całkowicie zdezorientowany.

- Jeżeli to jakieś pocieszenie, my również byliśmy zdezorientowani. Sądzę jednak, że teraz już lepiej rozumiemy sytuację. Człowiek, który się z panem skontaktował, przedstawił się jako George i nadał sobie pseudonim Peryhelium, nie jest bynajmniej Amerykaninem. Sądzymy, że to pakistański muzułmanin, a zarazem ktoś bardzo niebezpieczny.

- To niemożliwe. Powiedział, że jest Amerykaninem. Mówił o wcześniejszej współpracy. Nienawidził dżihadystów i pracował przeciwko nim.

- To przykład tak zwanej „falszywej bandery” panie Sabah. Ktoś z jednego kraju udaje, że jest z innego, aby nakłonić kogoś do współpracy. Izraelczycy udają Amerykanów. Amerykanie udają Kanadyjczyków. To jeden z elementów tej gry.

- Nie podoba mi się. To okłamywanie.

- Przykro mi, panie Sabah, ale ta gra polega właśnie na okłamywaniu.

Pochodzący z Libanu Belg pokręcił głową. To było zbyt wiele jak na jeden wieczór.

- Jeśli George nie byłby jednym z was, to skąd mógłby znać szczegóły waszych operacji?

- Nie wiemy. To jeden z powodów, dla których potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Nie jestem pewien. Muszę się zastanowić. Po tym wszystkim...

Wskazał gestem na pokój, odnosząc się tym samym do wydarzeń ostatnich kilku godzin.

Panie Sabah, nie mamy czasu, by mógł się pan zastanawiać. Ten człowiek odpowiada za śmierć kilku dzielnych Amerykanów, a jeśli go nie znajdziemy, zabije kolejnych ludzi. Nfie możemy czekać. Sabah kręcił głową.

~ Nie wiem. Cest trop*. Dla mnie również to wszystko jest niebezpieczne.

~ Coś panu pokażę - powiedziała Marx. Wyrwała z notesu kartkę i podała mu ją. Była to kopia zestawienia czterech numerów rachunków bankowych, które Malik przekazał jej w Islamabadzie.

Sabah przyjrzał się kartce. Dobrze znał zapisany na niej kod. Zwrócił listę Marx.

~ Wiem, co to jest. Zdobyłem te informacje na prośbę George'a To jego najświeższe zlecenie. Czy to jakaś pułapka?

-Nie, to nie pułapka. Wiemy, że pan mu pomagał, chcemy Jednak wierzyć, że czynił to pan przez pomyłkę. Pokażę panu coś jeszcze.

Podala Sabahowi kolejną kartkę. Był to pozbawiony dopisków ISI zapis rozmowy między nim a Georgeem. Sabah Przyglądał się mu przez dłuższą chwilę, po czym ukrył twarz w foniach.

- Haram - wymamrotał, używając arabskiego terminu, którym w Libanie zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie określają czyny karygodne.

Marx odezwała się teraz ostrzejszym tonem.

— Mam nadzieję, że teraz pan rozumie, dlaczego tak ważne jest, by nam pan pomógł, panie Sabah. Te dokumenty łączy Pana z człowiekiem, który jest terrorystą. Jeżeli nie bę-

* To za wiele.

dzie pan z nami współpracował, będziemy zmuszeni przyjąć, że działa pan przeciw nam.

Jestem przekonana, że nie byłby pan z takiego obrotu spraw zadowolony.

Sabah westchnął. Wiedział, że mają go w garści, był nawet w gorszej sytuacji, niż kiedy miał jeszcze na głowie kaptur.

- A zatem nie mam wyboru - skonstatował.

- Nie. Tak właściwie to nie. Ma pan do wyboru tylko jedną poprawną odpowiedź.

- Zrobię, co będę mógł - oświadczył posepnie. - Czego chcecie?

- Chcemy, by pomógł nam pan go schwytać.

- To znaczy, że on jest myszą, a ja mam być serem w pułapce?

- Tak, o to właśnie chodzi - przyznała Marx. - Ale ten człowiek to nie mysz. To raczej coś między szczurem a wężem. Ma motyw i pragnie zabijać, a pan jest w tym momencie naszą jedyną szansą. Mam nadzieję, że ze świadomością swojego znaczenia czuje się pan lepiej.

- Nie, nie czuję się lepiej - odparł Sabah. - I nie poczuję się lepiej, dopóki wszyscy nie dacie mi świętego spokoju.

Zarządzono przerwę. Wszyscy byli już zmęczeni. Korespondencja i terminarz Sabaha znajdowały się w jego laptopie w mieszkaniu. Musieli zabezpieczyć komputer, a wraz z nim każdy fragment informacji telefonicznych i e-mailowych na temat człowieka, który przedstawiał się jako George. Sophie Marx miała udać się z Sabahem do jego domu, aby skopiować potrzebne pliki.

Teraz jednak pudel Emile zaczął nieznośnie ujadać w przedpokoju, więc Sabah poszedł sprawdzić co się stało.

Rozdział 72

STUDIO CITY, KALIFORNIA

W wypadku niebezpieczeństwa Jeff Gertz kierował się regułą dwóch kroków. Pochodziła ona jeszcze z czasów, gdy pracował dla Centrum Antyterrorystycznego i jeździł do Iraku oraz Afganistanu. Po pierwsze, zawsze należało mieć plan na wypadek, gdyby stało się coś złego. Po drugie, w sytuacji zagrożenia zawsze trzeba było jak najszybciej przejść do działania.

Kiedy nadlatuje pocisk moździerzowy, nie czekaj, aż inni rzucają się w stronę schronu, ani też nie zwlekaj z otwarciem ognia w stronę nieprzyjacielskiego posterunku, bo wtedy będzie już za późno. Zawsze miej plan i wykonuj pierwszy ruch. W obecnej sytuacji zagrożenie nie miało postaci szrapnela czy pocisku, lecz mimo to było śmiertelne. Gertz- wyznawał jeszcze jedną zasadę, stanowiącą podstawowe założenie każdego racjonalnego człowieka: najpierw ratuj się sam, a potem dopiero martw się o innych.

Tego ranka, gdy Cyril Hoffman zadzwonił i poinformował, że ktoś w Islamabadzie usiłował zabić Sophie Marx, Gertz pojął, że konstrukcja, którą zbudował, rozpada się jak domek z kart. Nie wiedział jak ani dlaczego Sophie Marx została namierzona, ani nawet co robiła w Pakistanie, ale stało się jasne, że każda komórka jego sieci narażona była na atak. I nie chodziło tu o niebezpieczeństwo fizyczne - Gertz był wystarczająco sprytny, by utrzymać się przy życiu. Jego problem był bardziej prozaiczny: musiał uprzątnąć powstały bałagan, nim przerodzi się on w otwarty skandal, który doprowadziłby do jego politycznego i prawnego upadku.

Przeklinał Sophie Marx za jej nielojalność, a przede wszystkim za fakt, że okazała się bardziej przebiegła i uparta aniżeli początkowo podejrzewał. Nie mógł sobie teraz jednak pozwolić na luksus rozważania osobistych animozji.

Gertz zadzwonił do Białego Domu do Teda Yazdiego. Pod numerem telefonu STU-5 nikt nie odbierał, więc wysłał wiadomość na jego aparat blackberry, z którego otrzymał szybką i ostentacyjną odpowiedź: W Gabinetce Owalnym. Nie mogę gadać. Gertz odpisał: Mamy kłopoty. Jak najszybciej spotkajmy się w Waszyngtonie, to wyjaśnię. Po pięciu minutach szef administracji Białego Domu odpowiedział: Spotkajmy się o dziesiątej wieczorem w Bethesda, tam gdzie poprzednio. Nie rób nic głupiego.

Gertz zadzwonił na lotnisko w Burbank i zapowiedział załodze gulfstreama, że za godzinę wybiera się do Waszyngtonu. Następnie polecił sekretarce wysłać depezę do wszystkich osób w systemie i poinformować, że za dwadzieścia minut odbędzie się nadzwyczajne zebranie załogi. Personel przebywający za granicą miał w nim uczestniczyć przez bezpieczne łącze wideokonferencyjne.

Zostało akurat wystarczająco dużo czasu, by oddzwonić do siedzącego w Langley Hoffmana. Kiedy wcześniej rozmawiali na temat Sophie Marx, Gertz był oburzony i wściekły, teraz jednak, gdy zdołał nieco przetrwać otrzymane wieści, zachował zimną krew.

- Zwijamy interes - oznajmił Hoffmanowi. - Likwidacja sklepu, wyprzedajemy jak leci.

Zajmie to jakiś tydzień. Potem - cześć pieśni, Jinita la commedia, jak byście to określili w swoim klubie miłośników opery.

- Czy to aby nie zbyt ni pośpiech, Jeffrey? Jeszcze nie wiemy, jak poważne ponieśliśmy straty.

- Owszem, wiemy. Wiemy, że istnieje przeciek. Wiemy, że statek idzie na dno. Nim zatonię, może minąć tydzień, miesiąc lub nawet rok, ale już wiemy, jak to się wszystko skończy. Ty i twoja słodka panienka możecie robić co chcecie, ale ja się z tego wypisuję.

- A co o twoich planach rozbiórkowych myślą twoi kumple z Białego Domu? Wydawali się całym przedsięwzięciem dość podekscytowani.

- Jeszcze o nich nie wiedzą. Spotykam się z nimi dziś wieczorem. Ale wyrażą zgodę, kiedy tylko przedstawię im możliwe alternatywy. Więcej, oni mnie za to pokochają.

- Wszyscy cię kochają, Jeff. I to od zawsze. Tyle, że nigdy nie mamy pewności, co akurat robisz.

Gertz puścił docinek mimo uszu. Nie miał czasu na słowne potyczki z Hoffmanem. Za dziesięć minut zaczynało się zebranie załogi.

- Oto czego chcę od Centrali: po pierwsze, zachowania ciszy. Ta organizacja nigdy nie istniała. Nie istnieje i teraz, co ułatwi jej nieistnienie w przyszłości. Rozumiemy się w tej kwestii? Żadnych oświadczeń, żadnych briefingów, żadnych sprawozdań. Cisza absolutna.

- Będziemy cicho jak trusie. A co po drugie?

- Być może przyda mi się pomoc przy przemieszczeniach, odprawach i tak dalej. Mamy w naszych szeregach przyzwoitych ludzi i chcę, by się o nich zatroszczono. W innym wypadku będą gadać.

- Drogi chłopcze, wydawało mi się, że wszystko to już jakoś pozłatwiałeś. Nie mieliście przypadkiem być samowystarczalni?

- Nikt nie jest doskonały. A poza tym wygląda na to, że mój mechanizm finansowania działalności nie jest tak szczelny, jak mi się wydawało. Wdało się zanieczyszczenie. Według tego, co mówią mi prawnicy, może nawet chodzić o jakiś przekręt. Kilka dni temu podesłałem temat brytyjskiemu Biuru ds. Wielkich Oszustw. Ich ludzie wprost uwielbiają dorywać bogatych Amerykanów, którzy wyrolo-wali system.

- Doprawdy? - Hoffman roześmiał się serdecznie. - Czyli rzeczywiście to już sytuacja *saive quipeut*, tak?

- Tak brzmi motto rodu Gertzów, panie Hoffman. Wraz z „nie daj się złapać”.

- Nieprzyjemny z pana człowiek - odparł Hoffman.

- I co z tego? - spytał Gertz.

- Przy wszystkich tych autodestrukcyjnych manewrach mam dla ciebie jedną radę: nie pozostaw żadnych śladów. Mają one ten paskudny nawyk, że mogą się człowiekowi czy raczej, w tym wypadku, tobie, odbić czkawką.

- Nic nie pozostawię. A skoro już o tym mówimy, gdzie przebywa moja wierna pracowniczka Sophie Marx? Domyślam się, że obecnie pracuje dla Centrali. Co takiego porabia?

- O to właśnie chodzi. Szuka pozostawionych śladów. Mądra z niej dziewczyna, a przy tym odważna.

- Niczego nie znajdzie. Ale jeżeli zdoła odkryć, jak do tego wszystkiego doszło, to jej się to tylko oplaci.

- Nadzwyczaj hojny jesteś, staruszk. O ile się nie mylę, całkiem nieźle jej idzie.

- Bardzo miło się rozmawia, panie Hoffman, ale muszę lecieć. Mam zebranie personelu, a potem lot do Waszyngtonu. Ucałuj ode mnie dyrektora w pośladek, co? To w końcu twoja specjalność.

- Nader nieprzyjemny z pana człowiek - powiedział z emfazą Hoffman i odłożył słuchawkę. ???

Podwójne drzwi sali konferencyjnej na trzecim piętrze otwarte były na oścież, lecz pracownicy wchodzili gęsiego, jak gdyby była to kolejka do lotniskowej kontroli bezpieczeństwa. W większości milczeli. Wyglądali na zmęczonych i podenerwowanych. Wielu z nich przez ostatni tydzień nocowało w domach przyjaciół i krewnych, a zamiast własnymi samochodami, do pracy dojeżdżało autobusami bądź autami pożyczonymi od sąsiadów. Większość zaprzestała używania kart kredytowych. Krążyły pogłoski, że niepewne jest wszystko, co pozostawia elektroniczny ślad, nawet jeśli jest to dokument wystawiony na fikcyjną tożsamość, więc ludzie starali się jakoś zabezpieczyć. Niektórzy nawet powysyłali dzieci do krewnych.

Mówiąc wprost, wszystkich ogarnął strach. Ich szef, od którego oczekiwali, że wszystko im wyjaśni, wybył w niezapowiedzianą podróż, a kiedy nawet był u siebie, sprawiał wrażenie zniecierpliwionego i rozkojarzonego. Jego pracownikom nie zależało na fałszywych zapewnieniach o bezpieczeństwie, po prostu pragnęli wiedzieć, co się dzieje.

Kiedy Gertz przybył, pomieszczenie było prawie pełne. Zakręcił w powietrzu palcem, dając znać technikowi, by włączył kamerę obsługującą wideokonferencję. W drodze ku mównicy pomachał znajomym i współpracownikom, a z kilkoma wymienił uściski dłoni. Wszyscy zachowywali się nerwowo, przeczuwając jakieś nowe nieszczęście, jednak szef się uśmiechał, więc większość odwzajemniła uśmiech. Tego ranka Gertz dotarł do biura w krawacie, lecz przed rozpoczęciem zebrania zdecydował się go zdjąć. W koszuli z rozpiętym kołnierzykiem wyglądał, jeżeli nawet nie na

zupełnie zrelaksowanego, to przynajmniej na mniej spiętego niż w ostatnich dniach.

Kiedy doszedł do mównicy, stuknął raz w mikrofon, aby się upewnić, że jest on włączony, po czym zaczął przemawiać.

- Panie i panowie, chciałbym wam przekazać dobre wieści - zaczął. W pomieszczeniu dało się słyszeć poruszenie. Ci ze zgromadzonych, którzy Gertza znali najlepiej, powstrzymali się przed jakąkolwiek reakcją - świadomi, że po prostu rzucił coś tytułem wstępu.

- Pragnę ogłosić, że podejmujemy zdecydowane kroki mające na celu ochronę naszego personelu zarówno tu, jak i za granicą. Zdaję sobie sprawę, jak trudny dla wszystkich był ostatni okres i wiem, że czymś niegodziwym byłoby prosić was, byście dalej żyli w stanie niepewności. Byłoby to nieuczciwe wobec was wszystkich, zważywszy na to, jak ciężko pracowaliście.

Sala zareagowała potakiwaniem i westchnieniami ulgi. Pewnej pracującej w dziale wsparcia kobiecie wyrwało się wręcz „Amen” Lecz Gertz wciąż jedynie przygotowywał grunt.

- Pierwszeństwo należy przyznać kwestii waszego bezpieczeństwa. Do tego właśnie zmierzam. Zastanawiałem się jak je wam zapewnić, zarazem kontynuując misję Hit Parady i utrzymując regularne tempo operacyjne. Z przykrością muszę stwierdzić, że jest to niemożliwe. Jak to mi już powiedzieli na studiach wykładowcy ekonomii, nie można naraz maksymalizować dwóch zmiennych. Zmienną, na której maksymalizację się zdecydowałem, jest wasze bezpieczeństwo.

Gertz zamilkł, a ludzie zaczęli spoglądać na siebie nawzajem, starając się domyślić, co tak naprawdę chciał im przez to powiedzieć. On jednak okrężną drogą zmierzał do sedna sprawy.

- Oznacza to niestety, iż będziemy musieli zaprzestać naszej działalności i że trzeba to uczynić w pośpiechu.

Teraz rozległy się pomruki, a ktoś na końcu sali wymamrotał „nie ma mowy”.

\- Moi drodzy, nikogo nie boli to bardziej niż mnie. Ten projekt to moje dziecko i wspólnie z wami przeżywałem i trzymałem się przez cały czas jego funkcjonowania. Jednakże nasi ludzie giną, a wielu kolejnych znajduje się w niebezpieczeństwie, nie mogę też wykluczyć ryzyka, iż nasze najtajniejsze procedury i systemy zabezpieczeń zostały rozpracowane. Oznacza to zagrożenie dla nas wszystkich. W taki sposób żyć nie możemy. Mam rację? Powiedźcie mi, jeśli sądzicie inaczej.

Posłuszne owieczki z pierwszych rzędów, które od początku bezkrytycznie słuchały przemowy, raz jeszcze wyraziły swe poparcie. Oczywiście - szef miał rację. Był ich przywódcą. Miał wielkie serce.

- Poprosiłem Sophie Marx, pełniącą obowiązki szefa naszego działu kontrwywiadowczego, by stanęła na czele działań mających na celu zidentyfikowanie luki w zabezpieczeniach, która doprowadziła do śmierci waszych kolegów. Być może wykazałem się w tym miejscu nieroztropnością. Jak niektórzy z was wcześniej mnie przestrzegali, jest ona względnie młodym oficerem bez większego doświadczenia w zarządzaniu. Tak czy owak, nie sprostała postawionemu przed nią zadaniu, a w tym czasie niebezpieczeństwo grożące Hit Paradę tylko się wzmoгло. Bez zezwolenia udała się w podróż do Pakistanu, kiedy tego typu wyjazdy zostały zabronione, na miejscu stała się celem nieudanego zamachu. Winę za tak nietrafioną decyzję personalną biorę na samego siebie. Sophie Marx została zwolniona z pełnionych obowiązków, zaś jej działania staną się obiektem dokładnego dochodzenia.

Marx swym nagłym awansem wzbudziła tak potężną zawiść, że informacja o jej zwolnieniu również spotkała się z poparciem, szczególnie ze strony pracujących w biurze kobiet, po których ktoś mógłby się spodziewać odruchu solidarności względem koleżanki. W trudnych chwilach każdemu człowiekowi potrzebny jest łajdak, na którego można zrzucić winę za zły obrót spraw, a Gertz w tym momencie łajdaka takiego im podawał.

- Będziemy teraz musieli działać szybko i musimy być zdyscyplinowani. Ci z nas, którzy służyli w wojsku, dobrze wiedzą, że odwrót pod ostrzałem jest najtrudniejszym ze wszystkich manewrów. Oto więc działania, które będziemy musieli podjąć przez najbliższych kilka dni. Po pierwsze, stanowiąca naszą przykrywkę spółka Hit Parady LLP ogłosi pojutrze bankructwo. W zeszłym tygodniu poprosiłem nasz zespół prawników, by na wszelki wypadek zaczął już przygotowywać stosowne dokumenty. Teraz zostaną one złożone. Jesteśmy niewielką firmą o wybitnie prywatnym charakterze własnościowym, a zatem nie powinno to wywołać zbyt wielu reperkusji. W tym czasie musimy też ewakuować stąd całą dokumentację oraz komputery. Mój zastępca Steve Rossetti będzie koordynował tę szybką akcję we współpracy z biurem zastępcy wicedyrektora w centrali w Langley. Część z was będzie musiała zostać dziś i jutro po godzinach, aby wszystko zapakować i wrzucić na ciężarówkę. Jak już mówiłem, szczegóły przekaże Steve.

Gertz obrócił się teraz w stronę monitora i pracowników uczestniczących w zebraniu drogą wideokonferencji. Pod tym względem miał w sobie coś z aktora. Wiedział, jak oszukać

kamerę, jak nawiązać z publicznością intymną więź, która byłaby w takim stopniu namacalna, co fałszywa.

- Pozwolę sobie przemówić do naszych braci i siostr za granicą, którzy podejmowali największe nawet ryzyko bez słowa skargi czy bez popadania w panikę: chcę, byście wszyscy w ciągu tygodnia wrócili do domu. Pozamykamy wszystkie nasze zagraniczne biura tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeżeli nie zdołacie znaleźć chętnego na wasze biuro czy mieszkanie, po prostu je porzucicie. Potem sami wszystko uporządkujemy. Wszystkich was ściągniemy do kraju pod fikcyjnymi danymi. Macie zgłosić się do najbliższej ambasady bądź konsulatu i spytać o najstarszego stopniem oficera CIA. Otrzymacie nowe dokumenty oraz gotówkę.

Nie korzystajcie z wyrobionych na fałszywe nazwiska kart kredytowych, nie podejmujcie pieniędzy z posiadanych rachunków bankowych, a jeżeli do tej pory nie opuściliście dotychczasowych biur i mieszkań, zróbcie to teraz, gdy tylko zebranie dobiegnie końca. Poważnie, moi drodzy, w tym filmie nie ma miejsca na zgrywanie bohaterów. Wszystkie te działania będzie koordynować Tommy Arden z sekcji wsparcia.

Pozwólcie teraz, że wrócę do punktu wyjścia, to jest do dobrych wieści. O każdego z was zadbamy. Każdemu zainteresowanemu zaoferujemy stanowisko wewnątrz systemu. Wasza tożsamość nadal jest chroniona, a zarazem przypominam, że podpisane przez was klauzule tajności mają charakter bezwzględny, bezterminowy i podlegający egzekucji przez sądy kryminalne Stanów Zjednoczonych. Ci, którzy postanowią odejść na emeryturę, otrzymają sowite odprawy oraz wsparcie przy przeprowadzce. Dodatkowo wszyscy członkowie ekipy dostaną specjalne dodatki z tytułu „służby w niebezpiecznych warunkach”. I będą one duże, bo w pełni sobie na nie zasłużyliście. W porządku? Tommy Arden zorganizuje specjalną komórkę kadrową, która zadba o szczegóły.

Arderia, który siedział z tyłu, nikt o niczym nie uprzedził, mimo to podniósł się teraz i pomachał, aby każdy mógł go zobaczyć.

Gertz rozejrzał się po pomieszczeniu. Ludzie byli w gruncie rzeczy oszołomieni i starali się przyswoić sobie przekazane nowiny. Oto cyrk zwijał namioty i wynosił się z miasta.

- Jakież pytania? - spytał.

Nim którykolwiek ze zdezorientowanych pracowników podniósł rękę, Gertz odszedł z mównicy.

- Zróbmy to! - rzucił, unosząc w powietrze pięść. Aplauz, z początku niepewny, po chwili całkiem zagasł.

Zgromadzeni wyszli z sali w atmosferze milczenia i uległości.

???

Ted Yazdi czekał tego wieczora w domu swego znajomego w Bethesda. Domostwo znajdowało się na niezwykle wygodnym przedmieściu, wśród ukrytych za drzewami przestronnych rezydencji. Tutejsze wille oświetlał blask zewnętrznych punktów świetlnych, podkreślających filary i portyki. W świetle spowite były także drzewa, na które skierowano reflektory. Mieszkający tu ludzie w ciągu roku wydawali na wystrój ogrodu więcej, niż przeciętna rodzina na żywność i dach nad głową. Wykorzystywane przez Yazdiego lokum mieściło się na szczycie zielonego pagórka, po drugiej stronie fosy, której brzegi łączył kamienny mostek. W garażu stał hybrydowy SUV marki Lexus z naklejką na zderzaku, która głosiła: PAMIĘTAJ O DARFURZE.

Yazdi siedział w ogrodzie za domem, bawiąc się swoim aparatem blackberry i popijając dietetyczną pepsi. Była mniej więcej dziesiąta dwadzieścia, gdy na miejscu pojawił się Gertz w eskorcie jednego z agentów Secret Service pełniącego akurat służbę.

- Spóźniłeś się - rzucił Yazdi.

- Musiałem przylecieć z drugiego końca kraju. Były burze. Przepraszam.

- I co z tego? To nie mój problem. Spóźniłeś się, a sam na to spotkanie nalegałeś. Takie sytuacje mnie wkurzają. Co jest grane?

Gertz przyjrzał się ogrodowi. Noc była rześka, a w powietrzu dawało się wyczuć zapowiedź nadchodzącej jesieni. Najbliższy dom znajdował się w odległości kilkuset metrów, a okolicznego terenu strzegli agenci Secret Service. Mimo to byli na otwartej przestrzeni, czyli w miejscu niezbyt nadającym się na poufne rozmowy.

- Nie powinniśmy może wejść do środka? - spytał Gertz. - Gdzieś, gdzie będzie bezpieczniej.
- Mnie się tu podoba. O dwudziestej drugiej byłem w domu, a teraz jestem w ogrodzie. Ale mniejsza o szczegóły, przejdźmy do sedna sprawy. Jutro muszę wcześniej wstać, bo asystuję prezydentowi przy otwarciu elektrowni wiatrowej w pieprzonej Oklahomie. A więc jaki to „problem” w związku z którym musiałeś się ze mną zobaczyć? Oby to było coś ważnego.

Gertz został zepchnięty do defensywy. Czuł, że nieodpowiednio rozpoczął rozmowę. Musiał nastraszyć szefa prezydenckiej administracji wystarczająco, by ten podjął się działania, lecz nie na tyle, by spanikował i zrobił coś, co tylko pogorszyłoby sytuację.

- Uderzyliśmy w górę lodową, panie Yazdi. Nabieramy wody. Proszę o zgodę na przerwanie naszego projektu.

- Przerwać Operację Pax? Przerwać opłacanie przyjaciół i tak dalej? Ależ prezydent pokochał ten pomysł.

- Przykro mi. Wiem, jak bardzo ekscytował się pan operacjami specjalnymi. Stały się one jednak zbyt ryzykowne.

- Ryzykowne dla kogo? Bo przecież nie dla prezydenta. I o jakiej górze lodowej pan mówi? Ja tam nie widzę żadnej góry. Mnie się wydaje, że próbuje pan coś zamieść pod dywan. Lepiej dla pana będzie, jeśli wszystko mi pan wyjaśni - tym razem bez takiego pośpiechu.

- Wie pan o naszym kłopotcie w kwestii bezpieczeństwa. Już panu o nim donosiłem. Wie pan, że czworo naszych ludzi zostało zamordowanych. Dopiero co w Islamabadzie o mały włos nie straciliśmy kogoś jeszcze. Sprawy przybrały zbyt groźny obrót. Kolejni ludzie będą ginąć, a cały system rozpadnie się w drobny mak.

- A czyja to wina? Bo nie moja. Dlaczego to wszystko w ogóle zaczęło się chrzanić?

- Ktoś dobrał się do naszego notesu z adresami, panie Yazdi. Wiedzą, gdzie jesteśmy i skradają się za nami.

- Ale zdawało mi się, że już nad tym zapanowaliście. W kwestii bractwa Tawhid wydaliśmy zasugerowane przez was oświadczenie, w którym wszystkiemu zaprzeczyliśmy i podziałało, racja? Tak mi przynajmniej powiedziałeś. W czym zatem problem? Nigdy nie uważałem cię za kogoś, kogo może oblecieć strach, ale być może się myliłem.

Łagodna taktyka Gertza nie działała. Yazdi był zbyt podenerwowany. Należało spróbować innego podejścia.

- Panie Yazdi, tu nie chodzi tylko o ataki na naszych oficerów. To jedynie część problemu. O ile prędko nie zwiniemy interesu, ktoś dokopie się do tropu pieniężnego.

- Jakiego tropu pieniężnego? Wydawało mi się, że mówiłeś, że nie będzie żadnego tropu. O to właśnie chodziło. Formacja miała być samodzielna i samowystarczalna. Sam już nie wiem, ile razy mi to powtarzałeś. Czyli co, to wszystko były bzdury?

- To była najprawdziwsza prawda. Byliśmy samowystarczalni, ale teraz przyszedł czas, by zwinać działalność. Właśnie staram się to panu wytłumaczyć. Musimy zakończyć operację i ściągnąć wszystkich z powrotem do kraju. Musimy wyłączyć maszynkę do robienia pieniędzy. A w międzyczasie musimy wypracować alibi, dzięki któremu wytłumaczymy, dlaczego miliardy dolarów skakały sobie po świecie niczym pingpongowe piłeczki i dlaczego ludzie zbijali majątek na transakcjach zawieranych w oparciu o poufne informacje.

- Bez wdawania się w szczegóły. Po prostu to zakończcie. To wasza sprawa, nie moja.

- Na wszelki wypadek tylko pana informuję: nasze centrum transakcji znajduje się w Londynie. Brytyjczycy już się nim zajmą. Będzie to wyglądało na śledztwo w sprawie przekrętu. Gwarantuję, że dochodzenie nie dojdzie do pana ani do prezydenta.

- Co to do diabła ma znaczyć? My z tym nie mamy nic wspólnego. O czym ty kurwa mówisz? To twój bajzel. Taka była umowa.

Ostatnie słowa Yazdi niemal wykrzyczał. Gertz położył palec na ustach, starając się go uspokoić. Wiedział, że teraz ma go w garści.

- Panie Yazdi, prezydent wszystkie te operacje zatwierdzał. Świadczy o tym szereg upoważnień i zezwoleń. Nawet wtedy, gdy nie wydawał formalnego polecenia, do archiwów trafiały stosowne memoranda i opinie prawników. Jak pan dobrze wie, my nie działamy na własną rękę. Istotne jest, żeby dokumentacja ta nigdy, ale to nigdy nie została upu-bliczniona. Wzburzony Yazdi wstał, przeszedł kilka kroków w stronę domu, po czym zatrzymał się, analizując sytuację. Wrócił do zajmowanego przez siebie fotela w ogrodzie i pokiwał palcem przed nosem odwiedzającego go oficera wywiadu.

- Kutas z ciebie, Gertz. Nigdy, przenigdy nie próbuj grozić mi albo prezydentowi. To ci się nie uda. Skończ z tymi bredniami i powiedz mi lepiej, jak zamierzasz tę sytuację rozwiązać. Teraz, gdy jego rozmówca znalazł się w potrzasku, Gertz mógł już złagodzić ton.

- Obiecuję, że jeżeli zrobimy to jak należy, nie pozostawimy po sobie żadnych śladów, żadnych powiązań. Wszyscy będziemy czysti jak łąza. Ale w tym celu muszę mieć wolną rękę, by zakończyć temat szybko i sprawnie, i by móc zrobić to, co uznam za konieczne. Czy mam na to pańską zgodę? I nie chodzi mi tylko o chwilę obecną, ale również - jeśli się okaże, że tyle to potrwa - w perspektywie choćby i roku. Jeżeli się pan nie zgodzi, sprawa się skomplikuje, ponieważ zdążyłem już podjąć pewne działania.

Szef prezydenckiej administracji wyglądał na zmęczonego i opadłego z sił, przypominał balon, z którego zeszło powietrze i którego powierzchnia pokryła się zmarszczkami. Gertz zdołał go nastraszyć, podczas gdy to on zarabiał na życie przyprawianiem innych o niestrawność.

- Jasne - odparł Yazdi. - Co nam szkodzi? Po prostu pozbądź się tematu.

Rozdział 77

LONDYN

Thomas Perkins wszczęte dochodzenie określił mianem „polowania na czarownice”. Od pierwszej chwili, gdy rankiem funkcjonariusze Metropolitan Police pojawili się w siedzibie spółki w Mayfair z nakazami i wezwaniami, kampania prowadzona była w równym stopniu w oparciu o insynuacje i pogłoski, co o twarde dowody, które można byłoby przedstawić przed prokuraturą czy składem sędziowskim. Wydawało się, że ludzie w całej dzielnicy wiedzieli, że spółka Perkinsa jest w tarapatkach, jeszcze zanim nabrali jakichkolwiek podejrzeń co do przyczyn takiego stanu. W parę minut po tym, jak ekipa dochodzeniowa wsiadła do wind budynku przy Stratton Street, przed rozciągniętą na ulicy żółtą taśmą zgromadził się niewielki tłumek. Skąd też się oni wzięli? Kto im o tym powiedział?

Kiedy owego pierwszego dnia pracownicy Perkinsa spytali go o powód zaistniałego zamieszania, odpowiedział, że nie rozumie, co takiego wywołało najście organów ścigania. Odpowiedź ta nie była jednak do końca szczerą. Perkins miał dość solidne przecucie co do przyczyn powstałego zamętu, lecz nie mógł poruszyć tej kwestii z nikim, kto nie został już wcześniej wtajemniczony.

Tego samego ranka funkcjonariusze policji zorganizowali punkt informacyjny przy samym wejściu do budynku, jeszcze przed linią wind. Na ostatnim piętrze, gdzie mieściły się biura Alphabet Capital, śledczy zajęli jedno z pomieszczeń, aby móc stamtąd koordynować prowadzone działania. Obecni byli przedstawiciele Biura ds. Wielkich Oszustw, Urzędu Regulacji Rynków Finansowych, a jakby tego było mało, również

i pracownik Foreign Office, będący w rzeczywistości oficerem MI6. Zaletą płynącą z faktu utworzenia policyjnego kordonu było zapewnienie obecnym bezpieczeństwu, jednak pracownicy Alphabet Capital nie zdawali sobie sprawy, jak zbawienną było to w tym momencie okolicznością.

Przez pierwszy dzień Perkins zachowywał się jak oszalały. Usiłował skontaktować się z człowiekiem znanym mu jako Anthony Cronin. Zadzwoił na podaną przez Cronina komórkę, a następnie pod numer zarezerwowany wyłącznie dla sytuacji awaryjnych. Najpierw usłyszał, że wybrany numer jest już nieaktywny, telefon alarmowy dzwonił zaś i dzwonił, nikt jednak nie odbierał. Jednocześnie Perkins wysłał e-maile pod wykorzystywane przez Cronina adresy, lecz wiadomości wróciły z komunikatem, że konto adresata nie istnieje. Kiedy kilka godzin po tym, jak do firmy Perkinsa wpadła policja, z Islamabadu zadzwoniła Sophie Marx, pogłębiło to tylko jego zdezorientowanie. Następnego dnia dwukrotnie do niej oddzwaniał, za każdym razem jednak mówiła, że jest czymś zajęta i że odezwie się, kiedy tylko będzie mogła. Sprawiała wrażenie zestresowanej, on zaś nie chciał okazać się namolny, więc pierwsze dwadzieścia cztery godziny przeczekał, starając się jakoś połapać w rozwoju wypadków.

???

Drugiego dnia policyjnej obławy Perkins postanowił skontaktować się z Felixem Sternem - przedstawicielem Federacji Banków Szwajcarskich, który opiekował się jego prywatnymi kontami. Rachunki te utworzono ponad rok wcześniej jako „fundusze specjalnego przeznaczenia” na wyraźne

życzenie pana Cronina. Kierowano na nie część środków pozyskiwanych przez Alphabet Capital w wyniku transakcji opartych na „systemie”, jak to lubił mawiać Cronin, czyli na informacjach wywiadowczych stwarzających preferencyjne szanse na rynku. Zgodnie z ustaloną zasadą, dwadzieścia procent miesięcznych zysków kapitałowych spółki kierowano na specjalne rachunki w Szwajcarii, gdzie następnie dzielono je między Perkinsa i ekipę Cronina.

O wszelkie szczegóły troszczył się Felix Stern. Profity rozdzielano pomiędzy dwa rachunki. Pierwszy należał do Perkinsa - były to jego pieniądze i mógł z nimi robić, co tylko chciał. Drugi pozostawał do dyspozycji Cronina i jego ludzi, takich jak Howard Egan. Proporcje przy podziale wynosiły dwadzieścia pięć procent dla Perkinsa przy siedemdziesięciu pięciu procentach dla Cronina i jego współpracowników. Nierówno, lecz pieniądze napływały strumieniem tak szerokim, że do niedawna Perkins był z warunków układu całkowicie zadowolony. Wartość środków zgromadzonych na jego koncie zbliżała się obecnie do dwóch miliardów dolarów. Zamiast zarządzać nimi w sposób aktywny, jak to czynił z funduszami swojej spółki, trzymał je po prostu w postaci depozytów o stałym oprocentowaniu i pozwalał, by obrastały w odsetki. Nawet przy niskiej stopie zwrotu, wynoszącej około trzech procent, fundusz w skali roku generował dodatkowe sześćdziesiąt milionów dolarów zysku.

W ciągu minionego roku Perkins wypracował zwyczaj konsultowania się ze Sternem raz w tygodniu. Bankier przechowywał dokumentację jego konta osobiście, można by powiedzieć, że we własnej szufladzie. Perkins od zawsze podejrzewał, że Stern to człowiek Cronina, współpracujący na mocy jakiegoś tajemniczego porozumienia, w którego szczegóły nie wnikał, bo Stern w satysfakcjonujący sposób doglądał jego funduszy.

Teraz, nie wiedząc, do kogo jeszcze może się zwrócić, Perkins postanowił skontaktować się z tymże Sternem, czyli zarządcą finansowym, który współpracował też z obecnie nieuchwytnym Anthonym Croninem. Zamiast skorzystać z jednego z własnych telefonów, pożyczył aparat od gospodyni swej rezydencji przy Ennismore Gardens. Wybrał numer do biura Sterna w siedzibie FBS przy genewskim Quai Gustave-Ador.

Odebrała sekretarka. Poinformowała, że pan Stern jest nieosiągalny, ale jego sprawami zajmuje się kolega, pan Taub. Perkins poprosił, by go z nim połączyć.

- Tu Herr Taub - oznajmił bardzo stosowny głos po niemiecku. Perkins przedstawił się i oświadczył, że chciałby się dowiedzieć o stanie swoich zarządzanych przez FBS rachunków. Przeczytał numer podstawowego konta, które swego czasu założył z pomocą Cronina, po czym podał pozostałe szczegóły do identyfikacji.

- Czy to pan Thomas Perkins? - spytał Niemiec, pragnąc się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiał.

- Tak, właśnie to panu, do cholery, powiedziałem. No dalej, Taub. Chcę poznać stan mojego konta.

- Muszę pana przestrzec, że rozmowa ta jest nagrywana.

- Tak, wiem, „celem zagwarantowania jakości usług” Doskonale, bardzo to szwajcarskie. Dziękuję.

- Pana konto zostało zamrożone z polecenia szwajcarskiej Komisji Nadzoru Rynku Finansowego. Przykro mi. Polecenie zrealizowano dzisiejszego ranka. Z chęcią poinformuję pana o stanie konta, obawiam się jednak, że nie ma pan możliwości tknięcia tych pieniędzy. Perkins poczuł dreszcz. Odłożył na chwilę słuchawkę, po czym ponownie przycisnął ją do ucha.

- Dlaczego moje konto zostało zamrożone? I jak to w ogóle możliwe, że ktokolwiek o nim wiedział? To prywatny, szyfrowany rachunek. Co się u diabła dzieje?

- Tego, panie Perkins, powiedzieć nie mogę. Musi pan spytać szwajcarską policję bądź komisję nadzoru. Może panu powiedzą, a może nie.

- Gdzie jest pan Stern? Chcę z nim porozmawiać. Felbc Stern. To on się zajmuje moim rachunkiem. Gdzie on jest?

- Przykro mi, ale Felix Stern już tu nie pracuje. Wydaje mi się, że wyjechał z kraju. Polecono mi przejąć wszystkie jego obowiązki.

- Wyjechał z kraju? A co z drugim kontem spółki Alphabet Capital, którym zajmował się pan Stern? Było znacznie okazalsze od mojego. Otworzył je w zeszłym roku Amerykanin, niejaki Anthony Cronin. Byłem współsygnatariuszem. Co się stało z tym rachunkiem? Również został zablokowany?

- Bardzo mi przykro, panie Perkins, ale w tym także nie mogę panu pomóc. Wszelkie inne konta zarządzane przez pana Sterna zostały najwyraźniej zamknięte bądź zlikwidowane. Nie mam na ich temat żadnych informacji. Pozwoli pan, że zajrzę do komputera, aby się upewnić... Nie, przykro mi, brak danych o jakimkolwiek innym koncie. Istnieje tylko pańskie.

- Chce pan powiedzieć, że reszta pieniędzy zniknęła?

- Pan wybaczy, ale nie nadażam.

- Jasny gwint - rzucił Perkins. - Cała forsa zniknęła.

- Mógłby pan powtórzyć? Chyba nie zrozumiałem. Perkins zakończył rozmowę. Był przerażony i nie wiedział, ani do kogo się zwrócić, ani co robić.

???

Perkins siedział w swoim gabinecie z widokiem na Mayfair, podczas gdy przedstawiciele rozmaitych agencji śledczych zgłaszali się do niego z żądaniem wydania kolejnych dokumentów. Towarzyszył mu jego prawnik z Waszyngtonu Vincent Tarullo oraz brytyjski adwokat Jacob Gormley, znający się na miejscowych regulacjach finansowych. Po pierwszych dwóch dniach dochodzenia odkryli, że bardzo niewiele mogą zrobić celem powstrzymania grabieży dokumentów spółki. Przedstawiciele władz mieli nakazy i upoważnienia dotyczące każdego interesującego ich papierka, a przy tym sprawiali wrażenie, że dobrze wiedzą, czego szukają.

Pilnym problemem dla Perkinsa stawało się radzenie sobie z wierzycielami i inwestorami. Teraz już każdy w Mayfair wiedział, że spółka Alphabet Capital wpadła w tarapaty. W kilka minut po pierwszym nalocie policji i zarekwirowaniu dokumentacji spółki pracujący dla Perkinsa maklerzy zaczęli wydzwaniać do znajomych w innych funduszach hedgingowych

oraz w bankach inwestycyjnych i wypytywać, czy ci wiedzą może, co się dzieje. Pogłoski rozprzestrzeniły się lotem błyskawicy. Pod koniec pierwszego dnia zawarte przez Alphabet Capital umowy typu swap z innymi spółkami zostały zawieszono, a nazajutrz rankiem najwięksi pożyczkodawcy spółki zamrozili swe linie kredytowe.

Ograniczenia kredytowe same w sobie nie stanowiłyby problemu. Dzięki nadzwyczajnej zyskowności firma Perkinsa dysponowała sporym kapitałem. Jednakże w miarę szerzenia się wieści o jej kłopotach niepokoić zaczęli się inwestorzy. Przez cały drugi dzień wydzwaniali do spółki z poleceniem umorzenia jednostek udziałowych, co w żargonie inwestycyjnym oznacza po prostu wycofanie pieniędzy. W Alphabet

Capital obowiązywał standardowo czterdziestopięciodniowy okres wypowiedzenia, a na dodatek wielu jej inwestorów podpisało zobowiązania blokujące środki na okres roku, co uniemożliwiało im nagle wycofanie pieniędzy bez potrącenia znacznych prowizji.

Lecz blokady i pozostałe środki bezpieczeństwa na niewiele się teraz zdały. Po południu drugiego dnia polowania na czarownice Biuro ds. Wielkich Oszustw wydało oficjalne oświadczenie, iż prowadzi śledztwo natury kryminalnej w sprawie transakcji dokonywanych przez Alphabet Capital. Kilka minut później do siedziby spółki zaczęli dzwonić prawnicy kilku najważniejszych inwestorów, informując, że ustalenia co do blokad i okresów wypowiedzenia w sytuacji oskarżeń o oszustwo tracą ważność. Ludzie chcieli wycofać swe pieniądze.

Perkins polecił menedżerom realizować wszelkie prawidłowo złożone zlecenia umorzeń, toteż przez drugi dzień spółka masowo wyprzedawała posiadane aktywa, zarówno pod postacią akcji, jak i obligacji. W świecie finansów jest jednak naturalną kolejną rzeczą, że złe wieści pociągają za sobą następne, tak więc prowadzona przez spółkę gorączkowa wyprzedaż spotęgowała już doznane przez nią straty. Wraz z nadejściem trzeciego dnia firma postrzegana do tej pory jako klejnot Mayfair zdawała się pikować w śmiertelności korkociągu. Żadna inna spółka nie była gotowa zawierać z nią transakcji bez sporej premii za ponoszone ryzyko, co tylko zwiększało prędkość upadku.

???

Sophie Marx oddzwoniła do Perkinsa pod koniec drugiego dnia jego problemów. Była akurat w Brukseli i miała własne problemy na głowie, postanowiła jednak o nich nie wspominać.

- Opowiadaj, Tom - rzuciła. - Co się dzieje?

- Mam przesrane. Nie wycofałem się, póki miałem jeszcze czas. Twoi kumple wystawili mnie na odstrzał. Zwinęli interes i zniknęli, zostawiając mnie na widelcu. Brytole nasłali na mnie całe stado inspektorów, a ci urządzili sobie u mnie obozowisko. Czystka absolutna. Inwestorzy rzucili się do ucieczki, podobnie jak wszyscy z firmy, którzy tylko mogą liczyć na posadę gdzie indziej. Nie wiem, czy wytrzymam jeszcze choćby miesiąc.

Jego głos brzmiał jak zza grobu. Była przerażona. Przy każdym dotychczasowym kontakcie Perkins sprawiał wrażenie wytrzymałego i pełnego optymizmu. Wydawało się, że wiódł życie szczęściarza. Teraz w jego głosie słychać było wyczerpanie i rozpacz.

- Chwileczkę, Tom. Ci goście nie są moimi kumplami. Rzuciłam to. Teraz staram się odkręcić to, co spieprzyli. Mogę ci pomóc. Musisz mi tylko dać więcej czasu.

- Już za późno. Załatwili mnie, Sophie. Mają w ręku wszystkie atuty. Jestem zrujnowany. Jego słowa miały ciężar ołowianych odważników, które ciągnęły go na dno. Tonał.

- Przestań! - rzuciła. - Przestań się nad sobą użalać. Ci ludzie to zawodowi manipulatorzy, ale oni też popełniają błędy. Zaufaj mi. Nie możesz się poddać.

- „Zaufaj mi” Nigdy więcej nie chcę tego słyszeć. Wydymałaś mnie, Sophie. Ty i twoi kumple. Zrujnowaliście mi życie. Teraz sobie idźcie i dajcie mi pozbierać skorupy.

- Posłuchaj mnie. Weź się w garść. Martwisz się nie o to, o co powinienesz. W Alphabet Capital byli ludzie z Pakistanu. Znają wszystkie sekrety twoich transakcji pieniężnych.

Dlatego właśnie ginęli kolejni ludzie. Musisz być bardzo ostrożny. Są większe powody do niepokoju niż ryzyko, że cię zamkną.

Perkins przeciągle wypuścił powietrze. Dało się w tym słyszeć klęskę i ruinę.

- Najwyraźniej, moja droga, nie słuchałaś mnie uważnie. Ludzie wewnątrz Alphabet Capital, którzy wykradali sekrety spółki, to wasi ludzie. Ograbili mnie i rzucili na pożarcie. Mam już dość słuchania twoich gadek o krucjacie. Już po wszystkim. Już po mnie. Szczerze mówiąc, jeśli ktoś wpakuje mi kulkę w łeb albo zdetonuje bombę w siedzibie spółki, wyświadczy mi tylko przysługę. Dajcie wy mi wszyscy święty spokój.

Perkins odłożył słuchawkę.

Oczy Sophie wypełniły się łzami. To, co jej powiedział, było prawdą - stanowiła część niszczącego, śmiertelnego procesu. Obchodziło ją, co dzieje się z Perkinsem i żałowała, że nie może przekazać mu nieco swojej siły.

Rozdział 54

LONDYN

Trzeciego dnia polowania na czarownice wizytę w gabinecie Perkinsa złożył sam szef Biura ds. Wielkich Oszustw, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego Herbert Crane. Człowiek ten nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, więc jak na otrzymane odznaczenie był dosyć młody, wyróżnił się jednak, oczyszczając londyńskie City - na tyle, na ile było to możliwe - w okresie po załamaniu finansowym. Nastawiony był konfrontacyjnie: nie lubił środowiska Mayfair, a w szczególności nie lubił amerykańskich intruzów w typie Thomasa Perkinsa, którzy wykorzystywali relatywnie liberalne przepisy brytyjskich rynków finansowych, by podejmować ryzykowne szarże i ścinać zakręty, sprowadzając zgubę na siebie i innych. Crane przyszedł na spotkanie w asyście rudowłosego Szkota Angusa Warda, będącego jego głównym księgowym sądowym. Ward przez ostatnie dwa dni przekopywał się przez dokumenty i widać w nim było zapał i nerwowość psa gończego, który zbliża się do tropionej zwierzyny. Śledczy usiedli po jednej stronie stołu konferencyjnego, drugą zaś zajęli Perkins i jego prawnik. Brytyjczycy ułożyli przed sobą trzy walizki, zawierające imponujące archiwum. Obaj przechyleni byli do przodu, jakby gotowali się do skoku.

Perkins i jego adwokat zapadli się z kolei w fotelach, mową ciała dając do zrozumienia, że chcieliby być gdziekolwiek, byle

nie w tym pomieszczeniu. Zwalista sylwetka i przyglądzone do tyłu włosy nadawały Vincentowi Tarullo wygląd klubowego szansonisty podczas kiepskiego wieczoru.

Zwierzchnik dochodzeniówki włączył magnetofon, przedstawił siebie i swojego współpracownika, a następnie poprosił Perkinsa, by ten uczynił to samo. Pozbawiony energii głos Amerykanina brzmiał tak słabo, że Crane musiał poprosić go o powtórzenie. Perkins ponownie odezwał się tym samym głosem, więc prowadzący przesłuchanie z myślą o nagraniu po prostu głośno powtórzył nazwisko, po czym przystąpił do zadawania pytań.

- Pragnę panu przedstawić szereg transakcji dokonanych przez pańską spółkę - oznajmił Crane - i byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan potwierdzić, że transakcje te istotnie przeprowadziła Alphabet Capital.

Szef biura śledczego przesunął po stole plik dokumentów, podczas gdy jego księgowy odczytał podsumowanie ich zawartości. Pierwszy dotyczył transakcji sprzed kilku lat, następne operacji z paru kolejnych miesięcy.

- Obligacje rządu brytyjskiego - zapowiedział śledczy, a Crane puścił dokument po błyszczącym blacie stołu.

Perkins przyjrzał mu się i pokiwał głową. Jego amerykański adwokat wtrącił, iż rezerwuje sobie prawo do późniejszego podważenia dokładności danego dokumentu, podobnie jak i wszystkich pozostałych, jeżeli staną się one obiektami formalnych kroków prawnych. Jego zastrzeżenie zostało zanotowane, po czym inkwizycja wznowiła przesłuchanie.

- Brytyjskie swapy CDS przenoszące ryzyko kredytowe, cztery osobne transakcje: marzec, kwiecień, maj i czerwiec 2008 roku - ciągnął dalej śledczy. Cztery arkusze akt przeszły z rąk do rąk.

- Już łapię - zauważył Perkins. - Tropicie po prostu dawne sprawy, kiedy działałem jeszcze w pojedynkę.

- Cicho! - rzucił Tarullo.

- Pan wybaczy? - zaciekał się szef dochodzeniówki.

- Nieważne - wymamrotał Perkins. Teraz, gdy już wiedział, o co chodzi, sprawa przestawała go interesować.

Tarullo zaprotestował, iż Crane korzysta z kopii dokumentów i że o ile nie przedstawi ich oryginałów, będą one bezużyteczne w postępowaniu dowodowym. Protest ten również został zaprotokolowany.

Crane kontynuował odczytywanie listy podejrzanych transakcji.

- Brytyjski funt szterling, transakcje jednodniowe i kontrakty terminowe na bardzo dużą skalę.

Po raz kolejny doszło do przekazania dokumentów, a prawnik Perkinsa zgłosił oficjalny protest.

Raz za razem, zespół śledczych wykladał posiadane karty. W wypadku wszystkich transakcji chodziło o aktywa, na których notowania miała wpływ działalność Banku Anglii. Niektóre operacje dotyczyły obligacji pewnych wielkich korporacji, które w swoim czasie podlegały brytyjskim regulacjom i procedurom prawnym.

Dobrnawszy do dna sterty dokumentów, przedstawiciele rządu Jej Królewskiej Mości zebrali akta i ułożyli je w estetyczny stosik.

- Teraz, panie Perkins, pragnę panu przedstawić otrzymane przez nas złożone pod przysięgą oświadczenia, które na tę chwilę niechaj pozostaną anonimowe. Wskazują one na powiązania między każdą z wymienionych transakcji a konkretnymi poufnymi informacjami z Banku Anglii, mającymi wpływ na powyższe operacje. Mój księgowy, pan Ward, odczyta podsumowanie tychże informacji. Nie musi pan na te miażdżące dowody odpowiadać, chyba że sam pan zechce.

- Muszę przeciwko temu zaprotestować - wtrącił Tarullo. - Przedstawiają panowie niepotwierdzone zarzuty, nie podając jednocześnie ich źródła. To oburzające.

- Oczywiście, że pan protestuje. Od tego są prawnicy, ale niczego to nie zmieni. Nie jesteśmy na procesie. To nie jest formalne przesłuchanie, a jedynie nieoficjalna rozmowa. Prosiłbym więc, by nie był pan uciążliwy.

Ward przedstawił dowody na korzystanie z poufnych informacji, nie mówiąc nawet, w jaki dokładnie sposób dane te miały być przekazywane. Wyszczególnił zebrania banku centralnego zbiegające się z transakcjami oraz doniesienia medialne z siedziby banku przy Threadneedle Street, które Alphabet Capital swymi działaniami wyprzedzała o kilka godzin bądź też dni. Było to druzgocące zestawienie pochodzących z wnętrza banku poufnych informacji, które najwyraźniej wykorzystano przy operacjach, w rezultacie przyniosły one firmie wiele setek milionów zysku.

Początkowo Tarullo obstawał przy zgłaszaniu protestów, mimo iż szef służby dochodzeniowej zapowiedział, że na nic się to nie zda. Perkins polecił mu jednak dać spokój. Zdawał sobie sprawę, że śledczy go dopadli. Większość wspomnianych sytuacji był sobie w stanie przypomnieć i skojarzyć z telefonami na specjalny numer komórki od zatrudnionego w banku „znajomego”.

- Wystarczy tego - rzucił w końcu Perkins, zbywając temat gestem dłoni. W miarę, jak wysłuchiwał listy domniemanych transakcji opartych na poufnym informacjach, ponownie wściekł się na ludzi, którzy przed kilkoma laty dostrzegli jego słabość i od tamtej pory bezustannie nim manipulowali.

- A dlaczego nie podążycie śladem moich innych źródeł?
- zaproponował.
- Pan wybaczy? - spytał Crane.
- Zamknij się! - rzucił Tarullo.
- To wszystko pierdoły - ciągnął dalej Perkins. - Aż trudno uwierzyć, że dał się pan tak podejść temu, kto to panu podrzuca. Powinien się pan wstydzić, panie Crane. Ktoś z panem pogrywa. Przyjdzie czas, że gorzko pan tego pożałuje.
- Wątpię, panie Perkins, ale gratuluje odwagi. - Szef Biura ds. Wielkich Oszustw jeszcze nie skończył. Spojrzał teraz na zegarek.
- Mam jeszcze trochę materiałów, które chciałbym z panem przejrzeć, po czym możemy na dzisiaj skończyć. Wtedy będzie pan mógł usiąść sobie ze swoim prawnikiem, by rzucać pod moim adresem dowolne jadowite uwagi.
Księgowy otworzył jak dotąd zamkniętą walizkę. Wewnątrz znajdował się pęk dokumentów bankowych ze szczegółowymi oznaczeniami, wskazującymi na zagraniczne pochodzenie akt i odnoszące się do nich regulacje.
- Oto dokumentacja ze szwajcarskiego systemu bankowego - objaśnił Crane. - Uzyskaliśmy ją za zgodą szwajcarskiej Komisji Nadzoru Rynku Finansowego. Została nam ona przesłana na podstawie ogólnoeuropejskiego porozumienia o dzieleniu się informacjami w sytuacjach, gdy istnieją dowody na pranie pieniędzy bądź inne nielegalne działania finansowe, takie jak operowanie informacjami poufnymi.
- Wielkie mi rzeczy - odparował Perkins. Całe to przedstawienie już go nużyło. Crane był marionetką poruszaną przez sznurki, których nawet nie dostrzegał. Tracił tylko czas
- zamiast na istocie rzeczy, skupiał się na grze pozorów.
- Protestuję - zgłosił Tarullo. - Skąd nagle mowa o Szwajcarii?
Crane ciągnął rozpoczęty wątek. Otworzył teczkę i rozłożył akta przed Perkinsem, na własny użytek zachowując jedną kopię.
- Czy rozpoznaje pan te dokumenty, panie Perkins?
- Bynajmniej. Wyglądają mi na fałszywki.
- Są to rejestry szyfrowanego rachunku bankowego, jaki prowadzony jest w pana imieniu przez Federation des Banques Suisses. Doniesiono mi, że dowiadywał się pan o ów rachunek nie dalej niż wczoraj.
- Udowodnijcie mi to - rzucił Perkins.
- Ależ zapewniam pana, że to uczynię. Rejestry te wskazują, że konto zostało otwarte we wrześniu. Jak pan widzi, na podstawie analizy zapisów można stwierdzić, iż łączna suma środków zgromadzonych na rachunku wynosi obecnie miliard dziewięćset osiemdziesiąt milionów dolarów. Zauważy pan również, że na rachunek ów dokonywano regularnych, comiesięcznych wpłat. Wydaje się, iż fundusze te nie zostały poprawnie zgłoszone brytyjskiemu urzędowi podatkowemu. Jeśli to prawda, oznaczałoby to czyn nielegalny.
- Pieprzysz jak potłuczony, Crane. Ostatni z ciebie dureń.
- Cicho! - syknął Tarullo, kładąc dłoń na ramieniu swego klienta. - Nie ma po co się unosić.
- Niech będzie. Nie jesteś durniem. Jesteś naiwniakiem. To nie twoja wina. Ty nawet tego wszystkiego nie pojmujesz. Co się stało z drugim kontem w FBS?
- Pan wybaczy? Jakim drugim kontem?
- I widzisz? Nie znasz nawet sprawy, którą sam się zajmujesz. Istniało osobne szyfrowane konto w FBS, na którym rzekomo ulokowano trzy razy więcej, niż na tym. I co z tym kontem? To tam płynęła prawdziwa forsa, chwilowo zakładając, że w ogóle jakaś była.
- Pan majaczy, panie Perkins. Nie ma żadnego innego konta. Skonsultowaliśmy sprawę ze szwajcarskimi władzami i jedynym rachunkiem w FBS powiązanym ze spółką Alphabet Capital jest ten, którego szczegóły ma pan przed nosem. Strzela pan na oślep.
Perkins zwrócił się do swojego prawnika.

- To jakiś żart. Naprawdę. Gdyby nie to, jak poważny powstał z tego zamęt, to byłoby to nawet śmieszne.

- Istotnie, sprawa jest poważna. Co do tego, panie Perkins, ma pan całkowitą rację. Już teraz radziłbym panu skonsultować pańskie obecne położenie z jak najlepszym adwokatem. Niebawem Biuro ds. Wielkich Oszustw dokona w prokuraturze prezentacji odnośnie właściwego dysponowania tymi faktami - owszem, pragnąłbym podkreślić to sformułowanie, faktami - przez królewskich oskarżycieli. Z pańskiej strony wymagało to będzie ze wszech miar trzeźwego osądu sytuacji.

- Trzeźwość nie jest zazwyczaj moją mocną stroną, ale postaram się nad tym popracować. A teraz, panie Crane, chciałbym panu zadać pytanie. Czy dopuszcza się taką możliwość?

- Oczywiście. To tylko nieformalna rozmowa. Może pan pytać, o co tylko pan zechce. Nie znaczy to jednak, że koniecznie odpowiem.

- Kto jest waszym informatorem? To jasne, że macie szpicla, który wciska wam te głodne kawałki - o transakcjach, informacjach, tajnych rachunkach i tak dalej. A więc co to za źródło? I nie chodzi mi o tego biednego naiwniaka w Banku Anglii. Mówię o osobie, która wam go wystawiła.

- To pytanie, rzecz jasna, jest wykluczone. Chyba się pan nie spodziewał, że na nie odpowiem.

- Nie. Ale spodziewałbym się, że pan sam będzie znał tożsamość swojego informatora. A przynajmniej tak by było, gdyby należycie wykonywał pan swoją fuchę. Tymczasem stawiam ostatniego dolara, że w tym wypadku jej pan nie zna. Ma pan anonimowego szpicla, który wam podsyła wszystkie te gówniane akta. I być może ma pan kogoś z Foreign Office, to jest z MI6, kogoś, kto szepce panu do ucha, że informacje są prawdziwe. Ale pan właściwie tego nie wie. Czy mam rację?

Crane nie odpowiedział. Jednakże na jego ziemistych, błędnych i pociągłych policzkach zamajaczył ślad rumieńca

- ów „znak”, który zdradza Brytyjczyków już od czasów Jane Austen. Albowiem mają oni to siebie, że zwykli się rumienić. To jedna z ich niewielu narodowych słabości.

- Nonsens - odparł szef dochodzeniówki. - To bzdura.

???

„Nieformalne” spotkanie dobiegło końca. Crane wraz z księgowym zapakowali materiał dowodowy i wyszli. Perkins został w gabinecie, by naradzić się z Tarullo, który wściekał się, że tak mało wiedział o sprawie i o leżących u jej podstaw działaniach. Lecz w tej kwestii Perkins nie zamierzał się tłumaczyć. Powtarzał tylko, że nic złego nie zrobił i że to wszystko, co ma w tym temacie do powiedzenia.

- Spytaj gości w Waszyngtonie o Anthony ego Cronina

- polecił swemu prawnikowi. - To on mnie w to wszystko wpakował. Sprawy CIA, nikomu ani słowa, szczególnie więź finansowa. Od tego musisz zacząć, Vince. Potrząśnij drzewem i zobacz, co z niego spadnie. Cronin. C-R-O-N-I-N. Rezyduje w biurze przy nowojorskiej Piątej Alei, tuż obok sklepu Apple. Należy do klubu Athenian. A przynajmniej tam się z nim kiedyś spotkałem. Brunet, metr osiemdziesiąt, mięśniak, w oczach błyszczą mu gwiazdy. Typowy gość z CIA. Znajdź go, a może zdołasz wynegocjować jakieś wyjście z tego bałaganu.

- Panie Peabody, ostatni z pana palant, naprawdę. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym przed rokiem, zanim zagrzebałeś się po uszy w gównie?

Perkins zdjął okulary i potarł oczy.

- Analiza retrospektywna nie stanowi skutecznej metody rozwiązywania obecnych problemów. Przejmowanie się kosztami utopionymi to błąd. Tego właśnie uczyliśmy naszych studentów na wykładach z ekonomii. A jeżeli nie słuchali, radziliśmy im wybrać inną ścieżkę

kariery - na przykład prawo. Zrób coś dla mnie: znajdź Cronina, to będziemy mieli już jakiś punkt wyjścia.

- Kogoś jeszcze?

Perkins pomyślał o Sophie Marx i nieformalnym pakcie, jaki zawarli, aby nawzajem pomóc sobie w wyplątaniu z obecnego położenia.

- Nie - odparł. - Po prostu znajdź Cronina.

???

Zły dzień Perkinsa jeszcze się nie skończył. Późnym popołudniem, kiedy usiłował u grupy zamożnych klientów z Arabii Saudyjskiej wynegocjować linię kredytową, która pozwoliłaby mu utrzymać Alphabet Capital na powierzchni, złożył mu wizytę komisarz Metropolitan Police dowodzący trwającym od trzech dni najściem na siedzibę spółki. Tarullo znajdował się akurat w hallu, gdzie usiłował odpędzić prywatnych przedsiębiorców, którzy przygotowywali już cywilne akty oskarżenia przeciwko Perkinsowi. W chwili przybycia oficera prawnik popędził do gabinetu prezesa.

Komisarz w asyście dwóch funkcjonariuszy wkroczył do wspaniałej siedziby Perkinsa. Było piękne letnie popołudnie, a ulice przed okolicznymi pubami zapełniały się już młodymi ludźmi, gotowymi przebalować nadchodzącą noc. W mieszczącym się po drugiej stronie ulicy Ritzu dopijano właśnie popołudniową herbatkę, zagryzając ciasteczkami z marmoladą i kanapkami z ogórkiem.

Policjant sprawiał wrażenie zażenowanego, niczym lekarz, który ma właśnie przeprowadzić zabieg uwłaczający godności zarówno pacjenta, jak i jego własnej.

- Informuję, panie Perkins, że jest pan aresztowany. Biuro ds. Wielkich Oszustw w porozumieniu z moimi przełożonymi ze Scodand Yardu oraz królewską prokuraturą doszło do wniosku, że istnieje poważne ryzyko, iż w wypadku pozostawienia na wolności podejmie pan próbę ucieczki. Obawiam się więc, że jesteśmy zmuszeni pana w tej chwili zatrzymać.

Asystujący mu policjanci wystąpili do przodu. Ci ani trochę nie wyglądali na zażenowanych. Perspektywa aresztowania miliardera i odprowadzenia go w kajdankach do radiowozu bardzo im się podobała.

- Protestuję - zgłosił Tarullo. - Pan Perkins jest obywatelem amerykańskim. Domagam się poinformowania o wszystkim Ambasady Stanów Zjednoczonych.

Na wzmiankę o ambasadzie Perkins po raz pierwszy od trzech dni serdecznie się roześmiał. Gestem ręki nakazał prawnikowi milczenie.

- Panie Perkins, jeżeli jest pan gotów pójść z nami dobrowolnie, będę skłonny zrezygnować ze zwyczajowych formalności w postaci kajdanek i tym podobnych szykan. Możemy też zwieźć pana windą towarową na podziemny parking, gdzie czeka na nas samochód. W ten sposób uda się uniknąć wszelkich nieprzyjemności z przedstawicielami mediów.

- Pójdę z panami dobrowolnie - szybko odparł Perkins.

- Chwileczkę - wtrącił raz jeszcze Tarullo. - Ja protestuję, do cholery.

- Zamknij się, Vince. Brytyjskie więzienie to prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce, w jakim mogę się teraz znaleźć. Da mi to nieco czasu do namysłu.

Podszedł do komisarza, wyciągając ręce przed siebie.

- Bierzcie mnie, jestem wasz - oświadczył, z trudem powstrzymując śmiech. W akcie poddania się było coś wyzwalającego.

Dwaj brytyjscy policjanci ustawili się teraz po obu stronach, łapiąc go za ramiona. Perkins skinął do komisarza i cała grupka wyszła przez drzwi gabinetu do sali transakcyjnej.

Większość maklerów zawczasu udała się do domu, lecz ci, którzy jeszcze zostali, obserwowali teraz „spacer skazańca” w pełnej zdumienia ciszy. Co też takiego uczynił ów sympatyczny, w czepku urodzony człowiek, by ściągnąć na siebie tak nagłą klęskę?

Perkins, eskortowany przez trójkę funkcjonariuszy w granatowych mundurach, przeszedł ku znajdującej się na zapleczu windzie. Mijając kolejne biurka, machał do niektórych długoletnich współpracowników. Choć przez ten czas zarobił dla nich dziesiątki milionów dolarów, żaden nie zdecydował się odmachać.

Rozdział 75

MONS. BELGIA

Pies Josepha Sabaha, Emile, potrzebował spaceru. Z tego właśnie powodu wyszli z porośniętego bluszczem domu w Waterloo na zewnątrz. Kiedy miniaturowy pudełek wreszcie przebudził się z narkotycznego snu wywołanego zastrzykiem, załatwił się na dywan w korytarzu. Jeden z oficerów bezpieczeństwa zaproponował, że zabierze go na krótki spacer, lecz właściciel nalegał, że pójdzie z nimi, argumentując, że w innym wypadku biednego psa zamęczą. Niebawem mała grupka wyszła przez tylne drzwi na podwórko.

Pudel zaczął szczeekać - było to nieuniknione. Zwróciło to uwagę sąsiadów, nieprzyzwyczajonych do obecności psa na posesji. Jeden z nich, najwyraźniej wyjątkowo wścibski, zadzwonił na policję, aby zgłosić, że w domu obok znajdują się jacyś dziwni ludzie, a spokojna para mieszkająca tam ostatnio przed kilkoma dniami zniknęła. Policjanci być może zignorowaliby doniesienie, gdyby nie ten ostatni szczegół.

Pod dom podjechał niebieski radiowóz belgijskiej policji. Oficer CIA z rezydentury w Brukseli musiał wylegitymować się swoją przepustką z ambasady i mocno nazmyślać, aby przekonać żandarmów, że domostwa nie opanowała siatka porywaczy, podczas gdy w istocie tak właśnie się stało.

Kiedy tylko rozległ się dzwonek do drzwi, Sabah został pospiesznie związany i wniesiony na piętro. W ramach środków zapobiegawczych major Kirby zakneblował mu usta ręcznikiem. Niezbyt pomogło to w poprawieniu relacji z człowiekiem, który stanowił dla zespołu jedyne dojsście do pakistańskiego geniusza stojącego za zabójstwami amerykańskich oficerów wywiadowczych. Byli teraz zmuszeni przenieść się w jakieś inne, bezpieczne miejsce, przenosząc przy tym rozwścieczonego i prawdopodobnie nieskorego do współpracy informatora.

Po incydencie z policją Sophie Marx zaproponowała, że dotrzyma Sabahowi towarzystwa. Minęła doba od powstania zespołu, a ona wyłoniła się jako jego nieformalna liderka. Argumentowała, że jedynym sposobem na odzyskanie zaufania Sabaha jest bycie wobec niego szczerym, nawet jeśli wiązałoby się to z ryzykiem pogwałcenia operacyjnych zasad bezpieczeństwa. W innym razie informator okaże się dla nich bezużyteczny. Nikt nie zaprotestował.

Sabah, nadal rozgniewany sposobem, w jaki go potraktowano w chwili przyjazdu policji, siedział w pokoju na górze. Marx zapukała, a gdy nie usłyszała odpowiedzi, delikatnie popchnęła drzwi. W ramach oferty pokojowej przyniosła filiżankę herbaty i talerz ciasteczek.

- To ja, Edith. Przyniosłam panu coś do przekąszenia, panie Sabah. - Wskazała na trzymaną tacę. - Nie ma pan nic przeciwko, żebyśmy weszła?

Sabah zmarszczył gniewnie brwi, w tym czasie Marx wprosiła się do pokoju, on zaś jej nie wyrzucił. Postawiła tacę na stoliku obok łóżka i przysunęła sobie krzesło.

- Bardzo przepraszam za sposób, w jaki się z panem obeszlśmy - powiedziała. - Ma pan prawo być rozgniewany. Sama też bym się rozzłościła.

- Jestem krańcowo wściekły - odparł. - Proszę tylko spojrzeć, w jaki sposób się zachowujecie. Nic dziwnego, że wszyscy nienawidzą Ameryki.

- Ma pan rację - przyznała.

Spojrziała na talerz z ciastkami. Były wśród nich maślane herbatniki Bonne Maman, jak również stosik pokrytych czekoladą ciasteczek Petit Ecolier. Wzięła jedno z ciastek w czekoladzie.

- Pozwoli pan?

- Oczywiście. To pani ciastka. Pani je tu przyniosła. Może je pani zjeść co do ostatniego. Nie zamierzam wam pomóc tylko dlatego, że przyniosła mi pani talerz herbatników.

Zjadła ciasteczko do końca i podała talerz Sabahowi.

- Niech się pan po prostu poczęstuje. Są wyśmienite. Sabah wziął ciastko w czekoladzie i odgryzł kawałek,

a potem kolejny, już większy.

- Ma pani rację. Faktycznie są bardzo dobre. Ale nie przyszła tu pani, by częstować mnie słodyczami.

- Przyszłam, by coś panu wytłumaczyć. Być może wtedy pan zrozumie, dlaczego tak dziwnie się z panem obchodzimy.

- A proszę bardzo. Ale zdania przez to nie zmienię.

- Chodzi o tego człowieka, o którym wcześniej rozmawialiśmy, mówił on o sobie George. Jest coś, czego panu o nim nie powiedziałam.

- I miałyby mnie to zaskoczyć? Phi. Wy nigdy nie mówicie prawdy. Czemu akurat teraz miałbym wam uwierzyć? To daremne, jak pościg Emila za jego własnym ogonem.

Marx puściła komentarz mimo uszu. Nachyliła się ku Sabahowi.

- Kilka dni temu w Pakistanie ów rzekomy George usiłował mnie zabić. Podłożył bombę w pokoju hotelowym, w którym miałam się zatrzymać. Tymczasem ładunek zabił pakistańskiego żołnierza, którego przydzielono mi do ochrony i który troszczył się o moje bezpieczeństwo. Wynieśli go

przy mnie na noszach. Urwało mu ramię. Kiedy zamykam oczy, wciąż widzę jego ciało.

- Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro.

- To nie wszystko. George zabił cztery osoby, z którymi pracowałam. Dwie z nich były moimi przyjaciółmi. To byli dobrzy ludzie, lecz zginęli w podły sposób. Dlatego ta sprawa ma dla mnie znaczenie osobiste.

- Szkoda, że nikt mi tego nie powiedział wcześniej i że traktowano mnie jak wroga, a nie jak przyjaciela.

- Ma pan rację. To błąd z naszej strony. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

Sabah wciąż analizował w myślach listę doznanych krzywd.

- Ci ludzie na parterze są bezmyślni. Wepchnęli mi w usta ręcznik, tak że nie mogłem oddychać. Zrobili mi krzywdę, ale dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?

- To tylko żołnierze. I to nie oni dowodzą, panie Sabah, tylko ja. To właśnie chciałam panu powiedzieć. Muszę coś zrobić, a pan jest moją jedyną nadzieją. Wiem, że uważa pan, że wszyscy jesteśmy kłamcami, ale mówię panu prawdę. Jeśli mi pan nie pomoże, ten człowiek w dalszym ciągu będzie mordował moich przyjaciół. Może zabić również mnie.

- Czy to prawda?

- Tak. Potrzebuję pana. O to mi właśnie chodzi. Wszyscy pana potrzebujemy. Jeśli nam pan odmówi, będzie to oznaczać, że znaleźliśmy się w koszmarnej sytuacji i nie wiem, jak się ona zakończy.

Sabah pochylił głowę. Na swój sposób był uczynnym człowiekiem. Pragnął być pomocny ludziom, którzy go potrzebowali. Właśnie dlatego Pakistańczyk z taką łatwością mógł nim manipulować.

- Co mam robić? - spytał. - Wcześniej) powiedziała pani, że wykorzystacie mnie w charakterze przynęty. O to chodzi?

- Tak. Chcę, by się pan skontaktował z tym pakistańskim Georgeem, korzystając z takiego samego kanału komunikacji, jak poprzednio. Ma mu pan powiedzieć, że dysponuje pan nowymi informacjami, które musi pan mu przesłać. Może pan to zrobić?

- Tak, tak mi się wydaje. Ale już wam mówiłem: dane kontaktowe znajdują się w moim komputerze w domu.

- Pójdzie pan teraz z nami, byśmy zabrali komputer z pańskiego domu i przenieśli się w jakieś bezpieczne miejsce? Przez zainteresowanie policji nie możemy zostać tu dłużej.

- Czy w nowej kryjówce Emile będzie mógł wychodzić na zewnątrz? On potrzebuje ruchu. Jeśli nie wyprowadzam go rano i wieczorem, popada w depresję.

- Oczywiście, a swoją drogą to przeurocze zwierzę. Tak pełne entuzjazmu. Ale musi pan obiecać, że mi pan pomoże. Żadnych krzyków, żadnego wołania o pomoc, żadnego uciekania pod opiekę belgijskiej policji. Jeśli pan czegoś podobnego spróbuje, ci z parteru znowu staną się nieprzyjemni. A to już byłby koszmar. Zatem będzie pan ze mną współpracował?

- Będę, ale tylko z panią. Pani również jest oszustką, ale przynajmniej jest pani mądrzejsza. Tamtych z dołu nie chcę widzieć na oczy.

???

Podzielili się na dwa samochody - stojącego w garażu vana oraz „czyste” osobowe audi, zorganizowane przez personel rezydentury. Sabah i Marx wsiedli wraz z Emilem na tył osobówki, a major Kirby i reszta ekipy wcisnęli się do furgonetki.

Ludzie z brukselskiej placówki obserwowali mieszkanie Sabaha przy Avenue George Bergmann i poinformowali, że jest ono bezpieczne. Audi zatrzymało się przed budynkiem, a Sabah i Marx weszli na górę, by zabrać potrzebne rzeczy. Belg odszukał swojego laptopa i włożył go do pokrowca. Marx poradziła, by zapakował również ubranie na zmianę, a także wszelkie niezbędne lekarstwa i przedmioty osobiste.

- Jak długo nas nie będzie? - spytał, wyciągając z górnej szuflady skarpetki i bieliznę. W pierwszej kolejności zdążył już przygotować należące do Emilea miskę i kocyk, jak również worek suchej karmy oraz smycz.

- Dzień lub dwa - odparła. - Zakładając, że uda nam się go złapać. Wtedy stanie się pan bohaterem i zabierzemy pana do krainy Disneya.

- Nigdy, przenigdy nie chcę lecieć do Ameryki. Kiedy będzie po wszystkim, chcę wrócić do domu. Kiedy to nastąpi?

- Niebawem - odpowiedziała, sprowadzając go po schodach do samochodu, żeby nie zdążył zmienić zdania.

???

Nową kryjówkę stanowiła wolnostojąca ceglana willa położona na południe od Brukseli, na zamkniętym obszarze wojskowym w Mons, gdzie mieściła się kwatera główna NATO.

Miejsce było bezpieczne i łatwe do ochrony. Do domu przylegało duże, ogrodzone podwórko, na którym pies mógłby zaszczekać się na śmierć bez zwracania niczyjej uwagi. Rezydencję dopiero co wyremontowano na potrzeby natowskiego generała, który zaraz po remoncie został w trybie natychmiastowym eksmitowany.

Marx usiadła z Sabahem w przestronnym studio, jakie urządzono im na parterze willi. Belg na kolanach trzymał torbę z laptopem.

- Chce pani, bym go włączył?

Obejmował komputer z taką samą troską, z jaką zwykł ściskać psa.

Marx zdawała sobie sprawę, jak pilna jest konieczność pozyskania informacji, zarazem jednak wiedziała, że pośpiech jest niewskazany. Kiedy tylko Sabah podzieli się sekretami, wszyscy naokoło zaczną robić wielkie zamieszanie. Teraz była ostatnia szansa, by spokojnie przyjrzeć się zarówno samemu człowiekowi, jak i posiadanej przez niego wiedzy.

- Jeszcze nie teraz - odparła. - Najpierw chwilę porozmawiajmy. Niech mi pan opowie o tym, jak zaczął pan z nami współpracować. Może mi pan przypomnieć, który to był rok? Może też pamięta pan, kto się z panem skontaktował i o co konkretnie poprosił. Zapewne sądzi pan, że w CIA wszyscy razem współpracujemy i znamy te same sekrety, tak jednak nie jest.

Sabah uśmiechnął się i pokręcił głową. Ameryka to bardzo dziwny kraj. Zakrawało na cud, że nie mieli jeszcze poważniejszych problemów.

- Wydaje mi się, że program rozpoczął się w 2002 roku. O pomoc poproszono mnie dopiero trzy lata później, w roku 2005. Wasi ludzie usiłowali wytropić przepływy pieniężne Al-Kaidy. Widzi pani, opracowali program komputerowy służący do analizowania schematów. Za pomocą elektroniki badali wszelkie dostępne dane, dzięki czemu mogli wyśledzić każdego, kto miałby jakikolwiek kontakt z rachunkiem bankowym bądź kartą kredytową osoby figurującej już w ich spisie. Następnie przyglądali się kontu tej osoby i po raz kolejny wpuszczali dane do programu. Prosta analiza powiązań. Powiedzieli nam, że przestrzeń cyfrowa to nasza najlepsza broń. W sieci wszystko ma swój adres, a każde wydarzenie pozostawia po sobie ślad.

- Dlaczego potrzebowali akurat pana, panie Sabah?

- Niekiedy przy przeprowadzanych analizach mieli problemy z arabskimi nazwiskami. Potrzebowali ludzi dopuszczonych do systemu SWIFT, aby pomogli im wprawić wszystko w ruch. Byliśmy konsultantami. Przed dopuszczeniem do programu musieliśmy przejść kontrolę bezpieczeństwa. Pewnego dnia odbyliśmy wideokonferencję z pewnym Amerykaninem z Waszyngtonu - grubą rybą, która wszystkim zarządzała. Zaserwował nam, jak to mówicie, przemowę motywującą, był przy tym bardzo głośny.

- Czy pamięta pan, jak on się nazywał lub gdzie pracował? Może mogłabym udać się do Stanów i z nim porozmawiać.

- Posługiwał się fałszywym nazwiskiem, co do tego nie mam wątpliwości. Pan Smith. Albo pan Jones. Nawet nie zwróciłem na nie uwagi. Ale powiedział nam, że pracuje w Centrum Antyterrorystycznym. To, jak sądzę, było prawdą.

- Zgadza się. Programem kierowało Centrum Antyterrorystyczne przy współpracy z Departamentem Skarbu. Jak ów człowiek wyglądał?

- Był szczupły i sprawiał wrażenie twardziela. Wyglądał jak żołnierz, ale miał przy tym niewielką bródkę. Więcej naprawdę nie pamiętam. Przekaz wideo był nie najlepszej jakości.

- Nie szkodzi. Postaram się dowiedzieć kto to taki. Wspominał pan o innych konsultantach, których zatrudniono przy programie inwigilacji danych. Czy pamięta pan może, skąd oni byli?

- Z całego świata. Jeden był z Arabii Saudyjskiej, inny z Kuwejtu, jeszcze inny z Maroka, dwóch z Egiptu, dwóch z Pakistanu, może ktoś jeszcze.

Przez cały czas, gdy mówił, Marx sporządzała notatki, teraz jednak, kiedy przeszedł do opisywania doradców, skupiła się jeszcze bardziej.

- Miał pan okazję się z nimi spotkać? Poznał pan ich personalia?

- Oj, nie. To by było wbrew przepisom bezpieczeństwa. Proszę pamiętać, że była to wideokonferencja. Każdy z nas brał w niej udział z innego miejsca. Wiem o innych tylko dlatego, że na samym początku sesji przedstawiono nam ogólny zarys operacji, abyśmy mieli świadomość, w jak dużym projekcie uczestniczymy. Pragnęli, byśmy wiedzieli, że bierzemy udział w czymś bardzo ważnym.

- Ale wspominał pan, że wśród konsultantów był ktoś z Pakistanu.

- Wydaje mi się, że było ich dwóch. Nigdy ich jednak nie widziałem. Możliwe, że mogłabym się wówczas dowiedzieć, jak się nazywali, ale nie próbowałam.

- Czy sądzi pan, że jednym z nich mógł być George?

- Kiedy w zeszłym roku się ze mną skontaktował, uznałem, że nie. Przedstawił się jako Amerykanin, powiedział, że uczestniczył w programie, który jest teraz wznawiany. Lecz kiedy w poprzedniej kryjówce powiedziała mi pani, że George to Pakistańczyk, pomyślałem, że owszem, mógł on być jednym z konsultantów. Kiedy nawiązał ze mną kontakt, sprawiał wrażenie, że wie dokładnie to samo, co ja.

- Za chwilę do Georgea wrócimy. Co jeszcze może mi pan powiedzieć o tej wideokonferencji z człowiekiem z Centrum Antyterrorystycznego?

- Przypominał trenera z któregoś z tych amerykańskich filmów o sporcie. Chciał wzbudzić w nas ekscytację. Mówił, że uczestniczymy w wojnie z terroryzmem i że współpracują z nami ludzie ze wszystkich krajów świata. Przekonywał, że pomagając w identyfikacji członków Al-Kaidy, pomożemy Ameryce w zaprowadzeniu na świecie sprawiedliwości.. Zapewnił, że terroryści nie zdołają się już wymknąć. Oznajmił, że Amerykanie mają wielkie serca, czy może silne serca, czy coś takiego. Terroryści nie zdołają się ukryć. Ameryka ich wytropi i wybije.

Marx coś sobie zapisała, a na marginesie oznaczyła notkę gwiazdką.

- Coś poza tym?

Sabah przez moment zastanawiał się nad pytaniem, szukając czegoś w pamięci, po czym kontynuował wypowiedź.

- Jeszcze jedna rzecz. Oznajmił, że Ameryka dysponuje bronią o nazwie predator, która może dopaść bojowników Al-Kaidy z przestworzy, przelatując nad ich kryjówkami w Pakistanie. Amerykanie używali predatorów od 2002 roku, ale teraz było ich coraz więcej. Do tej pory jedynie czytałem

o nich w gazetach, a tu nagle ktoś mi o nich opowiadał. Powiedział, że z naszą pomocą Ameryka zdoła zemścić się za zamachy z 11 września, przez co nigdy więcej coś podobnego się już nie powtórzy. Jak oznajmił, odpowiedzialni nie zdołają wymknąć się sprawiedliwości. Miało to sprawić, byśmy poczuli się silni i zadowoleni.

- Czy, kiedy ten człowiek z Centrum Antyterrorystycznego opowiadał o predatorach, którykolwiek z konsultantów coś powiedział?

- wszyscy byliśmy bardzo cicho. Podejrzewam, że każdy z nas zastanawiał się nad potęgą Ameryki, zdolnej śledzić i zabijać ludzi z powietrza.

???

Zrobili sobie przerwę. Sabah chciał wyprowadzić psa na spacer i spytał, czy może dostać jakąś plastikową torebkę.

Wraz ze swym czworonogiem kilkakrotnie okrążył teren posesji, cały czas bacznie obserwowany przez jednego z ludzi majora Kirby ego.

Marx napisała do Cyrila Hoffmana krótką wiadomość dotyczącą rozmowy z Sabahem.

Poprosiła go o przysłanie dwóch informacji. Po pierwsze, chciała otrzymać listę wszystkich obywateli Pakistanu zatrudnionych jako konsultanci przy fazie Programu Inwigilacji Terrorystów związanej z systemem SWIFT. Interesował ją każdy skrawek informacji na ich temat - numery telefonów, adresy, dane dotyczące odbytych podróży, oceny pod kątem bezpieczeństwa, doniesienia służb łącznikowych. Po drugie, prosiła o listę oficerów starszych stopniem z Centrum Antyterrorystycznego, którzy kontaktowali się z cudzoziemcami zaangażowanymi w program SWIFT w 2005 roku.

Przesłała wiadomość zastrzeżonym kanałem, prosząc o pilną odpowiedź. Zarazem jednak miała wrażenie, że zna już odpowiedź na pytanie numer dwa.

Podczas gdy pies i jego pan nadal byli na zewnątrz, Marx spróbowała zadzwonić do Londynu do Thomasa Perkinsa. Miał wyłączoną komórkę. Pod numerem wewnętrznym jego gabinetu odezwał się z kolei funkcjonariusz policji, który powiedział, że w obecnej chwili rozmowa z panem Perkinsem lub pozostawienie mu wiadomości nie jest możliwe. W gruncie rzeczy wiadomość, że Perkins znalazł się pod kuratelą policji, tylko ją uspokoiła.

???

Dwadzieścia pięć minut później Marx wróciła do rozmowy z Sabahem. Wyglądało na to, że krótki spacer przywrócił mu siły. Na tyle jego spodni widać było ślady po trawie, powstałe najwyraźniej w chwilach, gdy tarzał się z Emilem po trawniku.

Sabah włączył laptopa, gdy tylko zajął miejsce, jeszcze zanim Marx miałyby szansę go o to poprosić. Chciał jak najszybciej zrobić, co do niego należało i mieć to wszystko za sobą.

Zanim komputer się uruchomił, a ekran rozświecił, upłynęło trzydzieści sekund. Sabah otworzył folder z kontaktami i zaczął szukać konkretnych pozycji, mamrocząc pod nosem kolejne nazwiska. W końcu odetchnął z ulgą i otworzył plik z danymi kontaktowymi.

- Szukałem pod „G” jak George, tymczasem miałem go zapisanego według nazwiska, którego używał w ostatnich e-mailach, a które zaczyna się na „W”. Wyleciało mi to z głowy. Podać pani ten adres?

- Owszem, proszę. - Starła się zabrzmieć swobodnie, tak jakby nie chodziło o informację, od której może zależeć jej życie.

- To george.white09@yahoo.com. Tak się teraz podpisuje - George White. Z tego adresu pisał do mnie przy ostatnich kilku okazjach. Wcześniej korzystał z adresu george.whitel7@hotmail.com. Wciąż mam ten adres, ale już nie działa. Zlikwidował konto.

Marx poprosiła o podanie numerów telefonów komórkowych. Sabah miał zapisane dwa - amerykański 001-703-202-1211 oraz szwajcarski 4179-555-6548 - aczkolwiek podejrzewał, że oba są już nieaktywne. Marx uważnie powtórzyła oba adresy oraz numery, cyfra po cyfrze, aby się upewnić, że poprawnie je zapisała.

- Ma pan coś przeciwko temu, byśmy zrobili sobie jeszcze jedną, krótką przerwę? - spytała. - Muszę przesłać to moim kolegom, aby odwalili trochę roboty detektywistycznej.

Ucałowała go w policzek, co jednocześnie sprawiło mu przyjemność i wpędziło w zakłopotanie, po czym przeprosiła

i przeszła do pokoju kontrolnego, gdzie urządzono stanowisko bezpiecznej łączności. Major Kirby przyniósł Sabahowi psa, aby dotrzymywał mu towarzystwa, dał mu również kanapkę i szklanę piwa. Sabah wypił piwo, natomiast większość kanapki oddał Emilowi.

Oficer łącznościowy pomógł Marx w odpowiednim oznaczeniu wiadomości. Ponownie napisała do Hoffmana, tym razem kierując kopie do zajmującego się cyberwywiadem Centrum Operacji Informatycznych CIA, a także do centrum operacyjnego Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Potem mogła tylko czekać.

Rozdział 76

MONS. BELGIA

Sophie Marx była wyczerpana. Dopiero kiedy skończyła przesłuchiwać Sabaha, zdała sobie sprawę ze swego ogromnego zmęczenia. Nie miała energii ani ochoty na cokolwiek.

Chciałaby móc rzucić się na łóżko, naciągnąć białą kołdrę na głowę i przespać choćby i tydzień. Myśl o odpoczynku zakłócał niepokój, a zarazem satysfakcja wynikające ze świadomości, że setki osób liczyły teraz właśnie na nią. Poszła do kuchni i zrobiła sobie podwójne espresso, które następnie popiła red bullem.

To jednak nie wystarczyło - nadal była półprzytomna. Dalej, dziewczyno, powtarzała sama sobie. Pozbieraj się do kupy. Spytała majora Kirby'ego, czy w budynku mieściła się siłownia.

Odpowiedź, rzecz jasna, była twierdząca. Była to pierwsza rzecz, którą ekipa wsparcia zorganizowała po zabezpieczeniu domostwa, jeszcze nawet przed urządzeniem pomieszczenia komunikacyjnego. W piwnicy umieszczono rowerek stacjonarny, bieżnię oraz zestaw hantli.

Marx spędziła niemal godzinę na bieżni, krocząc niczym astronauta w stanie nieważkości i wsłuchując się w muzykę ze swego ipoda. Miała różne gusta, teraz jednak pragnęła słuchać piosenek w wykonaniu silnych kobiet, które zostały okłamane przez manipulujących nimi mężczyzn - takich, jak jej szef.

W swym ipodzie miała listę odtwarzania zatytułowaną „zemsta”. Włączyła ją. Na pierwszym miejscu znajdowała się Carrie Underwood z utworem „Before he cheats”, w którym śpiewa o kobiecie, która łapie za kij do baseballa i roztrzaskuje reflektory w samochodzie swego niewiernego chłopaka. Następna w kolejce była „Crazy ex-girlfriend” Mirandy Lambert, opowiadająca o wścieklej narzeczonej, która nakrywa swojego faceta przy grze w bilard z nową dziewczyną i zastanawia się, czy by go nie zastrzelić. Rzecz jasna, na liście nie mogło zabraknąć „Goodbye Earl” w wykonaniu Dixie Chicks. Jednakże jej ulubioną pozycją

na liście była śpiewana przez Lambert piosenka „White liar” wraz z powtarzającą się w niej myślą, że nawet w przypadku kłamców prawda w końcu wychodzi na jaw. Marx podkreśliła głośność i zamknęła oczy.

Urządzenie odtwarzało piosenkę po piosence, zaś Marx zastanawiała się nad kolejnymi krokami. Zemsta na Jeffreyu Gertzcu stanowiła osobny rozdział. Teraz jednak należało skupić się na Pakistańczyku - trzeba go było wykurzyć z kryjówki na otwartą przestrzeń. Trudność polegała na wymyśleniu przynęty dostatecznie kuszącej, by nadzwyczaj ostrożny gracz, którym był „profesor” podjął ryzyko i spróbował po nią sięgnąć. Jej nogi ruszały się po bieżni tam i z powrotem, niczym metronom utrzymując stałe tempo. Im dłużej Marx zastanawiała się nad tą zagadką, tym odpowiedź stawała się dla niej coraz bardziej oczywista.

???

Marx nadal ćwiczyła, gdy z bezpiecznego telefonu zadzwonił do niej Hoffman. Oddzwoniła parę minut później, kiedy zdołała złapać oddech. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, zaś jej czoło połyskiwało od kropelek potu.

- Dzień możesz chyba zaliczyć do udanych - zaczął.

- Jak rozumiem, udało ci się wyważyć wrota.

- Jeszcze nie dopadliśmy naszego profesora - odparła.

- Boję się, że zmarnujemy szansę, by go dorwać.

- I dobrze, że się boisz. To niebezpieczny człowiek. Dzwonię, bo mamy już pierwszą odpowiedź z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Żaden z numerów telefonów komórkowych nie działa. Sprawdzimy ewentualne schematy, ale sądzę, że tym sposobem również nic nie wskóramy. Ten człowiek nie jest głupcem. Adres e-mailowy na serwerze Yahoo jest wciąż aktywny, lecz nie korzystano z niego od czasu wysłania ostatniej wiadomości do Sabaha. A zatem pytanie brzmi: co teraz?

Hoffman zamilkł. Wyglądało na to, że czeka, by to Marx przejęła inicjatywę.

- Mam pewną sugestię, zakładając, że to ja prowadzę operację, a nie Centrala.

- Ależ moja droga Sophie, ty należysz do Centrali. I owszem, nadal tę operację prowadzisz. Jak na razie nie popełniłaś ani jednego błędu.

- Chcę zastawić na Pakistańczyka pułapkę. Możemy wykorzystać pana Sabaha, by nawiązał z nim kontakt, mamy też jego aktywny adres e-mailowy, ale potrzebujemy jakiegoś łakomego kaska na przynętę. Inaczej nic z tego nie będzie. Trochę nad tym myślałam i wydaje mi się, że mam już odpowiedniego robaka na nasz haczyk.

- Och, naprawdę? A któż to taki? -Ja.

- Nonsens. To wykluczone. Kilka dni temu omal nie zginęłaś w Islamabadzie. Nie kuś losu, moja droga. Nawet twoje szczęście może się wyczerpać.

- Czy to nie oczywiste? Fakt, że już wcześniej próbował mnie zabić, czyni mnie idealnym celem. Raz mu się nie udało. To bardzo zdyscyplinowany człowiek. Nie znosi porażek. Wychyli się ze swej nory, o ile uzna potencjalny łup za wystarczająco atrakcyjny. Nie chciałabym wyjść na nieskromną,

ale jestem dla niego celem wartym zachodu. Tym bardziej, jeśli Sabah zasugeruje mu w wiadomości, że szykujemy coś naprawdę dużego. Wynurzy się.

- Jaka ty jesteś jednak nierozsądna.

- Uznam to za przyzwolenie. Zaraz zabierzemy się do przygotowania odpowiedniego e-maila. Będę potrzebowała pomocy co do szczegółów, aby przelewy wyglądały przekonująco. Czy Centrum Operacji Informatycznych może włamać się na konta Alphabet Capital?

- Oczywiście. Dostaniemy wszystko, czego chcemy, jeśli tylko będziemy wiedzieć, o co prosić.

- Potrzebne mi są numery kont, z których korzystali nieżyjący już Howard Egan, Alan Frankel oraz Meredith Rockwell. Skąd się te pieniądze brały i dokąd płynęły. Niech mi pan prześle numery rachunków oraz ich kody kierunkowe.

- Wartościowa z ciebie koleżanka, Sophie.

- Nie zdążyłam jeszcze nawet rozwinąć skrzydeł. Co z pozostałymi tropami, o które pytałam, to jest z programem inwigilacyjnym Centrum Antyterrorystycznego oraz z tymi konsultantami?

- Nad sprawą konsultantów nadal pracujemy. Obawiam się, że dostęp do ich prawdziwych personaliów jest ściśle strzeżony. Natomiast odpowiedź na twoje pierwsze pytanie jest prosta. Szefem programu potajemnej inwigilacji Al-Kaidy w Centrum Antyterrorystycznym był w owym czasie dzentelmen, którego nazwisko jest ci znajome, wręcz do bólu znajome - a mianowicie Jeffrey Gertz, były prezes spółki Hit Parade LLP z siedzibą w Studio City w Kalifornii, obecnie już nieistniejącej.

- Naprawdę? - spytała obojętnym głosem. Ależ oczywiście. Od chwili, gdy Sabah opisał wideokonferencję, chwytły retoryczne i ewidentną amoralność oficera z Centrum, była pewna, że mogło chodzić jedynie o jej przełożonego i byłego mentora. - Swoją drogą, gdzie on teraz jest? Właśnie się nad tym zastanawiałam.

- Jak to mówią myśliwi, czmychnął do nory. Przeprowadza zakrojoną na globalną skalę operację znikania, likwidując wszystko, co ma jakikolwiek związek z jego dotychczasową działalnością. Wygląda na to, że uzyskał zgodę od „najwyższych szczebli władzy”, eufemistycznie rzecz ujmując. Jest obecnie w podróży, ale gdzie konkretnie - tego nie wiem. Chcesz, żebym go dla ciebie odszukał?

- Nie, wręcz przeciwnie. Chcę, żeby nie wchodził mi w drogę.

- Z tym nie powinno być problemu. Sądzę, że obecnie jego głównym zmartwieniem jest ratowanie własnej skóry.

???

Marx usiadła ponownie z Josephem Sabahem, który sprawiał wrażenie, jakby autentycznie zatęsknił za jej towarzystwem, i przystąpiła do układania wiadomości, którą planowała wysłać na adres „Georgea Whitea” Aby wzbudzić zainteresowanie Pakistańczyka, zamierzała dokonać przelewu 50 milionów dolarów z rachunku Alphabet Capital na konto, z którego korzystał jeden z agentów Hit Parade. Aby pozostawiony ślad był absolutnie jednoznaczny, postanowiła przelać pieniądze wprost ze szwajcarskiego rachunku Howarda Egana na konto, z którego skorzystał w Dubaju przy okazji pierwszego spotkania z pasztuńskim przywódcą klanowym Azim Khanem.

Odszukała sekretarkę Perkinsa Monę, która nadal przebywała w tym, co pozostało z biura przy Mayfair Place, i poprosiła ją o dokonanie identycznej rezerwacji, jak przy okazji podróży do Islamabadu sprzed paru dni. Jednocześnie poradziła sekcji wsparcia, by ktoś z ich ludzi w centrali American Express

upewnił się, że pomimo wszelkich nałożonych na Alphabet Capital restrykcji płatność za bilet zostanie zaakceptowana.

Sabah pozwolił jej przyjrzeć się wszystkim wiadomościom, które dotychczas wysłał do „Georgea Whitea”, aby mogła dobrać odpowiedni styl. Pomógł jej też w utworzeniu prawidłowych kodów systemu SWIFT, żeby e-mail zawierał niezbędne szczegóły.

Ostatecznie doszlifowana wersja wiadomości została wysłana z gmailowego konta Josepha Sabaha pod adres george.white09@yahoo.com. W polu tematu wpisano „ciąg dalszy” zaś sama treść e-maila wyglądała następująco:

**DUŻY PRZELEW Z WCZEŚNIEJ OBSERWOWANEGO KONTA FBS W GENEWIE.
KONTO WYSYLAJĄCEGO: FBS AG GENEWA SWIFT BIC FBSWCHZH12A CH08
3771-7938-7155-8039-7. KONTO DOCELOWE: CITIBANK NA/DUBAJ SWIFT BIC
CITIAEAD AE14-5300-5845-251. ZABEZPIECZENIE ADRESATA EUROCLEAR NR
27593. SUMA PRZELEWU 50 POWTARZAM 50 MLN DOLARÓW APHELIUM.**

Wiadomość odleciała w cyberprzestrzeń. Marx poinformowała o jej wysłaniu Centralę. Od tej chwili całość amerykańskiej infrastruktury nasłuchowej skupiła się na należącej do

nieznanego adresata skrzynce na serwerze Yahoo, a także na sygnałach elektronicznych z Pakistanu, Dubaju oraz wszelkich innych miejsc związanych z jakimkolwiek znanym agentem.

Dwadzieścia cztery godziny upłynęły w spokoju. Niebawem jednak zakotłowało się, wydarzenia nabrały tempa, bo ryba połknęła haczyk.

Rozdział H

KARACZI. PAKISTAN

O zmierzchu widoczne z przeszklonych wieżyczek salonu Klubu Wioślarskiego w Karaczi światło na wodach Chinna Creek przybrało blade odcień różu. Doktor Omar odwiedzał uniwersyteckiego kolegę, przedstawiciela jednej z „dobrych rodzin” tego kupieckiego miasta, który pragnął pochwalić się przed nim siedzibą starego klubu. Na ścianach wisiały pożółkłe fotografie przedstawiające pierwsze regaty z 1881 roku oraz dawne wyścigi przeciwko osadom z Kalkuty, Madrasu

i pozostałych metropolii brytyjskich Indii. Na starych fotografiach widać było wyłącznie białych - mężczyzn w blezerach i białych płóciennych spodniach oraz towarzyszące im memsahib, kobiety w ogromnych kapeluszach i koronkowych białych sukniach. Próżno było doszukiwać się pośród nich choćby jednej smagłej twarzy, lecz wydawało się, że fakt ten nie przeszkadza obecnym członkom klubu. Ci sączyli gin z tonikiem oraz whisky, czcząc zaginiony świat, z którego ich przodkowie byli zupełnie wykluczeni.

Tego wieczoru doktor Omar pił co najwyżej coca-cole. Kiedy jeździł na zagraniczne konferencje, gdzie wino lało się strumieniami, zazwyczaj z uprzejmości wypijał parę łyków. W odróżnieniu od niektórych muzułmanów, nie robił awantury, gdy podane jedzenie nie odpowiadało zasadom halal. Zwykł mawiać, że takie podejście stanowi element bycia nowoczesnym człowiekiem, element życia we współczesnym świecie.

Zemsta miewa różne oblicza. Niekiedy stanowi nagły akt gniewu, który prowadzi do roztrzaskania maski narzuconej przez ciemności. Kiedy indziej to powolny proces, w którym owa maska stanowi niezbędną tarczę, za którą skrywa się działania niewyobrażalne dla ciemnicy. Czasem, gdy dotyczy to człowieka zdyscyplinowanego, dokonywana zemsta może być nie do zauważenia.

Profesor nie sprawiał wrażenia kogoś rozgniewanego. Był człowiekiem o elastycznym usposobieniu, zdolnym przybrać taką postawę, jaka najbardziej odpowiadała danej sytuacji. Między innymi dlatego rzadko kiedy ludzie interesowali się jego poczynaniami. Był nieuchwytny, a sprytem przewyższał kolegów po fachu. Już od dzieciństwa trzymał się na uboczu, zajmując się swoimi sprawami, a inni ludzie wiedzieli, że nawet, gdyby próbowali, nie zdołaliby ich zrozumieć.

Gospodarz zagadnął Omara o nowy kontrakt badawczy, który ten otrzymał od europejskiej firmy z branży bezpieczeństwa komputerowego. Profesor skromnie wyjaśnił, że jest jedynie drobnym podwykonawcą - przed niemal dziesięcioma laty na konferencji w Londynie przedstawił pracę na temat szyfrowanych algorytmów wyszukiwawczych i odtąd pisanie podobnych artykułów było dla niego stałym zajęciem, jak również źródłem utrzymania. Powierzchnia wody pogrążała się już w ciemnościach. Do klubowego budynku chowano ostatnie wiosła. Po drugiej stronie toru wodnego rozciągały się gęste mangrowce pokrywające płyciznę, zaś w oddali, w zanikającym świetle wieczoru - ciemnogrnatowe wody Morza Arabskiego, sięgające na zachód ku Omanowi, i dalej, ku całemu światu.

Przyjaciel doktora Omara spytał, czy powinien zakupić udziały w pewnej indyjskiej spółce z branży IT, która wypra-

cowała sobie znaczącą pozycję na tamtejszym rynku sprzedaży oprogramowania. Uczony odradził inwestycję, uznając ją za niekorzystną. Przyszłość należeć będzie nie do opakowanych w pudełka programów, a do „chmury” - aplikacji dostępnych za pośrednictwem

internetu z każdego punktu na ziemi, nawet z południowej Azji. Jednocześnie wymienił kilka amerykańskich spółek, które uważał za lepsze obiekty inwestycji.

- Rynki finansowe są zdradzieckie - ostrzegł doktor Omar. - Czytałem dziś właśnie w internetowym wydaniu „Financial Times” że jednemu z wielkich funduszy hedgingowych w Londynie grozi upadek. Spółka nazywa się Alphabet Capital. Ludzie powiadali, że była nie do ruszenia niczym skała. Zdaje mi się, że miała również inwestorów tutaj, w Pakistanie. Tymczasem jednak okazało się, że od środka zżerała ją zepsucie. Wszczęto dochodzenie na okoliczność oszustw, jej prezesa aresztowano, zrobił się potworny bałagan. Nie żeby mnie to dziwiło. Ludzie na Zachodzie starają się być za sprytni, za cwani - i sami sobie szkodzą.

- Słusznie radzisz, staruszk - zauważył gospodarz. Wieczór był bardzo przyjemny i nie było zbyt późno na wypicie jeszcze jednej whisky. Lecz doktor Omar musiał się już pożegnać.

Przez część trwającego akurat letniego semestru pracował w niepełnym wymiarze godzin na położonym niedaleko klubu Uniwersytecie Bahria, gdzie piastował stanowisko adiunkta na wydziale informatyki. Przed kilkoma dniami przyjechał z Islamabadu i miał tej nocy jeszcze coś do zrobienia w swej pracowni. Wychodząc z salonu dla członków klubu, przystanął, by jeszcze raz podziwiać pamiątki oraz stare fotografie, przedstawiające trzymających wiosła mężczyzn we flanelowych szortach oraz panów i panie, którzy wspólnie kąpali się w zatoce, zanim jeszcze jej wody zostały zanieczyszczone, a miejscowa kultura uległa przemianie.

Tradycja ma znaczenie, skostatował przyjaciel doktora Omara, ten zaś zgodził się, że istotnie tak jest.

???

Doktor Omar był zmęczony. Wolał nie przyznawać się do tego przed swym przyjacielem z klubu, ani też przed nikim innym, był to jednak fakt. Był jak łódź, która od zawsze płynęła pod prąd. Jeszcze jako chłopiec musiał walczyć, by wyrwać się z życiowych schematów narzucanych przez plemienną społeczność i stworzyć więzy łączące go ze światem zachodnim - co też mu się udało, zarówno w wymiarze materialnym, jak i duchowym. Lecz kiedy związki te zdążyły się utrwalić i przybrały formę wizyt, spotkań i konferencji, nastąpiło pewne wydarzenie, które zmusiło go, by powiosłować z powrotem w rodzinne strony, tym razem w tajemnicy. Jednak nawet, gdy znajdował się w domu, nie czuł się pewnie. Nie było takiego miejsca, gdzie mógłby poczuć się swobodnie czy bezpiecznie.

Profesor nie wierzył w nieskończoność zemsty, podobnie zresztą jak w nieskończoność czegokolwiek, co dotyczyłoby śmiertelnych istot ludzkich. Zdarzało się, że pytał samego siebie - kiedy powiezieć „dość”? Kiedy uznać, że wystarczy przelanej krwi? Tego ojciec, który uczył go plemiennego kodeksu honorowego, nigdy nie wyjaśnił. Zasada brzmiała „oko za oko” lecz jak zmierzyć doznaną zniewagę? Jak wycenić plamę na honorze i strach?

Kiedy ujrzał w telewizji, jak Amerykanka, którą usiłował zabić, pociesza pakistańską wdowę w islamabadzkim szpitalu, przeszło mu przez myśl, że tyle wystarczy. Jednakże zemsta ma swój ciężar i siłą rozpędu popchnęła go, by uczynił kolejny krok.

Omar pomyślał o swojej siostrze, która mieszkała w Pe-szawarze i była jedynym żyjącym członkiem jego najbliższej rodziny. Jej syn Rashid miał teraz jedenaście lat. Pół roku temu Omar złożył im wizytę, przywożąc chłopcu w prezencie niewielki komputer. Rashid prosił go, by przyjeżdżał częściej, lecz ze względów bezpieczeństwa nie było to możliwe. Zbyt wiele osób się nim interesowało, a przecież wymazanie przeszłości kosztowało go tyle wysiłku.

Przy okazji ostatniej wizyty w Peszawarze siostrzeniec zaproponował Omarowi, by pobawili się w matematyczne łamigłówki - było to niezwykle.

- Znam wszystkie liczby doskonale - oświadczył siostrzeniec. - Sześć, dwadzieścia osiem, czterysta dziewięćdziesiąt sześć, osiem tysięcy sto dwadzieścia osiem.

- Bardzo dobrze - pochwalił go doktor Omar. - Bystry z ciebie chłopak.

- Znam też liczby pierwsze - pochwalił się chłopiec. - Dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście, trzynaście, siedemnaście.
- To akurat proste. Wymień liczby pierwsze powyżej stu.
- Sto jeden, sto trzy, sto siedem, sto dziewięć, sto trzynaście.
- Bahadur! - wykrzyknął Omar, co oznaczało „zuch chłopak”. - A teraz powyżej pięciuset.
- Pięćset trzy, pięćset dziewięć, pięćset dwadzieścia jeden, pięćset dwadzieścia trzy...
- WAllah! - zawołał Omar i poklepał chłopca po głowie. W miarę, jak słuchał kolejnych liczb, czuł, jakby zapadał się w czasie. W dzieciństwie recytował tę samą listę liczb samemu sobie, gdyż jego ojciec nie był w stanie pojąć zagadnienia. Ale Rashid nie wpadnie już w stan zawieszenia między dwoma światami. Jemu będzie dane żyć tylko w jednym z nich. I tego właśnie dnia, po odwiedzinach u siostry, po pożegnaniu, Omar złapał się na myśli, że być może oto nadszedł kres. Być może to była poszukiwana przez niego równowaga. ???

Doktor Omar przemierzył na piechotę kilkaset metrów, które dzieliły Klub Wioślarski od zabudowań uczelni. Po drodze minął kwatery, w których rezydowali starsi oficerowie marynarki wojennej, a następnie wszedł w bramę Uniwersytetu Bahria, swoją drogą również powołanego do życia przez środowisko marynarki. Inżynierowie morscy wyrażali zainteresowanie owocami jego pracy badawczej, podobnie jak przedstawiciele wielu innych dziedzin. Stojący w bramie portier przepuścił naukowca, a ten wszedł po schodach do swojego gabinetu. Z okien pomieszczenia roztaczał się widok na trawnik, który pod wpływem letnich upałów przybrał niezdrowy, wyblakły seledynowy odcień.

Profesor włączył komputer i konto po koncie sprawdził pocztę elektroniczną. Maszyna, z której korzystał, należała do uczelni, a jej numer IP w żaden sposób nie był powiązany z jego osobą. Profesor dysponował niemal tuzinem rozmaitych adresów, przy czym pod każdym posługiwał się innymi personaliami i przechowywał inne tajemnice. Pod koniec sesji zajrzał do skrzynki w serwisie Yahoo, którą sprawdzał codziennie na wypadek pojawienia się jakichś nowych informacji.

To, co tego wieczora ujrzał pod adresem Yahoo, wprawiło go w zdumienie. Nieprzyjaciół okazał się nieustraszony. Wrogi stwór mimo odciętej głowy nadal się poruszał.

Zlikwidować takiemu centrum operacji finansowych, a i tak znajdzie sposób na przerzucanie środków. I do tego ponownie do Dubaju, do tego samego banku, tym razem pięćdziesiąt milionów na kolejne łapówki. Bez dwóch zdań, świadczyło to o arogancji.

Profesor sądził już, że udało mu się zaspokoić głód zemsty, lecz oto nadarzała się szczególna okazja. Odpisał krótko swemu belgijskiemu informatorowi w udawanym amerykańskim slangu:

Nieźły towar. Trzymaj się. George.

Teraz doktor Omar prędko przystąpił do działania, aby przy użyciu zbudowanej na przestrzeni ostatniego roku poufnej sieci wykorzystać otrzymaną informację. Wysłał wiadomość do Pakistańczyka, który pracował w dubajskim oddziale Citiban-ku, prosząc go o zwrócenie uwagi na pokaźny przelew środków z pewnego rachunku FBS w Genewie. Następnie napisał do innego Pakistańczyka, zatrudnionego w Dubaju w rządowej Agencji Bezpieczeństwa Żeglugi Powietrznej Zjednoczonych Emiratów Arabskich i poprosił o podesłanie listy nazwisk oraz numerów kart kredytowych odpowiadających wszystkim kupionym w ciągu tygodnia biletom do Dubaju.

Niebawem otrzymane dane złożyły mu się w logiczną całość. Późną nocą doktor Omar poznał tożsamość wybierającej się do Emiratów kobiety oraz godzinę lądowania jej samolotu.

Paradoks - to właśnie ona swego czasu zdobyła się na odruch miłosierdzia, a mimo to kontynuowała swoją wrogą działalność. Doktor mógł się tylko zadumać nad okrutną determinacją Amerykanów. Ich fasadowa spółka w Londynie upadała, a oni dalej mieszały się w cudze sprawy. Dlatego też w ostatecznym rozrachunku zwycięstwo musiało przyspaść ich

przeciwnikom - Ameryka z każdym kolejnym ruchem coraz bardziej pograżała się w szaleństwie. Nie wiedziała, kiedy należy się zatrzymać. Zaprzagnął pojechać do Dubaju i osobiście się z nimi policzyć. Byłoby to jednak nierozsądne. Lepiej będzie skontaktować się z którymś z członków siatki. Było już po północy, gdy doktor Omar, powysyławszy wszystkie wiadomości, opuścił pracownię komputerową i udał się na kwaterę, aby zaznać chociaż kilku godzin snu. Rzadko kiedy wymieniał korespondencję w takiej ilości, był już zniecierpliwiony.
???

Kiedy tajemniczy profesor uaktywnił się w internecie, ludzie odpowiedzialni za podsłuchiwanie i podglądanie byli na stanowiskach. Cyril Hoffman zrobił, co do niego należało - niewielkie zespoły znajdowały się już na pozycjach w Karaczi i w Peszawarze. Na drugim końcu świata ludzie czytali wysyłane wiadomości i przystępowali do realizacji zaplanowanych działań. Oni również cechowali się niecierpliwością.
???

Złożywszy głowę na poduszce, doktor Omar na przemian tracił i odzyskiwał kontakt z rzeczywistością. Nocował w mieszkaniu swego nowego znajomego Aziza. Ze względów bezpieczeństwa co kilka dni zmieniał miejsce zakwaterowania. Goszczący go teraz Aziz należał do organizacji, która wspierała działania profesora. Był to człowiek z odpowiednimi znajomościami.

Omar przebudził się gwałtownie, cały zlany potem. Zakręciło mu się w głowie - śniło mu się, że spadał z wielkiej wysokości i nie było niczego, co mogłoby zamortyzować jego upadek. Spróbował ponownie zasnąć, lecz już godzinę później został obudzony.

- Telefon, Ustad - oznajmił gospodarz. - Jakiś człowiek chce z panem rozmawiać.

- Nie ma mnie tu. Powiedz mu, że to pomyłka.

- To jeden z braci. Mówi, że to pilne.

Omar przyłożył słuchawkę do ucha i wsłuchał się w głos rozmówcy. Po chwili krzyknął, jak gdyby jego skórę przecięło ostrze.

- Oddzwon, mój drogi bracie, jak tylko się dowiesz - poprosił, a jego oczy wypełniły się łzami.

Upuścił telefon. Przyłożył dłonie do głowy, a następnie skrzyżował je na piersi. Pochylił się i spróbował uklęknąć do modlitwy, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł na podłogę.

- Co się stało, Ustad? - spytał Aziz, pomagając gościowi wstać.

- W nocy w domu mojej siostry w Peszawarze wybuchła bomba. Nie wiem, czy ona i jej syn przeżyli.

Zwrócił się w stronę gospodarza, wytrzeszczając oczy z przerażenia spowodowanego nowym zwrotem, który dokonał się właśnie w historii jego zemsty.

- Kiepski ze mnie muzułmanin - wyznał Omar, biorąc gospodarza za rękę. - Musisz mi pomóc pomodlić się za mojego siostrzeńca.

Mężczyźni złapali się za ręce i brakujące do świtu godziny spędzili na wspólnej modlitwie. W końcu telefon ponownie zadzwonił. Omar nie odważył się odebrać, zostawiając to Azizowi. Gospodarz podniósł słuchawkę, uśmiechnął się i odwrócił w stronę profesora. Uśmiechał się wciąż, gdy w jego oczach pojawiły się łzy. W ten oto sposób Omar dowiedział się, że Rashid przeżył zamach.

- Bóg jest wielki - wymamrotał uczony.

Aziz przytaknął, lecz rozwój wypadków widocznie go zaskoczył.

- Usiłują mnie zabić - wyjaśnił Omar. - Nocowałem w tym domu w Peszawarze. Oni zaś prawie zgładzili niewinnego chłopca i jego matkę. Ale ten plan im się nie powiódł. Być może już tego wszystkiego wystarczy.

Doktor Omar ponownie przyłożył głowę do poduszki. W swych modłach, gdy losy jego siostrzeńca nadal się ważyły, złożył Bogu przysięgę z gatunku tych, które wszyscy składamy,

kiedy staramy się uzyskać coś od Najwyższego. Jeśli oszczędzisz tego, którego kocham, powstrzymam się. Spełnij tę prośbę, a uznam rachunki za wyrównane.
???

Następnego ranka nadeszła kolejna wiadomość. Miała postać niewielkiej bomby, która tuż przed świtem wybuchła na terenie Uniwersytetu Bahria. Eksplozja wybiła większość szyb na wydziale inżynierii, na którym miała swą siedzibę katedra informatyki. Szczęśliwie nie ucierpiał żaden ze studentów. Gdyby ładunek eksplodował kilka godzin później, w chwili, gdy schodzili się na zajęcia, z pewnością nie obyłoby się bez rannych.

Usłyszawszy nowinę, doktor Omar pomyślał o swoich własnych studentach. Chłopcy ci, kwiat pakistańskiej młodzieży, przybyli do miasta po naukę, podobnie jak przed laty on sam.
- To błogosławieństwo - oznajmił Omar swemu gospodarzowi, gdy ten przyniósł mu wiadomość.

- Ależ to z pewnością przekleństwo ze strony złoczyńców - odparł Aziz. W jego oczach błyszczały łzy. Był wściekły. - Przy pomocy tej bomby chcieli zabić pana, Ustad.

- Nie, nie, to błogosławieństwo, ponieważ nikt nie zginął. Badał dobiegł końca. Nie będziemy się już więcej o to spierać. Mam już dosyć sporów.

W głowie doktora Omara zrodziła się myśl: To ja sprowadziłem niebezpieczeństwo na tych niewinnych ludzi. Taki jest skutek wojen. Owszem, niosą one śmierć winowajcom, ale też i niewinnym. Dlatego wszelkie wojny powinny się skończyć.

???

Tego ranka, kąpiąc się i ubierając, profesor powziął decyzję. Nadszedł czas, by zakończyć działalność, by wrócić do punktu wyjścia. Żył rozdarty na dwóch stronach świata, balansował na czubku noża. Dłużej już tak nie mógł. Należało przerwać dwuznaczny proceder, projekt bowiem był już prawie zrealizowany.

Zarówno jego serce, jak i umysł były wyczerpane. Wszystko to okazało się bardziej skomplikowane aniżeli ktokolwiek by przewidział. Dokonał zemsty tak, jak należało. Nigdy jednak nie przestał prowadzić drugiego życia, w którym służył radami i wskazówkami. Postrzegał siebie jako jednocześnie darczyńcę i mściciela. Wskazywał nieprzyjacielowi potencjalnych beneficjentów, aby ten w swej hojności obsypał owe znamienite postacie pieniędzmi. Następnie zaś aranżował zabójstwa szpiegów, którzy przyjeżdżali te środki dostarczyć. Miało to w sobie prostotę zegarowego wahadła, wychylającego się to w jedną, to w drugą stronę. Lecz trzeba z tym było skończyć.

Omar wysłał wiadomość na adres, z którego nie korzystał już od bardzo dawna, należał on do człowieka, który niegdyś był jego mentorem i przyjacielem; do człowieka, któremu w istocie służył za doradcę w czasach, nim jego świat pograżył się w ciemnościach. Człowiek ów nie odpowiedział na wiadomość, Omar zadzwonił więc pod numer telefonu komórkowego, którego - jak mu powiedziano - używać miał wyłącznie w wypadku sytuacji absolutnie nadzwyczajnych. Był to „czysty” numer, numer z założenia jednorazowego użytku.

Mężczyzna, który odebrał, mówił swobodnie i niezobowiązująco, jak to zwykli czynić Amerykanie. Tak, oczywiście, że pamiętał profesora. Jego pomoc w charakterze doradcy okazała się nieoceniona. Istotnie, przyjemnością byłoby spotkać się z nim ponownie. Wyjazd do Pakistanu nie wchodził w rachubę, lecz być może mogliby się zobaczyć w Londynie, gdzie rozmówca miał coś do załatwienia. Należałoby zachować dyskrecję, nie pozostawiając żadnych śladów natury elektronicznej. Zawsze dobrze spotkać się ze starym przyjacielem - zauważył Amerykanin - i domknąć krąg.

Jak najbardziej, przyznał pakistański profesor. Domknąć krąg. Następnie zeszli na temat miejsca, w którym mogliby się spotkać. Powinien to być teren neutralny, gdzie obaj czuliby się bezpiecznie, na przykład park na obrzeżach miasta. Amerykanin zaproponował konkretną, wyjątkowo odludną część Kew Gardens na zachodnich krańcach Londynu.

Pakistańczyk zgłosił Amerykaninowi parę innych oczekiwań, wymieniając osoby, które również powinny wziąć udział w ich spotkaniu. Jak tłumaczył, była to kwestia gun-di. Ostatniego słowa nie przetłumaczył na angielski, a rozmówca go o to nie poprosił, lecz po pasztuńsku znaczyło ono „równowaga”.

Rozdział 78

UfISZYNGTOH/LONDYN

Gabinet Cyrila Hoffmana mieścił się na niebosiężnym siódmym piętrze Centrali, jednakże nie po modnej stronie, z której widok ponad drzewami roztaczał się na wody Potomaku. Taką panoramę zagwarantowaną mieli dyrektor oraz jego zastępcy do spraw operacyjnych i analitycznych, ale już nie skromny pracownik w osobie zastępcy wicedyrektora, dzięki któremu firma funkcjonowała, gdy jej najzdolniejsi pracownicy hulali po świecie i spijali śmietankę. Okna jego gabinetu wychodziły na drugą stronę, w kierunku stołówki i bezbarwnej fasady nowego budynku Centrali, a w oddali można było zauważyć wielkie place parkingowe, uroczo nazwane od kolorów: niebieski, zielony, żółty i fioletowy.

Hoffman lubił mówić głośno o tym, jak to jest jednocześnie być niemodnym i niezbędnym.

Orientował się w rzeczywistych sekretach, dzięki którym Agencja była w stanie funkcjonować - któredy płynęły pieniądze, jak pozyskiwano lokale na kryjówki, gdzie znajdowały się hangary na samoloty, jak maskowano ich numery rejestracyjne. Pojmował to, z czego nigdy nie zdali sobie sprawy jego bardziej przebojowi agencyjni współpracownicy: Władza nie oznaczała jednej, wielkiej rzeczy, a sumę rzeczy małych.

Dla Hoffmana był to dobry dzień. Mechanizm, który wraz z Sophie Marx uruchomili, by namierzyć ściganą zwierzynę, zadziałał. Gdyż - jak to Hoffman lubił powtarzać - znalezienie igły w stogu siana nie jest tak trudne, jakby się mogło wydawać, jeśli do tej igły zdołałeś przywiązać nitkę. Rzeczą polegała na skoordynowaniu pracy tych, którzy szukają z działaniami tych, którzy znajdują, czyli, aby posłużyć się żargonem wywiadowców, analityków z agentami terenowymi. Ów proces poszukiwania i odkrywania Hoffman wprowadził w ruch, gdy tylko otrzymał plan operacyjny od przebywającej w Belgii Marx.

Centralna Agencja Wywiadowcza popełniała wiele błędów, jednakże rozumiała istotę skromnego zadania, jakim była identyfikacja celów. Ich namierzaniem nie zajmowali się wybrańcy ze Służby Tajnej czy małpoludy z Sekcji Terenowej, a ludzie Hoffmana - komputerowi spece z Zarządu ds. Nauki i Technologii, którzy wymyślali przeróżne gadzety, goście z Działu Wsparcia, którzy rozlokowywali je w odpowiednich miejscach, a także analitycy z Zarządu Wywiadu, którzy rozgryzali rzeczywiste znaczenie pozyskanych informacji.

Każdego dnia zespoły analityków w Bagdadzie i Kabulu przygotowywały listy dla Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych. Ludzie ci byli w stanie rozpracować ogólnokrajową sieć telefoniczną i ponakładać na siebie schematy wykonywanych połączeń, tak żeby komórki Al-Kaidy rozświeślały się niczym choinkowe lampki. Potrafili określić położenie konkretnego, interesującego ich telefonu komórkowego z dokładnością do jednego metra, a następnie - zlokalizowawszy cel - uporczywie go śledzić, by w najbardziej odpowiednim momencie zaatakować.

Przez kilka fatalnych tygodni ów proces odkrywania nie funkcjonował, gdyż Agencja nie dysponowała odpowiednimi współrzędnymi, które mogłaby wprowadzić do schematu wyszukiwawczego. Teraz jednak wszystkie elementy trafiły na swoje miejsce. Wiadomość e-mailowa od „Georgea Whi-te'a" została natychmiast wychwycona na amerykańskim serwerze Yahoo. Nieco więcej czasu zajęło zlokalizowanie komputera w Karaczi, z którego została ona wysłana, wkrótce jednak i to się udało, zaś Centrum Operacji Informatycznych w Langley zdołało wyśledzić wszelkie inne wiadomości, które zostały stamtąd nadane bądź też tam trafiły. Namierzenie połączeń z amerykańskimi telefonami komórkowymi było już trudniejsze, wzięwszy pod uwagę ograniczenia natury

prawnej, lecz była to tylko mała niedogodność. Gdy wiedzano już, gdzie szukać, cała reszta szła jak po maśle.

Kiedy analitycy zadzwonili do Hoffmana, by donieść mu, że zidentyfikowali poszukiwany cel, wiedział, iż należało podjąć działanie i zlikwidować go jak najszybciej, zarazem jednak czyniąc to w odpowiedni sposób. Postawił na nogi ludzi z CIA w Karaczi, Islamabadzie i Dubaju. Zaalarmował również przydzielonego do Centrali łącznika z Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych, aby przygotować siły wojskowe. Do wykonania pozostał mu jeszcze jeden kluczowy telefon, to jednak mogło chwilę poczekać. Pragnął najpierw nagrodzić samego siebie za niedostrzeżony przez innych artym.

Wysłał sekretarkę do stołówki po porcję czekoladowo--waniliowych lodów z automatu. Są mężczyźni, którzy - gdy najdzie ich ochota na świętowanie - robią coś szalonego, fundują sobie noc z luksusową prostytutką lub też upijają się do nieprzytomności w miejscu publicznym. Przyjemności, na jakie pozwalał sobie Hoffman, były łagodniejsze. Kiedy przyniesiono mu deser, wyciągnął z biurka opakowanie ciasteczek owsianych i rozkruszył jedno nad lodami, aby w ustach, prócz zimna, poczuć coś chrupiącego.

Zjadłszy lody, Hoffman zadzwonił do Belgii do Sophie Marx. Wciąż przebywała w rezydencji na skraju bazy NATO, czekając na pozwolenie na podróż do Dubaju. Pozwoliła sobie akurat na popołudniową drzemkę, lecz gdy tylko usłyszała głos w słuchawce, oprzytomniała.

- Mamy go - oznajmił Hoffman. - Możesz rozpakować walizkę i się rozluźnić.

Marx na moment oniemiała. Kiedy tak bardzo się czegoś pragnie, trudno uwierzyć, gdy wreszcie się to osiąga.

- Dzięki Bogu - wyrzuciła z siebie. I kto to do cholery jest?

- To pakistański informatyk, niejaki Omar al-Wazir. Analitycy ciągle uzupełniają jego dane, lecz z tego, co już wiemy, jest on Pasztunem, a przy tym geniuszem od komputerów. Jeździ po całym świecie. W tym momencie jest w Karaczi, gdzie wyklada na jednym z miejscowych uniwersytetów, lecz na co dzień pracuje na Narodowym Uniwersytecie Nauko-wo-Technologicznym w Islamabadzie. Nie wydaje mi się, byś nadal była na jego celowniku. Pozwolę sobie przypuścić, iż jego głównym zmartwieniem jest w tej chwili utrzymanie się przy życiu.

- Da się go dorwać? Chciałabym go przyskrzynić.

- Nie wydaje mi się, by pojmanie było w tym przypadku odpowiednim rozwiązaniem.

Robimy obecnie to i owo. Minionej nocy wysłaliśmy z konsulatu zespół na kampus uniwersytetu. Inwigilacja i coś jeszcze, że tak to sformułuję. Rezydentura w Islamabadzie namierzyła inne miejsce, w którym swego czasu nocował, i również wysłała tam ekipę. Można powiedzieć, że oddaliśmy parę strzałów ostrzegawczych.

- Powiedziałeś o tym Pakistańczykom?

- Broń Boże. Z zasady nie informuję generała Malika o niczym, chyba że miałyby to na celu jego zmylenie. Tak

samo zresztą generał postępuje ze mną. Wcześniej czy później będę mu musiał coś powiedzieć. Przyda nam się pomoc przy rozmontowywaniu podziemnej siatki stworzonej przez poczciwego doktora Omara. Wszystkich ich sami nie powybijamy.

- Co jak na razie wiemy o tej sieci?

- Dzięki tym wiadomościom udało nam się zidentyfikować dwie osoby w Dubaju. O świecie zostaną aresztowane przez władze Emiratów. Analizujemy wcześniejszą korespondencję zarówno prowadzoną przez samego profesora al-Wazira, jak i przez każdego, z kim się kontaktował. Jak tylko będziemy pewni winy któregoś delikwenta, postaramy się go zwinąć.

- Pan tu rządzi, panie Hoffman.

- A bardzo dziękuję, ale nie powiedziałem ci jeszcze rzeczy najciekawszej. Sprawdzaliśmy kontakty doktora Omara z Amerykanami i zgadnij któż to nam wyskoczył przy pierwszym rozeznaniu? Uprzedzam, że może cię to nieco wyprowadzić z równowagi.
- Marx znała już odpowiedź. Czują, jakby znała ją już wiele dni, jeżeli nie tygodni.
- Jeff Gertz - wymamrotała.
- Zuch dziewczyna! Skąd to wiesz, jeśli można spytać?
- To musiał być on. Z tego, co Joseph Sabah opowiedział mi o doradcach, domyśliłam się, że Gertz musiał kontaktować się z Pakistańczykiem. Tyle, że nie chciałam w to uwierzyć.
- Ale musisz - odparł Hoffman. - Obawiam się, że Jeffrey wdepnął w raczej sporą kupę.
- Co na niego masz?
- Jak na razie niewiele. Analitycy dopiero co zaczęli wyszukiwanie. Wygląda jednak na to, że rozmawiali ze sobą dosyć regularnie. Pewnie się domyślasz, że sprawa jest co najmniej delikatna. Dla nas to kompromitacja, podobnie zresztą jak dla Białego Domu. Ale zagarniemy temat dla siebie, a następnie dokładnie się mu przyjrzymy. Nie ma wątpliwości, że Biały Dom zapragnie ograniczyć powstałe straty, jestem też pewien, że bardziej wezmą sobie do serca argumenty za wzmocnieniem Agencji, które od jakiegoś czasu przedstawiałem im w imieniu samego dyrektora.
- Gdzie jest teraz Jeff? Nadal w Los Angeles?
- W żadnym razie. Zamknął interes na cztery spusty. Twoje ukochane biuro zostało już zapewne przekształcone w solarium albo salon manicure. Jeffrey jest teraz w ruchu, zwijając i porządkując to i owo. I mu się nie dziwię. Z tego co słyszałem, ostatnio wybierał się na Wyspy.
- Ja również tam jadę, proszę pana. Skoro namierzylimy już naszego pana al-Wazira, chcę wrócić do Londynu. Zostawiłam tam wszystkie rzeczy. Mam już dość chodzenia w tych samych ciuchach. A szczerze - martwię się o Toma Perkinsa. Chcę sprawdzić, czy istnieje jakaś możliwość, żeby z nim porozmawiać. Może uda mi się mu pomóc. Mam na to pańską zgodę?
- W gruncie rzeczy nie wydaje mi się, byś jej potrzebowała. Tak naprawdę nie jest jasne, dla kogo ty w ogóle pracujesz. Ale w żadnym wypadku nie odważyłbym się na zbyt długo oddzielać damę od jej garderoby. A skoro wybierasz się do Londynu, to i może ja tam wpadnę. Urządzimy sobie zebranko, co ty na to?
- Przyjęcie dla ekipy - odparła. - Takie, jakie się urządza, gdy zdejmują program z anteny.
- W żadnym razie, moja droga. Nasz program nadal czeka wspaniała przyszłość. Zajdzie tylko kilka zmian w jego obsadzie.

Rozdział 79

LONDYN

Najpierw funkcjonariusze Metropolitan Police zabrali Thomasa Perkinsa do aresztu tymczasowego na głównym komisariacie West Endu. Mieścił się on na Savile Row, akurat po sąsiedzku z krawcem Perkinsa. Komenda była ceglanym pudłem wzniesionym w bezkształtnym i ograniczonym stylu brytyjskich budynków użyteczności publicznej z lat 60. i 70., gdy ze względów ekonomicznych udekorowanie fasady bądź zaprojektowanie wystarczająco przestronnych pomieszczeń zakrawało na cud. Przez noc policjanci przetrzymali Perkinsa w celi na parterze, nie do końca pewni, co też powinni z nim zrobić. Jego przypadek wzbudził duże zainteresowanie, nie tylko ze strony Biura ds. Wielkich Oszustw, ale też pewnego młodego człowieka, który podawał się za przedstawiciela Fo-reign Office i przesiadywał w pokoju załogi u boku pełniącego służbę sierżanta. Tegoż wieczora biuro komisarza New Scotland Yardu wydało rozporządzenie, w którym nowego aresztanta z komisariatu na West Endzie uznano za stanowiącego zagrożenie. Rozkaz nie określał, czy miał on być zagrożeniem dla innych, czy też dla siebie samego, w każdym

razie na komendę przysłano dodatkowy pododdział, którego zadaniem było niespuszczenie oka z zatrzymanego. Funkcjonariusze nie raczyli poinformować, kto taki ich przysłał, lecz pełniący służbę sierżant dowiedział się od kolegi z centrali, że należeli oni do wydziału antyterrorystycznego znanego jako SO15. Oddelegowani agenci utworzyli kordon wokół posterunku, a także zakazali parkowania na górnym odcinku Savile Row oraz n» Polegającej Boyle Street.

Sam Perkins był całkiem zadowolony. Zjadł syjący obiad w postaci spaghetti z sosem mięsny, podjął się też próby nawązania rozmowy z dwoma pozostałymi zatrzymanymi na noc aresztantami. Niewiele to jednak dało, jako że obaj trafili tam za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego. Jeden by* Pijany w sztok, drugi zaś stracił przytomność.

Po upływie trzydziestu sześciu godzin Perkins został z rozkazu królewskiej prokuratury przeniesiony do starego, wiktoriańskiego więzienia w Północnym Londynie, znanego jako pentonville. Budowla, wzniesiona za rządów królowej Wiktorii jako modelowy zakład karny, była zdecydowanie większa i bardziej imponująca. Od frontu budynek posiadał kremową fasadę, odpowiednią dla miejskiej rezydencji z czasów georg'ańskich; wewnątrz znajdowały się obiekty służące dbaniu o zdrowie i kondycję, jak również oferujące nowoczesny wachlarz programów terapeutycznych. Umieszczona przed bramą tabliczka informowała, że wśród pensjonariuszy więzienia na przestrzeni dziejów trafiły się takie sławy, jak Oscar Wilde czy Boy George.

pierwszej chwili po umieszczeniu w policyjnym furgonie Perkins denerwował się, iż być może to CIA organizuje mu jakąś potajemną ekstradycję. Jednakże przez zakratowane okna zdołał dostrzec, że pojazd nie zmierza na zachód, w kierunku Heathrow, a na północ, mija stacje kolejową Kings Cross oraz St. Pancras i wzdłuż Caledonia Road kieruje się ku Islington. Dyrektor więzienia, wysoki mężczyzna z długim nosem i siwą grzywką, osobiście przywitał Perkinsa i wydał mu komplet szarych dresów. Przydzielono mu celę w skrzydle A, przeznaczonym dla nowoprzybyłych. Po godzinie jednak nadeszła dyspozycja nakazująca oddzielenie go od pozostałych, więc przeniesiono go na pusty korytarz skrzydła D, zarezerwowany dla „ważniejszych” więźniów, których jednocześnie uznawano za nieagresywnych. Wydano mu telewizor oraz stos starych egzemplarzy czasopisma o życiu gwiazd pod tytułem „OK!”, zawierających zdjęcia piersiastych aktorek oraz członków rodziny królewskiej.

Pierwszego popołudnia pobytu w Pentonville Perkinsa odwiedził jego waszyngtoński prawnik Vincent Tarullo. Towarzyszył mu układny brytyjski adwokat, prowadzący dotychczas negocjacje z oskarżycielami. Przydzielono im pomieszczenie do widzeń w przednim skrzydle kompleksu, nieopodal gabinetu dyrektora. Tarullo był potężnym mężczyzną, który zazwyczaj chodził żwawym krokiem, dzisiaj jednak jego ciało sprawiało wrażenie ociężałego. Powstałe wokół oczu obwódki zdradzały wyczerpanie spowodowane bezowocnymi wysiłkami po obu stronach Atlantyku, mającymi na celu zapewnienie swemu klientowi zwolnienia.

Gdy więzienni strażnicy wprowadzili Perkinsa, prawnicy siedzieli już przy drewnianym stole. Zatrzymany uśmiechał się i wyglądał na wypoczętego. Tarullo trzymał w ustach nie-zapalone jeszcze cygaro, które jeden ze strażników kazał mu odłożyć.

???

- Cześć, Vince - przywitał się Perkins. - Wyglądasz potwornie. Domyślam się, że z mojej winy. Wybacz.

- Co ci tak wesoło? Siedzisz bardzo głęboko w gównie, przyjacielu.

- I mi się tu podoba. Dostaję trzy posiłki dziennie, mam własną toaletę oraz wygodne łóżko. Prawdę powiedziawszy, od wielu miesięcy tak dobrze mi się nie spało. Sam powinieneś spróbować.

- Nie przyzwyczajaj się. Czy ci się to podoba, czy nie, zamierzam cię stąd wyciągnąć- Przyprowaździłem pana Chum-leya, który będzie zaraz składał liczne wnioski i podania.

- Gormleya - wtrącił prawnik. - Nazywam się Gormley.
- Zanim przejdziemy dalej, mam jedno pytanie - oznajmił Perkins. - Znalazłeś Anthony ego Cronina?

Tarullo pokręcił głową.

- Jezu, Vince! Kiedy ostatnio gadaliśmy, poleciłem ci przycisnąć kogokolwiek znasz- byle tylko gościa znaleźć. To on mnie w to wpakował. I dzięki niemu mogę się z tego wyrwać. Tarullo westchnął i wzruszy* ramionami. Z kieszeni na piersi wyciągnął cygaro, włożył je ponownie do ust, po czym położył na stole między sobą a klientem.

- Anthony Cronin nie istnieje, a przynajmniej nie istnieje nikt, kto odpowiadałby twojemu opisowi. Przekopałem cały rząd, byle tylko go namierzyć- Zadzwoiłem do wszystkich możliwych informatorów zarówno w Agencji, jak i w FBI. Szarpnąłem się na „opłaty konsultacyjne” dla dwóch byłych szefów nowojorskiej placówki CIA. Opłaciłem nawet jakiegoś palanta, żeby przyjrzał się liście członków Athenian Club. Wybacz, nikogo takiego nie ma.

- Ależ oczywiście, że jest- Rozmawiałem z nim i to niejednym raz. Podpisywaliśmy Papiery Założyliśmy wspólne rachunki w FBS w Genewie. Do cholery, Anthony Cronin był moim współnikiem.

- To fikcyjne dane, brachu. Przykro mi, że muszę cię oświecić, ale oni czasami tak robią- Kimkolwiek jest ten gość, zniknął.

- No to niech Agencja znajdzie człowieka, który się tymi danymi posługiwał.

- Próbowałem. Twierdzą, że nigdy nie prowadzili takiej operacji. Żadnego Cronina, nikogo z takim kryptonimem, zero związków z Alphabet Capital. Nic.

- Ale to bzdury, Vince. Tym ludziom płacą za to, żeby kłamali.

- Możliwe, ale w takim wypadku okłamywali wszystkich wokół, bo absolutnie nikt nic o tym nie wie. Poszedłem z tym nawet do obu komisji w Kongresie - sam widzisz, jak bardzo cię kocham. Skontaktowałem się z jednym z moich kumpi na Kapitolu, gość jest wiceszefem komisji. Dżentelmen ów wisi mi przysługę - szczerze powiedziawszy - zawdzięcza mi swój stołek. Ma dostęp do wszelkich możliwych akt. Przespacerował się do skarbcza i poprosił o wszystkie dane dotyczące tajnych akcji i działań własnościowych związanych z amerykańskimi spółkami finansowymi za granicą. Specjalnie dla niego przeprowadzili wyszukiwanie i dostał figę z makiem. W papierach nie ma po tym śladu.

Perkins walnął w stół i sprawił, że cygaro przeturlało się na brzeg, gdzie złapał je Tarullo.

- A to skurwiele! Vince, oni chcą mnie zmiążdżyć. Robię za kozła ofiarnego. Zwijają operację, którą prowadzili za pośrednictwem mojej firmy, a przy okazji postanowili załatwić i mnie. Skończyli robić, co tam robili i uznali, że jestem zbędny.

- Otóż to. Na tym to polega. Pytanie brzmi: co wraz z panem Chumley em mamy w takim razie zrobić?

- Idźcie z tym do sądu. Wygrajcie sprawę. I wygrzebcie mnie z tego.

- Nie tak szybko, przyjacielu. Brytole zgromadzili wystarczająco dużo dowodów, żeby cię załatwić: poświadczenia

nieprawdy przed organami kontrolnymi, transakcje z wykorzystaniem informacji poufnych, niezgłoszone fiskusowi szyfrowane rachunki w szwajcarskich bankach. Mają na ciebie naprawdę sporo. Na dodatek przykro mi to mówić, ale nawet w Anglii ławy przysięgłych nie pałają sympatią do miliarderów. Raczej pragną ich ukrzyżować. Miałyś problem ze znalezieniem dobrego prawnika, który byłby gotów bronić cię przed sądem.

Perkins wysłuchał litanii swych występów, po czym potrząsnął głową.

- To wszystko brednie. Wykorzystywali mnie, dopóki im to odpowiadało, a potem podkablowali mnie Brytyjczykom. Wrabiają mnie, od początku do końca.

- Tom, chcesz poznać moją opinię jako zawodowca? -Nie.

- Sprawa jest z góry przegrana. Jeśli dojdzie do procesu, już po tobie. Obecny tu pan Chumley rozmawiał z prokuratorem, czego mi osobiście nie wolno robić. Moim zdaniem powinieneś posłuchać, co ma ci do powiedzenia.

- Może mnie z tego wyciągnąć?

- W pewnym sensie. Wysłuchaj go.

- No dobra. I przestań, na Boga, mówić o nim „pan Chumley”. Już ci przecież powiedział, że nazywa się Gormley.

Przedstawicielowi brytyjskiej palestry wyraźnie ulżyło.

- Dziękuję. Pan Tarullo przedstawił sytuację całkiem trafnie. Dzisiaj rano rozmówiłem się z panem Craneem z Biura ds. Wielkich Oszustw, któremu towarzyszył dosyć agresywny jegomość z Królewskiej Służby Prokuratorskiej. Omówiliśmy ewentualność, w której przyznałby się pan do winy w zamian za skrócenie listy zarzutów. W takim wypadku uniknęlibyśmy ryzyka zeznawania przed ławą przysięgłych, co - jak nadmienit pan Tarullo - mogłoby mieć nieprzyjemne konsekwencje, zważywszy na obecne nastroje społeczne względem, cóż, środowisk finansowych.

- Do czego miałbym się przyznać? Zakładając, że zamierzałem udawać, że nie zrobiłem nic złego.

- Nadal jest to przedmiotem dyskusji. Dzisiaj rano dano mi jednak do zrozumienia, że ewentualna ugoda mogłaby polegać na przyznaniu się do kilku oszustw natury bankowej oraz do paru oszustw podatkowych.

- Jak w takim wypadku brzmiałby wyrok?

- Decyzja należałaby do sędziego. W wypadku przyznania się do winy wytyczne zawsze zalecają obniżenie wyroku do pewnego stopnia. Nadal jednak w grę mógłby wchodzić krótki pobyt w więzieniu.

- Co oznacza „krótki”?

- Przy skazaniu za najprostsze oszustwo bankowe wytyczne sugerują dwadzieścia sześć tygodni. Za oszustwo podatkowe - dwanaście tygodni. Przypuśćmy zatem, że byłoby to coś zdecydowanie poniżej roku. Rzecz jasna, mogłoby to być trochę mniej lub trochę więcej, a być może obyłoby się nawet bez więzienia.

- Zgódź się - doradził Tarullo. - To twoja najlepsza szansa.

- Zamknij się. A przypuśćmy, że nie pójdę na ugodę i zostanę uznany za winnego, co by mnie wtedy czekało?

- Mój Boże, trudno powiedzieć, ale byłoby to raczej nieprzyjemne. Sędziemu nie spodobałby się fakt, iż podporządkował pan sobie pracownika Banku Anglii.

- Ile odsiadki?

- W przypadku poważnego oszustwa bankowego zalecenia mówią o pięciu latach, plus kolejne pięć za poważne oszustwo podatkowe, plus dziesięć za poświadczenia nieprawdy, plus siedem za fałszywą księgowość, plus pięć za nieuczciwe pozyskiwanie usług. Więc łącznie dawałoby to, niech policzę, jakieś trzydzieści lat. Ale musiałyby się trafić wyjątkowo surowy sędzia.

- Gwoli ścisłości, trzydzieści dwa lata - poprawił Tarullo. - Nie bądź idiotą.

- Dobrze, no to zakładając, że posłuchałbym się moich prawników i poszedł na ugodę, niech pan mi powie, panie Gormley, czy mógłbym wrócić do pracy w sektorze inwestycyjnym?

- Obawiam się, że raczej nie, a już na pewno nie na terenie Zjednoczonego Królestwa.

- A czy byłbym narażony na pozwy cywilne ze strony inwestorów?

- Przykro mi to mówić, ale niestety tak, temu nie dałoby się zapobiec. Argumentowałiby, że fakt przyznania się do winy przesądza sprawę, więc byłby pan właściwie bezbronny.

Perkins odwrócił się teraz w stronę postawnego prawnika ze Stanów.

- I to samo odnosiłoby się do USA, zgadza się, Vince? Musielibyśmy się dogadać z Komisją Papierów Wartościowych i w najlepszym wypadku zabroniliby mi działalności w charakterze

maklera lub doradcy inwestycyjnego. Materiał dowodowy z sądu brytyjskiego mógłby posłużyć przy procesach cywilnych w Ameryce, a każdy chytrzejszy prawnik, chcąc zgarnąć darmowy szmal, mógłby złożyć pozew, licząc na ugodę. Dobrze mówię?

- Rzecz jasna, bronilibyśmy się przed każdym pozewem - odparł Tarullo. - Być może moglibyśmy przed sędziami podnieść kwestię bezpieczeństwa narodowego, ale wątpię, by to nam coś dało.

- Czyli, mówiąc krótko, mam przerypane. To chcecie dać mi do zrozumienia. Albo pójde z tym do sądu, ryzykując wyrok absurdalnie długiej odsiadki za liczne zarzuty oszustwa, albo pójde na ugodę w zamian za krótki wyrok, ale i tak do bankructwa doprowadzą mnie pozwy cywilne, których nie będę mógł spłacić, bo już nie mogę pracować w finansach. Zgadza się, tak w ogólnym zarysie?

- Tom, jest jak jest. Przyznaję, sytuacja mogłaby być lepsza. Czy powinieneś iść na ugodę? Zależy od tego, jak bardzo nie chcesz być przez najbliższe trzydzieści dwa lata dymany od tyłu przez współwięźniów z Brixton.

Perkins przyłożył dłoń do głowy, zasłaniając oczy i większość twarzy. Mamrotał coś do siebie, rozważając dostępne opcje. Kiedy odsłonił twarz, widniał na niej uśmiech - tajemniczy i szeroki, jakby właśnie wypuścili go z celi i odsyłali do domu.

- Ani mi się śni. Dlatego też podjąłem decyzję. Niech no tylko spróbują mnie oskarżyć. Wiecie co? Nie odważą się. Sądzą, że mogą mnie załatwić za coś, co miało miejsce, nim się w to wszystko wmieszali. Ale ja nie zamierzam się w ten teatrzyk bawić. Na cały ten materiał dowodowy cień rzuca fakt, że byłem zaangażowany w potajemną działalność wywiadowczą, któremu to faktowi CIA może i zaprzecza, ale którego nigdy, przenigdy nie pozwolą wywlec przed publicznym sądem. Więc kiedy tylko poproszą sędziego, by na osobności przedyskutować pewne tajemnice, znaczyć to będzie, że dowiodłem swego i wygrałem.

- Chcesz zatem zaryzykować? - spytał Tarullo.

- Hazard jest dla frajerów, Vince. Tu nie ma nad czym myśleć. Zrobiłem karierę dzięki temu, że wiedziałem, kiedy zaryzykować i szczerze mówiąc, w porównaniu do tego ta sytuacja to pikuś. Ci goście blefują. Ugną się. Panie Gormley, proszę przekazać Królewskiej Służbie Prokuratorskiej: „Bardzo dziękuję za propozycję, widzimy się w sądzie” Ale gwarantuję wam, że nigdy do tego nie dojdzie.

- Mocne słowa, panie Perkins - zauważył adwokat. - Przekażę pańską odpowiedź. Miejmy nadzieję, że ma pan rację.

Perkins oznajmił, że przed ich wyjściem chciałby zamienić parę słów na osobności ze swym amerykańskim prawnikiem. Pruderyjny brytyjski obrońca odmaszerował korytarzem, aby zaczekać przy wejściu.

Perkins nachylił się blisko ku Tarullo i powiedział szeptem.

- To się uda, Vince. Musisz mi zaufać.

- Skoro tak mówisz. Co ja tam wiem, Tom? Jestem tylko twoim prawnikiem.

Perkins ściszył głos jeszcze bardziej.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Zobacz się z głównym prawnikiem CIA. Zgromadź wszelkie dane, jakie tylko zdołasz, o moich rachunkach w Szwajcarii. Powiedz im, że CIA - czy jakaś ich przybudówka - wykorzystywała te konta do finansowania operacji, zaś z mojej firmy uczyniła przykrywkę dla swych ludzi. I że jeżeli mnie zmuszą, mogę to udowodnić. Zrobisz to?

- Jasne. Znam ich prawnika. Dawno temu był współnikiem w mojej firmie. Kiedy parę dni temu spytałem go o Anthony ego Cronina, powiedział, że absolutnie nie ma kogoś takiego. Ale na pewno zobaczy się ze mną.

- Powiedz mu, że to, co robią, jest nielegalne. Istnieje coś takiego, jak „Anti-Deficiency Act”. Wiesz o co chodzi?

- Oczywiście, że wiem. Jestem prawnikiem. Chodzi o to, że agendy rządowe nie mogą wydawać pieniędzy, które nie zostały im przydzielone przez Kongres. Ale skąd ty to wiesz?
- Odrobiłem pracę domową. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał z tymi ludźmi zerwać. Sęk w tym, że ktoś wykorzystywał mnie i moją firmę do łamania prawa. Bo o to w tym chodziło - prowadzili pod stołem fundusz, dzięki któremu pozyskiwali środki na swe operacje. I chcę, żebyś przekazał ich prawnikowi, że jeżeli się nie odczepią, zeznam to przed publicznym sądem w Wielkiej Brytanii, a wtedy będzie po nich.

Teatralny szept Perkinsa zrobił się na tyle głośny, że zarówno strażnik, jak i każdy, kto chciałby wiedzieć, co mówi, bez problemów mogli go usłyszeć. Nic go to jednak nie obchodziło.

Tarullo wstał, zbierając się do wyjścia. Z włoska ucałował Perkinsa w oba policzki, po czym wytoczył swe ciężkie cielsko z pomieszczenia.

Perkins odchylił się na krzesło, ręce składając z tyłu głowy. Na chwilę położył nogi na drewnianym stole, rozkoszując się swym aktem oporu. Zaraz jednak strażnik zrzucił je na ziemię i kazał Perkinsowi wrócić do swojej celi.

Rozdział 40

LONDYN

Terminal kolejowy Eurostar na dworcu St. Pancras pełen był młodych, dobrze ubranych mężczyzn i kobiet z przewieszonymi przez ramię torbami na laptopa, którzy ciągnęli za sobą walizki. W miarę jak pasażerowie w pośpiechu oddalali się ku celom swoich podróży do Londynu, słychać było cichy odgłos tysięcy skrzypiących na posadzce kółek. Zmierzali ku Euro-Brytanii, krainie barów z espresso i stoisk z kanapkami dla smakoszy, która zupełnie nie przypominała dawnego kraju obskurnych korytarzy i papierosowych niedopałków.

Sophie Marx podróżowała z nowym paszportem dyplomatycznym, który zapewniła jej ambasada w Brukseli, dzięki czemu uniknęła stania w kolejce do odprawy granicznej.

Tradycyjną czarną taksówką udała się do hotelu Dorchester, gdzie tydzień wcześniej, przed nagłym wyjazdem do Islamabadu, zdeponowała swoje bagaże w przechowalni. Na jej widok portier zdjął kapelusz i ukłonił się, zaś stróż we fraku rzucił „witamy z powrotem” zupełnie jakby przez te kilka dni bawiła na Lazurowym Wybrzeżu. Zresztą z jej wyglądu niczego nie można było wyczytać - miała na sobie dobrze skrojone spodnie i obcisłą skórzaną kurtkę i istotnie na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie kogoś, kto spędza czas na luksusowych jachtach, a nie w szpiegowskich kryjówkach.

Marx zagadnęła recepcjonistę o skromny pokój, który odpowiadałby jej obecnym możliwościom finansowym, jednak

teraz stanowiła już dla hotelu „kogoś z rodziny” w rezultacie otrzymała więc przestronny pokój z oknami wychodzącymi na park oraz z podwójnym łóżkiem z baldachimem.

Kiedy dotarła na piętro, ponownie zadzwoniła do Thomasa Perkinsa. Od dwóch dni bezskutecznie starała się z nim skontaktować zarówno pod numerem z biura, jak i komórkowym oraz domowym. Bez wątpienia stało się coś złego. Wciąż jeszcze nie wiedziała co, lecz dręczyło ją poczucie winy.

Rozpakowała bagaże, nie śpiesząc się wzięła prysznic i padła na łóżko. Na moment pragnęła ukryć się przed ludźmi, którzy ją ścigali oraz przed myślami o ludziach, których naraziła na niebezpieczeństwo. Opuściła bawełniane zasłony otaczające łóżko. W jednej chwili poczuła się niczym w domku dla lalek z puchowym podłożem i ścianami z tkanin z kwiecistym wzorem. Objęła jedną z poduszek i przycisnęła ją mocno do piersi, jak zwykła to robić w pierwszych tygodniach pobytu w szkole z internatem, gdy musiała się uporać z samotnością oraz faktem oddzielenia od swych szalonych rodziców. Sen przyszedł szybko. Półtorej godziny później obudził ją natarczywy dzwonek telefonu komórkowego.

Po omacku odszukała aparat w skrywających łoża ciemnościach, nie wiedząc, gdzie właściwie się znajduje. Już sam fakt, że telefon dzwonił, wprowadził ją w zdziwienie - tak

niewiele osób wiedziało, jak mogą się z nią skontaktować. Spojrzała na ekran telefonu. Był to londyński numer komórkowy, którego nie kojarzyła. W pierwszej chwili pomyślała, że może to być Thomas Perkins.

- Halo - odebrała. - Kto mówi?

Głos, który odpowiedział - urywający się, zdecydowany i aż nadto znajomy - należał do Jeffreya Gertza.

- Mówi twój szef. Choć właściwszym określeniem byłoby: twój były szef. Rozumiem, że przesłaś do firmy nad nami.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - odparła. - Masz szkodliwy wpływ na moje zdrowie.

- Muszę się z tobą zobaczyć. Musimy pogadać.

- Nieprawda. Nie mamy o czym rozmawiać. Jesteś jak zmora. I mówię serio. Nie dzwoń do mnie więcej. Do widzenia.

Nacisnęła na czerwony symbol słuchawki i zakończyła połączenie. Telefon zadzwonił jeszcze dwukrotnie, za każdym razem z tego samego numeru i za każdym razem odczekała, aż połączenie zostanie przekierowane do poczty głosowej. Po dziesięciu minutach telefon zadzwonił znowu, tym razem z zastrzeżonego numeru. Również nie zareagowała.

?*?

Marx włożyła jeansy oraz czarną kurtkę i przeszła kilka przecznic dzielnicy Mayfair, które dzieliły ją od eleganckiej budowli skrywającej siedzibę Alphabet Capital. Było piątkowe popołudnie i mijane po drodze puby pełne już były imprezowiczów, którzy wytaczali się na zewnątrz z kuflami piwa i szprycerami. Kiedy przedzierała się przez tłum, kilku mężczyzn zaproponowało, że postawi jej drinka.

Policja opuściła już budynek Perkinsa. Kiedy drzwi windy otworzyły się na ostatnim piętrze, oczom Marx ukazały się opustoszałe biura. W sali transakcyjnej była może jedna trzecia codziennej liczby pracowników. Zniknęła również panująca tam wcześniej hałaśliwa atmosfera. Miejsce sprawiało senne i przygnębiające wrażenie, spowodowane nastrojem, który powstał wskutek likwidacji firmy. Marx skierowała się w stronę gabinetu Perkinsa. Jego drzwi były zamknięte, zaś w oknach wychodzących na salę transakcyjną pozaciągano zasłony.

Mona, sekretarka Perkinsa, siedziała samotnie przy ladzie, którą niegdyś zajmowała trójka pracowników. Oczy miała czerwone od niewyspania i płaczu. Zauważyła zbliżającą się Marx i w pierwszej chwili cofnęła się. Amerykanka była częścią problemu, który doprowadził do upadku jej szefa i jego firmy.

- Gdzie pani była? - spytała ją. - Ominęło panią całe, że tak powiem, widowisko. Ale to może nieodpowiednie określenie. Raczej cały huragan.

- Musiałam wyjechać. Co się stało? Tak tu cicho. Wygląda, jakby dopiero co odbył się tu pogrzeb.

- Poniekąd ma pani rację. Cały tydzień byli tu ludzie z policji. Wyprowadzili się dopiero dzisiaj rano. Można powiedzieć, że zamknęli interes. Zabrali wszystko, co tylko chcieli - połowę dokumentacji oraz właściciela.

- Gdzie jest pan Perkins? Od dwóch dni staram się do niego dodzwonić. Nie odbiera telefonów i nie odpisuje na moje wiadomości.

- Pani naprawdę nie wie, co tu się stało?

- Nie, Mona, nie mam pojęcia. Jak już mówiłam, musiałam wyjechać. Gdzie on jest?

- W więzieniu, proszę pani. Zwinęli go dwa dni temu. Z tego, co słyszałam, obecnie trzymają go w Pentonville. Udało się go odwiedzić panu Tarullo, jednak nikomu więcej.

- Muszę się z nim zobaczyć. To naprawdę ważne. Możesz się z nim w moim imieniu skontaktować?

Sekretarka z żalem pokręciła głową. Umawianiu ludzi na spotkania z Thomasem Perkinsem poświęciła swoje życie, a teraz stała się bezużyteczna.

- Już pani mówiłam, jest w więzieniu. Żadnych telefonów, żadnych komórek, żadnych odwiedzających, o ile nie figurują na liście. Musi się pani zgłosić do dyrektora zakładu. I muszę panią przestrzec, że pan Perkins nie przyjmuje wielu gości, jedynie swoich prawników. Twierdzi, że tak będzie najlepiej, a przynajmniej tak nam powiedział pan Tarullo.
???

Marx poprosiła sekretarkę o telefon do adwokata i zaraz do niego zadzwoniła. Amerykański prawnik sprawiał wrażenie zmęczonego i niemiłego. Marx przedstawiła się i powiedziała, że musi odwiedzić Perkinsa, lecz Tarullo nie wyraził zainteresowania. Perkins, pragnąc ją chronić, nigdy nie wspominał mu o Marx.

Tarullo oznajmił, że jeszcze tego wieczora zamierza polecieć ostatnim samolotem British Airways do Stanów, aby - jak to ujął - sprawdzić, co w trawie piszczy.

- A kim ty w ogóle do cholery jesteś? - spytał. - Nigdy o tobie nie słyszałem. Dla kogo pracujesz?

- Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych. Przez telefon nie mogę więcej powiedzieć. Ale jestem prawdziwą przyjaciółką pana Perkinsa, a podejrzewam, że w tym momencie nie ma on ich zbyt wielu. Muszę się z nim zobaczyć.

Teraz Tarullo już się nieco zaciekał. W miejsce dotychczasowego niegrzecznego tonu prawnika, którym usiłował odstraszyć natręta, pojawiło się zainteresowanie.

- Pracujesz dla struktur rządu, które wołają się z ową przynależnością do niego nie afiszować. Mam rację?

- Tak. „Mogłabym panu powiedzieć więcej, ale wtedy musiałabym pana...” Zna pan ten komunał. Możemy porozmawiać?

Tarullo postanowił zaryzykować. Niebawem musiał zbierać się na lotnisko, więc wołał się upewnić, czy nie marnuje czasu.

- Kimkolwiek jesteś, pozwól, że zadam ci pytanie. Czy wiesz cokolwiek o niejakim Anthonym Croninie?

- Owszem. Wiem o nim wszystko.

- Pieprzysz. Naprawdę?

- Tak. Właśnie dlatego muszę się zobaczyć z panem Perkinsem.

- Nie tak prędko, dziewczyno. Nim zobaczysz się z Tomem, najpierw spotkasz się ze mną. Możesz w tej chwili przyjechać do mojego hotelu? O ósmej mam samolot do Nowego Jorku, więc najpóźniej za godzinę muszę być na Heath-row. Jestem w Intercontinentalu przy Park Lane. Będę czekał w barze. Spytaj portiera o pana Tarullo.

Kiedy dziesięć minut później Marx dotarła na miejsce, był już tam i czekał ze zniecierpliwieniem. Nie musiała pytać nikogo z obsługi. Nie ulegało wątpliwości, że gapiący się na zegarek potężny facet z zaczesanymi do tyłu włosami, z wyglądu przypominający podstarzałą gwiazdę pop, to Vincent Tarullo. Prawnik spakował już walizki i przebrał się na podróż w luźne spodnie i welurową marynarkę. Kiedy zauważył zbliżającą się ku niemu Marx, zaświeciły mu się oczy.

- Siemanko - rzucił, wysuwając na powitanie mięsistą dłoń. - Postawić ci drinka?

- Sądzę, że lepiej będzie, jak wybierzemy się na przechadzkę - odparła, biorąc go pod ramię. - Wielu ludzi z chęcią by podsłuchało, o czym będziemy rozmawiać.

Wyszli z hotelu i podziemnym przejściem pod Hyde Park Corner skierowali się w stronę zielonych połączy parku. Jeżeli ktoś ich obserwował, czynił to profesjonalnie - nie było widać ani śladu czujek czy śledzących ich ogonów.

- Muszę się zobaczyć z Tomem Perkinsem - oświadczyła, łapiąc go za ramię i nachylając ku sobie. - Po części to przeze mnie wpakował się w taką kabałę i sądzą, że mogę pomóc mu się z niej wygrzebać.

- To gdzie ty się podziewała, kiedy cię najbardziej potrzebowałem? Biedak jest teraz w więzieniu. Zamierzają przywalić mu taką ilością zarzutów, że wystarczy, by poszedł siedzieć na długo. Dziwny wybrałaś moment, żeby się ujawnić.

- Byłam w podróży. Nic więcej nie mogę powiedzieć poza tym, że próbowałam zaradzić skutkom ubocznym tej samej afery, przez którą pański klient znalazł się w obecnym położeniu.

Wynurzyli się z tunelu na powierzchnię i skręcili na północ, idąc ścieżką, która przecinała szpaler drzew ciągnących się wzdłuż Park Lane.

- Mój klient twierdzi, że jest się w stanie wywinąć - wyznał Tarullo. - Mówi, że blefują. CIA nigdy nie dopuści, by sprawa trafiła przed sąd, bo wtedy wszystkie ich sekrety wyszłyby na światło dzienne.

- Pański klient ma rację. To wszystko domek z kart. Perkins stanowił przykrywkę dla ściśle tajnego projektu. Wykorzystali go, a teraz chcą z niego zrobić kozła ofiarnego. Ale to im się nie uda.

- Czyżby? Jak na razie wygląda, że całkiem nieźle sobie z tym radzą. Czemu miałyby to niby ulec zmianie?

- Ponieważ jestem gotowa o wszystkim opowiedzieć. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będę zeznawać przed sądem. Jutro może pan to powtórzyć ludziom w Waszyngtonie. Sophie Marx jest gotowa zeznać wszystko, co wie na temat Toma Perkinsa i jego spółki oraz jej powiązań z rządem Stanów Zjednoczonych. I jak?

- Całkiem, kurna, nieźle.

Tarullo spojrział na zegarek. Jeżeli w ciągu pół godziny nie znajdzie się w taksówce jadącej na lotnisko, przegapi samolot. Choć znajdowali się w zadrzewionej dolince, i tak dodatkowo zniżył głos.

- Bądź ze mną szczerą. Nie mam więcej czasu. Kim jest Anthony Cronin? Przez telefon powiedziałaś, że go znasz. Gdzie go znajdzie?

- Nie znajdziesz. On nie istnieje. W rzeczywistości nazywa się Jeffrey Gertz. To on w pierwszej kolejności skontaktował się z Tomem i zrobił z Alphabet Capital przykrywkę. I to on teraz niszczy spółkę, chcąc zatrzeć za sobą ślady.

- Cholera! Nie dziwne, że nikt go nie kojarzy. Czy w rozmowach z ludźmi w Waszyngtonie mogę o nim wspomnieć? G-E-R-T-Z, zgadza się?

- Tak, ale bądź ostrożny. Ten człowiek jest toksyczny. Nie żartuję. Rozmawiaj o nim wyłącznie z ludźmi, którym ufasz.

Podążali teraz na zachód, wychodząc spod drzew i przecinając łąkę w kierunku jeziora Serpentine. Tarullo ponownie zerknął na zegarek.

- Słuchaj, muszę się już zbierać, bo inaczej nie dam rady dzisiaj wylecieć. Czy przed odlotem mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? Czego ci trzeba?

- Chcę się zobaczyć z Tomem. Może mnie pan wpisać na listę odwiedzających i załatwić mi wstęp do więzienia?

- Jasne, czemu nie? Dzisiaj już na to za późno. Jutro rano. Przypomnij mi, jak się nazywałeś, tylko proszę, bez tych waszych idiotycznych szpiegowskich pseudonimów.

Powtórzyła - Sophie Marx. Jako taką znał ją Perkins i nieważne, co figurowało w jej nowym paszporcie dyplomatycznym.

Tarullo odchylił klapkę swojego telefonu i zadzwonił do biura dyrektora więzienia w Pentonville. Przekazał

urzędnikowi nazwisko Marx i poprosił, by następnego ranka zezwolono jej na widzenie z Thomasem Perkinsem, na pilne i szczególne żądanie jego adwokata. Polecono mu chwilę poczekać, po czym do telefonu podszedł sam dyrektor i przepytął Tarullo, aby się upewnić, że istotnie chodzi o coś pilnego i szczególnego. Przedyskutowali jeszcze kwestię daty i godziny, po czym Tarullo zakończył rozmowę.

- Możesz go odwiedzić pojutrze - powiedział Sophie. - Na jutro jest już za późno. Zamknęli już listę odwiedzających. Przykro mi. Zrobiłem, co mogłem. W tym czasie postaram się zmacić wodę w waszyngtońskim bajorku. Zobaczymy, czy uda nam się wyprowadzić parę osób z równowagi.

Tarullo szedł teraz szybszym krokiem, przez całą rozmowę telefoniczną gestykując i co dwadzieścia sekund nerwowo spoglądając na zegarek.

Sophie szła obok niego. Jej również zależało, by dotarł na lotnisko na czas. Tym razem nie skorzystali z przejścia podziemnego, a przebili się w poprzek jezdni Park Lane, powstrzymując dłońią samochody i torując sobie drogę pośród wzmożonego ruchu. Tarullo wpadł do hotelu, złapał walizkę i polecił portierowi przywołać jedną ze stojących w kolejce czarnych taksówek.

Adwokat z góry wręczył kierowcy pięćdziesięcioletni napis i podkreślił, że koniecznie musi zdążyć na samolot British Airways, który o ósmej startował z terminalu numer pięć.

Marx poczekała, aż odjechał, po czym przeszła kilkaset metrów Park Lane, które dzieliły ją od jej hotelu.

???

Przed hotelem Dorchester znajdowała się betonowa wysepka, która służyła za rondo dla samochodów wjeżdżających pod główne wejście. Wzniesioną na jej środku fontannę osłaniał elegancki parkan z kutego żelaza. Przechodnie lubili

siadywać przy nim w słońcu późnym popołudniem, by obserwować sławy, które wchodziły przez obrotowe drzwi do hotelu wznoszącego się po drugiej stronie jezdni.

Gdy Sophie zbliżyła się do hotelu, zauważyła, że przy fontannie, przyglądając się okolicy w sposób typowy dla doświadczonego obserwatora, siedział Jeffrey Gertz. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, zaś w miejscu małej koziej bródki pojawiła się gęsta broda, lecz i tak nie mogło być wątpliwości, że to on.

Kiedy Gertz ujrzał Sophie, poderwał się na równe nogi i ruszył w jej stronę. W pierwszej chwili pomyślała o rzuceniu się do ucieczki, lecz zwróciłaby tym uwagę policjantów, którzy siedzieli tuż po prawej, w zaparkowanym na Mount Street radiowozie. A w tym momencie kontaktu z londyńską policją wolała uniknąć jeszcze bardziej, niż kontaktu z Gertzem.

Idąc w jej stronę, uśmiechał się i wyciągał rękę na powitanie.

- Ignorowałaś mnie - powiedział, nie przestając się uśmiechać. - A tego nie lubię.

- Pogódź się z tym - odparowała. - Jak sam to ująłeś, jestem twoją „byłą pracowniczką”. I nie czuję się przy tobie bezpieczna. Masz może pojęcie dlaczego?

- Nie bądź melodramatyczna, Sophie. To do ciebie nie pasuje. Musimy porozmawiać.

Chodźmy w jakieś ustronne miejsce.

- Ja się wybieram prosto do mojego hotelu. Skąd w ogóle wiedziałeś, że nadal tu jestem?

- Jesteś hałaśliwa. Poruszasz się jak słoń w składzie porcelany. Chodź, postawisz mi drinka.

Gertz ruszył w stronę obrotowych drzwi. Sophie szła tuż za nim. Ciekawiło ją, co też będzie miał do powiedzenia - teraz, gdy jego wymyślony świat legł w gruzach.

Kiedy Gertz wkroczył do hotelowego lobby, odzwierzytny rzucił Sophie zaniepokojone spojrzenie, jakby chcąc się upewnić, czy ten zarośnięty robot to naprawdę gość panny Marx należącej już do hotelowej rodziny. Skinęła głową na znak, że wszystko w porządku.

Sophie poszła przodem w stronę baru, którego okna wychodziły na Park Lane. Było późne popołudnie i lokal dopiero zaczynał zapełniać się klientami. Na końcu długiego, zakrzywionego baru dostrzegła dwa wolne miejsca. Kieliszki do martini i butelki innych trunków stały w szeregu wzdłuż lustrzanej ludy niczym wojsko o zachodzie słońca. Sophie zajęła miejsce i zamówiła u barmana kir.

- Nie wolelibyśmy pójść w bardziej kameralne miejsce? - spytał Gertz. - Mamy wiele do omówienia.

- Ostatnie, czego pragnę przy spotkaniu z tobą, to kameralność - odparła. - Mamy być w publicznym miejscu, w moim hotelu, gdzie wszyscy mnie znają. Tylko w takich warunkach mogę czuć się przy tobie w miarę bezpieczna.

- Jak sobie chcesz - odpowiedział Gertz. Zamówił gin z martini, sięgnął po podane na srebrnym talerzyku pistacje i zaczął wrzucać je sobie w otwarte usta.

- Przyjemne miejsce, ten Dorchester. Musiał cię tu zakwaterować jakiś naprawdę dziany facet. Ale podejrzewam, że już taki dziany to on nie jest. Z tego co słyszałem, jego fundusz hedgingowy za chwilę ogłosi bankructwo. Zobaczmy, jak mili będą wobec niego ludzie teraz, gdy stara się uniknąć odsiadki.

- Nie uda ci się, Jeff. Może sądzisz, że zdołasz zwalić wszystko na niego, ale prawda wyjdzie na jaw.

- Dla mnie to i tak nie ma znaczenia. Ja nie zostawiłem po sobie żadnych śladów. Jestem niewidzialny. Z kolei ty, kochanie, powinnaś uważać. Nadal jesteś celem. A pewien bardzo niedobry człowiek zmierza w twoim kierunku. Dlatego właśnie postanowiłem cię wysledzić. Chciałem cię przestrzec. Wie, gdzie jesteś. Zna wszystkie twoje fikcyjne tożsamości.

- Pakistańczyk? Już go mamy. Pan Hoffman mi powiedział. Zwijamy zarówno jego, jak i jego ludzi. Z tego co wiem, jego siatka w ogóle by nie istniała, gdyby nie twoja pomoc. Gertz roześmiał się i rąbnął pięścią w bar.

- Coś pięknego. „Pan Hoffman mi powiedział”. Po prostu cudo. Jego arogancja i lekceważący ton zdołały ją rozwścieżyć. Zapomniała już, jak bardzo pewny siebie był Gertz.

- Jeff, jak mogłeś to zrobić? Ten człowiek był twoim „konsultantem”. Miał wgląd w twoje operacje. Jak mogłeś być tak głupi?

Gertz przesunął palcem wskazującym po krawędzi kieliszka, aż dało się słyszeć cichy dźwięk. Upił łyk, a potem kolejny.

- Co ty w ogóle wiesz? - rzucił. - Zupełnie nic.

- Wiem, jak się nazywa. To Omar al-Wazir. Wiem, że wykorzystasteś go w 2005 roku i że od tamtego czasu pozostawałeś z nim w kontakcie. Wiem... - zamilkła, starając się dobrać słowo, które możliwie najboleśniej by go ubodło. - Wiem, że ostatni z ciebie popierdoleniec. Gertz wymamrotał w odpowiedzi jakąś obelgę, lecz to nie wystarczało. Jego poczucie wewnętrznej równowagi wymagało, by inni potrzebowali go i darzyli szacunkiem. Na tym polegała jego słabość. Musiał udowodnić, że ma rację.

- Ty nadal nie rozumiesz. Tu już nie chodzi o „szpiegostwo dla początkujących” którego uczą na Farmie CIA. Tak wygląda rzeczywistość. Ten facet był moim informatorem. Pomagał mi w doborze osób, które potem werbowałem. Orientował się w rozkładzie sił w Pakistanie. Pomagał mi w przekazywaniu im pieniędzy. Pomógł w budowie siatki. Bez niego cała operacja nie byłaby możliwa. Wykonał masę dobrej roboty. Później okazało się, że przeszedł na drugą stronę. Stał się niebezpieczny. Ale to już nie moja wina.

- Czyś ty oszalał? Doprowadziłeś do śmierci swoich własnych ludzi. Czy istnieje w ogóle coś gorszego?

Pociągnął kolejny łyk martini, pozwalając drobinkom lodu rozpuścić się na języku. Pokręcił głową.

- Aż mi ciebie żal. Jesteś do bólu naiwna i sama szykujesz sobie własną zgubę. Podniósł się i rzucił na lustrzany blat dwudziestofuntowy banknot. Sophie wwiercała się w Gertza spojrzeniem pełnym wściekłości i uporu, aczkolwiek z odrobiną niepewności.

- Mała rada - powiedział. - Tak na pożegnanie. Nie ufaj Cyrilowi Hoffmanowi. Jak myślisz, kto mi w ogóle powiedział

O tym pakistańskim profesorze? Skąd niby wiem, że leci on teraz do Londynu? Od Hoffmana, ot co. Dajesz sobą pogrywać.

Odwrocił się i odszedł w kierunku hotelowego lobby.

- Kłamiesz - wymamrotała. Lecz nie była już pewna, czy nadal wie, gdzie w istocie kryje się prawda. Niekiedy bowiem prawda jest krucha: im bardziej się do niej zbliżasz, tym bardziej roztrącasz jej drobiny, przez co zmienia swój kształt

i położenie. Prawda nie jest też gładka. Ma swoje krzywizny i zakamarki.

Rozdział 41

KARACZI I ISLAMABAD, PAKISTAN

W jaki sposób kończą się wojny? Pytanie to zastanawiało Omara al-Wazira jeszcze wtedy, gdy był chłopcem i gdy w jego części świata czas wielkich wojen dopiero się zaczynał.

Widział wyraźnie, dlaczego wojny wybuchały, lecz jak dochodziło do ich zakończenia?

Rozmyślał o tym teraz, siedząc w hali odlotów i czekając na wejście na pokład jumbo jęta linii Pakistan Airlines do Londynu. Duszne pomieszczenie pełne było Pakistańczyków w każdym wieku. Staruszki leciały w odwiedziny do dzieci w Manchesterze, a młode rodziny powracały do domów w Neasden czy Wandsworth. Wszyscy zmęczeni i spoceni, tkwili w zapiaszczonych fotelikach poczekalni.

Twarcz profesora była jak zawsze gładko ogolona. Miał na sobie szary, letni garnitur z lekkiej wełny oraz białą koszulę. Na wydatnym nosie spoczywały okulary. Było to oblicze doktora informatyki, człowieka nowoczesnego, jak to zawsze starał się podkreślić. Prostotą swego zachowania sprawiał, że ludzie chcieli mu ufać. Stąd też brała się łatwość, z którą werbował inne osoby: pragnęły one wierzyć, że jest ich sprzymierzeńcem. W walce czuły się pewniejsze, gdy ktoś taki jak on znajdował się po ich stronie.

Zdaniem profesora, odpowiedź na pytanie dotyczące końca wojen po części zawierała się w fakcie, że walczący po obu stronach odczuwali zmęczenie. Byli wyczerpani walką i obficie krwawili z odniesionych ran. Kończyli im się żołnierze i pieniądze, nadchodził więc czas, by wrócić do domu. Z pewnością to właśnie przydarzyło się Rosjanom. Ich wojna w Afganistanie dobiegła końca, ponieważ ich kraj bankrutował zarówno ekonomicznie, jak i pod względem ideologicznym. Niemożliwa do wygrania wojna doprowadziła do upadku reżimu, podobnie jak to miało miejsce w 1917 roku. Inne wojny kończyły się ze względu na wyczerpanie polityczne bądź po prostu zniecierpliwienie - państwo nadal dysponowało bronią i pieniędzmi umożliwiającymi kontynuację walki, jednak brakowało mu już siły woli. Tak, na podstawie wszystkich opracowań, stało się w wypadku Amerykanów w Wietnamie. Wojnę tę przegrali u siebie w kraju, a wydarzenia na polach bitewnych miały znaczenie drugorzędne. Lecz wojny, które kończyły się w ten sposób, nie przynosiły trwałego pokoju - profesor dowiedział się tego w wyniku swoich studiów nad historią. Takie wojny przynosiły jedynie zniewagę, hańbę i tłące się pragnienie zemsty. Niemcom przejście od upokorzenia w Wersalu do brawurowych podbojów epoki nazizmu zajęło niecałe dwie dekady. Początek drugiej wojny światowej tkwił w sposobie zakończenia pierwszej. Ten fakt akurat ludzie z tej części globu, z której pochodził profesor, pojmowali lepiej, niż „bardziej cywilizowane” narody. Wygrany musi znaleźć sposób, by ocalić godność pokonanego. W innym wypadku dojdzie po prostu do kolejnej wojny.

Dziadek, siedzący w poczekalni na miejscu obok profesora, zapadł w sen. Chrapał głośno, a część znajdujących się w pobliżu dzieci wytykała go palcami i wyśmiewała. Było w tym coś niegodnego. Profesor delikatnie szturchnął staruszkę, tym samym go wybudzając i donośnie, nosowe rżężenie ustało. Następnie powrócił do swoich rozważań nad wojną i pokojem, co pozwoliło mu zapomnieć o niewygodach poczekalni na lotnisku.

Plemienna zasada przywracania harmonii była nazywana w dialekcie pasztuńskim nanawatay. To według niej kończyły się wojny między ludźmi honoru. Pokonany udawał się do siedziby zwycięzcy, w samo serce wrogiego terytorium, spoglądał swemu adwersarzowi w oczy i

prosił go o pokój oraz przebaczenie. Pokonany szukał gościny, a zwycięzca był zobligowany mu jej udzielić. Odmowa byłaby czymś niehonorowym i niehumanym. Kiedy prosi się człowieka, by okazał wielkoduszność, jest to dla niego okazja, by wyzbyć się gniewu wobec przeciwnika. Wraz z przebaczeniem może dać wyraz swej cierpliwości i puścić zaszłości w niepamięć. Pokonany przyprowadza ze sobą bawoła, bądź też parę kóz czy owiec, które następnie zostają zarżnięte. W tym podarunku zawiera się jego godność. Urządza się ucztę. Wojna dobiega końca.

Nagle w terminalu rozległy się krzyki, towarzyszyło im szalone poruszenie. Obsługa naziemna wywołała lot i ludzie zaczęli tłoczyć się przy wyjściu do samolotu, nawzajem popychając się i depcząc. Profesor nie ruszał się z zajmowanego krzeselka. Bilet lotniczy miał w dłoni, na nim zaś widniał wyraźnie wydrukowany numer siedzenia. Bez niego na pokładzie samolot nie wystartuje. Przepychając się tak za każdym razem, gdy gdzieś tworzyła się kolejka, ludzie Wschodu dowodzili swej niedojrzałości. Pasztun nigdy by tak nie postąpił. Już lepiej przegapić samolot, niż zachowywać się jak kobieta.

Profesor wrócił myślami do swojego problemu. Mówiono, że w dawnych czasach pokonany na znak pokory przychodził do domu zwycięzcy z trawą w ustach i sznurem wokół szyi.

Dawał do zrozumienia, że jest równie potulny,

PU8

jak baranek. Innym razem, błagający o pokój pojawiał się na pogrzebie kogoś z rodziny swego wroga. Przybywał do wioski przeciwnika i w posępnym nastroju wchodził do jego domu, by połączyć się w żałobie. Kiedy zaś już był w jego domostwie, mógł prosić o gościnę i przebaczenie. Odrzucenie takiej prośby było nie do pomyślenia. Mógłby to uczynić jedynie tchórz.

Profesor pomyślał o Amerykanach. Owego fenomenu gościny nigdy nie udało im się pojąć. Od 2001 roku prowadzili wojnę, ponieważ Pasztunowie nie byli w stanie odmówić gościny, o jaką ich poprosili uciekający z gór Arabowie. Amerykanie domagali się czegoś, czego owe górskie narody nie mogłyby uczynić bez okrycia się wielką hańbą. Można by powiedzieć, że przyczyną wojny była kwestia gościnności.

Pod tym względem nawet mądrzy ludzie niekiedy postępowali jak głupcy. Odnosiło się to na przykład do Brytyjczyków. Profesor miał gdzieś w domu książkę na temat koszarnej wojny, którą Brytyjczycy stoczyli w latach 70. XIX wieku z klanem Jowaki, należącym do plemienia Afrydów. Członkowie klanu udzielili schronienia dwóm straszliwym banitom. Brytyjczycy zażądali ich wydania, lecz dla miejscowych był to warunek nie do przyjęcia. Z dwójga złego woleliby już wszyscy zginąć. Przystąpili więc do krwawej wojny, którą ówczesny brytyjski historyk George Batley Scott opisał następująco: „Każdy jar i każda dolina zamieszkaana przez klan została zajęta, każda wieża zniszczona, wiele bydła wybito, całe rodziny marzły w przejmującym ziąbku, wtedy dopiero ich wodzowie przyszli do obozowiska i poprosili o podanie warunków pokoju”

Lecz Brytyjczycy nie rozumieli zasad, które pozwalają na zakończenie wojny. W swoim mniemaniu zapropono-

wali uczciwe warunki - żądając zapłacenia kary pieniężnej, złożenia broni oraz, rzecz jasna, wydania dwójki banitów. Przywódca klanu Jowaki odpowiedział w jedyny sposób, na jaki przyzwałał mu plemienny kodeks honorowy: „Karę zapłacimy, oddamy wam oręż, lecz tych dwóch ludzi, którzy poprosili nas o ugoszczenie, nie wydamy. Zajęliście terytorium naszego kraju. Zatrzymajcie je sobie, poszukamy sobie domu gdzie indziej, ale ludzi tych nie dostaniecie. Czemuż to pragniecie okryć nas niesławą?”

Historia przypomina puszczańską w kółko płytę, ty zaś nie zdajesz sobie sprawy, że to ciągle ta sama piosenka.

?*?

Poczekalnia była już niemal pusta. Teraz można było wejść na pokład samolotu z godnością. Profesor Omar podniósł torbę na laptopa oraz książkę, którą czytał, a następnie podszedł do bramki, przy której zmęczona stewardesa oderwała odcinek jego biletu. Kiedy jej za to podziękował, na twarzy kobiety odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

Rzędy przed nim i za nim zajmowały rodziny z małymi dziećmi. Profesor wetknął do uszu słuchawki od swojego odtwarzacza, aby odizolować się od świata zewnętrznego. Wsłuchał się w grę syryjskiego klarncisty Kinana Azmeha, grającego w ów klasyczny sposób, w jaki zwykli to czynić wędrowni muzycy, którzy odwiedzali rodzinne miasto profesora, gdy ten był jeszcze chłopcem. Potrafili oni wydobywać z instrumentów dźwięki przypominające ludzki głos, tyle że przyjemniejsze.

Istotnie, profesor nie leciał do Londynu z trawą w ustach czy jarzmem na karku. Nie można też było powiedzieć, że został on pokonany. Lecz jadąc do Anglii, bez dwóch zdań wkroczył na teren wroga, czy też najlepszego przyjaciela

swego wroga. Pragnął przywrócić równowagę, wreszcie po-jąwszy je) istotę. Oferował swemu adwersarzowi możliwość przebaczenia - a tym samym zachowania części honoru. Z pewnością krok ten spotka się ze zrozumieniem: na tej samej zasadzie, na jakiej trzeba było podjąć walkę, aby pomścić doznaną zniewagę, należało również zdobyć się na przebaczenie. Inaczej wojny ciągnęłyby się bez końca, aż wszyscy by wyginęli.

Samolot startował. Spod wijących się nut klarnetu profesor usłyszał ryk silników. Zасыpiając, pomyślał o swoim ulubionym słowie w paszto - melmastia, oznaczającym „gościnność” To właśnie dzięki niej wojny dobiegały końca.

???

Bardziej na północ, w Islamabadzie, na pozwolenie na start czekał inny samolot, również zmierzający do Londynu. Na pokładzie wojskowego odrzutowca znajdował się generał Mohammed Malik, dyrektor generalny Zarządu Służb Wywiadowczych. Pod pewnymi względami była to podróż nietypowa. Generał zazwyczaj nie lubił podróżować do innych krajów, za wyjątkiem umówionych spotkań roboczych z szefami tamtejszych służb wywiadowczych. Nie był brygadierem czy oficerem prowadzącym; w grę wchodził tu protokół oraz prestiż stanowiska. Tym razem przeczuwał, że nie ma wyboru.

Na pokładzie samolotu generał miał do dyspozycji prywatną kabinę. Było to niewielkie pomieszczenie, ozdobione powieszonymi na ścianie portretami prezydenta oraz szefa sztabu armii, posiadało jednak łóżko i biurko, jak również drzwi, które można było zamknąć, co ratowało od konieczności podtrzymywania konwersacji w sytuacji, gdy nie miało się nic do powiedzenia.

Generał przejawiał skłonność do pedanterii. Adiutant umieścił jego mundury, opakowane w zamykane na suwak pokrowce, w przeznaczonych do tego szafie. Jego wyjściowe buty już wcześniej zostały wypolerowane na wysoki połysk, mimo to przed lądowaniem czekało je jeszcze jedno przetarcie. Na łóżku adiutant ułożył piżamę generała, jego filcowe pantofle oraz szlafrok. Generał planował się przebrać dopiero po oderwaniu się maszyny od ziemi.

Poczułby się bowiem niezręcznie, gdyby przed startem do drzwi zapukał steward z herbatą lub zimnym napojem i zastał go w stroju nocnym.

???

Dzień wcześniej z generałem Malikiem skontaktował się jego stary znajomy Cyril Hoffman. Zazwyczaj Hoffman niespiesznie krążył wokół tematu; pod tym względem na wskroś przypominał człowieka Wschodu. Tym razem jednak od razu przeszedł do sedna sprawy. Kiedy późnym popołudniem rozległ się dzwonek bezpiecznego telefonu STU, generał był w ogrodzie przylegającym do jego siedziby w dzielnicy Aabpara. Siedział na krześle typu Adirondack, popijał herbatę i czytał depesze, usiłując się zorientować w plątaninie wypadków zbyt skomplikowanej, by można ją było tak po prostu wyjaśnić. Oficer dyżurny doniósł, że

dzwonią z Langley, a takiego telefonu generał Malik w żadnych okolicznościach nie mógł zignorować.

Pakistańczyk wstał z ogrodowego fotela, pokonał parę stopni i wszedł przez otwarte drzwi do swego gabinetu. Dzwoniącym okazał się Hoffman. Nie owijał w bawełnę.

- Wiemy kto to - oświadczył Amerykanin. - Wy zresztą też.

- Niezbyt to przyjemny sposób na rozpoczęcie rozmowy, Cyrilu, tak nagle, jak grom z jasnego nieba. Co też masz na myśli?

- Znamy tożsamość zamachowca, który morduje moich amerykańskich kolegów. Ów jegomość to doktor Omar al-Wazir, co z pewnością sam już dobrze wiesz. Trafił na naszą listę celów. Nie sądzę jednak, by istotnie nadszedł już odpowiedni moment.

- To ja powinienem teraz zgłaszać protesty.

- Przeciw czemu, że pozwolę sobie spytać?

- Minionej nocy w Peszawarze oraz w Karaczi doszło do zamachów bombowych, w wyniku których wiele osób zginęło. Nasi analitycy są zdania, że miały one związek z wspomnianym przez ciebie dżentelmenem, wybitnym naukowcem. Mógłbym tu dodać, że dobrze znanym naszym siłom zbrojnym. Jeżeli doszlibyśmy do wniosku, że z wybuchami w jakikolwiek sposób powiązany jest rząd Stanów Zjednoczonych, pociągałoby to za sobą nad wyraz poważne konsekwencje.

- Zapewniam, że żadnych powiązań się nie doszukacie.

- Nie brzmi to na jednoznaczne zaprzeczenie, niemniej jednak oczywiście mnie to cieszy. Pozwolę sobie powtórzyć, iż rząd Pakistanu nie będzie tolerował żadnych naruszeń swej suwerenności.

- Przyjęto do wiadomości.

- A co do doktora al-Wazira - kontynuował generał - przedstawcie nam dowody jego winy, jeżeli takowe istnieją, to jak zawsze będziemy gotowi podjąć odpowiednie działania.

- Tak się składa, że właśnie z tego powodu dzwonię. Dowiedzieliśmy się o doktorze al-Wazirze pewnych rzeczy, które was zaciekawią. Nie twierdzą rzecz jasna, byście się nim interesowali w jakiś szczególny sposób, poza faktem, że jest obywatelem Pakistanu.

- Już drugi raz insynuujesz, Cyrilu, jakobyśmy utrzymywali jakieś nielegalne kontakty z tym człowiekiem. Po raz ko-

lejny zignoruję tę uwagę, lecz daję ci do zrozumienia, że robi się to męczące. Jakimi to informacjami chciałbyś się ze mną podzielić?

- Pomyślałem, że zainteresuje cię fakt, iż doktor al-Wa-zir kontaktował się z pewną niesubordynowaną komórką amerykańskich służb wywiadowczych; tak się akurat złożyło, że z tą samą, która usiłowała korumpować twoich prawych rodaków. Profesor nie jest tym, kim się wydaje. Rozprowadza pieniądze, a zarazem morduje ludzi, którzy je dystrybuują. Wydaje mu się, że jest pakistańskim wcieleniem Robin Hooda. Sprawa robi się zdecydowanie zbyt skomplikowana. Dla wszystkich wokół to jedynie kłopot. Należy coś z tym zrobić, nie sądzisz?

Pakistański generał odsunął słuchawkę od ucha. Spośród wszystkich rzeczy, jakie mógłby mu powiedzieć Hoffman, tej jednej akurat nie mógł się spodziewać. Z pewnością był to jakiś podstęp albo trik, do których tak bardzo lubił uciekać się rozmówca.

- Nie wierzę ci - oznajmił Malik. - To Pakistańczyk, który - twoim zdaniem - uczestniczy w terrorystycznym spisku mającym na celu mordowanie Amerykanów. Jakże więc mógłby utrzymywać kontakty z waszymi służbami wywiadowczymi?

- Tak, wiem, co masz na myśli. Jakże mógłby być jednym z was? Przecież to nasz człowiek. Generał Malik parsknął.

- To wszystko jakieś bzdury.

- Nie takie rzeczy się zdarzały, Mohammedzie. Prawi i przyzwoici pakistańscy patrioci dzielą się informacjami ze Stanami Zjednoczonymi. Czemuż nie mieliby tego robić terroryści? Nie chcę czynić wycieczek osobistych, ale akurat ty powinieneś doskonale zdawać sobie sprawę, jak daleko sięga długie ramię Ameryki.

- O czym ty w ogóle mówisz?

W głosie Pakistańczyka pojawiła się nuta zaniepokojenia. Nie przywykł do takich słów ze strony zazwyczaj uprzejmego Amerykanina.

- Choć raz bądźmy szczerzy. Mam na myśli pewnego młodego oficera pakistańskiej armii na szkoleniu w Stanach Zjednoczonych, a dokładniej - w Fort Leavenworth w stanie Kansas. Dżentelmen ów z pewnością nacieszył się gościnnością ze strony Stanów Zjednoczonych, nie ulega to wątpliwości. Pobyt okazał się również korzystny dla stanu jego konta i pomógł mu w pięciu się po drabinie awansów. Powinieneś zajrzeć do jego teczek osobistych. Ja to uczyniłem i mogę cię zapewnić, że po tych wszystkich latach jej zawartość stanowi pasjonującą lekturę. Generał Malik odłożył na chwilę słuchawkę. Jego dłoń lekko drżała, zaś twarz przybrała szary odcień. Był wojskowym i całe dotychczasowe życie stanowiło dla niego ćwiczenie z samokontroli.

- To oburzające, Cyrilu. Ostatni z ciebie łajdak.

- Pochlebiasz mi. Ja tylko wykonuję swoją pracę, niczym skromny urzędnik służby cywilnej. Podobnie jak ty, ja również jestem patriotą. Ale odchodzimy od tematu. Mówiłem o pocziwym doktorze al-Wazirze i jego zaskakujących znajomościach w Stanach Zjednoczonych. Pomyślałem, że mogłoby cię to zainteresować.

- Oczywiście, o ile to prawda. Interesują mnie wszelkie kontakty obywateli Pakistanu z przedstawicielami obcych służb wywiadowczych. Na takie właśnie działania jestem, mój panie, szczególnie wyczulony.

- Jasne. W takim razie, przyjacielu, słuchaj uważnie. Za parę godzin dwulicowy profesor al-Wazir znajdzie się na pokładzie samolotu lecącego do Londynu. Mam zaś powody, by podejrzewać, że zamierza się tam spotkać z przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych. I przyszło mi do głowy, że taka informacja mogłaby ci się do czegoś przydać.

- To jedna z twoich sztuczek. Skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz?

- Nie musisz mi wierzyć, Mohammedzie. Zgodzę się, że generalnie ufanie mi to kiepski pomysł. Niech twoi ludzie sprawdzą wykaz lotów do Londynu. Znajdą w nim naszego człowieka. Proponuję, byś również udał się do Londynu. Nie próbuj powstrzymać doktora przed wyjazdem. W takim wypadku nigdy się nie przekonasz, o co w całej tej grze właściwie chodziło. Przegapisz najlepszą imprezę. Nadażasz za mną?

- Owszem, nadażam, o ile tylko istnieje w tym wszystkim jakakolwiek ścieżka, którą można byłoby podążać.

- To dobrze. A jako że przez te wszystkie lata byłeś takim wspaniałym przyjacielem Stanów Zjednoczonych, podzielę się z tobą jeszcze jedną wskazówką, którą uzyskałem z jednego z moich źródeł. Co ty na to?

- Nigdy nie gardzę wskazówkami. W naszej branży byłaby to nieroztropność.

- Do spotkania między szanownym doktorem i jego amerykańskim przyjacielem dojdzie w ogrodach botanicznych w Kew w sobotę o godzinie czwartej po południu. Odbędzie się ono w zachodnim narożniku parku. Za kilka minut mogę ci podesłać mapkę. Co o tym sądzisz?

- Skąd mam wiedzieć, że to nie pułapka?

- Tego, Mohammedzie, nie jesteś w stanie stwierdzić. Dlatego też, gdybym był na twoim miejscu, pojawiłbym się tam

uzbrojony. W ten sposób, jeśli coś z tego, co zastaniesz, ci się nie spodoba, będziesz mógł jakoś zadziałać. Tylko nie ściągaj ze sobą całej armii. Brytyjczykom by się to nie spodobało. Przyjdź po prostu z ochroniarzem. Niech to będzie dobry strzelec.

- Pomyślę nad tym - odparł Pakistańczyk.

- Nie namyślaj się zbyt intensywnie. To szkodzi zdrowiu. Potem do późnej nocy nie śpisz i zamartwiasz się rzeczami, na które nie masz wpływu. Co się stało, to się nie odstanie. A w tym wypadku stało się wręcz za dużo. Więc, o ile nic nie ulegnie zmianie, zakładam, że jesteście umówieni.

???

Teraz generał Malik siedział w swej kabinie na pokładzie samolotu. Przed startem do pomieszczenia zajrzał steward i zaoferował coś do picia. Generał zamówił whisky, a potem, gdy znaleźli się już w powietrzu, jeszcze jedną. Czekał ich długi lot z międzylądowaniem w Turcji w celu zatankowania, co stanowiło dodatkową niedogodność. Generał wziął ze sobą jedną z ulubionych książek - Targowisko próżności pióra Williama Thackeraya - którą lubił sobie co kilka lat przypominać. Szczególnie podobały mu się w niej sceny bitewne. Tej nocy odkrył jednak, że nie jest w stanie skupić się na lekturze.

Przebrał się w piżamę i zażył proszek. Chciał zasnąć. Nim zapadł w ciężki, otumaniający sen, pomyślał o Amerykanach - znajdowali się po każdej ze stron każdego interesu, w którym uczestniczyli. Byli graczami przy stole, a jednocześnie właścicielami kasyna. Nawet kiedy już ci się zdawało, że pojmujesz ich działania, nie mogłeś być tego pewien, bo i oni tej pewności nie mieli.

Rozdział 42

LONDYN

Czarujące sobotnie popołudnie było w sam raz na wypad do parku. Rozpoczął się lato. Orzeźwiający wietrzyk kołysał drzewami w zielonkawym lśnieniu. Minionej nocy padał deszcz; źdźbła mokrej trawy połyskiwały teraz w słońcu niczym klejnoty. Rankiem prowadzące na zachód autostrady zapełniły się pojazdami, lecz do popołudnia ruch zdążył się zmniejszyć, zwłaszcza zaś na południe od Tamizy, na drodze prowadzącej ku Królewskim Ogrodom Botanicznym.

Ogrody w Kew stanowiły trofeum z epoki imperialnej, któremu udało się przetrwać do czasów postkolonialnych. Założono je w tym samym odkrywczym duchu, który pogał Kompanię Wschodnioindyjską ku Kalkucie i Karaczi. Pełno w nich było okazów imperialnego kiczu - tu pagoda, tam szklarnia wyglądająca jakby przeniesiono ją z posiadłości maharadży, tam znowu inna szklarnia, wystylizowana na grecką świątynię, wszędzie zaś egzotyczne kwiaty i drzewa sprowadzone ze wszystkich stron świata. Można powiedzieć, że miejsce to było idealne, by zgromadzić w nim grupkę przedstawicieli dawnych posiadłości Imperium.

Pierwszy na terenie ogrodów pojawił się Jeffrey Gertz. Na wszelki wypadek przygotował się do starcia, lecz nic nigdy nie układa się dokładnie tak, jak zaplanowano. Zapewnił sobie osłonę pół tuzina uzbrojonych agentów, przebranych za weekendowych turystów. Napotkali oni jednak problem przy

bramie. Brytyjscy strażnicy obiektu wykazali się czujnością i wykryli wnoszoną przez nich broń. Ochroniarze Gertza zostali zatrzymani i zabrani na przesłuchanie do Richmond.

Sierżant z wydziału śledczego zapowiedział, że spędzą tam całe popołudnie. Na szczęście poprzedniego dnia Gertz zdołał dla siebie samego ukryć broń w pobliżu umówionego miejsca spotkania, w czym pomógł mu funkcjonariusz brytyjskich służb bezpieczeństwa utrzymujący stały kontakt z Metropolitan Police.

Gertz uznał, że poradzi sobie sam. Był człowiekiem wielkiego serca, a zresztą poleganie na innych zawsze tylko powodowało kłopoty. Wszedł do ogrodów przez Bramę Wiktorii na południowym wschodzie kompleksu. Przed nim wznosiła się wygięta, szklana fasada palmiarni z białymi wspornikami ze stali. Opakowywała wysokie palmy niczym ogromne pudełko na kapelusze. Gertz okrążył znajdujący się za palmiarnią staw i pokręcił się przy ogrodzie różanym, aby nabrać pewności, że nie jest śledzony. Następnie podążył na zachód w kierunku ustalonego miejsca.

Spotkanie z doktorem Omarem miało odbyć się tuż za Kryjówką Torbaczy. Miejsce to pasowało do Stumilowego Lasu - było wydrążone pod korzeniami gigantycznego dębu. W pierwszej chwili Gertz uznał to za dziwny wybór, lecz kiedy spojrzął na mapę, zdał sobie sprawę, że jest to obiekt najbardziej oddalony od głównego wejścia do ogrodów, a tym samym najlepszy punkt do zorganizowania potajemnego spotkania. Wiedział, że od zawsze był to jeden z talentów doktora Omara. W swym rzemiośle postępował bardzo rozważnie. Właśnie dlatego udało mu się przetrwać w nim tak długo.

Gertz szedł dalej wzdłuż długiej promenady. Po jego prawej stronie znajdowało się jezioro, wąskie niczym fiord i kry-
stalicznie połyskujące w popołudniowym słońcu. Po lewej wznosiła się potężna wiktoriańska budowla znana jako Dom Strefy Umiarkowanej. Zdaniem Gertza, nazwa ta najzupełniej pasowałaby do całego tego przeklętego kraju, tak chłodnego i uporządkowanego, kraju gdzie każdy kamień i każdy włos znały swoje miejsce i się go trzymały. Cud, że przez tyle wieków tutejsi byli w stanie organizować porządną armię, lecz czasy te już dawno odeszły w niebyt. Amerykanin przeszedł pod kładką, która łączyła szczyty niektórych drzew w zachodniej części ogrodów. Początkowo planował umieścić część swoich strzelców nad koronami drzew, skąd dysponowałiby idealnym widokiem na łąki i ustalone miejsce spotkania. Pomysł spalił na panewce, niemniej jednak nie można mu było odmówić atrakcyjności. W końcu Gertz doszedł do Kryjówki Torbaczy. Była pusta, jeśli nie liczyć kilku dzieciaków, które wydierały się na chowające się ich zdaniem zwierzęta. Miejsce spotkania znajdowało się nieco dalej, skryte za kolejną kępą drzew.

Gertz minął ustalone miejsce i przeszedł kolejnych pięćdziesiąt metrów ku grupce drzew otoczonych gęstymi paprociami. Wślizgnął się w ową naturalną kryjówkę, odszukał ukrytą tam wcześniej broń i przysiadł, by zaczekać.

???

Następny na miejscu stawiał się generał Malik. Ubrany był po cywilnemu, podobnie jak towarzyszący mu postawny pakistański żołnierz, który trzymał się parę kroków za nim. Generał przed wyjazdem postanowił skontaktować się z oficerem łącznikowym MI6 w brytyjskiej ambasadzie w Islamabadzie. Zapowiedział, że wybiera się do Wielkiej Brytanii na krótki urlop i że, jak zwykle, planuje zabrać ze sobą obstawę osobistą, tym razem zaledwie jednoosobową. Lecz człowiek

ten będzie miał przy sobie broń i przydałyby mu się specjalne pozwolenia. Generał wspominał nawet, że rozważa wycieczkę do ogrodów botanicznych w Kew i ma nadzieję, że jego ochroniarz nie napotka trudności przy wejściu na teren kompleksu.

Generał przystawał, by przyjrzeć się roślinom - aloesowi, oleandrom i złotemu lotosowi. Na własny, skromny sposób był ogrodnikiem. Jeszcze jako młody oficer wywiadu przeczytał, że słynny James Jesus Angleton hodował orchidee. Dla generała byłoby to lekką przesadą, a przy tym sporym wydatkiem. Miał natomiast osobnego podoficera, który podlewał i nawoził jego róże, a także spryskiwał je, kiedy pojawiały się na nich szkodniki.

Generał miał na sobie niebieską marynarkę i popielate spodnie oraz wsuwane mokasyny, które w swoich stronach uważał za nazbyt swobodne. Nawet po długiej podróży prezentował się elegancko i dynamicznie; na jego twarzy trudno było znaleźć choćby zmarszczkę, zaś wąsy miał przycięte co do milimetra. Kroczył z wojskową godnością, po której można było poznać - bez względu na to, czy miał na sobie mundur, czy nie - że jest ważną osobą.

Zmierzając ku Kryjówce Torbaczy, generał Malik starał się nie rzucać w oczy, lecz było to niełatwe zadanie, zważywszy na jego usposobienie i samoocenę. Lubił być obserwowanym. Był to rodzaj próżności charakterystyczny dla wszystkich oficerów. Gdy na chodnik między nim a jego ochroniarzem wbiegły rozkrzyczane dzieci, poklepał je po głowach, jak gdyby było to coś zupełnie naturalnego, jednak wyglądał przy tym jak dyrektor szkoły.

Ujrzawszy Kryjówkę Torbaczy, generał odwrócił się i odszedł. Był przed czasem i nie chciał kręcić się po okolicy, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Po drugiej stronie gęstego sosnowego zagajnika napotkał staw z nenufarami, usiadł więc na ławce, skupiając wzrok na liliach, podczas gdy jego ochroniarz usiłował pozostać w bezruchu.

???

Paradoksalnie to Omar al-Wazir, człowiek z niegościnnych gór Waziristanu, najbardziej przypominał kogoś, kto sobotnim popołudniem postanowił wybrać się na spacer. Przybył nieuzbrojony, jak pokutnik z ustami pełnymi symbolizującej pokorę trawy - a przynajmniej tak się czuł. Miał za sobą długą i pełną niewygód podróż, podczas której nie cieszył się żadnymi specjalnymi względami, na jakie mógł liczyć generał. Nie zatrzymał się w żadnym z luksusowych hoteli i ledwie znalazł czas, by umyć się i ogolić w niewielkim motelu w dzielnicy Kensington, cieszącym się popularnością wśród przybyszów z Pakistanu. Pasztuna cechował jednak autentyczny spokój ducha. Wiedział, dlaczego znalazł się w Londynie. Doprowadził swoje sprawy do końca, a teraz przyjechał tu, by w godny sposób je zamknąć. Spotka się ze swym adwersarzem, wejdzie do jego domostwa i odnajdzie gundi - stan równowagi między życiem a śmiercią.

Profesor przybył do ogrodów na pół godziny przed ustalonym spotkaniem. Nie potrzeba mu było czasu, by coś planować czy przeprowadzić rozpoznanie. Przy wejściu przez Bramę Wiktorii otrzymał od pracownika ogrodów mapkę kompleksu, a także dowiedział się, że dojście do Kryjówki Torbaczy zajmie mu dziesięć minut zwawym marszem, bądź też kwadrans, jeśli obierze tempo bardziej spacerowe. Ruszył łamaną ścieżką wzdłuż rzędu wiśniowych drzewek, minął grecką świątynię wzniesioną dla uczczenia króla Wilhelma, a następnie skierował się na północ alejką między cedrami, które sprawiły, że na moment zatęsknił za ich himalajskimi kuzynami porastającymi wzgórze Makinu.

???

Ostatni na miejscu pojawił się mężczyzna w obszernym letnim garniturze pastelowej barwy trudnej do nazwania. Na szyi miał zawiązany biały jedwabny krawat w cienkie, niebieskie paski i mógłby uchodzić za pana młodego na letnim weselu, zważywszy na wesołość, z jaką szedł na palcach stóp, niemalże podskakując na ścieżce wiodącej ku osłoniętej łączce za Kryjówką Torbaczy.

Dżentelmen ów w rzeczywistości przebywał w ogrodach już od rana, odpoczywając pół kilometra poniżej miejsca spotkania w chatce, którą swego czasu upodobała sobie królowa Charlotta, urodziwa małżonka króla Jerzego III i miłośniczka pobliskich lasków. Pragnął być gotów, lecz zarazem nie wchodzić nikomu w drogę, aby móc jak najdłużej pozostać niezauważonym. Lecz kiedy jeden z jego obserwatorów dostrzegł wchodzącego przez bramę doktora Omara, a potem kolejny zgłosił, że przemieszcza się on aleją wśród cedrów, człowiek ów wiedział, że nadszedł czas, by się ruszyć. Opuścił zatem chatkę i podążył na miejsce spotkania.

Zwalisty mężczyzna dotarł do umówionego miejsca równo o czwartej po południu. Był to jego teatr, bowiem to on zaaranżował całe spotkanie. W tym samym momencie na trawniku pojawił się człowiek, z którym zamierzał się zobaczyć - jak zawsze punktualny i precyzyjny doktor Omar al-Wazir.

Cyril Hoffman, koncertmistrz i organizator, uściskał pakistańskiego uczonego, ucałował go w oba policzki i ujął za rękę.

- Przyszedłeś - odezwał się doktor Omar. - Nie byłem pewien, czy będziesz gotów się ze mną zobaczyć po tym wszystkim do czego doszło.

- Oczywiście, że przyszedłem - odparł Hoffman. - Nie mógłbym odrzucić prośby ze strony człowieka, który doznał krzywd, nawet jeśli ów człowiek dopuścił się błędów. Bowiem wszyscy popełniamy błędy, czyż nie?

Coś poruszyło się w zaroślach, lecz umknęło to uwadze Pakistańczyka.

- Doszedłem do wniosku - stwierdził doktor Omar - że nadszedł czas, by znaleźć jakieś rozwiązanie. Tak wielu ludzi zabito, tak wiele krwi rozlano. Wystarczy. Przyszedłem, by prosić o wybaczenie i schronienie. Modlę się o to, byś okazał się człowiekiem honoru i spełnił moją prośbę.

Hoffman miał już przemówić, lecz nie zdążył. Wypadki potoczyły się tak szybko, że nie zdążył nic powiedzieć. To jednak, co chciał przekazać, brzmiało: „Tak, spełniam twoją prośbę. Już po wszystkim”

???

Dwaj pozostali mężczyźni, którzy oczekiwali przybycia doktora Omara, także wyszli na łączkę. Przyglądali się scenie powitania odpowiednio z całkowitym zaskoczeniem i wściekłością - ze strony generała Malika - oraz posępnym uznaniem dla kunsztu koncertmistrza - w wypadku Jeffreya Gertza. Obaj jednak pojawili się tu z własnych powodów i nie zamierzali pozwolić, by coś pokrzyżowało im plany.

Generał Malik podszedł do doktora Omara. Na twarzach obu z nich pojawił się wyraz uznania. Tak długo już krążyli jeden wokół drugiego. Obaj usiłowali wyobrazić sobie powody kierujące przeciwnikiem i obaj się przy tym mylili.

Pierwszy odezwał się generał. Zwrócił się do swojego ochroniarza.

- Zastrzelcie tego człowieka - polecił, wskazując doktora Omara. - Jest zdrajcą. To amerykański szpieg.

485

Ochroniarz generała pociągnął za spust służbowej broni. Odgłos wystrzału zdławił przytroczony do niej tłumik.

Gertz zdążył wyciągnąć własną broń. Spojrzenie skupiał na postaci doktora Omara, swego niegdysiejszego doradcy. Pakistańczyk stanowił ostatni element spartaczonej przez Gertza intrygi, który teraz należało wyeliminować. Gertz był gotów dokonać tego osobiście, odkąd tylko Hoffman poinformował go o planowanym spotkaniu, teraz jednak wydawało się, że okazał się zbyt cenny.

Zobaczył, jak pakistański uczonek upada, a z jego pogruchotanej czaszki tryska krew. Szybko przykucnął i się obrócił, celując w pierw w ochroniarza, następnie w generała Malika, a wreszcie w Cyrila Hoffmana - niepewny, kto w istocie jest tu wrogiem. Zawsze miej plan i działaj pierwszy. Tak brzmiała jego maksyma, tym razem jednak na nic się nie zdała. Nie był przygotowany na tak dziwną sytuację i nie zdołał zadziałać pierwszy.

Rozległ się stłumiony odgłos uderzenia, jakby pięści trafiającej w poduszkę, który po chwili się powtórzył. Dwa kolejne strzały. Pierwszy położył ochroniarza generała Malika. Drugi dosięgnął! Jeffreya Gertza. Pociski nadleciały z innego kierunku, od strony pobliskich drzew. Koncertmistrz przyprowadził własnego strzelca, przekazując mu nad wyraz precyzyjne instrukcje. Oba cele trafione zostały prosto w głowę.

Hoffman pociągnął generała Malika za ramię.

- Musimy już iść - rzucił.

Pakistański generał rozejrzał się wokoło i podjął szybką decyzję. Wyjął z kieszeni chusteczkę i za jej pomocą wytarł odciski palców z broni Gertza, po czym włożył broń do ręki doktora Omara. Malik znał się na rzeczy i wiedział, co należy zrobić.

- To był głupi i niebezpieczny człowiek - zauważył Hoffman, wpatrując się w ciało Gertza, z którego uciekało życie.

Hoffman odprowadził Malika w stronę chatki, z której sam przed kilkoma minutami wyszedł. Znajdowała się ona na skraju parku, nieopodal Kew Road. Na Hoffmana czekał tam

samochód, lecz ten odstąpił go pakistańskiemu generałowi. Dla siebie wezwał kolejny pojazd, który pojawił się na miejscu trzydzieści sekund później. Co jak co, ale logistykę Hoffman rozumiał do perfekcji.

Nim się rozstali, zamienili kilka słów na temat pieniędzy. Pomimo tak ponurych wydarzeń, w chwili pożegnania obaj się uśmiechali.

Rozdział 47

LONDYN

Następnego popołudnia o wyznaczonej porze Sophie Marx pojawiła się w więzieniu Pentonville. Strażnik poprosił ją, by usiadła w poczekalni przy gabinecie dyrektora. Przez większość nocy była na nogach, nie mogąc zasnąć, mimo to na widzenie z Thomasem Perkinsem wystroiła się w nową kieckę w kolorze prażonych migdałów, którą dzień wcześniej kupiła w sklepie na New Bond Street. Pomyślała, że może go tym rozweselić, ale chodziło o coś jeszcze. Chciała ładnie wyglądać. Kiedy spędziła w poczekalni już niemal godzinę, zapukała do drzwi gabinetu dyrektora i spytała, czy coś się stało.

Zastępca dyrektora wytłumaczył, że w związku ze sprawą Thomasa Perkinsa do ostatniej chwili dokonywano pewnych ustaleń i poprosił, by jeszcze trochę poczekała. Powróciła na swoje miejsce w spartańsko urządzonej poczekalni, pewna, że wydarzyło się coś niedobrego. O czwartej doszło do zmiany strażników i służbę objął nowy zespół, ona jednak nadal czekała. Jedyną pozycję do czytania stanowił biuletyn administracji więziennictwa o nudnej nazwie „Państwowa Służba Penitencjarna”

Pomimo zmęczenia, Sophie starała się nie zamykać oczu. Za każdym razem, gdy to czyniła, widziała przed sobą twarz Jeffreya Gertza. Straszne było to, że swego czasu życzyła mu śmierci. Sama zresztą wyznała to Hoffmanowi. Teraz zaś,

gdy Gertz faktycznie nie żył, zastanawiała się, czy nie ponosi za to odpowiedzialności.

W pierwszej chwili, gdy minionej nocy podczas rozmowy przez telefon Cyril Hoffman wspominał o zaszłych wydarzeniach, zabrzmiało to nieprawdopodobnie. Jednakże szczątkowe doniesienia o rozwoju wypadków pojawiły się w serwisie informacyjnym o północy, zaś rano, nim Hoffman wsiadł do samolotu i wrócił do Waszyngtonu, Marx odbyła z nim szczegółową rozmowę. Zaprosił ją na śniadanie do Klubu Podróżników przy Pall Mall. Jak wyznał, czuł się tam jak u siebie w domu - mnóstwo kiepsko przyrządzonego jedzenia i ekscentryczni starcy, którzy napawają się zbawiennymi dla zdrowia skutkami spożywania alkoholu.

Naświetlił jej zarys wydarzeń, a przynajmniej wersję, którą przekazano mediom we współpracy z jak zawsze uległymi Brytyjczykami. Minionego popołudnia były oficer CIA Jeffrey Gertz udał się na spotkanie w Królewskich Ogrodach Botanicznych w Kew w dzielnicy Richmond upon Thames. Rozpowszechniana publicznie wersja głosiła, że był teraz niezależnym podwykonawcą pracującym dla firmy typu Blackwater*. Ścigał pakistańskiego terrorystę Omara al-Wa-zira, zbuntowanego wykładowcę akademickiego, który miał związek z niedawnymi zabójstwami amerykańskich obywateli za granicą. Jego odnalezienie zleciła mu rzekomo rodzina jednej z ofiar. Terrorysta przybył w asyście współnika - opłacanego przez siebie pakistańskiego żołnierza. Doszło do strzelaniny, w wyniku której cała trójka poniosła śmierć.

* Blackwater - słynna prywatna amerykańska agencja ochroniarska, w praktyce formacja zbrojna o charakterze najemnym, realizująca zamówienia rządu Stanów Zjednoczonych - Jakże to dla pana wygodne - zauważyła Sophie, gdy skończył. - Żadnych śladów.

- Absolutnie - uśmiechnął się Hoffman. - A Jeffrey wychodzi wręcz na bohatera.

Jednocześnie nie porusza się niezręcznej kwestii tej całej „umowy konsultingowej” jaką zawarł z wrogiem.

- Dlaczego się w ogóle spotkali? Może mi pan to wytłumaczyć?

- W gruncie rzeczy sprawa jest dość skandaliczna. Podejrzewam, że Jeffrey z pomocą tego swojego Wazira kradł pieniądze i przerzucał je na rachunki bankowe rozsiane po całym świecie. Jak się okazuje, był z niego chciwy sukinsyn. Udało mu się wykiwać wszystkich. Być może pokłócili się o pieniądze. A być może istotnie pragnęli się nawzajem pozabijać.

- Czy w tym, co pan mówi, jest choćby krztyna prawdy? - spytała Sophie.

- Nie sposób stwierdzić, prawda?

Sophie spojrzała w kocie oczy Hoffmana. Wersja, którą przedstawił, nie miała większego sensu, ale wystarczała dla zaspokojenia ciekawości mediów. Jakże łatwo go było nie docenić! Dzięki temu udawało mu się przetrwać; dzięki temu prosperował.

- Ale pana Gertz nie zmylił, prawda? Dlatego przez cały czas miał pan na niego oko.

- Fakt, nachodziły mnie pewne wątpliwości. Bez wątpienia są na to niezbite dowody w zapisach prowadzonej korespondencji. Przeczuwałem, że ta ściśle tajna formacja, którą tworzył wraz ze swoimi kumplami z Białego Domu, wpakuje nas wszystkich w tarapaty. Cieszę się, że uległa likwidacji, dzięki czemu możemy wrócić do codziennej działalności. Potwierdza to tylko doktrynę: poza naszym Kościołem nie ma zbawienia. Ale wierz mi - dowieść, że miałem rację, to żadna satysfakcja.

- A co z pieniędzmi, które ukradł? Gdzie są teraz?

- Matko kochana. Obawiam się, że teraz już łatwo się ich nie znajdzie. Nie jest nawet jasne, do kogo należą.

Sophie roześmiała się. Nie chciała, lecz było to od niej silniejsze. Facet równie dobrze mógł poupychać sobie tę forszę po kieszeniach swego wściekle zielonego garnituru.

- Panie Hoffman, ja też lubię wysłuchiwać dobrych historyjek, ale proszę powiedzieć mi prawdę. Co pan wiedział o Omarze al-Wazirze? Gertz powiedział mi, że to pan to wszystko zainicjował. W istocie tak było?

- Moja droga, nie bądź niemądra. Oczywiście, że to nieprawda. Jeżeli ja bym to aranżował, sprawa nigdy nie zaczęłaby się tak babrać. I uważaj, żeby nie rozprowadzać żadnych tego typu szkodliwych plotek. Nikomu nie wyszłoby to na dobre.

Hoffman przeprosił i poszedł na górę, żeby się spakować. Inaczej spóźniłby się na samolot. Zaprosił Marx do odwiedzenia go w Centrali w Langley, gdy tylko powróci do Waszyngtonu. Oznajmił, że na najważniejszym, siódmym piętrze zwalnia się akurat ważna posada, a ona byłaby idealnym kandydatem.

???

Była już prawie szósta, kiedy drzwi gabinetu dyrektora więzienia otworzyły się i wyszedł przez nie wolny jak ptak Thomas Perkins. Miał na sobie ten sam garnitur w cienkie prążki, co w momencie aresztowania, jak również parę ręcznie robionych butów od Johna Lobba. Dyrektor z nosem jak ołówek ścisnął dłoń Perkinsa i najmocniej przeproszał za niedogodności ostatnich kilku dni.

Gdy Perkins ujrzał siedzącą w poczekalni Sophie, przez jego twarz przetoczył się uśmiech niczym łagodna fala na środku oceanu. Sophie zerwała się z krzesła, niewiele myśląc objęła go i ucałowała w policzek. Dyrektor przekazał Perkin-sowi brązową kopertę zawierającą jego portfel, złote spinki do mankietów oraz inne cenne przedmioty, które zabezpieczono, gdy został zatrzymany.

- To wszystko? - spytał Perkins. - Naprawdę jestem wolny? Dyrektor niczym gospodarz skinął głową i odprowadził

go do bramy wychodzącej na Caledonian Road. zaproponował mu odwiezienie do domu pojazdem służby więziennictwa, Perkins jednak stwierdził, że woli przejść się z przyjaciółką i nacieszyć odzyskaną wolnością.

?

Wstąpili do pierwszego napotkanego pubu. Był wczesny wieczór i letnie słońce wisiało jeszcze nad horyzontem. Wzięli po pincie piwa i wyszli na podwórko. Perkins kupił paczkę

papierosów. Wyznał, że nie palił od ponad dwudziestu lat, lecz obiecał sobie, że jeśli zwolnią go z więzienia, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie zapalenie papierosa. Zapalił, głęboko zaciągnął się dymem, zakaszłał, zaciągnął się raz jeszcze i wyrzucił niedopałek. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie przebudził się z koszmaru i zdał sobie sprawę, że nic z doświadczonych potworności nie było prawdziwe.

Sophie zażądała wyjaśnienia. Dlaczego po tylu gromach i atakach tak po prostu został zwolniony? Przekupił samego premiera czy tylko sekretarza stanu?

- Przestraszyłem twoich kumpli z CIA - odparł Perkins. - Uznali, że wygadam całą prawdę i spanikowali. Minionej nocy skontaktowali się z brytyjskim rządem i przez cały ranek negocjowali. Wszystko w tajemnicy, jak mi powiedział dyrektor. Kiedy spotkania dobiegły końca, postanowili, że nie przedstawią mi żadnych zarzutów. Mojemu prawnikowi powiedzieli, że to jakieś koszmarnie nieporozumienie i że strasznie im przykro.

- Co zamierzasz teraz robić? Z powrotem wieść żywot miliardera?

- Żaden ze mnie miliarderski cukiereczek. Nawet po części. Rzucili się na moją spółkę jakby to była wyprzedaż garażowa. Będę miał szczęście, jeśli uda mi się uniknąć bankructwa.

Sophie wzięła go za rękę. Chciała okazać, że go wspiera, niezbyt jednak wiedziała jak. Nigdy nie była specem od relacji międzyludzkich.

- Jeśli tylko zechcesz, zdołasz to wszystko odbudować.

- Ale to by było nudne. Mam to za sobą. Chciałbym spróbować czegoś nowego. Chcę zobaczyć, co kryje się po drugiej stronie, za tymi wszystkimi rzeczami, których podobno powinniśmy w życiu pożądać.

Sophie pomyślała o marzeniach, jakie miała jako młoda oficer wywiadu, o miejscach, w których była i o niebezpieczeństwach, na jakie się narażała. Co też z tego wyszło?

O ile miała rację, wyszedł z tego jedynie stek kłamstw. Jej koledzy kłamali i oszukiwali, a z równowagi wyprowadzała ich tylko myśl, że ktoś może się wygadać. Tak długo już zrzucali na ludzi bomby, że wydawało im się to czymś całkiem naturalnym. I w tym tkwił problem: jeśli zabijasz kogoś z bliskiej odległości przy użyciu noża, wiesz przynajmniej, co to znaczy mieć krew na rękach. Ale jeśli czynisz to z wysokości dziesięciu tysięcy stóp, wpatrując się w ekran monitora, zapominasz, że ci na dole to ludzie z krwi i kości. I nie chodzi tu o to, czy walczy się w słusznej sprawie, ale że jest to walka nieuczciwa.

- Ja też chcę zobaczyć, co jest po drugiej stronie - przyznała Sophie. - Do końca życia mam już dosyć fałszu. Chcę się przekonać, jak to jest mówić prawdę.

- Mogę ci towarzyszyć? - spytał Perkins.

Skinęła i chwyciła jego dłoń. Dopili piwo, zamówili po jeszcze jednym, a następnie złapali na Caledonian Road taksówkę i odjechali w poszukiwaniu restauracji ku dzielnicy Camden Town, gdzie - jak zapewnił ją Perkins - nie było szans, by ktokolwiek ich rozpoznał.

Podziękowania

Książkę tę dedykuję Garrettowi Eppsowi, wykładowcy prawa konstytucyjnego oraz powieściopisarzowi, który jest także moim najlepszym przyjacielem, odkąd poznaliśmy się na studiach przed ponad czterdziestoma laty. W każdej z moich powieści zawarłem słowa uznania dla Garretta jako czytelnika i krytyka, lecz mój dług względem niego jest większy - żadnej z tych książek nie zdołałbym bowiem napisać bez jego hojnego i cierpliwego wsparcia. Przy pracy nad tą powieścią pomoc Garretta okazała się szczególnie cenna.

Akcja książki rozgrywa się w znacznej mierze w Pakistanie - lecz nie tym rzeczywistym, a istniejącym w mojej wyobraźni. Podobnie też, choć powieść opisuje działania fikcyjnego Zarządu Służb Wywiadowczych, nie powinno się go mylić z istniejącym organem o takiej samej nazwie. Jest to fikcja literacka, a przedstawieni w niej bohaterowie, wydarzenia i instytucje nie mają żadnego związku z rzeczywistością. Na stronach powieści nie występują

żadne postacie autentyczne, nie opisuje też ona żadnych rzeczywistych operacji wywiadowczych.

Stworzoną przeze mnie fikcję starałem się odmalować przy użyciu barw z życia wziętych. Miałem szczęście osobiście odwiedzić Południowy Waziristan, a także wiele innych opisanych w książce miejsc. Najlepiej będzie, jeśli moi najważniejsi przewodnicy i doradcy pozostaną anonimowi, pragnę im jednak okazać moją najgłębszą wdzięczność.

Szczególny dług wdzięczności zaciągnąłem u Christine Fair z Uniwersytetu Georgetown, której znajomość pendzabskich przekleństw nie ma sobie równych po tej stronie od Lahore. Opierałem się na wielu źródłach pisanych, lecz najbardziej pomocne okazały się materiały na temat kultury pasztuńskiej zgromadzone na stronie internetowej khyber.org.

Drugą ze scen, na których rozgrywa się akcja książki, jest królestwo funduszków hedgingowych skupione w londyńskiej dzielnicy Mayfair. Niech również w tym wypadku moi najważniejsi konsultanci pozostaną anonimowi. Chcę jednak podziękować mojej przyjaciółce Carli Rapoport za gościnę, której mi udzieliła, gdy przez tydzień zbierałem w Londynie materiały. Po raz kolejny dziękuję też mojemu przyjacielowi Jonathanowi Schillerowi, który w początkowych miesiącach pisania udzielił mi schronienia w swojej kancelarii prawniczej Boies, Schiller & Flexner. Wreszcie dziękuję moim przyjaciołom Lincolnowi Caplanowi i Jamie Gorelick za ich bezwarunkowe wsparcie.

Jestem wdzięczny wszystkim tym, którzy czytali i komentowali wczesne wersje tekstu - mojej żonie i pierwszej czytelniczce, doktor Eve Ignatius; mojemu szacownemu agentowi literackiemu Raphaelowi Sagalynowi i jego koleżankom, Bridget Wagner i Shannon O'Neill oraz mojemu agentowi w Creative Artists Agency Robertowi Bookmanowi. To szczęście być publikowanym przez wydawnictwo W.W. Norton, a moje szczególne podziękowania należą się wielu jego pracownikom, zaczynając od mojego wspianego redaktora Starlinga Lawrence'a i nie zapominając o Jeanne Luciano, Billu Rusinie i Rachel Salzman.

Od dwudziestu pięciu lat największą satysfakcję daje mi praca w „The Washington Post”. Chciałbym więc podziękować

wszystkim moim tamtejszym kolegom, zwłaszcza zaś Donowi Grahamowi, Fredowi Hiattowi, Steve'owi Pearlsteinowi, Alanowi Shearerowi i Jamesowi Hillowi.

Książka opowiada o tym, w jaki sposób wojny dobiegają końca. Mam ogromną nadzieję, że dojdzie do tego również w rzeczywistym Pakistanie i Afganistanie.